





P. 2790.

Q. 27  

---

452

140



Inst. Zoologii

KSIEGA ŚWIATA



WYDANIE

Z DZIAŁU WYDAWNIWA PRZEMYSŁOWEGO

WARSZAWY

WYDZIAŁ PRZEMYSŁOWY

WARSZAWY

WYDZIAŁ PRZEMYSŁOWY

WARSZAWY

WARSZAWY

**KSIEGA ŚWIATA.**



(K. 110)

# KSIĘGA ŚWIATA.

WIADOMOŚCI



## Z DZIEDZINY NAUK PRZYRODZONYCH,

HISTORYI KRAJÓW I LUDÓW,

**ŻYWOTY ZNAKOMITYCH LUDZI,**

PODRÓŻE, OPISY CIEKAWYCH MIEJSCOWOŚCI, OPOWIADANIA

ODKRYCIA I WYNAŁAZKI,

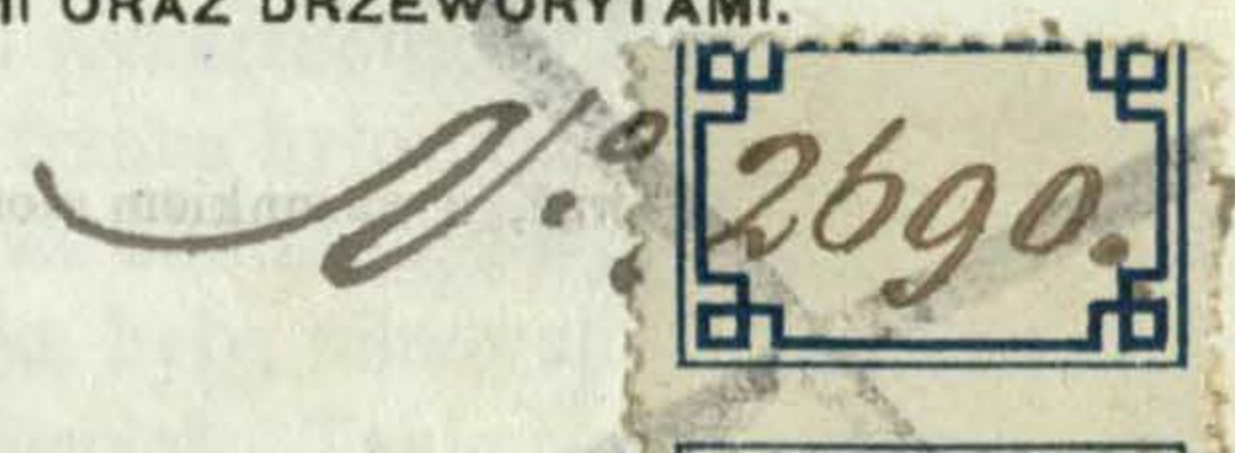
**WAŻNIEJSZE ZAJĘCIA PRZEMYSŁOWE,**

Obrazy Towarzyskie, Literackie, Statystyczne, Ekonomiczne i t. p.

ZRYCINAMI NA STALI LITOGRAFOWANEMI CZARNEMI I KOLOROWANEMI ORAZ DRZEWORYTAMI.



CZĘŚĆ PIERWSZA.



WARSZAWA.

NAKŁADEM S. H. MERZBACHA, KSIĘGARZA.

1863.



[1864]

PAŃSTWOWE  
MUZEUM ZOOLOGICZNE  
BIBLIOTEKA  
Nr. P. 2790

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa dnia 2 (14) Września 1863 r.

p. o. Cenzora, Assessor Kollegialny, I. A. ROGALSKI.

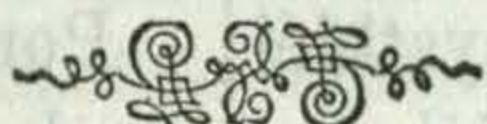
L. 140/52.

w Drukarni J. Jaworskiego.





# KSIĘGA ŚWIATA.



## WYPADEK NA ŁOWACH

OBRAZEK Z 16-go WIEKU.

Wielka zachodzi różnica między dzisiejszym polowaniem, a dawnymi łowami. Dawniej młodzian stając do walki z niedźwiedziem, turem, lub dzikiem; uczył się zręczności, mężstwa, rozwijał siły. Dziś chodząc niemal dzień cały za bekasami, rozwija zamiłowanie w próżniactwie, pokrytém niby użyteczną zabawką; a zamiast wzmacniać siły, traci je oddychając wilgotném powietrzem, brnąc w błota czasem po pas, i potem dla ogrzania nie jeden kieliszek wódki wychylając. — Pra-ojcowie nasi także na ptaki polowali, ale to było na inną skalę. — Za pomocą krogulców, sokołów, całemi stadami łowili kuropatwy, cietrzewie i różne ptastwo. Ułaskawienie sokołów było tak ważną rzeczą, że niektóre osady nie miały innych powinności, jak układać do polowania te piękne ptaki; i ztąd mnóstwo wsi większych i mniejszych, z których nie jedna na miasteczko z wiekami wzrosła, nazywają się Sokolniki, Sokółki, Sokoły.

W jednej z takich wsi, która z niewielkiej osady powstała w duży folwark, mieszkał starosta zwany: Pan z Sokólnik, chociaż rzeczywiste nazwisko jego było Drzewiecki, był on bowiem potomkiem rodziny do której należał Maciej z Drzewicy herbu Ciołek z ziemi Sandomierskiej, któren obok duchownej godności, piastował dość długo urząd Podkanclerzego koronnego. Dalszy potomek jego, dzisiejszy nasz starosta, za młodu również ziemię Sandomierską zamieszkiwał, lecz zwyczajem ówczesnym będąc dworzaninem u hetmana Tarnowskiego, po bitwie pod Oberynem gdzie się odznaczył, dostał starostwo w Sa-

nockiem. Był to bowiem czas gdzie starostwa dawniej nie liczne, mnożyły się, bo gdy królowi przybywało ziemi świeżo wykarczowanej i nowemi osadnikami obsadzonej, trzeba było urzędników, którzyby pieniądze czynszowe odbierali, i wypełnienia powinności, jakie przy tém były, pilnowali, tak, żeby skarb królewski nie ucierpiał. Takimi urzędnikami byli starostowie, którzy za tę opiekę nad dobrem królewskim, oprócz tytułu, dostojęństwa, mieli znaczne dochody, jako to: dziesiąty grosz od pieniędzy królowi należących, daninę w zbożu od kmieci i t. d. — Oprócz starostwa i folwarki Sokolniki który był jego własnością, posiadał jeszcze znaczny majątek starosta, tak że fortuna jego pomiędzy większemi w Sannockiej ziemi rachowaną była. To też dworno, chędogo i dostatnio było w modrzewiowym dworze w Sokolnikach, gdzie rezydował starosta. Z powodu bliższych lasów obfitujących w zwierzynę i rybnej rzeki San, która po pod dworem płynęła; polowanie i rybołówstwo były ulubioną starosty zabawą — „kiedy człek — mawiał — nie darzy się bić Tatarów i Wołochów, to niech się choć z turami i niedźwiedziami zabawi.”

Obok wielkiego mężstwa, odznaczał się starosta nadzwyczajną roztropnością, którą zwykle naturalnym rozumem zowią; dar ten rzadki odziedziczył on po dziadku swoim Ostafim Daszkiewicz; sławny ten i rzec można pierwszy organizator Zaporozkich kozaków, był rodem z Owruckiej ziemi i poddanym Konstantego Ostrońskiego. Roztropny, energiczny kміeć, widząc napady Tatarskie co raz śmieliej, co raz czę-

ścięj niszczące nad-Dnieprzańskie okolice, zaczął bez niczyjjej pomocy lub rady, zbierać młodź z wiosek, a uorganizowawszy ją w pewien szyk wojenny, z najlepszym skutkiem, kilkakrotnie odpędził Tatarów.— Z téj to młodzi później potworzyły się sotnie kozackie. Ostafi za nagrodę tak wielkich dla kraju usług, dostał od Zygmunta Igo starostwo Czerkaskie z zameczkami położonemi nad Dnieprem. Taki to początek rodziny Daszkiewiczów, jak i wszystkiėj szlachty Polskiėj, która nie tak jak gdzieindziej, naszedłszy kraj, przodkowała obcemu plemieniu przywłaszczyszy sobie to przodownictwo przemocą — lecz z jednéj powstawszy ziemi, szła zasługą od pługą do oręża, od oręża do buławy.

Starosta odziedziczywszy przymioty przodka swego, łączył wady jemu i drugim szkodliwe — był nadzwyczaj popędliwy, czyli jak nazywano wielki impetyk — a nadto pełen miłości własnéj, którój obrazić nie dopuszczał nigdy — i dla tego, choć w zapędzie gniewu wydał jaki rozkaz niesprawiedliwy, nie stosowny — nie cofnął go, choć na tém cierpiał wewnętrznie; zdawało mu się to konieczném do utrzymania swéj godności; a żałować nad tém co minęło, nie miał czasu — życie bowiem jego było bardzo czynne. Żadna wyprawa na nieprzyjaciela nie odbyła się bez niego — a wróciwszy z niéj, pilnie i gorliwie przestrzegając praw królewskich w powierzonym mu starostwie, swoją osobą był wszędzie.— Nadto podług ówczesnego zwyczaju, łowy na wielką skalę prowadzone, potrzebowały nadzoru i przewodnictwa pańskiego; albowiem oprócz skór które bogactwo kraju stanowiły; mięso z grubéj zwierzyny, jak z dzika, łosi, jeleni i t. p. solono, pakowano w beczki i potem w czasie wojny, która w owym wieku nie była nigdy rzeczą nadspodziewaną; tę przygotowaną wcześniej żywność prowadzono za wojskiem, aby nie tylko je, ale i okolic, przez które ciągnęło; nie oglądzać. Często więc, mianowicie ku jesieni, bywały u starosty z Sokolnik łowy; oprócz licznych dworzan, zjeżdżała się na nie z przyległych włości szlachta.

Stosownie do fortuny i rodu, dwór starosty pełen był dworzan i panien dworskich. Za Zygmunatów, nie sami magnaci otwierali domy swoje dla młodzieży, kaźden zamożny szlachcic, ponieważ sam za młodu był dworskim u sąsiada, przyjmował chętnie młodzież na dwór swój. W braku szkół publicznych był to jedyny środek dla młodzieży do nabrania doświadczenia, do zapoznania się z koleżeńskim i publiczném życiem.— Dworzanin bowiem należał razem z panem, u którego się znajdował, do wszelkich zja-

zdów — dzieląc z nim niebezpieczeństwa wojny i wesołości uczy. Cudzoziemcy nie mogli pojmować u nas tego braterskiego stanowiska pana z dworzaniem; i jeden Anglik znalazłszy się w Polsce, w opisie swoim o zwyczajach kraju naszego, nadzwyczaj podziwiał *szczególny rodzaj sług*, którzy razem z panem zasiadają do stołów, też same zajadają potrawy i wypróżniają dzbanki.

Pomiędzy młodzieżą ćwiczącą się w łowach, zabawach rycerskich i t. p. szlacheckich zajęciach, znajdował się od roku młody Jan Słuszka, synowiec podkomorzego wielkiego; pana licznych nad Sanem włości.— Jan straciwszy rodziców za młodu, chował się u stryja, któren osądziwszy, że czas mu dać poznać chleb obcy, zawiózł go do starosty. Nie miał on z nim bliżkiėj znajomości, lecz wiedział że starosta ma dwór złożony z dobrej szlachty, że sam młodość u hetmana Tarnowskiego przepędził, że mianowicie znano go, iż należał do wszystkich wypraw wojennych i był dobrze od monarchy uważany. — Dziwili się dworzanie starosty, że w przyjęciu podkomorzego była jakaś różnica — nie było téj gościnności otwartéj serdecznój z którój od bliższych znajomych był znany; a w jéj miejsce nastąpiła wysoka grzeczność, coś przymusowego w sobie mająca.— Podkomorzy nie znając blisko starosty, nie dostrzegł różnicy; rad był jako dworak z ceremonialnego obejścia się; tylko zdziwił się nie po mału, że gdy mu przedstawił synowca, zamiast przyjąć z otwartą ręką opiekę nad tak dostojną rodziną młodzianem, starosta zmieszał się widocznie; dopiero jakby zmiarkowawszy się — potarł czoło i gdy mu podkomorzy wywodził prostą linię młodego synowca od Jana Słuszki Litewskiego pana, któren jeszcze za króla Władysława Jagiełły, przy Unii Litwy z Koroną otrzymał herb Ostoja, starosta ozwał się: „Zaszczytnie to dla domu naszego, że tak dawnéj, znakomitéj rodziny szczerp do niéj się garnie, acz nie pierszyzna to nam, boć u ś. p. dziadamego Macieja z Drzewicy Arcypiskupa Gnieźnieńskiego był na dworze nasz hetman Tarnowski.”

„Ale na co mi było wywodzić ród nasz, kiedy jak pomnę, starosta Łojewski a rodzic bratanka mego z młodości znanym był waszój miłości?”

Przyświadczył słowom tym starosta, i zwrócił rozmowę do czego innego, któraby była trudno i leniwo szła, gdyby nie obiadowa pora.— Wkrótce więc rozwarły się podwoje do jadalnéj ogromnéj izby, gdzie już przy pozastawianych stołach, Jójmość Starościna z córką Barbarą i liczny szereg dworzan i panów czekali na gospodarza i gościa.

Przy obiedzie, podkomorzy, któren z obowiązku swego na dworze królewskim większą część roku przepędzał, umiał zagaić rozmowę, każdego stosowném zaczepić słowem, a wiedząc czém zająć może gospodarza, począł wspominać zgasłego przed 8mią laty, a żywego w pamięci rodaków hetmana Tarnowskiego, i jego świetne dla kraju usługi.

Gdy przyszło do bitwy pod Obertynem, nasz starosta rozgrzany puhaem, którym pił zdrowie dostojnego gościa, począł opowiadać szczegóły bitwy, z takim zapalem jakby nie 39 lat, ale zaledwie kilka miesięcy, od téj wielkiej ubiegło chwili! — „Miły Boże!” — dodał, skończywszy opowiadanie — „cóż to za powitanie czekało nas w Krakowskim Grodzie! jakbym patrzył na hetmana, gdy od mogiły do Krakowa się zbliżał. Rada koronna, Duchowieństwo i wszystek Kraków jedno i pieszko przeciwko niemu wyszedł witając. Toczono najprzód dział kilkadziesiąt, na których były herby polskie, (które król Olbracht stracił na Bukowinie), więźnie i Radę Wołoską przed nim wiedziono. Lud palcami na działa i więźnie pokazywał, rzekąc: ten jest Logofet kanclerz ziemi Wołoskiej, ten hetman Mołdawski — a wołali: „Bądź że tobie Boże chwała!” i ty bądź zdrów Tarnowski! bądź nam szczęśliwym hetmanem! Tak w tryumfie gdy na zamek wjechał, najpierw w kościele głównym przed ołtarzem padłszy na kolana, gorąco dziękował Bogu. — Po modlitwie chorągiew ziemi Wołoskiej z wielką bawołą głową i z innymi chorągiewkami na grobie Śgo Stanisława zawiesił. — Wyszędłszy z kościoła udał się do króla z wielkim tłumem ludzi. Gdy na plac wchodził, nieboszczyk król Zygmunt tę cześć hetmanowi wyrządził jakiej jeszcze żadnemu; albowiem, on wielkiej powagi, stateczny król, z miejsca swojego powstał i przeciw niemu aż na ganek wyszedł. Tam Tarnowski jako hetman, jako poddany, króla swego z wielką uczciwością witał, dzięki Bogu za zwycięstwo składając a pokornie króla napominając: *aby drugi raz Boga nie kusił, mało ludu przeciw wielkiemu nieprzyjacielowi na harc sadowiąc.* — I prawdę rzekł, bo nas było tylko do pięciutysięcy, a Wołochów 24,000, to nie ramieniem naszym, ale Duchem, łaską Bożą wspartym, zwyciężyliśmy. O swoim meźtwie nie królowi nie wspominając, począł o innych mówić i Rycerstwo przestawować.“

Tu zamikł starosta zmarszczywszy czoło, jakby mu znów jakieś natrętne wspomnienie, wątek opowiadań przerwało. Zamilkł, a wszyscy słuchali jeszcze, albowiem w owych wiekach, kiedy pisma waż-

nych zdarzeń, tyczących się życia ulubionych bohaterów wnet nieupowszechniały; starsi byli żywą dla młodych kroniką; opowiadania ich nauczały, podnosiły ducha, obudzały cześć dla ludzi godnych jój, budziły chęć do naśladowania. Podkomorzy także opowiadać zaczął o dworze nieboszczyka króla, o księżętach i dostojnych Europejskich gościach, których wedle obowiązku Wielkiego Podkomorzego, do komnat królewskich wprowadzał.

Po skończonym obiedzie, pożegnał, zadowolony z przyjęcia gospodarza, Podkomorzy, zostawiwszy młodego Jana. Był to gładki z ciemno-błękitném okiem młodzieniec, charakteru tak łatwego, tak szczerój i otwartój wesołości, że wkrótce zdawało się paniczom dworskim, jakby już od lat kilku z nim zażyłość mieli. — Kiedy się tak podobał panom, dziwić się nie można, że i panny dworskie wzięły go na oko i że, czy to do zabaw, czy do usług drobnych pan Słuszka był wybierany. — Bo też dziwną miał do wszystkiego zręczność. — Gdy się bawiono w strzelanie, w gonitwy — nikt tak nie gonił, nikt tak dobrze z kusz<sup>1)</sup> grotów nie ciskał jak on, nikt tak zręcznie nie tańczył skoczego Golarda, którego nie wszyscy dworzanie dobrze umieli, bo lubo go królowa Bona wprowadziła, nie był dość rozpowszechnionym. — Zgoła Jan celował we wszystkim; lubionym był od wszystkich, prócz od starosty, tak przynajmniej sądzić możnaby, gdyż widocznie unikał bliższego z nim spotkania — chociaż gdy Jana chwalili z urody i zręczności, nie przeczył; dodając tylko że jeszcze nie wiadomo czy równie zręcznie jak w tańcu, umiałby z nieprzyjacielem bronią wywijać. — „O młokosie, co jeszcze ani z Tatarzynem ani z Wołochem harców nie odprawiał, nie można nic powiedzieć.“ — Starosta któren do każdej krajowej musiał należeć wyprawy, gdzie się zawsze wielkiem odznaczał meźtwem, u którego ideałem był Tarnowski a potem Roman Sanguszko, waleczność w boju cenil nadwszystko. Miałby sobie za hańbę, gdyby opuścił w życiu choć jedną wyprawę i mawiał: że chyba z najsroźszój kary Bożej, której się nie spodziewa, spotkać by go mogła inna śmierć, jak na placu bitwy lub z ran odniesionych.

„Chybaby mi Bóg z górą sto lat żyć kazał — mó-

<sup>1)</sup> Kusza była rodzajem maszyny ze sprężyną, którą ciskano groty; zdaje się że możniejsi panowie sprowadzali je z Krakowa, gdzie jak wiadomo od niepamiętnych czasów, ustanowioną była Szkoła Strzelecka.

wił starosta — to wtedy wolą Bożą, możebym jak baba na łożu umierać musiał.“

Jan dorastał w tych kilku latach tak rzadkiego u nas pokoju i dla tego jeszcze nieprzyjacielowi się nie przypatrzył; ale gdy starosta opowiadał o swoim dziadku Daszkiewiczu; lub też różne wyprawy, od najpierwszej pod Obertynem do ostatniej pod Ulą; z zapałem, a razem z żalem przysłuchiwał się im młody Jan, doznając jakby upokorzenia — gdyż do tej ostatniej, gdyby nie wola Podkomorzego, którego wtedy do króla wyprawił, mógłby być należeć. — „O czemuż tak srogi los — mówił sam do siebie — nie dozwolił mi dać się poznać wśród nieprzyjacielskich szyków staroście! wtedy mógłbym!...“ tu nie kończył dalej, tylko rzucał okiem na 17sto-letnią pannę Barbarę, córkę starosty. — Czasem zdarzało się że i Basia w tę samą patrzyła stronę i oczy ich się spotykały.

Młoda Basia była śliczną czarnobrewą dziewczką, miła, żwawa, wesoła, umiała sobie od dziecka zjednać serca wszystkich. Starosta lubo niby prznosił syna jako następcę swego, jako przyszłego obywatela kraju, przecież widoczniej okazywał *afekt* dziewczeczce, którą *szczebiotką* nazywał. — A gdy starszy od niej o lat kilka brat, pan Michał, wedle owczesnego zwyczaju, pojechał na dwór pana Sieniawskiego do Brzeżan; Basia tedy pozostała jedyną rodziców a mianowicie matki swój pociechą. Starościna zwykła była mówić: że to dziecko od urodzenia nigdy nie było żadnej przykrości przyczyną, bo nawet nie chorowała nigdy. Istotnie Basia była uosobionem zdrowiem i swobodą. Bo i cóż mogło sprowadzać troskę lub chmurkę na jej pogodne czoło? — Jeżeli przez służebne doszła ją wieść o niedostatku lub chorobie w jakiej chacie, natychmiast radę na to znalazła. — Jeżeli ojciec jako *impetyk* w groźnym był humorze, co trwożyło cichą i łagodną matkę; Basia pewną była że zdoła gniew jego rozbroić i zawsze się jej to udało. Zgoła była to mała czarownica, rzucająca urok na wszystkich co ją otaczali, to też ledwie 17 rok skończyła, nie jeden z okolicznych młodych sąsiadów zajeżdżał w dziewosłęby do pięknej i posażnej Starościanki. — Lecz ojciec mówił, że nie pilno mu miłą sercu dziewczkę za dom oddać. — Basia zaś zaręczała rodziców, że jeżeli oni tylko pozwolą, to ona wcale za mąż nie pójdzie, bo pewną jest że nigdzie jak w domu tak jej wesoło i swobodnie nie będzie. — Starosta istotnie niechętnie myślał o konieczności oddania za lat parę jedynaczki, która mu zawsze umiała posępne umilić chwile — jednak-

że z pomiędzy młodzieży, którą do pretendentów policzyć można było, widocznie odróżniał pana Zygmunta kasztelanica Bełzkiego. Czy to że wysokie kolligacje młodzieńca pochlebiały Staroście, czy że nadewszystko lubił łowy i wielką w tej rozrywce bywał Staroście pomocą, czy też bliskość stykających się z Sokolnikami włości kasztelanica, a tem samem rekojmia, że na starość będzie miał obok siebie kochaną córkę — zgoła niewiadomo jaka z tych i wielu innych przyczyn, skłaniała wybór jego do dostojnego sąsiada; to pewna, że mu widocznie sprzyjał. Starościna, lubo sobie nie umiała zdać sprawy ze wstępu jaki w niej obudzał ulubiony męża gość; lubo ani jemu, ani mężowi nie dawała tego uczuć, modliła się do opieki Matki Boskiej, żeby zachowała Basię od tego związku. „Jemu (mówiła do siebie) — przystało tylko za niedźwiedziem się uganiać, z Tatarami się bić, ale nie do takiej się dziewczeczki zabrać.“ Istotnie kasztelanica pomimo że był przystojnym, miał coś niezręcznego, szorstkiego w obejściu się: nawyknięcie do łowów, na których większą część czasu przepędzał, uczyniło go nadto na strój niedbałym; tak, że wśród strojnych w czasie jakiej uroczystości, dworzan, on, mimo wysokiego wzrostu, czarnych wąsów i rumianych policzków, nie ściągał nigdy na siebie łaskawego wejrzenia płci pięknej. Basia nie odróżniała się od swoich towarzyszek i lubo mu nie przypominała jak one *latek*; stroniła o ile możności od niego. Nie straszyły ją jednak względy ojca dla kasztelanica, bo ufna w swoją nad ojcem władzę, nie wątpiła, że gdy mu padnie do nóg a rozpłacze się; ojciec ją uwolni, tém bardziej spokojną była, że kasztelanica nie zdawał się być nią zajęty, a nikogo też w swoim interesie nie przysyłał. Tak rzeczy stały, gdy przybył Jan Słuszka — przy którym jeszcze gorzej wydawał się kasztelanica.

Nadeszła zima, a z nią ulubiona w Polsce, a jak mówią za króla Popiela jeszcze znana zabawa *kulik*. Nazwa tej wesołej, zakończonej tańcami przejażdżki, jak zdaje się początek swój wzięła, od laski w rodzaju buławy z *kulką* na końcu, którą rozsyłano po dworach, niby łapiąc na tę *zmówioną ochotę*. Z prawdziwym zajęciem czytamy opisy z wieków tamtych *kulików*. Zabawy te bez przygotowania a mimo to pełne wesołości, gdzie nie przesadzano w strojach, gdzie prawdziwie szczerą gościnność na przyjęcie *rozszerzała ściany*, gdzie przyjmowano tém co dom miał; były prawdziwym obrazem charakteru, usposobienia narodu, którego jakby się za jedną uważając rodzinę, nie potrzebował *ceremonii*, *fansaronady*, któ-

rych to wyrazów w języku nawet swoim nie posiadał. i z całą otwartością przyjętą w rodzinie, otwierał razem z sercem dom swój, zasoby jego; ani też dbał wcale o to, że goście których przyjmuje, daleko większą posiadając *fortunę*, mogliby *krzywo* patrzeć na skromniejsze jak u nich ściany i potrawy — nie troszczył się o to; bo goście nie patrzeli *krzywo* — bo również jakby do uboższych krewnych przejeżdżając, cenili wesołe, otwarte przyjęcie. Nawet ta odmiana w potrawach, często apetyt zaostrzała; a trudność wygodnego pomieszczenia się z powodu szczupłego mieszkania dodawała wesołości. Czy bogatszy czy uboższy ze szlachty, tych samych używając prerogatyw, łączyć się lubił czy to w zabawie czy w radzie. Gościnność więc i grzeczność nie tylko w charakterze, ale z położenia wzajemnych zależności była potrzebna; bo według starego przysłowia:

„Czapką, papką i solą,

Ludzie ludzi niewolą.”

Taki kulig postanowiono w lutym, w środku zapust odprawić z Sokólnik do sąsiada za lasem o mil pare mieszkającego. — Pan Brzoska siedział na jednej wiosce, a miał się dobrze, bo mu ta wystarczała na utrzymanie życia skromnego ale wygodnego. Miał trzy córki, hoże dziewoje i dwóch synów podlotków — żonę żwawą, dobrą gospodynię, domek acz nie wielki ale chędogi; czegoż więc trzeba aby goście śmiało do niego zajechać mogli? — Pewne więc serdecznego przyjęcia i wesołej zabawy, zamierzyło całe towarzystwo licząc zamieszkałego dworca w Sokólnikach, zajechać na pierwszą stację, pierwszy nocleg do bliższych sąsiadów, a zabrawszy ich z sobą, jak to zwykle kulig robił, udać się do Krasieczyna, gdzie na dłuższą, bo na całodniową miano się zatrzymać ochotę. — Starosta chętnie należeć chciał do ulubionej zabawy i wydał rozkazy koniuszemu swemu aby sannie, konie, woźnicy byli dobrze wybrani i w dery dla koni, a w futra dla ludzi opatrzeni.

Zajechało w dzień naznaczony dwanaście sań z rozmaitemi ozdobami; losy ciągniono poprzednio kto z kim ma jechać — każdy z wyższych dworskich radby był pomieszczenie obok slicznej Basi znaleźć, ale los nadspodziewanie udarował młodego Jana, z czego widocznie starosta rad nie był, ale prawa kuligowego odmienić nie mógł.

Jechano w malowanych saniach, na przodzie których z białymi skrzydłami łabędź podnosił zakrzywioną głowę aż do rąk woźnicy, a ogromnymi skrzydłami od śniegu kopytami końskimi ciskanego osłaniały — Ze wszystkich sań w Murzynów, Turków,

sfinksy przybranych, te z pięknym łabędziem były najozdobniejsze i dla tego wsiadły w nie staroscina z córką i uradowany lubo nieśmiały pan Jan. Nie będziemy, dla szczupłości zakresu artykułu, opisywali tej wesołej szlichtady, która przybywszy do pana Brzoski i wytańczywszy się tam należycie, po noclegu wybornym, na wonnym sianie makatami pokrytym, po śniadaniu na którym oprócz smacznego kapuśniaku, była *faramuszką* (gramatka z piwa, z serem i chlebem) i famułka z cukrem i winem, a do napoju miód, wino, piwo, bo wódki jeszcze ogólnie nie używano u nas w 16-ym wieku; — zabrawszy z sobą gospodarzów, hoże córki wraz z synami, do Krasieczyna kulig się udał, gdzie lubo nie było jeszcze pałacu, przez Stanisława Krasickiego w 30 lat później wystawionego, był ogromny dworzec, gdzie z tą samą wesołością lubo w odmiennych jak u szlachciców ścianach zabawiwszy się, pojechano dalej. — W dni 10 do domu wracano, gdyż starosta spieszył się na łowy.

Wspomnieliśmy tu o kuligu, z powodu, że ta okoliczność najważniejszą się dla starostwa stała. — Poważne a pełne przepisów skromności obyczaje ówczesne, nie dozwalały bliższej znajomości między młodzieżą płci obojgą. Uradzone przez rodziców związki, układały się najczęściej bez wiadomości młodych, którzy dopiero po przyrzeczeniu, mieli czas zapoznania się wzajemnego. Nie będziemy się wdawali w krytyczny rozbiór tych zwyczajów; powiemy tylko, że w owym czasie nie były one tak *okrutne* jakby dziś sądzić można. Cześć dla woli rodzicielskiej a mianowicie głęboka wiara i cześć dla Sakramentu były. Żona w owych barbarzyńskich czasach, przez Boga przeznaczona, której mąż przed Ołtarzem zaprzysiągł miłość dozgonną, przedmiotem była trwalszego przywiązania niż ta, która w cywilizowanym wieku, szaleńczo tylko chwilowym lub interesem została wybraną a formą religijną połączoną. — Rodzaj zabawy kuligowej w owych wiekach, był jednym środkiem do zapoznania się bliższego, do zawiązania bliższych między młodzieżą stosunków, mianowicie z towarzyszem jadącym w jednych sankach, i myślącym o bezpieczeństwie pań swoich: zabawa taka nastęrczała wiele chwil uroczych, na całe życie wpływ wywierających.

Po kuligu wróciwszy do Sokólnik, Basia z wiedzą matki przyrzekła Janowi, że jeśli ojciec pozwoli, odda mu rękę — „A jak nie zezwoli? — mówił Jan drżący, tylko kasztelanica.” „Niekończcie! nigdy na ślub z nim nie przystanę — przerwała Basia — prędzej wykonam ślub zakonny” — dodała cichym, smutnym głosem. — Dziwnie te słowa zabrzmiały w uszach młodzieńca —

spojrzał — a suknia zakonna z twarzyczką Basi tchnącą żywą wesołością, zdawała mu się tak sprzeczną, iż westchnął i głęboki niepokój, niepewność, serce mu przeszło. — Basia jakby odgadła skryte zwątpienie jego, zaspokoila Jana ręką, iż ojciec tak ją kocha, tak zawsze ona umie, na co tylko zechce go, nakłonić, tém bardziej w téj ważnej szczęścia swego sprawie, pewną jest wygraną. — Jan znając siłę uśmiechu Basi, uwierzył i zaspokoił się.

Przygotowanie do łowów w Sokolnikach czyniono ogromne. — Starosta po ukończonych łowach, wybrał się na zapowiedziany sejm do Lublina, potem spodziewał się, że go do walki z nieprzyjacielem kraj powoła — chciał więc przysposobić nie tylko skór ale i mięsiwa dla wojska, — pragnął jak najwięcej grubego zwierzca położyć — Wtedy nie brakło na takiej zwierzynie w gęstych lasach nie przetrzebionych.

Basia tymczasem upatrywała sposobność, żeby nadmienić, wypróbować, czy zbyt wielkie jój zamiar spotka trudności? — Matka tę sprawę jój zostawiła, bo lubo starosta był bardzo dobrym mężem, ja nie raz dając jój dowody prawdziwego przywiązania i uważania, staroscina lekliwa, nieśmiała z natury, od czasu kiedy się córka wyręczyć mogła, o nic sama męża nie prosiła. Basia obrachowała w głowie swojej, że trzeba się uwinąć przed zaczęciem polowaniem, raz że na nim kasztelanie całą duszą lubiący łowy, znajdzie sposobność do wyrządzenia rozmaitych przysług ojcu, a tém samém zniewolenia go dla siebie — powtóre, że jak ojciec na rozpoczęty już sejm wyjedzie do Lublina, rzeczy się przeciągną, że gdyby ztamtąd na wyprawę jaką myślał się udać, gotówby nie wiedząc o niczym, mimo jój woli rozporządzić losem, a potem raz postanowionego zamiaru jużby nie cofnął; znała z téj strony charakter ojca. Pewnego poranku w wigilję tych sławnych łowów, zdawało się Basi, że oblicze ojca było weselsze, swobodniejsze niż kiedy — nadzieja rozrywki z użytkiem połączoną którą lubił, zdawała się dobrze go usposabiać. Basia przyniosła mu sama polewkę z piwa którą ówczesnym obyczajem na śniadanie pijał i przyrzadziła mu jak sądziła najlepiej, a kiedy posilać się zaczął, uczyniła mu pare zapytań, to o hetmanie Tarnowskim, to o pradziadku swoim Daszkewiczu. — Starosta rad jój odpowiadał; była to zwykła śniadanna godzina, którą wróciwszy już z konnej przejażdżki spędzał z żoną i córką, rozmawiając czy to o domowych, czy o publicznych sprawach, gdyż wiadomo, że dla kobiet polskich nie były one obojętnymi, że częstokroć w niebytności mężów czynny udział w nich

brały. Tego poranku umyślnie staroscina wyszła z pokoju żeby jój zostawić możność mówienia z ojcem. Basia wśród rozmowy przybierając ruchy nadskakującej służebnej, pytała ojca czyby jeszcze drugiej miarki polewki nie rozkazał sobie ofiarować a ona mu jak najlepiej przyrzadzi i natychmiast przyniesie. „Co to mi tak dziś *wasze* służysz? ja nie mam czém takich służebnych opłacić, coś to w tém jest!” — rzekł ojciec z uśmiechem.

„Oh jest! — zawołała Basia — ja całe życie [pragnę waszój miłości służyć, ja pragnę być *słuszką* — Najdroższy ojcze, ja niechęć żadnych tytułów, żadnych godności, bylebyś mi pozwolił być słuszką.” — Po rumieńcu Basi, przymuszonym jój uśmiechu, począł się domyślać starosta, ale jakby nie wierzył sobie, zerwał się z siedzenia i zawołał: „Co ty chcesz powiedzieć? co znaczą te żarty? Uznała Basia, że tu bez ogródki tłumaczyć się trzeba, że żart był niewczesny. Błada i drżąca padła ojcu do nóg mówiąc: „Przebaccie mi ojcze że bez zezwolenia waszego oddałam serce moje i śmiem prosić abyście mi dozwolili poślubić Jana.” — „Nigdy! — Krzyknął przerywając starosta — nie wiesz czego pragniesz płochę dziecko!” — to mówiąc odtrącił córkę i szybkim krokiem chodząc po komnacie coś mrucał do siebie — a biedna Basia nie wstając z ziemi, oparłszy głowę na stołku z którego powstał ojciec, w cichości płakać zaczęła. Zgniewnych słów które do siebie ojciec mówił, doszły tylko do uszu jój te wyrazy: *Kara Boska, nieszczęście!* i przejęły ją trwogą i zadziwieniem. Uważała ona że Jan nie posiadał łask ojca, ale nigdy nie sądziła żeby jój prośba tak wielkie spotkała trudności. Nigdy ojca nie widziała tak zagniewanego. Przestraszona, zakrywając sobie oczy obróciła się ku niemu a przysunawszy się na kolanach wyjąkała łkając — „Przebaccie mi ojcze! o ja nieszczęśliwa!”

Czy widok boleści córki którą kochał, czy jaka inna przyczyna zadziałała na starostę? niewiadomo. — Zamilkł, wolniej przechadzać się począł, a stanawszy w końcu przed klęczącą córką, rzekł do niej:

Słusznie że płaczesz i twarz zakrywasz — wstydzisz się winnaś takiego wyboru! młokos który nie tylko z nieprzyjacielem, ale nawet z niedźwiedziem nie spotykał się dotąd! lalka do niczego! i takiegoś wybrać śmiała? „On nie winien — cicho odpowiedziała że się jeszcze nie bił z nieprzyjacielem; bo nie miał okazji — „Milcz! Krzyknął znów rozdrażniony odpowiedzią córki — Nie miał okazji bić się z Tatarem lub innym? to niech jutro jedzie na niedźwiedzia! Doś o tém niekarna dziewczko! — zaniechać téj płochości ja każe.

Taki był rezultat rozmowy biednej Basi, która otarła oczy, stosownie do charakteru nienawykłego do utrapień i zawodów, powiedziała sobie: „Może to jeszcze da się zrobić — ja za kasztelanica nie pójdę i basta, a tymczasem nie trzeba martwić matki!“ I pobiegła do niej — Matka zaś słysząc podniesiony głos męża, pośpieszyła do pobliskiej komnaty, usłyszała ostatnie jego *ultimatum* i zalana łzami rzekła do wchodzącej córki: „Biedna Basiu moja! jakże sobie wyrzucam, że dałam otuchę waszym zamiarom nie porozumiawszy się z mężem! sądziłam, że kiedy nie tylko osobie Jana, ale urodzeniu, majątkowi i kolidgacyi nie zarzucić nie można... „Niech się wasza miłość uspokoi! Kochana moja mateńko! — ja jeszcze nie tracę nadziei — przerwała Basia. — „Oh! nie łudź się nadzieją moje dziecko! — nie znasz ojca — Jak co tak ostatecznie zapowie, to już nie ma rady. — Musi on mieć jakąś tajemną przyczynę o której my nie wiemy, bo na prawdę przekonałam się, że on bez przyczyny nie upiera się przy swoim, musi mieć słuszność — a ty Basiu staraj się twój smutek ukoić i Bogu ofiarować to pierwsze umartwienie twoje, a Bóg cię pocieszy. Nie wiem kogo ci za dozgonnego towarzysza przeznacza i choć dziś płaczesz, możesz być jeszcze szczęśliwą“. „Oh nie mówcie tak mateńko moja — mówiła płacząc — jak nie pójdę za Jana, to za nikogo nie pójdę.“ „A cóż zrobisz moje dziecko? — „Pójdę do klasztoru — odrzekła mocniej płacząc — „Basiu do klasztoru? co ty mówisz! z żalu wielkiego nie wiesz sama co mówisz — uspokój się tylko, oddaj się Bogu i Matce najświętszej.“ — Basia nie mogła być długo bez nadziei, bo jej to zbyt wielką sprawiło boleść. Otarła oczy, odgarnęła spadające na czoło włosy, podniosła piękną główkę, potrząsnęła nią jak wietrzyk kwiatkiem po burzy i rzekła: „Tak droga matko! modlić się będę i sądzę, że Bóg mnie wysłucha i dobrą wolą ku mojemu zamiarowi natychmiast rodzica mego.“ Starościna powstała, pocałowała córkę w czoło w milczeniu — a gdy ta odeszła, rzekła do siebie smutnie kręcąc głową: — „musi on mieć jakieś powody, o których my nie wiemy.“

Nie będziemy opisywali ruchu jaki był nazajutrz w Sokolnikach jako w dzień przeznaczony na rozpoczęcia łowów. Patrząc na tysiące ludzi z okolicznych wsi zebranych, na przewódców zbrojnych w oszczepy, rusznice, strzały i t. p. bronie, na ważność z jaką te tłumy w te i owe stanowiska wyprawiano, prędzejby to można było wziąć za wyprawę wojenną, jak za łowiecką zabawę; tem bardziej, że tak wielkie na grubego zwierza polowanie, bez straty obejść się

nie mogło: nie jeden wrócił kaleką, a nie jeden nie wrócił wcale — bo ogromne lasy czasem nadspodziewanie większą niż sądzono, niż wytropiono liczbę niedzwiedzi, turów i dzików, dostarczały. Gdy już wszyscy sąsiedzi i dworscy posiliwszy się gotowi byli, starosta ostatecznemu oddziałowi wydając rozporządzenia, rzekł do stojącej przy nim w stosownych strojach myśliwskich młodzieży: „Mamy oprócz innych już wytropionych, czterech wielkich niedzwiedzi, z których dwóch starych w przeszłych uszło nam łowach — macie tedy waszmoście pole do harców, bo i dzików, turów do 100 się znajdzie; któren więc z waszmościów niedzwiedzia chce położyć, to się uda na naznaczone stanowisko. Kasztelanica na zeszłych łowach ubił ogromnego białoszyję, powinien dziś innym tej satysfakcyi ustąpić; Łowczyc, Cześnikiewicz położyli bartników. — Dziś waszmość macie pierwszeństwo.“ To powiedziawszy skinął ręką na prawo, gdzie stał Jan i kilku innych — „Waszmość tedy — rzekł do Jana staniesz przy *Terepach* bo z tamtej kniei napędzą starego niedzwiedzia — a waszmość wedle oparzelisk, w miejscach kędy wam łowy wskażą.“ — Dalej starosta innych dworzan wyprawiał w podobny sposób na zasadzki, czy to na tury, czy na dziki, których legowiska i ślad, z powodu w wigilją prószącego śniegu, łatwo służba leśna wytropiła.

Ruszyło całe zgromadzenie, wysłuchawszy Mszy świętej którą sprowadzony z Sanoka ksiądz Korneli franciszkanin odprawił w kaplicy, do środka której, ponieważ się nie zmieścił lud zgromadzony, służba leśna i chłopci; przy otwartych tedy drzwiach, do koła poklekawszy na dużym dziedzińcu, na odgłos dzwonka tajemnice Mszy świętej zwiastującego, padali na kolana. — A ksiądz Korneli po skończonej ofierze wyszedłszy, wszystkich święconą wodą pokropił i przeżegnał.

Umówionem było, że nazajutrz; jeżeli ranna pogoda służyć będzie, kobiety za uwiadomieniem około południa, wyjechać miały na miejsce wskazane i bezpieczne, żeby się przypatrzeć łowom. Że istotnie u nas żony i córki brały udział w tej mężkiej sprawie, dowodów mamy wiele; a między innemi, wypadek królowej Bony, na którą gdy wypadł niedzwiedź wystraszony, o niebezpieczną przyprowadził ją chorobę. Również Helena żona Aleksandra przykrój doznała przygody: na altanę przyrządzoną dla niej w kniei, rzuciły się napędzone żubry, rozgruchotały altanę, gdzie wraz z królową był cały jej Fraucymer. — Starościna wraz z Basią. Lubo wiedziały o głośnym królowej Bony wypadku i wielu jemu podobnych — bez

obawy żadnej. rade wybierały się na obiecaną im łowiecką ochotę. Mimo to jednak Basi, gdy nadeszła godzina wyjazdu, serce mocniej biło, może z nadziei że spotka Jana, że on zapewne należeć będzie do tych, którzy dla nich wygodny *szalas* obmyślać będą; matkę zaś widoczny jakiś smutek opanował.

Gdy przeżegnawszy się, wsiadła w duże sanie z Basią i kilkoma pannami, ozwała się do nich: „Nie pierwszy to raz w życiu jadę na ulubioną starosty ochotę, zawsze i mnie bywało wesoło na niej, a dziś nie wiem czemu jakby strach, wstyd mówić, a prędzej jakbym Boże broń! czego złego spodziewać się tam miała.” — Wyjechawszy na dolinę gęstemi drzewami okoloną, znalazły nasze myśliwe panie przygotowany *szalas*, kilka kłód okrytych kocami, urządzonego stół z długich desek, mogący kilkadziesiąt pomieścić osób, na nim w nieładzie postawione kosze, które widać przyniesiono z wozów, ażeby jadłem jakie zwykle myśliwi na kilka dni z sobą brali, zastawić stół i razem z przybyłymi gośćmi połuźniować. Lecz jakież było zdziwienie starościny gdy, zamiast jak się spodziewała zastać kilku dworskich czekających na nią i służby dworskiej, znalazła tylko kilku wieśniaków z pałkami stojących dla straży *szalasu* żeby zwierz jaki nie napadł. — Zapytani ludzie gdzie, by była służba — odpowiedzieli, że jakieś nieszczęście stało się pomiędzy panami, więc wszyscy dowiedziawszy się, porzucili kosze i zamiast ustawiać pobiegli do oparzelisk; bo z tamtej kniei podobno wygnano na raz dwóch niedźwiedzi, samica rzuciła się na młodego jakiegoś pana, za pierś uchwyciwszy cisnęła nieżywego i dalej pobiegła; samiec także kogoś pochwycił, dość że tam straszne nieszczęście! — Można sobie wystawić co się działo z kobietami gdy te niedokładne wieści zebrały. — Starościna natychmiast wsiadła w sanie wraz z Basią i kazała wieść się do oparzelisk, ażeby się zbliżyć do teatru wydarzeń. Gdy podjechały bliżej kniei, większym żalem i trwogą przejęte zostały; spotkały bowiem jednego ze służby pędzącego na koniu, którego spostrzegłszy je zsiadł z konia, zbliżył się mówiąc: Że chyba Pan Bóg cudem swoim ich sprowadza właśnie wtedy, kiedy on spieszył do dworu po sanie, żeby pana i dwóch

młodych paniczów zabrać prędko dla ratunku, gdyż ich niedźwiedzica śmiertelnie pokaleczyła. — Biedna starościna na tę straszną wieść, załamawszy ręce wzniosłszy oczy w niebo, z kąd zwykła była czerpać siłę i ratunek, wraz z zapłakaną Basią udały się na miejsce nieszczęść. — Tam czekał ich okropny widok, jakiego dzisiejsze panie nie mają wyobrażenia. Na ziemi czarną posoką zbroczoną, najpierw ujrzały dwóch leżących ogromnych szarych niedźwiedzi — dalej psy, których nikt zwołać nie pomyślał, szarpały dogorywającego dzika i zdawa słychać było kwiczenie jego zmieszane ze szczekaniem psów — Tu i ówdzie grupy myśliwych rozmaitym zwierzyną drobniejszą obładowanych, stało w osłupieniu i czekało na zbliżający się jakby jakiegoś dziwnego rodzaju pogrzebowy orszak. — Na noszach na prędcie z gałęzi zrobionych niesiono nieszczęśliwych rannych. — Najpierw blade oblicze starosty i krwią zbroczone suknie uderzyły w oczy i serca biednej żony i córki. — Ta ostatnia, wlepiwszy oczy w ojca, nie śmiała już spojrzeć na inne mary — widziała tylko, że dwóch jeszcze za ojcem niosą rannych, ale tak się bała poznać w jednym z nich Jana, iż drżąca, jak śmierć blada, nie oderwała wzroku swego od starosty.

Nie będziemy się rozszerzali nad opisem żalu starościny i sprowadzeniem ranionych do Sokolnik, winniśmy tylko wyjaśnić wypadek — Wiadomo, że wtedy panowie, nawykli do niebezpiecznych z niedźwiedziami zapasów, zwykle chcieli mieć uciechę w pokonywaniu własnym ramieniem strasznego nieprzyjaciela, i dla tego pan stał na stanowisku z przybocznymi myśliwymi a wytropionego niedźwiedzia w kniei, wypędzono na oczekującego spotkania się z nim pana. — Zdarzyło się, że nadspodziewanie, niedźwiedzica zostawiwszy małe, wyszła z kniei — a posłyszawszy głosy ludzkie, przestraszona o dzieci, chciała się do nich wrócić — i tym sposobem właśnie kiedy napędzano na starostę wytropionego niedźwiedzia, którego on oszczepem powalił a inni dobijali — wpadła z tyłu niedźwiedzica i rykiem ginącego przeżona, rzuciła się na starostę, porywając go za ramię.

(D. n.)



## ZADANIA FILOZOFICZNE Z DZIEDZINY NAUK PRZYRODZONYCH.

Niejednokrotnie w długich godzinach samotności i ciszy, trawionych na rozczytywaniu się w źródłach nauk przyrodniczych, uderzony jakim rysem charakterystycznym, jakim wielkim prawem przyrody, jej pięknnością wieczno trwałą, bo z własnych odradzającą się popiołów, snulem wątek pogawędki, rozwiązywałem tę delikatną nić sympatycznego porozumienia, między nauką i naszymi czytelnikami. Wtedy to zaciekawiony silniej głównymi punktami przecięć duchowej strony ludzkości z materją, tą walką prowadzoną przez człowieka zawsze z równym zapalem, starałem się wypadki poszukiwań zebrać i związać w pracę, której ukazanie się może być na dobre, tém więcej, że wielkie zadania spirytualizmu, dotknięte już zostały, lubo z innego stanowiska, w naszym piśmiennictwie. Sądźmy, że usłużym dobrej sprawie, przedstawiając je z punktu, z jakiego zapatruje się filozofia nauk przyrodniczych. Starania nasze nie mało ułatwia zawzięta walka toczona w Niemczech przez kilkanaście lat ubiegłych — między nowoczesnymi zwolennikami materjalizmu w nauce, a stojącymi przy dawnym sztandarze podań spadkowych. — Powoli w walce tej przyjęli współudział przedstawiciele nawet najdrobniejszych odcieni wszystkich szkół filozoficznych, na jakie rozpadł się wielki szczep umnictwa w Germanii. Każdy z występujących szermierzy, wypowiedział mniej więcej jasno przekonanie tyczące się ważniejszych pytań metafizyki, już to odnośnie do przyrody i sił władających światem, już to pod względem ciała i ducha, pochodzenia i przyszłego losu człowieka. Początkowie walkę mąciły stronnicze namiętności; spierano się bez wyboru broni; gniew i szyderstwo, obwinienia o złą wolę i posądzenia o ograniczoność, sypały się ze wszech stron, głuszając niejednokrotnie zdrowe zasady rozsądku. — Powoli jednak wzburzenie uspokoiło się, krańcowi przeciwnicy zaczęli z swych przekonań czynić ustępstwa, a większość szukać punktu środkowego. Taki zwrot pozwala nam spokojniej spojrzeć na tę walkę, określić główne jej pytania i punkta, które na długo jeszcze, jeżeli nie na zawsze, pozostaną spornymi i którym przeznaczono nie raz jeszcze stanąć na porządku dziennym.

KSIĘGA ŚWIATA, Cz. I. R. X.

Przedmiot więc pogadanki naszej, lubo ściśle określony, z natury swojej nie jest rozwiązany, — za obowiązek więc poczytujemy sobie doprowadzić czytelników do punktu, na jakim stoi ta ważna sprawa; w zamian zaś czytelnicy poświęcą nam kilka chwil uwagi i słuchać będą z dobrą wolą i pobłażaniem, jakie się należą każdemu piszącemu w takim nowym i trudnym zakresie.

### I.

Starożytna cześć naturze. — Siły niewidzialne. — Duch i Dusza. — Demonologija. — Grecka i średniowieczna isychologia. — Czas odrodzenia się nauk przyrodzonych. — Niezmiennność praw natury. — Filozofia ośmnastego wieku — Realizm. — Kryzys jego. — Postępy nauk przyrodniczych. — Nowocześni materjaliści i ich przeciwnicy.

Po wszystkie czasy człowiek przeciwstawiał własne, wewnętrzne, nabyte wyobrażenia, nie tylko zewnętrznej naturze ale i swemu ciału, i zawsze mniej więcej ściśle odróżniał czynność badania, od wszystkich innych poznawanych zjawisk. — Było li to sprawiedliwie albo nie? spierać się nie będziem; pewnikiem jest jednak iż *naturę* uważał jako *zewnętrzną*. — Wieczysta walka z przyrodą stanowi historję ludzkości. — Zwycięstwa są epokami rozwoju. Łatwo pojmujemy że krwawy ten spor najtrudniejszym był dla pierwocin społeczeństwa. — Zjawiska przyrody trwożyły człowieka i rzadko je zwalczał, a częściej usuwał się przed niemi. — Uznając w sobie możność ruchu i poznawania, nierozdzielnie ze sposobnością przyjmowania wrażeń od zewnątrz, kochania i nienawidzenia, oszczędzania i karania, pomagania i odmawiania współuczucia, przenosił człowiek te przymioty na wszystko, co tylko w okrąg niego poruszało się i działało. — Dziś jeszcze dziecię daje nam przykład tój dążności do uosobiania przedmiotów zewnętrznych, a dzicy mieszkający wysp, jak również ludy nieuobyczajone i w wieku męzkim zachowują te pojęcia młodzieńcze. Wyobrażenia zmieniły się w wiarę: wszystko co nas otacza, sprzyja nam lub grozi, jest pożyteczne

lub szkodliwe — i tym sposobem człowiek tworami własnej fantazyi zaludniał świat zewnętrzny, nadając przedmiotom większe lub mniejsze znaczenie, stosownie do odebranego wrażenia.

Lecz między wieloma przedmiotami czci, szczególnie uderzyły umysł ludzki siły niewidzialne, otoczone nieprzebytą tajemnicą i nie ujęte w żadne formy. Słyszał człowiek świst, czuł siłę, patrzył jak chwieją się lasy, padają drzewa wyrwane z korzeniami, widział jak straszne bałwany huczą po powierzchni morza, lub rzek, — ujrzał z boleścią jak jego własny szalas został rozwalony, lecz nie widział *gdzie* i *kto* posiada tę olbrzymią siłę. Była to dla niego pierwsza próba odszukiwania i rozwiązywania tajemnicy; — kłaniając się niewidzialnemu wichrowi, czcił on ukryty duch przyrody.

Wyobrażeń nabywamy przez porównanie; z jednym zjawiskiem łączy się zawsze drugie. — Człowiek mordował zwierzęta na polowaniu, wroga w bitwie, a najlepszym dowodem iż uszło już życie, był brak oddychania. — Oddychanie ustało i życie, ruch, działanie, wola, przerwane były; w oddychaniu więc zaczął umysł ludzki szukać przyczyny siły ożywiającej i poruszającej. — Oddychanie stało się szczególną istotą, sposobną ożywić ciało swą obecnością i uczynić go martwym rozłąką. — Przez analogią jak na dzisiejsze czasy dość grubą, wniesiono iż duch jest przedmiotem jednorodnym z duchem, który burzą objawił się w przyrodzie. — Było to sanskrytskie *atma*, żydowskie *ruach*, greckie *pneuma*, rzymski *spiritus*, niemiecki *geist* i nasz słowiański *duch* albo *dusza*. Poetyczna fantazyja Wschodu, stworzyła teorię dusz przechodzących i wszechmogących duchów natury. — Aguramazdę, boga wszystko wiedzącego i Angramanijusa, pana źle myślącego, otaczały zbrojne legiony duchów. — Podobne istoty kupiły się około tronów innych bogów Azji. — Tysiąc aniołów przy nowym stanęło Izraelu. Walka o duszę zawrzała między niewidzialnymi wrogami u kolebki i mar pogrzebowych. — Demony, koboldy napełniły naturę. — Zaklinanie duchów; czarna magija — stały się dogmatami i obrządkami rozmaitych religij starego świata. — Tymczasem równocześnie z demonologią, w mniejszości ukształceńszych umysłów, zaczęła rozwijać się teoria duszy ludzkiej. — Greccy filozofowie usiłowali pogodzić teorię tę i utworzone przez siebie prawdy ze zjawiskami życia ludzkiego. — Te prawdy docieczone, zostały po raz pierwszy wypowiedziane filozoficznie w badaniach natury dwóch

gigantów greckiej myśli: w Platonie boskim i Arystotelesie. — Dla pierwszego dusza jest materyalną, niewidzialną, warunkującą *głównie* nasz byt a podlega jej materyalne ciało.

Wszystkie własności jakie jej przyznawał Platon, są odjemne i zarówno mogą się dotyczyć przedmiotu nieistniejącego. — Arystoteles utworzył dla tego odjemnego wyobrażenia zagadkową nazwę: *entelechia* pierwiastku, który wyraża się cielesnym działaniem, ale w naturze swój jest nieujęty.

Następcy Arystotelesa powtarzając niewolniczo jego słowa, nie wnikali w myśl jaką wyrażać miały. Badania nad zjawiskami życia, prowadziły jednakże inne szkoły greckie do więcej materyalnych określeń duszy. — Anaksimenes, Pytagoras, Empedokles, Ksenofont, Parmenidas, Heraklit, definiowali duszę jako powietrze, część eteryczną albo połączenie czterech elementów. — Demokryt i Epikurejczycy sądzili iż tworzą ją drobnuchne atomy. Nowoplatoniści i myśliciele pierwszych wieków chrześcijaństwa i średniowieczni filozofowie, trzymali się Arystotelesa, albo raczej tego, co wówczas *uważano* za mniemania genialnego męża starożytności. — Ażeby zastosować się do rozlicznych zjawisk ciała, przyjmowano kilka dusz w człowieku: żywiącą, czującą, poruszającą, kierującą i rozumującą; między niemi ostatniej tylko przyznawano nieśmiertelność. — Lecz o tej liczbie dusz nie było zgody powszechnej, jedni przyznawali większą a drudzy mniejszą ilość; nadto pierwsi pisarze chrześcijańscy, różnili się co do wyobrażeń o pochodzeniu duszy: niektórzy przyjmowali byt duszy przed narodzeniem się człowieka, inni przypuszczali jej tworzenie w chwili rodzenia się, a nakoniec byli i sądzący iż rozwijanie się dusz następuje z duszy Adama i na pojęcie to nie mały wywierał wpływ dogmat spadkowego grzechu. — Lecz z ugruntowaniem się średniowiecznego dogmatyzmu, coraz więcej wyłaniała się dwoistość wprowadzona w myśl ludzką nowymi poglądami. — Przyroda i człowiek, albo ściślej, zjawiska fizyczne i moralne, ukazują się jako dwa przeciwne światy, różne w samej istocie, na podobieństwo państwa złego i dobrego w religii Zoroastra.... Łatwo pojąć że ta droga badania natury prowadziła bezpośrednio do teorii człowieka, w którym pierwiastki nieśmiertelnego ducha i grzesznego ciała nie mogły być jedno-imienne, ale z natury przeciwne. — Hugo de St. Victor utworzył pojęcie materyalnej duszy, składającej się z ognia i powietrza, mieszczącej się w sercu, skąd przechodzi do mózgu, przynosząc nieśmiertelnej duszy wyobrażenia otrzy-

mane za pomocą pięciu zmysłów, — a zatem materiał do rozmyślań téj duchowój, nieujętej. — Pomysł ten przyjęty został przez Alberta Wielkiego i innych ówczesnych myślicieli, silnie się rozszerzył i tak wkorzenił w naukę, iż dziś nawet zmodyfikowany znacznie według nowszych pojęć filozoficznych, stanowi teorię zasady o duszy tak nazwanych *spiritualistów*. — Lecz ta dwoistość przeniesiona z teologii w głąb dociekań nauk przyrodniczych, zrodziła natychmiast zapytanie: jakim sposobem te dwa różne światy istnieją w sobie i wzajemnie na siebie oddziaływają? — i w jaki sposób następuje zupełna zgoda tych dwóch pierwiastków, w działaniach człowieka zdrowego?

Dla rozwiązania téj trudności scholastycy podawali najrozliczniejsze kombinacje: ześrodkowanie sił, fizyczne przyciąganie między duszą i ciałem i t. p.; inni zaś trzymali się mniemania Arystotelesa, przybliżając się to do podań Platona, to ku materialistycznemu pogładowi dwóch szkół starożytności.

Wszystkie teorie o których mówiliśmy; teoria duchów natury, stanowiąca u starożytnych religijne pojęcia, a w średnich wiekach demonologiją; rozliczne pojęcia duchowego pierwiastku człowieka wynikły z wyobrażenia o własnowoli przyrody. — Nastąpił czas inny, zaczął się wiek XVII. — Była to epoka wielkich ludzi w dziedzinie nauk przyrodniczych, a zarazem period kształtowania się filozofii nowszych czasów. — W 1543 r. umarł Kopernik, rzucając tęskno ostatnie spojrzenie na pierwszy egzemplarz nieśmiertelnego swojego dzieła. — Szybko następnie w ciągu jedenastu lat (od 1561 do 1572) urodził się Bacon, Koepler i Galileusz. — Ostatniego roku szesnastego stulecia nad stosem, na którym fanatyzm spalił Dziordana Bruono, zajaśniała nowa gwiazda w Konstelacji Łabędzia, jedna z tych <sup>1)</sup> jakie sama natura wysyła na posty wieszczące o nowym stanie rzeczy. — Gwiazda ta podczas jedenastoletniego pobytu na firmamencie, widziała wynalazek mikroskopu i teleskopu, trzech praw planetarnego ruchu Koeplera, widziała jak Galileusz opisywał udzielny świat satelitów towarzyszących Jowiszowi, faloowania Wenery, szczególną budowę Saturna i plamy na słońcu. — Ona świeciła nad Rzymem kiedy system Kopernika strącony został anatema; świeciła

<sup>1)</sup> Godném uwagi iż w ostatnich 2000 lat ze spostrzeżonych 21 nowych czasowo świecących gwiazd, trzy widziano w Europie w krótkim przeciągu 32 lat, między 1572 i 1604.

nad Anglią wtedy, kiedy Bacon Werulamski pisał większą część swych dzieł nieśmiertelnych, wiodących filozofiją na stanowisko doświadczenia i obserwacyi; nad Paryżem gdzie Hervey <sup>2)</sup> wykladał poraż pierwszy na swoich lekcjach o krwi obrocie. — W roku jój zjawienia się wyszło w Paryżu dzieło Gilberta przeczuwającego dzisiejszą fizykę. Przy jój świetle Galileusz i Huygenius położyli zasady mechaniki. — Zagasła ona w tym roku, w którym ojciec filozofii nowszych czasów, Deskart opuszczał służbę wojenną, ażeby swobodnie oddać się rozmyślaniom, jakich wypadkiem była znakomita jego „*Metoda*.” — Po jedenastu latach od tych wypadków, a w dwa po śmierci Koeplera, wielki Galileusz pod naciskiem tortur inkwizycyi, wypierał się wiary w system Kopernika i we własne doświadczenia <sup>3)</sup> lecz w tymże roku urodził się Spinoza i Locke. — Oślepy Galileusz mógł jeszcze słyszeć przed śmiercią pierwsze przekłady Deskarta <sup>4)</sup> a zmarł w tym roku, w którym urodził się wielki prawodawca niebios Newton i kiedy pierwszy z nowoczesnych materialistów Hobbese pisał swoje dzieło o *Państwie* (1672).

Tegoż roku co i Galileusz, umarł Kardynał Richelieu. — Jeżeli porównamy polityczną historię Europy, z lat stu ubiegających od śmierci Kopernika do zgonu Galileusza, z dziejami rozwoju myśli ludzkiej w tym periodzie, mimowolnie przychodzi nam zapytać: gdzie objawia się silniej duch ludzkości, czy w krwawych wojnach religijnych we Francyi? trzydziestoletniej walce w Niemczech? i smutnych kolejach nieustającego sporu między godłem chrześcijaństwa i półksiężycem na Wschodzie? W fanatyzmie Filipa II, Maryi Tudor, Księcia Alby? w zaborach i kaźniach Iwana Groźnego? alboliteż w po-

<sup>2)</sup> Hervey zaczął swój wykład w 1615 a wydrukował go dopiero w 1628 r.

<sup>3)</sup> Galileusz padł ofiarą zawiści. — Jeden z Jezuitów doniósł Urbanowi Papieżowi iż on to (papież) występuje pod nazwiskiem Simpliciusa w rozmowach napisanych przez Galileusza o systemie Kopernika. — Było to głównym powodem prześladowań znakomitego uczonego. — Uchwycono go w 1632 r. a wyparcie się jego datowane dnia 22 Czerwca 1633. — Pytanie czy Galileusz był męczony torturą? dotychczas nierozwiązane. — Biot po ściślejszej krytyce nie przypuszcza go, inni pisarze przyjmują bez najmniejszej wątpliwości.

<sup>4)</sup> Deskartowskie „*Essays philosophiques*” zjawily się w 1636 r. a *Meditationes* w 1641.

teżnej myśli Bakona, Koeplera, Galileusza, Bruno, Deskarta, w fantazij Schaekspira, Lope de Vegi, Rembrandta, Poussena, Palestriny?— Kogo przyszły historyk ludzkości postawi na pierwszym planie: czy tych, których nazwiska tylko cośmy wymienili, czy Henryka IV, Elżbietę, Gustawa-Adolfa, Richeliego?— Nazwili on ten peryod erą powstania, a przynajmniej odrodzenia się nauk przyrodniczych, czyli też okresem wojen religijnych i wzmożenia monarchicznej władzy? — Zapewne jedno i drugie stanowi charakterystykę epoki, lecz w pewnym cyklu historycznego przebiegu, dzieje odrzynają się od tła ogólnego jak pojedyncze charaktery, głównym cechującym je rysem, na który składają się niezwyte już części przeszłości, ale żywe nasiona przyszłości.

Lecz w początkach siedemnastego wieku, rzeczywiście rozpoczęła się nadzwyczaj ważna dla ludzkości rewolucya. — Nie była-to przemiana polityczna, lecz zawierała w sobie ziarno wszystkich, jakim w następstwie czasu uległa Europa, przewrotów. — Była to wojna w dziedzinie myśli zbyt lekko oceniona przez powierzchownych badaczy, gdyż zwycięstwa jej i przegrane, rozlegały się tylko w zaciszy gabinetów, w głębi niepokonanego ducha, w audytoryach uniwersyteckich. — Bohatérowie jej walczyli broszurami, foliantami dzieł, formułami matematycznymi, mikroskopijnymi badaniami. — Męczennicy téj walki nie byli to Montmorency, Egmonty, Anny Boleny; ale w tym trudzie wyrabiał się wielki historyczny pierwiastek: *Prawo Przyrody podlega stałym i niezmiennym prawom*. — Była to treść nie zawsze jasno wypowiedzianych prac Bakona, Galileusza, Koeplera, Deskarta, Newtona, Lejbnica. — A jednak tylko na téj zasadzie mogła się podnieść nauka przyrody. — Lecz reformatorowie umiejętności przyrodniczych nie mogli sobie jeszcze wyobrazić, jak wielkie korzyści osiągnie wiedza z przyznania niezmienności prawom natury.

Pierwszym skutkiem tych wyobrażeń było szybkie oczyszczenie nauki od błędnych podań magii, astrologii i t. d. które ściśle wiązały się z naukowemi badaniami XV i początku XVI wieku. Zapewne wiara w tajemne siły pozostała w społeczeństwie: gdzie nie gdzie w XVIII jeszcze stuleciu spalono czarownicę, a stukające duchy dotychczas prześladowają adeptów; lecz krąg wierzących zmniejsza się, a głos nauki o niezmienności praw przyrody silniej przeraża demonów naszych czasów, niż bojaźń dawniejszych egzorcyzmów. — „*W naturze nieistnieje własna wola.*” Jak tylko myśl ta ustaliła się, zniknęły natychmiast

wszystkie czarownice, czarnoksiężnicy, magowie.... i wszystkie istoty dla tego tylko żyjące, aby naruszać niezmiennność praw przyrody, dla swojej korzyści lub namiętności. Wszystkie tajemnicze ustępy i dawne ołtarze gdzie wyznawano i palono ofiary czci przyrodzie, mogły być wywrócone jednym zamachem, jak tylko godło niezmiennych praw natury, wzniosło się przed oczami społeczności, rozsiewając wokoło jasność i rzucając nowe światło w dziedzinie umiejętności przyrodniczych. — Nie długo trzeba było czekać na pracowników. — Anglia i Francya dała falangę myślicieli, z obszernem obczytaniem, z błyszczącym talentem i z gryzącym sarkazmem. Podania stawiano oko w oko z wypadkiem nauki; każdodziennie czytano ze śmiechem lub przestachem napaści na jakikolwiek punkt podania. — Napastnicy byli po większej części nie doścignięci. — Odrzucając drobnostki w tym samym czasie upewniali o swoim poszanowaniu dla pozostałego, czyniąc to niekiedy taktycznie, a po większej części szczerze. — Najznakomitsi bojownicy strzegli się starannie wypowiedzenia systematycznie swojej myśli; zwykle poprzestawano na krytyce zasad przeciwników, rzadko tylko i to urywkami wykładając własne mniemania o dodatniej stronie spornych pytań. — Taką to drogą postępowała większość Angielskich uczonych téj szkoły, — i na niej zaprawiał się Wolter, D'Alembert. — Lecz w końcu czując swoich przeciwników znurzonemi, postanowiła szkoła ta wypowiedzieć własne swoje ideje i pojęcia, utworzyć teorię przeciwną teorii nieprzyjaciół. — Najśmielszy ze wszystkich w tym względzie ukazał się nakoniec: „*System Natury*“ przypisywany Haulbachowi i Diderotowi. — Jednocześnie pojawiły się Helveciusa: „*O rozumie*“ (De l'ésprit) i „*o Człowieku*“ i bez porównania niższa talentem Lamestriego „*Człowiek machina*“ i tym podobne. — Naturalnie wolni jesteśmy od wyszczególniania olbrzymiej liczby najrozmaitszych broszur, powtarzających i komentujących słowa przewodników szkoły, częstokroć nie bez wstecznej myśli i uwalania się w błocie paszkwiłu. — Nic tak nie zaszkodziło materyalistom XVIII stulecia, jak ogon półmędrków, wyrosłych na niwie paryskiego społeczeństwa, którzy nie przebierali w środkach aby wypowiedzieć tylko swoje marzenia, i częstokroć szaleństwo i nienawiść osobistą. — Lecz ani Haulbacha ani Helveciusa nie mamy prawa podejrzewać w szczerości ich wiary w własne mniemania, albo też aby liczyli na skandal, lub inne nieprzystojne cele. — Osobistość tych

ludzi, tak jak przechowały ją pamiętniki, nie pozwala na podobne przypuszczenie, i nie mogą oni odpowiadać za to, co pisali ich naśladowcy.— Obaj ci mężowie szczerze wypowiedzieli swoje mniemania, oto i wszystko, co współczesne świadectwa dowodzą, że były to zdania ogólne i nader rozpowszechnione: „Wypowiedział on tajemnicę każdego” odzywa się Dudevant o Hehoniusie.

Poniżej będziemy jeszcze mieli sposobność spotkać się z zasadami pisarzy, o których mówimy, gdyż ich principia zgadzają się niemal zupełnie z nauką obecnych materyalistów.— Ogromna różnica między jednymi i drugimi, leży głównie w pojmowaniu teoretycznej i praktycznej filozofii w obu naukach. Dziś siejsi materyaliści mało dotykają społeczeństwa, polityki, obyczajów, unikają oni tego przedmiotu, albo też pragną dowieść, iż ich polityczno-obyczajowe wyobrażenia, zgadzają się z panującymi liberalnymi zasadami praktycznego życia.— Głównie polemika obecnych materyalistów, kieruje się w dziedzinę metafizyki, dotyka zasadniczych pojęć teoretycznych.— Autor „*Sily materyi*” jeden ze skrajnych materyalistów naszych czasów, wyłączył z ostatnich wydań swego dzieła za śmiałe teorie społeczne, początkowo wprowadzone przez niego w rozdziale o człowieku.— Zupełnie inny był pogląd rycerzy myślicieli w XVIII wieku.— Przed nimi jak twierdzą, wznosił się nieco nadpruchniały, pochylony, praktyczny systemat, opierający się na tysiącnych przywyknieniach, naszpikowany foliantami czczych cytatach, osnuty na prawach, które w skutku częstego użycia zatraciły swą treść.— Praktyczna ta strona uderza oko na pierwszym planie; metafizyka była tylko bronią; dla tego też każda metafizyka znajdowała zastosowanie: materyalizm Haulbacha, rozbiorowy deizm Woltera, deizm uczucia Roussa, deizm-obyczajowy Kanta.

Dla tego też we wszystkich ich pismach, na pierwszym planie stoi polemika przeciwko istniejącym prawdom, przeciwko danemu porządkowi spraw.— Pisarze ci pozostawili XIX wiekowi, rozbiór społecznego znaczenia tekstów; dla nich dostatecznym było szyderstwo, śmiech, rozerwanie na części.— Obyczajowa strona stała się dla nich głównym przedmiotem sporu, gdyż ona stanowiła godło na chorągwiach przeciwników.... i ją należało zgnieść naprzód.— Dowodzono *np.* że w człowieku nie panuje prócz egoizmu.— Prowadząc życie skromne i lubując się przedewszystkiem tworamiz rozumu i wyobraźni, przepowiadano zwycięstwo *uczuciom.*—

Dowódcy partii byli ostrożniejsi pod tym względem; starali się oddzielić obyczajowość od przekonań, ale i w nich pytania praktyczne stały na czele.— Przy całym sensualizmie Helveciusa, trudno nam powiedzieć, był-li on materyalistą, w znaczeniu w jakim przyjmujemy tę teorię?— Dla wielu jest to rzeczą wątpliwą, gdyż odrzuca on wpływ fizycznej połowy człowieka na jego moralne przymioty.— Najbliżsi będziem zdaje się prawdy, sądząc iż Helvecius nigdy nie pomyślał o tem na seryo.— Dla niego również jak i dla innych, główne pytanie leżało w obyczajowej stronie społeczności i niem on zajął się wyłącznie.— Polityczne zasady ściągnęły na prace jego anatema arcybiskupa Paryzkiego, Papieża i Sorbony, a następnie w skutku uchwały parlamentu spalenie dzieł nastąpiło publicznie.— Jan Rousso, początkowo rzucił się na pracę Helveciusa, lecz spamiętałomyślnie wstrzymał się, posłyszawszy o prześladowaniu autora.— Pozostał jako pamiątka egzemplarz dzieła „*O rozumie*” zapisany na marginesach własnoręcznymi uwagami Rousseau’ego. W „*Systemie natury*” autorowie zawarli to wszystko co krążyło rozrzucone w niezliczonej massie broszur, lecz chwiejność ich materyalizmu, wybitność politycznych idei, i napaście nawet na samego Fryderyka, zdawały się zbyt śmiałymi przedstawicielom chłodniejszej partii zdrowego rozumu. Nawet Wolter powstał przeciwko nim i ganił zbyt wybitną metafizykę i nierówny, to drwiący, to zbyt napuszony, styl w dwóch artykułach „*Dieu*” i „*Style*” swego filozoficznego Słownika.— D’Alembert równie ogłosił się na ich przeciwnika.— Fryderyk napisał usprawiedliwienie, które uczyniło samą książkę jeszcze sławniejszą i popularniejszą, tak iż stała się symbolem wiary skrajnej partii XVIII wieku.— Podanie zostało podkopane w swoich podstawach.— Wolterianie tryumfowali; lecz w tymże samym czasie plemie germańskie powstało w obronie moralnych pierwiastków bez związku z podaniami.— Wtedy to w arenie bojowej zjawił się przeciwnik sensualizmu — idealizm.— Począł się on pod piórem Deskarta i scharakteryzował a raczej wyraził w ścisłym systemacie Spinozy, w mytycznych budowach Malebranza, w żywych monadach Lejbnitza, w wszechmocności osobistego zbadania Fichtego, w natchnionej duszą przyrodzie Schelinga, w historycznym rozumie Hegla, w isychologicznych dociekaniach Szkoekich uczonych, w politycznym elektyzmie nowej Francuzkiej szkoły.— W teoriach tych, obyczajowe i polityczne wymagania społeczności zaspokojone

zostały, gdyż wiele z nich utworzono umyślnie w tym jedynie tylko celu. — Walka o sporne punkta praktycznej teorii, ciągnęła się między rozlicznymi szkołami, a nawet częstokroć wyznawcami wspólnych zasad metafizycznych, idealistami, a moralność sensualistów zdawała się najzupełniej zbyteczną dla nowego pokolenia myślicieli. — Wychodząc z jednego i tego samego punktu widzenia, można było nadawać zupełnie odmienną stosunkową wartość: osobie, rodzinie, społeczeństwu, powinności, prawu, naturalnym instynktom, cnocie i t. d. Walka przeciwko podaniu toczona z taką zawziętością przez Wolteryanistów, skoncentrowała się we wnętrzu idealizmu. — Scholastyczne *credo quo absurdum* nie wielu już liczyło adeptów, lecz starano się do niego wprowadzić loiczne pojęcia: rozumowanie. — Jedni w podaniu chcieli widzieć bezwarunkową prawdę... którą można było wydysputować rozumem; — drudzy widzieli w nim historyczną prawdę nie zawierającą żadnego filozoficznego pierwiastku; inni nakoniec uważali je za myśl, albo utwór swobodnej fantazyi. — Czyniąc zadość praktycznemu nastrojowi ducha, idealisci tryumfowali wszędzie, jedni i wyłącznie sami zajmowali wszystkie niemal stanowiska; oni jedni ciągnęli dalej walkę swych poprzedników z ostatkami politycznej i religijnej scholastyki, z teoryami które utraciły wszelkie znaczenie, a jednak nie chciały umrzeć. — We wszystkich szkołach idealistów bezustannie mówiono o duszy, o ludzkim i przyrodnym duchu, o Bogu, o idei, o rozumie, lubo nie przeszkadzało to przeciwnikom obwiniać jednych o panteizm, drugich o ateizm, a wszystkich o brak istotnej religii. — Rzeczywiście teorie te po większej części dążyły do zamiany chwiejących się podań zachodniej Europy, nowym systematem zbadanych dogmatów. W skutku rozlicznych postronnych okoliczności w wieku XIX, rządy Niemiec i Francyi widziały dla siebie korzyść w popieraniu tego kierunku a przynajmniej niektórych jego gałęzi. — Tak np. w Prussach Heglianizm, w Bawaryi Szylingizm, we Francyi nauka Cusina, długi czas znajdowały wsparcie w najwyższych sferach. — Lecz wypadki a z niemi ludzie i czasy zmieniły się: socjalizm ze wszystkimi niedogodnymi pytaniami zjawił się przed zdumionemi oczyma polityków Europy. — Rządy zwróciły się ku reakcyi. — Wypadki 1848 roku przeszły burzą po Europie, wykazując niestałość ludzi, niepełność teorii. — Większa część idealistów przerażała się widokiem dziwaczego sfinksa i nie mogła odpowiedzieć na tę zagadkę. — Wszystkie szkoły

filozoficzne straciły swą sławę i znaczenie. — Śród babilońskiej mieszaniny języków, nad głosami myślicieli nie pojmujących jeden drugiego, wznosiły się tylko szyderstwa Feurbacha i Proudona. — Wtedy to wystąpili nowocześni materyaliści z dumną dewizą, którą Biüchner położył na czele swój znamienitej księgi „*Dla dyalektyka świat jest pojęciem — dla dowcipnego widza — obrazem — dla nauczyciela snem, — tylko dla badacza, prawdą.*“

W samej rzeczy uczeni badacze rozwinęli szeroko gruntowną znajomość przyrody. — Od czasów Newtona, wszechświat przedstawił się człowiekowi jako jedno olbrzymie zadanie mechaniczne. — Analityczna mechanika, i analiza prawdopodobieństw, stały się matematycznymi zasadami nauki. Mechanika niebios powiązała w organiczną całość wszystkie odkrycia astronomii i dowiodła niezmienności jej praw. Jedna siła ciężenia związała wszystkie ciała wszechświata. — Słońce i gwiazdy utraciły swoją nieruchomości. — W oddalonych mgławanych obłoczkach, człowiek badał powstawanie światów z materji kosmicznej, i wyrachowywał miliardy lat tej przedczłowieczej historyi. — Matematyczne formuły wskazały uczonemu miejsce na niebie gdzie on powinien szukać nowój planety. — Fizyczne zjawiska zgrupowały się w nierozdzieloną całość, przechodząc jedno w drugie, zjawiając się naprzemian, to jako przyczyna, to jako skutek i popychając stopniowo człowieka ku jedności sił fizycznych. — Optyka i akustyka znalazły ścisłe matematyczne określenie. — Zagadkowe fenomena elektryczności i magnetyzmu, rozrosły się w zjawiska galwanizmu, elektrogalwanizmu, i magneto-elektryzmu, termo-elektryzmu, muskularnego magnetyzmu, diamagnetyzmu. — Ostatnie lata XVIII stulecia wydały ze skupienia różnorodnych, od mnóstwa fantastycznych hipotez, oczyszczonych spostrzeżeń, nową naukę, dumę, i ulubione dziecię umiejętności przyrodniczych naszego czasu — chemię. — Ona to tchnęła nowe życie w technologię, w równym stopniu z siłą pary i galwanizmu; ona zastosowała swoje prawa do rozwiązania tych pytań, których nie mogła dotknąć się fizyka mechaniczna. — Opierając się na stałych zasadach fizyki i chemii, uzbrojona skalpelem i mikroskopem, rosła fizjologia, opowiadając z pomocą porównawczej anatomii, zjawiska fizycznego życia człowieka wraz z fenomenami życia istot organicznych, łącząc życie początkowe ludzkie z roślinnem, rozkładając organizm na system tkanek, śledząc za rozwojem zarodku w embriologii; odkrywając, że w teratologii kalectwa nie są wyjąt-

kami, ale dowodem praw ogólnych, i dochodząc wszelkimi drogami do zjawisk karmienia się roślin; jako od fenomenu pierwszej działalności człowieka ku jednemu pierwiastkowi, zagadkowej granicy dwóch światów — żywej komórce; — Fiziologia stała się tem, czem już jest obecnie. — Razem z żywymi organizmami, powstał przed XIX wiekiem cały szereg dawno zaginionych istot, skielety których świadczą o historii kuli ziemskiej, o tajemniczych przewrotach, przemianach lub zjawiskach, o których nie mogą wspominać żadne pamiętniki ludzkie. — Geologia i paleontologia stanowią wspaniały wstęp, do ogólnej historii ziemi. — Nakoniec ściślejsze zbadanie systemu nerwowego w stanie zdrowia, słabości, spostrzeżenia nad idiotami, rozwinięcie doświadczeń i badań nad życiem i obyczajami zwierząt, zbliżyły isyologiczne zjawiska z fizyologicznymi; fizyczne zboczenia znalazł echo w moralnych słabościach i duchowe wstrząśnienia uznano za jedną z potężnych przyczyn wpływających na ciało. — Niemal zawsze zmiany w mózgu odpowiadały przemianom umysłowych przymiotów; w czynnościach zwierząt dostrzegł człowiek analogiję ze swemi, i surowi badacze nie zawsze mogą odpowiedzieć, kto stoi wyżej, pies czy kretyn w rzędzie istot obdarzonych wyobrażeniem? Na tych zasadach dźwignęli nowsi materialisci swoją budowę. — Przy zburzeniu wiary oświecanej podaniami, przy rozdrobnieniu i bezsilności metafizyk idealistów powtórzyli słowa swych poprzedników materialistów XVIII wieku: nauka dostatecznie jest silną, aby nie potrzebować żadnych podań..... żadnej metafizyki. — My nie tworzymy i nie wierzymy, ale umiemy i dowodzimy. — Nasi przeciwnicy w samym sporze dowodzą niewiomości, nie stawiając jednej nauki w związku z drugą, odwracają największe dobro XIX wieku — ściśłą naukę.

Zobaczmy, jest-li to prawdą? — Nie pierwszy to raz już występuje szkoła filozoficzna z pretensją przeciw-stawienia dobrowolnej fantazyi naukową budowę, głosząc, że w niej i to w niej jednej zawiera się prawda; dowodzi tego mniemania najściślej, a nie widzi częstokroć, że wszystkie te dowodzenia oparte są na hipotezach. — Nie tylko że ten wypadek miał miejsce w historycznym rozwoju ludzkich przekonań, ale powtarza się on za każdym razem, kiedy tylko jaka nowa metafizyczna teoria występuje w świecie. — Ostatnia zawsze starała się objąć całą społeczną wiedzę, i upewnić że w niej tylko się mieści nauka; lecz ludzkość szła naprzód, a jedna teoria upadała za drugą, służąc jako materiał dla

innych, albo też ulegając zmianie, stosownie do potrzeb i ducha czasu. — Dla tego też i dzisiaj nie możemy już wierzyć na słowo uczonym obrońcom nowej teorii i zmuszeni jesteśmy z uwagą zbadać ich główne zasady, w celu upewnienia się o ile w nich przyjmują udziału rzeczywiście ściśle nauki a ile dopełnia fantazyja.

Nie mamy możności, potrzeby a nawet obowiązku, przeglądać całej ogromnej literatury broszur i ksiąg najrozlicniejszych tytułów, jakie ukazały się traktując o tym przedmiocie; gdyż nie należałoby się ograniczać niemiecką z lat ostatnich, ale trzeba sięgnąćby i do Francyi, gdzie znajdujemy jej odgałęzienia w Montpelierskiej szkole witalistów, w szeregu broszur o rozumie u zwierząt, tudzież ślady i w Anglii w teoriach jedności sił fizycznych, nakoniec w uczonej literaturze geologicznej, fizyologii nerwów i antropologii. — Początkowo zasady materializmu ukazują się jako oderwane, naukowe dane, a autorowie prac zawierających podobne fakta, zdają się nie przeczuwać właściwego ich znaczenia. — Zajęci odkryciami i ściśłymi badaniami, najznakomitsi przedstawiciele dzisiejszej nauki, mimochodem kuja oręż dla teoryj coraz się więcej rozszerzającej. — Widzimy więc że nauka ta tworzy się częściowo, szczepi się bez walki w skutku słabości wszystkich innych teoryj, rozszerza się między zwolennikami nauk przyrodniczych (do tego czasu odnieść należy spór między Maleschotem i Liebigiem) a następnie przechodzi do ogółu i nagle obrońcy dawniej teoryj ujrzeni z przerażeniem że w oczach ich utworzyła się potężna szkoła. — Wtedy to rozpoczyna się walka o której wspomnieliśmy na wstępie naszej pracy, walka ta zawrzała w szczególności w Niemczech. — Wtedy to na Gietyńskim zebraniu naturalistów (18 Września 1857 r.) Rudolf Wagner zaprojektował uznanie swjej teoryj o obecności duszy i stworzeniu człowieka, pragnąc tym sposobem zadać stanowczy cios materializmowi. — Lecz w łono zgromadzenia wkraśli herezyja; wniosek został odrzucony; pomiędzy Wagnerem i Flottem rozpoczęła się walka na broszury. — Obrońcy podania rzucili się do boju w imię dawno drzemiącego godła. — Büchner wydał „*Sila i materyja*” dzieło które w ciągu kilku miesięcy doczekało się trzech wydań (obecnie podobno już liczy piąte). — Wtedy w arenę sporną weszli przedstawiciele wszystkich szkół filozoficznych, jakie pozostały po wielkich idealistach zeszłych czasów. — Schopenhauer, Tichlle młodszy, Appelt, Stelferich, Feuersztedt, Lotze, Carus z całą falangą naśladowców

wystąpili, aby już to w osobnych dziełach, już w rozlicznych artykułach podeprzeć chwiejne godło idealizmu, pobić obie strony, czyniąc jednej i drugiej niejaki ustępstwa. — Nawet sam Büchner w najnowszym dziele „Przyroda i Duch” z daleko mniejszą pewnością wypowiada swoje mniemania jak poprzednio. — W ostatnich czasach trudno by było zacytować chociaż jedną niemiecką pracę dotyczącą filozofii lub ogólnej fizjologii, któraby nie zawadziła pytania o materjalizm. — Od naukowego „Badania” Schlejdena do Kazań pastora swobodnego zgromadzenia Balcera, wszędzie sypią się odpowiedzi na obecną kwestję. — Wystąpienie tylu znakomitych pisarzy ze stron obu musiało wpłynąć jeżeli już nie na rozwiązanie, to przynajmniej na objaśnienie sporu. — Idealiści, mianowicie zaś tegocześni wyznawcy Kanta, dostarczyli największej korzyści ściśle określonymi znaczeniami wyrazów i wyrażeń, po za którymi spierali się naturaliści z obrońcami podania. —

Jedni i drudzy częstokroć odbiegali od przedmiotu, nie pilnując się ścisłej analizy wyrażeń i nie wiedząc, że nie zadanoby wielu bardzo pytań z historii ludzkiej myśli, gdyby ich autorowie poddali każde słowo swoich mniemań ścisłemu logicznemu rozbiorowi. — Szkoła idealistów jakkolwiek bardzo często sama odstępowała od tego prawidła zasadniczego, wszelako więcej nad inne panowała nad dyalektyką. — Dla tego też jej krytyczne napaści na materjalizm, zadawały bez porównania silniejsze ciosy, aniżeli podjazdy obrońców podania; naturalnie nie można tego powiedzieć o ich własnych teoriach. Dzięki temu sporowi, materjalizm wypowiedał się we wszystkich swoich zasadach, i teraz dopiero możemy obejrzeć jasno całą jego dodatnią i ujemną stronę. Jeżeli nie we wszystkich punktach przedstawiciele jego zgadzają się, to w każdym wypadku przedstawia zaokrągloną i związaną systematycznie całość.

(D. c. n.)

## BAKCZYSARAJ.

Jeszcze wielka, już pusta Girajów dziedzina!  
Zmiotane czołem baszów ganki i przedsienia,  
Sofy, trony potęgi, miłości schronienia,  
Przeskakuje szarańcza, obwija gadzina.

Skróś okien różnofarbnych powoju roślin,  
Wdzierając się na głuche ściany i sklepienia,  
Zajmuje dzieło ludzi w imię przyrodzenia,  
I pisze Baltazara głoskami „Ruina.”

W środku sali wycięte z marmuru naczynie,  
To fontanna harem, dotąd stoi cało,  
I perłowe łzy sącząc, woła przez pustynie:

Gdzież jesteś, o miłości, potęgo i chwało!  
Wy macie trwać na wieki, źródło szybko płynie:  
O hańbo! wyście przeszły, a źródło zostało.

A. MICKIEWICZ.

(Sonety Krymskie. Son. VI).

Bakczysaraj, niegdyś Girajów, chanów krymskich stolica, piękny przedstawia widok: leży w dolinie, ze wszech stron górami otoczonej; na dnie doliny płynie rzeczka Czuruk-Su, a po obu jej brzegach liczne się piętrzą zabudowania. Woda źródłana obfitą tryska strugą z fontan, w rozmaite basseny kamienne zdobnych. Domy są z kamienia, niskie, o dachach płaskich; ulice krzywe i wąskie. Założone na początku wieku XVI. miasto zachowało dotąd wszystkie prawie cechy, które świat muzułmanów, od chrześcijańskiego wybitnie odróżniają. Pozostałe potęgi dawniej szczytki: pałac, meczety, kąpiele, fontanny,

gdzie marmuru użyto podostatkiem, świadczą wymownie o stanie kwitnym Bakczysaraju, za panowania władców tatarskich. A czyliż inaczej być mogło? Stolica takich książąt potężnych, jakimi niegdyś chanowie krymscy byli, nie mogła do siebie nie zwabiać wszelkiego stanu ludzi, architektów, kupców, rzemieślników, kiedy wojny i na kraje sąsiedzkie napady, bogatych dla mieszkańców Tauryki dostarczały łupów.

Najbardziej ożywioną część Bakczysaraju stanowi główna ulica szeroka, przez całe miasto idąca: przedstawia niejako rodzaj bazaru ogromnego. Po obu jej stronach ciągną się warsztaty i sklepy rozmaite, w których się cały przemysł i handel mieszkańców skupia. Tu się snują od rana do wieczora ludzie wszelkiego stanu: przebiegają jeźdźcy, skrzypią arby (wozy dwukołowe); warsztaty w ciągłym zajęciu: tu kują wozy i konie, gremplują i zwijają bawełnę; robią siodła, pasy, sakiewki; toczą z jaśminu lub czereśni długie cybuchy; ówdzie sprzedają drogie tkaniny i różne przedmioty zbytkowe; obok sklepów kuźnia, dalej idą kucharze, pasztetnicy, cyrulicy, rzeźnicy; słowem ruch, gwar, życie w całej tu sile panuje. W pozostałych zaś Bakczysaraju dzielnicach żadnego prawie nie widać ruchu: sklepów nie ma;



niekiedy się tylko żeńskie przesuwają postacie, gdyż meżka ludność tatarska przepędza cały czas swój prawie na głównej miasta ulicy, czyli bazarze.

Bakczysaraj liczy obecnie 13,000 przeszło mieszkańców, wyznawców głównie religii Machometa; do składu ludności należą też Karaici, Ormianie i Grecy. Liczba fabryk i zakładów przemysłowych ograniczoną jest nadzwyczaj. Z tych na wzmiankę zasługują fabryki skór, na których się safijan wyrabia, oraz fabryki tytoniu tureckiego, mającego tu odbył ogromny. Handel ogranicza się na sprzedaży niezbędnych dla mieszkańców przedmiotów, które już to się na miejscu wyrabiają, już to z dalszych miejsc kraju i z zagranicy sprowadzają, i cały prawie w ręku Karaitów zostaje.

Największą Bakczysaraju ozdobę stanowi zamek czyli pałac władców krymskich, na wschodnim miasta końcu, po za rzeczką Czuru-Su położony. Jest to gmach ogromny, w stylu wschodnim, z kilku niejednostajnej wielkości zabudowań składający się. Niektóre z sal pałacowych w tym samym prawie dochowały się stanie, w jakim za czasów dawnych istniały. „Gdy opiszę ci jedną z sal wyższego piętra (powiada M., autor *Podróży po Krymie*), będziesz miał wyobrażenie o wszystkich innych, różniących się między sobą ozdobami ściennymi. Ponieważ facyata budowy nie jest w prostej, lecz w łamaniej linii, naprzód więc uważać trzeba, że główne sale z trzech stron są oświetlone, to jest że wszystkie ściany wydane wciąż mają okna. Innego wejścia do sali nie ma, oprócz drzwi bocznych, ukrytych między pilastrami w arabskim guście, między którymi wzdłuż ściany niemającej okien także ukryte szafy się znajdują. Nad niemi szkła (w lepszych salach) wewnątrz i zewnątrz do samego sufitu, między niemi postawione ozdoby z gipsatury, jako to: wazony z owocami, kwiatami, krzewami, z sztucznie wyrabianymi ptaszkami. Sufita, równie jak i ściana niemająca okien, stolarską robotą ozdobne; są to delikatne, wyłacane kratki na lakierowanym tle karmazynowego koloru: na podłodze widziałem znane mi hiszpańskie *estery*, to jest rohoże sztucznie plecione ze trzciny, rodzaj *genista* i używane zamiast dywana na podłogach ceglanych lub kamiennych. Ażeby promienie słoneczne nie wkradały się do pokoju ze trzech stron oświetlonego, użyte są oprócz okiennic szyby kolorowe z różnymi rysunkami, ulubiona rycerskich zamków ozdoba, bez wątpienia przez Europejczyków wzięta od wschodnich narodów, za czasów wypraw krzyżackich. Jeżeli dla uzupełnienia

tego opisu ogólnego przedstawiś sobie sofę, to jest poduszki, niegdyś z jedwabiu tkane, na podłodze do koła przy ścianach oprócz nie mającej okien leżące, będziesz miał wyobrażenie lepszych salonów pałacu.” W znanym poemacie: *Fontanna w Bakczysaraju* (przekład A. W. — Warszawa, 1834.) następny pałacu opis czytamy:

„Skoro północy opuściłem strony,  
Z niemi uczt natłok, miasta szumne gwary,  
Śpieszyłem chanów zwiedzić zamek stary,  
W cichych ustronia cieniach pograżony;  
I wśród pałacu milczących przechodów,  
Tam się błąkałem, gdzie plaga narodów  
Dziki tatarzyn wydawał biesiady,  
I ukończywszy okropne napady,  
Gdzie na próżniactwie trawił życie swoje,  
Nim go chęć łupieztw znów wiodła na boje.  
Jeszcze dotychczas technie dawna pieszczota  
W pustych pokojach, podwórzach, ogrodach;  
I ściany dotąd świecą się od złota,  
Sypią się perły w igrających wodach;  
Winogron łoży, róż miłośne kwiaty  
Dotąd się czepią u zrdzewiałej kraty,  
Za którą żony wzdychając po cichu,  
Licząc koronki, młodość swą pędziły.  
Widziałem chanów samotne mogiły,  
Ostatnie świadki władzy i przepychu.  
Nadgrobnie słupy, wznosząc swoje czoła,  
Wieńczone rzniętym zawojem z kamienia  
Zda się żem słyszał — losu przeznaczenia  
Wyraźną mową głosiły do koła:  
Gdzie wielkich duma? gdzie harem? gdzie chany?  
Śmierć swoje smutku roztoczyła cienia,  
Wszystko zagarnął już sen nieprzespany....  
Lecz krótkie były tych uczuć marzenia,  
Róż słodkie wonie, szumiące fontanny,  
Myśl pograżały w letarg zapomnienia,  
Rozum niechętnie ulegał wzruszeniu,  
I pośród gmachów w latającym cieniu  
Wdzięczna przedemną jaśniała dziewica!...”

Dziewicą tą, ładną chrześcijańką, miała być, podług podania ludowego, polka, Potocka Marya. Smętne tu ona wiodła dnie, pełne łez i goryczy: i zwiędział kwiat ten rajski w samym życia poranku. Kerim-Giraj wystawił dla niej pomnik grobowy: jest to śliczna budowa w guście wschodnim, okrągłą przyozdobioną kopułą; wznosi się na wzgórk, po lewej stronie tarasu górnego. Wieszczy litewski poświęcił

pamięci Potockiej jeden z najpiękniejszych sonetów swoich:

W kraju wiosny, pomiędzy rozkosznymi sady  
Uwiedłaś, młoda rózo! bo przeszłości chwile,  
Ulatując od ciebie jak złote motyle,  
Rzuciły w głębi serca pamiątek owady.

Tam na północ ku Polsce świecą gwiazd gromady:  
Dla czegoż na tej drodze błyszczą się ich tyle?  
Czy wzrok twój ognia pełen, nim zgasnął w mogile,  
Tam wiecznie lecąc, jasne powypalał ślady?

Polko! i ja dni skończę w samotnej żałobie;  
Tu niech mi garstkę ziemi dłoń przyjazna rzuci.  
Podróźni często przy twym rozmawiają grobie,

I mnie wtenczas dźwięk mowy rodzinnej ocuci;  
I wieszcz, samotną piosnkę dumając o tobie,  
Ujrzy bliską mogiłę, i dla mnie zanuci.

Na uboczu harem się znajduje, wyniosłym opasa-  
ny murem; za pomocą korytarza łączy się z pałacem.  
W haremie ślady przepychu dawnego pozostały: sale  
marmurowe, kąpiele, pokoje, w których niegdyś żo-  
ny chańskie mieszkały, pustkami stoją; gdzie nie-

gdzie tyko widać dawnych ozdób szczątki: w oknach  
kilka szyb kolorowych ocalało, na ścianach kilka  
żwierciadeł. Fontanny same dodają tylko wdzięku  
pewnego opuszczonemu rozkoszy wschodniej schro-  
nieniu. Po za meczetem leży cmentarz chanów i suł-  
tanów panującego domu Girajów: tu, pod białymi  
z marmuru nadgrobkami, w cieniu topoli, drzew mor-  
wowych i innych strefy południowej, spoczywają  
Mengli, jego ojciec, potęgi chaństwa krymskiego  
założyciel, i inni domu tego władzcy, i ich żony i  
krewni. W pobliskich dwóch budowach leżą trumny  
bez ładu zwalone; były one niegdyś bogato wybite;  
dziś sterczą nagie deski i szmaty całunu. Wspomnie-  
niom z *Podróży Krymskiej* A. Mickiewicza poświęcił  
XVIII. sonetów. Zakończymy ustępem z jednego p. n.  
*Mogily Haremu* (Sonet IX.):

O wy, róże edeńskie, u czystości stoku  
Odkwitnęły dni wasze pod wstydu liśćmi,  
Na wieki zatajone niewiernemu oku.

Teraz grób wasz spojrzenie cudzoziemca plami,  
Pozwalam mu — darujesz, o wielki proroku,  
On jeden z cudzoziemców poglądał ze łzami.

## O HANDLU MURZYNAMI PROWADZONEM PRZEZ CHRZEŚCIJAN.

Pierwszy wiadomy rozgłos o Murzynach czyli Ne-  
grach rozległ się na 9 wieków przed Chrystusem,  
wyszedł zaś od Bomera, który ich nazwał (Odyssea  
ks. I. w. 23) Etyopami, *Hithiopes*, to jest ludźmi  
z opalonemi od słońca do czarności obliczami: wy-  
raz bowiem grecki *aitho* znaczy opalam, *ops* zaś obli-  
cze. Jakoż przez Etyopią rozumiano dawniej wną-  
trze Afryki, to jest Nigrycyą czyli Sudan, a zabytek  
owej dawniej nazwy wnętrza Afryki trwa dotąd w na-  
zwie morza Etyopskiego, które stanowi największą  
zachodniej Afryki zatokę Gwinejską. *Euzebius*, oj-  
ciec dziejopisów Chrystusowego kościoła, wspomina  
pod rokiem 332 o Etyopach, dwojako dzielonych i  
najdalszych mieszkańcach, którzy składali pokłon i  
dary cesarzowi Konstantemu W., przez dwojakich  
zaś Etyopów trzeba zapewne rozumieć zachodniej i  
wschodniej Afryki Murzynów. A zatem przez 9 wie-  
ków przed Chrystusem a przez 18 po Chrystusie, ra-  
zem przez 27 wieków przynajmniej czekali Etyopo-  
wie czyli Murzyni na przysposobienie siebie do ciała  
rodu ludzkiego. To ich przysposobienie stało się

przez wyklęcie, potępienie, zabronienie i zniesienie  
handlu prowadzonego nimi przez Chrześcijan.

O Etyopach i nawet o całej Afryce zapomnieli  
Europejczycy od upadku państwa rzymskiego. Por-  
tugalczycy, po odniesionych nad Arabami w opano-  
wanym przez tych ostatnich Pirenejskim półwyspie  
zwycięztwach, zaczęli r. 1415 ścigać ich w Afryce,  
mianowicie pod *Ceotą*, na marokońskiej ziemi. Oni  
r. 1420 odkryli wyspy Maderę i Kanaryjskie, a roku  
1433 ożeglowali przylądek *Non*, tak go nazwawszy  
pierwszem ze słów *non plus ultra*, któremi chcieli  
wyrazić że ich morskie odkrycia już nie sięgną dalej  
za równoleżnik spólny owym wyspom i południowym  
krańcem marokańskiego kraju. Poznana wówczas  
i do żeglugi użyta własność magnesowej igielki, przy-  
szła im w pomoc o tyle, że spuszczać się ku połu-  
dniowi, trafili na przylądek *Bojador*, dalej na biały  
czyli *Blanco* i zielony czyli *Verdo*: jeszcze dalej na  
ujście rzeki św. Jana, a r. 1450 rzeki Senegalu. Na-  
stępnie r. 1493 Portugalczyk Balrtolomeo *Diaz* od-  
krył cypel południowej Afryki, nazwany od owego

czasu przyładkiem Dobrzej Nadziei, a jego ziomek *Vasco de Gama* ożegłował go r. 1497.

Te odkrycia stały się bodźcem dla Chrystofa *Kolumba* Genuńczyka do szukania nowej części ziemi czyli nowego świata. Jakoż znalazł go w latach 1492—1498. I oto straszliwa epoka od której Europejczycy zaczęli wyćpieć ludność tego nowego świata, Amerykę dziś nazywanego, i zarazem starego to jest Afryki, wyprowadzając Murzynów z tej ostatniej, których jako przedajnych niewolników, okrutne wyludnienie przez Hiszpanów podbójców swoich, chłoneła Ameryka. Tak powstał handel Murzynami prowadzony przez Chrześcijan.

Założycielami tego handlu są tedy Portugalczycy; oni też najdłużej, bo nawet po zniesieniu i ogłoszeniu go za zbrodniczy, nim się bawili i z niego sromotny ciągnęli zarobek. Naprzód roku 1440 powlekli do Lizbony Murzynów, schwytanych na wspomnianych wyżej, odkrytych przez siebie pobrażach. We dwa lata potem krewni okupili schwytanych innymi biedniejszymi niewolnikami murzynami i piaskiem złotym. Następnie Portugalczycy obwarowawszy się na odkrytej r. 1452 wyspie *Arguin*, przy ujściu wspomnianej dopiero wyspie *ś. Jana*, zaczęli przez wydawane z tamtąd nakazy pobierać od czarnych Afryki pokoleń złoto, kość słoniową i niewolników.

Jedno z tych pokoleń, osiedlone między rzekami Senegal i Gambią czyli w Senegambii, *Joloffami* zwane, zepchnęło swego królika z tronu. Zepchnięty królik, nazwiskiem *Bemoj*, zbiegł do Portugalczków na wyspę *Arguin* i zażądał od nich zbrojnej pomocy przeciw zrokoszonym swoim poddanym. Portugalczycy odesłali go do Lizbony, a tu król *Jan II* oświadczył mu że tylko pod warunkiem przyjęcia chrztu może odzyskać utracony swój tron. R. 1489 w miesiącu Listopadzie królik *Joloffów* był już chrześcijaninem, a król Portugalski mianował go grandem swego królestwa, jako takiemu nadał herby i odebrawszy od niego hołdowniczą przysięgę, wysłał go pod zasłoną odpowiedniej siły do utraconego państwa.

Przy ujściu Senegalu dokąd przybyła flota Portugalska, jej dowódzca *Pero-Vaz*, poróżniwszy się z królikiem *Joloffów*, pozbawił go życia. Wybuchłe po tym morderstwie morowe powietrze wyćpieło większą część siły zbrojnej Portugalskiej; flota jednak utrzymała swoje stanowisko przy ujściu Senegalu.

Podczas swojego w Lizbonie pobytu badany o stan i szczegóły wnętrza Afryki ten nieszczęśliwy król *Joloffów*, wymienił Portugalskiemu bogate kraje, które nazwał *Tungubuto* i *Guine*, które zapewne

były *Tumbuktu* i *Gwinea*, a za którymi, jak powiadał miał leżyć kraj podobniejszy do chrześcijańskiego niż do mahometańskiego lub pogańskiego. Ten kraj wzięli Portugalczycy, za ów od dawna zajmujący ciekawość Europejczyków którym miał władać tak nazywany książdz *Jan*. Odtąd tedy ten książdz *Jan* stał się gwiazdą przewodzącą dalszym Portugalczków odkryciom. Szukając jego królestwa zdobyli wiele geograficznych o Afryce wiadomości, lecz te zaległy w ich archywach i są dotąd tajemnicą dla oświatowej Europy. Nie trafiwszy do poszukiwanego królestwa, zaniechali swych zapędów do takiego celu wymierzonych, puścili się głębiej ku południowi i znaleźli *Gwineę* wyższą i niższą. Tym sposobem objawiła się Europejczykom zachodnia Afryka, z której oni przez trzy wieki potem wybierali skazane na niewolę, na handel, plemie murzyńskie.

Dziś wyższą *Gwineę* składają następujące pobraża — a) *Sierra Leona* z osadą wolnych Murzynów, założoną przez Anglików, liczącą około 18,000 mieszkańców, której miasto główne *Freetown*; b) pobraże *Pieprzowe* z osadą *Liberia* wolnych Murzynów, założoną przez północnych Amerykanów, której miasto główne *Monrovia* o ćwierć mili od ujścia rzeki *Mesuradość*; c) pobraże *kości słoniowych*; d) pobraże *złote*, gdzie oświata Murzynów zajaśniała obok sąsiedzkiego kraju srogich *Aszantów*, składających miljonową ludność; e) pobraże *niewolników*, gdzie między kilką udzielniemi krajami, odznacza się dospostyczne państwo *Dahomeh*. Co się tyczy niższej *Gwinei*, w której Portugalczycy mają największe posiadłości i najwięcej rozszerzyli religię chrześcijańską między Murzynami; ta, przerznięta rzeką *Zairą* czyli *Kongo*, składa się z krajów zwanych *Loango*, *Kongo*, *Angola*, *Matamba* i *Benguela*.

Jednym z głównych bodźców do odkrycia tych krajów stała się krążąca pod ówczas o dopiero wspomnianym księdzu *Janie* gawenda, która na następujących dziejowych czynach polega. Szukającemu rątku *Temudżynowi*, później w 12 i 13tym wieku przez swe rozboje i podboje rozstawionemu i *Czynkis-chanem* nazwanemu, podał był rękę zbawczą *Onk-chan*, władzca kraju *Kara-kataj* w *Mongolii* *Chińskiej* i ożenił go z córką swoją. Mimo to wszystko poróżnili się z czasem ci dwaj tatarscy naczelnicy, a *Temudżyn* w zaszłym między nimi boju znekał swego dobroczyńcę i teścia, blisko rzeki *Kerlon*, jednej z trzech składających się na wielką rzekę *Amur*, która wpada do *Ochockiego* morza. *Onk-chan*, uciekając po swój klęsce, wpadł w ręce naczeln-

ników innéj tatarskiéj hordy, którzy go zamordowali: i on to był owym zagadkowym królem i księdzem Janem. *Desguignes* w swojej *Histoire des Huns et des Tartares*.— Paris 1767 (T. IV. 19—20) pisze o tym nieszczęśliwym władcy tatarskim, że został chrześcianinem według zasad *Nestoriusa*, biskupa Konstantynopolskiego z wieku 5go, odosobniających dwie w Chrystusie naturę boską i ludzką, i że na chrzcie dostał imię *Jan*: dalej że go królem Janem nazywa Grzegorz *Abulfaradz*, kronikarz, Arab, biskup Alepu z 13go wieku i nakoniec że dawana mu nazwa księdza Jana ztąd zdaje się pochodzić ze Nestoryanie, jak wszystkim żądającym tego od nich, tak jemu nadali tytuł Mathieu księdza. Warto jeszcze wiedzieć: że *Mathieu Paris*, kronikarz angielski z 13go wieku umieszczonemi w swem dziele listami, jakoby tego monarszego księdza Jana, dał powód do rozgłosu mnogich a zwodniczych o nim powieści.

Ten monarcha ksiądz *Jan*, i ów odkrywca Ameryki Chrystof Kolumb, który w ostatniem swéj woli rozporządzeniu kazał się pogrzebać na wyspie *San-Domingo*, w tych samych kajdanach, w które za życia okuto go spotwarzonego, i jeszcze Bartolomeo *Las-Casas*, najnotliwszy z Hiszpanów, który towarzysząc Kolumbowi do nowego świata, pierwszy tam zasiał z godnością apostolską ziarno zbawczéj religii Chrystusa; czy to ci trzej i im podobni ludzie są winowajcami wytępienia ludności Amerykańskiéj, a skazania afrykańskiéj na wiekuistą niewolę? Nikt o tę zbrodnię nie obwini pierwszego z tych trzech ludzi i wypada tylko rozpoznać sprawę dwóch ostatnich.

Kolumb podczas trzeciéj swojej z roku 1498 do Ameryki wyprawy, trafiwszy na zaburzenie w założonéj przez siebie w San-Domingo osadzie, chwycił się zaradczych środków, których jego sumienie lub duch chrześcijański nie mogły pochwalić: to jest, zapobiegając brakowi robotników, podzielił ową osadę na okręgi a w tych wydał mieszkańców na samowolność ich panów, i tak dał początek owéj w nowym świecie niewoli, która aż do dni naszych przetrwała. Jeżeli ten zarzut, wzięty na uwagę ze wzniosłemi duszy jego przymiotami, upada; tedy mylnieby rozumiano że Kolumb siebie, jako założyciela niewoli Murzynów, skazał na te same po śmierci swojej kajdany, na które za życia był niesprawiedliwie skazany.

Niewoli Murzynów ogólnie, a prowadzonego nim handlu szczególnie są rzeczywistymi założycielami Portugalczycy. Temu handlowi, gdy go od nich przejęli Hiszpanie, na próżno sprzeciwiał się poznany wyżej kardynał *Ximenes*. Z osad, które w Afryce

mieli, przywieźli Portugalczycy roku 1503 po raz pierwszy Murzynów na sprzedaż do posiadłości które Hiszpanie mieli w Ameryce. Roku 1516 Bartolomeo *Las-Casas* Dominikan, powróciwszy z Ameryki, wymógł na Karolu V, wstępującym podówczas na opróżniony po Ferdynandzie katolickim tron Hiszpański, nakazy łagodnego obchodzenia się z mieszkańcami nowego świata. Ale te nakazy nie mogły wziąć skutku dla tego samego że Karol V w rok potem uprawnił handel prowadzony afrykańską czarną ludnością, dawszy pozwolenie swojemu dworzaninowi flamandczykowi *Lebresa* wywieźć co rok z Afryki 4000 Murzynów na sprzedaż do osad które Hiszpanie mieli w Ameryce. *Lebresa* sprzedał to pozwolenie ziomkom odkrywcy Ameryki, Genuéńczykom, a ci, sprzecznie z republikanckim a jeszcze sprzeczniej z chrześcijańskim duchem, ciągnęli z niego szpetny zarobek. Po Hiszpanii, Anglia za panowania królowy *Elżbiety* (1558—1603), a Francya za panowania *Ludwika XIII* (1610—1643) zaczęła prowadzić handel Murzynami. Każdy Murzyn przedany do Ameryki, które-mukolwiek z panujących tam mocarstw europejskich, stawał się tam na całe życie niewolnikiem.— Przeróżający tego zgorszenia przykład dali Hiszpanie, ubarwiwszy go zwodniczym pozorem: że łatwiej niewolników niż wolnych, nawrócić do chrześcijaństwa. Tym właśnie pozorem skłoniono niedołęznego *Ludwika XIII* do podpisania postanowienia, przez które Murzyni francuzkich posiadłości w Ameryce byli obrócenii na niewolników. — „*Louis XIII* se fit une peine extrême de la loi qui rendait esclaves les Nègres de ses colonies. Mais quand on lui mit dans l'esprit que c'était la voie la plus sure pour les convertir; il y consentit“ — mówi *Montesquieu* *Esprit des loix*, L. XV. Ch. 4. to jest: *Ludwik XIII* był bardzo przeciwny postanowieniu które obracało Murzynów osad jego na niewolników: ale gdy mu wystawiono że to jedyny pośrodek nawrócenia ich do wiary chrześcijańskiéj, zezwolił na nie. — Książdz *Rayual* w swoim dziele *Histoire des etablissements dans les deux Indes*, Geneve 1781. T. IV. 270, nad prawdziwem źródłem handlu prowadzonego niewolnikami rozwodzi się następującemi, tu spolszczonemi słowy: „Niegdy niesyta chciwość złota dała początek najszpetniejszemu z handlów, handlowi niewolnikami. Ludzie lubią rozprawiać o zbrodniach przeciw Bogu i człowieczeństwu, a do ich poczetu nie policzają téj ostatniéj najokropniejszój. Zhańbiła się nią większa część europejskich narodów. Podła chciwość zysku stłumiła w nich uczucia, jakie czło-

wiek ma względem człowieka. Ale bez tych rąk niewolniczych, powiadają nam ci chciwcy, kraje, których nabycie tak drogo kosztowało, leżałyby odłogiem. Przebóg! niech leżą odłogiem, jeżeli dla nadania im wartości trzeba do stanu bydłęcia przywozić i tego człowieka który kupuje, i tego który jest przedawany.”

Lubo handel prowadzony Murzynami i ich niewola, zbrodnią obrażonego człowieczeństwa, w ostatnich, które z kolei poznamy, traktatach mocarstw europejskiego półwyspu, a wytepienie ludności nowego świata ciąży głównie na Hiszpanach; znaleźli się jednak między tymi ostatnimi ludzie, którzy się wysilali na odwrócenie od swego kraju tak wielkiej hańby, a od Afrykańskich i Amerykańskich pokoleń najzgubniejszej z klęski.—Poczetowi tych wybranych ludzi przyświeca spomniony wyżej Bartolomeo *Las-Casas*. On, opowiadając pogańszczyźnie w San-Domingo i Meksyku zbawczą Ewangelię, przypominał zarazem władzcom europejskim tych krain zaleconą przez Chrystusa po miłości Boga miłość bliźniego. Nie skutkowały na władzch te jego przypomnienia i tem samem mało skutkowało jego apostolskie poświęcenie się sprawie zbawienia krajowców: za czem poszło że Hiszpanie okrutnie wytepiłi całe pokolenia nienawróconych. Jan Ginez *de Sepulveda*, kanonik z Salamanki, historyograf Karola V, a jeden z nauczycieli Filipa IIgo usprawiedliwiał wytepienieli tą w książce swojej p. t. *Democrates II seu de justis belli causis* rozbieraną zasadą że ze wzbraniającymi się przyjąć religiję chrześcijańską nie inaczej wypadało postąpić. Gdy Karol V nie pozwolił ogłosić w Hiszpanii pisma takiej treści; tedy je ogłoszono w Rzymie i rozrzucono po Hiszpanii. I przeto mogło się stać, tak jak podają dzieje, że w 10 latach wytepieno 15 milionów ludności amerykańsko-pogańskiej. Odpowiadając na owo pismo Sepulvedy Bartłomiej *Las-Casas*, wydał na świat w Seville roku 1552 książkę p. t. *Brevissima relation de la destruction de las Indicas* in 4<sup>o</sup>, którą z hiszpańskiego wytłómaczono na kilka innych języków, mianowicie w Frankfurcie nad Menem r. 1598 na łaciński. Amerykanie czyli zachodni Indyanie, do których jako ich Apostoł przeprowadził się 12 razy z Europy *Las-Casas*, mianowany w *Chiapa* mieście Meksykańskiem, czcili go i kochali jak opiekuńcze bóstwo. Od roku 1551, w którym powrócił był do Hiszpanii, i gdzie r. 1566 zakończył życie w Madrycie, już go więcej nie oglądali wśród siebie nawróceni przez niego Meksykanie, Antoni *Herrera*, historyograf Filipa II, spomina

w swojej *Historii Indyj zachodnich*, że poświęcenie się *Las-Casasa* sprawie zbawienia Indyan zachodnich dało powód do posądzenia go o poddanie myśli Hiszpanom aby mieszkańców nowego świata w ich pracach po osadach zastąpili Murzynami, z kąd miał wyniknąć prowadzony tymi nieszczęśliwymi handel. Biskup francuzki w *Blois* Henryk *Gregoire*, autor kilku szacownych pism, mianowicie książki z roku 1808 p. t. *De la litterature des Negres*, i innéj p. t. *De la traite et de pesclavage des Noirs et des Blancs* z r. 1815, ową na *Las-Casasa* rzuconą potwarz zbił w rozprawie p. t. *Apologie de Barthelemy Las-Casas* umieszczonej w 4tym tomie *des mémoires de la classe des Sciences morales et politiques de Institut*.

Zwróćmy teraz uwagę na niektóre szczegóły prowadzonego Murzynami handlu.

Słowo hiszpańskie *Assiento* oznacza pozwolenie udzielone przez króla hiszpańskiego innym państwom na kilkoletnią dostawę Murzynów do osad hiszpańskich Ameryki, za pewną do skarbu hiszpańskiego opłatą. Od czasu jak Ludwik XIII podpisał niewolę Murzynów w osadach francuzkich Ameryki; Francuzi roku 1637 po raz pierwszy, roku 1697 po drugi zrobili morską wycieczkę do okolic ujścia Senegalu, gdzie od królików murzyńskich byli dobrze przyjęci. Tak powstała ich spółka morska, zwana Gwinejską, jej zaś celem było frymarczenie Murzynami.

Roku 1696 Portugalczycy otrzymali od Karola II króla hiszpańskiego *Assiento* (pozwolenie) za dostarczenie w 5 latach do osad hiszpańskich Ameryki 25,000 Murzynów, na co wyliczono im z góry dwie trzecie umowionej za tę dostawę summy. Karol II, ostatni potomek Karola I, króla hiszpańskiego, czyli Karola V, Cesarza niemieckiego, umarł w Madrycie dnia 1 listopada r. 1700 naznaczywszy swoim następcą na tron hiszpański Filipa, wnuka Ludwika XIV króla francuzkiego. Ten Filip z przydomkiem piąty, wstąpiwszy na tak przeznaczony sobie tron, przelał *Assienty*, po wyjściu spomnionych pięciu lat Portugalczykowi, na spółkę Gwinejską francuzką, która obowiązała się dostarczać od roku 1702 przez lat 10 do osad hiszpańskich Ameryki co rok 4,800 Murzynów. Te 10 lat były okresem krwawej i zaciętej wojny toczonéj między sobą przez zachodnie europejskie mocarstwa z okoliczności przyjęcia przez spomnionego Filipa v. korony hiszpańskiej, o którą dobijali się inni panujący książęta. Roku 1711 w Utrechcie doszły między Francją i Anglią przedugodne warunki pokoju, mianowicie, że Gibraltar zostanie w ręku Anglików którzy zdobli tę twierdzę i że

ci otrzymają od króla hiszpańskiego *Assiento* na lat 30 z temi samemi korzyściami jakie po ów czas mieli sobie zapewnione Francuzi. Do poczetu tych korzyści należało że spółka assientowa angielska mogła co rok wyprawić do osad hiszpańskich Ameryki okręt 500 beczkowy z wszelkiemi towarami i te sprzedać tam na rocznym targu. Zatwierdzono owe dwa przed-ugodne warunki w zawartym ostatecznie Utrechtskim dnia 13 lipca r. 1713 pokoju z tym dokładem że przyznane Anglii na lat 30 assiento ma być liczone od dnia 1 maja r. 1713.

Następnie r. 1716 dnia 15 maja w Madrycie sta-nęła między Angliją i Hiszpaniją umowa wyjaśniająca artykuł pokoju Utrechtskiego tyczący się assiento. Mocą téj umowy pozwolił Filip V, król hiszpański spółce angielskiej i zbywać w Peru lub Meksyku towary którychby nie zbyła w Afryce zakupowanych tam niemi Murzynów: 2. Obiecał naznaczyć stały dzień targowy na sprzedaż Murzynów i o tem spomnioną spółkę uwiadomić przez swego posła przy dworze Londyńskim. — W końcu opiewa umowa ile spółka jest dłużna królowi hiszpańskiemu; bez względu za stratę jaką poniosła przedawszy za bezcen osadom angielskim Murzynów sprowadzonych przez nią dla hiszpańskich, a którzy dla tego ze skarbu hiszpańskiego nie byli jój zapłaćeni, że ich nie dostawiła na czas naznaczony.

Takie umowy o dostawę Murzynów, podobne do dzisiejszych umów o dostawę koni lub wołów, pociągnęły za sobą nadużycia i przemykania, które r. 1739 stały się powodem do wojny między Angliją i Hiszpanją. Téj wojnie położył koniec zawarty w Akwisgranie (Aix la chapelle) roku 1748 dnia 18 października pokój. Artykuł 16 tego pokoju opiewa, że—ugoda assientowa, to jest pozwalająca handlu Murzynami, podpisana w Madrycie dnia 26 marca r. 1713 odnawiać się dla spółki angielskiej na lat 4 przez które była przerwana wojna.

Ten artykuł pokoju Akwisgrańskiego zastąpiono potem umową zawartą w Madrycie dnia 5 października roku 1750, przez którą spółka Angielska zrzekła się prowadzenia handlu Murzynami dozwolonego jój mocą tak zwanego Assiento, za to zaś skarb hiszpański miał jój wypłacić 100,000 funtów sterlingów.

A zatem przed sto laty umowy o handel i niewolę Murzynów były rokowane i zawierane tak jawnie i czelnie jak te któremi w ostatnich czasach obudze-

nia ducha chrześcijańskiego zniosły ten handel europejskie mocarstwa, a z ludzkości chrześcijańskiej zdjęły klątwę, zasłużoną takim przez trzy wieki zarobkowaniem, za zbrodnicze w ostatnich traktatach ogłoszonym.

Po roku 1750 dopiero spomnionym, przejął po spółce angielskiej dostawę Murzynów do osad jeden z kupców londyńskich, który miał swój zakład w *Buenos-Ayres*, mieście południowej Ameryki leżącym nad rzeką Srebrną czy *Rio de la plata*, podówczas hiszpańskim, gdzie na tym handlu stracił całe swoje mienie. Taka sama kolej byłaby przyszła na zawiązaną w Madrycie r. 1765 w celu dostarczania murzynów spółkę kilku domów handlowych hiszpańskich, francuzkich i genueńskich, gdyby upadającej nie podźwignął hiszpański minister Skarbu złagodźszy r. 1773 zbyt ciężkie warunki byłego szpetnej pamięci Assiento.

Od nastania aż do skonania handlu prowadzonego Murzynami, głównie podzegli do niego europejczycy murzyńscy królikowie na sprzedaż bowiem ich poddanych polegał ich dochód. Gdy więc przy schyłku 18-wieku odezwały się w Anglii głosy przeciw z grozie takiego zarobkowania i zażądały jego zniesienia; wówczas przerażony temi głosami królik kraju *Dahome*, leżącego na pobrzeżu niewolników wyższej Gwine, i wyprawił do Lisbony poselstwo, złożone ze swego brata i syna, w celu przewidzenia z Portugalją układów o utrzymanie prowadzonego Murzynami handlu. Ten królik otaczał się strażą 80 żołnierzy i tyluż żon. Do jego nadwornych rozrywek należały śmiertelne ofiary na które ten żadnym hamulcem nie wstrzymany afrykański despota skazywał swoich niewolników. Jego też pałac, w stolicy zwanej *Abomy*, był przystrojony ludzkimi czaszkami. Takimi srogościami czarnych władców Afryki byłoby usprawiedliwione odwieczne ich poddanych wywożone przez chrześcijan prowadzone, gdyby ci ostatni po chrześcijańsku podejmowali wywożonych, a jakkolwiek przeraża owa afrykańsko-monarsza srogość, jest ona mniejszym niż europejskich chrześcijańskich frymarchników grzechem i to tamtym nie zabrania, tym zabrania religja tak krzyczącej obrazy człowieczeństwa: oprócz tego fatysze takięj afrykańskim królikom względem swoich poddanych srogości podobnie pozwalają i jak Talmut pozwala a nawet zaleca żydowskiemu plemieniu żyć nienawistną wielkiej reszty rodu ludzkiego.

## O ZNESIENIU PROWADZONEGO PRZEZ CHRZEŚCJAN HANDLU MURZYNAMI.

Na brzegach Gwinei, zapuszczając się o 40 mil w głąbią tego afrykańskiego kraju bytowały targi na kupno i sprzedaż Murzynów dokonywane więcej za cacka i wyroby europejskie niż za pieniądze. Liczba Murzynów wywiezionych z tych gwinejskich targowisk do Ameryki wyniosła 40 milionów przynajmniej, w trzech wiekowym okresie. Podczas ich przeprawy, zwykle okutych w kajdany i pokotem zapychających okrętowe ciemnice, grubą od sta wybierała lichwę śmierć. Rozpacz przywodziła nieszczęśliwych do umorzania się głodem, a gdy biciem zmuszono ich do przyjęcia pokarmu; wynaleźli sposób zadawania sobie śmierci przez połykanie języka. Targowiska amerykańskie na dowiezionych bytowały w *Barbados* jednej z małych antylskich wysp; w *Bahia* mieście Brazylii; w *hawannie* mieście wyspy Kuba. Tam cena jednego Murzyna była od 80 do 85 funtów sterlingów. Kupionym i najwięcej do plantacyi kawy cukru obracany, Murzynom nabywcy wypalali rozpalonem żelazem piętno na ciele, aby nie było niepewności czyją oni są własnością.

Narodowi angielskiemu który, jako głównie w nowym i starym świecie handlujący Murzynami, najwięcej ze swego łona wydawał świadków i sprawców scen tyle przerażających tego frymarku, należy się chwala, iż ze siebie i z innych chrześcijańskich ludów zmazał odwieczną takiego zarobkowania hańbę.

W drugiej połowie 17go wieku dwaj Anglicy Jerzy *Fox*, i *William Penn*, mianowicie ten ostatni, założyciele tak zwanych Kwaków wyznania, celującego zacnością chrześcijańskiego charakteru obok niedających się usprawiedliwić dziwactw, pierwsi zasieli na ziemi Ameryki północnej, czyli dzisiejszych stanów zjednoczonych, ziarno ewangelickiego ducha hołdującego prawom człowieczeństwa bez względu na białość lub czarność ludzkiej lepianki. Spółwierzcy *Foxa* i *Penna* znieśli w sto lat potem, to jest roku 1751 handel czarnym Afrykańskim ludem prowadzony. Z innej strony wywarcie, za pośrednictwem oświaty, zbawczego na ten lud w jego rodzinnej ziemi wpływu, należało do głównych celów Afrykańskiego towarzystwa, *African Association*, które od roku 1788 w Londynie zaczęło działać; i Afrykańskiego zakładu, *African Institution*, tamże czynne-

go od roku 1807. Ten ostatni zakład głównie dążył do zniesienia handlu prowadzonego Murzynami. Ale zniesienie tego handlu było wyłącznym celem towarzystwa które roku 1796 założył żyjący od r. 1734 do 1813 Anglik *Granville Sharp*. On temu celowi poświęcił całe życie swoje: on w szczególności skłonił roku 1772 sądy wielkiej Brytanii do przyjęcia zasady, że każdy niewolnik stawał się wolny na ziemi Angielskiej: za jego jeszcze przewodem wniesiono pierwszą r. 1783 do parlamentu prośbę o zniesienie prowadzonego Murzynami handlu.

Ze stanowiska zasługi tego rodzaju uważany przewyższa *Granville'a Sharp'a* jego rodak *Tomasz Clarkson*. Ten wszelkimi możliwymi wysileniami, nie raz dla tego naraziwszy się na utratę życia, chciał okupić zniesienie prowadzonego Murzynami handlu. Aby zebrać i zgromadzić wiadomości odnoszące się do tego handlu, zwykle przerażające swą okropnością, objechał kilkakrotnie Anglię i Francję i ożegłował wiele mórz. Za jego głównie staraniem wzięli na siebie sprawę zbawienia Murzynów *William Wilberforce* członek parlamentu od r. 1780, najgorliwszy tej sprawy orendownik, tudzież ministrowie *William Pitt* (1759+1806) i *Charles James Fox* (1746+1806). On skłonił pierwszego z tych ministrów że r. 1787; a drugiego że w kilka lat potem wniósł, lubo bezskutecznie, do parlamentu tę sprawę. *Clarkson* jeszcze był tej sprawy tłumaczem r. 1818 na zjeździe monarchów w Akwizgranie przed ś. p. cesarzem i królem *Aleksandrem*. — *Wilberforce*, *Pitt* i *Fox* dowodzili wprawdzie, że Izba niższa parlamentu angielskiego oświadczyła się r. 1792 większością 19 głosów za zniesieniem handlu Murzynami po upływie lat trzech: ale Izba wyższa odrzuciła taki wniosek tamtęj. Tymczasem pod dniem 4 lutego r. 1794 ogłosił ówczesny republikański rząd francuzki wolność murzynów w swoich amerykańskich osadach. *Wilberforce* tedy wniósł na nowo r. 1796 sprawę Murzynów do Izby niższej, żądając aby od dnia 1 marca r. 1797 frymarczenie tym ludem było na zawsze zniesione, i aby frymarczący nim byli karani czternastoletniem wygnaniem do *Botany-bay*, tak nazywanęj Zatoki w nowęj Holandyi. *Pitt* i *Fox* silnie poparli ten wniosek: jednak Izba odłożyła do późniejszego czasu

swoje nad nim obrady. Aż tedy dnia 10 czerwca r. 1806 minister Fox uprzedził Izbę niższą, że imieniem Wilbforce'a wniesie do niej sprawę która całą ludzkość obchodzi, a której ten dostojny mąż jest nieustannie czuwającym stróżem. „Będą stracone, powiedział wówczas Fox, 40 lat politycznego życia mego, jeżeli teraz nieprzewiodę téj sprawy.“ Zażądał dopiero aby Izba handel prowadzony Murzynami ogłosiła za rzemiosło nieczne, ze sprawiedliwością, ludzkością i zdrową polityką sprzeczne, i aby niezwłocznie przedsięwzięła środki na zupełne jego zniesienie. Mimo opór niektórych członków przeszedł w Izbie niższej ten zbawczy wniosek większością 114 głosów przeciw 15. Tego samego roku 1806 w przededniu uroczystości podwyższenia Krzyża Chrystusowego, to jest w 13 dniu wrześ., umarł Fox, a król i członkowie Izby wyższej ożywieni duchem jego zamienili swem zatwierdzeniem w dniach 5 i 6 lutego r. 1807 w obowiązujące prawo od d. 1 stycznia r. 1807, znoszące handel Murzynami, wniosek Wilbforce'a i Foxa, przez Izbę niższą przyjęty. Później, to jest dnia 4 maja r. 1811 doszło na takiej samej drodze prawo skazujące winnych prowadzenia handlu Murzynami na 14letnie wygnanie lub na ciężkie pracę.

W okresie od roku 1783 do 1811 uświetnionym takimi wysileniami, przez lud i rząd angielski podjętymi, na rzecz wybawienia czarnej części rodu ludzkiego, czyż co odpowiedniego stawiają przed nami dzieje Francji? Czyż jej tryumfy już to republikańskiej już cesarskiej przyniosły czarnym lub białym spółludziom jakie bądź oswobodzenie? Obraz jej dziejów z tego okresu ogólnie, a sprawa Murzynów wyspy San-Domingo szczególnie, jest przeczącą na te pytania odpowiedzią.

W końcu r. 1492 odkrył tę wyspę Chrystof Kolumb, a r. 1506 spoczęły na niej zwłoki jego aż do r. 1796, w którym je przesiedlono do Kuby. Wyludnioną z pierwotnych swoich mieszkańców a później prawie opuszczoną przez Hiszpanów objęli Francuzi w środku 17-go wieku, i następnie zaludnili dowożonymi z Afryki Murzynami, którzy dla tego przyswoili mowę francuską, dziś dla nich macierzyńską. Roku 1795 dnia 5 kwietnia w Bazylei stanął traktat między Hiszpanją i Francją, którym pierwsza na rzecz drugiej zrzekła się praw swoich do wyspy San-Domingo. Podobnie jak ta, inna wyspa, zwana *Iste de Franse*, leżąca na wschód Afryki, do Francji podówczas należąca, była zamieszкана przez Murzynów którzy równie jak w tamtej i w innych amerykańskich posiadłościach Francji byli skazani na nie-

wolą. Zostawszy w końcu roku 1799 naczelnikiem Francji pod nazwą pierwszego konsula Napoleon *Bonaparte* pochodzenia italiańskiego, rodem z wyspy Korsyki, obiecał w tym samym czasie wolność Murzynom wyspy San-Domingo, już od roku 1792 pokuszającym się dopiąć jej z bronią w ręku, w którym dawał pochwały białym mieszkańcom wyspy *Iste de Franse* za utrzymanie tam niewoli czarnych.

Dnia 9 lutego r. 1801 w Laneville mieście Lotaryngii, stanął między Bonapartem, pierwszym Konsulem rzeczypospolitej francuskiej, z jednej; a cesarzem niemieckim z drugiej strony traktat, którego tajemnym artykułem obowiązał się tamten zwinąć hufce cudzoziemskie, które wówczas podzielały z wojskiem francuskim trudy bojowe. Właśnie w tym samym roku d. 24 października pod przewodem spółmurzyna *Touissaint Louverture* powstałi czarni mieszkańcy wyspy San-Domingo, chcąc się dobić owej wolności którą im był obiecał pierwszy konsul rzeczypospolitej francuskiej. Dla stłumienia powstania wysłała rzeczpospolita na tę wyspę 25 tysięczne wojsko pod dowództwem Wiktora *Leders* szwagra Napoleona Bonapartego. Częścią tego wojska były owe cudzoziemskie hufce, niedawno skazane na zwiniecie a następnie pod Liworno zmuszone przemocą popłynąć na tę wyprawę. Dnia 1 maja r. 1802 poddał się Francuzom *Touissaint Louverture*, a dnia 6 czerwca t. r. był odesłany do Francji, gdzie jako więzień dokonał życia. Podczas tego chwilowego podboju wyspy kazał pierwszy konsul R. Fr. wznowić w osadach francuskich niewolę Murzynów i prowadzony nimi handel. Eustachy *Bruiz* rodem z wyspy San-Domingo, minister morski (zmarły r. 1805) powiedział z téj okoliczności *La liberte de Rome s'entourait d'esclaves i plus douce parminous elle les relegue au loin:—to jest wolność rzymska otaczała się niewolnikami: łagodniejsza wśród nas wysyła ich w dalekie strony. Kto inny do czczości tych wyrazów zastosował następujące prawoznawcy rzymskiego z 3go wieku Ery Chr. Domitiusa *Ulpiana*:— „Servitutum mortalitati fere comparamu.“—Dnia 1 listopada r. 1802 już nie żył generał *Leclers*. Zabiło go morowe powietrze wyspy: wojsko francuskie niedobitkowe opuściło ją w końcu tegoż miesiąca i roku, a owe hufce cudzoziemskie, tak jak zamierzył był sobie pierwszy konsul, znalazły w niej grób, z bardzo małym wyjątkiem któremu winniśmy takie oddane prawdzie; świadectwo. Następnie Murzyn *Dessalines* ogłosił niepodległość swoich czarnych rodaków, którą oni dotąd utrzymują, a której okazaliby się go-*



dniejszymi, gdyby z lepszéj niż francuzka byli wyszli szkoły.

W celu ostatecznego stłumienia handlu prowadzonego Murzynami pozawierała Wielka Brytania od roku 1810 do 1833 z mocarstwami Europy i Ameryki następujące traktaty.

Naprzód w *Rio-Janeiro* dnia 19 lutego r. 1810 zawarty z księciem Rejentem Portugalii traktat opiewa (§ 9) że władca Brytanii nie zaprowadzi Inkwizycyi do tego południowéj Ameryki kraju, kiedy ją zniósł w Portugalii: i (§ 10) że stopniowo znosić będzie prowadzony w jego krajach handel Murzynami. Oto brzmienie tego artykułu:— „książę Rejent portugalski, z gruntu przekonany o niesprawiedliwości i braku polityki w prowadzeniu handlu Murzynami, a zarazem o wielkich uszczerbkach pochodzących z potrzeby nieustannego przerzedzania licznej a koniecznej ludności dla rozszerzania pracy i przemysłu w jego krajach południowéj Ameryki, postawił spólnie z królem Wielkiej Brytanii działać na rzecz ludzkości i sprawiedliwości przedsiębiorąc najskuteczniejsze sposoby na stopniowe zniesienie w jego krajach handlu Murzynami. Powodowany tą zasadą obiecuje iż żadnemu z jego poddanych nie będzie wolno prowadzić w przyszłości handlu murzynami w krajach nie należących do Portugalii a w których taki handel już nie bytuje. Zastrzega tylko dla swych poddanych prawo zakupowania Murzynów i prowadzenia nimi handlu w krajach Afryki, które do korony portugalskiej należą.” — Była to więc tylko zapowiedź ze strony Portugalii i Brezylji zniesienia handlu, który wyszedł z łona tych państw i który, mimo późniejsze traktaty, ony najdłużéj hodowały: bo jeszcze w roku 1852, w którym niniejszą pracę piszemy, obiecał w mowie tronowéj władca Brezylji, że ów handel będzie ostatecznie w jego krajach zniesiony.

Traktatem z Anglią zawartym w Stokolmie dnia 3 marca r. 1815 obowiązała się *Szwecya* dostawić 30,000 wojska przeciw spólnemu nieprzyjacielowi (Napoleonowi Bonapartemu) pod wodzą następcy tronu Szwedzkiego (Bernadotte'a, byłego marszałka francuzkiego), za to zaś miała być wynagrodzona: 1. Wcieleniem Norwegii do Szwecyi, która to Norwegja należała podówczas do Danii: 2. Miljonem funtów sterlingów i Guadalupą, wyspą jedną z Antylskich. Artykułem dodatkowym obowiązał się król Szwedzki szanować zapewnione téj wyspie swobody w ugodzie z dnia 5 lutego r. 1810 jéj poddania się Anglii po wyrugowaniu z niéj siły francuzkiéj, tudzież zakazać dostawę Murzynów do téj wyspy i do

innych posiadłości Szwecyi w Indyach Zachodnich. Przeciw temu rozporządzeniu wyspą Guadalupą senat ówczesny francuzki wydał dnia 14 października 1813 następujące oświadczenie, podpisane przez Maryą Ludwikę, austryaczkę, żonę Napoleona Bonapartego, ówczesną rejentkę Francyi: 1, nie może być zawarty pokój ze Szwecją póki ta nie zrzecze się posiadania wyspy francuzkiéj Guadalupy: 2, zabrania się pod utratą czci Francuzom, mieszkańcom téj wyspy, składać przysięgę na wierność rządowi Szwedzkiemu.

*Danja* z okoliczności takiego rozporządzenia, należącym do niéj królestwem Norweskim, wydała pod dniem 3 września r. 1813 wojnę Szwecyi. Ale tę wojnę odwróciły dwa traktaty zawarte w mieście Szleswickim *Kiel* dnia 14 stycznia r. 1814, *pierwszy* między Szwecją i Danją, przez który Danja przystąpiła do związku przeciw ówczesnemu cesarzowi Francuzów, Napoleonowi Bonapartemu, i zrzekła się Norwegii na korzyść Szwecyi, miała zaś otrzymać Pomeranją Szwedzką z wyspą Hugen (dziś mocą traktatu wiedeńskiego z d. 4 czerwca 1814 r. należącą do króla Pruskiego); *drugi* między W. Brytanją i Danją, którym pierwsza powróciła drugiej osady morskie, i miała wypłacić 400,000 funtów sterlingów za przystąpienie do spomnionego związku z 10,000 posiłkowem wojskiem; druga zaś to jest Danja, przyłożyć się do zniesienia handlu prowadzonego Murzynami i zakazać go swoim poddanym.

Król niderlandzki, traktatem londyńskim dnia 13 sierpnia r. 1814 z W. Brytanją zawartym, obowiązał się wpływać aby handel na pobrzeżu afrykańskim prowadzony Murzynami ustał zupełnie, poprzednio wydawszy w dniu 13 lipca r. 1814 zakaz wysełania z jego portów lub wpuszczania do jego gwinejskich posiadłości o krętów służących do przesłki niewolników.

W Madrycie dnia 5 lipca r. 1814 był podpisany traktat przyjaźni i przymierza między królem angielskim i *Ferdynandem* VII hiszpańskim: dnia zaś 28 sierpnia t. r. następujący 90 dodatkowy artykuł:— „Król Jego Mość arcykatolicki dzielając zupełnie sposób myślenia Jego Wielko brytańskiéj Mości o niesprawiedliwości i nieludzkości prowadzonego niewolnikami handlu, obmyśli, z oględnością na stan amerykańskich swoich posiadłości, tryb postąpienia w tym razie zgodny z takim duchem jego myślenia. Obiecuje nadto zabronić swoim poddanym uczestnictwa w prowadzeniu handlu niewolnikami i dostarczaniu innym wyspom i posiadłościom oprócz należących

do Hiszpanii: tudzież niedopuszczyć przez skuteczne środki i rozporządzenia aby cudzoziemscy pod zasłoną flagi hiszpańskiej mieli się bawić takim frymarkiem.”

W *Gand* mieście Belgii, dnia 24 grudnia r. 1814 między Anglią i Stanami zjednoczonymi północnej *Ameryki* stanął traktat, którego artykułem 9 obowiązały Stany powrócić pokoleniom tak zwanych Indian, to jest pierwotnych tamtęjszych mieszkańców, posiadłości i prawa jakich ten lud używał przed rokiem 1811 rozpoczęcia wojny; artykułem zaś 10 przyłożyć się najczynniej do zupełnego zniesienia handlu prowadzonego Murzynami.

Po opanowaniu Paryża przez wojska sprzymierzone, stanął dnia 30 maja r. 1814 w tem mieście między Ludwikiem XVIII a W. Brytanią, traktat, którego dodatkowy artykuł opiewa co następuje: — Król JMC. arcychrześcijański dzieląc nieodwołalnie (*Sans reserve*) zasady jakich wielko-brytański trzyma pod względem na handel sprzeczny z uczuciami wrodzonej sprawiedliwości i z oświatą czasów dzisiejszych, obowiązuje się połączyć na przyszłym zjeździe monarchów swoje starania ze staraniami Jego W. Brytańskiej Mości w celu skłonienia wszystkich mocarstw chrześcijańskich do takiego zniesienia handlu prowadzonego Murzynami, do jakiego obowiązał się król JMC. francuski postanowiwszy wykluczyć go w przeciągu pięciu lat ze swych posiadłości. W tym okresie nikt z handlujących niewolnikami nie będzie mógł ich wyprowadzać na sprzedaż do innych krajów, jak tylko do osad tego, którego jest poddanym.

Po upadku N. Bonapartego jako Cesarza Francuzów, Henryk Robert *Stewart*, od roku 1805 lordem *Castlereagh*, od roku 1821 Markizem Londondery nazywany i w tym roku zmarły, był sternikiem polityki Angielskiej ogólnie, sprawy Murzynów szczególnie. Po zrzeczeniu się władztwa i przyjąwszy niezawisłe na wyspie Elbie schronienie, N. Bonaparte opuścił ją w końcu Lutego roku 1815, a od dnia 20 Marca t. r. dni 100 był znowu panem Paryża i Francji. W ciągu tego studniowego panowania zniósł on zupełnie handel Murzynami po ów czas przez Francuzów prowadzony. W tym razie Lord *Castlereagh* z obawy aby Kaprowie francuzcy, po zupełnym N. Bonapartego upadku i po wywiezieniu go na wyspę Ś. Heleny, nie wznowili handlu Murzynami, napisał pod dniem 27 Lipca r. 1815 do Karola Maurycego *Talleyranda*, podówczas Ministra Spraw Zewnętrznych przy Ludwiku XVIII, przypominając mu dopiero

spomniony traktat paryzki. Talleyrand, były biskup, były filar zamachów napoleońskich, odpisał na trzeci dzień lordowi *Castlereagh* następującemi słowy: „J'ai l'honneur d'annoncer à V. E. que le Roi a donné des ordres pour que de la part de la France le trafic des esclaves cesse des à present partout et pour toujours. Ce qui a été ferita cet égard par l'Usurpateur, était d'abord nul comme tous ses actes: et de plus lui avait été dicté visiblement par des motifs d'interet tout personnel et par des esperances, que cet homme n'aurait point concu s'il aut été capable d'apprécier le gouvernement et le parole britannique. Cela n'était par conséquent et ne pouvait être d'aucun poids pour Sa majesté.” — W końcu tłómaczy Ludwika XVIII z odwołki do 5 lat zupełnego zniesienia handlu Murzynami.

Następujące mocarstw chrześcijańskich oświadczenie przeciwko frymarczeniu Murzynami było ogłoszone w stolicy Austrii, Wiedniu, pod d. 8 Lutego r. 1815.— Pełnomocnicy mocarstw które podpisały traktat Paryzki z dnia 30 Maja r. 1814, zebrani we Wiedniu, zważywszy, że prawi i światli wszystkich czasów ludzie poczytywali frymarczenie afrykańskimi Murzynami za sprzeczne z powszechnemi ludzkości i moralności zasadami — że szczególne okoliczności i zawady niedozwalające raptownego wstrzymania w swym biegu tego frymarku mogły przez jakiś czas pokrywać szpetność jego, lecz że nakoniec teraz w krajach kosztujących błogiego oświaty owocu powstał przeciw takiemu frymarkowi powszechny głos z naleganiem o niezwłoczne jego zniesienie, — że od chwili jak poznano bardzo złą stronę tego frymarku, jedne rządy postanowiły znieść go, drugie uznały potrzebę zniesienia,— że przez osobny artykuł ostatniego traktatu Paryzkiego Anglija i Francya obowiązały się skłonić na kongresie Wiedeńskim wszystkie chrześcijańskie mocarstwa do ostatecznego połączeniemi siłami zniesienia handlu prowadzonego Murzynami; z tych powodów pełnomocnicy mocarstw na tym kongresie obecni, przekonani że nie mogą godniej uświetnić swego posłannictwa, oraz wypełnić swą powinność i objawić zasady któremi się powodują ich monarchowie, jak ogłaszając w ich imieniu chęć położenia raz na zawsze tamy pladze, która tak długo wytępiała Afrykę, hańbiła Europeę, trapiła całą ludzkość, postanowili rozpocząć zleczone sobie poszukiwanie sposobów na osiągnięcie tyle zbawiennego celu od uroczystego objawienia zasad które w tak podjętym wielkim trudzie nimi kierowały. Oświadczają tedy przed całą Europą że, uwa-

zając powszechne zniesienie prowadzonego Murzynami handlu za zadanie, które przedewszystkiem powinno zająć ich uwagę, jako odpowiednie duchowi wieku i wzniosłym swych monarchów dążeniom, pragną zająć się najszczerzej i z całą gorliwością jak najrychlejszym i najzupełniejszym jego rozwiązaniem. Pochlebiają tedy sobie że inne rządy, te mianowicie, które już zniosły u siebie taki handel i tem samem objawiły pożądany sposób myślenia, dadzą się nakłonić do poparcia ich swoim głosem na korzyść przedsięwziętego dzieła: tém bardziej że ostateczny tryumf obecnej sprawy Murzynów będzie najpiękniejszym pomnikiem wieku, który się nią zajął i który ją przeprowadził.”

(*Castlereagh* na czele 12 podpisów).

Ta świetna do całej ludzkości odezwa poprzedziła poczet traktatów w celu zniesienia handlu prowadzonego Murzynami zawartych przez Angliję z innymi chrześcijańskimi mocarstwami, a naprzód z Portugalią i Hiszpaniją, z których dwóch, jako ze źródła, wyniknął ten piekielny frymark i w których najdłużej i najuporczywiej przetrwał.

Poznaliśmy wyżej traktat, r. 1810 dnia 19 Lutego w Rio-Janeiro zawarty między Angliją i Rejentem Portugalskim, jako władzcą Brazylii, gdzie ten ostatni w artykule 10, obiecał cząstkowe zniesienie frymarku, o którym tu mowa.

Spółcześnie z ową odezwą, to jest dnia 22 Stycznia r. 1815 we Wiedniu, między Angliją od której stawał Lord *Castlereagh*, i Portugaliją, którą wyobrażał Don Pedro de Sousa Holstein hrabia *Palmela*, doszedł traktat, zabraniający w artykule pierwszym prowadzenia handlu Murzynami Portugalczykom na pobrażach Afryki leżących, w stronie północnej równika. Z tego powodu w artykule dodatkowym pozwolono Portugalczykom wynieść się ze swą murzyńską służbą z północnej strony równika do innych którychkolwiek posiadłości portugalskich.

Jeszcze między Angliją i Portugaliją d. 28 Lipca r. 1817 w Londynie był zawarty traktat, w którego artykule 2gim są wymienione kraje afrykańskie dozwolonego i niedozwolonego w nich Portugalczykom prowadzenia handlu Murzynami. Tego traktatu artykuł 3ci opiewa, że pod żadnym innym, oprócz portugalskiego, pawilonem nie będą do Brazylii dostawiani niewolnicy murzyni. Artykuł 8, że będą ustanowione dwie kommissye z Anglików i Portugalczyków, jedna w angielskiej, druga w portugalskiej posiadłości, do sądzenia okrętów winnych przewożenia niewolników. Artykuł 10: że z uznania tych komis-

syj będzie ze skarbu angielskiego wynagrodzona osoba niewinnie poszkodowana z przyczyny zatrzymywania podejrzanych okrętów: Artykuł 11: że z tegoż skarbu będzie wypłacona summa 300,000 funtów sterlingów dwiema połowicznymi ratami właścicielom schwytanych okrętów. Artykułem dodatkowym zastrzeżono, że ten traktat ma być ważny przez lat 15, do końca r. 1832, jako do czasu w którym nastąpi ogólne i zupełne zniesienie prowadzonego Murzynami handlu.

Jako drugi po zawartym roku 1814 traktacie, spomnionym wyżej, podpisano w Madrycie dnia 23 Września r. 1817 między Angliją i *Hiszpaniją* traktat, którego cztery pierwsze artykuły opiewają, że 1° Jego Katolicka Mość obowiązuje się znieść handel niewolnikami w całym swoim państwie hiszpańskim, poczynając od dnia 30 Maja r. 1820, tak aby od téj epoki nie było wolno żadnemu Hiszpanowi kupować lub przedawać niewolników na którym bądź afrykańskim pobrażu i pod jakim bądź pozorem: 2° Ten zakaz rozciąga się tylko do krajów leżących na północ względem równika: 3° Osobie upoważnionej do tego przez Hiszpańskiego króla będzie wypłacona dnia 20 Lutego r. 1818 w Londynie ze skarbu angielskiego summa 400,000 funtów sterlingów: 4° Ta summa będzie użyta na wynagrodzenie osób które poniosły straty skutkiem niniejszego traktatu.

Po zawartym w Londynie dnia 13 Sierpnia r. 1814 doszedł drugi dnia 14 Maja r. 1818 w Hadze między Angliją i królem *Niderlandzkim* traktat, którego dwa pierwsze artykuły opiewają, 1° że w 8 miesięcy od zatwierdzenia traktatu król Niderlandzki przedsięweźmie silne środki zapobiegające prowadzonemu Murzynami handlowi i że na nowo zakaże go swoim poddanym: 2° że obiedwie umawiające się strony będą mogły nawzajem przetrząsać podejrzane o taki handel okręty, zatrzymać te, na których znajdują niewolników i oddawać je pod sąd właściwych trybunałów.

Widzieliśmy wyżej że handel, o którym mowa, miał zupełnie ustać w posiadłościach hiszpańskich z rokiem 1820, w portugalskich z rokiem 1822. Właśnie w tym ostatnim roku ujął ster polityki Angielskiej minister Jerzy *Canning*, urodzony w Londynie dnia 11 Kwietnia r. 1770. Orędownik usamowolnienia katolickich mieszkańców W. Brytanii i Irlandyi, przeciwnik możnowładztwa, twórca niepodległości byłych hiszpańskich krajów w Ameryce a Grecyi w Europie, *Canning* w szczególności przeprowadził r. 1824 w obiedwóch izbach parlamentu angielskie-

go, przez króla dnia 31 Marca t. r. za obowiązujące prawo przyjęty wniosek, aby od owéj daty ścigano, tak jak rozbój morski, handel Murzynami prowadzony. Zmarły dnia 8 Sierpnia r. 1827 pod Londynem jako ofiara poświęcenia się sprawie usamowolnienia nie tylko czarnych ale i białych pokoleń, Jerzy *Canning* stanowi epokę w dziejach postępującej ludzkości.

Wszakże mimo te wszystkie traktaty frymarczono jeszcze Murzynami na afrykańskich Angoli, Kongo i Mozambiku pobrzeżach, a targowiska tego frymarku bytowały w Kubie i Brazylii. Po zakładane w osadach trybunały dla osądzenia winnych téj zbrodni nie uiszczały się ze swego powołania tyle, ile były powinny. Szczególnie rząd portugalski podsyczał prowadzony Murzynami handel. Oprócz Portugalczków, Hiszpanie i Francuzi, bez względu na zabraniające traktaty, dostawiali co rok z Afryki około 100,000 Murzynów. Zawarty za ministerstwa Kaninga między Angliją i Brazyliją dnia 23 Listopada r. 1826 w Rio-Janerio traktat, mocą którego takie dostawy miały zupełnie ustać w Brazylii od dnia 10go Lutego r. 1830, nie był wykonany.

Z tych powodów Anglija zawarła d. 30 Listopada r. 1831 w Paryżu z Francją traktat w celu pohamowania zbrodni frymarczenia Murzynami (*traité relatif à la repression du crime de la traite des Noirs*). Oto wstępne tego traktatu wyrazy: „Les Cours de France et de la grande Bretagne, désirant rendre plus efficaces les moyens de répression jusque à présent opposés au trafic *criminel* connu sous le nom de la *traite des Noirs*, ont jugé convenable de négocier une convention pour atteindre un but si salutaire;” — to jest, dwory francuzki i Wielkiej Brytanii pragnąc uczynić skuteczniejszymi pośrodkami hamulcowe dotąd stawiane przeciw *zbrodniczemu* frymarkowi, znanemu pod nazwą *handlu* prowadzonego *Murzynami*, uczuły potrzebę rokowania i zawarcia umowy dla osiągnięcia tak zbawiennego celu. — Artykuł 1szy téj umowy opiewa że przeglądu i przetrząsania okrętów, podejrzanych o taki frymark, pozwalają sobie wzajemnie dwa rządy, ale tylko w miejscach i na morzach oznaczonych umową; 3ci, że do téj czynności będzie użyta pewna liczba okrętów tak, aby liczba okrętów jednego mocarstwa nie była dwa razy większa od liczby okrętów drugiego. Po przepisach, według których ma się odbywać przetrząsanie okrętów kupieckich, następuje Artykuł 7my, według którego okręty uznane za winne frymarczenia Murzynami, będą wydane pod sąd narodu

do którego należą. Opiewa dalej Art. 8my że okręty wojenne nigdy podlegać nie będą przetrząsaniu: 9ty że statki Kaproskie, użyte do czatowania na okręty kupieckie, będą miały swoje hasła, na które się zgodzą dwa rządy.

Ze strony Anglii *Granville*, ze strony Francyi *Horace Sebastiani* podpisali ten traktat: ogłoszono zaś go d. 26 Stycznia r. 1832, i 31 Sierpnia r. 1833.

Rozwinięto go i rozszerzono przez dodatkową umowę zawartą w Paryżu dnia 22 Marca roku 1833 pod tytułem *Convention relative à la répression du crime de la traite des noirs*. Są nią zapewnione wynagrodzenia za posądzenie i poszkodowanie posądzonego okrętu; a zabronione nadużycia jakich Kaprowie mogą się dopuścić względem przytrzymanych okrętów. Artykuł 11 opiewa że niewolnicy znaleźni na przytrzymanych okrętach będą użyci, jako ludzie wolni, do służby lub do rzemiosł: a 12sty że okręt wyłącznie do frymarczenia ludem murzyńskim urządzony, będzie, po schwytaniu go, rozbity na kawały, aby nigdy więcej nie mógł być użyty na ten zbrodniczy cel.

I któżby teraz spodział się że takie wysilenia Anglii, takie, za jéj przewodem, przedsięwzięte środki około zatamowania raz na zawsze frymarku spółludźmi, powiększyły w niektórych stronach jego miarę i zgrozę? Brazylija, która roku 1792 miała 600,000 niewolników czarnej barwy, liczyła ich roku 1835, według urzędowego spisu 2,000,000: odpowiednio zaś wzmogła się srogość podejmowania ich w przeprawach z Afryki do Ameryki i ztąd pochodząca ich śmiertelność. Portugalija, matka powtórnego o którym mówimy handlu, nie dotrzymała podpisanych przez jéj władzców r. 1810 i 1815 traktatów. Taki sam zarzut cięży na Brezylji za mimo-puszczenie traktatu z roku 1826. Minister portugalski *Vasconcelos* śmiał oświadczyć Angielskiemu r. 1837 że królestwo portugalskie bez frymarczenia Murzynami ostać się nie może. Po takim oświadczeniu Lord Palmerston w liście swoim r. 1838 do ministra portugalskiego napisanym, wyraził się następującymi słowy: „bez względu na traktaty władze portugalskie nie chcą wiedzieć że flaga ich narodu i rządu hańbi się osłaniając wyrodków człowieczeństwa, którzy frymarczą spółludźmi.” — Głoszono wówczas że większą liczbę nieszczęśliwych Murzynów wywożono z Afryki po dojściu traktatów a zatem bezprawnie; niż, niby prawnie, przed dojściem tych traktatów. Jakoż w końcu 18go wieku wywożono z Afryki co rok 80,000 Murzynów; roku zaś 1840 wywiezio-

no ich 150,000. Liczba 300 Murzynów dostawionych Ameryce, kosztowała Afrykę 1000; to jest z 1000 wywiezionych z Afryki ginęło 700, a dostawało się do Ameryki 300 Murzynów. A że roku 1840 dostała Ameryka 150,000 Murzynów; więc ta dostawa musiała być opłacona śmiercią 400,000 innych Murzynów. A ileż oprócz tego ofiar chłonie społecznie

okropny wydział muzułmańsko-murzyńskiej niewoli? I oto okropności któremi były wywołane, roku 1840 doszłe, między Anglią z jednej, Rosyą, Austryą i królem Pruskim z drugiej strony traktaty w celu silniejszego i skuteczniejszego niż kiedy zapobieżenia tak zgroźnemu frymarczeniu ludem afrykańskim. (D. n.)

## PROCESSYA BOŻEGO CIAŁA W WARSZAWIE.

(Z\_RYCINĄ.)

Dajemy tu obraz Professora Szkoły Sztuk Pięknych p. Marcina Zalewskiego, według przerysu p. Ceglińskiego przerobiony. Stare Miasto, należy do najdawniejszych i najpiękniejszych pamiątek Warszawy. Fizyognomija tych domów, właściwem nacechowana budownictwem, dała przedmiot dość obfity jednemu ze współczesnych pisarzy (Borkowskiemu), do włożenia w powieść p. t. „Zemsta panny Urszuli” oryginalnego opisu, po który ciekawych czytelników odsyłamy do dzieła: „Prace literackie” wydanego w Wiedniu przed 20-tu laty.

Do Stariej Warszawy, nie tylko należy Stare Miasto, ale i część ulicy Freta, poczynając od kościoła ś. Ducha, ulica Gołębia, Śto-Jańska, Piwna i inne drobne <sup>1)</sup>.

Uroczystość *Bożego Ciała* przeszło od sześciu wieków obchodzona publicznie w katolicyzmie (od 1264 r.), również wspaniale, jak w innych krajach, a kto wie czy nie daleko wspaniałej niż gdzieindziej, obchodzoną bywała i w Polsce, a szczególnie w Krakowie, Warszawie i Wilnie. Za Zygmunta IIIgo, Jezuici, dla wspaniałości zewnętrznej processyi, lud i młodzież uczącą się rozdzielali na kilka orszaków różnobarwnie przebranych i wyobrażających rozliczne figury biblijne.

Magistrat starego grodu Warszawskiego, odbywający swe posiedzenia w ratuszu, (stojącym niegdyś pośrodku Starego Miasta) na cały tydzień przed processyą Bożego Ciała, już się zajmował jój przygotowaniem. Najdawniejsze ślady tego na piśmie sięgają lat 1604 do 1617. Najprzód czyszczono działa i hakownice do strzelania. Milicya miejska bębniąca, trębacze królewscy występujący w całej paradzie; śpiew ludu przy odgłosie kotłów i dzwonów, przy huku armat; tłumy pobożnych całego miasta,

którym sam król, wojsko i najznakomitsi panowie towarzyszyli; — wszystko to razem wzięte, majestyczny tworzyło widok. Wejnert pisze, że w r. 1580 na Boże Ciało i w oktawę wystrzelano szesnaście funtów prochu. Processya wychodziła z kościoła S. Jana i szła przez Stare Miasto aż do kościoła N. P. Maryi, który wtedy był już za miastem.

W oktawę Bożego Ciała był zwyczaj, iż processya odbywała się w około rynku Starego Miasta. Taką odbywał z ludem Jan Kazimierz 27 czerwca 1668 r.

Lud także z rusznic niekiedy podczas processyi śnać strzelał, bo znajdują się ślady zakazów tego, pod karą 14 grzywien (r. 1674). — Zdaje się, że po wzbronieniu strzałów w czasie obchodu religijnego zaczęto dawać ognia z rusznic przed processyą, bo okólnik prezydenta miasta do cechów w r. 1694 opiewa, aby nie ważyli się strzelać tak przed processyą, jakoteż podczas samej processyi: „po jój skończeniu zaś wolno im będzie strzelać, jednak bez naruszenia bliźniego i pokoju pospolitego... Ten, co strzelać będzie, zapewne więzłą i grzywnami karany będzie, bez wszelkiego respektu ktokolwiek to skazanie przestąpi. Wprawdzie doznałem wielkie po Waszmościach posłuszeństwo w r. 1691, na żądanie i prośbę moję w tejże materii; i teraz nie wątpię, że pokażecie się Waszmość być ludźmi kochającymi w rządzie dobrym.”

W latach 1699 i 1701, prezydent przepisując zwykły porządek, powiada w obiegnikach, aby strzelby do szabel przepasywane były i według dawnych zwyczajów aby każdy szedł pod swoją chorągwią i porządkiem cech, po cechu.

W roku 1722 do dawnych poleceń przydano, aby w domach luźnych żydów w czasie téj processyi nie przechowywano.

Za czasu Sasów, czytamy (1729) aby stawili się mieszczenie, gospodarze i ich czeladź przystojnie przybrani z strzelbą do szabel polscy, a cudzoziemcy (zapewne Sasi) do szpad przypasaną.

<sup>1)</sup> Kamienic i domów w Stariej Warszawie r. 1660 było tylko 184.

Z gazet pisanych, które przeglądał ś. p. Tymoteusz Lipiński, podajemy tu opis dwóch processyj Bożego Ciała z r. 1724.

„Processya solenna w Starem Mieście odbyła się na dniu dzisiejszym (22 czerwca) którą solennizował Imc. ks. biskup poznański.

W rynku były wystawione trzy ołtarze, czwarty w zamku adornowany owém rzeczypospolitój obiciem *Potop* nazwaném, które Imc. Pan podskarbi W. Kor. Jan Przebendowski wykupił od sukcesorów ś. p. pana Gutry.”

Sollenna processya odbyła się w niedzielę; *in arca* (na tarassie) przed pałacem królewskim był ołtarz wystawiony na siedmiu gradusach we 4 kolumny na których był imperyał, na nim korona królewska, w około ołtarza drzewa pomarańczowe, cytrynowe i cisowe, między niemi na lichtarzach lane białe świece; od ołtarza, ulicą do samój bramy szpalery z drzew pomarańczowych, cytrynowych i cisowych w wazach wyrobione. Koło ołtarza *in circulo* stali drabanci we zbroi, regiment zaś gwardyi 3ma linjami stał z téj i z owój strony za drzewami wzwyż wspomnionemi. Processyę solennizował biskup Kamieniecki Hozyusz Stan. której processyi za rozkazem królewskim towarzyszyło miasto *in armis sub signis*. Gdy processya wychodziła, król wystąpił w assystencyi księdza Nuncyusza papieskiego, Jana Tarły biskupa poznańskiego, Augusta Adama Wesła *nominata*-biskupa Inflantskiego, księcia wojew. krakowskiego Janusza Wiśniowieckiego; kasztelanów wileńskiego i kujawskiego, kanclerza podskarbiego W. K. podskarbiego nadwornego, podczaszego, kuchmistrza W. K. pisarza polnego W. X. L. *praeunte* z laską marszałka W. K. Józefa Mniszcha i szedł do samój bramy, która się styka z publiczną drogą Krakowskiego-Przedmieścia i tam czekał sam, z otoczeniem wspaniałem, za którym szedł ze świecą król i wszyscy dygnitarze także ze świecami. Przy wejściu processyi do bramy, ze dwunastu armat dawano ognia, także i z ręcznej strzelby drabanci i gwardya. Po prześpiewanej ewanielii znowu dawano ognia; przy wyjściu processyi także... Po processyi cechy prezentowały się królowi z wywijaniem chorągwi... Król kontent był z tak wielkiej frekwencyi ludzi, których wielka moc była na processyi.

Kitowicz ks. opisuje, iż za panowania Augusta III Sasa, króla Polskiego, assystowały processyi Bożego Ciała konfraternie kupieckie z cechami, to w polskim, to w niemieckim stroju, jaki któremu był właściwy. Dowódcy pierwszych nieśli buławy i koł-

paki sobole; drudzy (*sasi*) mieli szpontony, szarfy i kapelusze z piórami strusiem. Każda kompanja 3 razy dawała ognia, a za każdym razem salutowano chorągwiami. Celowali niemcy zręczném wywijaniem znamionami, Polacy zaś regularném strzelaniem. Za Stanisława Augusta (jak pisze Ł. Gołębiowski) wzbroniono strzelania, że się obawiały damy; wspianiał. jednakże bywała uroczystość Bożego Ciała. Król i u XX. Missyonarzy i w kollegiacie sam się znajdował. Pierwsi mieli strojne ołtarze w niedziele w pałacu Małachowskiego marszałka sejmowego (dziś dzieci Zygmunta Krasińskiego), w koszarach kadeckich (dziś w Kommissyi Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego); w pałacu księcia podkomorzego (dziś Seweryna Uruskiego) i Tyzkiewicza (teraz hr. Augustów Potockich):—drudzy z kościoła ś. Jana odbywali we czwartek processyę do ołtarzy bramy zamkowej i na rynku Starego M. Piękny bywał widok wszystkich cechów z chorągwiami, urzędu miejskiego, młodzieży szkolnej, kadetów, wszelkiego rodzaju zakonnego i świeckiego duchowieństwa w uroczyste przystrojonego szaty. Prymasa albo biskupa niosącego Przenajświętszy Sakrament wspierali marszałkowie sejmowi albo inne dostojne osoby. Postępował i król pod małym okrągłym baldachimem; otoczony urzędnikami dworu, ministrami, Senatem całym i najpierwszemi w kraju możnowładcami płci obojga. Od natłoku bronił czworogran gwardyi konnej w białych mundurach, złote słońca mając na piersiach. Po bokach i w całej przestrzeni niezmierna bywała mnogość ludu.”

Kuryer Warszawski z r. 1736 taki podaje opis ołtarza zamkowego:

„Na środku dziedzińca przed pałacem (a więc już nie na tarasie jak w r. 1724) cztery kolumny wspierały baldachim bogato przyozdobiony; ten był aksamitny, karmazynowy, galonem i frezlą złotą obsyty, *in summitate* którego złożona była na poduszce karmazynowej z aksamitu, korona. Boki okryto szpalerami rzeczypospolitój; na pawimencie był ołtarz bogaty, piękną nader wystawiony symetryą, sukнем karmazynowem obity, do którego stopnie zieloném sukнем usłane, dwa wierzchnie czerwoném akkomodowane, piękną czyniły proporcję. W około ołtarza festony w wazach były umieszczone. Kamienice wszystkie przyozdobiono pięknými obiciami, ulice umajono i tatarskiém zielém zarzucono; dwa regimenta królewicza Ksawerego i gwardyi koronnej dwiema linjami po mieście całém rozstawiono. Królestwo processyi assystowali; wojsko z ręcznej







strzelby ogniem bieżącym, artyllerya hukiem z armat kilkakrotny dała applauz. Przez całą oktawę Bożego Ciała, królowa u ks. Reformatów na ranem i nieszpornem bywała nabożeństwie.”

W pałacu Kazimierowskim, przy krużganku biblioteki głównej, od lat czterdziestu z górą, gustowném przystrajaniem ołtarza w dzień tak uroczysty, będący środkiem tygodnia poświęconego czci Przynajświętszego Sakramentu, zajmuje się szanowny bibliotekarz K. Sumiński.

Processya na Stare Miasto przestała uczęszczać naprzód od r. 1837 do 1840 r. włącznie, z powodu odnawiania archikatedry świętojańskiej pod kierun-

kiem budowniczego Idźkowskiego. Od włącznie 1841 do 1844 r. processya od ś. Jana znowu wychodziła na rynek Starego Miasta. Potem gdy od roku 1844, w rynku tamtejszym poczęto odbywać wykonania wyroków na kryminalistach sądownie przekonanych o zbrodni, wtedy i obrzędy święte przeniesiono tam, gdzie już przez cztery lata od 1837 do 1840 obchodzono ołtarze, to jest na Krakowskie-Przedmieście, przed kościół księży Bernardynów. Od r. 1861, kiedy exekucye kryminalne odbywać się poczęły na placu muranowskim, znowu Stare Miasto ujrzało świetną processyę w dniu Bożego Ciała.

## DERKACZ

(Z RYCINĄ KOLOROWANĄ.)

Tam derkacz wrzasnął z łąki, szukać go daremnie,  
Bo on szybuje w trawie, jako szczupak w Niemnie.

(A. MICKIEWICZ. — P. *Tadeusz*).

Ile razy w ciepły letni wieczór zdarzy się nam, przez bujne, wilgotnym mglistym tumanem pokryte łąki, przechodzić lub opodal nich się znajdować—zawsze daje nam się słyszeć bardzo donośny, skrzypiący, monotonicznie po razy kilka powtarzający się głos, który od wszystkich wieczornych przyrody szmerów odmienny, nie z wysokości powietrznych, ani z wierzchołków drzew, lecz wyraźnie z przyległych trawników do nas dolatuje. Po niejakiś czasie, gdy się ucho nasze z tym dziwnym oswoi tonem, rozpoznajemy, że to jest głos ptaka.—Lecz napróżno oglądamy się do koła aby ptaka tego dostrzedz, napróżno, słysząc go odzywającego się nieraz tuż obok siebie, szukamy go w trawie! Nie daje on się bynajmniej z niej wypłoszyć lecz tylko raptownie zamilka i przebiegłszy z niezrównaną szybkością kilkaset kroków, za chwilę, już gdzieś daleko od nas krzykliwie się odzywa, jakby najgrawając się z naszej nieudolności spostrzeżenia lub schwytania go. Tym ptakiem jest, na dołączonym tu wizerunku przedstawiony, powszechnie znany *Derkacz*, o którym słów kilka zamierzamy powiedzieć.

Należy on w zoologicznym układzie do rzędu ptaków tak nazwanych *podkasałych*, albo *brodzących*, albo *błotnych* (Grallatores) i do tychże rodziny *Chruścieli* (Rallidae Vig.) która tém się mianowicie odznacza, że obejmuje w sobie kształty ptaków stanowiących przejście od błotnych do *Kur* (Gallinacei).

Wszystkie chruściele mają dziób krótki, albo mało co dłuższy od głowy, mocno ścisniony, twardy, przy nasadzie grubszy. Nozdrza w brózdach umieszczone, na wskrós otwarte. Nogi krótkie, obówiem tarczowato-siatkowatém pokryte. Palce w liczbie czterech, długie, płatkowate lub wąską błonką obrabione. Palec tylny (ksiuk) poziomy.—Żyjają one przy i na wodach, nie towarzysko, ukrywając się zwyczajnie w gęstych sitowiacz i trawach. Pływają i nurzają się doskonale.—Bieg ich po łąkach i roślinach powierzchni wody pokrywających jest bardzo rączy

i zwinny, a przeciwnie lot w powietrzu krótki i ciężki, z nogami w dół zwisłymi. Karmią się owadami i roślinami. W jesieni od nas w cieplejsze odlatują kraje. Prawie wszystkie żyją w wielożeństwie.—Gniazda bez żadnej staranności, ze szczątek zeschniętych traw, na błotnych łąkach lub przy wodach budują i w nich 6 do 12 lśniących, przyjemnie ubarwionych, marmurkowo upstrzonych jaj składają.—Samice (zawsze cokolwiek od samców większe, mało się z kąd inąd od nich różnią.—Młode powszechnie odznaczają się od starych tylko mniej wyraźniejszą i ciemniejszą barwą.—Chociaż dwa razy do roku się pierzą, nie wywiera to wszakże żadnego na ich ubarwienie wpływu.

Z rodziny *Chruścieli* (Rallidae Vig.) które, we wszystkich częściach świata są rozpostrzenione, u nas znajdują się tylko trzy następne rodzaje: 1. *Rallus* Lin. (Chruściel właściwy). 2. *Gallinula* Briss.—Syn. *Crex* Bechst. Lath. Temm. (Kurka albo Derkacz) i 3. *Fulica* Briss. (Łyska).

Ptaki do rodzaju drugiego, jedynie nas tu zajmującego, należące, odznaczają się, oprócz ogólnych, tylko co wymienionych, całej rodzinie wspólnych cech, jeszcze tem, że mają dziób krótki, przy końcu schylony, ze szczytem mniej lub więcej wzniesionym, palce wąsko-obrabione, ogon krótki, klinowaty, lotkę 3-cią lub 4-tą najdłuższą

Z rodzaju tego obfitego w gatunki, my mamy ich u nas tylko cztery: 1. *Gallinula porzana* Lin. (Kurka wodna), 2. *Gal. pusilla* Lin. (Kurka zielonka), 3. *Gal. chloropus* Lath. (Kurka albo Kokoszka zielononoga) i nareście 4. *Gallinula (Crex) pratensis*. (Derkacz właściwy) który najwięcej z kurkami podobieństwa okazuje.

Grzbiet derkacza pokryty jest piórami żółtopielatemi, z pośrodkami ciemno-brunatnemi. Skrzydła rdzawe. Brzuch pośrodku żółtawo-biały, z czerwoniawo-brunatnemi poprzecznymi pręgami po bokach. Boki szyi i piersi popielatawe. Nogi brudnocieliste. Długość ciała cali 9—10. Zakres rozpostrzenienia się ptaka tego jest bardzo rozległy, obejm-

muje bowiem całą Europę i na Wschód aż do Azji, na Północ do Szwecji, Norwegji i Szkocji sięga. — U nas i w całej umiarkowanej strefie Europy jest on bardzo pospolity. — Jako ptak prawdziwie wędrowny przybywa do nas tylko wtedy, kiedy w przyrodzie wszystko do przyjęcia jego jest gotowem, t. j. kiedy trawa na łąkach do takiej dorosła wysokości, że może go ukryć i kiedy wiosenne powietrze, gąsienice i owady, służące mu za pokarm, do życia powołało. Jeżeli wiosna bardzo jest ciepłą i wczesną, wtedy już na początku mają głos derkaczy daje się słyszeć; zwyczajnie jednak, dopiero w połowie miesiąca tego, a wraże bardzo chłodnego i niepomyślnego powietrza, za ledwie pierwszych dni czerwca, u nas się zjawiają — Niedługo wszakże pomiędzy nami goszczą, bo już pod koniec sierpnia na południe w cieplejsze i w lepszą strawę obfitujące kraje odlatują. — Główny ich ciąg trwa przez cały wrzesień i nawet w połowie października zdarza się niektóre spóźnione napotkać indywidua. — Wędrowkę swoją odbywają derkacze w nocy. — Przez dzień siedzą w trawach ukryte i nie odważają się, bez niezbędnej konieczności, wzlecieć lub wybiedz na miejsca otwarte.

Ulubione miejsca przebywania derkacza są latem suche, bujne, wielu kwiatami ubarwione łąki, lub też pola zbożem niskim porośnięte. W jesieni, kiedy się łąki skoszą i zboże z pól się zbierze, przenosi się on na pola konopianne, konieczynowe i nawet kartoflowe. — Bagnistych i jałowych, roślinności pozbawionych miejsc, unika zupełnie; a chociaż zwyczajnie trzyma się dolin, jednak, w czasie przelotu nawiedza wyżej położone miejsca, byleby tylko zawierały w sobie warunki dobrego dla niego schronienia i dostatecznego pokarmu.

Poruszenia derkacza są lekkie, zwinne i bardzo zmienne, bo raz staje prosto wyprężony z wyciągniętą do góry szyją — to znowu postępuje poważnie zgrabnie główką kiwając — to nareście skurczony szybko umyka pomiędzy krzaczkami i łodygami traw. — Na łąkach, na których stale przebywa, można dostrzedz pewne chodniki przez niego w trawie utorowane; co dowodzi, że najczęściej temi samymi chodzi drogami. Na drzewa, płoty, żerdzie i inne wyniosłości nigdy nie siada, ani z ukrycia swego nie wychodzi, tak że tylko, jak już mówiliśmy, krzykiem swym donośnym daje nam o sobie wiedzieć — co, jednak nader mu się często zdarza, bo zdaje się być nie zmęczonym w tym nieharmonijnym dwusylabowym śpiewie. — Zwyczajnie rozpoczyna go ku wieczorowi, z małemi przestankami, przeciąga aż do późnej nocy. — Po krótkim wypoczynku, o pierwszej lub drugiej po północy na nowo się odzywa i tylko, za nadejściem rannego zmierzchu, umilka.

Pokarm derkacza stanowią, wiosną i latem, zwyczajnie gąsienice i poczwarki owadów, oraz motyle, koniki polne, żuki, dżdżowniki i t. p. — W jesieni, gdy już mało jest owadów, karmi się on ziarnami posianego zboża, oraz nasionami i miękkimi cząstkami roślin. W ogóle nie brak mu pokarmu, bo w jesieni ubity jest niezmiernie tłusty, i za doskonałą wówczas uchodzi zwierzynę. — Trzymany w niewoli, bardzo się

przyzwyczajają do pokarmów mieszanych, złożonych z marchwi, bułki i mięsa odgotowanego, do których jeszcze od czasu do czasu dżdżowniki lub inne robaki dodawać należy. — Łatwo się przyswaja i spoufala, zachowując jednak zawsze niepohamowaną skłonność do chowania się w miejscach ukrytych. Zamknięcia do klatki nie znosi i tylko swobodnie w pokoju hodowanym być może, a ponieważ często pije i ochoczo się kąpie, naczynie obszerne z wodą zawsze dla niego przygotowanem być powinno.

Przy końcu czerwca albo na początku lipca derkacze samice niosą jaja. — Gniazdo ich, zawsze pomiędzy bardzo gęstymi i wysokimi trawami, pośrodku na działanie słońca wystawionych i nie zbyt mokrych łąk, umieszczone jest to prosty bez żadnej osobnej budowy w ziemi wygrzebany i łodygami, korzonkami oraz innymi szczątkami zeschniętych trawiastych roślin wyścielony dołek. — W nim znajduje się 7—9, rzadko 10—12 a czasem tylko 5—6 jaj, które w stosunku do samego ptaka wcale są wielkie, bo wynoszą 18 cali długości a 12 cali szerokości. — Skorupa ich drobno-ziarnista, błyszcząca, ma zielono-białawe, często w ochrowo-żółte mieniące się tło, na którym małe i większe cynamonowego koloru kropki i plamy są rozrzucone, przyczem, w głębszej jej warstwie osadzone podobne kropki, fioletowo-szarawo się przeświecają. — Samica trzy tygodnie siedzi na jajkach i tak wielką przytęm okazuje wytrzymałość, że nie zlatuje z nich nawet za zbliżeniem się człowieka, przez co nieraz pada ofiarą kosy trawę ścinającej. — Młode (jak to widzimy na dołączonym tu wizerunku) są bardzo ładne ptaszęta, które już w parę godzin po wykluciu się z jaja wesoło do koła matki biegają a za zbliżającym się niebezpieczeństwem pod skrzydła jej się kryją. Raptownie zaś spłoszone, niby myszki na wszystkie strony idą w rozsypkę, szukając czém prędzej dogodnej kryjówki pomiędzy trawami, i tam w dołku jakim, mocno do ziemi przytulone, nie łatwe są do znalezienia. — Przychożą one na świat prawie zupełnie czarne i puchem gęstym pokryte. — Po kilku jednak dniach okazują się na czole, na bokach ciała i na grzbiecie pierwsze pojedyncze piórka, które dalej mnożąc się, stanowią nareście pierwsze jesienne ich opierzenie, małe się już od opierzenia dorosłych derkaczy różniące.

Polowanie na derkacza jest nadzwyczaj utrudzające, bo pozostając jak najdłużej w trawie i mogąc niezmiernie zwinnie i szybko w rozmaitych się poruszać kierunkach, męczy niesłychanie skradającego się do niego wyłta i strzelca, który z niecierpliwością zjawienia się jego wygląda. — Na rozległych mianowicie łąkach, choćby z najlepszym psem, nieraz wielogodzinne usiłowania, aby zmusić derkacza do wzlecenia, pozostają płonnemi. — Z tej przyczyny nie stanowi on w myślistwie przedmiotu osobnych łowów, lecz bywa zwyczajnie podczas polowań na kuropatwy i bekasy ubijany. — Skoro bowiem tylko z trawy się wyrwie, lot jego ciężki, wolny i w prostym kierunku naraża go na strzał pewny a tęp samém na śmierć niechybną. K. G.





## WIEWIÓRKA.

(Z RYCINĄ KOLOROWANĄ.)

„Blżej siedzi wiewiórka, orzech w łapkach trzyma  
Gryzie go; zawiesiła kitkę nad oczyma,  
Jak pióro nad szyszakiem u kirasyera;  
Chociaż tak osłonią do koła spojiera,  
Dostrzegłszy gościa skacze gajów tanecznicą,  
Z drzewa na drzewo miga się nakształt błyskawica;  
Nakoniec w niewidzialny otwór pnia przepada  
Jak wracająca w drzewo rodzime Driada.”

(A. MICKIEWICZ — *Pan Tadeusz*.)

Jakże trafnie, nieśmiertelny nasz wieszcz, skreślając mistrzowskim swym piórem czarowne obrazy lasów litewskich, nazwał wiewiórkę: „*gajów tanecznicą*”! Należy ona rzeczywiście do najzwinniejszych, w lekkich swych ruchach i skokach najbardziej zgrabnością odznaczających się zwierzątek. Któż ję niepodziwiał, gdy usiadłszy na tylnych swych łapkach i osłoniwszy swe ciało w łuk zgięte puszystym nakształt kity ogonem, przedniemi do góry wzniesionemi łapkami, donosi orzech do pyszczka i ostremi ząbkami żwawo go rozgryza, dla wydobycia czem prędzej pożywnego ziarna? Któż się nie zdumiewał nad ję ogromnemi skokami, często przestrzeń 12—15 cali obejmującemi, które przenosząc się z drzewa na drzewo wykonywa? — Kto się nareście nie zastanowił nad ję instynktem i łatwością z jaką daje się przyswoić, przywykając rychło do miejsc służących ję za schronienie i do osób ją pielęgnujących? — Wszyscy ją zaiste lubimy — wszystkim nam uprzyjemniała ona nie jedną chwilę dziecinnego wieku! — Dla tego też zamierzamy tu w krótkich zarysach obeznajomić bliżej naszych czytelników z tém zwierzęciem u nas najpospolitszym, a który nawet z wielu względów mógłby zasłużyć na nazwanie *domowego*.

Wiewiórki, w układzie zoologicznym, należą do wielkiego odgałęzienia *zwierząt kregowych* (Anima - lia vertebrata) do gromady *zwierząt ssących* (Mammalia) i do rzędu tejże gromady obejmującego zwierzęta, nazwane przez jednych naturalistów *szczurowate* (Glires) przez drugich *gryzące* (Rodentia). — To ostatnie nazwanie wzięte jest od sposobu rozdrabniania pokarmów, które one, nie mogąc je rozkusić, ciągłym gryzieniem niby piłują, i tém sposobem najtwardsze nawet ciała przegryść są w stanie. Służą im do tego 4 zęby przednie, przeciwległe, 2 w górnej i 2 w dolnej umieszczone szczęce. — Te zęby silne, długie, lęko-

wato-zgięte, ze szczytami nożycowato zastrzonymi, pozbawione będąc korzeni, rosną nieprzerwanie; przy czem jednak zachowują jednostajną długość, bo w miarę rośnięcia ze spodu, ściągają się o tyleż u góry, Do tego samego rzędu należą ze zwierząt najbardziej nam znanych, *szczury, myszy, bobaki, susły, zające, króliki, morświnki i bobry*. — Karmią się one powiększej części roślinami i owocami, chociaż i pomiędzy niemi są niektóre wszystko-żerne.

Wiewiórki, wespół z kilku innemi z niemi spokrewnionemi rodzajami, stanowią, w rzędzie gryzących, oddzielną rodzinę *zwierząt wiewiórkowatych*, (Sciurina), które się mianowicie następniemi odznaczają cechami: — Zębów, oprócz już wymienionych 4 przednich, mają one trzonowych, koronkami poprzecznie karbowanemi, opatrzonych 5 w górnej a 4 w dolnej szczęce ( $\frac{5}{4}$ ). Z pomiędzy górnych tych zębów początkowy czyli pierwszy zawsze jest zdrobniały, słabo rozwinięty i nawet wypadający. — W miejscu zaś kłów, które im brakują, znajduje się przedziałka pomiędzy przedniemi i trzonowemi zębami. — Tylne łapki mają po 5, przednie po 4 palce i po jednym sęcuku w miejscu palca wielkiego. Ciało i ogon prawie zawsze gęstemi, miękkimi włosami pokryte a oczy duże, wypukłe. — Główny rodzaj tej rodziny jest *wiewiórka* (Sciurus Lin.) odznaczający się tém, że wszystkie do niego należące gatunki mają ogon długi, kuldlaty i dwurzędny, to jest pokryty włosami na obie strony rozchodzącemi się — przytém, że pazury ich są ostre i szponiaste, że sęczek zastępujący wielki palec pokryty też drobnym pazurkiem, że warga górna przecięta, pysk spiczasty, ciało wysmukłe i że nie mają torebek przyżuchwowych.

Wiewiórki rozpostrzenione są na północnej i południowej półkuli naszej ziemi, wyjąwszy Nową Hollandję na której się nigdy nie znajdują. — Żyje zwyczajnie na drzewach i karmią się orzechami, żołędziami i innymi suchemi płodami roślin, z których też robią zapasy na zimę, w ciągu której pewne tylko ich gatunki w śnie letargicznym pozostają. — Nadzwyczaj liczne opisane gatunki wiewiórek są jeszcze bardzo niedokładnie od siebie rozróżnione; ponieważ te zwierzęta wielkiej zmienności w ubarwieniu podlegają, sądzimy że po bliższym ich poznaniu, z 60 teraz przyjętych ja-

koby stałych gatunków, połowa przynajmniej ze spisów zoologicznych wykreślona i za odmiany tylko innych gatunków uznana będzie.—U nas jeden tylko mamy gatunek, a nim jest, na dołączonym tu wizerunku, z dwiema odmianami czarną i białą, przedstawiona:

*Wiewiórka pospolita* (*Sciurus vulgaris* Lin.) Ma ona głowę z boków ścieśnioną, ku wierzchołkowi wydatną.—Warga jęj górna znacznie przecięta, dolna bardzo skrócona; oczy wielkie, czarne, biało obrzeżone, długie czarne, wąsiki i wielkie podłużne, mianowicie w porze zimowej pętlikowate uszy.—Zęby przednie, gryzące, są brunatno-żółtawe; ogon wielki, kudłaty, dwurzędny, jednakowej maści i długości z ciałem, która od 7—9 cali wynosi.

Zwyczajne ubarwienie tych wiewiórek jest z wierzchu *czzerwono-rude*, *ceglaste*, lub *czzerwono-śniade*, ze spodu na brzuchu *białe*.—Pod wpływem jednak klimatu, pór roku i rozmaitych innych przypadkowych przyczyn ulegają one rozmaitym odmianom w ubarwieniu.—Pomijając to, że w porze zimowej dostają one wszystkie dużo włosów szarych, odmiany następne powszechnie się dostrzegają: 1) *kasztanowate* pod spodem białe, 2) *zupełnie białe* ale tylko w stanie albinizmu, to jest, że wówczas i oczy są czerwone, 3) *rude*, biało upstrzone, 4) *czarne z brzuchem białym*, których jednak nie trzeba uważać za jedno z oddzielnym w Ameryce Północnej około New-Yorku żyjącym gatunkiem zupełnie czarnym i nazwanym *wiewiórką czarną* (*Sciurus niger* Lin.).—Ta bowiem ostatnia ma do 13 cali długości, ogon również długi uszy bez pezelków i brzuch, oprócz kilku włosków białych, zupełnie czarny.—Nareszcie, 5) znajdujemy jeszcze jedną piękną odmianę wiewiórek naszych,—Są one latem z wierzchu *popielate*, w zimie błękitnawo-popielate a pod spodem białe.—Ta odmiana u nas i w całej strefie umiarkowanej Europy bardzo rzadka, pospolita jest na Syberji gdzie jako *Popielica* (*Sciurus vulgaris*, varietas *Sybirica*) czyli wiewiórka syberyjska, używa się na futra i przeto ważny przedmiot handlu stanowi.

Wiewiórka pospolita zamieszkuje mianowicie czysto-iglaste lub z liściowemi pomieszane lasy całej Europy i Syberji.—Dzień przebywa spokojnie, siedząc najwięcej na wierzchołkach najwyższych drzew; z rana zaś i wieczorem wychodzi na żer, skacząc zwinnie z drzewa na drzewo, z gałęzi na gałąź, i tylko rzadko na ziemię zstępuje. Jeśli człowiek, wlaźszy na drzewo, usiłuje ją schwytać, wówczas nie mając innego ratunku, spuszcza się prosto z drzewa na ziemię, czasem z wysokości 100 stóp i zawsze pada bez

uszkodzenia się, co jest rzeczą wielce zadziwiającą. Karmi się wiewiórka nasza, jak i wszystkie inne z nią pokrewne, rozmaitemi suchemi owocami roślin—ale największym dla niej przysmakiem są u nas orzechy i drobne oleiste ziarna, w szyszkach drzew iglastych zawarte.—Ileż razy, rozsypałem pod jodłą pustemi wyłuszczone szyszkami, obecność swoją wiewiórka nam zdradza?—Wkrada się też często ona do sadów, gdzie dla wydobycia ziarna z jabłek, gruszek, nawet moreli, obrywa owoce, ogromne przez to sprawując szkody. Niemniej też jest szkodliwą na wiosnę w lasach, niszcząc młode pączki wielu drzew, w daleko większej ilości, aniżeli jęj do nakarmienia się potrzebuje.—Czasem staje się nawet mięsożerną i wówczas rabuje gniazda małych ptaków, zabierając jaja lub młode piśkłęta na spożycie.—Trzymana w niewoli, lubi bardzo migdały słodkie, które jednak od gorzkich, jako śmiertelnie jęj szkodliwych, dobrze rozpoznaje.—W jesieni robi wiewiórka, w dziuplach starych drzew lub na ziemi pod opadłemi liśćmi, zapasne składy wyborowych orzechów, żołędzi i t. p. które jęj w zimie służą za pokarm, albowiem nie ulegając jak inne niektóre wiewiórki i gryzące zwierzęta zimowemu letargicznemu snu, ciągle potrzebować żywności musi.

Na wiosnę w marcu łączą się wiewiórki parami, poczem samica buduje pewien rodzaj gniazda albo prosto w wydrążeniach starych drzew, albo też pomiędzy gałęziami średniej wielkości drzewa jakiego. Gniazdo takie, kuliste, z suchych gałęzi mchu i z zeschniętych liści utworzone, zawieszane jest swobodnie, i ma tylko mały do wejścia otworek.—Oprócz tego, nim się potomstwo narodzi, rodzice zwyczajnie jeszcze jedno lub kilka gniazd zapasnych przygotowują—czy to dla zmylenia swych nieprzyjaciół, czy też dla tego, aby w razie niebezpieczeństwa mieli gdzie młode swe od niego uchronić.—Ten ostatni cel najbardziej wydaje się nam prawdopodobnym; wiemy bowiem z pewnością, że skoro rodzice dostrzegą, iż ktokolwiek był przy gnieździe, w którym młode się znajdują, biorą je ostrożnie w zęby i przenoszą do drugiego gniazda. Przy końcu kwietnia lub w początku maja rodzi samica 4 do 6, rzadko 7 małych.—Przez dni 9 wiewiórki są ślepe i nieudolne.—Po kilku tygodniach zaczynają już z rodzicami po drzewach łązić, lecz do zupełnego wzrostu dochodzą za ledwie po upływie 7-u miesięcy.

Aby je przyswoić najlepiej wyjąć je z gniazda kiedy mają tylko 10 do 12 dni, a wówczas, szczególnie kiedy ktoś się nimi ciągle zajmuje, stają się nadzwyczaj

łaskawe i potulne.— Samce jednak, doszedłszy do wieku dojrzałego stają się najczęściej bardzo złośliwymi i silnie kęsażą gdy kto ich rozdrażni.— Uważnie hodowane i dobrze karmione dochodzą swojskie wiewiórki do lat 6 i więcej; w stanie zaś zupełnie swobodnym, jeszcze dłużej zapewne żyć muszą. Ilość wiewiórek wszędzie w naszych lasach i ogrodach jest bardzo wielką, chociaż płodność ich jak widzieliśmy nie wyrównywa płodności zajęcy, królików, szczurów i t. p. Pochodzi to z tego, że człowiekowi nie służą one ani na pokarm ani na żaden inny użytek, a pomiędzy zwierzętami mało mają nieprzyjaciół oprócz tylko sów i kun, które nocami do nich skradając się, niemało ich wytepiają.

Powolnie w pokojach, nie w klatkach, trzymane wiewiórki dają dowody następnego podziwienia godnego instynktu, co już nieraz dostrzeżonem było.— W ciepłe letnie dni, korzystając z otworzonych drzwi, lub okien, wymykają się z domu i ukrywają się przez dzień cały w pobliskich szpalerach lub gajach. Pod wieczór, o dobrze im wiadomych godzinach posiłku

mieszkańców domu, punktualnie z podwórza przychodzą i wówczas, śmiało wskakując na stoły jadalne, podane sobie orzechy lub migdały najspokojniej spożywają.— Potem znikają na noc całą i tylko z rana w podobnych posiłku porach znowu się w pokojach zjawiają. — Zdarzyło mi się samemu posiadać taką wiewiórkę.— Lecz nie długo nią się cieszyłem, bo te regularnie powtarzające jej nawiedziny trwały tylko około tygodnia.— Pewnego dnia, gdy raz z domu mego wyszła, już więcej do niego nie wróciła. Nie sędzę wszakże, aby paść miała ofiarą którego ze swych nieprzyjaciół; musiała raczej zdziczeć, oswoivszy się powoli z otaczającą ją przyrodą, której od dzieciństwa pozbawioną była, i gdzieś tam daleko od mieszkań ludzkich do lasów swych rodzinnych się przenieść. Zapewne lichej jakości i niedostateczny leśny pokarm, ale swobodnie spożyty, lepiej jej smakował, aniżeli nasze wytworne przysmaki, obficie wprawdzie dawane, lecz przypominające jej zawsze niewolę, z której tylko pozornie i w części wyswobodzoną się czuła.

K. G.

## O POCZĄTKACH CYWILIZACYI W ANGLII.

(Dokończenie.)

Król Nortumbergii ze czcią przyjął młodego Wilfrйда, który nietylko, że zwiedził odległe kraje, lecz w Rzymie otrzymał błogosławieństwo Papieża i święte relikwie, które zupełnie obroniły go od sromotnej śmierci, podczas tracenia biskupa Delfinusa; nadał mu rozległą część ziemi gdzie założył klasztor w którym przełożonym został, a potem powołanym na wakujące z powodu śmierci biskupa, na Nortumberlandzkie biskupstwo: Lecz ponieważ z powodu panującego wówczas w tej części kraju powietrza, biskupstwa opróżnione zostały obsadzone przez duchownych szkockich, różniących się w obrzędach z rzymskimi; Wilfryd nie chciał ażeby ciż księża, podług niego w herezyi będący, na biskupa wyświęcali, udał się do Francji.— Tam znany ze świętobliwości Wilfryd był z zapalem przyjęty, i dwunastu biskupów zjechało do Compiègne na święcenie jego. Po odbytej solennie ceremonii, pospieszył z powrotem nowy biskup do kraju swego. Tym czasem morską podróż nie była dla niego szczęśliwą i nic dziwnego, kiedy w naszym już wieku bez wypadków i niebezpieczeństw nie można było dostać się z Anglii do Rzy-

mu; i tak np. sławny autor Fabljoli kardynał Wiseman gdy udał się z tamąd do nieuorganizowanej szkoły Angielskiej w Rzymie, wypłynął 2-go października a stanął w Liwerpool, dopiero w połowie grudnia, doświadczywszy w długiej podróży swojej różnych wypadków, jak palenia się okrętu, braku słodkiej wody i t. p.

Nasz biskup jeszcze przykrzejszym uległ wypadkom. Okręt którym płynął, burza zagnała na brzegi królestwa Sussex, do którego jeszcze światło wiary chrześcijańskiej i cywilizacyi nie były doszły.— Dzicy mieszkańcy brzegów, uważali jako zdobycz swoją każdy statek zagnany w ich strony; zwykle zabierali wszystko co tylko się na nim znajdowało, a ludzi jako własność należącą do siebie, za niewolników uważali. Napadli więc na okręt, lecz będący na okręcie ludzie bronili się przeciw temu napadaniu tém śmieliej, że okręt, nie był uszkodzonym.— Artysta jakiego mógłby być zajmujący zrobić obraz napadu tego, odznaczającego się wybitną sprzecznością jaka zachodziła między napadającymi a broniącymi się— pierwsi, w dziwacznych strojach, gwałtownie nacie-

rający, mieli z sobą duchownego pogańskiego, który w czasie ich natarczywego nacierania, rozmaite czynił zaklęcia i czary, chcąc temi ruchami sprowadzić pomoc duchów.— Drudzy odpierali napad spokojnie, oględnie, a świętobliwy Wilfryd duchowny chrześcijański, pomiędzy niemi klęcząc na pokładzie, ze wzniesionemi do Boga rękoma, wzywał z wiarą w Imię Zbawiciela pomocy Jego.

Oszczędziła Opatrzność potrzebnego dla tychże samych barbarzyńców, Apostoła; obroniwszy się okręt, korzystał z uspokojenia fal morskich i w dalszą puścił się drogę.

Powróciwszy Wilfryd, nie zastał już wakującego biskupstwa, w skutek opóźnionego, przez smutne wypadki w podróży powrotu, inny Szkocki biskup zajął miejsce jemu przeznaczone. Nie spierał się o tę dostojność świętobliwy kapłan i wrócił zająć dawne miejsce Przeora w klasztorze założenia swego w Ripon. — Dopiero w lat kilka dostał biskupstwo w Yorku.

Nie kreśląc tu historyi całkowitego życia Św. Wilfryda, nie będziemy mówili o dalszych zmianach losu jego, o prześladowaniach jakich doznawał w skutek żarliwego obstawania za obrzędami rzymskimi, którym zawsze sprzeciwiali się, mianowicie w obchodzeniu świąt Wielkiéjnocy, duchowni szkoccy, od Bretanów tą zmianą zarażeni. Powiemy tylko o ważnym wpływie jaki on i jego zakon wywarł na Bretanję; która za pośrednictwem jego, całkowicie od pogaństwa uwolnioną została.

W czasie prześladowań, gdy Wilfryd uchodzić musiał z Nortumbergii, opuściwszy biskupstwo Yorku, chroniąc się kolejno w różnych prowincjach Wielkiej Bretanii; a nie mogąc dla trudności porozumieć się z Rzymem w tak prędkim jakby należało czasie; udał się do prowincyi Susex, gdzie tak kiedyś w sposób niegościnnie był przez mieszkańców nadbrzeżnych przyjęty.—Była to jedyna część kraju, w którym jeszcze wcale nauka wiary chrześcijańskiej nie była znaną. Królowa wprawdzie wraz z małżonkiem chrzest byli przyjęli, lecz nie próbowali nawet nawracać mieszkańców w lasach, skałach, bez żadnej cywilizacji mieszkających, jakby razem z dziką naturą w jednych warunkach żyjących. Wilfryd pełen chęci podźwignienia biednego ludu w ciemnocie pograżonego, staje między niemi, a powierzchowność jego, głos, mowa pełna słodyczy, wywiera święty wpływ. Było to właśnie w roku, kiedy biedni mieszkańcy z powodu wielkiej suszy, pozbawieni byli po-

żywienia i do takiej dochodzili rozpacz, iż zdarzały się samobójstwa w sposób okropny wykonywane; zdarzało się, że takich kilkunastu zgłodniałych biedaków, wzięwszy się za ręce, razem rzucali się w morze. Łowienie ryb byłoby dla nich zbawieniem, brzeg morski był miejscami przystępny, lecz oni nie umieli robić sieci.—Wilfryd nie oszczędzał pracy aby ich nauczyć tego sposobu, wkrótce z pomyślnym skutkiem zapuszczone sieci dostarczyły pożywienia ludowi, którego Apostoła swego za opatrzność uważać zaczął. I tak ostatnia prowincja Anglii, została pracą i poświęceniem się jego, do wiary i cywilizacji powołaną.—W nagrodę nadany mu został półwysep Sejséj, gdzie zaraz zajął się wystawieniem kościoła i klasztoru.

Nie tylko w różnych częściach Anglii na pogańskich mieszkańcach wpływ Wilfryda był nadzwyczajny; ale gdy w jednej ze swych podróży, które wiadomo jak były częste, wracał z Rzymu; zanieiony burzą na brzegi Fryzyi, pierwszy tamtejszym mieszkańcom Ewangelię opowiadać począł i otworzył drogę innym późniejszym missjonarzom, którzy w następnym wieku nawracali północne Niemcy.

Tak w kilkadziesiąt lat po S-ym Augustynie pierwszym Apostole Bretanii, cały kraj z bałwochwalstwa wyswobodzonym został; a uprawa roli, budownictwo, nabyły piętna cywilizacji wyższej. — Nie tylko bowiem Augustyn i niezmordowany Wilfryd wnosili gmachy, do których ten ostatni sprowadził ze stolicy świata dzieła sztuki; ale również jeden zakonnik Benedykt, towarzysz podróży Wilfryda, znakomite przysługi tego rodzaju oddał rodakom swoim.—Udawszy się do sąsiedniej Galii, sprowadził malarzy i fabrykantów szkła kolorowanego i wznosił wspaniałe kościoły w Weymouth — tudzież przywiózł z Włoch nieznane dotąd jedwabne szaty do służby kościelnej, których haft obudzał podziwienie. Epokę w której żył i pracował Wilfryd, następcą Augustyna, słusznie nazywają historycy angielscy pierwszym perjodem cywilizacji chrześcijaństwa łacińskiego.—Swoją wytrwałością, niezmordowaną miłością, S-ty Wilfryd wyszedł szczęśliwie ze wszystkich prześladowań, tak że prawie każdego z głównych nieprzyjaciół jego, albo się z nim pojednał za życia, albo przy śmierci dręczony wyrzutami sumienia; jak np. Arcybiskup Teodor metropolita Kantorbergi, który nie uważając odezwy Papieża uniewinniającej Wilfryda, złączywszy się z nieprzyjaciółmi jego, pozbawił go wszelkich dostojęństw; dopiero na łożu śmierci zapragnął pojednania i chciał świętobliwego męża, na



swojém miejscu obsadzić; czego Wilfryd, nie pragnący wywyższenia, nie przyjął.

Kończąc ten pobieżny i krótki rys początkowej cywilizacji, dziś tak potężnej Anglii, przytoczymy jeszcze zdania pisarza jój narodowego Milmana—któren mimo dzisiejszowiecznego rozbratu Anglii z Rzymem i uprzedzeń przeciw duchowieństwu katolickiemu, twierdzi: „że wszystkie niezgody duchowieństwa ówczesnego giną, w obec nieprzeliczonych dobrodziejstw jakie przodkom naszym z nauką chrześcijańską wprowadzili; zawdzięczamy, jedynie duchowieństwu ówczesnemu, emancypację niewolników, tudzież zniesienie poddaństwa w dobrach kościołom nadanych; kościół bowiem zawsze liczył pomiędzy największe mające zasługi uczynki, oswobodzenie więźniów. A przy tém tak przeciwnicy jak zwolennicy Wilfryda, nieprzestannie pracowali nad wprowadzeniem literatury starożytniej, do nieznającego jój wcale narodu. Tak arcybiskup Teodor, założył w Cantorbery szkoły, w których uczono języka greckiego, będącego rodzinnym językiem metropolity.— Nadto, opatrzył ów zakład w rozmaite rękopisma greckie, między któremi znajdowała się piękna kopja poematów Homera.”

Słusznie autor twierdzi, że sprzeczki między duchowieństwem nie przeszkadzały ogólnemu dobremu wpływowi jaki wywierało, te sprzeczki bowiem wpływały jedynie z różnicy w obrzędach. Zupełnie inaczej było z duchowieństwem we Francji i być musiało inaczej,—bo zastawszy zepsutego Rzymu prawa, obyczaje; zastawszy powierzchowną pogańską cywilizację, zwolna, dało się samo jój opanować, tak dalece, że duchowieństwo francuzkie liczące przed stu laty cały szereg świętych, wówczas stało się gorszącém, zgangrenowaném ciałem, razem z panami feudalnymi, dopuszczając się sromotnych występków, <sup>1)</sup> i tylko w północnej stronie Galii, tylko między zakonnikami missjonarzami, przechowywała się czystość wiary i obyczajów. Dla tego S-ty Bonifacy któremu niektórzy zbytek surowości wyrzucali, domagał się od Papieża władzy, pozwalającemu ostro

<sup>1)</sup> Dziwnym zbiegiem okoliczności, mimo tych odmiennych początkowych wpływów, Francja dotąd jest katolicką—gdy Anglja oddawna odszczepiła się od kościoła.

karać rozpuszczonych duchownych i nowych mianować biskupów. Inaczej było z duchowieństwem angielskiém; te z gorliwością i czystością uczuć, jakie zawsze cechuje Apostołów gotowych na niebezpieczeństwo dla miłości wiary, przybyło do ludu barbarzyńskiego, surowego jeszcze; samo przyniosło mu nie tylko naukę religii ale wszelką cywilizację, zatrzymało więc charakter duchowny, moralny i dla tego wpływ jego zawsze pozostał dobrym; bo wszyscy pragnęli dla ludu oświaty wyższej, której prawdy dowodem jest wyżej wspomniony metropolita Teodor. Temu oprócz nieprzyjaznych przeciwko Wilfrydowi działañ, nie niemoralnego zarzucać nie można. Mylnieby kto sądził, iż Teodor jako grek, był zarażonym przez sektę obrazoborców i dla tego był nieprzyjazny Wilfrydowi; wcale nie o tym Teodorze tu mowa—Albowiem sekta ta dopiero po śmierci jego i Wilfryda rozwijać się poczęła.—Prawdziwie nie wytłumaczono jój początku, jakby duch złego, chcąc podkopać jedność, wyrzucił z łona swego cesarza Leona zwanego Izorańskim, z powodu, że się w Izaurze rodził; szczególny ten człowiek, nagle, czy przez dziki wstręt do sztuki, czy jak inni twierdzą, w skutek zabobonnej wiary w przepowiednie jakiegoś żyda, któren mu 40 lat panowania świetnego obiecywał, jeżeli obrazy zniesie; wystąpił jako prześladowca wszelkich posągów i obrazów, a z całym despotyzmem ówczesnych władców wdzierał się w rozporządzenia duchownych niszcząc ludowi jego miłe, oparte na tradycjach, obrządki—nie pozwalając zrazu zbierać się przed ulubionymi posągami, a potem obalając je, niszczył wraz z wszelkimi obrazami. Na próżno papieże przedstawiali, że cześć oddawana *pamiętce, symbolowż*, nie jest bałwochwalczą—Leon i następcy jego głuchymi byli na prośby i groźby Rzymu, gdzie właśnie tak szczególnie rozwijała się sztuka na pojęciach chrześcijańskich. Jakież to wojny domowe, jakie męczeństwa i prześladowania cesarza obrazoborcy i ich nieszczęśliwe narzędzia, sprowadzili na kościół! — pierwsze odłączenie greków od Rzymu iluż klęsk było powodem? Leon nie należy wcale do materyi rozpoczętej historii tych smutnych wojen—wspomnieliśmy o nim mimowolnie, chcąc tylko wykazać, że sprzeczki Teodora Greka z Wilfrydem, wyprzedziły o lat kilkanaście tę niszczącą w początku wieku VIII epokę i że nie były wcale téj natury.

## WZMIANKI O SIENNIE.

(Z RYCINĄ SZTYCHOWANĄ OBRAZU.)

Nie można dość podziwiać zamiłowania w artyzmie i wszystkiego co się poezją zwać może, jakie w pięknej krainie Italii słusznie kolebką sztuki nazwaną, rozwijało się, wzrastało mimo krwawych scen, mimo tak ważnych przeszkód, jakie nieustanne wojny domowe stawiały im tak obficie. Dwie ku temu popędowi do estetyczności, wydają się nam przyczyny; jedną naturalnie piękna przyroda, będąca zawsze dla człowieka kształcicielką smaku: drugą, są pojęcia wyższe o prawach, o godności człowieka, które według tychże pojęć, organizowało kształt rządu, najwięcej sprzyjający do rozwinięcia cywilizacji wyższej, a tém samém rozwinięcia uczucia piękna. Widzimy w historii jak w czasach zawiązywania się rzeczypospolitych włoskich, rozwijały się sztuki, powstały piękne gmachy, mimo okropnych walk, mimo dwóch silnych partyj, jakimi były: stronnictwo Gibelinów ze strony cesarstwa—a przeciwne mu stronnictwo Gwelfów ze strony kościoła, protegujące wzrastające rzeczypospolite. Nie mówiąc o znacznych miastach, znanych powszechnie w historii—wspomnimy krótko o Siennie, która zaledwie 20,000 liczy mieszkańców; nigdy ona siłą, świetnością nie jaśniała a mimo to możnaby ją nazwać jedną ze znaczniejszych kolebek sztuki, mianowicie co do budownictwa i nieporównanej sztuki układania obrazów z małych cząstek różnobarwnych kamieni, mozaiką zwaną.

W czternastym wieku, kiedy biedna rzeczpospolita Sieńska pomimo męztwa, zbyt mała, aby się potężniejszym sąsiadom oprzeć skutecznie mogła, w ciągłych była z nimi walkach—wznosiły się w mieście arcydzieła budowli, odznaczali się najslawniejsi artyści. Całuje ona rzeźbami zdobiacami front czyli fasadę kościoła, a szczególnie podłogę, którą słusznie arcydziełem jedyném w swoim rodzaju nazwać można. W Siennie bowiem tylko używano sposobu rycia na kamieniu i napuszczania tychże rysów czarnym kolorem, jak to czynią na blachach miedzianych.

Pierwszym twórcą tego rodzaju mozaiki był Duccio; sława zaś za ostateczne udoskonalenie tej sztuki, należy się wielkiemu artyście Beccafumi; wiel-

ką także a może wyrównywającą tym dwóm mistrzom zasługę położył w tej pracy Matteo di Giovanni.—I tak, pierwszy wpadł na myśl rysowania żelazem na marmurze i zapuszczania mastyksem czarnym. Drugi Matteo di Giovanni, wprowadził użycie do tego różnobarwnych kamieni znajdujących się w okolicach Sienny, tak ażeby obok rysunku był i koloryt zachowany.—Zaś trzeci Beccafumi, wynalazł sposób napuszczania kolorami tychże kamieni, żeby cieniowanie, gra światła, były doskonalsze. Istotnie z rąk tych trzech artystów wyszło to zajmujące czyli zadziwiające arcydzieło, jakiego nie posiadają inne miasta włoskie, a tém samém inne stolice krajów, gdzie sztuki na tak wysokim stopniu nie stały nigdy.—Posadzka ta pokryta jest deskami, które czasem na prośby zwiedzających odkrywają częściowo, a tylko w bardzo wielkie uroczystości zdejmują je całkowicie.—Artyści, z pomiędzy obrazów przedstawianych na tej posadzce, chwałą mianowicie: Ofiarę Abrahama i Mojżesza na górze Syn ai.

Wymieniliśmy tu tych trzech artystów, z powodu, iż dzieło ich jest w swoim rodzaju jedyne; zaś malarzy w których tak obfitują Włochy, budowniczych, rzeźbiarzy nie wymieniamy wcale, mówimy tylko w ogóle, że arcydzieła ich czy to po pałacach miasta czy po kościołach znajdujące się, nie ustępują, owszem przewyższają innych; że szkołę Sieńską słusznie zwać można jedną z dorodniejszych gałęzi pięknej toskańskiej szkoły, o której z taką znajomością rzeczy rozpisał się nasz znakomity ziomek, autor podróży do Włoch (Józef Kremer) świeżo wydanej.

Sienna nie tylko wydała artystów i poetów znakomitych; jednocześnie prawie ukazali się w niej i poeci czynu, ludzie których kościół nagradzając świętobliwe uczynki, w poczet świętych policzyć kazał.—Do tych należy znana Katarzyna S-ta, Sieńską zwaną; tudzież S-ty Bernard; pierwsza nadzwyczajnej pobożności a razem energii, w krótkim swoim życiu oddała wiele przysług, wpływając na zawzięte przeciw sobie stronnictwa—było to bowiem w wieku czternastym, wśród największych między Gibelinami a Gwelfami wojen—wymową swoją pełną słodyczy i



SIENNO.



mocy, Katarzyna zdołała pogodzić Florentczyków z Grzegorzem XI. Zaś S-ty Bernard zwany z Sienny, z powodu, że w tém mieście kształcił się i rozpoczął duchowny swój zawód, również był znakomitym wieku swego mężem. Dawał liczne dowody poświęcenia i miłości bliźniego, czy to wspierając nieszczęśliwych, czy też podczas szerzącego się w kraju powietrza. Syn znacznej toskańskiej rodziny, odznaczał się z dzieciństwa szczególnym usposobieniem moralnym. Widoczna skłonność do nabożeństwa kazała się w nim spodziewać przyszłego duchownego.— Obraz z którego sztych tu przyłączamy, przedstawia dziecinny wiek S-go Bernarda— On to jest oddany w chłopczyku całującym z uczuciem rękę odwiedzającego rodzinnego jego księdza—Księdzem tym ma być sławny Geronimo Restori.— Młodszy zaś Bernarda towarzysz jest późniejszy generał franciszkanów, Niccoletto— kobieta podająca różę starszemu księdzu, ma być matka małego Bernarda, Albizzezi z Moss w Toskanii, gdzie się Bernard urodził. Zgoła wszystkie osoby

tego obrazu przedstawiać mają rodzinę S-go Bernarda; zaś młoda dziewczyna w zamyśleniu siedząca, jest Petronella siostra jego, późniejsza przełożona klarystek.

Obfita w piękne pałace i kościoły, acz niewielka Sienna, słynie ze zdrowego powietrza — przyczyną tego jest zapewne jój położenie topograficzne, leży bowiem na trzech wyniosłościach i kształt ma niby gwiazdy. — Ażeby opatrzyć miasto w wodę, której z położenia swego nie posiadała, ogromne zaprowadzono wodociągi; które jak twierdzą, sięgają czasów rzymskich, bo to tylko Rzymianie nie szczędząc pracy niewolników, mogli wykonywać na wielką skalę podobne dzieła, jakimi są kilko-milowe wodociągi. Piękne są malowania w pałacu rządowym, wykonane w połowie XIV wieku, przez sławnego tamtejszego mi strza Ambrogio di Lorenzo: te pełne bogatej fantazyi utwory, wykonane z wdziękiem, najlepiej świadczą czém była już w owych wiekach, obfita w myśli głębsze i w uczucia sztuka w Siennie.

## ROZMAITOŚCI.

### *Nordkap i Golfstrom.*

Dnia 26 lipca z rana zarzuciliśmy kotwicę w wąskiej cieśninie, pomiędzy stałym lądem i wyspą Mageroé, której północny przylądek nazwano Nordkap. Po obu stronach cieśniny wznosiły się urwiste brzegi i nagie skały, gdzieniegdzie tylko mchem albo drobną porośniętą trawą i poprzerzynane szerokimi szczelinami zasypańmi śniegiem.

Nigdzie nie widać było ani drzewa, ani krzaku, ani nawet śladu ludzkiego mieszkania; jednostajnej powierzchni wód nie ożywiał nawet żagiel łódki rybackiej i tylko krzyk czajek krążących po nad urwiskami, przerywał od czasu do czasu powszechną ciszę.

Dopiero wypływając na wschód z cieśniny ujrzeliśmy w południowo-wschodniej stronie wyspy łódkę dążącą do wioski Kjeldig, którą wystający tutaj przylądek zasłaniał przed naszym wzrokiem. Miejsce to zwiedził jeszcze w 1807 r. Leopold von Buch, a wiarogodność jego opisu dotąd niczém nie jest zachwia-

na.—Gdzie połowa ludności pada ofiarą szkorbutu, gdzie duchowni z południowej Norwegii nie mogą przeżyć i roku, gdzie nie rośnie ani jedno drzewo, nie wschodzi ani jedna roślina, gdzie nakoniec okropne burze ze wszystkich stron morza Lodowatego niszczą ostatni—i tak już wątły znak życia;—tam człowiek, jakby naprzekór wszystkim prawom natury, sam jeden upornie zabezpiecza sobie byt, zaopatrywanym będąc cudownym sposobem ręką opatrzości w dwa tylko niezbędne artykuły—to jest żywność i opał. Morze i fiordy przepełnione są rybami, które dostarczają nie tylko pożywienia ale i pieniędzy; Golfstrom zaś pędząc 5,000 mil angielskich przez cały Ocean Atlantycki, ginie tutaj w walce z Północnem morzem i wyrzuca na brzeg bogatą zdobycz zwrotnikowych lasów. Czyż więc nie zadziwiającą jest rzeczą, że na biednym ognisku północnego rybaka płoną palmy z Haiti, mahoń z Hundurass i pyszne łodygi nadbrzeżnych roślin rzeki Amazonki i Orinoko?

*Hammerfest, miasto najdalej na północ kuli ziemskiej,*

Zwiedzając Hammerfest przed tygodniem, wydało mi się to miasto najposepniejszym miejscem na świecie, lecz teraz w porównaniu z tém co po nim widziałem wydało mi się nieledwie przyjemnym zakątkiem ziemi. Wstąpiwszy dzisiaj do pewnego kupca, z radością ujrzałem w jednym z sąsiednich ogrodów dosyć urodziwy jesion na 8 stóp wysoki. „U nas tutaj dosyć jest drzew — rzekł mi kupiec, z pewnym rodzajem dumy — a tam w dolinie zobaczysz pan nawet las,” Jakoż rzeczywiście, wyszedłszy od niego, znalazłem las o którym mówił; — drzewa były na 6 stóp wysokie i niektóre grubości ręki.

Na małym placu przed domem kupca leżała gromada pijanych Lapończyków, którzy się uraczyli paskudną wódką z uprzywilejowanej to jest posiadającej monopol szynkowania karczmy. Długa ulica z pokrytych darniną chałup, — o mieszkańcach których powiedzieć można, iż przed śmiercią zstępują do grobu, — prowadzi po nad brzegiem zatoki do szeregu małych rusztowań, z których rozchodzi się woń suszonego stokfisu. Dalej zaś za temi rusztowaniami wznosi się niewielki, pokryty małą trawą pagórek, na który tylko po kamieniach i urwiskach wdrapać się można. Na tym pagórku stoi kamienny słup wbity na pamiątkę wymierzenia 25° i 20' szerokości łuku południka od Dunaju do morza Podbiegunowego, przez rządy — austriacki, rossyjski i szwedzki w latach 1816—1852 uskutecznionego. Słup oznacza ostateczny punkt wymierzonej linii i stoi pod 70° 40' 1,3" szerokości północnej. Wyciosany jest z czerwonego polerowanego granitu, podstawa zaś z szarego. Na wierzchu jego znajduje się brązowa kula mająca wyobrażać glob.

*Machiawel.*

Lamartine w swoim *kursie literatury* napisał o nim obszerne studyum, w którym przebiega wszystkie dzieła sławnego polityka i utrzymuje, że Machiawel wart więcej niż jego sława; powiada, że jak jego sąsiad Galileusz, stworzył on nową naukę, którą można nazwać mechaniką historyi; w końcu dowodzi że w czynach, Machiawel okazywał się stokroć lepszym niż w teorii, czego przytacza liczne dowody.

Dla czegoż, ów sławny myśliciel zapieczętował swój żywot fatalną księgą, która sama jedna utkwiała w pamięci ludzkości? napisał „*Księcia*.” Jego to blask piekielny zaćmił i „*Korrespondencye*” i „*Komentarz do Liwiusza*,” a potomnym przedstawił autora tylko, jako antychrysta. Jak mógł napisać taką księgę Machiawel? Pytanie to, sto razy zadawane przez rozmaitych myślicieli, zadaje z kolei Lamartine i usiłuje nań odpowiedzieć. Zdaniem jego Machiawel republikanin usunięty z widowni politycznej przez zwycięstwo partyi przeciwniej, w 50 roku życia ukłuty żądłem pychy, zapragnął odegrać rolę w oficjalnej komedyi: napisał tedy „*Księcia*,” ażeby dać Medyceuszowi próbkę swoich zdolności, a zarazem dowód poświęcenia bez skrupułów. Myślał, że tym sposobem zwróci jego uwagę i zostanie powołany do Władzy. Wiedział także, że najmiłszem pochlebstwem dla takiego człowieka, jakim był Medyceusz, jest chwalenie właśnie najgorszej strony jego panowania, nazywanie zręcznością tego, czego nie można było nazwać cnotą. Powyższy wywód jest podobno najlepszym wyjaśnieniem pobudki, jaka skłoniła autora do napisania tej księgi, która w naszych czasach straciła nawet jedyną wartość swoją: wielki rozum przyznany sobie w przeszłości. Moralność jest pierwszym warunkiem natury wszelkiej społeczności. Jest to tak dalece prawdą, że nawet w jaskini zbójców herszt musi zaprowadzić pewien rodzaj sprawiedliwości, bo inaczej nie utrzyma bandy. Z tejże przyczyny w każdym cywilizowanym kraju, prawodawstwo nie jest czém inném, je no spisaniem uznaniem węzła towarzyskiego, przedstawiającego zawsze jeżeli nie ideał, to średnią sprawiedliwości. Gdyby teraz *książę* Machiawela przyszedł wziąć w dzierżawę przywary ludzkości i chciał eksploatując je, panować, w gruncie sprzymierzyłby się tylko z jednostkami, z żywiołami rozpierzchłemi; ogół, ten ogół; który dziś wszystko znaczy, pozostałby mu urogiem gwałcąc zasady sprawiedliwości czyli węzły społeczne, poruszyłby przeciw sobie wszystkie siły natury, *prawa Boże*, społeczności, rozpoczęłby na nowo walkę Tytanów z Bogiem i w końcu musiałby przepaść w owym buncie przeciw nie bu połączonemu z ziemią. Prosta logika wykazuje to z góry, a historia rachunek jej potwierdza. B. W.





Narodzenie Jezusa Chrystusa.



## ANTONI ALLEGRIJ (Corregio.)

(Z RYCINĄ OBRAZU NA STALI.)

Mało się znajdzie osób, któreby nie widziały lub nie słyszały o sławnym obrazie, znanym pod nazwiskiem: Noc Corregia.— Istotnie, to arcydzieło Włoskiego mistrza, odznacza się nadzwyczajnymi pięknościami, a mianowicie dziwném, jakby nie ziemskim światłem, które pochodzi z boskiego dzieciątka i rozlewa się po całym obrazie.— Myśl pełna prawdy i wysokiego pojęcia o wielkiem chrześcijańskim świetle, przenikającym, a nie rażącym gwałtownym blaskiem, doskonale przez artystę oddana, tém więcej czyni mu zaszczytu, że w czasach, w których ją pojął, nie wszyscy równie czysto rozumieli posłannictwo nowój Boskiej nauki.— Albowiem Corregio czyli Antoni Allegri urodził się w roku 1494, kształcił się więc i rozwijał w początkach szesnastego wieku, wśród najstraszniejszych religijnych sporów Lutra i wśród wojen Francyi, zdobywając cę lub tracąc naprzemian piękną ojczyznę naszego mistrza.

Do natchnionego artysty nie miały przystępu suche, rozumowe protestantyzmu zasady, i kiedy Luter uniesiony gniewem na duchowieństwo katolickie, wyrzucał obrazy świętych, kiedy silne stronnictwo jego poparte przez Elektora Saskiego, przyjęte od Akademii Wirtembergskiej, rosło w siłę potężnie; tak że spaliwszy bulę potępiającą go, nowy ten odstępcza nie szczędził pism uwłaczających czci dla Maryi i świętych; Corregio jakby nagradzając to ubliżenie, odtwarzał na płótnie niebiańskiej czystości Madonny—jakby chciał przekonać zachwianych w wierze, mówiąc pędzlem swoim: „Patrzcie! zkażęby w ludzkim pojęciu powstała taka uosobiona czystość i miłość, gdyby była wcale nieistniała i nie przechowała się w tradycyi?” — Obraz jego znany pod nazwiskiem Madonny z dzieciątkiem Jezus, znajdujący się w Akademii sztuk pięknych w Parmie, w owym wieku wykończony, istotnie nazwać-by można dziełem hołdu i uznania, na jakie zdobyć się może śmiertelnik pojmujący wyższe, czyste, wolne od namiętności istoty.— Powszechnie we Włoszech dla odróżnienia go od Nocy, dla ocenienia go na równi z tém arcydziełem, zowią: *Dniem Corregia*.

Kiedy Corregio rozpoczynał zawód swój, kiedy właśnie był w wieku, w którym młoda, gorąca wy-

braźnia łatwo wszelkie przyjmuje wrażenia i wpływom ich ulega, zasiadał wówczas na stolicy apostołskiej Leon Xty, syn Wawrzyńca Medyceusza.— Znana była rodzina Medyceuszów ze swego zamiłowania w sztukach pięknych, a Leon był nieodrodnym jej synem. Zarzucają nawet historycy, że dwór jego raczej do książęcego, światowego miłośnika nauk i sztuki, niż do następcy Piotra był podobnym; i dla tego wszystkie nawet nieprzystojne i lekkie, byle z talentem oddane poezye, czy to Arjosta, czy innych, znajdowały u niego protekcje.— Rzecz dziwna iż jednak w wieku, w którym tyle składało się warunków do sprowadzenia sztuki z wielkiego chrześcijańskiego stanowiska; ona przeciwnie, jako natchniona kapłanka, stanęła na straży czystych pojęć duchowego piękna.— Pod wpływem osłabionej przez Luteranizm wiary, pod wpływem duchownych odstępujących od obowiązków właściwych wielkiemu powołaniu swemu, — Rafael, Corregio i inni wydali arcydzieła; gdzie właśnie jakby na przekorę atmosferze która ich otaczała, czerpiąc z własnych natchnień zasoby, dawali poznać prawdziwie wyższą chrześcijańską sztukę.— Sławne są słowa, które wyrzekł nasz młody Corregio, wpatrując się w obraz Rafaela; „Ja także jestem malarzem!”— Istotnie był nim już w duchu; gdyż lubo jeszcze wtedy nie wykonał nic znamienitego i za ledwie umiał trochę rysować, to był *nim* w uczuciu; bo wśród innych piękności sztuki, umiał cześć oddać temu, co odznaczało się wyższém duchowém piękném.— Odtąd wróciwszy do domu, oddał się malarstwu i wykonał mnóstwo dzieł, z których najslawniejsze noszą miana: *Dzień i Noc*.

Zbyt często uderza nas sprzeczność, dwoistość jaką spotykamy w artystach, a nawet w jenukach; innym jest poeta, a innym człowiek.— W chwili natchnienia, uznaje cześć dla tego tylko, co mu istotną moralną wyższość przedstawia; a po za tą chwilą, sam życiem swoim codziennie zaprzecza tej świętej prawdzie. Szlachetny Corregio był jednym z rzadkich w tym względzie wyjątków. Czyste, poczciwe życie jego było równie jak utwory pędzla, moralnego piękna obrazem.— Ukochawszy w młodości swęj

szesnastoletnią dziewczę, zrodzoną w temże co i on mieście, poślubił ją, i był najlepszym mężem i ojcem—Religijny, moralny, mało bardzo wydawał na utrzymanie swojego domu, a co tylko zbywało mu od zaspokojenia skromnych potrzeb, rozdawał biedniejszym od siebie. Był też powszechnie szanowany i lubiony od współczesnych.

Roku 1528 ukończył Corregio swój sławny obraz, z którego tu sztych widzimy; obraz ten był przeznaczonym dla wdowy obywatela Parmy, Bryziedy Bergonzi i dziwnym sposobem zapłacony. Przez sześć miesięcy, kiedy się zajmował tą pracą, wdowa dostarczała mu żywności — po ukończeniu dała mu jeszcze dwie firy drzewa, kilka miarek pszenicy i tucznego wieprza. — A nad to wyliczyła mu przeszło 40 cekinów, co na naszą monetę uczyniło przeszło 800 złotych, *samą miedzią!* — Był to tak wielki ciężar, że gdy artysta uradowany iż tak znaczną sumę przyniesie rodzinie swój, szedł obla-

dowany do domu przyśpieszonymi krokami— wróciwszy, dostał silnej gorączki i wkrótce umarł, licząc zaledwie lat czterdzieści. Za ten obraz, tak drogo, bo życiem mistrza opłacony, w dwieście przeszło lat później, zapłacił August III król Polski około 40,000 franków. — Nie można dokładnie wiedzieć ceny, z powodu iż Franciszek III panując wówczas w Modenie, sprzedał z galeryi tamtejszej za 130,000 franków 100 obrazów, między którymi najważniejszym było to arcydzieło, które tam w roku 1640tym przeniesionem było z kościoła Śgo Prospera w Reggio, gdzie go legowała wdowa Bergonzi.

Właściwe nazwisko nieśmiertelnego mistrza było Antonio Allegri— lecz ponieważ urodził się w Corregio, miasteczku państwa Modeńskiego, nie daleko Parmy, gdzie zwykle potem przebywał— nadano mu miano od miejsca urodzenia, według zwyczaju ówczesnych wieków.

S.

## O MUZYCE.

Pochodzenie muzyki. — Chóry starożytnych tradycyj. — Muzycy w Rzymie.—Instrumenta muzyczne w XII, XIII, i XIV, wieku.—Pierwsze skrzypce.

Po architekturze, muzyka zajmuje pierwsze miejsce jako najdawniejsza ze sztuk pięknych. Kilku pisarzy utrzymuje, że początek jój był w Egipcie, téj kolebce wszystkich sztuk pięknych, filozofii i wyznań religijnych. Grecy przypisują wynalazek muzyki bogu *Merkuremu*, który niby zrobił pierwszą lirę. Niektórzy zaś poeci greccy, w swoich poematach, opiewają *Kadmusa*, ojca muzyki, przypuszczając, że on, w czasie swojej ucieczki ze dworu Fenickiego przywiózł ztamtąd *harmoniję*, pierwszą śpiewaczkę. Według Plutarcha, *Amfion* i *Apollon*, byli twórcami muzyki; po nich zaś udoskonalali ją: *Chiron*, *Demodokas*, *Hermes* i *Orfeusz*. Następnie *Fenicyusz*, i *Terpander*, współczesni Likurgowi, napisali reguły o muzyce. Nareszcie *Tales* i *Tamirys*, są uznani nie bez przyczyny, jako pierwsi wynalazcy muzyki czysto-instrumentalnej. Bo muzyka wokalna, czyli śpiew, na długo wyprzedził instrumenta, które starożytni wyrabiali z drzewa, z kości słoniowej, z kamieni, z rogów bajwołów i z rozmaitych metallów.—Ci muzycy żyli przed Homerem, to jest przeszło na 500 lat przed Narodzeniem Jezusa Chrystusa. *Lazus*, *Hermi-*

*neusis*, *Melnippides*, *Filoxenes*, *Tymoteusz*. *Frines*, *Epigonius*, *Lizandes*, *Simunicus* i *Diodor* ulepszyli tę arcy-piękną sztukę, która u Assyryjczyków, Medów i Egipcyan dosięgła do najwyższego stopnia doskonałości, do którego terazniejsi artyści nie zbliżają się nawet. Gdy zwiedzają się ruiny Memfis, Suzy i Egbatany zadziwia się rozum ludzki, nad zniszczonemi już dzisiaj instrumentami, które wydawały niegdyś potoki dźwięków, pod sklepieniami olbrzymich świątyń, poświęconych bogom —i pałaców królewskich.

*Lazus*, współczesny Daryusza Histaspa, był pierwszym, który bardzo wiele napisał o muzyce. *Epigonius*, wymyślił instrument o 40 strunach, który nazwał Epigonium, a *Simicus* o 35 strunach, który został nazwany Simmikum. *Diodor* udoskonił flotowers dodając kilka otworów, *Tymoteusz* lirę dodając strunę, za co został skazany przez Spartańczyków na karę pieniężną.

Instrumenta starożytnych podzielić można na, 1) instrumenta wydające odgłos za pomocą strun, 2) za pomocą wiatru lub 3) za pomocą uderzenia.

Instrumentami o strunach, które używali starożytni, były: *lira*, *psalterium trigonium*, *citara*, *testudo*, *Simmikum*, i *epandron*. Za poruszeniem ręką lub smyczkiem (nazwanym *plektrum*), strón tych, wyda-

wały one dźwięk. — Instrumenta zaś, wydające odgłos za powiewem wiatru, były: *fibia*, *fistula*, *tuba*, *litius* i *organy hydrauliczne*. — Instrumenta, w które uderzało się pałeczkami drewnianymi, były: *cymbaly*, *bębenek*, *krobalum*, *titinnabulum* i *krepitakulum*.

Ateneusz nas naucza, że u Medów, Egipcyan i w rzeczachpospolitych greckich, wszystkie prawa boskie i ludzkie, wiadomości o bogach i bohaterach, ich czyny i życie, były opisywane w wierszach, i śpiewane chórem przy odgłosie rozmaitych instrumentów muzycznych. Prawodawcy i królowie nie mogli znaleźć sposobu więcej skutecznego do utkwienia w pamięci zasad moralności i obowiązków społeczeństwa. Nadto, pisarze starożytności różnią się między sobą o wiele nad przedmiotem, naturą i własnościami muzyki. W ogólności, pod imieniem muzyki dają oni jej znaczenie daleko obszerniejsze, niżli te, które dziś pozostało.

Słowo *muzyka*, obejmowało dawniej taniec, śpiew, poezję, a nawet zebranie wszystkich sztuk pięknych razem.

*Hermes*, *Platon* i *Pitagores*, oznaczają pod tém imieniem wszystkie nauki, następnie, sztuki piękne w zwykłym porządku. Pierwszy utrzymywał, że wszystko, co znajduje się w powietrzu, jest muzyką, a Platon mianował najlepszego filozofa, najlepszym muzykiem. Według *Hezychiusa*, Ateńczykowie dawali miano muzyki wszystkim sztukom pięknym wziętym zbiorowo.

Wielu poetów i filozofów utrzymywało, że muzyka rozbijała złe skłonności, i łagodziła obyczaje. Bajka o *Orfeuszu*, uśmierzającym siłą dźwięków swojej liry dzikość tygrysów, lwów i panter, jest tajemniczą władzą królestwa muzycznego nad ludźmi i zwierzętami nawet. Ale poeci nawet nie są filozofami, a filozofowie nie są moralistami. Ten cudowny wpływ muzyki, nigdy nie egzystował, nie egzystuje i egzystować nie będzie.

Grecy, którzy dali nowe życie i nowe pochodzenie sztuce, uprawianej przez *Chirona* i *Demodokasa*, Grecy, przez czternaście wieków nie zaprzestawali ciągłych wojen; wojna domowa, była stanem normalnych rzeczypospolitych greckich, a od czasów jak szczyty gór i doliny Peloponezu i Attyki przestały zlewać się krwią obywateli Aten, Sparty, Tebów i Koryntu, wolność zachwiała się, i znikła wraz z muzyką, która nieraz natchnęła była greckich mistrzów.

Hebrajczycy, których, wcale porównywać nie myślimy z Grekami, którzy nauczyli się od Egipcyan,

dawniejszych swych panów, uprawiać muzykę, którzy mieli dziwne zamiłowanie do ulepszenia śpiewów i instrumentów muzycznych ze świątyni Jeruzalemskiej i z pałacu Salomona, byli nieubłaganymi i okrutnymi nieprzyjaciołmi zwyciężonych. Mieszkańcy Włoch, w średnich wiekach, byli jedynymi przyjaciółmi muzyki, a jednakże dotąd wstrząsamy się na wspomnienie okrutnych wojen Gwelfów i Gibełinów, Kapuleta i Montecchi. Wreście, od lat 20 muzyka bywa uprawiana we Francyi przez wieśniaków, którzy w niej znajdują osłode i odpoczynek po pracy. A jednakże w téjże saméj Francyi wiele krwi lało się podczas wojen religijnych. Jakiż ztąd wniosek? Oto, że muzyka ma bardzo słaby wpływ, można nawet powiedzieć, że żaden, nad duszą ludzi, będących w pewnym stopniu cywilizacyi; że lew rozdrażniony, tygrys zgłodniały, gawiedź oburzona, nie mogą być rozbrojone, strunami liry, na której przegrywałby nawet sam Orfeusz.

Muzyka od dwóch wieków, nie powiemy zniszczyła, ale nawet nie zmniejszyła gniewu lub zemsty jednéj istoty, knującej zdradę dla całej ludzkości. Ludzie dzisiejsi są takimiż jak i pierwsi. Nerou, zachwycając się widokiem Rzymu w płomieniach, który sam zapalił, śpiewał z towarzyszeniem liry, a *Herostrates*, nim spalił świątynię Efezką, pod jej portykami improwizował do niej ody.

Muzyka, jako agent cywilizacyi, jako sposób pojednania i zgody, jest fikcją; ale jako sztuka, jako nauka nawet, jest jedném z najszcześniejszych zwycięstw geniuszu ludzkiego, i najwięcej zbliża śmiertelników do cudownych rozkoszy niebiańskiej jego ojczyzny.

Grecy dołączali do swych przedstawień dramatycznych chóry, które były połączone z głównemi czynnościami. Tragedye *Eurypidesa* i *Sofoklesa*, a nawet niektóre komedye *Arystofana*, są to arcydzieła, do których tamtoczesni muzycy dodawali muzykę, i rozwijali w niej całą potęgę swoich geniuszów i całej przepych instrumentów, o których teraz marzyć nie możemy.

Rzymianie przybrali zwyczaj sceniczne Greków tak jak przybrali ich obyczaje, a gdy rzeczpospolita została zniesiona, wprowadzono chóry do teatrów. *Ezop* i *Batil*; pierwszy aktor tragiczny, drugi sławny komik, ukazywali się na deskach scenicznych, z poparciem muzyków, którzy wykonywali rozmaite arye greckie. Tragedye *Seneki* i komedye *Plauta* i *Terencyusza*, były wzbogacone chórami.

Chociaż muzyki w Rzymie nigdy tak nie upra-

wiano jak w Grecyi, jednakże, w wieku Augusta, za rządów Antoniuszów, miała ona swe złote czasy. Bogate domy rzymskie, które już nie były ani Emilji, ani Kornelli, kazały na swych zabawach przegrywać na flotrowersie lub arfie, i ogromnie drogo płaciły muzykom.

Konstantyn Wielki przywiózł z sobą na brzegi Bosforu, gdzie wznosił się gród, mający być odtąd rywalem Rzymu i metropoliją świata całego, krasomówców, kuglarzy, grammatyków i muzyków, lecz Konstantynopol nie był ani greckim, ani rzymskim miastem, a sztuki piękne tam przeniesione nie mogły już kwitnąć.

Muzyka przebyła tenże sam los, co rzeźba i malarstwo, upadała powoli i znikła nareście pod purpurą sprzedajną następców Konstantyna, w błocie zwodniczym legij honoru pozbawionych, we wrzawie narodu zuchwałego i przeniewierzającego się, w anatemach szyzmy i herezyi; w najściu narodów barbarzyńskich, goniących cień Rzymu, aż za ubożego pustelnika w Romanii i od roku 1245 do 1565, ta lira odwrócona (według porównania mieszkańców Italii) odbierała małe i nic nieznaczające ulepszenia. Bracia Amati ukazali się na świecie i skrzypce w artystycznych ich rękach stały się cudownym narzędziem.

Dzięki ich pracy, skrzypce mogą okazywać miłość i nienawiść, szczęście i rozpacz, raj i piekło, burze nieba i burze namiętności, mowę Aniołów i mowę ludzi.

Bracia Amati zapełnili świat cały swojemi arcydziełami dziś zniszczonemi od czasu, lub przez ręce ludzi, nieraz od czasu okrutniejszych. Francya, więcej niż którykolwiek z innych narodów posiadała tych arcydzieł. Andrzej i Mikołaj Amati, zrobili do kaplicy Karola IX, dwadzieścia cztery skrzypiec ozdobionych rzeźbami, malowidłami najslawniejszych artystów włoskich. Pierwsze sześć wystawiały ważniejsze wypadki z życia Dawida; drugie sześć życie Karola Wielkiego, króla Roberta i Ś. Ludwika; następne sześć, stworzenie świata, a ostatnie z nich życie czterech doktorów kościoła świętego: S-go Augustyna, Hieronima, Grzegorza i Ambrożego. Skrzypce te mogły przetrwać dziesięć wieków, ale trwały dwa tylko. Były one połamane, poniszczone, w błoto rzucone orężem walecznego Dugneselin.

O narodzie nielitościwy! szanuj w dniach twojego gniewu, chociaż resztki dawnej oświaty. Niszcz korony i berła mocarstw twoich, lecz zlituj się nad orężem żołnierzy twojego kraju!

*Antoni Stradywaryus*, którego skrzypce dotąd istnieją, i są poszukiwane przez sławnych artystów, był jednym z ostatnich uczniów braci Amati.

W XII, XIII i XIV wiekach instrumenta muzyczne były w bardzo małej liczbie w Europie; skrzypce o trzech strunach, dudy, tambur, którego wysokość wynosiła 4½ stopy, a szerokość 3 stopy, flotrowers którego forma przechowała się dotąd.

Katedry francuzkie, do towarzyszenia śpiewom gregoryańskim, miały organy, których potęga głosu, posiadała najrozmaitsze zmiany, i instrumenta wężykowate, służące tylko do podtrzymywania głosu śpiewaków.

Muzyka religijna, dopiero od lat kilku poprzestała być tak poważna, pełna godności i majestatyczności. Po muzyce religijnej narodów, następuje ich muzyka wojskowa. Wszyscy zapewne wiedzą przy jakiej muzyce postępowały falangi macedońskie i legjony rzymskie, lecz nie wszyscy wiedzą przy odgłosie jakich instrumentów maszerowali średniowieczni i nowożytni rycerze. Jedynemi instrumentami muzycznymi używanymi we Francyi i w Niemczech, był tambur, bęben i flotrowers.

Muzyka, jak wyżej powiedzieliśmy, co chwila robi zadziwiające postępy, szczególnie w Francyi. Ilość — to coraz powiększająca się fortepianów, które zajęły miejsce maleńkich klawikortów, i które może z czasem będą zamienione na inne, podobne, tylko doskonalsze, instrumenta, przyczyniła się do tak ogromnych postępów w muzyce. Teraz fortepian znajduje się wszędzie, w królewskim zamku i w szlacheckim domku; w bogatym pałacu i w skromnej chatce, Jest to demokracja dźwięków, doprowadzona do samego szczytu. Niemcy są to muzycy tylko z profesji, włosi przez naśladownictwo, a Francuzi dla kaprysu. Lecz kraj, który wydał takich muzyków jak: *Halevy, Auber, Lessueur, Adam* i *Vieux Temps*, (mówiąc tylko o muzykach naszej epoki) może z odwagą iść w zawody z ojczyzną *Piccinich, Weberów, Glücków, Palestrinów, Humlów* i *Mejerberów!*



**MESTRE**

**VENEZIA**

**MURANO**

**BURANO**

**PORTO DI LIDO**

**Malamocco**

**PORTO DI MALAMOCCO**

**WENE CYA**

1861,

M A R E A D R I A T I C O

Favaro  
Pezana  
Tessera  
Pantiera Mocenigo  
Carpenedo  
Osteria  
Brondolo  
Bianca  
Rialta  
Gobbi  
Castelletto

Bissuola  
Compalto  
Cavergnaga  
Tombolle  
Morosini

Canale di Mestre  
Forte Malgera  
Canale militare  
Forte S. Giuliano  
Finanza  
Canale di S. Secondo  
S. Secondo

Bottenigo  
Canale di S. Marco  
Canale della Brentella  
Fusina  
Canale di Brenta

Canale di Bonifacio di sopra  
Canale di Bonifacio di sotto  
Foggetta di S. Foscaro  
Taglio Vesetio  
Taglio nuovo

C. di Canco  
C. del Cornio  
Val Grande  
C. di Beverara

Palude del Monte  
Mazzorbo  
S. Caterina  
Burano  
M. del Monte  
S. Francesco della Misericordia  
Batteria  
Tre Porti  
Sanita  
Ridotto tre Porti

Bat. di Tessera  
Bat. Carbonara  
S. Giacomo

Bat. di Compalto  
S. Michele  
S. Cristoforo  
le Vignole

Lazzaretto nuovo  
Festo di Ponte  
S. Erasmo  
Faro della Racotta  
Porto di S. Erasmo

Canale de la Giudecca  
Giudecca  
La Gravia  
S. Giorgio in Alga

Finanza  
S. Angelo

Arzenale  
S. Pietro di Castello  
La Certosa  
S. Elena  
S. Servolo  
S. Lazzaro  
S. Clemente  
Lazaretto vecchio  
S. Spirito

F. S. Andrea  
F. S. Nicolò del Lido

Bat. di Fodo

Bat. di Poveglia

Bast. Campana

Bat. di Fisolo

S. Leonardo

Bastione

Forte Alberoni

Finanza

Bastione

Forte S. Pietro

Batterie S. Pietro

S. Pietro in Volta

Porto Secco



## URYWKI Z DZIEJÓW WENE CYI.

(Z MAPPA.)

Sprawy Wschodu w niezbyt szczęśliwym były stanie. Kto chciał trudnić się handlem w krajach Sułtana musiał nabywać to prawo zbyt drogo, bo za 1600 czerwonych złotych rokrocznie. Nic nie zabezpieczało Rzeczypospolitej Weneckiej (około r. 1415) od chciwości tych ludów nienasyconych: sudan Babilonu zniszczył ich Kantony w Damaszku; a Turcy rozciągając panowanie swoje nad Grecją, nie mieli żadnych względów dla posiadłości Rzeczypospolitej. Wyspa Negrepont została spustoszoną przez nich, wiele okrętów kupieckich zabranych i zrabowanych; Kandji nawet zagrozili i układy w tym przedmiocie związane żadnego nie otrzymały skutku. Wtenczas to Wenecja widziała się w konieczności wysłania na Archipelag floty, niosącej zarazem wojska i posłów, ażeby jednocześnie walczyć i układać się. Loredano, któremu powierzone główne dowództwo, miał ofiarować pokój lub wojnę. Turcy głuchymi pozostali na te przełożenia, i dwie floty spotkawszy się przy wysokościach Galipoli, rozpoczęły krwawą walkę, w której Wenecjanie odnieśli zwycięstwo. Lecz jak gdyby okrucieństwo zaćmiewać zawsze miało ich chwałę, nie udzielili przebaczenia chrześcijanom znajdującym się na okrętach nieprzyjacielskich: Genuńczycy, Katalańczykowie, Sycylijczycy, Prowansale, wszyscy wymordowanemi zostali. Kandyjczyków, jako poddanych Rzeczypospolitej ćwiertowano, a członki ich zawieszano na przodzie galer. Podobnego systemu zemsty, kary tak straszliwej, którą potępiały nawet najbardziej barbarzyńskie narody, Loredano nie rumienił się wykonywać w imieniu swego rządu.

Zmusiwszy Turków do zawarcia pokoju i pozyskawszy od księcia Morei, zawsze przerażonego wzrostem potęgi ottomańskiej, ustąpienie ważnego miasta Koryntu, Wenecja broń swoją zwróciła znowu przeciw Zygmunтови, królowi Węgierskiemu, który połączył się z patryarchą Akwilei w zamiarze odebrania jej rozmaitych części posiadłości już w Dalmacji, już na półwyspie włoskim (1419). Śmieli ci przeciwnicy niczego nie szczędzili, żeby pokonać Rzeczypospolitą w tej nowej walce: rozległe powstanie zrzęcznie ułożono, wielu generałów i rządców przekupio-

no lub ujęto. Pierwsze jednak działania wypadły na korzyść Wenecjan, gdyż Zygmunt, zajęty w Czechach walką przeciw Hussytom, sprzymierzeńcowi swojemu wysyłał nieliczne posiłki. Jednak, w roku następnym, znakomita armja przybyła z Węgier, zaledwie nie zniweczyła wszystkich nadziei senatu. Armją tą dowodził Dyonizy, książę słowiański, a z nim postępowali Maryolio de Corvara, Fryderyk d'Orthenburg i Ricoluccio da Prata; lecz jakkolwiek wielką była waleczność generałów sprzymierzonych, tym jeszcze razem rozbiła się o zrzęczne rozporządzenia Filipa d'Arcelli, dowodzącego wojskami weneckimi. Węgrzy, przerażeni tak silnym oporem, opuścili natychmiast Friul, do którego się wdarli, a odstąpienie ich, zupełnym zniechęceniem przejęło sprzymierzeńców Zygmunta. Dla tego też, skoro tylko armja wenecka skierowała się ku Felbre, to miasto nie śmiało opierać się i okupiło się od rabunków ceną dziesięciu tysięcy dukatów; Filip d'Arcelli wszedł doń tryumfalnie w dniu 14 marca 1420. Belluno również musiało kapitulować, a Udino otworzyło bramy. Żadne miasto, żaden pan w całym Friulu, nie pozostali niepodległymi; patryarcha nawet, niegdyś najmożniejszy z władców kościelnych Italji, po biskupie Rzymskim, uznał się szczęśliwym, że, w skutek traktatu, zdołał zatrzymać Akwileę i zamki San-Danielo i San-Vettor. Hrabia Gorycji, który lenności swoje aż dotąd posiadał od patryarchy, oświadczył że chce zostać wassalem Rzeczypospolitej.

Skoro Wenecja upokorzyła tych nieprzyjaciół starego ładu włoskiego, poniosła broń swoją do Dalmacji: Trau zdobyto szturmem; Spalabro poddało się bez oporu; to samo stało się ze wszystkimi wyspami Dalmacji od Brazza aż do Cursola; nakoniec Cattaro, które naówczas było małą Rzeczypospolitą, przerażone postępowaniem potęgi ottomańskiej, i nie widząc skutecznej obrony w opiece króla węgierskiego, przeszło pod panowanie Wenecjan. Wojna ta zakończyła się podbiciem Sactori, Drivasto i Ducigno w Albanji. Tyle zwycięstw po sobie następujących zapewniły Rzeczypospolitej posiadanie całego wybrzeża Adriatyku, od ujścia Po, zaczawszy od Wenecji, Friul, Istrię i Dalmację, aż do Albańji, Korfu i Negre

pont, jak również cała przestrzeń pomiędzy temi wyspami, do niej należała; mogła być gdyby chciała zawładnąć Moreą, gdyż miasta Modon i Coron już znajdowały się w jej posiadaniu; lecz niechcąc narażać się Turkom rzeczpospolita odrzuciła ofiary wódzów greckich, którzy uznać się chcieli jej wassalami.

W tym to czasie zwycięzka Wenecja nakazała obrachunek ludności swjej stolicy; naliczono tam 190,000 mieszkańców, z których tysiące szlachty używało od czterech do sześćdziesięciu tysięcy ducatów doходу; jej kupiecka marynarka zajmowała więcej aniżeli 25,000 majtków. *Zecca* (mennica) wybijała corocznie milion dukatów złotych, dwaktoć sto tysięcy sztuk srebra; nakoniec, w ciągu lat dziesięciu, skarb krajowy umorzył dług czterech milionów dukatów złotych; pożyczył sześćdziesiąt sześć tysięcy dukatów margrabiemu Ferrary. Tak zadziwiająca pomyślność, nie jest-że najpewniejszym dowodem siły i żywotności urzędzeń Wenecji, a zwłaszcza gdy pomyślimy, że zaledwie czterdzieści lat upłynęło kiedy zmuszoną była bronić flocie genueńskiej przejścia do Laguny, kiedy posiadała tylko trzydzieści lichych galer, a całym jej rozgraniczeniem była stolica.

Jednak rzeczpospolita ciągle wojować była zmuszoną: synowie Galleazzu. Vissioni, księcia medjołańskiego, dorośli; starszy. Filip-Marja, trawiony był, jak ojciec, żądzą podbicia całej Italji; już władza jego rozciągała się od góry ś. Gotarda, aż do morza liguryjskiego, i od granicy Piemontu aż do granic Toscha'ujr i Państwa Kościelnego. Wspierany przez walecznych dowódców, stał się tak potężnym, że Florentczycy, widząc go panem Genui, mniemali iż gotów wejść do Lukki, Pizy i Florencyi: tém groźnym niebezpieczeństwem przerażeni wysłali posłów do Wenecyi, celem wyjednania jej możnej opieki.

Doża Mocenigo, który panował naówczas, okazał się przeciwnym temu związkowi, i odepchnął go całą powagą swego imienia i starego doświadczenia. Przeciwnie Franciszek Foscari, mówił na korzyść Florentczyków; w mowie zręcznie miarkowanej, wyłożył, że Florentczycy bez ich pomocy upadną; że inne kraje Italji, które uniknęły dotąd ucisku Viscontich, niebawem zagarniętymi zostaną, i że wtenczas Wenecja zmuszoną będzie sama tylko opierać się potężnemu przeciwnikowi, w sposób niszczący i rozpaczliwy, gdy teraz żądano od niej tylko współdziałania. Mocenigo zbyt był stałym w swoich zdaniach, zbyt upartym w swoich postanowieniach, ażeby zgodzić się na radę *młodego prokuratora* piętdziesięcioletniego; zbijał żwawo Foscarego i na usługi swojej

wymowy użył wszystkich źródeł jakie sztuka oratorska posiadała w owjej epoce. „Gdyby książę Medjolanu, mówił stary doża, prowadził z wami wojnę niesprawiedliwą, mielibyście ucieczkę w Bogu, który widzi wszystko, i który obdarzyłby was zwycięstwem. Zachowajmy pokój, i biada mu jeśliby zażądał wojny! Młody prokuratorze, Bóg stworzył Adama mądrym, dobrym i doskonałym, i nadał mu raj ziemski mówiąc: Korzystaj w pokoju z tego wszystkiego co tu się znajduje, lecz nie dotykaj owocu z jednego drzewa. Nasz pierwszy ojciec okazał się nieposłusznym: zapomniał że jest tylko stworzeniem, i zgrzeszył przez dumę. Bóg wygnał go z raju w którym panował pokój, a rzucił na świat przez wojny rozdzierany. Tak samo Florentczycy, jeśli słuchać będą głosu swych namiętności, ujrzą kraj swój zniszczonym, i zmuszeni będą z żonami i dziećmi szukać schronienia w mieście naszym, które, jak arka święta, ocalonem będzie, jeśli wytrwa w posłuszeństwie woli Pana. My sami, jeśli uwierzmy prokuratorowi Foscari, zmuszeni zostaniemy uchodzić na obcą ziemię. Spójrzycie w Stary i Nowy Testament: ile wielkich narodów w skutek wojen przyszło do upadku, narodów, które pokój uczynił silnemi i szczęśliwemi! Strzeżcie się iść za radami, jakie wam dają. Rzym pozostał wielkim i potężnym; zaludnił się obywatelami bogatymi i mądrymi wtenczas kiedy miał dobry rząd i pokój. Młodzieńcze! nie dosyć jest pięknie mówić, trzeba doświadczenia i powagi. Dowiedźcie się, że Florencja nie jest portem Wenecji, i że jest pięć dni marszu z jej brzegów do naszej granicy. Naszym sąsiadem jest książę Medjolanu: on to powinien być przedmiotem naszej uwagi, gdyż w ciągu niepełna dnia jednego przybyć można z miast naszych, Werony i Kremony, do jego twierdzy Brescia.” Foscari musiał cierpliwie wysłuchać téj długiej mowy, którą skróciliśmy o połowę, tak wielkim był wpływ starszych w radach rzeczypospolitej. Mocenigo miał naówczas więcej niż ośmdziesiąt lat; senat poszedł za jego zdaniem: Florencja pozostawioną została sobie samej.

W roku następnym, Florentczycy wznowili próby swoje, mówiąc, że jeżeli Wenecja nie przyjdzie im w pomoc, uczynią jak Samson, poruszą kolumnę, ażeby zwalić świątynię i pociągnąć nieprzyjaciół w swoim upadku. Mocenigo okazał się niewzruszonym: lecz tym razem mowa, miana przeciw stronnikom wojny, była tak obfitą w fakta, zawierała tak wiele objaśnień dokładnych i ciekawych o handlu i dochodach Wenecji, iż senat jednogłośnie poszedł



za jego zdaniem. Mocenigo umarł w kilka dni potem, oświadczając, że jeżeli w jego miejsce wybiorą Franciszka Foscari, nieochybną mieć będą wojnę. Nastąpił on po Michale Szem, w roku 1414, i po dziewięcioletnim panowaniu pozostawił Wenecję w położeniu najświetniejszym tak zewnątrz jak wewnątrz kraju (1423).

Zaledwie Mocenigo zamknął oczy, czterdziestu jeden wyborców zebrało się celem wybrania po nim następcy. Współubiegającymi się byli Piotr Loredano, zwycięzca Turków; Leonard Mocenigo brat zmarłego; Antoni Cantorini, prokurator ś. Marka; Franciszek Foscari; potem nakoniec, jak zazwyczaj, starzy Morino Cavallo i Franciszek Bembo.

Franciszek Foscari, od bardzo dawnego czasu dążył do władzy najwyższej, i liczył wielką liczbę swoich zwolenników, gdyż wydał trzydzieści tysięcy dukatów wspomagając podupadłych patrycjuszów, wyposażając ich córki: jednak Loredano, najwięcej miał widoków. „Te charaktery nieugięte, mówiono o nim, ci milczący wykonawcy okrutnych rozkazów, najwięcej zawsze wzniesają obawy i uszanowania.” Przyjaciele Foscarego, użyli zręczności, żeby przeprowadzić swojego kandydata: ztąd pokazuje się, że mimo kombinacji wprowadzonych w system wyborów od czasu *serata del mazer consiglio*, drzwi otworem pozostały dla nadużyć i interessownych kombinacji. W początku dali mu tylko trzy głosy, dodając po jednym przy każdym głosowaniu, i rozgłaszając to, co by mogło szkodzić innym kandydatom. Cavallo zarzucali zbytnią starość, Franciszkowi Bembo niedołęztwo; Leonardowi Mocenigo braterstwo z zmarłym dożą, co mogłoby się stać niebezpiecznym przykładem; Cantoriniemu liczną rodzinę, szczupłość majątku i możliwy w skutku jej nepotyzm. Strzegli się powiedzieć coś przeciw Loredanowi, ażeby wnieść mniemanie, że jemu oddadzą pierwszeństwo, a przeciwnicy tego ostatniego powinni zjednoczyć usiłowania, żeby go odepchnąć. Loredano sam sobie najwięcej szkodził: Kandydycy i cudzoziemcy strasznie go nienawidzili. Albin Badoer, dziekan zgromadzenia i przyjaciel Foscarego, zdawał się podejmować usunąć tego niebezpiecznego współubiegacza, który ciągle miał za sobą dziesięć głosów. Powiedział on, że admirał był człowiekiem biegłym; lecz zbyt nie lubionym przez marynarzy; że dla tego właśnie zachować go należało na przypadek niepomyślnych wypadków na Wschodzie. Loredano popełnił naówczas błąd wyliczając swoje zasługi; dozwolono mu mówić. Po obliczeniu głosów, zadziwienie było

wielkie, gdyż i tym razem miał dziesięć głosów. Trzeba tedy nakoniec było wymienić imię Foscarego, gdyż wielu wyborców go przedstawiło. Piotr Orio przypomniał, że kandydat ten, mający pięćdziesiąt lat wieku, był młodym prokuratorem, którego Mocenigo tak strofował; że majątek jego był mniej aniżeli miernym, że obciążony był rodziną, ożeniony powtórnie z młodą kobietą, która corocznie obdarzała go dzieckiem, i że był stronnikiem wojny. Foscari spokojnie odpowiedział, że majątek jego wynosił sto pięćdziesiąt tysięcy dukatów, i że wystarczał na jego potrzeby; że czci Boga, iż tak błogosławi jego rodzinę, nakoniec, że nikt wiedzieć nie może, czy uczucia doży i uczucia młodego prokuratora będą te same.

Obrady toczyły się od dni sześciu, i dziesięć głosów Loredana zaczynały przestraszać tych, którzy nie wiedzieli o tajemnicy; w dziewięciu po sobie odbytych głosowaniach nikt nie otrzymał koniecznej większości; Foscari otrzymał tylko szesnaście głosów. Potrzeba ich było koniecznie przynajmniej dwudziestu pięciu. Nakoniec przy dziesiątym głosowaniu, dziesięć głosów dawanych niezmiennie Loredanowi, lecz przychylnych w rzeczy samej Foscaremu, połączyły się z szesnastu poprzednio otrzymanymi, co podniosło liczbę do dwudziestu sześciu, i Foscari ogłoszonym został za dożę.

Szczegóły te, w które wejść uważaliśmy za powinność, dowodzą jak łatwo jest intrydze i zepsuciu żartować z praw najmądrzej ułożonych. W istocie, słusznie powiedział jeden z publicystów, że nie instytucji brakuje ludziom, ale ludzi instytucjom. Inna osobliwość odznaczyła wybór Franciszka Foscari. Od czasu wyboru Piotra Gradenigo zachowano tę formułę uświęcenia ludowego: „Doża jest wybranym jeśli go zatwierdzicie;” w 1423 roku zniesiono ją z całą otwartością, a wypadek głosowania podanym został ludowi w tych wyrazach: „Doża jest wybranym.” Ta nadzwyczajna zwięzłość, ta nowa forma ogłoszenia, wskazują dostatecznie, że wielka rewolucja, dokonana w roku 1319, była obecnie nieodwołalną.

Ogłoszenie exprokuratora dożę odżywiło nadzieje Florentczyków, powtórzyli swoje prośby; lecz rozsądek niedozwalał Wenecji naówczas plątać się w wojnę. Była ona traktatem związaną z Filipem, a traktat ten Foscari sam nawet uważał za konieczność szanować; armja jej zatrudnioną była obroną Saloniki i podbiciem części Grecji, którą Turcy grozili zagarnąć; morowe powietrze oprócz tego szerzyło

straszne klęski. Z drugiej znów strony szlachta wenecka dzieliła się na dwa stronnictwa: jedno pragnęło dalszych podbojów wewnątrz Italij, i zamierzało rozszerzyć swoje panowanie na podobieństwo dawnego Rzymu; drugie w tym systemacie zaboreczym widziało tylko przyczynę nieochybną zguby dla rzeczypospolitej, powstałej niejako z głębi wód, która ocalenie swoje zakładać winna na flocie, a bogactwa ciągnąć z handlu. Te niezgody ustały wprędce na głos człowieka, który znalazł schronienie w Wenecyi; człowiek ten, wzywany dawniej do wszystkich rad księcia Medjolanu, zapewnił rzeczpospolitą, że napróżno odkłada wojnę, i czy prędzej, czy później nie podobna jej będzie uniknąć.

Hrabia Franciszek Carmagnola, przez długi czas ulubieniec księcia Medjolanu, którego potęgę niejako utworzył, został przez niego adoptowanym i otrzymał nawet imię Visconti<sup>1)</sup>; lecz od niejakiego czasu popadł w niełaskę; jego ogromne bogactwa, jego wpływ na wojsko, a nawet wspomnienia usług zbyt ważnych, ażeby pan niewdzięczny mógł je przyznać bez obawy, wzniewały zawiść w Filipie. Obiecawszy powierzyć Carmagnoli dowództwo nad flotą genueńską, wojną działać przeciw Neapolowi, oddał je Guidonowi Forello; wkrótce chciał mu odebrać dowództwo trzystu jeźdźców, których generał miał pod swemi rozkazami, jako komendant placu Genui. Carmagnola napisał do księcia błagając go, ażeby nie oddał go od wojska wpośród którego się zrodził i wychował. Nie otrzymawszy odpowiedzi udał się do Albiate-Grasso, gdzie dwór się znajdował; lecz pierwszy raz widział jak mu zabroniono wniknięcia do pokojów swego pana, pod pozorem, że jest zatrudniony, a jego pełne uszanowania prośby, zostały bez odpowiedzi. Wtenczas to podniósł głos tak, ażeby był przez Filipa słyszany, zapewniał o swojej nie-

<sup>1)</sup> Franciszek Carmagnola, urodził się w mieście tego nazwiska w Piemontcie, z ubogich rodziców; pierwszym rzemiosłem jego było pasanie bydła. Książę Filip Visconti zwrócił na niego uwagę, w dniu, kiedy z armją Beatryczy di Tenda, wdowy Facina Cane, walczył przeciw jej bratu Hektorowi. Młody jeździec, w uniesieniu odwagi, dowodzącem pragnienia nagłego wzniesienia się, ścigał Hektora, aż pomiędzy szeregi nieprzyjaciół: byłby go zabił lub schwytał niezawodnie, gdyby koń nie padł pod nim. Po bitwie Filip powierzył dowództwo temu walecznemu jeźdźcowi, który nazywał się Carmagnola; a ciągle stając się godnym łaski księcia, Franciszek został nakoniec wodzem wszystkich wojsk jego.

winnosci, oskarżał zawistnych sobie, w końcu porzysiągł iż niewdzięcznik, który przed nim w ten sposób drzwi zamyka, pożałuje tego kiedyś: i odjechał z swojemi jeźdźcami. Zatrzymał się dopiero w Iwrei, w granicach księcia Sabaudji, Amedeusza, którego wassalem się urodził, stanął przed nim, i wyjawiał mu zamiary Viscontego, nakłaniając go, ażeby się wziął do broni póki czas jeszcze i uprzędził napad swojego nieprzyjaciela. Nakoniec przeszedłszy Sabaudję i Szwajcarję, Carmagnola podążył szukać przytułku w Wenecji. Skoro tylko przyżył, rzeczpospolita wzięła go na swój żołd wraz z jego trzystu włościanami, a on tem bardziej czynił zabiegi około senatu, żeby się zemścić na księciu, który się chwalił, że go tak poniżył jak i wywyższył. Filip, zawiadomiony o postępowaniu Carmagnoli, zabrał wszystkie jego dobra, przynoszące czterdzieści tysięcy złotych dochodu.

Jednak senat nie zupełnie ufał zbiegowi medjolańskiemu; kłótnia jego mogła być udaną, kilkakrotnie już ministrowie księcia uciekali do nieprzyjaciół jego, ażeby poznać ich tajemnice i zdradzić. A potem, Secijorja nie chciała stanowczej udzielić odpowiedzi florenckim posłom; obawiała się ona zerwać z Viscontim, i oczekiwać chciała na wypadki. W czasie tej zwłoki, co miesiąc dowiadywano się o klęskach doznawanych przez wojska tej nieszczęśliwej rzeczpospolitej, i Lorenzo Rudolfi, jeden z członków rządu, który osobiście przybył jako poseł, zawołał z niecierpliwością w senacie: „Panowie! zwłoka wasza uczyniła już Filipa Visconti księciem Medjolanu i Genui; poświęcając nas, czynicie go królem Italji; lecz my z kolei, jeśli mamy uleść jego władzy, uczynimy go cesarzem.” Nakoniec usiłowania Filipa, żeby obrać Carmagnolę w Trewizie rozproszyło wszelkie powątpiewania, rozstrzygnęło niepewność; wojna została postanowioną, przymierze z Florencją zawarto w dniu 27 stycznia 1426. Dwie rzeczpospolite, obowiązywały się wystawić o wspólnym nakładzie armję złożoną z szesnastu tysięcy koni i ośmiu tysięcy piechoty; Florencja miała wystawić flotę na morzu genueńskiem, Wenecja zaś wyprawić swoją w górę rzeki Po; nakoniec wszelkie zdobycze jakieby uczyniono w Lombardji, miały należeć do Wenecjan. Margrabia Ferrary, władzca Mantui, Sioneńczycy, książę Amedeusz Sabaudzki, król Alfons Aragoński weszli do tego związku; Carmagnola został mianowany naczelnym dowódcą wszystkich wojsk związkowych. Książę Medjolanu, powierzył obronę krajów swoich czterem znakomitym przewódcami:

Mikołajowi Piccinino, Guidonowi Torelli, Aniołowi de la Pergola i Franciszkowi Sforza, synowi wieśniaka z Katinioli, potomkowi rodu bohaterów, przeznaczonemu zasiadać na tronie.

Carmagnola zgromadził wojska swoje w krajach Mantui, gdy tymczasem margrabia d'Este tworzył armję nad Panaro, a Florenczycy uzupełniali tę, którą Mikołaj de Tollentino, ich jenerał dowodził w Toskanji. Carmagnola chciał rozpocząć kampanję więciem Brescia, gdzie liczył wielu stronników. Wszyscy gwelfowie, zamieszkujący cyrkuł otoczony murem, niezadowoleni byli z domu Visconti; kilku żołnierzy przyrzekło nawet wprowadzić Wenecjan do twierdzy; lecz przypuszczać należy, iż księżę dowiedziawszy się o spisku, przedsięwziął środki, ażeby miejsca warowne pozostały w jego rękach, i udał że nie widzi knowań gwelfów, żeby skorzystać z okoliczności, gdy te jawnemi się okażą, i zabrać im majątki.

W owój epoce, Brescia składała się z kilku cyrkułów zaopatrzonych w fortyfikacje niezależne jedne od drugich. Na górze, która panuje nad miastem, wznosiła się warownia otoczona podwójnym murem, zaopatrzonym wieżami w niewielkiej od siebie będącemi odległościach. Drugi okrąg murów powyżej pierwszego, tworzył drugą warownię, zamieszkałą przez gibelinów; poniżej i po prawej stronie tejże, znajdowała się trzecia, którą nazywano Nową Twierdzą, przyległa do Pilarskiej bramy; po lewej stronie, czwarty cyrkuł, rozciągający się na płaszczyznę i część najniższa Brescji, nazywała się miastem Gwelfów. Do tego to cyrkułu Carmagnola wprowadzonym został w dniu 17 marca 1426 r.

Pierwsza wiadomość o zajęciu Brescji, sprawiła najżywszą radość w Florencji i Wenecji; lecz skoro dowiedziano się, że wszystkie miejsca warowne pozostały w rękach księcia Medjolanu, stracono nadzieję, żeby naczelny wódz zdołał się tam utrzymać, tém bardziej, że Guido Torello, Franciszek Sforza i Mikołaj Piccinino, zbliżali się ażeby wesprzeć ten ważny punkt. Jednak, Carmagnola przez rozwagę swoją zmniejszył grożące niebezpieczeństwo; za pomocą szerokiego rowu, oddzielił najbliższą twierdzę od cyrkułu przez siebie zajmowanego; i z tego punktu oparcia, rozpoczął przy pomocy Florenczyków, oblężenie dwóch warowni. Gdyby kondatierowie księcia Medjolanu byli porozumieli się z sobą, łatwoby im było wyprzeć Carmagnolę; niepewność zrodzona z niesnask panujących pomiędzy nimi, zapewniła jego powodzenie. Brescianie, źle wspierani przez

wojska medjolańskie, podpisali 20 listop. poddanie się Starój Twierdzy, które dokonało upadku tego miasta.

Gdy się to działo, Papież ofiarował swoje pośrednictwo, i na kongresie, który się zebrał w Ferrarze, ułożono się o warunki zawrzeć się mającego traktatu; Florenczycy odzyskali utracone poprzednio przez nich posiadłości; Ojciec Ś. otrzymał miasta Romanji; Brescia miała dostać się Wenecji, a księżę sabaudzki zatrzymał zdobycze swoje w Piemoncie. Filip podpisał z niepojętą łatwością te wszystkie upokarzające warunki, i pokój zawarto w dniu 20 grudnia 1426 r. bez stoczenia jednej bitwy. Lecz gdy o tem wiadomość przyszła do Medjolanu, lud szemrać zaczął przeciw swemu władzcy, który tracił odwagę, po utracie jednego miasta, mając jeszcze armję z piętnastu tysięcy pancernych złożoną, która nawet dotąd nie występowała w pole. Deputacja szlachty udała się do Filipa, i zaklinała go, ażeby zerwał układ tak przeciwny jego sławie i bezpieczeństwu; ażeby nie opuszczał zamków w kraju Breściańskim, który zobowiązał się oddać Wenecjanom; żeby nie pozwolił im budować szanca przedmostowego na prawym brzegu rzeki Oglio; nakoniec, żeby nie oddawał z obawy tego, czego mu siła wydrzeć nie zdoła. Dodali, że jeżeli księżę powierzy się zechce gorliwości i prawości poddanych swoich, Medjolańczycy odniosą tryumf nad wszystkiemi jego nieprzyjaciółmi. Visconti usłuchał tych przedstawień tém spieszniej, że sprzyjały tajemnym jego zamiarom i kroki nieprzyjacielskie rozpoczęły się na wiosnę 1427 roku przez najście granic hrabiego Mantui.

Wenecjanie, pragnący jak najspieszniej przyjść w pomoc swojemu sprzymierzeńcowi, odzyskali najprzód połączenie się z Brescią, potem skierowali poruszenia swoje ku granicom Cremony, żeby się dostać do księcia Medjolańskiego. Carmagnola otrzymał rozkaz wejścia na ziemię mantuańską i parcia nieprzyjaciela przed sobą, gdy tymczasem flota z trzydziestu galer złożona Franciszka Bembo, udała się w górę rzeki Po, usiłując utorować sobie drogę do Cremony lub Pawji. Bembo odniósł stanowcze zwycięstwo nad eskadrą medjolańską, którą w części zabrał a w części spalił; lecz nie mając żadnego wsparcia od strony lądu, na tém musiał ograniczyć swoje zwycięstwo. Carmagnola dał się pobić pod Gottolengo; zręczny manewr wynagrodził to niepowodzenie; armja jego, złożona z 37,000 ludzi, przemocą przeszła Oglio pod Bina, i rozłożyła się obozem o trzy mile od Cremony. Dowódcy nieprzyjacielscy, zawiedzeni w swoim oczekiwaniu, puścili

się za nim w pogoń; lecz Carmagnola postanowił unikać wszelkiego starcia, dopóki nie znajdzie stosownego miejsca. Dnia 10 października, zdobywa wioskę Macalo, znajdującą się w niewielkiej odległości od Oglio, i oszańcowywa się w otaczających ją bagnach, pozostawiając jedno tylko do siebie przejście, jakie stanowiła wąska grobla; na którą nazajutrz nieprzyjaciel wpada nierozważnie, mniemając że go przyparł bez-odwrotnie. Carmagnola dozwala mu zbliżyć się, aż do téj chwili dopóki już cofnąć się nie może; potem nagle zasypuje go z prawej i lewej strony gradem strzał; jazda lekka i piechota Carmagnoli, który zna położenie gruntu, rzuca się na jego boki, i Medjolańczycy zdziwieni, chcąc odeprzeć natarcie, zeskakują z grobli i grzęzną w bagnie, z którego już się wydostać nie mogą. Piechota wenecka, korzystając z nieporządku, jaki powstaje w kolumnie, wyrusza z wioski, wstępuje na groblę, i przebijając brzuchy koniom, obala jeźdźców. Przyciśnieni ciężarem zbroi, nieszczęśliwi Medjolańczycy, nie mogą się ani podnieść, ani bronić. Rzeź była straszliwa; noc tylko zdołała ich ocalić przed zupełną zagładą, a ci którzy jęj uniknęli, uciekli pozostawiając bagaże.

Świetne to zwycięstwo wywołało w Wenecyi głębokie wrażenie; lecz radość byłaby zupełniejszą i ogólniejszą, gdyby nie polityka niespokojna rządu, która chmurzyła się na niektóre okoliczności. Widzieliśmy, że dwie armje głównie składały się z najemników, pod dowództwem naczelników mniej lub więcej posiadających sławy, bez wszystkich prawdziwych przedsiębiorców wojny, obcych kłótniom, uderzających na siebie bez namietności, i jedynie dbających o to, żeby jak najmniej stracić ludzi. Zwycięzcy w jeńcach uważali tylko towarzyszy broni: większa część służyła razem w czasie wojen poprzedzających i zawarła z swymi przeciwnikami chwilowymi, związki przyjaźni i wojskowej gościnności. Dla tego też, po bitwie pod Macalo, gdzie zabrano wielką liczbę jeńców, wojsko Carmagnoli poprzestało na odebraniu im broni i wierzchowców; poczem, za nadejściem nocy, większa część wypuszczoną została na wolność. Nazajutrz prowedytorowie przybyli do namiotu jenerała, i wymawiali mu nierozwagę, która mogła ich pozbawić owoców zwycięstwa. Za całą odpowiedź, Carmagnola kazał przyprowadzić jeńców, którzy pozostali w obozie, w liczbie około czterechset, i rzekł do nich: „Ponieważ żołnierze moi dali wolność waszym towarzyszom, nie chcę ustępować im w szlachetności: idźcie, jesteście wolnemi!” Prowedytorowie odeszli nie okazawszy żadnej urazy; rada dzie-

sięciu zwiększyła nawet grzeczności względem Carmagnoli, lecz od tego dnia głowa jego naznaczona była godłem śmierci.

Z jednéj i z drugiéj strony bitwa pod Macalo uważaną była za stanowczą; kongres znów się zebrał w Ferrarze przy końcu roku 1427 i układy, rozpoczęte za pośrednictwem legata papieżkiego, doprowadziły do zawarcia pokoju (18 kwietnia 1428 r.). Wenecjanie, którzy poprzednio żądali ustąpienia miast Brescia, Bergamo i Cremony, z całym ich rozgraniczeniem, poprzestali na dwóch pierwszych miastach i na części okręgu trzeciego; Adda przyznana im została jako granica od strony Medjolanu, a Visconti oddał Carmagnoli jego majątek. Żaden z związkowych nie otrzymał żadnych korzyści za zaprzestanie kroków nieprzyjacielskich, ani nawet Florentczycy, którzy na prowadzenie téj wojny wydali więcej aniżeli trzy miliony dukatów. Zwycięzca z Macalo przyjęty był z niezwykłą okazałością w Wenecji. Doża, i Panowie wyszli naprzeciw niego z licznym orszakiem; wprowadzony został na *Bucentaurze* i zajął pałac kupiony kosztem skarbu; wyznaczono mu płacę dwanaście tysięcy dukatów, w gruntach, znajdujących się w podbitych przez niego posiadłościach; nakoniec cała szlachta chciała mu towarzyszyć, skoro na czele swoich podwładnych udał się do kościoła ś. Marka złożyć chorągiew, powierzoną mu przez Seniorję. Lecz tyle zaszczytów i hojności ukrywały szkaradną podstępność, gdyż wszystkie kroki wielkiego wojownika były śledzone.

Chociaż prowadzenie wojen na stałym lądzie zwiększyło długi rzeczypospolitęj i nadwreżyło jęj kredyt, w łonie jęj znajdowało się jednak stronnictwo, które szukało gorliwie sposobności wznowienia kroków nieprzyjacielskich przeciw księciu Medjolanu. W tych czasach Wenecja znajdowała się w walkach prawie ciągłych z Turkami; handel jęj niepokoiłi korsarze; jęj twierdze nadbrzeżne w Grecyi były blokowane, załogi ich wyrznięte, a wszyscy kupcy, którzy się uciekli pod opiekę jęj flagi, wymordowani zostali przez barbarzyńców. Wprawdzie rada dziesięciu uważała twierdze swoje na Wschodzie jako kantony handlowe, przyczyniające się nie już do potęgi, ale raczej bogactwa krajowego, i pocieszała się z ich utraty nabytkami na stałym lądzie; zanieczywiała nawet marynarkę, dawniej zaszczyt rzeczypospolitęj, ażeby opłacać najemnych żołdaków, i zakładała sobie podbicie Lombardji. Za najlżejszym pozorem, rzucano się na księcia Medjolanu, i z tém większą zaciętością, że nieprzewidziana okoliczność ośmie-

łała ich do tego. Gabrijel Condolmieri, poddany wenecki, nastąpił po papieżu Marcynie V (1431), i naturalnie wnosić należało, że nowy arcykapłan trzymać się będzie sprawy ojczyzny swojej przeciw księciu Medjolanu. Taka w istocie była jój myśl tajemna.

Trzecia ta wyprawa przeciw Medjolanowi po części usprawiedliwioną była przez udzielenie niejakich tajemnych posiłków, jakie książę miał udzielić Lukczanom, prowadzącym podówczas wojnę przeciw Florentczykom, co sprzeciwiało się poprzysiężonej przez niego neutralności. Z wyjątkiem księcia Sabaudji i księcia Aragonu, wszyscy sprzymierzeńcy rzeczypospolitej, przyjęli udział w nowym związku. Armia wenecka składała się z wojsk najemnych pod rozkazami Carmagnoli, i eskadry na rzece Po, dowodzonej przez Mikołaja Trevisani: siły te były należycie we wszystko zaopatrzone, ażeby wątpić można było o niepomyślności przedsięwzięcia. Książę Medjolanu liczył pomiędzy swojemi sprzymierzeńcami Genue, Sienne, Lukkę i Jakóba Apprano, władcę Piombinu. Chociaż miał na swoje rozkazy armję lądową doskonałą, całe jednak nadzieje swoje położył w wojsku znajdującem się na flocie, stojącej na rzece Po, powyżej Cremony i którą dowodził Genuńczyk Ambroży Spinola.

Jakkolwiek świetne nadzieje powzięli Wenecjanie, kampanja rozpoczęła się w sposób dla nich nie korzystny; Carmagnola, który mniemał iż przekupił komendanta Sancinu, nieostrożnie posunawszy się dla zajęcia tego zamku, wpadł w zasadzkę, 1600 ludzi jego dostało się do niewoli; on sam ocalenie swoje winien był tylko rącości konia. Na rzece Trevisani odniósł niejakie zwycięztwo, które wkrótce miał opłacić zupełną przegraną.

Plan jenerałów Filipa zależał na tém, ażeby trzymać Carmagnolę o ile można w oddaleniu od Trevisanego, celem przeszkodzenia, aby flota i armja nie wspomagały się wzajemnie; umieszczano na gabrach medjolańskich najwaleczniejsze wojska, celem postawienia naprzeciw marynarce weneckiej nieprzełomnej siły. Plan ten przeszedł wszelkie oczekiwania. Dnia 23 maja, Carmagnola znajdował się o kilkanaście mil od rzeki Po, mając do walczenia przeciw lekkim wojskom; Spinola, wspierany biegiem rzeki, której pęd zwiększyło roztopienie śniegów, korzysta z okoliczności, żeby uderzyć na Trevisanego. Jego majtkowie rzucali haki na statki weneckie, na których pomosty wskakiwali pancerni, gdzie znajdowali tylko lekko uzbrojonych ludzi. Rzeź była tém większą, że Wenecjanie uporczywie spierali się

o zwycięztwo na żywiole, który za swoją własność uważali, i że oprócz tego widzieli Carmagnolę na brzegu, który ich zachęcał oznakami pomocy, gdyby tylko do lądu zbliżyć się mogli. Nakoniec, należało uledz; dwadzieścia ośm galer, czterdzieści dwa statki przewozowe, dostały się zwycięzcy; 2500 ludzi rannych lub zabitych zarumieniło krwią swoją wody rzeki. Dziejopis Marino Sanuto zapewnia, że uzbrojenie to, w ciągu dnia jednego zniszczone, kosztowało rzeczpospolitą 600,000 złotych. Trevisani i kilku jego dowódców ratowali się ucieczką za pomocą szalupy; lecz zbyt rozważni, żeby wracać mieli do Wenecji, udali się do Marchji Ankońskiej. Jednak wytoczono im proces, i skazano zaocznie na wieczne wygnanie. Prawo krajowe, ogłoszone w skutek téj okoliczności, naznaczało karę śmierci na każdego wodza, któryby opuścił lub poddał okręt albo twierdzę jego obronie powierzoną.

Nieczynność Carmagnoli stała się przyczyną skarg powszechnych; zarzucano mu największy udział w utraceniu floty: i już nawet oskarżano go otwarcie, że zdradzał rzeczpospolitą. Piotr Loredano podjął się pomścić honor broni weneckiej, i z flotą z dwudziestu jeden galer wyzwiał Genuńczyków w własnej ich stolicy. Ci odpowiedzieli téj demonstracji wysyłając na morze równą liczbę okrętów pod dowództwem Franciszka Spinoli, brata tego, który tak dzielnie zwyciężył eskadrę Trevisaniego; dwaj admirałowie spotkali się w zatoce Rapallo, i przystąpili do dzieła: po największych wysileniach, Franciszek Spinola strasznej doznał klęski: on sam, wraz z kilkunastu swymi dowódcami dostał się w ręce Loredana; wszystkie galery wzięto lub zatopiono. Niespodziewane to zwycięztwo, nadało Loredanom wielki wpływ w sprawach Wenecji; gdy tymczasem Carmagnola, przeciw któremu bezustannie wzniecano podejrzenia, sam zdawał się na nie narażać. Jeden z jego kondotierów zdołał opanować bramę San-Luca w Cremonie; z powodu braku posiłków potrzebnych do zupełnego zdobycia twierdzy, nie mógł się w niej utrzymać. Zaniechanie to zarzucano zdradzie jenerała: było to błędem; Carmagnola nie zdradzał; lecz, stawszy się już niezdolnym, zasługiwał, ażeby go oddalono. Rada dziesięciu, która nieodwoływała swoich jenerałów i wołała ich kazać mordować, uciekła się do tego ostatniego sposobu.

Poleciwszy Loredanowi, ażeby trzymał w szachu flotę medjolańską, rada zawezwała Carmagnolę do Wenecji, pod pozorem naradzenia się z nim nad innym planem kampanji. Jenerał ruszył w drogę w to-

warzystwie Jana Franciszka Gonzagi, władcy Mantui. W Mestre zastał dowódców straży nocnej, którzy wyszli na jego spotkanie, dla czynienia mu honorów; ośmiu szlachty przyjęło go przy bramach miasta, i stanowili jego orszak aż do pałacu książęcego, dokąd wszedł bez obawy. Tam zawiadomiono przybyłych z nim, iż mogą się oddalić ponieważ generał długo pozostanie z dożą; i bramy pałacu zamknięto. Już było późno: generał rozmawiał z kilku patrycjuszami, gdy mu doniesiono, że doża był słaby i nie mógł się z nim widzieć, lecz jutro udzieli mu posłuchanie, Carmagnola, obrażony, żywo szedł ze schodów: kiedy przechodził podwórzec: „Panie, (powiedział do niego jeden z towarzyszących mu patrycjuszów,) pójdź tędy.” — „Kiedy to nie moja droga,” odpowiedział tenże. — „Nic to nie szkodzi,” odparł zbyt grzeczny przewodnik. W téjże samej chwili, zbirowie zbliżają się, otaczają Carmagnolę, i wypychają go na korytarz, prowadzący do więzienia. Wchodząc do tego ponurego miejsca, zawołał: „Jestem zgubiony!” Przepędził tam trzy dni nie chcąc przyjąć żadnego posiłku. Wzięty na tortury nie chciał przyznać winy, jaką mu zarzucano. — Chcąc go do tego zmusić, skazano go na estrapadę<sup>2)</sup>; lecz ponieważ miał rękę złamaną w usługach rzeczypospolitej, a przez to nie mógł być przywiązany do belki, położono nogi jego na rozżarzonych węglach, i trzymano aż dotąd, dopóki cierpienia, jeśli wierzyć można katom jego, nie wyrwały mu wyznania zdrady. Uważać jednak wypada, że żaden dowód przedstawiony nie został przed oczy Italji, do której wielki ten człowiek należał, żadno z zeznań jego ogłoszonym nie zostało; więc i nie będzie potwarzą dla sędziów jego, że ich uważać musimy za fałszerzy i przeniewierców, zważywszy iż taką okryli się tajemnicą. Dnia 5 maja wieczorem, w dwadzieścia dwa dni po wycierpieniu męczarni, Carmagnolę zaprowadzono między dwie kolumny placu ś. Marka, z zakneblowanemi ustami; wznosił oczy do nieba, jak-gdyby chciał upewniać o niewinności swojej, poczem opuścił czoło, i głowa jego spadła pod trzykrotnem uderzeniem toporu.

P. Daru, do opisu tego morderstwa, dodaje uwagi następujące, które malują w charakterystycznych zarysach, ówczesny rząd Wenecji: „Kiedy wystawimy sobie wielkie osoby, osiwiłe na wysokich urzędach pokoju lub wojny, zamkniętych z katami i czło-

<sup>2)</sup> Przywiązywano do belki i gwałtownie spuszczano na ziemię.

wiekiem skrępowanym; rozkazujące dręczyć tego, na którego wyrok wydano już od ośmiu miesięcy bez wysłuchania go; tego, który wczoraj był ich przyjacielem, towarzyszem, przedmiotem ich szacunku, ich podchlebstw, a jak utrzymywali, przedmiotem wdzięczności; krzyki bóleści uważających za wyznania, wyznania za dowody, a potem strącających głowę znakomitą, w oczach ludu zdziwionego, bez odczytania nawet oskarżenia; zapytujemy: jak ludzie wysokiego znaczenia mogli przyjąć podobne posłannictwo? jak mogli do tego stopnia niedbać o swoją dobrą sławę, jak mogli poprzestać na przytoczeniu katów na świadków bezstronności swojej? Jakiż może być interes starania się o tak niebezpieczny urząd? Ażeby rozkazywać ludziom, otaczać się trzeba jakąś cudownością, któraby uderzała ich wyobraźnię. W Wenecji cudownością tą była tajemniczość; im bardziej ciosy władzy były niespodziewane, niewyjaśnione, tém więcej czyniły wrażenia.”

Kampanja roku 1432 była zupełnie nie nieznaczącą; flota genueńska uderzyła na Korfu, lecz bez żadnego skutku; Loredan ze swojej strony czynił wycieczki aż na brzegi Ligurji, i otrzymał lekką ranę przy zdobyciu zamku Sostri. Dnia 7 kwietnia 1433, posłowie państw wojujących zebrali się w Ferrarze, i na tym nowym kongresie ułożyli podstawy stanowczego traktatu. Wszystko co zagarnięte *zostało* z jednej lub z drugiej strony, tak przez Wenecjan jak i Florentczyków, komu należało powrócono; Filip rzekł się związków swoich z Romanją i Toskanją, ażeby uniknąć wszelkiej sposobności mieszania się w politykę tych dwóch krajów. Takim sposobem wojnanie zwiększyła posiadłości rplitej; sprowadziła tylko głód, zatamowanie handlu, zmniejszenie kredytu krajowego; nakoniec, na domiar nieszczęść morowe powietrze znów się ukazało. Tyle zgubnych okoliczności rozjątrzyły lud przeciw doży i jego radcom, którym te wszystkie klęski przypisywano; Fosscari, ze swojej strony, nie przestając wierzyć iż ocalił rzeczpospolitę, nie chciał narazić się na bardziej jeszcze gorzkie wymówki, i osądził iż nadeszła chwila, w której z chwałą mógł zrzucić z siebie ciężar władzy: ale stronnictwa zmusiły go pozostać na urzędzie.

Pokój zawarty w Ferrarze, był dla księcia Medjolanu tylko zawieszeniem broni, którego kres chciał o ile można przybliżyć: jedynem więc jego staraniem było podburzanie nieprzyjaciół Wenecji. Słuchając jego namowy — patriarcha Akwilei, żądał przywrócenia posiadłości swoich w Friulu; roszcze-

nia jego odrzucono. Wtenczas to wmówił w ostatniego potomka Carrary, chroniącego się od lat trzydziestu w Niemczech, że nadeszła chwila odzyskania władztwa Padwy; lecz nieszczęśliwy Marciglio głową przypłacił łatwowierność swoją.

Senat i doża, oburzeni tém nieprawem postępowaniem, po czwarty raz wypowiedzieli wojnę burzliwemu Filipowi-Marji (1437). Wojska ich, pod dowództwem Franciszka Gonzagi, jenerała bez talentu i bez prawości, pobite z początku zostały przez Piccinina, wojownika najznakomitszą posiadającego sławę; lecz dzięki odwadze i zręczności Gata-Melata, jednego z jego podwładnych, uniknęły zupełnej a niezawodnej zguby. Kiedy Franciszek Gonzaga opuszczał chorągiew ś. Marka i przechodził pod chorągwie księcia Medjolanu, Gata-Melata, korzystając z wąwozów, strumieni i gór, wykonał odwrót najszczęśliwszy, którego wymagała słabość liczebna jego wojska; poczem znów rozpoczął działać zaczepnie i zmusił Piccinina do odstąpienia Brescii. Wenecja jednak niemniej utraciła w czasie téj wojny część posiadłości swoich Wicenzy, Werony, Brescia, Bergamo. Florencja, wycieńczona bezustannemi walkami z Filipem, nie w lepszym znajdowała się położeniu, co zmusiło obie rzeczypospolite do odnowienia dawnego przymierza zaczepnego i odpornego, i wzięcia na żołd swój najdzielniejszego kondotiera owych czasów, Franciszka Sforza. Genua, która przed kilku miesiącami zrzuciła jarzmo medjolańskie, weszła do tego związku, którego siły tak widocznie się powiększały. Za nim opiszemy nową tę walkę, zatrzymajmy wzrok nasz na człowieku, który zajmie, a nawet zapełni widownię.

Syn naturalny Jakóba Attendolo, który z prostego awanturnika w służbie księcia Medjolanu będącego, wniósł się do stopnia jenerała i przybrał przydomek Sforza<sup>3)</sup>. Hrabia Franciszek innéj pra-

<sup>3)</sup> Jakób Sforza, nazwany *Wielkim*, jest głową rodziny Sforzów, która tak znakomitą rolę odegrała w XV i XVI wieku. Wydała ona sześciu książąt Medjolanu i weszła w związek z wielu monarchami Europy. Urodzony dnia 28 maja 1369 w Catignola, małej wiosce Romanji, był synem rolnika, a według Cominines'a, synem szewca. Kiedy oddział awanturników przechodził przez Catignola, chętka mu przyszła udać się na wojnę. Rzucając siekierę w drzewo, powiedział do siebie: „jeśli w niém uwięźnie, zostanę żołnierzem!” Siekiera uwięzła, a ponieważ rzucił ją z całej siły, Jakób przyjął nazwę *Sforza*, w miejsce Attendolo.

gnął rzeczy nie zaś zysków, jakie naówczas wojna przynosiła. Papież Eugenjusz IV. któremu wyświadczył znakomite usługi, mianował go władcą Marchji ankońskiej i chorążym kościoła; ale nie było to dosyć dla niego: spodziewał się osiągnąć część spadku po księciu Medjolanu, skoro dowiedzie, mniej aniżeli wątpliwych praw Bianki-Marji, naturalnej córki Filipa, której rękę oddawna mu przyobiecywano. Ani jeden prawny potomek Viscontich nie pozostawał dla objęcia tego dziedzictwa, a roszczenia Bianki, wspierane przez szczęśliwego żołnierza, nabrałyby pewnej wartości. Sforza znał dobrze podstępność, fałszywość i niestałość przyszłego teścia swojego: wiedział on dobrze, iż tylko obawa wywołała myśl podobnego związku; ażeby to przywieść do skutku, okazywać się należało zawsze straszny; koniecznym więc było dla niego zachowanie władztwa Marchji ankońskiej, sławy pierwszego jenerała Italji i dowództwa świetnej jego armii, składającej się z siedmiu do ośmiu tysięcy ludzi. Pozostać na żołdzie Filipa, byłoby to narażać się na rozsypanie jój lub zniszczenie przez władcę zazdrosnego; a jednak Sforza nie był dosyć bogatym, żeby ją utrzymywać o własnym koszcie. Do tych różnych przyczyn, skłaniających go do połączenia się z dwiema rzeczami pospolitemi, jedynie mogącemi przeważać potęgę księcia Medjolanu, przyłączyła się inna, pochodząca wprawdzie z miłości własnej, lecz zbyt silna w umyśle żołnierza. Tą przyczyną była następująca: Przez ciągłe wojowanie, kondotierowie italijscy zdołali utworzyć zasady swojej sztuki, a znaczniejsi nawet tworzyli stowarzyszenia czyli *szkoły*, w których zbierała się wielka liczba dowódców podrzędnych. W owych czasach dwie główne były szkoły w Italji, obie założone, przed końcem XIV wieku przez Braccio de Montone, i Jakóba Attendolo. Nieprzyjaźń, współzawodnictwo dwóch wielkich wodzów, nie wygasły wraz z niemi; przekazali oni je swoim uczniom rozproszonym po różnych krajach Italji. Szkoła Braccia uznawała za naczelnika swego Mikołaja Piccinino, kondotiera stale wiernego księciu Medjolanu, i to właśnie dostatecznym było powodem dla uczniów Sforzy i hrabiego Franciszka, że się poświęcili usługom dwóch rzeczypospolitych.

Wsparte taką pomocą Wenecja i Florencja zobowiązały się płacić co miesiąc po 18000 złotych każda Franciszkowi Sforza; a oprócz tego przyjąć na swój żołd pana Faenzy, margrabiego Ferrary, Pandolfa Malesti i Piotra Orsini. Hrabia przyrzekł z swojej strony, trzymać pod bronią przez lat pięć,

trzy tysiące jazdy i tysiąc piechoty. Jego sława wojenna była tak wielką, że Gata-Malata, chociaż już dowodził naczelnie, nie uważał za uchybienie dla siebie służyć pod jego rozkazami. W chwili rozpoczęcia wojny, armja sprzymierzonych wynosiła 14000 koni i 8000 piechoty.

Sforza, poprzestając na niepokojeniu Piccinina, zamyślał o pośpieszeniu na odsiecz miasta Brescia, którego mieszkańcy przywiedzeni już byli do ostateczności. W tym zamiarze, ruszył na Brandolino, którego broniła załoga mantuńska, na wschodnim brzegu jeziora Garda. Przy współdziałaniu kilku statków, które Wenecjanie tu dostawili, spodziewał się że mu przedsięwzięcie gładko pójdzie; lecz uprzedzony przez Piccinina, który wzmocnił załogę i zapatrzył we wszelkiego rodzaju potrzeby, niebawem odstąpił od oblężenia, nie bez straty poniesionej w ludziach a spowodowanej przez palące gorąco w tych niezdrowych miejscach. Po jego oddaleniu się flotylla wenecka zupełnie zniesioną została. Poniżony przez te klęski, zmuszony prośbami senatu, żeby pośpieszał na pomoc nieszczęśliwym Brescianom, Sforza postanowił utorować sobie drogę do Brescii, okrążając jezioro Garda, i o powiedzieć zwycięstwem na wielkie zaufanie, jakie w nim położono. W tym celu przedarł się między urwistymi skałami rozdzielającymi rzekę Addę od jeziora Garda, i wpośród tysiąca trudów dostał się na małą płaszczyznę Penedy, przy ujściu rzeki Sarca. Lecz Piccinino, zaświadomiony w jakim kierunku postępuje jego przeciwnik, pozostawił margrabiego Mantui w Peschiera, i kazał przewieść przez jezioro większą część swojego wojska do zamku Tenna, który zamyka tę dolinę. Kilka utarczek miało miejsce; Piccinino, mając Sforzę zamkniętego jakby w pułapce, chciał uniknąć stoczenia walnej bitwy; jednak uniesiony wrodzoną porywcznością, przyjął bitwę w d. 9 listopada. W czasie trwania tych zapasów, mieszkańcy miasta Brescii, występują na spotkanie swojego wybawcy, i ukazują się w górach, po za żandarmami Piccinina i staczają na nich odłamy skał. Przerażeni tém natarciem, chociaż ono tak bardzo niebezpiecznym nie było, żandarmi medjolańscy niekają, jedni ku statkom, drudzy ku twierdzy, a inni w góry; i w skutek zaślepienia wszyscy prawie dostają się w ręce nieprzyjaciela, który ich zabija lub bierze do niewoli. Pomiedzy tymi ostatnimi znajdował się Gonzaga, syn margrabiego Mantui, Cezar Martinengo i Sacramoro Visconti. — Pociągnięty przez uciekających. Piccinino zamyka się w zamku Tenna; lecz nważając

go niezdolnym do długiego oporu, obmyśla śmiały sposób przebycia pola bitwy a nawet obozu nieprzyjacielskiego; silny żołnierz niemiecki kładzie go w worek, bierze na plecy i przenosi go pod zasłoną nocą na brzeg jeziora, gdzie wsiada w czółno i przybywa do Peschiera. Nazajutrz, na czele małego oddziału wojska na prędcie zebranego, podchodzi Weronę i przebywa jej mury, kiedy Sforza mniemał, że się jeszcze znajduje w górach, i kiedy Wenecja przy odgłosie dzwonów i wystrzałów z dział, głosiła jego upadek.

Piccinino miał jednak do czynienia z współzawodnikiem równie jak on przedsiębiorczym. Zaledwie Sforza dowiedział się o wzięciu Werony, natychmiast tam pośpieszył, rzucając oddziały w warowni San-Felice i San-Pietro, które od niej zależały, a których Piccinino zdobyć jeszcze nie miał czasu, gdy tymczasem Gata-Malata na czele swoich wchodził do starego zamku. Zdobywszy takie stanowisko, silnie uderza na nieprzyjaciela, i potężnie wspierany przez mieszkańców, zmusza go do ustąpienia z placu. W nagrodę tak świetnej wyprawy, Franciszek Sforza mianowany został szlachcicem weneckim, a Gata-Malata, jego namiestnik, który wkrótce potem nagle umarł, pochowanym został kosztem rzecypospolitej. Na grobowcu wzniesiono mu pomnik konny spiżowy, celem uwiecznienia pamiątki jego usług.

Główne wypadki téj kampanii dokonano w Lombardji. Następnej wiosny, Filip, spodziewając się że odciągnie Sforzę z widowni wojny, rozkazał ażeby Piccinino naszedł Toskanję; lecz Sforza, spostrzegłszy na pierwszy rzut oka jak zgubne skutki spowodowałyby błąd z jego strony, nie poszedł za nim wcale. Dozwala mu niszczyć Toskanję, a sam przebywa Oglio, pobija margrabiego Mantui, zdobywa Peschierę; poczem przy pomocy nowéj flotylli wystawionéj na jeziorze Garda, staje się panem obu brzegów jeziora, i bez przeszkody idzie na Brescia. Dowódcy medjolańscy Taliano Furlano i Ludwik del Vernie, przerażeni tak nagłym postępem, opuszczają ziemię breściańską, i stolica jest oswobodzoną. Sforza byłby niezawodnie ruszył na Adda, ostatnią zaporę Medjolańczyków, gdyby Piccinino, którego Filip przywołał, nie był się ukazał z téj strony Apeninów. Chociaż jenerał ten nie był w stanie mierzyć się z nim, osądził jednak za rzecz konieczną zebrać własne siły, ażeby być gotowym na wszelki wypadek, i poprzestał na zdobyciu kilku twierdz mantuńskich, ażeby ukarać margrabiego za pomoc, jaką udzielił księciu Medjolanu.



Sforza kierował temi działaniami, kiedy Mikołaj d'Este przybył do niego z propozycjami pokoju, w imieniu Filipa. D'Este przedstawił mu, że nie powinien niszczyć bezpowrotnie księcia Medjolanu; gdyż, chcąc utrzymać swoją ważność osobistą, kondotier potrzebował swoich przyjaciół i nieprzyjaciół, ukazał mu również nadzieję rychłego zaślubienia Bianki Visconti, dodając, że na dowód téj świetnej propozycji, Bianka już przybyła do Ferrary i oddaną zostanie w jego ręce natychmiast po podpisaniu traktatu. Nie zupełnie wierząc w szczerość tych obietnic, Sforza poczytał sobie za obowiązek udać się do Wenecji, ażeby o tém co zaszło uwiadomić senat, — krok wielce niebezpieczny ze strony wodza w służbie takiej rzeczypospolitej będącego. Jak to łatwo było przewidzieć, wszystkie przedłożenia Sforzy nie podobały się Seńiorji, i wydano mu rozkaz żeby wyjeżdżał natychmiast.

Piccinino korzystał z nieobecności Sforzy, zebrał armję i zaczął działać zaczepnie. Przebył Adde, potem Oglio na czele ośmiu tysięcy jazdy i trzech tysięcy piechoty, i rozbił dwa tysiące jazdy nieprzyjacielskiej. Sforza widział niemożność, mimo z zwykłej gwałtowności, naprawienia téj porażki, gdyż rzeczpospolita nie płaciła mu przyrzeczonych subsydiów i dozwalała niszczyć jego jałdzie, nie dostarczając koni do zmiany potrzebnych. Rozpocząwszy kampanję w dniu 17 czerwca dopiero, spotkał armję medjołańską w bliskości Cignano dnia 25, i silnie na nią uderzył, lecz bez żadnego skutku. Zwiódłszy naówczas Piccinina; znów przebył Oglio pod Pontaglio i obległ zamek Marsinengo, który przecinał komunikacje między Brescia i Bergamo. Zaledwie rozłożył obóz, a już armja nieprzyjacielska otoczyła go; i byłby uległ niezawodnie, tak pozycja nie korzystną była dla niego, gdyby książę, powodowany uczuciem własnego bezpieczeństwa, nie wysłał oświadczyć mu, że przebaczy wszystko, że odda mu rękę córki swojej, wraz z miastem Kremoną w posagu, i dozwoli mu zakończyć wojnę pod warunkami, jakie za właściwe uzna. Podobna wspaniałość wyda się może nadzwyczajną; jednak położenie Filipa dostatecznie ją wyjaśnia. Pozbawiony dzieci prawych, nie stając nigdy na czele armji swoich, widział jak generałowie korzystali z szczęśliwych okoliczności wojny, żeby sobie naprzód zapewnić udział w jego dziedzictwie. I tak Piccinino, pewny zwycięstwa, żądał naprzód władztwa Nauncji; Luigi de San-Severino chciał Novyrra, a Alessandro del Verruro, Tortony. Ażeby koniec położyć tym wymaganiom Filip

zwrócił się do Sforzy, którego lubił charakter. Sforza, uniesiony radością, przyjął rolę pośrednika, i chociaż nie miał żadnego prawa potemu, podpisał téjże saméj nocy warunki przedwstępne z Euzebiuszem Caymo, prywatnym sekretarzem księcia.

Skoro o świcie prokurator Malipieri, pełniący obowiązki provedytora, wszedł na radę z główniejszymi dowódcami, Sforza z uśmiechem zawiadomił ich, że wojna już skończona; potem oddał Malipieremu Jasady umowy, dając mu uczuć jak nierozważnym byłoby oczekiwać zatwierdzenia senatu, do którego jednak odwołać się wypadało. Wbrew wszelkim oczekiwaniom, senat, zamiast zganić swego generała, dał mu najobszerniejsze do działania pełnomocnictwo. Oto główne warunki traktatu, którego stanowcze zatwierdzenie nastąpiło w dniu 24 listopada 1441; Bergamo, Brescia, Lonato, Peschiera i Rivadi Trento, z ich rozgraniczeniem, przyznanemi zostały rzeczypospolitej; — Kremona z częścią okręgu medjołańskiego utworzyła posag Bianki; nakoniec granice margrabstwa Mantui, od strony Wenecyi, pozostały w stanie, w jakim się znajdowały.

Pięć lat upłynęło bez żadnego znaczniejszego wypadku. Poprzestaniemy na wyliczeniu ich. Foscari powtórnie chciał abdykować, przez jakiś czas nawet nie bywał na posiedzeniach, lecz musiał zmienić swoje postanowienie; ruch ludowy, skierowany przeciw władcy Rawenny, bez wystrzału księstwo to poddał pod panowanie Wenecji. Korzystając z obojętności, jaką Wenecjanie okazywać zaczęli dla handlu swojego, rozbójnicy morscy ukazali się przy brzegach Adryjatyku; sudan Egiptu, nie widząc licznych okrętów wojennych ozdobnych godłem św. Marka, przybywających do portów jego, wypędził wszystkich poddanych weneckich handlujących w Tripoli, Beyrucie i Damaszku; nakoniec siły morskie rzeczpospolitej tak się zmniejszyły, że kiedy cesarz Konstantynopola zażądał pomocy państw Zachodu przeciw muzułmanom, rzeczpospolita zaledwie dziesięć galer dostarczyć mogła. Niszczące wojny, w które się tak uporczywie rzucała, pożerały wszystkie skarby; a jednak jeszcze ją ujrzymy postępującą po téj zgubnej drodze.

Po różnych kolejach zgody i niezgody księcia Medjolanu i Sforzy, w czasie której widziano jak ten ostatni stawał się zaciętym wrogiem lub wiernym sprzymierzeńcem teścia swojego; już to zwyciężał, już to był obleganym w mieście swoim Kremonie; Filip wezwał zięcia swojego na dowódcę znakomitej armji, którą wysłać zamierzył przeciw Wenecji,

gdyż obawiał się niewypowiedzianie wpływu, jaki codzień więcej nabierała rzeczpospolita w Italji. „Senat wenecki, pisał do Alfonsa V króla neapolitańskiego, którego wciągnąć zamierzał do swojego przedsięwzięcia „stalszy aniżeli każdy z nas w dumie swojej, dokonywa przed stu laty powziętego zamiaru podbicia Lombardji. Udaje iż mnie się obawia, a ja drzę przed nim. Jeżeli kiedykolwiek zawładnie od Appeninów do Alp, ciało to, które dotrzymuje lub nie dotrzymuje słowa stosownie do potrzeby, łatwo zagarnie resztę Italji.” Ta przekonywająca mowa wciągnęła do związku papieża Eugenjusza IV i Alfonsa V; byłby niezawodnie wciągnął do niego króla Francji, Karola VII, gdyby nie nagła śmierć Papieża, a wkrótce potem samego Filipa, nie zniszczyła wszelkich kombinacji i niezrodziła nowych interesów. Zaledwie książę w Medjolanu ostatnie wydał tchnie-

nie, gdy gromada pretendentów powstała żeby rzucić się na jego dziedzictwo. Filip napisał cztery testamenta: mocą najdawniejszego, oddawał kraje swoje Antoniemu Visconti, swojemu krewnemu; późniejszym rozporządzeniem przekładał nad niego innego kuzyna imieniem Jakóba; trzecim testamentem mianował dziedziczką swoją Biankę-Marję; nakoniec, na kilka dni przed śmiercią, w chwili kiedy pojednał się z zięciem, czwarty testament wydziedziczył córkę i mianował swoim następcą Alfonsa V Arragońskiego. Na domiar zawikłań, cesarz Fryderyk III dopominał się prawa rozrządzenia Medjolanem, jako lennością cesarstwa; król francuzki popierał roszczenia Walentyny Visconti, wdowy księcia Orleanu, a Wenecja upominała się o prawo zdobyczy.

(D n.)

## HORACY VERNET I JEGO PRZODKOWIE.

Imię Vernet'ów od stu lat przeszło jaśniej na kartach dziejów sztuk pięknych. Niektórzy biografowie tej artystycznej rodziny, utrzymują, że Antoni Vernet pradziad Horacego, spółczesny Niny de Lanclos, malował portret tej głośnej piękności, wówczas, kiedy miała lat osmdziesiąt, i gdy wielu traciło dla niej rozum z miłości; dowiedziono jednakże później, że Antoni Vernet nie oddalał się nigdy z rodzinnego Awinjonu, gdzie był skromnym i mało znanym malarzem; więc syn jego, Klaudyusz Józef Vernet, urodził się w roku 1714, artystyczne wykształcenie ukończył w Rzymie i był tym głośnym malarzem widoków morskich, któremu Ludwik XV rozkazał wymalować wszystkie porty francuzkie. Przebywał naprzemian we Francyi i we Włoszech, i pozostawił około czterystu obrazów swego pędzla, z których godniejsze uwagi znajdują się w muzeum Luwru. On to, płynął raz z Liworno do Francyi, gdy go gwałtowna spotkała burza, kazał się jak Ulisses przywiązać do wielkiego masztu, aby przypatrzeć się dokładnie całej okropności tej sceny morskiej. Zdarzenie to, precudnie wystawił na płótnie wnuk jego Horacy.

Klaudyusz Józef Vernet, który od ojca nauczył się władać pędzlem, był znowuż pierwszym mistrzem w sztuce malarskiej syna swego Karola urodzonego

r. 1758. Młody Karol czynił z początku nadzieję przewyższenia nauczyciela; ale pokochawszy Montbarc córkę bogatego dostawcy przy armii królewskiej, z rozpaczy porzucił sztukę, która jedna mogła przynieść ulgę zboląlemu sercu osmnastoletniego młodzieńca. Chcąc go uleczyć z tej namiętności, ojciec wyprawił go do Rzymu; tam Karol Vernet zaczął znowu pracować; otrzymał nawet pierwszą nagrodę konkursową; lecz wkrótce, smutek po stracie ulubioniej tak silnie owładnął jego duszę, że postanowił porzucić świat i sztukę i wstąpił do klasztoru. Uwiadomiony wcześniej o tém Józef Vernet, przybył spiesźnie do Rzymu, nie dozwolił mu oblec sukni zakonnej i przywiózł do Paryża. „Bądź lepiej wielkim malarzem, aniżeli nieznanym światu zakonnikiem;” — mówił do namiętnego młodzieńca pewien opat, przyjaciel jego ojca; Karol usłuchał jego rady, i z nowym zapałem oddał się w sztuce. W dwudziestym dziewiątym roku życia ukończył historyczny obraz tryumfu Pawła Emiljusza, za który, przyjętym został na członka akademii malarstwa. Ojcu jego, siedmdziesiąt-trzech-letniemu starcowi i zasłużonemu artyście, dostał się zaszczyt i rokosz wprowadzenia do akademii, tak świetne rokującego nadzieje, syna. Józef Vernet umarł w roku 1789 i miał jeszcze przed zgonem pociechę oglądania wnuka swego Horacego.

W kilkanaście lat później, wielkie społeczne wypadki podały Karolowi bogate przedmioty do obrazów historycznych, przedstawiających bitwy pod Rivoli, Marengo, Austerlitz, Wagram i przejście przez górę S-go Bernarda. Te jednak ogromne dzieła, nie przeszkadzały mu w zajmowaniu się obrazami charakterystycznymi i szkicami do litografij, w których szczególnie jaśnie nadzwyczajny dowcip i talent artystyczny. Umarł w roku 1836; lecz z śmiercią jego, nie wygasła dynastia malarzy Vernetów; talent przeszedł w spadku z dziada na ojca, z ojca na syna.

Syn Karola, Horacy Vernet, urodził się dnia 30 czerwca 1789 roku, w Luwrze, gdzie od czasów Ludwika XIII, królowie francuscy wyznaczali mieszkania znakomitym artystom; tam mieli swe pracownie dziad i ojciec Horacego. Pierwsze początki rysunku wskazał Horacemu ojciec, od lat więc najmłodszych mazał żołnierzy i konie po ojcowskich płótnach; następnie dopiero rysownik Moreau i ojciec matki jego Chalgrin budowniczy hrabiego Prowancyi, udzielali mu dalszych nauk. Lecz wkrótce groźne wypadki 1793 roku zakłóciły spokój tej cichej rodziny artystów; 10 sierpnia Karol Vernet tylko co nie utracił życia ze swym czteroletnim synem. Przechodzili właśnie przez dziedziniec pałacu Tuileries, gdy lud wpadł do pałacu; kula zerwała Horacemu czapkę i przeszła rękaw sukni ojca prowadzącego dziecię za rękę. Smutny los pani Chalgrin, skłonił Karola do opuszczenia Francyi; powrócił do niej dopiero za czasów konsulatu. Pełen dowcipu, a przytem uprzejmości w pożyciu i skromności aż do przesady, Karol Vernet przyznawał zawsze nad sobą pierwszeństwo nie tylko ojcu swemu, ale i synowi. „O mnie, powiedzą toż samo, co niegdyś mówiono o wielkim Delfinie; (to jest, o synu Ludwika XIV): syn króla, ojciec króla, a sam nie był królem” były ostatnie jego słowa na śmiertelnem łożu. Lecz potomność, sprawiedliwszą jest dla niego, niżeli nim był sam dla siebie.

Horacy Vernet odziedziczył nie tylko talent ale i dowcip ojca. Mając zaledwie ośm lat życia, zachwycał gości pewnej kawiarni, do której go ojciec brał z sobą, niewyczerpanymi żartami i figlami. Dzieckiem będąc, nie rozstawał się nigdy z świstkami papieru na których szkicował ołówkiem portrety sąsiadów, lub ustępy z wojny amerykańskiej, której szczegóły poznał, przysłuchując się pilnie rozmowom ojca z towarzyszami Lafayetta; niektóre z owych dziecinnych jego rysunków doszły do naszych czasów i wykazują, jak wczesnie rozwijał się ten wielki talent. Pe-

wnego razu, kiedy wieszowano ojcu dowcipu syna za jakąś nową psotę i wzniesiono toast za ich zdrowie, korek z butelki wina szampańskiego uderzył o sufit tylko co odświeżony i zrobił na nim czarną plamę. Właściciel kawiarni jęknął żałośnie; rusztowania nie były wyniesione z sali, farby i pędzle leżały jeszcze; młody Horacy zawołał wesoło do strapionego właściciela: „ach mój Boże! temu nieszczęściu bardzo łatwo zaradzić; i w mgnieniu oka pochwyć pędzle, i jak wiewiórka wdrapał się pod sufit, w kilka minut, na miejscu czarnej plamy ukazała się prześlizgnięta jaskółka szybująca na tle niebieskiem. Minęło pół wieku przeszło od owej chwili, a jeszcze pokazywano w kawiarni tę jaskółkę (odnawianą rozumie się, ze dwadzieścia razy przynajmniej).

Nieustannie i z wielką pilnością ucząc się malarstwa, Horacy uczęszczał na nauki do kolegium *des Quatre Nations* i wtedy już zaczął słynąć jako wiele obiecujący artysta. O nim i ojcu jego powiedzieć można, że dokonali wielkiego przewrotu w sztuce, porzucając ubitą drogę naśladownictwa wzorów szkoły greckiej, za którą szli dotąd wszyscy malarze francuscy; w obrazach obydwóch Vernetów zniknęła wymuszoność i często nadęta uroczystość formy. „Po co naśladować rzeźby i posągi dawne, mawiali i okrywać je tylko naszymi mundurami?”

Poświęciwszy swój talent przedewszystkiem malarstwu bitw, młody Horacy płonął uwielbieniem dla swjej epoki, patrzył na wielkie społeczne zdarzenia, poznał wstawionych wówczas mężów, wzrosł pod cieniem chorągwi rewolucyjnych; widział i czuł chwałę Francyi pod Napoleonem I, jak prawdziwy francuz ubolewał nieraz nad nieograniczoną dumą potężnego władcy,—to też, z tém samym żywym uczuciem przelał na płótno mnóstwo epizodów tej epoki, z jakim wyśpiewał je Berenger. Naród, poznawał siebie w obrazach jednego i w pieśniach drugiego, i z całym zapałem obsypywał ich zmianami świetnymi narodowego malarza i narodowego śpiewaka.

Utrzymywali niektórzy, że Horacy Vernet, jako sierżant miał udział w bitwie pod Montmirail i przy obronie Paryża przeciw wojskom sprzymierzonym w r. 1814, ale to bohaterskie wystąpienie na plac boju, mylnie przypisywano naszemu malarzowi; Horacy Vernet nie czuł nigdy chęci do dźwigania torniustru, nie marzył nigdy o pozyskaniu wawrzynów na polu walki; i w tém także, podobny jest do Berengera; obadwa byli przekonani, że z równą chwałą można służyć ojczyźnie pędzlem i piórem, jak wie-

lu innych, spólczesnych, służyło jój szablą i bagnem. Dwukrotnie, a mianowicie w latach 1807 i 1815 imie Horacego znajdowało się na liście spisowych; ale za każdym razem, ojciec dostarczył za niego zastępców. W owój epoce wielkich zapasów wojennych młody Horacy dzielił swój czas pomiędzy pracą i wesołą rozrywką; delikatna twarz jego, mała ręka i kształtna noga przy kobiecóm przebraniu, często mu pomagały do wesołych żartów z wielkimi dostojnikami cesarstwa, podczas balów karnawałowych.

Od roku 1811 do 1815, młody malarz słynął już i na dworze Napoleona I, bo wymalował w tym przeciągu czasu wiele obrazów bitw. Cesarzowa Marya Ludwika i król Hieronim dawali mu mnóstwo zatrudnień, płacąc po ośm i dziesięć tysięcy franków za jeden obraz; wydawcy sztychów, dobijali się o jego rysunki i wysoko je cenili. W r. 1814, otrzymał order Legii Honorowój; ale za powrotém do Francji Burbonów, oddalony został od dworu. Przyczyną niełaski, były jego obrazy, których przedmiot nie zasługiwał na pochwałę nowego rządu, np. bitwa pod Somosierra<sup>1)</sup> śmierć księcia Poniatowskiego, żołnierz rolnikiem, grenadyer pod Waterloo, bitwa pod Tolozą, pies pułkowy, koń poległego trębacza i t. p. Horacy udał się z ojcem do Włoch, gdzie zostali przyjęci z niesłychanym zapalem. W powrocie do ojczyzny, zwiedzili po drodze Awinjon, rodzinne miejsce swych przodków, i na pamiątkę téj bytności, podarowali miastu po jednym obrazie swego pędzla. Od roku 1820 do 1825, Horacy stanowczo ugruntował sławę swoje znakomitemi dziełami jak np. rogatka Clichy, bitwa pod Jemappes, grób Napoleona, Józef Vernet przywiązany do masztu w czasie burzy, powietrze w Barcelonie, bitwa pod Montmirail, pożegnanie w Fontainebleau, bitwa pod Valmy, most pod Arcole i t. p.

Książę Orleański, późniejszy król Ludwik Filip, otwarcie protegował byłego malarza dworu; i ciągle zamawiał portrety za portretami, obraz za obrazem. Przyszły król kazał niekiedy robić swe wizerunki w rozmaitych ubiorach i w licznych zdarzeniach swego życia. Nakoniec, Karol X wezwał Horacego i polecił mu wymalować swój portret; książę Angoulême poszedł za przykładem monarchy, i od téj chwili podwoje muzeum otwarły się dla dzieł Horacego; nie był nawet w stanie nadażyć wykonania mnogichzewsząd zamówień. Wkrótce, mianowanym został dyrektorem szkoły francuzkiej w Rzymie; liczył wtenczas około 40-stu lat życia.

Walka romantyzmu z klassycyzmem, odbiła się i

<sup>1)</sup> Oryginał tego obrazu znajduje się w galeryi synów Zygmunta hr. Krasińskiego.

w dziedzinie sztuk pięknych. We Francji, Gericault, swoim obrazem „rozbicie fregaty Meduzy,” od dawna już dał hasło do powstania przeciw szkole greckiej; Delacroix ogłosił się przedstawicielem nowego rodzaju, chociaż mniej przyzwoitego, lecz pełnego śmiałości, życia i namiętności. Horacy Vernet idąc za głosem wrodzonego mu delikatnego smaku, z właściwym sobie talentem, przyswoił w swych utworach wszystkie zalety nowej szkoły, unikając starannie jój błędów. Filip August przed bitwą pod Bouvines, ostatnie łowy Ludwika XVI, śmierć Harolda, noszą na sobie wyraźną cechę samodzielności genjuszu Verneta. Wszystkie te obrazy wystawione były na widok publiczny jeszcze przed jego wyjazdem do Rzymu, gdzie pracom szkoły francuzkiej dał popęd do większej nierównie działalności. We Włoszech, wymalował: rozbójników z Terracina, wyjazd na polowanie na bagna Pontyńskie, spowiedź rozbójnika, Judytę, Wiktoryę Albano, Michała Anioła i Rafaela w Watykanie i t. d.

Powróciwszy z Włoch do Paryża, Vernet najłaskawiej został przyjętym przez dawnego mecenasa, który, po upadku starszej linii Burbonów wstąpił na tron francuski pod imieniem Ludwika Filipa. Ulu-bieniec nowego dworu, otrzymał z różnych stron zamówienia obrazów wartości od trzech do czterechkroć stu-tysięcy franków. W roku 1836, rozkazał król oddać mu na pracownię salę zwaną *jeu de pommes* w Wersalu i tam to w ciągu następnych lat dziesięciu, Vernet ukończył znaczną liczbę obrazów których przedmiotem były sceny wojenne w ogólności, zaś w szczególności czyny armii francuzkiej z wyprawy algierskiej. Do téj epoki także odnieść należy cztery epizody zwycięstw pod Jena, Friedlandem, Wagram i Fontenoy. Ludwik Filip zażądał, aby sam Vernet przyozdobił całą galeryą muzeum Wersalskiego; śmiały malarz, nie tylko nie cofnął się przed tą olbrzymią pracą, ale poświęciwszy jój sześć lat najpilniejszej i zdumiewającej czynności, wykonał wolę monarchy. Trzy te ogromnych rozmiarów obrazy, przedstawiają trzy ustępy zdobycia Konstantyny: wycieczkę załogi, przekopy oblegających i szturm miasta. Obok tych głównych obrazów, cztery mniejsze, przedstawiają: zajęcie wozu Teniak; bitwę pod Habray, bombardowanie Saint Jean d'Ulloa i zdobycie Antwerpii. Siedm małych obrazów zajmują przedziały pomiędzy ścianami; nakoniec, trofeja wojenne, armatury i figury allegoryczne zdobiące sufity, słowem wszystko w téj galeryi, jest dziełem pędzla Horacego Verneta. Ukończywszy te znakomite prace, w roku 1842 udał się do Rosyi. Po

powrocie do Francji, otrzymał znowu od Ludwika-Filipa rozkaz odmalowania zdobycia Smalil w wielkim rozmiarze, tak, że powierzchnia płótna które miał pokryć farbami, wynosiła sto sześćdziesiąt metrów kwadratowych. Spojrzawszy po raz pierwszy na to płótno olbrzymie, Vernet pobladł; ale to pomieszanie chwilę tylko trwało; w przeciągu ośmiu miesięcy ukończył już żądany obraz, a w roku następnym, wymalował nie mniejszych rozmiarów bitwę nad Isly. Trudno nawet policzyć dokładnie wszystkie dzieła Verneta; w roku jeszcze 1842, sam Horacy oceniał na dwa miliony franków obrazy, które od roku 1811 wykonał; oprócz tego, malował portrety wszystkich prawie marszałków i generałów pierwszego cesarstwa i wszystkich monarchów europejskich. Biorąc więc na uwagę niesłychaną liczbę dzieł większych, tudzież, rysowanych przezeń winiet litografij i szkiców, niepodobna nawet wytłómaczyć sobie, jak wystarczyło na to wszystko, życie jednego człowieka?—Do późniejszych obrazów jego należą: Józef sprzedany przez braci, polowanie w Marokko i Msza obozowa w czasie wyprawy kabyłskiej.

Niejednakowy jest dotąd sąd o utworach pełnego talentu artysty; krytyka zarzuca mu pospiech w pracy; ale w tém, nie zawsze jest sprawiedliwą dla wielkiego malarza; nie wie bowiem, ile on bezsennych nocy przepędza na studyowaniu każdego obranego przedmiotu; jak wnika w najdrobniejsze nawet szczegóły; ile myśli, ile pracy poprzedniej kosztuje go każdy obraz. Dla tego to, pomimo pospiechu, napotyka my we wszystkich dziełach Verneta: wierność przedmiotu, prawdziwość sytuacji, zgodność z daną epoką; pomijając już mechaniczne wykończenie każdej oddzielnie wziętej części obrazu. Vernet trzyma się przedewszystkiém następującej zasady: malarstwo podobném jest do historii; główną ich cechą, powinna być prawda. Vernet stał się malarzem narodowym; bo obrazy jego mogą służyć za buletyny wojenne i za dowody historyczne, tak samo, jak kolumny Monitora. Nie zbyt dawno ktoś powiedział: że Verneta nazwać można Rafaelem ludu wojennego.

Działalność Horacego, niepodobną jest prawie do wiary. Nigdy on nie cofnie się przed najdalszą nawet podróżą, skoro tylko znajduje potrzebę poznania jakiego szczegółu obyczajów, obejrzenia miejscowości lub pola bitwy, albo ubioru narodowego; najmnień dwadzieścia razy był w Afryce, dla zbadania na miejscu wojny Algierskiej; w roku nawet 1859, starzec siedmdziesięcioletni, odbył podróż do Włoch dla zwiedzenia pola walk pod Magenta i Solferino.

Obdarzony przytem zadziwiającą pamięcią, nie zapomina nic, co choć raz jeden uderzyło wzrok jego; twarze ludzkie, poruszenia ciała; najdrobniejsze szczegóły faktów, wszystko to dagerrotypowym sposobem wyciska się raz na zawsze w jego pamięci.—Znakomity ten malarz, lat pięćdziesiąt cztery zajmował się sztuką; ozdobiony jest orderami wszystkich niemal państw europejskich, jest pułkownikiem gwardyi. Straciwszy w r. 1845 jedyną córkę, żonę zmarłego także malarza Delaroche'a, bezdzietny teraz Horacy zakończy artystyczną dynastję Vernet'ów. Ale dzieła jego, przeżyją swoją epokę.

Podamy jeszcze naszym czytelnikom parę ustępów z życia Vernet'a, które najlepiej scharakteryzują przymioty jego serca i duszy:

Wspomnieliśmy już, że Horacy Vernet obdarzony jest od natury nadzwyczajną pamięcią. Najszczerzy jego przyjaciel malarz Gericault mawiał: „głowa mego przyjaciela Horacego, to prawdziwa szafa z szufladkami; wysunie, spojrzy i wszystko znajduje na swoim miejscu.” — W roku 1841, generał Rabusson, bardzo często odwiedzał Verneta w jego pracowni, podczas, gdy ten malował obraz przedstawiający jeden z przeglądów wojskowych za Napoleona I. Pewnego razu, stary generał korzystając z chwilowego odpoczynku malarza, schwycił go za rękę i wskazując siodło strzelca gwardyi konnej, zwołał: „na ten raz, złapałem cię Horacy; olstra pistoletowe, całkiem inaczéj były wtenczas urządzone.” — „Zadziwiasz mię jenerale, odrzekł malarz; zdaje mi się, że patrzę na nie w téj chwili.” — „Otóż ja ci powiadam że cię pamięć zawiodła; całe życie służyłem w tym pułku i nie mam tego pamiętać?” — „To być może, jenerale; ale...” — „Jakto? nie dasz się jeszcze przekonać? to za wiele! A więc, jadę w téj chwili do depotu ministerjum wojny, przejrzę rysunki i wracam tu z zwycięstwem.” — Mnień, niż w godzinę, generał był z powrotem w pracowni malarza. — „I cóż więc?” zapytał go Horacy. — „A cóż? niech licha porwie, wygrałeś—zawołał generał wesoło—i czyż warto było, trzydzieści lat życia przepędzić w obozach i koszarach, ażeby przy schyłku życia uczyć się formy wojskowej od jednego znakomitego bazgracza.” — Ale oto jedno jeszcze godne wspomnienia zdarzenie. Margrabia Pastoret spotkawszy się z Vernetem, zdziwiony zawołał: „Cóż się z tobą dzieje? mój drogi; nigdzie się nie pokazujesz; ileż to lat już niewidziałem cię! czy nie jeździłeś do Indyi?” — „Żartujesz margrabio—odrzekł Horacy, nie ma jeszcze i pół ro-

ku, jak spotkałem się z panem.” — „O, ręczę ci, że się mylisz; i gdzież to?” — „W ogrodzie Tuilleries; — odparł z pewnością malarz — szedłeś pan wtenczas z jakąś nieznaną mi damą.” — „Przyśniło ci się mój Horacy! — Jakto, z damą?” — „Tak jest, z damą, i to nawet z bardzo piękną. Ale, pozwól mi margrabię jedną chwilkę, a zaraz ci ją odrysuję;” — to mówiąc Vernet, wydobył pugilares, ołówek i szybko rzucił na papier kilka rysów. — „A co, czy poznajesz pan tę osobę?” — zapytał, wydzierając kartkę i podając ją margrabiemu. — „Jakże nie mam poznać! wszak to księżna V. — zawołał zdumiony margrabia. — Rzeczywiście odprowadzałem raz księżnę do jej pałacu na wybrzeżu Woltera i przechodziliśmy wtenczas przez ogród Tuilleries. Ależ jakim sposobem, ty szatanie-artysto mogłeś po upływie pół roku czasu tak trafnie odrysować twarz, postawę, ubiór nawet, kiedy ją tylko w przechodzie widziałeś?” — mówił coraz bardziej zdziwiony margrabia, wpatrując się w rysunek. — „O, to rzecz bardzo prosta, odrzekł z uśmiechem malarz. — „Prosta bardzo prosta; ale gdybyś to zrobił w początkach czternastego wieku, spłonąłbyś niezawodnie na stosie czarowników.” — Przed kilku laty jeszcze, Horacy Vernet narysował z pamięci miejscowość, którą oglądał w roku 1816.

Częste stosunki z arabami, gruntowne poznanie ich obyczajów i ciągle czytanie biblii, utwierdziły w Vernecie niewzruszone przekonanie, że wszyscy przed nim artyści, w obrazach biblijnej treści, fałszywie malowali ubiory osób. Vernet dowodzi tekstem pisma świętego, że dawni żydzi ubierali się tak samo, jak arabowie nowszych czasów; i że ci ostatni zachowali mnóstwo zwyczajów, o których wspomina każda niemal stronica księgi Exodus. Pod wpływem tego przekonania, Vernet nie bacząc na ostre przyćinki krytyków, odmalował: Rebekkę przy studni, Abrahama i Agarę, płacz Jeremiasza, litościwego Samarytanina i t. p. — Podróże po Afryce północnej stanowią dlań największą przyjemność; plemiona arabskie ubóstwiają go, a na obrazy jego spoglądają z takim uszanowaniem, jakby na dzieła nie człowieka ręki; tak silnie podobieństwo przedmiotów działa na prostą i otwartą naturę araba. Za to też, nikt lepiej nad Vernet'a nie mógł ugościć starszyny beduińskiej w czasie ich bytności w Paryżu w r. 1845. Artysta zaprosił ich do swęj pracowni, której cała posadzka wzdłuż i wszerz zasłana była nie kobiercami, lecz skórami lwów, tygrysów i panter; po kątach i na ścianach, stały i wisiały jatagany, kindza-

ły, szable, długie strzelby, siodła zdobne drogiemi kamieńmi, fajki i cybuchy kosztowne. Beduini, znaleźli tu, jakby czarodziejskiej różeczki skinieniem zgromadzone wszystkie przedmioty swojej ojczyzny-pustyni. Prawdziwie beduińskie przyjęcie dopełniło zadowolenia południowych gości; po kus-kusie, ulubionej potrawie arabów, przyniesiono baranka upieczonego w całości, podług zwyczaju arabskiego, a beduini usiadłszy na skrzyżowanych nogach, w około, rozebrali pieczone rękami. Sam gospodarz podawał im nargile, a pani Vernet nalewała mokkę. — Należy nam wspomnieć w tém miejscu, że pracownia Horacego, jest cudem gustu i zbytku. Oprócz szacownego zbioru broni wszelkiego rodzaju i ubiorów różnych narodów, znajduje się tu także mnóstwo portretów familijnych pędzla samego Verneta i obrazów podarowanych mu przez jego przyjaciół artystów; tam także, przechowuje w kosztownej szkatułce order Legii Honorowej, otrzymany z własnych rąk cesarza Napoleona I i promień włosów z głowy wielkiego więźnia na wyspie ś. Heleny, odjęty przy otwarciu jego mogiły.

Dwa lata bawił w Rosyi: Zobrazów które wykonał dla dworu tamtejszego, znane nam są: *Przeгляд wojsk przez Napoleona I w Tuilleries Zdobycie, Woli*<sup>1)</sup>, *karuzel, Scena na biwaku, Dwóch, grenadyerów*, z których jeden strzela, a drugi padł raniony.

Prawdomówność, szczerą wesołość, uprzedzająca uprzejmość i najwyszukańsza grzeczność, składają główne rysy charakteru Verneta. Prawda, że dla dowcipnego słówka, nie żałowałby i rodzonych ojca, ale ta wada, wspólną jest wszystkim francuzom, zwłaszcza takim wszędobylskim jak Horacy. Charakter człowieka malują najlepiej ustępy z jego życia. Oto kilka z nich.

Król Ludwik-Filip odwiedzał często pracownię ulubionego swego artysty. Po ukończeniu galeryi wojen algierskich, o której mówiliśmy wyżej, Vernet pracował nad obrazem przedstawiającym obleżenie Valeciennes; król, objawiał kilkakrotnie życzenie, aby pomieścił Ludwika XIV jako uczestniczącego przy szturmie. Chcąc z jednej strony uczynić zadość woli swego ukoronowanego opiekuna, z drugiej zaś, nie uchybić prawdzie, Vernet przerzucił wszystkie

<sup>1)</sup> Rycina ta umieszczoną była i w dzienniku paryskim p. t. *L'illustration*, a nasz S. Oleszczyński, wybornie ją skopjował, wynalezionym przez się sposobem przenośnym.

kroniki XVII stulecia, aby się upewnić o osobistej waleczności wielkiego Ludwika; poszukiwania te jednak, przywiodły go do tego jedynie rezultatu, iż nie podpadało najmniejszej wątpliwości, że podczas samego szturm, król znajdował się o trzy mile od pola walki, z panią Montespan, gdzie bawił się pisaniem wierszy dla swój kochanki. Na drugi dzień, Vernet z całą uniżonością oświadczył królowi, że niepodobna mu jest spełnić rozkazu. — „Ależ mój kochany, ja cię zapewniam, że takie jest podanie naszej rodziny” odrzekł król gniewnie. „Żałuję najmocniej N. Panie, rzekł Vernet z uszanowaniem, że podanie to nie zgadza się z historją i błagam W. K. Mość jako o największą łaskę o uwolnienie mię od spełnienia tego rozkazu.” — Ludwik-Filip szybko odwrócił się od niego i wyszedł z pracowni. Vernet myślał, że na tém skończy się spór o waleczności Ludwika XIV, gdy nagle wpada doń dyrektor muzeów, mówiąc: „Ależ panie, to tylko prosty upór z twój strony! Dla czego nie masz spełnić woli królewskiej? wszak król ci płaci, powinienes więc wykonać jego [rozkazy.” — „Prawda, król mi płaci, odparł Horacy z godnością; ale nie za to, ażebym przekręcał fakta historyczne, mój panie; i obrazu tego nie będę malował.” Tegoż samego dnia Vernet wyjechał na Północ. Wtedy był i w Warszawie, zwiedzał pracownię znamienitego rodaka naszego a ucznia swego Suchodolskiego, domalował własną ręką wyspę ś. Heleny na obrazie, znajdującym się dziś u pana Tomasza Potockiego, a wystawującym Apoteozę wielkiego wojownika i pokutnika.

W lat kilka po tém zdarzeniu, Vernet obsypany był znowu łaskami Ludwika-Filipa. Kiedy pracował nad olbrzymim obrazem zdobycia Smaali, król odwiedzał go często w jego pracowni Wersalskiej i unosił się nad cudnymi postaciami żołnierzy, pomieszczonemi na pierwszym planie. Wszystkie te figury zdjęte były z natury; jeden szczególnie stary żołnierz zwrócił uwagę króla. „Znam osobiście tego wiarusa; rzekł Vernet; dwanaście już lat walczy w Afryce.” — „Tak, widać to; ma zresztą krzyż Legii Honorowej” — zrobił uwagę król. — „Ah nie, N. Panie; omyliłem się mimowolnie, i muszę ten krzyż zetrzeć;” smutnie odpowiedział malarz biorąc pędzel i maczając go w farbie. Monarcha domyślił się podstępu artysty i zatrzymując jego rękę, rzekł z uśmiechem: „Nie psuj obrazu, mój kochany Horacy; poprawki zawsze są widoczne; jest inny, daleko prostszy sposób naprawienia twojej... no, tak, twojej mimowolnej pomyłki; nagrodzę tego zucha.”

I Horacy uszczęśliwiony był ze skutku swego niewinnego podejścia.

Nie pozbywając się ani na chwilę uczucia własnej godności w stosunkach z wyższymi od siebie, Vernet, prawdziwie czarujący jest w obejściu się z niższymi. Pewnego razu, przejeżdżając w Tilbury przez ulicę Delfina, zawadził o wóz naładowany kamieniami i złamał dyszel swego pojazdu. Znajdujący się w pobliżu biedny jakiś malarz szyldów sklepowych, który stojąc u szczytu drabiny malował rozmaite przedmioty rzeźniczego handlu, spuścił się szybko na ziemię i zręcznie umocował sznurkami uszkodzony pojazd, byle tylko Vernet mógł dojechać do domu. Vernet, wyjął sztukę złota i ofiarował ją malarzowi szyldów. — „Ah panie Vernet, odrzekł ten z pewnym rodzajem wyrzutu; czyż godzi się tak ubliżać koledze?” — „Wybacz, mój drogi; ale jakże mam ci się odwdzięczyć za tę przysługę?” — „Panie, jeżeli tam, odpowiedział malarz ukazując na swój szyld, machniesz parę razy pędzlem, to mię hojnie wynagrodzisz.” — „Z całą chęcią; rzekł Vernet, i oddawszy lejce w ręce kolegi, pomimo lat swych, wbiegł żwawo na drabinę i w kilka minut wymalował wzbudzającą apetyt najwybredniejszego smakosza, szynkę. — „Panie Vernet, zawołał biedak upojony radością; od dnia dzisiejszego nie dotknę ani tego pędzla, ani téj drabiny, i jak świętość, przekażę je moim dzieciom.”

Verneta znają wszyscy, wszyscy go kochają; lud prosty nawet ceni jego dzieła. Za dowód tego, posłużyć może następujące zdarzenie, którym zakończymy już ten zarys, gdyż nigdy nie skończylibyśmy biografii tego znakomitego artysty, gdybyśmy chcieli opisywać wszystkie godniejsze uwagi, wypadki jego życia. — W czasie rewolucyi lutowej, Vernet, pełniąc obowiązki pułkownika w głównym sztabie gwardyi narodowej, wyjechał naprzeciw ludu, z jakimś rozkazem do wojska. Miejsce było bardzo niebezpiecznem; kule latały na wszystkie strony. Wtém, z pośrodku ludu, wybiega młody człowiek, zaklina Verneta aby się natychmiast oddalił, a nawet przemocą odprowadza konia jego na stronę. Niektóre z osób towarzyszących Horacemu były już ranione. W kilka dni później, tenże sam młodzieniec przychodzi do Verneta i przynosi mu połowę jego obrazu „spowiedź rozbójnika” ocaloną przezeń w czasie rabunku *Palais-Royal*. Poznawszy nieznanomego swego wybawcę, artysta nie tylko nie przyjął od niego obrazu, lecz darował mu go na pamiątkę, i prosił o wskaza-

nie, czém może odwdziżyć wyświadczoną sobie przysługę? Zamiast pieniędzy, nieznajomy prosił Verneta o darowanie jednego z jego czarodziejskich pędzli, oznajmując, że jest początkującym malarzem i że oddawna szukał sposobności poznania bliżej, ubóstwianego przez siebie artysty.

## WYPADEK NA ŁOWACH

O B R A Z E K Z 16-go W I E K U.

(Dokończenie.)

Mimo grubego łosiowego kaftana, pazury drapieżne rozorały ramię jego, i siłą obaliły na ziemię. — Przytomność otaczających go dworskich i śmiałość psów, uratowały, że na miejscu życia nie skończył. Lecz rozdrażniona niedźwiedzica, nim skończyła, zadała jeszcze zerwawszy się ciężkie rany dwom panom dworskim, razem ze starostą z placu niesionym — na których to Basia spojrzeć się bała; gdyż Basia jak zwykle kobieta wśród niepokoju o przedmiot ukochany, nie zastanowiła się czy możebną lub słuszną jest obawa. — Zapomniała, że Jan był w innéj stronie lasu; stanowisko jego bowiem według oznaczenia starosty było przy *terepach* o pół mili blisko odległych. — Tam wprawdzie mógł także uleść nieszczęściu, ale niedźwiedź stary, o którym starosta nadmienił, nadspodziewanie nie wyszedł na niego; napędzono tylko bartnika którego ubił, i gdy razem z inną zwierzyną, wraz z kolegami ubitą, spieszył do oparzeliska jako w bliskości doliny na szalas przeznaczonéj, będącego; już tam nie zastał nikogo prócz wieśniaków łowieckich, mających rozkaz pozbierać i pozwozić pozostałą zwierzynę.

Przywieziono z Sanoka lekarza, był to Węgier przed kilkunastu laty przybyły z żoną Jana Zapolskiego jako nadworny lekarz, i tam zamieszkał. — O ile można, biegłym był w swéj sztuce, czego wkrótce dał dowód na dwóch rannych młodzieńcach — jeden z nich miał złamaną rękę, drugi nogę — on im tak zręcznie je w leszczotki ponastawiał, że w cztery tygodnie już wcale się mieli dobrze. Przeciwnie było ze starostą. — Zrazu mu Węgier prędkie obiecywał wyzdrowienie, a po tém widać było że sam już nie wiedział co myśleć. — Zrazu sądził, że tylko złamanie i rana mocna, i że z powodu starszego wieku i rany, nie idzie mu tak dobrze, jak z tamtymi, kuracja — lecz gdy rana zamiast się goić szerzyć się zaczęła, gdy odłamek kostki wydobył się przez jéj

otwór; wtedy Węgier zwątpił i chciał był według sumienia ostrzedz i chorego i żonę. — Lecz starosta lubo się czuł chorym, nie spodziewał się śmierci. — „Ho! ho! — mówił — muszę ja jeszcze z Tatarem lub którym innym spróbować się! Ja wiem że mi Bóg nie odmówił łaski, o którą go prosiłem, żebym na polu bitwy a nie na łożu umierał; raz nawet pamiętam śniło mi się żem na placu upadł, i ledwie mnie żywego wzięli.”

„Sen mara panie starosto!” — odrzekł na to lekarz kiwając głową. — Mimo takiej odpowiedzi, starosta powtórzył: — „Nie sądzę żeby mnie Pan Bóg miał tak ciężko karać, żebym na łożu nie z kuli nieprzyjacielskiej miał ginąć, żebym ja nie był na sejmie walnym Lubelskim, na którym mam się zjechać z synem i z panem Brzeżan, gdzie tyle o sprawie publicznej radzić się się ma, nie! to niepodobna!” — Mimo nadziei i chęci gorących starosty, rana się pogorszyła, a on słabł widocznie, co go bardzo niecierpliwiło, gdyż coraz bardziej pragnął rychłego wstania i wyjazdu na sejm, a potem rozprawy z nieprzyjacielem gdzie jak dowodził miał śmiertelną otrzymać ranę. Żona z Basią nie odstępowały łoża jego, tysiącznemi otaczały go staraniami. Z pomiędzy dworskich kilku tylko czasem przywoływać kazał, dając im rozporządzenia, lecz z wielkim żalem Basi, na Jana nigdy nie wypadła kolój, zaś przeciwnie, kasztelanic codzién znajdować się musiał w jego komnacie, a ile razy matka z córką spotkały go, zawsze ta ostatnia wynalazła powód odejścia, w obawie i jakby w straszném oczekiwaniu, że ojciec jéj go jako przyszłego małżonka przedstawi. — Nadeszły święta Wielkiej-nocy, zjechał ksiądz Korneli lektor Franciszkański z Sanoka — a znalazłszy starostę nadzwyczaj zmienionego, i rozmówiwszy się z lekarzem, do spowiedzi go namawiać począł. Lekarz nie kazał zwlekać, gdyż co chwila prawie oba-



wiał się utraty przytomności. Co też niebawem nastąpiło, z powodu iż gangrena rozszerzać się w ranie poczęła. — Jakież było przerażenie żony i córki, gdy starosta począł wywoływać im nieznane imiona; gdy wśród niezrozumiałych, przerywanych o polowaniu wyrazów, usłyszały następujące: „Czego chce pan Maciej? Zaklinam was kaźcie mu odejść. — Hetmaniel! nie patrz tak surowo, jam nie zdrajca” — a po chwili znów mówi: „Przebacz Łucjo! przebacz! to dziecko twoje, nie zginie! żyć będzie — tak ale zdaleka — Tak panie Janie! Waszmość odjedziesz natychmiast. — Czy nie dosyć? Cóż chcesz Łucjo? — Chodź tu Zygmuncie synu mój — oto masz brata, tobie go powierzam” — i znów: — „Przebacz Łucjo!” — Słyszając podobne, urywane, bez związku, a przecież dające do myślenia wyrazy; biedna staroscina jakby piorunem rażona, głowę sama także traciła, bo jej się dziwne domysły snuły po głowie. W wielkim żalu i niepokoju, pytała lekarza, zaklinała; żeby mógł na uśmierzenie maligny co przepisać, żeby przytomność mężowi wrócono. — Na tę intencję rozmaite poczyniła *wota*, różne odprawiała modły. — Basia także słyszając wymówione imię Jana; truchlała, sama nie wiedząc dla czego. — Zgoła niewiedziano co myśli — pytano, proszono o radę ojca Kornelego — ten tylko ramionami ruszał, wzdychał i modlitwom chorego polecał. — Zaś lekarz mówił, że jak to zwykle bywa, przed samém skończeniem, wróci mu przytomność, że z téj chwili śpiesznie korzystać trzeba jeżeli chcą aby poczynił rozporządzenia, których pierwój, nie wierząc w bliskość końca życia swego, robić nie chciał.

Nadeszła nakoniec z boleścią i trwogą oczekiwana chwila — starosta po śnie spokojnym, obudził się przytomny, lecz tak osłabiony że ledwo mógł mówić. — Widocznie jednak chciał korzystać z krótkich chwil, które raz pierwszy w chorobie uważał za ostatnie. Najpierw ojciec Korneli przywołanym został — Żona z córką czekały w pobliskiej komnacie, ażeby zaraz wejść po skończonej spowiedzi — dworscy także zebrani czekali na ostatnie rozkazy pana.

Po jakimś czasie wyszedł Franciszkan ze smutną uroczystą twarzą, a dając znak żonie i córce; postąpił ku drzwiom wychodowym — staroscina sądząc że idzie po dworskich, oświadczyła, że już są zebrani w jadalnej izbie. — „Dwóch tylko panów dworskich przywołuje wraz z nami starosta, kasztelanica i staścica Słuszkę.” — Zdziwienie kobiet było wielkie, pod Basią ugięły się kolana i o mało nie padła. — Wiadomo, że w owym wieku z prawdziwie chrześcijań-

skim obrzędem panowie gotowali się na śmierć — przed ostatnim końcem zwykle zwoływano wszystkich, przepraszał ich umierający z pokorą, z żalem człowieka chcącego nagrodzić i odpokutować winy, wyznawał je publicznie ku zbudowaniu bliźnich. — Zdziwienie więc starosciny i obawa Basi były wielkie, gdy prócz ojca Kornelego, czworo ich tylko przywołał.

„Ciężką karę Bóg spuścił na mnie — rzekł słabym głosem starosta, gdy się zbliżyli do łoża jego — pragnąłem zginąć w sprawie krajowej, z ran na placu bitwy, a nie z przypadku na łowach: ciężka to kara! Ale niech będzie wola Jego święta; ażebym lepiej odpokutował z ciężkich grzechów moich, wyznaję je wam, raz, aby się *uznać lichym prochem*, powtóre aby złe nagrodzić; potrzecie żebyście się podobnego złego strzegli. — Jeden ciężki grzech — mówił dalej odpocząwszy — inne za sobą prowadzi. — Kiedy pod Obertynem raz pierwszy miałem szczęście walczyć w obronie rzeczypospolitej, rzec mogę, iż duszę jeszcze jako bursztyn czystą miałem, całkowicie oddaną krajowi. Trzeba nieszczęścia, że jak przyszło do walnej bitwy, *a po przypuszczonym szturmie do obozu, gdy nasi puskarze tak Wołochów parzyli, że się zaczęli nazad ustępować* <sup>1)</sup>, naznaczył mnie hetman do lewego skrzydła husarzy, do oddziału którym dowodził Maciej Słuszka, którego w zimie byłem poznał w domu cześnika Belskiego na kuligu; gdzieśmy się ostro przemówili, że o mało do szabli nie przyszło, o Łucję cześnikównę. — Otóż aż ciężko i wstyd mówić — Ja... niegodny syn rzeczypospolitej, w chwili, kiedy tylko ją miał mieć na myśli, wspomniałem tę moją ciężką urazę zobaczywszy Słuszkę! — A gdyśmy zaczęli na działa nacierać, że nieprzyjaciel musiał się cofać; patrzę a Słuszka koło mnie pędzi, ta ja na całą siłę jak się pomknę, wnet wskoczyłem na działo, położywszy Wołocha, a do Słuszki krzyknąłem słowa, które mi na kuliku powiedział: *A kto pierwszy!* — i choć mi krew uchoodziła, bo mnie Wołoch płałnął, prowadziłem działo; cieszyłem się, że się pomścił, że zdobył działo sam bez jego pomocy. — Zrazu nie poczuwałem się do winy — lecz gdy hetman dziękował rycerstwu i sam im nagrody rozdawał, gdy zbliżywszy się do mnie ujął za ramię i ozwał się z czułością: „Raduje się serce moje patrząc na was, taki młody a taki dzielny! toć to cuda dokazaliście i cudownie ocaleniście zostali — widać dla tego że Bóg patrząc

<sup>1)</sup> Bielski.

na waszą miłość ku Rzeczypospolitej, chce was do dalszych dla niej poświęceń zachować.”

Gdy słów tych słuchałem, mrówki mi przed oczyma biegały, zdało mi się że płonę ze wstydu — kolana gięły się podemną — o mało nie rzuciłem się do nóg hetmana wołając: niegodnym chwały i nagrody! nie dla czystej miłości ojczyzny tak krwią szafowałem! — Ale nie uczyniłem tego, a moje pomieszenie wzięto za skromność młodzieńczą; przyjąłem niezasłużoną cześć i wdzięczność rodaków! Zaraz też ten pierwszy kał, jakby trąd, szerzył się na duszy mojej i coraz gorszych dopuszczałem się uczynków. Po wojnie zacząłem znów do cześników — dojeżdżać, bo mi w oko wpadła, a jak się dowiedziałem że została przyrzeczoną Słuszcze, postanowiłem ją porwać i tajemnie poślubić, nie tyle żebym ją zbyt miłował, ale na złość Słuszcze, którego znienawidziłem jako przyczynę mego grzechu. Tak mi się udało otumanić biedną Łucję, że o mało ta rzecz sromotna nie przyszła do skutku. Już była w rękach moich, kiedy ją ojciec dogonił — potem srodze ukarał. — Wydał za Słuszkę, którego ja jeszcze bardziej znienawidziłem, i gdyby nie to, żem w wielkiej od niego mieszkał odległości, toby pewno do czego złego między nami było przyszło. — Ale nie miałem go na oczach — i dopiero w ostatniej bitwie pod Orszą, spotkaliśmy się, na zgubę duszy mojej. — Piękna to była ale ciężka wyprawa naszych pod tym miasteczkiem; można powiedzieć żeśmy podwójnych mieli nieprzyjaciół, bo z jednej strony oblegał miasto Książ Szujski a z drugiej Oboleńscy. — Nasi też na dwie się siły rozdzielili; — Pan Kmita starosta Orszański, zamku bronił, a Radziwiłł starał się w polu stoczyć bitwę i tyle dokazał, że Kniazia na błonie wyciągnął. — Wszelaki sługa Rzeczypospolitej rad spieszył do Orszy, bo każdy pamiętał, jak za niedawnych czasów, bo za życia starego króla okrył się cały kraj chwałą, przez odniesione nie daleko tego miasteczka zwycięstwo nad strasznym nieprzyjacielem; który wówczas w tej jednej bitwie 30,000 stracił ludzi i z całym obozem w niewolę popadł. Wówczas dowodził polakami pod hetmanem Litewskim Ostrogskim, Jerzy Radziwiłł; otóż potomek jego Mikołaj, dzisiejszy hetman, rozporządził całą wyprawę; sam się rozłożył z wojskiem na polach, a Kmicie staroście Orszańskiemu polecił bronić zamku i miasta pod które Oboleńscy podstąpili. Jakoś tak się złożyło, żem ja z moją chorągwią był przy hetmanie, lubo starostę miłowałem bardzo, bo zostawał zdawna wielkim przyjacielem domu naszego. — W tém, le-

dwieśmy się uszykowali, przysłała gońca starosta, prosząc hetmana aby mu ze swoich licznych rot, ustąpił choć jednego pancernego z chorągwią i oddziałem swoim, ażeby wzmocnić siły lewej baszty, gdyż nie może wytrzymać ataku. — Na to, hetman pyta: kto na ochotnika pójdzie w pomoc staroście? Ja wysunąłem się, rad staroście pomagać. — Gdym przybył na miejsce ze swojemi, dowiaduję się że Słuszka strzeże baszty, a jam mu w pomoc przysłany! — Masz pomagać Słuszcze, masz być pod jego rozkazami? szepnął mi szatan do ucha i dość było żeby gniew mój zapalić. — I znów zapominam o świętości sprawy i kalam uczynki moje! — A nie mając czoła sam stanąć przed starostą, posyłam z uwiadomieniem że wracam do hetmana, gdyż się uczułem niezdolnym do walki w ściśnionem miejscu. Słuszka załamał ręce, a starosta wykrzyknął: „Zdrajca!” — Szlachetny Słuszka stanął w obronie mojej, a starosta posłał za mną żebym spiesznie kogo na miejsce moje przysłał, co też uczynił za wiedzą hetmana który nie wiedząc powodów, mile mnie przyjął, gdym go prosił aby mnie na pierwszy ogień wyprawił, bo mi wstętno — dodałem — za murami siedzieć. — Wtedy podał mi rękę i z uczuciem uścisnął — a mnie, jak po pierwszym fałszu, ogień na twarz uderzył. — Wiadomy koniec tej wyprawy — hetman i starosta wyszli zwycięzko, ja lekko byłem cięty, ale Słuszka gdy wyszli i pogonili się za nieprzyjacielem, tyle ran odebrał, że nazajutrz życie skończył, a wojsko cześć mu oddało. — Ciężko mi było na tym pogrzebie — żal i złość miotały mną na przemian — szatan przemógł — pomyślałem — ha! już mi nie stanie więcej na drodze mojej! obym nigdy nie słyszał imienia przez które zmąciłem czystość postępów moich!”

Po tak długim opowiadaniu wyczerpującem resztki sił umierającego, osłabł starosta. Skinieniem przywołał słuchaczy bliżej łoża swego, a chcąc brak sił mimiką zastąpić — pokazał na kasztelanica, na Basię — na stojącego o podał jak śmierć bladego Jana. — Przytomni nie rozumieli znaczenia ruchów jego. — Przecztał to umierający — wskazał na usta, jakby pić pragnął — podano mu przepisany elixir. — Poczém, a co często zdarza się, — dusza odbiedz mająca jakby siłą woli przywołana, wróciła doń na tę ostatnią pożegnania chwilę — wzniósł się trochę na posłaniu i mówił dalej cichym ale wyraźnym głosem: „Gdym ujrzał w domu moim syna człeka którego w obłądzie za sprawcę grzechów moich uważał i nienawidził; znów mi krew zakipiała, i chciałbym się być pozbyć tego wspomnienia przeszłości — Nie mo-

głem odmówić tak dostojnemu opiekunowi— zresztą uczułem że to grzechem jest we mnie i postanowiłem zatrzeć uprzedzenie — przyjąłem w dom z chęcią nieokazywania wstrętu a razem żalu, jakie we mnie oblicze młodzieńca, podobne do biednej Łucyi, zmarłej zbyt wcześnie, obudzało.— Zatrąłem jój żywot i chciałem zapomnieć o tem, a syn mi przypominał.— Jeno pocieszałem się myślą że przecie za lat parę opuści dom mój. — Aż tu Basia wydaje mi miłość ku niemu— piorun uderzył we mnie!—Sprzysięgli się ojciec z synem na zgubę duszy mojej! — pomyślałem — bom zapragnął aby niedźwiedz w kniei uwolnił mnie od człowieka co mi chce jedyną córkę wydrzeć.— Tak jest — wyznaję to — zapragnąłem aby wypadek na łowach przeciął dni wasze! — powtórzył starosta słabym głosem zwracając się do Jana.— O! niech mi to Bóg wybaczy! i wy mi to przebaczcie!” Tu wyciągnął ku niemu rękę którą z uszanowaniem przyklęknawszy, pocałował młodzian. „Ależ (mówił dalej starosta) nie dałem ku temu żadnych rozporządzeń, Bóg mnie strzegł! lecz chęć staje za uczynek, ciężko więc żałuję za nią — a sprawiedliwość Boska daje mi tu jeszcze odpłacić część grzechów moich— Zawszem pragnął ginąć za sprawę kraju, ginę sam z wypadku jakiegom bliźniemu życzył.— Nie dość czyste miałem zamiary w służbie rzeczypospolitej, nie godny jestem więc w jój usługach życie poświęcić — nie czystą była miłość moja dla Naszej świętej Matki, nie miała ze mnie dość pociechy,— ja też nie mam pociechy ujrzeć raz ostatni jedynego syna mego!

„Pośpiesza pewnie—przerwała staroscina tłumiąc płacz swój — trzech już wyprawiałam gońców, a że nie powrócił żaden, pewna jestem że dziś syn nasz przybędzie — rachujemy że dzień i noc jadąc, dziś tu stanąć musi.“

„Oby nie zapóźno!—drżącym odrzekł głosem starosta— ale niech będzie wola Pańska! gdy mnie nie zastanie, ojciec Lektor moją zimną ręką błogosławieństwo mu udzieli — Lżej mi żem odkrył nędzę żywota mego ku pokucie mojej a ku nauce waszej.— Nie pokrywajcie świętością zawziętych, niegodnych myśli! — jaka prawda w sercu taka na ustach niech będzie! bo jeden krok obłudy do przepaści wiedzie — Niezasłużona chwała, zrazu cięży kamieniem na duszy — a gdy się nią dusza poniży, sama jój pragnie; jak to ze mną było...

„Przywołałem was kasztelanicu, żebyście uznali żem złe chęci nagrodzić powinien, że obowiązkiem moim nienawiść w miłość zamienić. — Nie bądź-

cie przeto złej woli ku mnie, że wam dziewczki mojej dać nie mogę — bo i cóżby wam było po niej kiedy innemu serce oddała? mogłaby, jak biedna Łucja, krótkiego używać żywota. Wam więc, panie Janie! powierzam dziecko moje i błogosławię wam na ten i przyszły żywot! Niech czysta wiara w Boga, i czysta miłość kraju, będzie wam skazówką postępków waszych, a nie zboczycie z prawej drogi. Niech ci Bóg da rychło stanąć w obronie rzeczypospolitej, niech nigdy myśl osobista usług twoich nie splami! A ty dziecko moje bądź mu wierną i kochającą żoną, a dziatki i czeladkę twoją ku służbie Bożej i kraju układaj! „Gdy tak mówił, kładł kolejno ręce na głowy Jana i Basi klęczących przy łożu jego.

Ledwie skończył, wyczerpane życie oczywiście odbiegać go poczęło.—Odsunęli się wszyscy, a kapłan modlitwy nad konającymi odmawiać począł: stojący w pobliskich komnatach dworscy i słudzy okolili w milczeniu łożę, a poklekawszy, powtarzali modlitwy.—Raz jeszcze jakby się ocknął starosta, powiódł oczyma i zapytał zmienionym głosem: „Nie przyjechał?”—poczem przycisnąwszy krzyż na piersiach położony, modlił się w cichości chwilę —odetchnął mocniej i ducha oddał. Jeszcze nie ostygło ciało, kiedy syn pędząc dzień i noc, rzucił się do nóg ojca i podług zwyczaju a woli jego, błogosławieństwa nie skostniałą jeszcze ręką rodzica, udzielił mu kapłan.

W trzy dni zjechała się cała okolica na wielką *stypę* — a gdy w kościele pełnym panów i ludu, po stosownej przemowie, zaczęto z trzaskiem łamać używaną broń nieboszczyka, płacz powstał ogólny. — To wymowne okazywanie żalu a razem znikomości rzeczy ludzkich, zawsze wielkie czyniło na przytomnych wrażenie.—Każden tylko dobrą stronę nieboszczyka przywołując sobie na pamięć, szczerze cierpiał nad stratą jego — Był więc żal głęboki gdy starosty zwłoki do grobu schowano, gdy znikły na zawsze z osieroczonego domu drogie szczątki męża, ojca, panna, któren był głową kierującą wszystkim i któremu wiele przyznawano zalet za życia, a tém więcej, jak to jest zwyczajem naszym, po śmierci. — Basia nawet, żywa z natury, niezdolna smucić się długo, pomimo zaspokożenia na przyszłość, jakiego się spodziewać mogła, w długiej żałobnej szaaie, zalana łzami, na modlitwie ranne przepędzała godziny.

Jan pragnął jak najprędzej ziszczenia życzeń umierającego ojca; a ponieważ pan z Brzezina nową gotował wyprawę przeciw Tatarom, postanowił udać się z bratem swój przyszłej do Sieniawskiego, aby walczyć pod jego rozkazami.

Ślub Basi naznaczonym został za rok po ukończonej żałobie, nie więc nie tamowało podróży Jana. Lubo ze ściśnionem sercem żegnał smutną Basię, to jednak myśl, iż po raz pierwszy podniesie oręż w obronie kraju, dziwném go przejmowała wzruszeniem.

Gdy się nieco uspokoił żal matki — gdy Stanisław urządził trochę interesu starostwa, któremi na czas jakiś przyobiecał się trudnić szlachetny kasztelan; wyjechali dwaj bracia, nazwać ich tak możemy, gdyż się serdecznie pokochali, do Lublina, a udali się tam z powodu, że właśnie wtedy odbywał się sławny, niepamiętny w dziejach narodów, akt dobrowolnego połączenia się, zlania się w jedno, dwóch narodów. — Wszyscy dygnitarze Litwy i Korony znajdowali się na zjeździe — był więc i dzielny Sieniawski wielki hetman koronny, wojewoda Ruski, z przybocznym dworem swoim, do którego należał nasz młody starościc i na chwilę go tylko opuścił, żeby ostatnią oddać rodzicowi posługę.

Nie będziemy opisywali wrażeń Jana, gdy się znalazł pierwszy raz w życiu wśród tak liczego zbioru ludzi dobro kraju mających na celu; lecz oprzeć się nam trudno chęci, umieszczenia kilkunastu wierszy o wielkim Sejmie, na którym tak wydatną była potęga naszego narodu i godność króla. W tym dziś nie znaczącym Lublinie, słynęli wówczas dwaj znakomici pisarze, Klonowicz Sebastjan obywatel lubelski i Oczo lekarz bardzo uczony, sekretarz królewski. A podczas tego sławnego zjazdu napelnioném było miasto nie tylko dostojnymi polskimi panami, ale i zagranicznymi panującymi książętami, którzy hołdy monarsze składali, jak to opisał ówczesny świadek Gwagnin w kronice swojej... „Wszedł król do jednego domu, przeciwko majestatowi, na to porządnie sposobionego i sam się w ubiór królewski do takiej sprawy należący (który łacinnicy zowią *vestitus regalis sollemnis*) jako w sulejaty, w dalmatykę i w pisurał złotogłowy ubrał, koronę téż złotą królewską slicznymi perłami i drogiemi kamieniami ozdobił sadzoną, na głowę włożył, i rękawice kosztownymi kamieniami ozdobione na ręce wdział. Ubrawszy się szedł na majestat, a wprzód i pozad szli panowie senatorowie i rada co przedniejsza duchowna i świecka: miecz goły, na obie strony ostry, Andrzej Zborowski miecznik koronny, a jabłko złote ze złotym krzyżem, Piotr Zborowski, wojewoda sandomierski, sceptrum zaś królewskie Myszkowski wojewoda krakowski, przed królem nieśli. A gdy król Imć na majestacie usiadł, czterech przedniejszych panów Pruskich od księcia swego przyszedłszy i dostojność

królewską pokornie pozdrowiwszy, jeden z nich orację wdzięcznymi słowy imieniem pana swego odprawował. Przywołany potem książę Fryderyk Albrycht układnymi słowy wdzięczność swoją rozwodził. Potem zaraz przystąpił książę przed majestat królewski bliżej, tamże z wielką i poważną uczciwością za nogi króla Imć obłapił, gdzie mu król chorągiew białą, na której był wyrażony orzeł czarny ze złotemi na piersiach literami S. A. z ręku swych dał. — Pierwszy raz wtenczas pozwolono nie tylko książętom linii Frankońskiej ale i posłom Joachima II, margrabi Brandeburskiego dotykać się chorągwi klęczącemu Lennikowi podanej, a to jak znak następstwa gdy ród jego wygaśnie; — ten mniej naówczas zważany obrządek, usłał drogę do przyszłej domu Brandeburskiego wielkości.“

Stawił się także dla złożenia hołdu, książę Lignicki, ofiarując wielką osobliwość, w owych wiekach rzadszą do spotkania niż dzisiaj, dwa młode lwy. — Zgoła na tém sławném zgromadzeniu nie brakło na rozmaitych dowodach czci, jaką składali przed królem i reprezentantami rzeczypospolitej, silnej wewnętrznym rządem i dzielnością wojowników zwyciężających nieprzyjaciół. — Pomiedzy temi ostatnimi, których szeregu wyliczać nie podobna, znajdował się Roman Sanguszko, którego wspominamy z powodu, iż właśnie wtenczas wrócił ze zwycięstwa pod Ułą, zdobywszy to miasteczko — wjazd swój uroczysty w obec króla odprawił, składając zdobyte chorągwie i wiodąc za sobą jeńców. Nie obył się bez smutnego i bolesnego dla króla i zgromadzonych obrzędu, ten wielki zjazd. Wkrótce po przybyciu naszych dwóch znajomych, syna starosty i młodego Jana, Sieniawski hetman wielki koronny, wojewoda Ruski, na którego grobie w Brzeżanach leży napis łaciński wyrażający że: „Pod jego strażą była Ruś szczęśliwa i od wrogów bezpieczna” zapadł ciężko na zdrowiu i życie w 80 roku zakończył.“ — Słuszka za ledwie przedstawiony i przyjęty na dwór zmarłego, ten smutny wypadek za złą wróżbę sobie poczytał: cios ten dla kraju smutny wszystkich przeraził. — Pogrzeb sprawiono jak przystało dla tak wielkiego męża — król Zygmunt August chcąc uczcić zwłoki człowieka, który za życia ani skarbów swoich, ani krwi własnej nie szczędził dla dobra kraju; sam otoczony senatem, wyprowadził je za miasto; z kąd dalej do Brzeżań, do rodzinnego grobu poprowadzone zostały. — Pospieszył za niemi syn zmarłego wraz z dworskimi, Mikołaj hetman polny, starosta Stryjski.

Gdy smutny orszak przybył na miejsce, syn zmar-

tego dziękując za oddaną cześć zwłokom ojca, prosił wszystkich panów dworskich, aby raczyli życzliwością swoją i jego zaszczycać, a on starać się będzie zasługiwać na nią, wiodąc ich na wyprawy w obronie rzeczypospolitej. — Wkrótce zdarzyła się ku temu sposobność. Tatarzy skoro się dowiedzieli o śmierci swego pogromcy, napadli na granice, złupili wioski i pod Brzeżany podeszli. — Napady takie były tam tak częste, że ich nawet imiennie historia nie wylicza; odeprzeć tych dzikich nieprzyjaciół, odebrać im jeńców, zapędzić do siedzib aby się czas jakiś spokojnie trzymali, było zawsze dziełem jednej chwili wojewody ruskiego, mającego na ten cel liczny zastęp polskiego rycerstwa — i te pare a czasem i kilka razy na rok, odprawiane z tatarami harce, nie miały nawet nazwy stoczonych bitw. — Na jedną z takich utarczek, pospieszył zaraz po przybyciu Jan, oczekujący tylko zdarzenia, w którymby się mógł z nieprzyjacielem spróbować i w huku wojennym zagłuszyć westchnienia tęskniącego za narzeczoną serca.

Basia tymczasem smutne dni wraz z matką w dworcu sokolnickim pędziła. Zdawało się zrazu biednej starościnie, że mąż tylko na wyprawę wojenną pojechał i że wróci szczęśliwie jak to już tylekroć było, lecz głęboki smutek tłoczący serce, czarna szata wdowia, rychło rozpędzały chwilowe złudzenia. — Biedna Basia i tych nawet nie miała. — Starła się jednak użytecznie czas przepędzać, aby wśród pracy, tęsknota mniej się czuć dawała. Rano wyręczała w zarządzie domu matkę, potem pilnie w krośnach na pięknej materii wyszywała na ofiarę przeznaczonych ornaty. — Jak nadszedł wieczór, rozmowa pobożna i nauczająca ze zgromadzającymi się co dnia prządkami, z którymi odbywała na końcu modlitwę; od których zawsze o chorych lub biednych we wsi zaciągała wiadomości, kończyła dzień czynną pracą zajętą. — W owych wiekach, nieznanymi dzisiaj ułatwiających stosunki sposobów, wiadomość o odległych była nader trudną. — Minął rok a matka o synu, córka o bracie i narzeczonem nie wiedzieć nie mogły; był to za długi termin, i w nadzwyczajnej niespokojności co dzień pilnie przyglądały się każdemu podróżnemu, każdemu konno jadącemu, w nadziei czy nie posłaniec od ukochanych przywozi im o nich wieści. — Nakoniec przez ojca Kornelego dowiadują się, że jakiś braciszek zakonny zdaleka przybyły, oznajmił: iż Tatarzyn wielokrotnie odpedzony, znalazł nakoniec sposób pomszczenia się i napadł nocą na Brzeżany, ranił wielu walczących silnie; iż ich z sobą uprowadzić zdołał i że między

tymi ranionymi był staroście Sokolnicki i młody jego towarzysz. Straszna ta wieść nie niepodobnego w sobie nie miała — najłatwiej było popaść w niewolę tatarską; wiadomo ile to pieniędzy szło na okup niewolników, którzy sami nie mogli się wykupić. — Obywatelki kraju narażone na podobne nieszczęścia, miały już odziedziczone od prababek mężtwo do znoszenia klęsk takich i przytomność umysłu do szukania zaradczych środków. Nie ukrywał więc smutnych pogłosek przed starościna ojciec Korneli, owszem pospieszył z niemi do niej, aby się o sposób ratowania nieszczęśliwych umówić. — Zniosła spokojnie biedna matka, a padłszy na kolana, błagała Boga o wsparcie i pociechę. Basia, jako młoda, żywych uczuć dziewczica, z razu gwałtownemu oddała się żalowi. — Lecz wówczas płacze, krzyki, zgoła wszystkie zewnętrzne oznaki niehamowanego żalu, uchybiały godności Polki-chrześcianki. — Ona więc także na głos preostrogi kapłana i matki, ukoła boleść, podniosła głowę, spojrzała w niebo i razem z matką radziła nad prędkim sposobem dowiedzenia się prawdy i zarządzenia złemu, jeżeli się nieodwołalnym okaże. — Po długim niepokoju, odebrała nakoniec starościna pisanie od swego jedynaka, w którym rychły powrót obiecywał — gdy obydwa z Janem zostali pochyceni przez Tatarów, hetman starał się ich odbić, a jak to się stało niepodobnym, wykupić chciał. — Staroście mocno był ranny, długo znajdował się między życiem a śmiercią, i to nieszczęście oswobodziło go, jak donosił, od sroższego, to jest długiej niewoli; nieprzyjaciel bowiem chciwy nadewszystko na jeńców, nie mógł go wgląd kraju uprowadzić i na upomnienie się i obietnicę okupu miał go w gotowości. — Lecz Jan, jak widać mniej ranny, uprowadzonym został, i wszystkie poszukiwania, jak donosił ze smutkiem, dotąd okazały się bezskutecznymi — przepadł jak kamień w wodę.

Nie mamy potrzeby opisywać boleści Basi — każdy ją odgadnie — „Dla czegoż, mój ojcze! — mówiła do księdza Kornelego — ten nieszczęśliwy los padł na mego Jana, wszak on nie zawinił? wszak mu ojciec mój błogosławił, a mówią że umierającym ludziom dozwala Bóg niekiedy przyszłość widzieć — czemuż ojciec mój niedopatrzył nieszczęścia dziecka swego? czemuż mnie zwiódł, błogosławiąc nam obojgu?” — „Nie grzesz córko, pytając o rzeczy których ci nie dano i których twój rozum po ziemsku tylko rozumie i sądzi. Kto wie wyroki Boskie? — może rodzic twój, na ostatnie opłacenie grzechów swoich, winien patrzeć na nieszczęście dziecka swego i pra-

gnąć tego czego się za życia obawiał; troszczyć się, czuwać nad życiem tego, którego zguby za życia pragnął! kto wie jaką drogą duch jego oczyszcza się? kto wie czy jeszcze i ciebie Bóg nie pocieszy, tylko módl się w cichości i pokorze, nie rozbierając wyroków Boskich.” — Ukorzyła się, pochyliwszy głowę biedna dziewczyna, a podwojoną pracą i gorącą modlitwą, starała się nagrodzić wybuch zbyt wielkiego żalu, którym mogła majestat Boski obrazić.

Wkrótce potem ukończywszy pracowity ornat, uczyniła ofiarę pieszej pielgrzymki na przypadającą uroczystość Matki Boskiej do Sanoka. — W towarzystwie pobożnych niewiast na drugi dzień po wyjściu z Sokólnik, stanęły w Sanoku na noc, a nazajutrz ksiądz Korneli w ornacie, Basi ręką uszytym, przed ołtarzem Matki Boskiej, Mszę S-tą na jej intencją odprawił. — Gdy po nabożeństwie ksiądz Korneli udał się na gospodę, aby odwiedzić pielgrzymki — rzekła doń Basia; z dziwnym pokojem rozlanym na twarzy: „Rozmyślając dziś nad przeszłością żywota mego, zdaje mi się, że te cierpienia jakie mi Bóg zesłał, są drogą, którą mnie chce do życia innego, zakonnego prowadzić. Tak mój ojciec, myślę, że tylko w zakonie znajdę pokój, znajdę sposób zapomnienia o człowieku nad którym jak widać spełniły się już widoki Boskie, o którym myśleć nie powinnam. Mam więc postanowienie prosić matki aby mi do Krakowa jechać dozwoliła, gdzie oblekwszy szaty zakonne czuje, że razem z niemi przyjmę pokój, swobodę, i że raz pożegnawszy się z nadzieją odzyskania ziemskiego szczęścia, oddam się tylko staraniu wiecznego! — Błagam więc was szanowny ojciec abyście serce mojej matki ku temu mojemu postanowieniu nakłonili, przekładając jej: iż taką jest wola Boża.” — „Nie wiem córko moja — odrzekł ojciec Korneli — czy taka jest istotnie wola Boża względem ciebie, i ty jej sama nie widzisz jasno — w braku ziemskiego szczęścia, w tęsknocie swojej pragniesz lekarstwa; ale to, o jakim mi dziś mówisz, nie tylko, że może nie pomódz, ale nadto zaszkodziłoby z pewnością matce twojej. Zrób więc ofiarę, nie zasmucaj jej i czekaj co ci Bóg dalej przeznaczyć zechce. Bądź najpierw dobrą córką, nieodstępuj samotnej matki, a potem zobaczymy co nam Bóg dać raczy. Zamilcz więc o zamiarach swoich, poczekaj na powrót brata, niech matka choć z jednej strony pocieszoną zostanie.”

Nie mogła zaprzeczyć Basia słusznym uwagom ojca Kornelego i smutek, zastąpił najęj twarzy, chwi-

lowy wyraz pokoju. — Odgłos dzwonu powołał ojca Kornelego na nieszpory, na które i Basia pospieszyła. Powróciwszy do gospody, spojrzęła w okno a widok zachodzącego słońca ozłacającego wieżę kościoła farnego, zachęcał ją do wyjścia. „Oddawna nie byłam w tym starym farnym kościele, w którym to nasz król Jagiełło ślub brał z wdową po Granowskim, protoplaście Hetmanów, na których dworze brat mój się znajduje. Pójdę do tej kaplicy, pomodłę się, popatrzę na stare obrazy.” Przedstawiały jej towarzyszki, że nim zajdzie, zmrok zapadnie i nie zobaczy obrazów. — Nie posłuchała Basia nie mogąc usiedzieć bezczynnie na miejscu i poszła z dwiema niedawno do usług wziętymi dziewczynami. — Istotnie gdy weszła do kościoła już tylko światło purpurowych obłoków zaglądało długimi oknami i niektóre tylko oświetlało miejsca; lecz wkrótce i ten pożyczany blask od zaszłego już słońca, roztaczając się coraz szerzej po widnokręgu, zgasł zupełnie, a w kościele zaledwie rozeznać można było przedmiot obrazów. Z żalem, że tak późną do zwiedzenia kościoła obrała chwilę, klękawszy przed Wielkim Ołtarzem i pomodliwszy się, powstała Basia aby wychodzić — w tym przypadku do niej obie przestraszone dziewczyny, wskazując na dziwną postać po za filarami Ołtarza chowającą się. — „Ten stary z brodą — mówiła jedna — to chyba duch jaki być musi; dopiero zobaczyłam go; wchodził, patrzę, a on już wedle słupa ślania się, zatacza jakby nóg nie miał.” Spojrzęła Basia w tamtą stronę a zobaczywszy istotnie starego w kaptur zakutego człowieka, zbliżała ku niemu — On postąpił kilka kroków, padł i jęknął boleśnie! — Przestraszone dziewczyny krzyknęły — Zgromiła ich Basia a lubo sama przerażoną była, poleciła, aby wyszły i zawołały dziadków kościelnych stojących pod drzwiami i czekających na nią aby zamknąć kościół. Z chęcią pobiegły dziewczyny, za niemi pospieszyła Basia. Zrazu chciała iść wraz z dziadkami do kościoła, ale dziewczyny prosiły, żeby się lepiej zatrzymała aż go tu przyprowadzą lub przyniosą — Lecz nie mogąc się doczekać, niezważając na ich prośby weszła do kościoła, a spotkawszy ze zdziwieniem samych dziadków, zapytała gdzie się podział staruszek. — „To jakiś widać — odrzekli — biedny podróżny, niemowa, z głodu czy z czego upadł i ledwośmy go podnieśli.” „A gdzie się podział — zapytała znów Basia” — „Pokazywał na migi, żeby go do księży prowadzić, a że bliżej przez zakrystję, więcemy go zaprowadzili, a sami duchem wrócili, żeby kościół zamknąć.” — Biedny

człowiek! pomyślała Basia — jak mu ciężko podróżować z takim kalectwem.

Nazajutrz o świcie miała Basia wracać do domu w przygotowanej na ten cel kolebce, lecz jakież było jej zdziwienie, gdy zabierając się już na spoczynek, kiedy już dawno na Anioł Pański w bliskim franciszkańskim klasztorze przedzwonili; otwarły się drzwi i wszedł braciszek — a oddawszy pokłon, prosił imieniem ojca Kornelego, aby panna starościanka nie wyjeżdżała aż po Prymaryi, na którą ją zaprasza, gdyż ma jej ważny polecieć interes. Przystała Basia na żądanie — a przejęta zdziwieniem, jakimś niepokojem, nie prędko usnęła.

Nadszedł oczekiwany ranek — po skończonej pierwszej Mszy czyli Primaryi, pospieszyła Basia do zakrystyi, aby się dowiedzieć dla czego ją ojciec Korneli zamówił. — „Moja córko! — rzekł do niej zmęczonym, uroczystym głosem — mówiłem ci, iż zgadnąć nie możesz co ci Bóg zesłać może. — Przybył tu człowiek z dalekich stron, którego ci pewnych wiadomości o Janie udzielić może.” — „O Janie! — zawołała z wzruszeniem Basia — więc Jan żyje! — „Żyje niezawodnie, ale córko moja, przygotuj się, że nie same dobre usłyszysz o nim wieści.” — „O Boże! przerwała Basia, czyżby Jan był dotąd w niebezpieczeństwie?” — „Tego nie mówię, tylko upominam cię, ażebyś się niespodziewała czystej radości, abyś się uzbroiła w siły do zniesienia tego co Bóg ci zesła.” — „Oh mój ojciec — mówiła błagalnie Basia — powiedzcie mi lepiej od razu całą prawdę, wiecie jak ja żywości mojej hamować nie umiem, powiedzcie na Boga was proszę, co wiecie o biednym Janie!” — „Jan żyje — odparł z żalem ojciec Korneli; ale zmieniony do niepoznania, ale ciężka niewola, okrutne postępowanie z nim bisurmanów, nabawiły go kalectwa, Jan stracił mowę!” — „Oh! mój Boże! zawołała Basia — aż mi się mąci w głowie! więc to może ten stary co upadł wczoraj przy filarze? ale nie! — to nie podobna, żeby to on nim był!” „Tak jest, moja córko, pójdź za mną, czeka na ciebie w parlatorium, ale nie mogłem cię zaprowadzić nie przygotowawszy pierwój do strasznego widoku.” Usłyszawszy to Basia, najpierw padła na kolana przed Ołtarzem na podziękowanie, a razem na uproszenie dostatecznych sił, do zniesienia niespodziewanego ciosu!

Gdy Basia blada weszła do parlatorium, powstał i postąpił kilka kroków człowiek w grubym pielgrzymim odzieniu, sznurem opasany, przez chwilę wpatrywali się w siebie. — Jan nie mógł poznać w wysmukłej, bladego oblicza poważnej niewieście, mło-

dziej rumianej Basi. Ona w pochylonym, z zapadłymi policzkami, ogorzałym, zarosłym pielgrzymie, nie poznawała pięknego młodzieńca. Nareszcie, gdy się spotkały ich oczy: — „To pan!” — zawołała Basia — „Niech będzie Bóg pochwalony — zawołał Jan — padając na kolana.” — „Cóż to jest? — zawołał zdziwiony ojciec Korneli — zwodziłeś nas! tak się nie należało“ dodał surowo. „Oh nie! mój ojciec — Bóg mi świadkiem, że od roku blisko, piersi moje nie wydały głosu, usta ani jednego nie wyrzekły słowa. Ciężko mi było wydobyć się z niewoli, uprowadzony w głąb, strzeżony, obrócony do pracy jak bydło, myślałem, że mi wypadnie umrzeć zdala od kraju, że chyba cud boski wyrwać mnie zdoła; i uczyniłem ślub, że przywdziawszy odzież pielgrzyma, pójdę pieszo o zebranych chlebie, nie przemawiając do nikogo ani słowa, i nie zrzucę tej sukni, aż póki nie stanę w progach Sokolnickiego dworca, i nie wydam głosu, aż póki mnie nie pozna narzeczona moja. Aż tu w krótkce po wykonanym ślubie zsyła mi Bóg pomoc w osobie mnicha włoskiego zakonu Benedyktynów, którego wraz z braćmi przyszedł nawrócić dzikich Tatarów. — Nie tu pora opowiadać z jakim poświęceniem ratował nas dwóch niewolników, mnie i innego, ojca kilkorga dzieci, kmiecia — dość, że przez niego wybawiony zostałem, że, jak to widzicie dotrwałem do końca w ślubie moim. Wczoraj w kościele nie byłem pewnym, czy mnie wzrok nie mami, czy ta słuszna, wolnym krokiem postępująca dziewczyna, jest narzeczoną moją, a gdy ją zdawał się rozeznawać, to znów te jej długie szaty, pokryta głowa, powaga w całym ruszeniu, nasuwała mi myśl straszną że może już komu innemu poślubioną została! — myśl ta wycieńczonego głodem i trudem obaliła o ziemię, wtedy wyrwał mi się jęk głuchy i straciłem zmysły.”

„Czyż mogliście tak o mnie trzymać?” — rzekła z wyrzutem Basia, podając mu rękę.

„To już 3 lata upłynęło, które wiekami się dla mnie zdawały — myślałem więc sobie, że jak mnie już zabitym uznacie, to wtedy... kto wie!... a posłuchaj żadnej o was nie mając bo nie mówiąc do nikogo przez całoroczną pielgrzymkę moją, nie wiedziałem o niczem. — Darujcie mi więc! — Widać ku większej dzisiejszej radości mojej, Bóg mi tę myśl nasuwał, ażebym przez wszystkie przechodząc zmartwienia, wysłużył sobie żywot nie w niewoli, ale na usługach rzeczypospolitej, w towarzystwie zacnej małżonki spędzony.”

Stało się według wiary Jana. — Nie opisujemy smutnych przygód niewoli i całorocznej do kraju

pielgrzymki, ani powitania radosnego starościny, a wkrótce i towarzysza a brata Basi. W owych wiekach obfitych w nadzwyczajne wypadki i w uczynki wielkiej pobożności, nie dziwiły nikogo ani straszna niewola i pełna niebezpieczeństwa ucieczka, ani dziwny ślub; na takie ofiary, na temu podobne śluby, zdobywało się mnóstwo rycerstwa, wśród niebezpieczeństw tylko w Bogu szukających ratunku.

Słuszka poślubiwszy wkrótce po powrocie Basię, przyszedł do dawnych sił i zdrowia, tak że w towarzyszu chorągwi pancernej, którą dowodził w lat parę, wraz z hetmanem Sieniawskim, przeciw Woło-

chom; niktby nie poznał pochyłonego od dzwigania ciężarów, wybladłego pielgrzyma. — Nie jedna to była bitwa w której się odznaczył. — Potomkowie jego słynęli z usług krajowi oddanych, a mianowicie Aleksander Słuszka wojewoda, trocki, który chcąc nagrodzić chwilowe odstąpienie od wiary ojców swoich, powróciwszy do niej, fundował liczne kościoły, a w swém dziedzicznym miasteczku w Stołpcu nad Niemnem, założył kościół i klasztor Dominikanów r. 1623 który dotąd stoi. Jest także w Rzymie nagrobek jednego znakomitego Słuszki. *A. Sk.*

## WYCIECZKA NA WIEŚ.

(Z KRAJOBRAZEM KOLOROWANYM).

Dla mieszczanina, który większą część dnia przepędza przy biurku lub warsztacie i co najwięcej, żeby nie zakisnąć zupełnie, pozwala sobie przechadzki po ulicach miasta, których nie tylko domy, ale wszystkie porozrzucone na nich znaki sklepów i innych zakładów, zna z kształtu, koloru i innych szczególnych okoliczności, wycieczka na wieś często zdaje się prawdziwą potrzebą, aby zwątlone, uśpione siły ciała i ducha, na chwilę chociaż do żywej harmonji doprowadzić i przerwać nużącą jednostajność dni, które wbrew francuzkiemu przysłowiu, następują kolejno po sobie i — zupełnie są między sobą podobne. Przejazdźka, w której z ciasnej izby przenosimy się do ciasniejszego jeszcze powozu, gdzie członki nasze jeszcze bardziej sztywnieją i słabną, nie może wydać pożądanego skutku; jeszcze mniej przyda się tu podróż koleją żelazną, gdzie swobodna Boża przyroda, w przelocie tylko, jak obrazek panoramy, przesuwa się przed naszym wzrokiem. Pieszko więc, choćby z narażeniem się na to, że zaszedłszy znużony do jakiejś sąsiedniej wioski, uchodzić będziesz za hołysza, któremu kieszonkowe stosunki nie pozwalają użyć przyjemności dorożki lub omnibusa, wybierz się kochany czytelniku, ile razy czas ci pozwoli, aby rozruchać sztywne stawy, zmęczyć ociężałe mięśnie a płucom dać skosztować czystego powietrza, o jakim chemicy mówią, przyjmując w składnej jego kwasoród, azot i ślad kwasu węglowego, bo sumiennie zaręczyc możemy, że rozbierając powietrze naszych mieszkań i ulic warszawskich, znaleźliby znaczne procenta gazów, płynów i ciał stałych, o których chemicznemu

powietrzu ani się marzy, a które na płucach naszych osadzają prawie tak kamieniste inkrustacje, jak woda Karlsbadzkich szprudłów.

Żeby więc przedewszystkiem uniknąć kurzu, którego część tylko osadza się i trzeszczy nam na zębach, reszta swobodnie przechodzi do kanału oddechowego, spieszmy ile możności na scieżkę nad strugą, przejdźmy przez chwiejącą się kładkę pod sklepienie cienistych wierzb i olszynek, albo ową drożyną pomiędzy kwitnącemi ogrodami ciągnie się wzdłuż falujących obfitym kłosem łąnow i wysoką trawą pokrytych zielonych łąk, na których tu owdzie już stóg wonnego siana wznosi się lub dopiero układa. Już czerwienią się wiśnie a grusze i jabłka pokryły się drobnemi zielonemi główkami, z których później mieć będziemy duże soczyste owoce. Wszędzie spotykamy też pracowicie zajętych ludzi; dorodne dziewczęta z potężnemi wiązkami siana i twarzą zarumienioną od pracy; dzielni kosiarze zręcznym zamachem hartownej stali, mile dzwicząccej po łące, składają gęsto pokos za pokosem, a woń ściętej trawy napełnia powietrze. Zatrzymujemy się na bujnym łanie zboża i pieścimy oczy tym pocieszającym widokiem. Przechodzący wieśniak spogląda na nas i wita ukłonem, bez słów rozumie myśl naszą i powiada: „Nic piękniejszego jak niwa zbożem pokryta, a gęsta jak szczotka i równa jakby pod linją strzyżona?“ Otóż, znajomość zrobiona, jedno słówko wyciąga drugie, a prosta, rozsądna mowa wieśniaka, daje nam dużo przedmiotu do myślenia.

Jeszcze powabniejszą jest okolica, kiedy drożyna







kręto między płotami, staremi murami i skałami, na wzgórzu wiedzie, potem wężykiem przebiega się po zarosłej wrzosem równinie, albo darniowym kobiercu prowadząc nas do lasu którego wstęp zdaje się być sztucznym czy naturalnym parkiem. Jak orzeźwiający powietrze, jaki zachwycający widok, jak błoga cisza. Tylko ptaszki pieśni tu zawodzą. Drózd wabi głośnym świstem, dzierlatka przesuwając się między krzakami trylując delikatną piosnkę, dudek odzywa się monotonnym wołaniem, a na brzegu lasu kuje majster dzieciół. Jak orzeźwiająca kąpiel owiewa nas świeże powietrze leśne pod ciennym, gdzie nigdzie tylko wązkiem światelkiem, przeświecającym dachem liści dębowych i grabowych i znowu to sklepienie otwiera się i wraca nam olśniewające światło słoneczne. Na dolinie rozpościerają się powabne wioski nad rzeczką albo przyczepione do sąsiednich wzgórz, a nad gajem drzew owocowych, wznoszą się czerwone dachy, i prosta bez żadnych ozdób kościelna wieżyczka.

Błogie uczucie przejmują nas, kiedy między kapryśnie rozrzuconymi chatkami porządną wioski, otoczoną żywopłotem i ocienioną nie rzadką gruszą lub jabłonią, coraz nową a zawsze miłą oku spotykamy obrazek. Nawet zapleśniały mieszczuch zapomina tu o wymierzonym kroku wyłożonych flizami stołecznych ulic i swobodnie przebiega niebrukowane, wiejskie drogi. Liczne studnie z staremi żorawiami, otoczone różnego rodzaju drobiem, rozlewają chłód przyjemny, zaprawiony wonią świeżego siana, a nawet inne mniej balsamiczne zapachy, uzupełniają sielankowe wrażenie całości.

Nie sama swoboda i nieprzymuszona powierzchowność tak nam miłą wioskę przedstawia, nie mniej przyjemną sercu jest prostota i otwartość mieszkańców. Wyższe stany ludzi wszędzie są sobie stereotypowo podobne; wieśniak do którego przemawiamy, przedstawia się takim jakim jest rzeczywiście, bo nie uczył się panować nad swymi wyrazami i rysami twarzy. Jego zdanie swobodne i otwarte, polega tylko na prostym doświadczeniu, ale przez to samo właśnie ma jakąś poważną cechę pewności. Nie zbywa mu na humorze i naturalnym dowcipie, jeżeli smak nasz tyle jest zdrowy, żebyśmy na tej naturalnej, często rubasznym formie, poznać się umieli.

Gospodarz prowadzi nas przez zarosły nieco ogródek i sadowi na miękkiej darniowej ławie przed domem, przynoszą chleb, mleko, masło i ser; znajdzie się też kawałek wędliny i miód w plastrach. Mleko ani podobne do miejskiej zabieleną wodę, chleb razowy ale smaczny, masło wyborne, a przytem

wszystko doskonale smakuje, po utrudzającej nieco przechadzce.

Zbliża się wieczór i we wsi coraz większy ruch się objawia, szczególnie przy studni, na przeciwko której zmienne co chwila sceny, stanowiące najbardziej ożywiony i urozmaicony widok na wsi, dają nam przedmiot do różnych wag. Wieśniaczki przychodzą i odchodzą zaopatrując dom w najniezbędniejszą ze wszystkich potrzeb gospodarskich. Tu odbywają się rozmaite domowe przygotowania, myją i czyszczą misy i dzieżki, dziewczynka, jeszcze zupełnie dziecię, pokazuje młodszym od siebie, jak trzeba szkopek od doju czyściuchno wymyć i wypłókać. Ale główną rolę odgrywają tu czworonożni wsi mieszkańcy, a szczególnie zdaleka już głośnym rykiem meldujące się rogacie trzody. Jałowizna i cielęta korzystają zwykle z tej wieczornej przechadzki, aby się wesołymi skoki ucieszyć, i nie jedna nawet poważna krówka, przypomina sobie te gimnastyczne ćwiczenia młodego wieku, nie zważając na to, że swobodne te wybryki nie zalecają się wcale estetycznym usposobieniem. Ale ta to wesołość jest tylko chwilową, bo jakby przypomniawszy sobie, że takie zabawy nie przystoją poważnym i użytecznym matkom rodziny, spuszcza głowę i zaczyna obcinać przydrożną trawkę.

Jak też to rozmaite usposobienia przedstawia ciele, krówka, wół i byczek! Ciele nie okazuje żadnej inteligencji; świat jest mu zupełnie obojętny, nie patrzy ono ani za siebie ani na stronę i bezmyślnie ciągnie za starszemi. Jeden racjonalny gospodarz zapewnił nas, że raz zajął się z całą gorliwością wychowaniem dziwnie ładnego cielątka, ale pełen nadziei wychowawiec, jeszcze się głępszym stawał przez naukę. Byczek, zwłaszcza kiedy mu już różki zaczynają rozwijać się na czole, więcej pokazuje pojęcia, przynajmniej o użytku tej broni, i jeśli mu się podoba nie zupełnie słuchoać Maciusia albo Wojtka, co by go rad prostą drogą pognać na pastwisko, dwunożny niedorostek zwykle ustępuje jako rozumniejszy, ale też jako słabszy.

Najszlachetniejszymi, a zarazem najposłusznijszymi wychowawcami wieśniaka są jego koniki. Jak one wiedzą do czego użyć powinny tej dzielności i siły, którą ich obdarzyła przyroda. Z jaką powolnością te piękne zwierzęta z wysmukłymi maskularnymi członkami i wielkim śmiałym okiem, dają się na wątlęj parcianej uzdeczce, którzyby jednym targnięciem zerwać mogły jak sieć pajęczą, spokojnie prowadzić do wody; i cóż dziwnego, że malec co oklep przyłgnął do grzbietu sprężystego wierzchowca

pyszni się z swego tytułu koniarka i z góry spogląda na swoich towarzyszy: co się cielętami i owcami, a co gorsza nierogacizną zajmują.

Słońce zbliża się ku zachodowi, sceny przy studni mniej już przedstawiają ruchu. Przed nami porządna porcja drogi, trzeba zatem pożegnać gościnnych kmieci, którzy jeszcze pozostają pod chatami, gwarząc

i śpiewając, ostrząc kosy i pojąc się wieczornym chłodem. Ale wkrótce już tylko swierz co z wozem siano do wsi przywędrował, zacznie hałasować pod kominem, jakby nigdy nie potrzebował wypocząć; za chwilę wszystko we wsi spocznie, bo godną naśladowania zasadą wieśniaków jest: „wcześnie iść na spoczynek i wcześniej wstawać z pościeli.”

## MASZYNA NOWA DO SZYCIA, ZWANA SZWACZKĄ STALOWĄ.

Przyszliśmy więc już do tego stopnia wydoskonalonego przemysłu, że prawie każdą robotę ręki ludzkiej, maszyny zastąpić mogą.

Wiadomo, iż w Anglii i Ameryce, są maszyny które przędą, zwijają nici, tkają i t. d. Znamy takie drewniane robotnice, które piorą; niedawno zaś poznaliśmy się z niezmordowaną szwaczką, robiącą tysiąc ściągów na minutę, kiedy najbiegłe artystki krawieckiej sztuki, zaledwie 40 ściągów zdolne są zrobić w tym przeciągu czasu.

Owa niezmordowana robotnica, która igłę wytrąca z pulchnej ręki niewieściej i z muskularnych palców męskiego ramienia—owa—jak powiadają amerykańskie, wyswobodzicielka niewiast — zbawczyni młodych na suchoty umierających, dziewczyn; jest to w kształt stoliczka z kółkiem jak u kołowrotka i z sandałkami u spodu, lekko i zręcznie zbudowana maszyna, wysoka na półtora łokcia, a  $\frac{3}{4}$  łokcia średnicy trzymająca, stalowa, często ozdobnie srebrem wykładana, słowem miła ku wejrzeniu i nader pożyteczna w gospodarstwie społecznym. Pochodzi zaś z fabryki panów Wheler et Wilson, ten ostatni jest wynalazcą maszyny — nabyć jej można w zakładach tej firmy w Nowym-Yorku (Nr. 343 Broadway Street) w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Zaiste, ważniejszy to wynalazek w dziedzinie mechaniki niż sławne dzieło Alberta W. arcybiskupa Ratysbony (1193 — 1280). Głowa którą zbudował ten znakomity 13-go wieku filozof i mechanik, odpowiadała na dane sobie pytania, wszakże nieosobliwy musiał być dar tej mechanicznej wymowy kiedy uczeń Alberta W., S-ty Tomasz z Akwinu, szczebiotaniem tej głowy znudzony, pogruchotał ją w drobne kawałki. Gdyby podobnemu nieszczęściu uleż miały wszystkie usta, powtarzające wyrazy bez znaczenia, widzielibyśmy co chwila, miliony głów zdruzgotanych.

Lecz na młodą robotnicę naszą, żaden święty ręki

swój niepodniesie, owszem pobłogosławi ją każdy, kto pragnie ulżyć brzemienia pracy tłoczącego barki ubogiego ludu. Dopiero w 1852 roku wynalazek pana Wilsona zaczął nabywać wziętości, a dzisiaj cała prawie północna Ameryka, pełna jest maszyn do szycia. Wielkie zakłady krawieckie, szwalnie, domy zamężnych rodzin, mają u siebie po kilka, kilkanaście, przynajmniej parę takich maszyn, gdyż niezmierna szybkość tego narzędzia, mianowicie w stębnowaniu, czyni go bardzo dogodnym i pożądanym.

Pierwiastkowo próbowano maszyn jedną szyjących nitką, lecz gdy to się niepowiodło — pan Wilson ulepszył ten wynalazek i stalowa szwaczka doskonale stębnuje dwiema nitkami. Jedna idzie od spodu obrębka, druga ją ujmuje i przeszywa; igła na palec długa, uszkiem na dół obrócona, z zadziwiającą szybkością wybija swój takt roboczy. Ma się rozumieć iż obecność krawca lub szwaczki nieodzowną jest przy tej maszynie. Robotnik kierujący maszyną pilnuje równości obrębka, gęstości ściągów — siedzi on na krzeselku, trzymając nogi w sandałkach, a lekkim przytupnięciem takowych, nadaje ruch kółku poruszającemu maszynę.

Z fabryki Wheeler et Wilson mieć można trzy gatunki takich szwaczek. Maszynka mała do muślinów i batystów, średnia do tkanin lnianych i bawełnianych, oraz większa do sukna i kortu. Ta maszyna wszystko szyje, tylko rękawów i kołnierzy do koszul niewszywa i dziurek od guzików dziergać nie umie.

Dzienniki New-Yorkskie z zapałem powitały ten wynalazek. Z kazalnicy sypnęły się błogosławieństwa i pochwały, poezja osypała swym kwiatem stalową robotnicę, słowem wszyscy wielbią wszyscy się cieszą, mianowicie zakłady na wielką skalę wynoszą pod niebiosa pomysł pana Wilson; milczą tylko — robotnice. Lecz że ubogi zwykle nieśmie podnieść publicznie głosu, nawet wtedy gdy o własną obronę

idzie — że choćby się odezwał, nikt na niego nie uważa — a ekonomija polityczna niewyjaśniła dostatecznie o ile maszyny pomagają lub szkodzą pracującej ludzkości i my w tym przedmiocie nie śmiemy naszego objawić zdania.

Widzieliśmy *gorsy* do koszul męzkich stębnowane w drobne zakładki, a odrobione w przeciągu jednej godziny; taki gors zwyczajnie zajmuje dwa dni pracy, dobrej szwaczce ręcznej.

A więc dla ogółu korzyść — bo taniość nadzwyczajna w zamożnych szwalniach być musi — albowiem stalowa szwaczka: niejada, nieświętuje, niechoruje i nieodpoczywa. Ale... ale... czém się zajmą ręce robotnic, wprawione z dzieciństwa do téj a nie innej roboty? co uczynią ubogie szwaczki, pracą swych pięciu palców żywiące liczną rodzinę?

„Wynajdą sobie inne zatrudnienie — powtarzają chórem dzienniki New-Yorkskie, rzucają się na drogę innego przemysłu, a odtąd już biedne kobiety nie będą nabywać suchot, siedząc pochylone dzień i noc nad igłą, niezwiądną przed czasem w kłopotach nieustannej pracy, niestracając oczu ślęcząc przy bladej lampce nad szyciem cienkiej bielizny. Kobięta odtąd z niewolnicy stają się *wyzwoloną* — maszyna za nią pracować będzie, a ona... ona kwiat i królowa przyrody, zakwitnie na nowo swobodna, wesola.”

Daj to Boże! powtarzamy, niech odżyje swobodna i wesola; niech odtąd wolno będzie ubogiej, miejskiej robotnicy, odetchnąć świeżem powietrzem; użyć po ogrodzie przechadzki — spojrzeć nie przygasłem od pracy okiem w jasny błękit nieba, żyć i użyć krótkiego życia, bez obawy śmierci głodowej lub upadku na drodze cnoty. Daj to Boże! ale gdzież jest owa praca nie zamieniająca człowieka w maszynę a dającą mu chleb i dach? Gdzież? wynajdźcie ją panowie, dobroczyńcy ludzkości — a będą was błogosławić ubogie rzesze.

Amerykanie, do taktu szyjącej machinki, dorobili muzykę i wyrazy, które tu w dowolnym tłumaczeniu, przytaczamy:

Jam wytrwała robotnica  
Nieznam co to sen, co trud;  
W pracy niewiedną me lica,  
Lecz mi nie wyciśnie — głód.

Bo stalowe członki moje  
Silniejsze niż kość i krew,  
O spoczynek ja niestoję,  
Szyjąc, ciągle nucę śpiew.

KSIĘGA ŚWIATA, Cz. I. R. X.

Innym szwaczkom w uszach dzwoni

Głodnych dzieci straszny krzyk...

Mnie, nędza niezwałi dłoni,

Zawsze pospieszny mój ścieg.

Ubóstwo mię nieprzestrasza,

Obelg — groźb, nie lękam się.

Żwawo, żwawo! praca nasza

Galopowym ściegiem — mknie.

Pochylona, z bladym czołem,

Wyteżając słaby wzrok;

Szyje z drobną dziatwą społem

Biedna szwaczka, cały rok.

Śpiew radości — śmiech wesela

Milknie wśród ponurych ścian...

I nie znaleźć przyjaciela

Tam gdzie kłopot — w podział dan.

Gdy ja świetna, uwielbiana

Ze stalową siłą swą,

Zasiadłam w salonach pana;

Inne wtenczas zgłodu mrą.

Lecz wyzwolenia dzień świta...

Ja, zastąpię ręce mdłe.

Odtąd już, wążła kobięta,

W maszynę — nie zmieni się.

Oby się spełniły ostatnie téj piosnki wyrazy; aby odtąd dla ogółu i dla jednostek, praca stała się tém, czém ją Bóg mieć chciał dla człowieka: zajęciem miłym robotnikowi, użytecznym i dla tych którzy je wykonywają i dla społeczeństwa — nie zaś torturą, wysysającą ostatnie żywotne siły, męczącą cierpliwość, wypalającą do reszty zbolale oczy robotników.

Ze ścisnioném sercem oglądaliśmy tyle razy te arcydzieła ręki niewieściej, te hafty drobne a cudnej piękności, te perełkowe roboty, wyszywania włosami i tym podobne sztuczne wymysły, umyślnie prawie na to wynalezione by człowiekowi odebrać wzrok przed czasem, a zbytek chwilową obdarzyć ozdobą.

I nieraz stała nam na myśli uboga robotnica, utrudzona sama nad pracą siedzeniem; pozbawiona światła i powietrza na poddaszu lub w suterrynie, która tuląc płacz dziecka lub słuchając jęków chorąg matki, brata, ojca — wykończą pospiesznie wytworną robótkę, by za nędzną swęj pracy zapłatę, kupić lekarstwa i chleba. Niechże tam kilka ściegów szycia, kilka listków haftu nie będzie tak jak należy! co to gorzkich wyrzutów, co ostrych napomnień usłyszy od nabywcy. Strojna i rozbawiona piękność, nie

spojrzy na ubogą odzież i wybladłe oblicze — wytworny pan nie oszczędzi jój nagan ani drwinek. Za ubogą, nikt się nie ujmie — ubogiemu wszystko jest łaską; nawet rzetelna zapłata za ciężką pracę — bo on zawsze jest w stanie zawisłości, jemu brak zawsze... powietrza, światła i chleba.

O! zacne panie, szlachetni panowie; prosimy was nie tylko o dobroczynność, lecz zarazem i o miłosierdzie. Nie tylko o jałmużnę niedbale rzuconą, lecz zarazem o poczucie téj niedoli bliźniej, która dla tego właśnie, iż wam nieznana, na wszelkie od was zasługuje względy. Pobłażania, miłosierdzia, wyrozumienia dla pracujących — wierzcie mi, to troje więcej znaczy niż jałmużna...

Zdaje się, że Opatrzność, dozwalając dzieciom ziemi posługiwać się utajonemi w przyrodzie siłami, to jedynie miała na celu aby i człowiek i zwierzę nie zabijali się ogromem pracy. W tém właśnie zasługa machin.

Nasza stalowa szwaczka, musi być bardzo pożyteczną w licznej rodzinie gdzie to raz wraz, bielizna się szyje a rąk żeńskich za mało — w szwalniach na wielką skalę a może nawet w każdym większym gospodarstwie rzemieślniczym, oraz we wszelkich zakładach dobroczynnych, naukowych, słowem, wszędzie gdzie mnóstwo osób wspólnemi powiązanych, połączonych obowiązkami, pospiesznej i licznej potrzebuje usługi.

Dzienniki New-Yorkskie zalecają za trwałość takiej maszyny, ciągle działającej — na lat parę. Ma się rozumieć, że do kierowania maszyną, potrzebna jest umiejętność i wprawa. Koszt zaś w jój nabyciu nie wielki względnie do pożytku. Widzieliśmy w składzie pana Aleksandra Flatau przy ulicy Granicznej Nr. 966, który te szwaczki z New-Yorku sprowadza; maszynę średniej wielkości do sukna, drugą taką do szycia bielizny; pierwsza kosztuje 580 złp. to jest 87 rubli, druga zaś tylko 500 złp. to jest 75 rubli.

## NIEKTÓRE CIEKAWY ZWIERZĘTA MORSKIE.

(Z KRAJOBRAZEM KOLOROWANYM.)

Kto tylko żywo zajmuje się tworamii przyrody, mimowolnie staje się zbieraczem, znalazłszy przedmiot który go kształtem, barwą lub innemi przymiotami zajmuje, bierze go do domu, aby się częściej jego widokiem ucieszyć, aby go dokładniej obejrzyć, z innemi podobnemi porównać, a i komuś drugiemu też podobną przyjemność sprawić; a niech tylko jeden i drugi taki przedmiot znajdzie i zachowa, to zaraz obudzi się w nim ochota do zbierania ich więcej. Najpierwszym i najliczniejszym w jednych rękach zbiorom płodów przyrody, był niewątpliwie bukiet kwiatów, ale ze wszystkich właściwych zbiorów ciał państwa zwierzęcego, najpierw tworzyły się zbiory muszli, tak różnorodnych kształtem, tak powabnych barwą i połyskiem, trwałych nie wiele miejsca zajmujących, a tak łatwych do zbierania. Ale to zbieranie nie miało innego celu prócz zabawy dla oka. Że te piękne skorupy są tylko mieszkaniem pewnego rodzaju zwierząt, na to nie zwracano wcale uwagi. Kiedy znowu znakomici badacze przyrody jak Poli i Cuvier wydał obszernie dzieła traktujące z największemi szczegółami o mięczakach, będących mieszkańcami muszli, zaczęto nie zważać wcale na skorupy i zajęto się klasyfikacją samych tylko zwierząt

tek w niej zawartych. Ale i ta droga okazała się błędną i przekonano się w końcu, że dla naukowego poznania téj części historii naturalnej zwierząt, potrzeba zarówno zajmować się i zwierzątkiem i jego skorupą pokrywą, a na téj drodze z tém większą zaczęto pracować gorliwością, ponieważ przekonano się, że nauka o tych zwierzętach, niezbędną jest do znajomości skamieniałości, które w Geologii i Geognozji tak wysoką mają ważność.

Ale tu przedstawiały się niezmiernie trudności. Jak bowiem bardzo łatwo, nad brzegiem morskim w czasie ustępu wód, czy nad rzekami i stawami w czasie niskiej wody, zbierać najrozmaitsze puste skorupki tak zwanych szlimaków i muszli, tak znów trudno i nieraz niepodobna prawie, dostać je wraz z żywym zwierzęciem, którego naturę poznać i opisać pragniemy.

I tak naprzykład dopiero przed niewielu laty, angielski Bannet, przywiózł do Europy pierwszy okaz wielkiego sławnego *Łodzika* (*Nautilus pompilius*), a sławny koncholog R. Owen, opisał go dokładnie. Dwa dziś tylko mamy gatunki tego rodzaju, który niegdyś w niezliczonym mnóstwie zapełniał morza pierwotnego świata i we wszystkich prawie formacjach skorupy







ziemskiej w 147 gatunkach obficie się znajduje.<sup>1)</sup> Dwa żyjące dotąd gatunki, znajdują się w wodach oceanu indyjskiego i nic łatwiejszego jak widzieć je pływające po morzu, lub skorupy ich znajdować nad brzegiem, ale złowić je z żywym zwierzęciem, niezmiernie trudno.

Łodziki perłowiec (*Nautilus pompilius*) przedstawiony tu na fig. 1, ma średnicy 7 do 8 cali, a 4 do 5 grubości. Ostatni skręt spiralnie zwiniętej prawie kolistej skorupy, jest największy i w nim mieszczą się wszystkie inne. Zwoje są gładkie bez linii grzbietnej, ani żadnej innej wypukłości, a otwór przedłużnie sercowaty, koncha biaława z brunatnymi promieniami lub poprzecznymi pręgami, wewnątrz pięknie perłowo połyskująca, licznymi poprzecznymi ścianami na liczne komórki przedzielona, ale zwierzę mieszka tylko w ostatniej zewnętrznej, największej, inne zaś, tak zwane komórki powietrzne, są puste zupełnie. Przez wszystkie te ściany przedziurawione środkiem, przechodzi rurka łącząca (Sipho) względem znaczenia której badacze natury nie zgadzają się w zdaniu. Piękny egzemplarz znajdujący się w Warszawskim Gabinetie Zoologicznym, przepiłowany na dwie połowy w kierunku prostopadłym do osi, dokładnie pokazuje wewnętrzną budowę konchy. Tu także widzieć możemy, że koncha ta składa się z dwóch warstw, po zdjęciu zewnętrznej, wewnętrzna okazuje połysk i kolory tęcze perłowej macicy.

Zwierzętko to ma cztery skrzele ale nie ma worka czerni, jak inne podobne mu z powierzchowności. W tyle ku zaokrągleniu konchy jest tępo zakończone z przedłużeniem w skórkowatą rurkę, która się przez ową rurę lewarkową aż do spiczastego końca konchy przedłuża. Głowa kolistą a pyszczek opatrzonej dwoma szczękami i frendzelkowatą wargą oko duże i swobodnie stojące. Płaszcz (przedłużenie skórkowate ciała mięczaka) stanowi przedłużenie fałdziste na głowie; jest on podobny do organu ruchomego brzuchopęzów (gasteropoda) i służy zapewne do pęzania, a kiedy znowu wsuwa się w skorupę, zastępuje miejsce przykrywki. Po obu stronach głowy i przy szerokich wyskokach około pyszczka, znajduje się po 20 ramion na cal długich, opatrzonej licznymi drobnymi mackami. Co się tyczy formy, przednia część ciała jest ciemno-czerwona, brunatna

<sup>1)</sup> Jeden z tych kopalnych gatunków znajduje się opisany w Zoologii specjalnej Edw. Eichwalda, pod nazwą „Argonauta Zborzewscii,” na cześć Zborzewskiego profesora w Międzyborzu i Klewaniu.

z białem pomieszana, płaszcz zaś i inne części jasno-błękitne.

To zwierzątko znajduje się przy wyspach Moluckich i na morzu południowym i wcale nie należy do rzadkości. Przy spokojnym morzu licznymi gromadami pływa po powierzchni, z otworem konchy w górę obróconym, wyciąga ramiona i wystawia głowę; ale przy najmniejszym niebezpieczeństwie wciąga całe ciało w konchę, łódź się odwraca otworem na dół i opada na dno, gdzie czołga się na płaszczu i ramionach. Żywi się zapewne drobnymi krabami a sam bywa łupem większych krabów, ryb i ludojadów, które je łatwo z skorupy wyciągają, dla tego zwykle puste tylko konchy widzimy unoszone wodą, lub zbieramy na brzegu.

Konchy po zdjęciu zewnętrznej warstwy, używają na puchary i wazony do kwiatów, a Indianie wyrabiają sobie z nich łyżki.

Drugi gatunek Łodziki gorejący (*N. umbilicatus*) fig. 2 ma cienszą skorupkę, której zwoje widoczne są zewnątrz i tworzą głęboki tak zwany pępuszek. Koncha jest żółtawa z licznymi rdzawo-czerwonymi na grzbiecie, a mniejszymi na zwojach poprzecznymi kresami. Wewnątrz pokazują się jeszcze piękniejsze tęcze blaski perłowej macicy. Ani zwierze mieszkające w tej skorupce, ani główna jego ojczyzna nie są nam znane i nawet w bogatych zbiorach konch, egzemplarze takie są rzadkie.

Do licznych jeszcze przez poetów starożytności wymyślonych bajek, należy powiastka, o dziwnych ewolucjach na morzu, mięczaka nazwanego papierowym żeglarkiem (*argonauta argo* Lin.) fig. 3, który dwa ramiona jakby żagle rozpościera a sześciu innymi steruje swoją piękną skorupkę, i że jego to przykład nauczył mieszkańców nadbrzeżnych budowania łodzi i używania żagli. Jest to proste zmyślenie i zwierzątko to pływa tylko zapomocą szybkiego wyrzucania wody nabieranej w lejkowatą konchę, co nadaje jej przeciwny wytryskowi kierunek.

Mięczak ten ma dużą, cienką i bardzo kruchą skorupę, dochodzącą do 8 cali w przecięciu, bruzdowaną, spłaszczoną w kształcie łodzi. Pierwsze zwoje są bardzo małe, ostatni duży ku przodowi wydłużony; u spodu jest jakby belka w statku ze spiczastymi wyrostkami, od których poczynają się bruzdowate żebra. Koncha jest mleczno-biała z matowym połyskiem i tak przejrzysta, że zwierzę wciągnawszy się wewnątrz, może przez nią widzieć. Małe zwoje i wyrostki są brunatne.

Zwierze walcowate podobne jest do polipów

morskich i czerników czyli mętów. Ma ośm ramion, opatrzonych dwoma rzędami brodawek przysysalnych, dwa tylne ramiona wahlarzowe są rozszerzone. W płaszczu z przodu znajduje się lejek czyli rurka służąca do poruszania się. Dziwna rzecz, że zwierzątko to może być bez szkody wyjęte z konchy i na powrót włożone. Na dnie morskiem żeglarek pełza podobnie jak łodzic zapomocą płaszczu, niosąc konchę nad sobą, wypłynawszy na powierzchnię, odwraca konchę grzbietem na dół. Że dwóch szerokich ramion używa jak żagli, to jest czystą bajką, ale że innemi sześcioma wiosłuje to dotąd, naturaliści utrzymują. Za zbliżeniem się niebezpieczeństwa ramiona wciągają się w konchę, która nabiera wody i idzie na dno. Najdziwniejszym jest że samce nie mają wcale konch i muszą szukać sobie mieszkania w konchach samic, gdzie im nie trudno się pomieścić, bo są tak małe, że je dawniej za obce pasożytne zwierzątko uważano.

Zeglarek papierowy pospolity jest w morzu Śródziemnym i oceanie Indyjskim, żyje po większej części na dnie, a na powierzchni wody bardzo jest trwożliwy i dla tego trudny do schwytania. Konchy na brzeg wyrzucone rzadko są całe z powodu swój kruchości i dorosłe okazy nie uszkodzone liczą się do rzadkości w zbiorach. W Gabinecie Zoologicznym Warszawskim jest kilka dużych i bardzo ładnych, a mnóstwo drobniejszych.

Tu należy także trąbka (*Spirula Peronii*) fig. 4, której dawni znali tylko konchę i nazywali *Nautilus spirula*, aż nareście Peron odkrył samo zwierze w podróży na morzu południowym. Ładna ta koncha jest biała, szklista, rurkowata, część tylna w ciasną trąbkę zwinięta. Jest to zwierze z rodzaju kałamarnic, ciało jego nie może ukryć się zupełnie w skorupie i część jego zawsze wystaje na zewnątrz, tylko cienką rurczką przechodzi aż do tylnej części skorupy. Głowa z dużemi oczami i ośmiu krótkimi a dwoma dłuższymi macadełkami.

Spirula w wielkiem mnóstwie czepia się skalistych brzegów zachodnio-indyjskiego oceanu i nigdy prawie nie znajdujemy w nich zwierzęcia. Dla badaczy natury Spirula bardzo jest interesującą, bo pozwala mu sądzić o podobnych jej, a już wymarłych obecnie kałamarnic, *Loliginea*.

Przechadzającego się nad brzegiem morskim badacza przyrody, uderzają na pierwszy rzut oka na przestrzeni zalewaną w czasie przystępu morza, niezliczone, do maleńkich kretowisk podobne, nasypy piasku i tuż przy nich małe wydrążenie, po-

chodzące od znanego Piaskarza (*Arenicola piscatorum*) fig. 5, tudzież morskie żółędzie i tulipany, które na przestrzeni między wysokością wody przystępu i odpływu morza, stanowią biały chropowaty zdaleka już dający się postrzedz pas, który na naszym obrazie widocznie przedstawia się w górze na skale.

Grzebiąc około wspomnianych wyżej dołków, znajdujemy 12 do 18 cali długą, wcale na pierwszy rzut oka nie powabną glizdę ciemno-brunatnej a ku końcowi zielonkowatej barwy, której przedni koniec znacznie jest grubszy niż tylny. Wzdłuż pierścieniowatego ciała, ciągną się dwoma rzędami szczytkowate wyrostki, któremi robak zakopuje się w piasek i nad brzegami przystani morza Północnego miliony ich tkwią pionowo w piasku, z którego rybacy wykopują je trójzębnymi widełkami i za ponęty przy łowieniu używają, ztąd go też *piasecznikiem rybackim* nazwano.

Co się tyczy morskich żółędzi albo pąkli (*Balanus*), te zwykle oznaczają średnią wysokość wody tu i owdzie trzeszczą pod nogą (*Balanus miser* i *sulcatus*) większa ich część nie przechodzi wielkością orzecha laskowego. Największy gatunek (*Balanus tintinnabulum*). Tulipan morski ma dwa do trzech cali wysokości a cal średnicy. Skorupa jego składa się z sześciu zrosniętych części, przykrywkę stanowi piramidka z czterech trójkątnych ruchomych części złożona. W czasie odpływu morza pąkle pozostają zamknięte, ale jak tylko przybywająca z przystępem woda przykryje ich wierzchy, zwierze otwiera ruchomą nakrywkę nieruchomego swego mieszkania i wysuwa członkowate ramiona, czychając na zdobycz. Po najedzeniu się, gdy woda opada, mieszkanie pąkli zamyka się i następuje czas spoczynku i trawienia. Łatwo bardzo naturalnie śledzić zwyczaję tych mięczaków, umieściwszy w naczyniu z wodą morską jaką dużą konchę okrytą pąklami bo te zwierzątko czepiają się nie tylko skał ale muszli i raków i z temi ostatniemi tak mało robią sobie ceremonii, że nie tylko na grzbiecie, ale na nożycach, nogach a nawet na oczach ich przytwierdzają swoje mieszkania.

Ale przypatrzwszy się temu wszystkiemu nie znamy jeszcze dokładnie historyi tych małych stale osiedlonych koloni, to jest ich zadziwiających przemian. Według postrzeżeń wielu niezmordowanych badaczy przyrody, z otworu oddechowego tych zwierząt, kiedy niekiedy wytryskują promienne dro-

ne białawe ziarnka, w których za pomocą dobrze powiększających szkieł, widać jajka a następnie młode zwierzątka, które jak tylko opuszczą pokrywę jajka, zaczynają wesoło pływać swemi wiosłowemi nogami. Te małe cyklopy mają tylko jedno oko na środku czoła, a u członkowatych nóg, czyli ramion, długie szczoteczki. Nabawiwszy się wesołym ruchem te zwierzątka należące do rakomęczaków, w późniejszym wieku osiedlają się gdzie bądź stale i otaczają ową tulipanową skorupką, której już nigdy nie opuszczają i podobnie, jak pewne wyższej organizacyi stworzenia, biorą rozbrat z zewnętrznym światem.

Mały krajobraz na którym te opisane tu morskie zwierzęta są przedstawione, uzupełniony jest roślinami morskimi z rodzaju szuwarow (*fucus*). Szuwały których znamy kilkaset gatunków, dzielą się według swej barwy na trzy wielkie grupy: zielone, oliwkowe i czerwone. Po prawej stronie widzimy tu ciemno-oliwkowy szuwar tasiemkowy (*Fucus filipomis*), po lewej piękny zielony różnokształtny S. palmikowy (*F. palmetta*), a w pośrodku najpospolitszy na brzegach europejskich S. skrzydlaty (*F. alatus*) pięknego czerwonego koloru).

## O ZNIESIENIU NIEWOLI MURZYNÓW W ANGIELSKICH OSADACH AMERYKI.

Gdy już powinien był ustać w krajach chrześcijańskich, bo za broniony i za zbrodniczy ogłoszony handel Murzynami, cóż dotąd po osadach Ameryki, dzierzonych przez białych panów, działo się z czarnymi ich bliźnimi? Oto jęczeli jeszcze w osobistej niewoli, skazani na ciężką pracę w plantacjach kawy, cukru i tym podobnych. Rozniecona taką niewolą i pracą rozpacz, wybuchła r. 1792, płomieniami zaciętego na śmierć rokoszu, między Murzynami wyspy San-Domingo, którzy, jakśmy wyżej wspomnieli, na tem grobowisku wytępionych i wytępicielei ogólnie, a ofiar polityki arcywytępicielea szczególnie, wywalczyli po rok 1804 swoje niepodległość, i pierwsze w swoim rodzaju założyli państwo czarnych. Z takiej samej przyczyny zaszło r. 1831 na wyspie Jamajce, najważniejszej angielskiej w Indyach zachodnich posiadłości, powstanie Murzynów, które zmusiło tamtejszy parlament ogłosić: że ich niewola będzie zupełnie zniesiona. Z takiej jeszcze przyczyny r. 1835 powstałi, lecz bezskutecznie, Murzyni północnej brezylijskiej prowincyi *Para*. Podobnych wybuchów widownią były Zachodnio-indyjskie wyspy *Barbados*, *Portorico* i *Martynika*; takie zaś wybuchy zespolone ze zniesieniem handlu prowadzonego Murzynami, stały się powodem do zniesienia, lubo nie ogólnego, ich niewoli.

Najdawniejszy przykład zniesienia niewoli afrykańskich Murzynów w Ameryce, dali przy końcu 17 i na początku 18 wieku, wspomnieni wyżej Jerzy *Fox* i *William Penn*, założyciele sekty kwakrów. Drugi przykład dały r. 1776 Stany Zjednoczone północnej

Ameryki, kiedy, strzaskawszy włożone na nie jarzmo angielskie, zniosły zarazem niewolę Murzynów w siedmiu z trzynastu ówczesnych stanów swoich; poczem usamowolnienie reszty tamtejszych niewolników, poszło w długą odwołkę, z niemałym tej wielkiej Rzeczypospolitej zakałem.

Dziś, już i na ziemi afrykańskiej bytuje kraik wolnych Murzynów. Ten kraik nazywa się *Sierra-Leona* (góra lwia), leży zaś na pobrzeżu oddzielającym Senegambiją od Gwinei. Jest to osada, którą w latach 1787—1793 założyła afrykańska spółka Anglików, *African Institution*, na gruntach przez nią zakupionych od drobnych władców murzyńskich. Główne tej osady miasto *Freetown*, zamieszkali po większej części ci sami Murzyni, którzy podczas amerykańskiej wojny, w dzisiejszych Stanach Zjednoczonych, trzymali z Anglikami. Zamiarem owej spółki było wykluczyć z okolic osady frymarczenie niewolnikami, rozniecać oświatę w sąsiedzkich Murzynach, przez zawiązywane z nimi stosunki i pokazać im, że mogą wolnością zastąpić swoją niewolę. Już się rozwinęła była ta osada, kiedy ją roku 1794 Francuzi naszli od morza, złupili i po większej części zburzyli. Odradzająca się, wybudowała r. 1809, odległe na milę od morza, miasto *Kingstown*, a r. 1816 inne ważniejsze *Regentown*, w którym dziś sposobią się na Missyonarzów Murzyni, i twierdzę *Thornton*, w której się uczą służby wojskowej. Roku 1831 w ludności 32000 mieszkańców osady Sierra-Leona, liczone 20000 Murzynów, powołanych do używania praw człowieka.

Od czasu założenia tej osady, zmalało w jej okoli-

cach frymarczenie Murzynami, a wielu rajfurów tego niecnego rzemiosła, wydalilo się z jęj okolic. To zmalenie handlu na ludzi i imie *Wilbforce'a*, naczelnika przyjaciół ludzkości, którym Murzyni winni zniesienie prowadzonego handlu i urozpiernienie się wspomnionych rajfurów, rozniosło taką trwogę między handlarzami niewolników, że każdemu białemu, który się między nimi pokazał, grozili śmiercią, poczytując go za popieracza zamiarów *Wilbforce'a*. Bytujący w *Sierra-Leona* trybunał przeciw winnym takiego frymarczenia i zajmowane tamże od r. 1816 stanowisko liniowych angielskich okrętów, polujących na statki przewożące niewolników, przykładały się do zwiększenia złośliwości hodowników wyklętego rzemiosła.

Do nienawiści tych hodowników przeciw *Wilbforce'owi*, przyłożył się podany przez niego w dniu 10 Czerwca r. 1816 do Izby niższej parlamentu wniosek, aby niewolnicy Murzyni w osadach angielskich, tak jak inni poddani W. Brytanii, byli podejmowani, młode zaś ich pokolenie aby było wychowywane na wolnych rolników. Znaczna liczba członków Izby poparła taki wniosek, lecz ci przeciw większej liczbie odrzucających go złych duchów, nie mogli go utrzymać.

Drugim kraikiem wolnych w Afryce Murzynów jest osada *Liberia*, na pobrzeżu Pieprzowém czyli *Malageta* w Gwinei wyższej, od roku 1821 bytująca. Niewola Murzynów trwa dotąd ogólnie w Stanach Zjednoczonych Ameryki. Z tych północne są za jęj zniesieniem; południowe zaś nie dopuszczają go. Pomnikiem zbawiennęj chęci tamtych jest osada *Liberia*; przez towarzystwo między nimi zawiązane, założona w celu rozszerzenia oświaty i chrześcijaństwa między Murzynami. Roku 1833 zawinęło do tęg osady 100 okrętów. Roku 1835 żyło w nięj 3000 wolnych Murzynów pod przewodem naznaczonego przez wspomniane towarzystwo zawiadowcy. Jęj miasto *Monrovia*, na cześć prezydenta *Monroe* Stanów Zjednoczonych Ameryki (1817—1825), który przedsiębrał silne środki na zniesienie handlu niewolnikami prowadzonego, tak nazwane, liczyło 1000 mieszkańców żyjących z handlu. Najnowsze miasto *Edina* powstało nad rzeką *San-Juan*. Towarzystwo z kobięt zawiązane w mieście amerykańskiem Filadelfii, utrzymuje swym kosztem sześć szkółek dla murzyńskiej młodzieży, w osadzie *Liberia*.

Ale ci wolni Murzyni kraików *Sierra-Leona* i *Liberia*, jakże drobną byli ilością względem ogromnej massy ich niewolniczych spółplemienników, nim par-

lament angielski wyrzekł roku 1833 iż niewola tych ostatnich znosi się w osadach angielskich? Wszakże roku 1830:

1° w ludności 12,864,000 Stanów Zjednoczonych Ameryki, było Murzynów niewolników 2,009,050.

2° osady angielskie zachodnich Indyj w ludności 1,808,300 liczyły 738,000 Murzynów niewolników. W samęj Jamajce było ich 322,400 wśród panujących im wolnych 72,550.

3° w osadach francuzkich, obejmując wyspę *Bourbon*, leżącą przy Afryce na wschód Madagaskaru, w ludności 262,400 mieszkańców, było 186,000 Murzynów niewolników.

4° w osadach hiszpańskich na 730,550 mieszkańców, przypadało 242,500 Murzynów niewolników.

5° W niderlandzkich, duńskich i szwedzkich osadach było 169,000 mieszkańców, a w tęg liczbie 120,900 Murzynów niewolników.

6° Brezylia miała mieszkańców 5,130,450, a między tym 1,922,000 Murzynów niewolników.

Inne południowe kraje Ameryki miały od kilkudziesięciu tysięcy Murzynów niewolników; ogółowa zaś tych ostatnich liczba w obudwóch Amerykach wynosiła 5,280,000, a tęg ogromnej liczbie nieszczęśliwych, może wyrównywa liczba ich czarnych spółbraci, którzy pod niebem Afryki i Azyi, jęcą pod jarzmem uświęconem przez fetysze i alkoran.

Zadawszy cios śmiertelny prowadzonemu Murzynami handlowi i zatamowawszy go na całej kuli ziemskiej, tam mianowicie dokąd dosięgło zbawcze Ewangelii światło, Anglja jeszcze zniosła r. 1833, w swoich przynajmniej posiadłościach, niewolę, na którą w innych tak ogromna massa tego ludu jest dotąd skazana. Aby skłonić członków parlamentu do wywiązania się z tego wielkiego posłannictwa, jeden z nich przemówił wówczas do reszty zgromadzenia następującemi słowy:

„Wypada pragnąć, aby dla wybawienia Afryki z jęj dotychczasowęj nędzy ciała i ducha, wzięły się za ręce mocarstwa chrześcijańskie, wszystkie bez wyjątku. Ale, jeżeli ich w takim celu zjednoczenie nie przyjdzie do skutku, niechże wie i pamięta naród Wielkiej Brytanii, że na nim cięży, podwójny, z którego koniecznie ma się uiścić dług: jeden względem Opatrzności, która go kiedyś wybawiła z morowęj otchłani i ciemnoty; drugi względem człowieczeństwa, którego godność, przez posiadanie niewolników, jakoby rzeczowęj własności i frymarczenie nimi takie samo jak bydłem, on przez długi czas deptał, znieważał, oszpecał: że przeto cięży na nim

obowiązek przeprowadzić własnymi siłami i wykonać tak trudne dzieło, jak zniesienie niewoli Murzynów w jego osadach, a to nie z pobudek samochwalbą wzniecanych, lubo zresztą czeka go za to chwala nieśmiertelna, ani z widoków zarobku, lubo stąd utworzyłoby się przed nim niezmiernie pole zysków; ale z pobudek politowania do którego wzdycha Afryka, tudzież przez miłość i bojaźń tego Boga, który przez organ swego proroka zalecił: „Sol-re fasciculos deprimentes: dimitte eos, qui confracti sunt, liberos, et omne onus dirumpe (Isaias VIII. 6).“ i pogroził — „Vae! qui condunt leges iniquas: et scribentes, injustitiam scripserant, ut opprimerent in judicio pauperes et vim facerent causae humilium populi mei, ut essent viduae praeda eorum et pupillos diriperent (Isaias X. 1. 2).”

Tak wzniosłej przemowie godnie odpowiedziało społeczeństwo angielskie. Podczas rozpraw parlamentu nad wniesionem do niego zadaniem usamowolnienia Murzynów w osadach, lud zasypał to zgromadzenie swoich wyobrazicieli liczbą 5,020 próśb, na których doliczono się 1,309,711 podpisów. Przeciw zadaniu było wprawdzie 32 próśb a na tych 16,463 podpisów: lecz te ostatnie próśby z tą liczbą podpisów, przewyższała jedna tylko prośba samych kobiet z różnych stron państwa W. Brytanii i Irlandyi za zadaniem, opatrzona liczbą 187,000 podpisów. Wśród takiego usposobienia umysłów, wśród tak przeważającej większości za zniesieniem niewoli Murzynów, mógł John *Robinson*, dawniejszy minister osad, podówczas pieczętarz, hrabią *Ripon* mianowany, powiedzieć: „Przyszedł tedy czas, którego żadna siła ludzka już nie zdoła cofnąć, czas ostatecznego usamowolnienia Murzynów. Zniesienie ich niewoli będzie ulepszeniem praw naszego kraju i niech więc cały kraj przyłoży się do wynagrodzenia plantatorów, których majątkiem była niewola Murzynów.”

Jakoż dnia 28 sierpnia r. 1833 doszło i zapadło prawo, znoszące we wszystkich posiadłościach an-

gielskich niewolę Murzynów od dnia 1 sierpnia roku 1840, po który to kres miał się ciągnąć stan przechodni. Przy tém uchwalono i ogłoszono, że dzieci niewolników młodsze od sześcioletnich, będą wolne od dnia 1 sierpnia r. 1834, i tem samym te które poczynając od téj daty, przyjdą na świat; że niewolnicy dorośli i od sześcioletnich starsi, zaczną wprawdzie od téj także daty używać wolności, lecz muszą jeszcze pracować u swych ówczesnych panów; nakoniec że ci panowie, za swe straty w plantacjach poniesione przez to prawo, będą wynagrodzeni summą 20,000,000 funtów sterlingów (to jest 800,000,000 złotych polskich).

Czas pokazał, że chybili prawodawcy, odłożywszy wykonanie swój zbawczej uchwały do roku 1840: bo to jej odłożenie dało powód do zaburzeń między Murzynami, które siłą zbrojną trzeba było poskramiać. Gdy roku 1838 minister osad wytknął ten usterk, naówczas lord Henryk Brougham, który r. 1811 przewiódł był w obudwóch Izbach prawo ogłaszające za zbrodniczy handel Murzynami, a r. 1828 obstawał za usamowolnieniem katolików w krajach angielskich, teraz: to jest r. 1838 zażądał aby przyspieszając epokę wolności Murzynów, przeznaczono na nią dzień 1 sierpnia r. 1838. Lubo Izby nie przyjęły tego wniosku, jednak sami plantatorowie przez cześć dla cnót lorda *Broughama* i jego względem całej ludzkości zasług, usamowolnili Murzynów w swoich plantacjach od chwili podanej przez niego.

Nie byli tyle szczęśliwi Murzyni osad francuzkich. Na próżno w dniu 18 lutego r. 1838 wnoszono ich usamowolnienie do Izby Deputowanych, na próżno roku 1840 dzienniki paryskie przypominały Francyi, o co w obec wielkomyślnego dzieła Anglików wołał na nią głos tak zwanego *point d'honneur*.

Wszakże ten głos, w nią wmawiany, zastępowała wówczas, podobnie jak przedtem i potem, taka sama cisza jaka panuje w sławnych katakombach paryskich

## ROZMAITOŚCI.

*Słowo o królu Leszczyńskim i kilka zdań jego.*

Wiadomy wszystkim smutny koniec czcigodnego Stanisława Leszczyńskiego — którego głównie padł ofiarą ówczesnej etykiety, a raczej ostrych przepisów

służby wojskowej, albowiem żołnierz stojący na warcie u drzwi jego, pomimo że słyszał krzyk nieszczęśliwego króla i czuł mocną spaliniznę, nie mógł przestąpić praw stojącemu na warcie wskazanych,

nie ruszył się z miejsca aby ratunku udzielić! — Nie będziemy opisywali szczegółów tego okropnego wypadku, z powodu wyżej wymienionego; wspomnimy tylko mniej znajome szczegóły cechujące charakter pełen pokoju i delikatnego uczucia.

Przed zaszłym wypadkiem, Leszczyński zapadł na mocny katar z gorączką; córka jego, królowa francuzka odwiedziwszy go, przy pożegnaniu, zalecała ojcu najusilniej, ażeby wystrzegał się zimna, *żeby się bardzo ciepło trzymał.* — Gdy nieszczęśliwy poparzony król leżał w okropnych boleściach na łożu śmierci, chciał przed ukochaną córką ukryć mocne cierpienia swoje, zebrał więc wszystkie siły aby list opisujący wypadek, nie zdradził wielkich cierpień — dość więc lekko wspomina o nim i kończy zarzucając żartobliwie córce, iż złych mu rad udzieliła — „kazałaś, mówi, ażebym się w ciepłe trzymał, unikał zimna, i to właśnie złem było, powinnaś była raczej kazać mi się zbyt wystrzegać gorąca, byłbym się nie przysuwał do ognia, którego mnie nadto ogrzał.”

Twierdzą niektórzy podróżujący, że pamięć tego pełnego cnót i rozumu człowieka, dotąd w Lotaryngyi nie zaginęła, dotąd między stosami przechowują tradycyjne wiadomości o nim i o jego zwyczajach i przymiotach. — Wiadomo, że ówczesni monarchowie niekiedy zasięgali rad pełnych bezstronności i sprawiedliwości starego króla, lubo nie zawsze szli za niemi.

Jedną z odznaczających znamion charakteru Stanisława Leszczyńskiego była głęboka, dobrze zrozumiana pobożność, pojmował on dobrze, że szczęście przyszłe i pokój w życiu teraźniejszym, jedynie od udoskonalenia moralnego zależy, do którego sił potrzeba zaczerpnąć ze źródła miłości i doskonałości. Dla tego modlitwy przez niego ułożone, mają odmienny od innych, powstałych w owych wiekach, charakter. — Niema tam próśb o różne potrzeby obficie wymieniane i mające dobra życia doczesnego na celu, niema przesadnych, górnym stylem wyrażanych *afektów*; są to próśby proste, głębokim uczuciem i prawdą namaszczone, próśby o możność, o siłę opierania się złym skłonnościom, o podniesienie się, o udoskonalenie moralne. Oto niektóre zdania tego króla-filozofa:

Chcąc ocenić zasługę wielkich ludzi, trzeba być samemu usposobionym do wielkości, geniusz bowiem do geniuszu tylko przemawia.

Można powiedzieć o nadziei to, co jeden autor an-

gielski powiedział o miłości: że jest ona kroplą kordyaku, która niebo wmięszala do kielicha tego życia, dla osłodzenia jego goryczy.

Ze wszystkich rzeczy człowiek najbardziej strzedz powinien swojej reputacyi; jeżeli bowiem raz tylko coś przeciwnego jej zrobi, może nazawsze ją utracić.

Jeżeli dawność ma nadawać pierwszeństwo genealogii, tedy wszyscy jesteśmy sobie równi, bo wszyscy sięgamy stworzenia świata.

Zarozumiałość towarzyszy zawsze miernym umysłom, tak jak skromność zaśłudze.

Szczęście jest wybornym trunkiem, który częściej w glinianych garnkach, niż w złotych puharach znajdujemy.

Nie sama pomyślność czyni człowieka szczęśliwym, ale sposób w jaki się z niej korzysta.

Publiczność jest to echo, które nie zawsze rzetelnie głosowi naszemu odpowiada.

Ten jest dostatecznie pomszczony, kto może przebaczyć.

Namiętności są to bożyszcza, którym palimy kadzidła i samych siebie poświęcamy w ofierze.

Nieugiętość wielka jest wadą stałości.

Gdyby zawsze na sprawiedliwość wzgląd miano, protekcyja nie byłaby potrzebną.

Chytrność upadła politykę, tak jak hypokryzja poniża pobożność. — Obie zaś nie mogą zastąpić tego co naśladują.

Głos jest sądem, od którego apellować nie można.

Jeżeli chcesz poznać charakter jakiego człowieka, czekaj aż mu się wielka jaka przytrafi przygoda; a wtedy możesz poznać całą jego wielkość, albo zupełną słabość umysłu.

Wielki gaduła podobny jest do muzykantów, którzy wolą zagłuszać, niż się podobać przez wdzięczną harmonię.

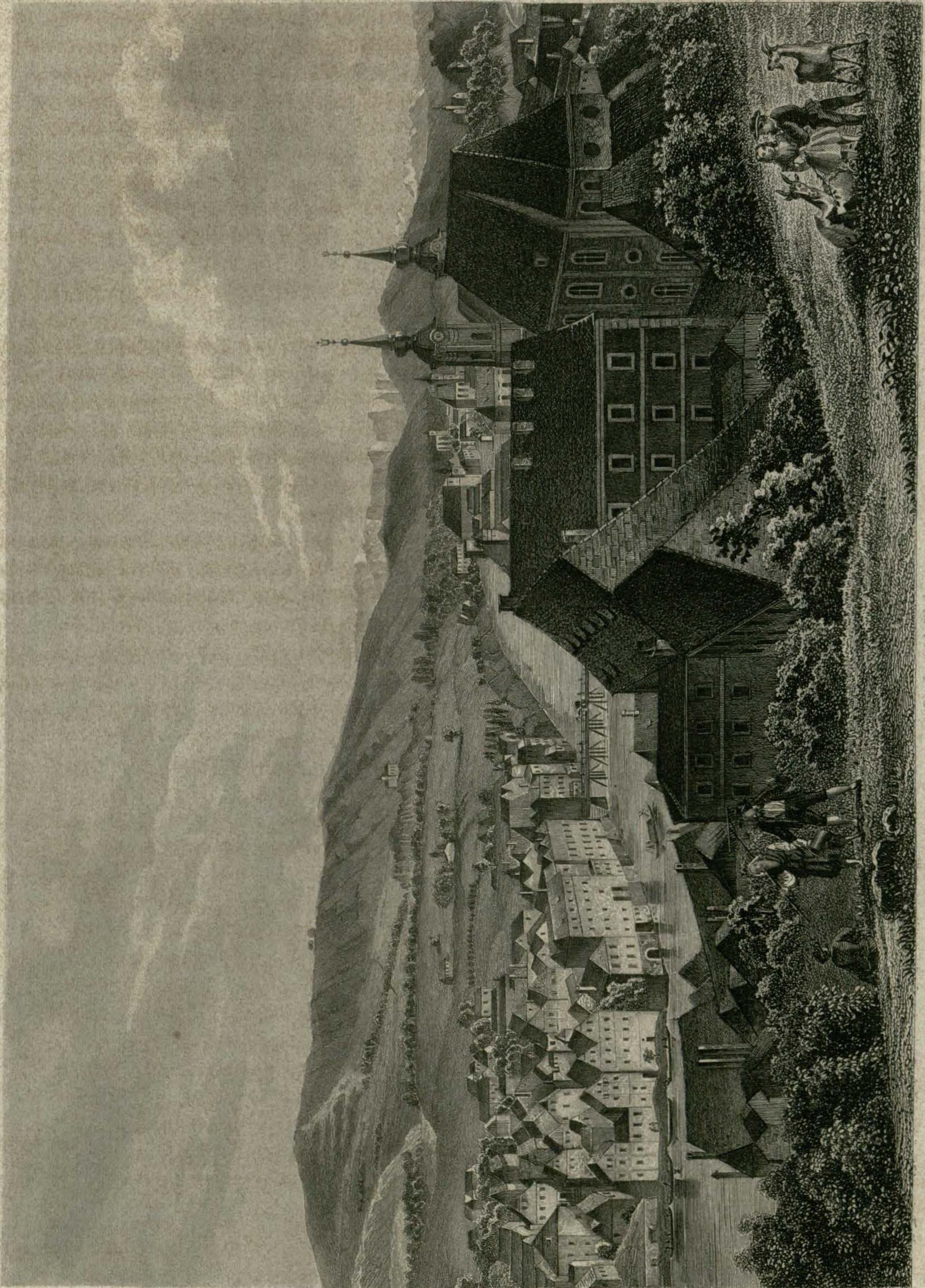
Chceszli z pewnością dokazać tego, żeby gaduła milczał; — przestań go słuchać.

Gdyby można było postawić się zewnątrz samego siebie, wtedy byśmy mogli sądzić o wszystkim bezstronnie.

Źródła nieszczęść lub rzeczywistego dobra szukajmy w przywarach lub cnotach naszych.

Nieinaczaj potrafimy przewyciężyć nieszczęście jak przez wytrwałe jego znoszenie; skała dla tego tylko opiera się burzy, że wpośrodku wałów morskich nieporuszona stoi, kiedy przeciwnie okręt na igrzysko wystawiony, często rozbiciu się ulega.





Druck von A. Schuler.

Zug



## STEYER (Styr)

### G N I A Z D O N I E M I E C K I E G O Ż E Ł A Z A

(ZE STALORYTEM).

Piękne miasto Steyer, co jest Birminghamem dla górnej Austrii, stolica okręgu Taun, dawniej rezydencja książąt Styrii, leży przy zejściu rzek Styr i Ens w powabnej i zdrowej, otoczonej wzgórzami dolinie, składa z 900 domów, liczy 10,500 mieszkańców i zajmuje się nader ożywionym przemysłem.

Właściwe miasto, jedno z najstarszych w całej Austrii leży na lewym brzegu rzeki Ens, na prawym jest przedmieście Ensdorf a na obu brzegach Styru przedmieście Steyerdorf. Ulice jak we wszystkich starych miastach są ciasne i kręte, w wielu domach okna opatrzone są kratami, a drzwi żelazną blachą obite.

Rynek jest obszerny, na nim od strony południowej kościół dominikański i ratusz z piękną wieżą, przy górnej bramie miasta stara gotycka katedra z wysoką wieżą, a w bliskości mostu na Styrze pięknej budowy kościół S. Michała. Nad miastem na stromiej skale wznosi się zamek, który w dawnych czasach był siedzibą książąt styryjskich.

To miasto jest głównym siedliskiem austriackiej fabrykacji żelaza, stali, broni i wyrobów wełnianych i bawełnianych, których płody nie tylko zaopatrują targi austriackie, ale nadto niezmierny mają odbyt za granicą nie tylko Austrii ale i Niemiec, w Rosyi i w Lewancie. Historyczno-pamiętnem jest to miasto bitwą stoczoną pod niem 7 Maja 1809 roku wielkim pożarem, który je zniweczył w r. 1842 i jako miejsce urodzenia niemieckiego wierszopisa Alojzego Blumauera (ur. 1755, umarł 1796 roku), którego główne dzieło *Enejda trawestowana*, pełne jest dowcipu i swobodnego humoru.

Historia tego miasta, noszącego w herbie białą panterę w zielonem polu, ściśle się łączy z historią kraju a szczególnie z dziejami przemysłu austriackiego. W odległych wiekach miało w tem miejscu mieszkać niemieckie plemię Gessadów, które przy ujściu dwóch rzek, zbudowało jedno z dwunastu miast rzymskich, położonych w Noryce. W trzynastym wieku wieśniacy wykopywali w bliskości Styru monety rzymskiebite, za cesarza Antoniusza pobożnego.

W roku 176 po N. J. Ch. stała w bliskości Styru legja *Augusta* a gdzie teraz stoi zamek, miała wznosić się strażnicza wieża rzymska; według Pliniusza, tu było dawne Auguntum i tu wyrabiano sławne norwskie miecze.

Za Karola Wielkiego po odegnaniu przez niego Hunnów w r. 791 od Ens aż za rzekę Raab, Słowianie i Wendowie zamieszkali jeden okrąg w pobliżu Styru, bo w akcie darowizny spisanej za jego syna Ludwika pobożnego, w r. 825, wzmianka jest o wsi Kronstorf jako położonej w części słowiańskiej albo wendyjskiej.

Zapewne Steyr został i przez Hunnów zniszczony, a po ich wygnaniu dopiero cesarz Otto Wielki osadził tu pierwszego margrabiego na Trangowii (Traungau.)

Nazwa miasta i prowincyi pochodzić ma od pierwotnych władców tej okolicy, którzy za herb używali byka (*Taurus*, Stier) i dlatego od Rzymian nazywani byli Tauriści albo Styrii.

Oprócz żelaza, w dawnych już czasach prowadzono tu znaczny handel drzewem „przyczem jak pisze stary jeden kronikarz, przed wielu laty nie jeden poczciwy mieszczanin tak pomyślnie drzewem kupczył, że się z tego handlu i dobrze wyżywić i nawet wzbogacić potrafił.” Szczególnie weneccy kupcy nanieśli przed laty mieszczanstwu styryjskiemu wiele pieniędzy i bogactwa, bo tam wywozili szczególnie wosk, noże i inne drobniejsze kute żelazo, a za to sprowadzali słodkie wina, korzenie, oliwę i jedwabne wyroby, które z wielką korzyścią dalej na wsze strony rozwozili i rozsyłali, bo im jednym służył przywilej, przedmioty te z Wenecyi wywozić. Nie mało też mieszczanie ci obłowili się groszem z wyłącznej sprzedaży wina; dopóki trzy inne stany: prałaci, panowie i rycerstwo zachcieli sami, z niemalą krzywdą miast, handlem się bawić.

W następnych wiekach Steyr dużo przez wojny ucierpiał. W roku 1453 Władysław król Węgierski

podbił to miasto i wojskiem swoim osadził, poczem wkrótce powstał wielki pożar i wiele szkód zrządził.

Zaledwie wojna na chwilę ucichła, już znów w roku 1460 na nowo wybuchła. Jerzy Stein i Wilhelm Puchheim, przybyli z wielkimi siłami pod miasto i oblegli je. Zamek poddał się przez zdradę a miasto musiało to samo uczynić. Wkrótce atoli zebrało się waleczne wojsko pod wodzą hr. Ekk i wyswobodziło miasto i kraj cały.

Najpamiętniejszemi atoli, w historyi Styru są: intrygi i zatargi znané w całym świecie, sekty anabaptystów, którzy w Styryi usiłowali stale się usadowić.

„W r. 1524 w dniu Sgo Wita, który wypadł w sobotę, wcisnął się do Styru pierwszy anabaptysta, nazwiskiem Jan Hut, i zaraz znalazł wygodne gniazdo, bo go brat Jakób, kapelan i kaznodzieja dworski, umieścił w zamku u Jana Wausbaiser. Nazajutrz zaraz w niedzielę, miał on kazanie w domu niejakiego Pfefferl. Wkrótce znalazł wielu i znakomitych stronników w Styrze, a szczególnie ciekawe kobiety, wyższego stanu mieszczek, przychylnego ucha dla jego nauk nie żałowały, tembardziej, że ów brat Jakób wszędzie go zalecał jako męża biegłego w słowie Bożem i godnego szacunku i przychylności.

Hut nie lenił się występować jak najczęściej z kazaniem, które miewał za miastem i wielu dla swojej nowej nauki jednał. Jego działalność musiała wkrótce zwrócić uwagę władz miejskich. Dowiedziawszy się co się dzieje, wydano rozkaz uwięzienia Huta, ale ten przestrzeżony w porę, umknął jak wszyscy wichrzyciele porządku, którzy obalamuciwszy głowy ludu i napakowawszy swój worek, znikają z horyzontu, a ci których oni w pole wyprowadzili, muszą potem za nich odpowiadać.

Rada miasta naturalnie zwróciła się ku stronnikom Huta i kazała wszystkich osadzić w więzieniu, którzy z nim mieli ściśle stosunki lub bywali na jego kazaniach. Jedni usprawiedliwili się, że wprawdzie słuchali nauk Huta, ale ich nie przyjęli i ci zostali wypuszczeni na wolność; ale większa część pociągniętych do odpowiedzialności, obstawała przy nowej nauce, która według nich jest tylko czystym objaśnieniem nauki Jezusa Chrystusa. Wszyscy oni powiadali, że Hut uczył, iż życie chrześcijańskie zasadza się na słuchaniu słowa Bożego i posłuszeństwie dla zwierzchności.

Magistrat nie wiedział jak sobie z temi ludźmi poradzić, którym nie można było żadnych występnych zamiarów ani postępów zarzucać. Przytem nie

śmiał własnowolnie wyrokować w rzeczach kościelnych i dla tego za najwłaściwsze uznał zapytać się rządu w Wiedniu jak z uwięzionemi postąpić, dodawszy uwagę, że gmina w Styrze chciwa jest słowa Bożego, a że tamtejsi duchowni i zakonnicy nie lubią kaznodziejów uczonych i jeżeli się który taki trafi przez szczególną łaskę Bożą, nie spoczna, dopóki się go nie pozbęda, nie można się przeto dziwić, że słuchanie kazań Huta było raczej zamiłowaniem słowa Bożego i prostotą, aniżeli skutkiem złych zamiarów.

Ówczesny pisarz miejski dopisał jeszcze na marginesie znane słowa Gamaiela: „Jeśli to dzieło ludzkie, upadnie samo z siebie, ale jeśli to od Boga, to stłumić tego nie potraficie.”

Widzimy z tego, że kazania Huta pozostawiały niejakie echa, nawet w głowach członków mądrego magistratu Styru i działania jego znajdowały łagodniejszą opinię, niżby się należało spodziewać.

Inaczej rzecz się miała w Wiedniu. Rząd cesarski bystrzejszem okiem przeniknął te sprawy i osądził, że ten wilk w baranięj skórze wkrótce pokazałby zęby, gdyby mu się udało otumanić ludzi rozprawami o posłuszeństwie i pokoju.

W dniu 20 września 1527 roku, nadszedł rozkaz nadający magistratowi Styru i delegatom sześciu innych miast nad rzeką Ens, prawo wyrokowania ostatecznie w sprawie uwiedzionych przez Huta, przy czem mianowano adwokata cesarskiego do ułożenia oskarżenia. Obok tego magistrat otrzymał surową naganę za to, że nie uwięził buntowniczego i kacerskiego nauczyciela Jana Hut, który się w miejscu jego władzy tak długo znajdował i ludzi dobrej wiary uwodził. Zarazem polecono magistratowi uwięzić kaznodzieję dworskiego brata Jakóba, lub gdyby już się w miejscu nie znajdował, ogłosić dokładny opis jego osoby i ubrania, żeby go inne władze ścigać mogły.

Ale brat Jakób nie czekał tak długo i już dawno umknął w bezpieczne miejsce.

Po przybyciu prokuratora cesarskiego i delegowanych z sześciu miast, sąd rozpoczął działanie od podzielenia oskarżonych na dwie kategorie, stosownie do stopnia ich winy. Do pierwszej policzono tych którzy dobrowolnie zrzekli się swoich błędów i po największej części sami stawili się przed sądem. Ci skazani zostali na publiczną kościelną pokutę, noszenie przez rok pewnego wyznaczonego ubioru i mieli sobie wzbronione wydalanie się z miasta, przytem nie wolno im było nosić innéj broni prócz noża

stołowego z ułamanym końcem; ci wkrótce wskutku podanej do tronu prośby w zupełności uwolnieni zostali od kary.

Trudniejsza była sprawa z drugą klasą anabaptystów. Śmiało bronili się oni ustnie i piśmiennie przeciw oskarżeniom prokuratora, zdając się zresztą na „Wszechmocnego Boga i jego świętą wolę.“ Przy wydaniu wyroku głosy były bardzo niezgodne. Zvernomb burmistrz Styru oświadczył, że albo oskarżeni są kacerzami, albo oni i jego koledzy sędziowie, a ponieważ nie myśli uważać się za kacerza, więc widocznie obwinieni są takimi i zasługują na spalenie; jednakże przez litość chrześcijańską wnioskuje, żeby ich ścięto i dopiero potem spalono, dla przykładu.

Za tem zdaniem oświadczyło się jedynastu członków sądu: Michał Widtmer z Linz zabrawszy głos po nich, pronował aby oskarżonym przydano uczonych teologów, którzyby ich przez dwa miesiące starali się oświecić, a gdyby i wtedy nie zrzekli się swoich błędów, radził skazać ich na wygnanie, pod surową karą, gdyby kiedykolwiek powrócili. Do tego zdania przystąpiło dwunastu sędziów. Kilku innych proponowało, żeby po dwumiesięcznej nauce jeśliby trwali przy swoich błędach, byli wystawieni pod pręgierzem, piętnowani na czole i dopiero potem wygnani na resztę życia z kraju, a jeden z sędziów żądał jeszcze żeby im i oczy wyłupiono. Wtedy powstał umiarkowany, rozumny i doświadczony sędzia miejski Jerzy Wischower i w uczuciu miłości chrześcijańskiej, uważając oskarżonych jako ludzi którzy się niewinnie dali na złą drogę wprowadzić, odrzucając wszystkie powyżej przytoczone zdania, wnioskował aby tych, którzy nie zechcą odstąpić od swoich kacerskich błędów, odłączono od kościoła i pozbawiono praw gminnych i obywatelskich i aby ich trzymano w więzieniu dopóki błędów swoich się nie zrenkną i do prawdziwej wiary Chrystusa nie nawrócą.

Wszystkie te zdania posłane zostały do Wiednia i w dniu 21 marca 1528 r. nadszedł stamtąd wyrok najwyższy, skazujący wszystkich nie chcących odstąpić od kacerskich błędów Jana Huta, na ścięcie głowy i spalenie.

W poniedziałek po niedzieli Judica, ścięto sześciu a w miesiącu maju jeszcze innych sześciu i jedną kobietę utopiono, a ciała ściętych na popiół spalono; z rozkazu rządu, domy w których anabaptysty odbywali zgromadzenia, miały zostać zbu-

rzona, ale ponieważ to były domy wiernych katolików, wdów i sierot, przeto zostały oszczędzone i tak skończył się najsmutniejszy ustęp historyi Styru.

Wkrótce daleko większe niebezpieczeństwo zagroziło temu przemysłowemu miastu. Turcy rozciągnęli aż tu swoje zagony, i przez długi czas rabowali Styr i jego okolice, mordując mężów, kobiety i dzieci, lub w pętach uprowadzając w niewolę.

Wylewy wód, pożary, zaraza morowa, trzęsienie ziemi, nawiedzały te okolice w ostatnich latach trzydziestu szesnastego wieku. W roku 1595 rozpoczęły się zawichrzenia religijne i tak zwana wojna chłopów. W r. 1600 z rozkazu cesarskiego protestantyzm, który już wielu miał wyznawców, najsurowiej został zabroniony, kościoły protestanckie zamknięto lub dla obrzędów katolickich zabrano, a ci co się nowej wiary odrzec nie chcieli, musieli z całymi rodzinami kraj opuścić. Dopiero w r. 1608 ogłoszoną została zupełna wolność wszelkich wyznań i protestantyzm na nowo zaprowadzony.

Siedemnasty i ośmnasty wiek nie przedstawia żadnych ważniejszych wypadków w historyi Styru. W bieżącym stuleciu w czasie wojen Napoleona I-go to miasto trzy razy wpadło w ręce Francuzów i dopiero traktat wiedeński uwolnił je z rąk tych obcych zdobywców.

Pomimo klęsk wojennych przemysł mieszkańców tutejszych ciągle postępował niezamordowanie; starożytna sława najznakomitszej produkcji żelaza i rozciągniętego handlu, utrzymywała się jak dawniej. Corocznie przerabiano tu 60 do 65,000 centn. żelaza i stali na wszelkiego rodzaju wyroby, a styryjskie kosy, sierpy, piły, świdry, pilniki, nożyce dla postrzygaczy i inne ostre narzędzia, tudzież broń palna, żelazne łóżka, tureckie sztylety i młoty, miały sławę i odbyły we wszystkich krajach. Szpadnicy i rusznikarze styryjscy, dobrocią swoich wyrobów mogą współzawodniczyć z najlepszymi zagranicznymi fabrykantami. W innych rękodzielniactwach nie zaniedbali się także mieszkańcy tutejsi, a drukowane płócienka i bawełniane pończochy i szlafmyce, stanowią nie mały artykuł handlu wywozowego. Żegluga na rzece Ens jest główną pomocą przemysłowi styryjskiemu, bo dotąd żadna kolej żelazna nie łączy tego przemysłowego miasta z głównymi punktami targowemi monarchji, a najbliższa stacya kolei wiodących do Wiednia i Lincu, znajduje się pod St. Peter.

## KAJETAN KOŹMIAN.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, Kajetan Koźmian, mąż stanu i poeta, sekretarz Konfederacji generalnej z r. 1812 i autor *Ziemiaństwa* — człowiek surowej prawości i stałych zasad, — dotąd u nas należycie zrozumianym nie został.

Zaraz po zgonie jego, który nastąpił przed czterema laty, generał Franciszek Morawski, przyjaciel zmarłego, w broszurce wydanej w Poznaniu w r. 1856, skreślił życie przyjaciela, — ale artykuł ten raczej za dług serdecznej życzliwości, aniżeli za bezstronne ocenienie zasług znakomitego męża, uważać należy. Nasze pisma dotąd nie wzięły na siebie tego ciężaru, ale powodu nie szukajmy w lekceważeniu pamięci autora „Ziemiaństwa” — nie, — to skutek jego surowych zasad jego sposobu myślenia, — z którym został się prawie sam jeden wśród zmienionych wyobrażeń, nie mogąc, lub nie umiając do nich się nagiąć. — On patrzył z góry na niemowłęce ruchy młodego piśmiennictwa, karmił groźnie jego błędy, — piśmiennictwo odpłacało mu wyosobieniem, — nie chcąc puścić bezkarnie nieuzasadnionego pod wieloma względami, lekceważenia.

Ze twarde stanie przy raz powziętych wyobrażeniach, jest znakomitą próbą hartu duszy, o tém nie można powątpiewać, — ale czy ten dobrze robi kto nie idzie z prądem wichru? — to pytanie, na które odpowiedzi dawać nie potrzebujemy. My nie zabieramy się do dzieła które przechodzi nasz zakres, — nie przedsięwzięmy szczegółowego rozbioru dzieł i czynów Koźmiana, — bo podobne krytyczne rozbiory nie są naszym zadaniem; podając jednak jego rysy, zamierzamy zwrócić uwagę czytelników na niektóre znakomitsze tego męża stanu i poety zasługi.

Kajetan Koźmian urodził się w b. województwie lubelskiem, we wsi Gałęzowie pod miasteczkiem Bychawą dnia 31 grudnia 1771 r., z ojca Andrzeja Koźmiana podówczas miecznika a potem sędziego ziemskiego lubelskiego i Anny z Kielczewskich. Rodzina Koźmianów używała poważania w lubelskiem, a ojciec autora „Ziemiaństw” odznaczający się szczególnym zamiłowaniem tradycyjnych zwyczajów, — miał liczniejsze nad innych koło zwolenników. — To zamiłowanie dawnych zwyczajów, wpłynęło na sposób kształcenia synów, — nie dzielając bowiem

zasad rozwijanych w szkołach ex-jezuickich lubelskich, odebrał z nich synów i umieścił w szkołach zamojskich gdzie, nauki przez duchownych i w języku łacińskim wykładane były. Gdy austriacy w szkołach zamojskich zaprowadzili swój język i swój porządek, Koźmian przeniósł synów do szkół wydziałowych lubelskich, i byłby ich następnie posłał do akademii krakowskiej, gdyby nie obawa o religijne wychowanie, w czém ówczesne spory z księdzem Bogucickim professorem historyi, nie dawały rękojmi; — idąc więc dawnym śladem, oddał Kajetana do palestry lubelskiej do mecenasa Podhorodeńskiego. Szczególnym zbiegiem okoliczności u drugiego mecenasa Antoniego Dmochowskiego, urzędował Aloizy Feliński; — młodzi prawnicy nie przeczuwający swój przyszłości, poznali się z sobą i złączyli się ścisłym węzłem przyjaźni, — którą wzajemnie sobie do ostatnich chwil życia dochowali. — Dwaj przyjaciele niedługo byli z sobą razem — Feliński wyjechał do Warszawy wezwany przez Czackiego, Koźmian przykuty wołą ojca do znieawidzonego prawniczego zawodu, nawet w epoce czteroletniego sejmku był w Lublinie, ścigając myślą i sercem wszystkie zdarzenia, przygotowujące naród do trzeźwiejszego bytu. Dopiero gdy konfederacja targowicka zawładnęła krajem, usunął się do ojca na wieś i po raz pierwszy wystąpił publicznie, w chwili gdy obrzydły Miączyński, widząc że wszyscy znakomitsi obywatele pod różnemi pozorami usunęli się od zagajenia sejmiku lubelskiego, wezwał na przewodniczącego sejmikowi jego. Kajetan pojechał do Lublina i powiedział Miączyńskiemu, że ojciec nie może przyjąć łaskawego zaszczytu, bo chory. Gdy zaś Miączyński odrzekł mu, że zna się na tych wybiegach i zagroził, że wojskiem każe sędziego do Lublina sprowadzić, — śmiały młodzieniec udał się do generała Miłasiwicza i znalazł u niego więcej uczucia i wyrozumienia, aniżeli u niegodnego rodaka.

Gdy Kazimierz książę Sapieha przywiózł do Lublina wiadomość o powstaniu Kościuszki w Krakowie, i zdarzeniach zaszłych w Warszawie w kwietniu 1794 r., utworzyła się zaraz w Lublinie kommissya pod prezydencją najprzód Tomasza Dłuckiego podkomorzego, a potem Stanisława Kossowskiego sta-

roste sieradzkiego, — do której jednogłownie na sekretarza powołany został Kajetan Koźmian. Dzielił on szczerze i gorąco wszystkie losy téj kommissyi — jeździł do Kościuszki dla odebrania rozkazów; — tułał się z nią po różnych stronach kraju, — a po nieszczęśliwej bitwie Maciejowickiej, wraz z wszystkimi członkami kommissyi, przeniósł się do tak zwanéj Galicyi Zachodniej do Szczepieszyna miasta należącego Ordynacyi Zamojskiej, gdzie kommissya, z rozkazu rządu austriackiego rozwiązana została.

Zniechęcony tym pierwszym a bolesnym zawodem w służbie publicznej, wrócił na wieś i wziął się do gospodarstwa. Imie rodzinne i zasługi obywatelskie w kommissyi, otworzyły mu wstęp w domy książąt Czartoryskich w Puławach i księżnej kasztelanowej Krakowskiej w Opolu, — a bliskie stosunki z Mikołajem Wolskim szambelanem i serdecznym przyjacielem Stanisława-Augusta a bok tego uczonym poetą, wpłynęły znakomicie na jego usposobienie. — Mówimy z umysłu *uczonym poetą*, — bo za Stanisława-Augusta byli tacy poeci, którzy się jak kosy w kłatkach na zawołanie wierszować nauczyli. Mikołaj Wolski był uczonym erudytem — poetą stał się z mody. Poznawszy się z nim Koźmian, uczuł dopiero cały niedostatek dotychczasowych swoich wiadomości; i z młodzieńczym zapalem wziął się do obeznania z Horacym, Wirgilim, Owidjuszem i innymi klassycznymi autorami. Rozszerzyło to niezmiernie jego wiadomości, — ale zdecydowało raz na zawsze owo wierne przywiązanie do klassycyzmu, przy którym wytrwale stał on do końca swojego, życia. W takich zajęciach gospodarskich i naukowych, upłynęło Koźmianowi lat 14, — unosząc się nad starożytnymi autorami, zaczął sam ich naśladować — pisał różne ody i sielanki, — a jedna z nich na cześć Bonapartego pierwszego konsula, zwróciła uwagę Piramowicza i Ignacego Potockiego na młodego autora, — i była zachętą do probowania sił w tym zawodzie.

Nadszedł rok 1809 — zwycięstwa odniesionego pod Raclawicami i Górą, a następnie zajęcie Lwowa przez Polaków, — przywróciły do życia obumarłą narodowość polską w Galicyi, — część jej przyłączonej została do księstwa Warszawskiego, — a Koźmian stanął znów gotowy do posług obywatelskich i wybrany został wice-prezesem nowo utworzonej kommissyi Lubelskiej. — Wkrótce sformował się rząd centralny w Galicyi Zachodniej, pod przewodnictwem gorliwego o dobro kraju Stanisława ordynata Zamojskiego. Obie te władze połączyły usiłowania, — aby oczyścić wyswobodzoną część Galicyi

z niemieczyzny i zapewnić jej lepszy byt i for rządu. Obok prac urzędowych, które zyskały zadowolenie naczelnego Wodza Wojsk Polskich księcia Józefa Poniatowskiego, Koźmian pracował jeszcze nad ożywieniem ducha upadłego pod tyłoma nieszczęściami. Jego dwie ody, jedna z okoliczności zdjecia w Lublinie orłów austriackich, — druga na dzień przyłączenia Galicyi do księstwa Warszawskiego, zyskały wielki i zasłużony rozgłos, — odpisywano je na tysiące egremplarzy, — a ostatnią przełożyli na język francuzki, Mostowski i Wielhorski, aby i nad Sekwanę dostać się mogła. — Gdy rząd centralny i kommissya lubelska, z powodu przyłączenia części Galicyi do księstwa Warszawskiego, rozwiązane, zostały. Koźmian powołany został na referendarza do Rady Stanu księstwa téj najwyższej magistratury, od której byt i urządzenie kraju zależało. Wcale niespodziewanie nasz mąż stanu i poeta, znalazł się obok takich znakomitości jak Staszic, Matuszewicz, Woronicz, Łubieński, Łuszczewski, Wielhorski, Sobolewski, Badeni, Węgleński, Linowski i wielu innych, a akta Rady Stanu świadczą, — ile ważnych spraw krajowych przeszło przez jego ręce, w ilu razach jego zdanie dało kierunek narodowi.

Nadszedł pamiętny w dziejach Europy rok 1812, zwycięzca z nad Po, Dunaju, Tagu i Szprei, z pod piramid egipskich, Napoleon I, stanął nad brzegami Wisły i Niemna na czele pół-miljonowej armii. W Poznaniu przywołał do siebie Wybickiego i Matuszewicza objaśnił im w jaki sposób naród Polski objawić ma swoje prośby i zarazem zapytał: jak wiele i jak prędko Polska dostarczyć może żołnierzy? Matuszewicz odpowiedział, że zwyczajem dawnym cały naród skonfederowany stanie się jednym ciałem. Napoleon na to odrzekł: „Je ne veux pas de votre poplite,” — dał się jednak przekonać, że konfederacye stawały nieraz w ważnych zdarzeniach w obronie panujących, — i ztąd powstała myśl *konfederacyi generalnej*, dla której wykonania Matuszewicz przybył do Warszawy. — Zwołany sejm zamienił się w konfederacyę, — marszałkiem jej obrany został książę Adam Czartoryski, jenerał ziem podolskich, wice-marszałkiem Stanisław hr. Zamojski, do Rady powołano członków: z Senatu 2, z Izby poselskiej 6, z Rady Stanu 2, a na sekretarza tego ciała politycznego, mającego reprezentować całą Polskę, powołano Koźmiana.

Kto zna wszystkie świetne działania téj konfederacyi, — kto odczytując pisma publiczne ówczesne, zastanowił się nad odezwaniami przebiegającymi

całą dawną Polskę, — ten oceni jakie Koźmian w tej ważnej dla naszej sprawy chwili, oddał krajowi usługi. Wiele z tych mów i odezw było jego pomysłu, — i śmiało powiedzieć możemy, że gdyby Koźmian w dalszym ciągu swego życia nic więcej był nie zrobił i nie napisał, — już zasługi jego z r. 1812, nadawałyby mu zupełne prawo do pamięci współziomków.

Obok prac publicznych, podsyczał także ducha pełnemi zapału poezjami, — a gdy po nieszczęśliwej klęsce Napoleona, konfederacya zmuszoną była ustąpić do Krakowa, gdy rezydent francuzki Bignon, chcąc obalamucić umysły, wydawał szumne bale, Koźmian tonący w smutku, napisał wiersz na *tańczący Kraków*, — i drugi na *zgon pocziwego człowieka* którego nikt nie odprowadził do grobu; — ody te niezmierne wywarły wrażenie, — i były początkiem ogólnego upamiętania się. Oda jego p. t. *Upadek dumnego*, napisana w r. 1814, należy do najwznioślejszych prac podobnego rodzaju.

W r. 1815 powołany został na Rektora Akademii krakowskiej, — ale podziękował za ten zaszczyt, nie czując się zdolnym odpowiedzieć godnie obowiązkom. Po nadaniu Polsce w roku 1815 przez cesarza Alexandra I Konstytucyi, powołany został na radcę do Rady Stanu, — dalej na prezydującego w delegacyi administracyjnej, na dyrektora generalnego administracyi w ministerjum spraw wewnętrznych, a w końcu jako kasztelan, zajął miejsce w Senacie. — Szczerą i gorącą miłość kraju — silne poczucie honoru i sprawiedliwości, przewodniczyły wszystkim jego pracom w ciągu lat 15 tego zawodu. Wypadki 1830 r. przyjął Koźmian z obawą, która chociaż nabyta długoletniem doświadczeniem, nie odpowiadała jednakże gorącym przekonaniom ogółu. Mimo to — przecież — spełniał ze zwykłą gorliwością obowiązki urzędnika i obywatela, — a po r. 1831 oddalił się raz na zawsze do swoich Piotrowic i tam był stale zamieszkał.

Tyle o pracach publicznych Koźmiana, — a jeszcze słów kilka o jego dziełach literackich. Powiedzieliśmy już wyżej, że Koźmian był stałym i niezachwia-  
nym niczem w swoich zdaniach klasykiem. Wszystkie dzieła jego noszą na sobie cechę tego kierunku. *Ody* zrobiły mu sławę między współczesnemi, rozrywano je, rozpisywano na tysiące exemplarzy. Zachęcony tem powodzeniem napisał poemat *Ziemiaństwo*, pracował nad nim lat kilka, — trzymał się wzorów

Wirgila, — ale nie podzielamy zdania, aby w dziele tem nie było krajowej barwy. Kto zna ustępy — spotkanie się żołnierza z rolnikiem, — pogrzeb wieśniaka — obraz pomoru i t. p. ten z pewnością nie wyda tak ostrego sądu jaki spotkał Ziemiaństwo. Z polecenia Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk którego był członkiem, napisał życiorysy: *Jana-Henryka Dąbrowskiego, Tadeusza Kościuszki i księcia Adama Czartoryskiego generała ziem Podolskich*.

Po usunięciu się od spraw publicznych, wziął się do napisania poematu bohaterckiego p. t. *Stefan Czarniecki*. Siedmnaście lat nad nim pracował, — a jak dalece wywiązał się z tego ogromnego zadania, osądzić winna sprawiedliwa krytyka. Dzieło to wyszło już po śmierci autora, — prawie jednocześnie z dwoma tomami *Pamiętników*, — które obejmując sprawy krajowe od roku 1788 do r. 1815, zawierają wiele szczegółów nader ważnych dla historii. — W pamiętnikach gorzkimi wyrzutami obrzuca Koźmian tych, którzy w ostatnich latach odmówili dziełom jego zasług, jakie poprzednio im przyznawano. Prawda, że w tych wyrzutach wiele jest osobistości, ale też wiele i prawdy. Pomiatanie zasługami dla tego, że na innych zasadach były oparte nigdy dobrych, skutków wywołać nie może; a autor *Ody* z r. 1809. *Tańczącego Krakowa* i *sekretarz konfederacyi generalnej* z r. 1812, której odezwy poruszyły kraj od morza Bałtyckiego do Czarnego, od Wisły do Dźwiny, — powinien był być uszanowanym. Zapomnienie i wyosobienie, Koźmian odpłacał nowszym pokoleniem dzielnemi przymówkami. Przytoczymy z nich jedną. — Wiadomo, że przed dziesięcio-laty kraj cały był w jakiejś gorączce muzykalnej, — zjeżdżali się koncertanci Bóg wie z kąd, — a publiczność spieszyła tłumnie na koncerta. Po jednym z takich koncertów, Koźmian napisał:

Zagrał był K. koncert Turkom przed stu laty,  
Ugiął ich na kolana — wytrącił bułaty.  
Dziś K. jak zagrał — to wśród tłumnych wrzasków,  
Słuchaczom aż ręce spuchły od oklasków.  
Ten z klawiszy brał ruble — tamten szablą wały,  
Jaki wiek — jacy ludzie — taki rodzaj chwały.

Koźmian w podeszłym bardzo wieku umarł w Piotrowicach pod Lublinem dnia 7 marca 1856 r. Z pierwszej żony Anny z Mossakowskich, zaślubionej w r. 1802 a zmarłej w roku 1806, zostawił jedyne-  
go syna Andrzeja, — znanego także z prac literackich.

A. W.

## RYS DZIEJÓW SZKOŁY ALEKSANDRYJSKIEJ,

Z RZUTEM OKA NA BIBLIOTEKĘ, MUZEUM I SAMO MIASTO.

Przebieg dziejów szkoły Aleksandryjskiej, jest dla nas wiadomością potrzebną i zajmującą już-to dla tego, że ta uczelnia powstała prawie równocześnie z wschodzącym na świat chrześcijaństwem, już z téj przyczyny, że stała się ostatnią przedstawicielką cywilizacji i umysłowości pogańskiej. — Ona — to bowiem stawiała największy opór duchowy nowéj religii, kiedy gdzie indziej spotykał chrześcijaństwo opór zaledwie tylko materjalnej i bezmyślnéj siły; ona jedna wychodziła w szranki szlachetne i duchowe, przyodziana w całą poezję mitycznych podań Wschodu, w cały blask wszechstronnéj mądrości Grecyi, w cały niezmierny majestat badań i poszukiwań wieków. — Ale na nieszczęście zléj broniła sprawy. — Poganizm już był się przeżył, a cywilizacja jego wyuzdana i rozprzężona już, ani na jeden krok nie mogła postąpić dalej. — Dla tego też, mimo niezmiernéj wiedzy wielkich na swój czas mistrzów, mimo ich wzniosléj moralności i potężnéj cnoty, nie od ostatecznego upadku obronić nie mogło, i nie dekret Justyniana właściwie ich zgładził, ale własna niemoc, gdyż bez tego dekretu oni już istnieć nie mogli byli w żaden sposób.

Szkoła Aleksandryjska położyła jednakże wielkie zasługi. — Jéj ciągłą żądzą, jéj nieustannym celem było zgłębianie tajemnic i natury Najwyższéj Istności. Bo chociaż filozofowie aleksandryjscy, jako eklektyzm przede wszystkim mający na celu, rozciągali swoje poszukiwania do wszystkich części filozofii, jednakże niezawodnie najwięcej zajmowali się teologią. Za czasów więc istnienia téj szkoły, nauka ta uczyniła ogromne postępy i przez-to samo już Aleksandryjczycy wysoko się wzniesli, dążąc od razu do celu wszech-bytu, do celu wszech-wiedzy, jednym słowem, do Boga. — Nie można powiedzieć aby nie zbaczali czasem z właściwéj drogi, wchodząc na ścieżki podrzędne: owszem rzecz nawet pewna, że zapełniali swe filozofiję przedmiotami zupełnie błachemi, ale dla nich żadna poprzednia nauka nie była stracona, bo korzystając z doświadczenia poprzednich wieków, już widzieli jaśniejsz, lepiéj,

i zdrowszy sąd niż ich poprzednicy wydali o zasadzie wiekuistéj.

Szkoła aleksandryjska jest zarazem szkołą mistyczną, eklektyczną i panteistyczną, jakkolwiek zdaje się niepodobieństwem, aby mistycyzm filozoficzny mógł trwać blisko cztery wieki. Hegel zaprzecza zupełnie mistyczności aleksandryjskiéj szkole. — Jakkolwiek mistycyzm ma swoją użyteczność w rozwoju historycznym; jest wszakże niezawodną prawdą, że on bywa stanem gwałtownym, najczęściej sprowadzanym rozpaczliwie i nie dającym się rozbiierać rozumowo; sprowadzającym anarchję do umysłu i najczęściej we własnych ginącym nadużyciach. — Prawdziwym mistycyzmem nazwać można tylko ten, który się rodzi i rozwija na łonie religii; jawnie tego dowiodła aleksandryjska szkoła. Wkrótkim bardzo przeciągu czasu, mistycyzm jéj wyrodził się w stan chorobliwy w aberracją umysłową — a nawet wielkich rozmiarów talenta jak Jamblichus, Edeziusz, Chryzant Maksym, nie uniknęli koniecznego następstwa tego rodzaju mistycyzmu — to jest złudzenia siebie i drugich, jednym słowem grubego zabobonu.

Nieszczęściem było téj sławnej skąd-inąd szkoły, bez zaprzeczenia stanowiącéj ognisko oświaty w epoce, w której istniała, iż w nieubłaganéj czy wreszcie przesadzonej logice, wszystkie wnioski, wszystkie swe zasady do ostatecznych kończyn doprowadzić chciała. Ztąd eklektryzm, tak szacownéj w każdéj filozofii, chcąc się opierać na powadze i doświadczeniu wieków i na tych danych iść pewnie i dalej, wyrodził się wprędce w aleksandryjskiéj szkole, w brak poczucia prawdy i zupełny niedostatek sądu.

Cóż wreszcie powiedzieć o panteizmie téj szkoły, który był ostatnią smutną jéj cechą, jeżeli nie to, iż wierzyć weń żadnym sposobem nie mogła; że broniąc go, broniła tylko hellenizmu, z którym on jéj się zdawał nierozzerwanie złączony — Niepodobieństwem przypuścić, żeby ludzie tak wysokiéj nauki, tak wzniosléj cnoty i moralności, jakimi byli mistrze aleksandryjskiéj szkoły, mogli wierzyć w grube baśnie, które służyły za podstawę politeizmu i od dwóch

blisko wieków dla ogółu utraciły urok. — Lecz im się zdawało, że cywilizacja Grecka bez politeizmu zginąć musi — a oni tak gorąco kochali Helladę, że dla niej nie wahali się oni, ludzie myśli i ducha, — sprawować bezrozumne i rażące politeizmu obrządki, oraz głosić się kłapłanami religii, której sami najlepiej całą nicosć znali. Tak więc połączone razem sztuki i nauki, filozofia i religja starożytna, miały służyć za palladizm przeciw nowój Chrystusa wierze, która świat już zmęczony, bezsilny obejmowała w swe potężne ramiona, by go podnieść, uświęcić i poprowadzić dalej. — Ku ostatecznym celom ludzkości. — Mówiliśmy już, że mistycyzm, eklektyzm i politeizm głównymi były cechami szkoły; zasadą zaś jej najpierwszą ów dogmat troistości, w który oni wierzyli. Ten dogmat jako też wielka moralność ich zasad i cnotliwe życie, wprowadziła wielu pisarzy na domysł jakoby oni zaczerpywali ze źródeł chrześcijaństwa — Tak jednak nie jest wcale ich troistość do chrześcijańskiego dogmatu Trójcy S-iej, tylko z nazwiska była podobną. Moralność swę winni oni głębokiemu mistycyzmowi a cnotę w życiu szlachetnemu popędowi szkoły, która nakazywała wprowadzenie konieczne w czyn wszystkich zasad swoich.

Nie może być jednak, żeby tak szkoła aleksandryjska z jednej strony, jak chrześcijaństwo z drugiej, będąc z sobą w ustawicznej walce, a przez to samo znając dokładnie obustronne zasady, zostać mogli całkiem bez zobopólnego wpływu. Wiele rzeczy charakteryzujących tak szkołę aleksandryjską jak i chrześcijaństwo, było wtenczas niemal w powietrzu świata, każdy też z osobna z powietrzem razem zaczerpywał. Było koniecznością w tym wieku ogólnego rozwolnienia obyczajów; aby dusze czyste i wybrane rzuciły się wręcz w przeciwną drogę, aby w czasach zbytku; ukochały ubóstwo; w wieku rozpusty, czystość i kiedy chrześcijaństwo organizowało te tak liczne zastępy zakonników, filozofowie różni, szczególnie zaś aleksandryjscy, wprowadzali w czyn wysoką moralność swych zasad: zrzekli się namiętności, aby w zupełności oddać się nauce a przez naukę trafić do Boga.

Plotinus najpierwszy mistrz i najtejsza głowa aleksandryjskiej szkoły, jest zupełnym spiritualistą; ciało jego niema najmniejszego w jego oczach znaczenia i w ogóle wszyscy aleksandryjscy pogardzają zupełnie ciałem i w tém się zbliżają do metody Pitagoresa. Porfir najznakomitszy uczeń Plotinusa, napisał

traktat *o wstrzemięźliwości* i do niego się jak najsurowiej zastosowywał.

Proklus, ostatnia gwiazda szkoły, odpowiadał Syriambowski i Plutarchowi, którzy go widzieli w 26 roku życia chudego, bladego, omdlewającego prawie z utrudzenia: „Niech mnie moje ciało doprowadzi tam, gdzie ja zejść chcę, a później niech umrze.” — Plotinus wstydział się równie swojego ciała jak wszystkich potrzeb cielesnych — kiedy był słaby, nie przyjmował żadnych lekarstw i schował się, by umrzeć.

Tak więc nie masz najmniejszej wątpliwości, że oni z zasad swoich i z otaczających ich okoliczności, czerpali moralność swę i cnotę — a dogmata i naukę najobficie brali z Platona, ich prawdziwego i uwielbianego mistrza; w którym widzieli uosobienie najczystszej sztuki, i gieniuszu greckiego. Chęć ich wypływająca z eklektyzmu; wyszukiwania styczności i powinowactwa między jedną nauką a drugą, była przyczyną, iż kilka teorii Platona, dających pole do poszukiwań i komentarzy, rozszerzyli tak daleko, że je złączyli z teorjami Pitagoresa. Ponieważ zaś ten ostatni zaczerpnął niektóre podania ze Wschodu; a mianowicie *Metempsychozys Indyjską*, tém sposobem dotarłszy aż do samej kolebki budzącej się myśli ludzkiej — a co więcej tym węzłem połączywszy uwielbianego Platona z myślami Wschodu, już aleksandryjczycy czuli się panami myśli i ducha ludzkości i na téj jak mniemali, potężnej tradycyi, olśnić chcieli filozofiję, któraby była razem religją powszechną świata.

Nie można zatem całkiem przypuścić aby oni chcieli cokolwiek zaczerpnąć od chrześcijan, których uważali za barbarzyńców co ciemnotą świat chcieli zalać. Chrześcijanie, brać niczego nie mogli od pogan bezbożnych, bo wszystko czerpali z ksiąg i podań starego testamentu, co więc jest im wspólne, to zarówno jako źródło, tak szkole jak i chrześcijaństwu musi być wspólne, gdyż leżało jedynie w duchu czasu.

Jakkolwiek bój był zacięty, jakkolwiek ta walka z chrześcijaństwem i nieroztropna obrona politeizmu, stała się przyczyną zguby szkoły aleksandryjskiej, jednakże największy mistrz jej Plotinus, który żył w trzecim wieku ery naszej, nie należał do niej może być dla tego, iż ogromnie prześladowana przez cesarzy, nie zdawała się być współzawodniczką niebezpieczną, — ale być także może, iż Plotinus znał je mało i mieszał z tak nazwaną sektą Gnostyków.

(D. n.)



## ABISSYNIA I EGIPT.

Z Etyopii i z Babilońskiej czyli Chaldejskiej ziemi, jako z dwóch źródeł, miała kiedyś wypłynąć i po Egipcie rozlać się oświata, a z Egiptu przejść do Grecyi, od której przejęła ją reszta Europy. Nieobojętne poszlaki dziejowe potakują temu podaniu, chociaż dziś tak Etyopska jak Babilońska ziemia jest srogiej niewoli i grubiej ciemnoty otchłaniają.

Począwszy od Genezy, téj pierwszej z pięciu ksiąg Mojżeszowych, są w całym Piśmie Świętem wspomnienia liczne o Etyopach, liczniejsze o Babilończykach, najliczniejsze o Egipcyanach. Lubo tedy o dwóch tylko ostatnich ludach rozpięły się dzieje światowe, Etyopowie jednak musieli nie mniej znaczącą jak tamte odgrywać kiedyś rolę, mianowicie sprzeczną z tą, jaką w ostatnich wiekach ich potomstwo, Murzynami lub Negrami nazwane, odgrywało względem chrześcijańskich, a dotąd odgrywa względem mahometańskich państw.

Oprócz chrześcijańskiej, wszystkie inne religie skazują innowierców na niewolę. W rozdziale 9 Dziejów Apostolskich czytamy: jak Szawel, podówczas mozaista z faryzejskiej sekty, tchnąc nienawiścią ku Chrystusowi, zażądał od wielkiego kapłana żydowskiego zalecających go synagom miasta Damaszku listów, za pomocą których, tak jak był zamierzył sobie, miał stamtąd uprowadzić chrześcijan do jerozolimskiej niewoli. Ale w drodze, pod owym miastem postrzegł owo światło i usłyszał ów głos, którym narody są winne boskiego do siebie w Szawle, odtąd Pawłem nazywanego, Apo stoła Chrystusowego i tem samym okupiciela z tłoczącej je po ów czas niewoli.

Jeszcze Apostolskie dzieje opiewają w rozdziale 8: jak Ś-ty Filip nawrócił Etyopa do religii Chrystusa i ochrzcił, spotkawszy go jadącego wózkami z książką w której czytał rozdział 53 Izajasza proroka, przepowiadającego niewinną mękę oczekiwanego Odkupiciela. Według dziejów kościelnych Ś. Mateusz Ewangelista, tudzież S. Matias czyli Maciej, obrany po Wniebowstąpieniu Chrystusa w miejsce Judasza Iskarioty zdrajcy, Apostołem, opowiadali Ewangeliją Etyopom i w ich kraju odnieśli koronę męczeńską.

W samych swoich pierwiastkach głoszoną Etyo-

pii Ewangeliją, zatrzymała ta tylko wśród tego wielkiego obszaru Afryki leżąca kraina, która dziś nosi *Abissynii* nazwę.

### *Abissynia Chrześcijańska.*

Tam gdzie rozgałęzione źródła Nilu, tudzież pasma gór i epok zastanawiają wędrowca, ciągnie się od zachodu na wschód, aż do zatoki Arabskiej, czyli do morza Czerwonego, kraj zwany *Habesz* czyli *Abissynią*, poczytywany za część Etyopii, która, według odwiecznych o Afryce napomknięć, rozlegała się stamtąd aż do morza Etyopskiego, oblewającego południowo-zachodnie pobrzeże Afryki. Ta to część Etyopii, to jest Abissynia, miała być jednem z dwóch ognisk oświaty, za drugie biorąc Babilońską czyli Chaldejską w Azji ziemię. I tak ma się rozumieć, owa kiedyś świetna gwiazda Wschodu, już od dawna zakryta ponurym niewoli i ciemnoty kirem.

Według *Ritter'a* „*Erdkunde*” i „*Mitrydatesa*” *Adelunga*, mieszkańcy Abissynii nazywają się *Itiopjawan*, to jest Etyopami, a swój kraj Mangesta *Itopia*. Arabowie nazwali go *Habesz*, to jest gromadą ludów, a Portugalczycy tę arabską nazwę przekreśli na *Abassią*, z której inni Europejczycy utworzyli *Abissynią*.

W kraju abissyńskim *Tigrea*, leżącym między wschodnią odnogą Nilu i morzem Czerwonym, są rozwaliny znakomitych gmachów, kiedyś przybytków i świadków dawniej tego kraju oświaty. Do poczetu tych przybytków i świadków, liczono mnogie kiedyś, do egipskich podobne, obeliski abissyńskie, z których dwa przetrwały do ostatnich czasów, i jedną z grót o której jest miejscowe podanie, że była grobem królowy *Saby*. Jan *Bermudez*, o którym będzie niżej, powiada w zdaniu sprawy ze swego w Abissynii pobytu, przypisanem królowi portugalskiemu z XVI wieku, Sebastyanowi: że ta królowa *Saby* ustanowiła w południowej abissyńskiej krainie *Damot*, państwo Amazonek, szanowane od królów abissyńskich przez wzgląd na założycielkę. Kraj téj królowy ze stolicą *Saba*, u Greków *Meriaba*, u Arabów *Morab*, u Pliniusza *Mariaba* zwaną, bytował w Arabii szczęśliwej. Rozdział 10 trzeciej księgi królew-

skiej Pisma S-go opiewa: że ta królowa odwiedziła *Salomona* króla Judzkiego, dla podziwiania jego mądrości; według zaś podań abissyńskiego ludu, królowie jego pochodzą ze krwi tego Salomona, przez jego i królowy Saby syna *Menileheka*. Jest też podobieństwo między dzisiejszymi Abissyńczykami a dawnymi Hebrajczykami pod względem na język, obyczaje i charakter obojga ludów, jak się wyraża wspomniony *Ritter*. Nadto królowie abissyńscy mianują się książętami izraelskimi, a w ich herbie, którym jest lew z krzyżem w szponach, czyta się napis: *Vicit leo de tribu Juda*, jak powiada *Samuel Puffendorf* w swoim przygotowaniu do *Historii Powszechnej*. Nakoniec lud abissyński, lubo chrześcijański, dotąd obchodzi szabas oprócz niedzieli i trzyma się kilku obrządków mojżeszowych. Możliwyby tedy powiedzieć że wyznanie Abissyńczyków wychodzi na wyznanie, zawiązaną w drugim wieku ery chrześcijańskiej w Palestynie, sekty *Nazarenów*, tak nazwaną od miasta Nazaret, do którego Józef i Marya z Dzieciątkiem Jezus udali się na mieszkanie po powrocie z Egiptu, łączącej obrządki żydowskie z przepisami Chrystusowymi, trzymającą się hebrajskiej Ewangelii S-go Mateusza, lecz wygasła około IV wieku, w którym właśnie ustaliła się religja chrześcijańska w Abissynii. Na zespolenie religii chrześcijańskiej z obrządkami żydowskimi u Abissyńczyków, mogła jeszcze wpłynąć ta okoliczność, że wśród nich już przed erą chrześcijańską, zamieszkał urywek izraelskiego ludu, później rozrodzony w bytujące dotąd królestwo żydowskie *Talassa*, to jest wygnańców, w stromych niedostępnych, opoczystych górach *Samen*, między 12-tym i 14-tym stopniem szerokości północnej. Sławny wędrowiec szkocki, *Jakób Bruce*, zwiedził to królestwo w latach 1769—1772. Gdy dawniejszy od tamtego wędrowiec, *Karol-Jakób Poncet*, lekarz francuski, odbywał w latach 1698—1700 podróż na Wschodzie, opisaną po części w jego *Relation abrégée du voyage d'Ethiopie*; polecono mu z ramienia *Ludwika XIV.* kr. fr. wybadać istotę abissyńskiego wyznania. Wówczas ich król panujący od r. 1680 do 1706, *Adjam Segued*, w piśmie swoim do wspomnianego francuzkiego króla danem, wyraził, iż kościół abissyński uświęcił 5 Sakramentów czyli, jak je nazwał tajemnic, to jest: Trójcy Świętej, wcielenia Syna Bożego, Chrztu, Eucharystyi i Zmartwychwstania zmarłych.

Tak chrześcijańscy Abissyńczycy, siebie Etyopami nazywający, czyż są przodkami dzisiejszych Murzynów? Nie są według *Herodota* i według dzisiejszych

wędrowców. Nie są też plemiennikami dawnych Egipcjan, bo ich język jest zupełnie różny od języka Koptów, tego nieszczęsnego dawnych Egipcjan poślada. Spomnienie *Herodota* (II. 29) o wychodźstwie wojskowej kasty Egipcjan około roku 650 przed erą chrześcijańską za *Psammetycha* ich króla, do Abissynii, o jej tu przyjęciu przez miejscowego władcę i osadzeniu w okolicach, źrodelnemi ramionami Nilu oblanych, uczy, że Abissynia już przed tak dawną epoką była krajem ludnym i rządym. Przed *Herodotem* *Homer* (*Odyssea* I. 23), kiedy jeszcze milczano o Galii i Sycylii, spomniał o Etyopach, a przed *Homerem*—jak mówi *Arnold-Ludwik Héeren*, professor *Gettyngski* od r. 1787, w swoich *Ideen* II, 314: kapłani egipscy swoje roczniki, ludy zaś azyatyczne znad Tygru i Eufratu swoje bohaterskie śpiewy przeplatali etyopskimi, to jest, głównie abissyńskimi, baśniami. — „Jeżeli Abissyńczycy, mówi *Adelung* w swoim „*Mitrydatesie*” zowią się *Itjopjawan*, to jest Etyopami, to tylko dla tego, że się osiedlili wśród Etyopów czyli czarnych afrykanów. Wszakże oni lubią nazywać się *Ajazjan*, a swoje państwo *Geez*, to jest roślinnem, lubo ta ostatnia nazwa jest właściwa ich krainie *Tigrei*.” — Z tego czynu wypada wniesć, że jeżeli wyraz abissyński *Ajazjan* oznacza azyanów, tedy jest cząstkową odpowiedzią na pytanie: dla czego język abissyński czyli *Geez* nazywa się także u niektórych jego grammatyków chaldejskim? powtóre: czy Etyopja, mianowicie Abissynia, mogła być jednem z pierwszych źródeł oświaty?

Mimo takie z Izraelitami i Egipcjanami stosunki i zetknięcie Abissyńczyków, przemawia za nimi, jako za nadnilowymi rodzimcami (*aborigènes*) ich dawna bałwochwalcza dla Nilu i wód jej rzeki cześć, przemawia też egipska budowa ich mieszkań a piramidalna ich nagrobków, nadewszystko zaś ich ze wschodnim sprzeczny sposób pisania od lewej do prawej ręki starożytnymi właściwymi, od hieroglifowych i kuficznych różnemi, głoskami.

*Axum* czyli *Aksum*, dziś małe miasto w *Tigrei*, było kiedyś stolicą Abissynii. O dawniej tego miasta wielkości, świadczy znaleziony na jego gruncie przez angielskiego uczonego wędrowca *Henryka Salt*, w roku 1810, kamień z greckim napisem, wyrażającym dobrodziejstwa przez króla *Aizanasa*, mianującego się synem Marsa, zlane na zwyciężonych przez niego władzców.

Ale, co nadewszystko nadaje Abissyńczykom pierwszeństwo między wszystkimi Afryki ludami a wyższość nad Egipcjanami, to ten wzgląd, iż przynaj-

mniej od IV wieku dotąd oni wytrwali w przyjętej przez nich religii Chrystusa i utrzymali swoją niepodległość, chociaż, będąc skazani na wieczystą w obronie obojga walkę, nie postąpili a nawet cofnęli się w oświacie. *Frumencyus*, w poczecie świętych napotykanym, jest imię pierwszego ich Apostoła. Był on rodem z miasta syryjskiego Tyru, z którego do Egiptu r. 331 a następnie do Tigrei powędrował i tu, pozyskawszy przychylność abissyńskiego króla, zaszczeplił, a raczej utwierdził dawniej zaszczeploną religję Chrystusa. Od niego począł się szereg abissyńskich biskupów w mieście *Axum*, uświęconem zwłokami tam zmarłego około roku 360. Bytujące dotąd miasto *Frumena*, ma od jego imienia swą nazwę. Abissyńczycy, mianowicie Tigreicy, wśród których najpierw przyjęło się ziarno zbawczej religii Chrystusa, najchętniej nazywają się *Kasztlami*, to jest chrześcijanami. Na ich język już w końcu IV wieku było wytłomaczone Pismo Święte, jak w swoim „*Mitrydatesie*” powiada Adelung. Pod względem zachowania piętna dawniej oświaty i chrześcijańskiego charakteru, odznaczają się także mieszkańcy najpołudniowszej abissyńskiej krainy *Narea* czyli *Enarea*. Oni też najwięcej są cenieni w Kairze, Stambule i Arabii, gdy ich tam wojna rozbój lub polowanie powiedzie i trybem wschodnim na wieczną skażę niewolę.

Otoczoną w około nieprzyjacielskimi dzikimi hordami, porównywają Abissyńczycy swoją ojczyznę do kwiatu u nich rosnącego a zwanego *Dengelat*, okazałego wprawdzie, lecz okrażonego tak jak oset kolczystym kielichem. Jakoż sławny orientalista *Job Ludolf*, rodem z Erfurtu († 1705) znawca 25 języków, a szczególnie abissyńskiego, jego grammatyki i słownika autor, słusznie w swojej *Historia Aethiopiae* powiedział o Abissyńczykach. — „Cum his populis, barbaris, perpetuo luctant et belli magis quam pacis artes meditantur.” — Ten Ludolf do nauczania się języka abissyńskiego użył rodowitego Abissyńczyka, księdza *Gregorius'a*, na którego grammatyczne nieuctwo mocno utyskiwał. Z resztą ten jego nauczyciel, *Gregorius*, jest autorem książki mową abissyńską napisanej, pod tytułem: „*Teologia etyopska*”, w której powiada, że liczba Sakramentów, czyli jak je nazywa tajemnic, u jego ziomków nie jest ustalona i że tylko te trzy: Chrzest, Wieczerza Pańska i Spowiedź, są u nich niewątpliwe. Widzieliśmy wyżej, że co innego w tém względzie powiedział *Poncet* według listu pisanego od abissyńskiego do francuzkiego króla.

Ta niejednostajność wiary u Abissyńczyków stąd po-

chodzi że pod przedmurze ich politycznego bytu, polegające na górzystości ich kraju, przeplataniej pieczarami, podkopuje się głębiej od zewnętrznego, wewnętrzny nieprzyjaciel, to jest polityczna niesforność i religijna kłótność, wśród których władca wielkiego państwa, z tytułem *Negus*, majestat jego oznaczającym, stawał się wiekuiście igraszką spornych stronnictw. Ale zapewne więcej niż samotwornemu kraju swego obwarowaniu, winni są Abissyńczycy swoją niepodległość téj woli Najwyższej, która chciała ich zachować niepodległych, jako jedynych odwiecznych w Afryce wyznawców Chrystusa, i tém samém wyobrazicieli takiej samej dobrej strony człowieczeństwa w Afrykanach, jaką w swoich Azyanach zniewalają uznawać zacni chrześcijańscy Ormianie, a jakiej bodajby stali się Europejczycy wzorem. I oto czyn, zapewne zdolny usprawiedliwić nas, żeśmy sobie pozwolili niniejszego o Abissynii i Abissyńczykach ustępu, niesprzecznego wreszcie ze sprawą okupów spółludzi afrykańskiego wschodu. Z tego głównie stanowiska mamy się przypatrzeć znakomitszym dziejowym chrześcijańskiej Abissynii wypadkom.

W Arabii szczęśliwej, między rzeką Lapis i morzem Czerwonem, bytował kraj *Homerytów*, którego stolica nazywała się *Nagran*, u Ptolomeusza *Nagara*. Do poczetu królów tego kraju jest zapisany *Dunawas*, z pochodzenia żyd. Ten wytepił wielu chrześcijan, w szczególności umęczył przyświecającego im swoją pobożnością *Aretasa*. Oburzony jego srogosciami *Kaleb*, król Abissynii, wyprawił się roku 522 przez morze Czerwone, z potęgą 120,000 zbrojnych do Arabii, opanował królestwo *Dunawasa*, a na jego tronie osadził syna po świętym męczenniku *Aretasie*. Roku 526 zwłoki tego króla *Kaleba* miały być pochowane w wspomnionej wyżej grocie królowej *Saby*. Najbliżsi jego na tron następcy, kiedy *Mahomet* z mieczem w jednej, z alkoranem w drugiej ręce różnosił postrach w Arabii, już to posiłkowali chrześcijan kraju *Homerytów*, już dawali przytułek uciekającym do Abissynii; panowanie bowiem królów abissyńskich w części Arabii aż do epoki zgroźnego spomnienia, *Hedzrą* czyli *hegirą* zwaną, trwało przez 70 lat. Był to zenit ich potęgi. Wówczas cesarze bizantyńscy opłacali ich przyjaźń podarunkami i daninami, jak pisze *Procopius*, historyk grecki z czasów *Justyniana* cesarza, zmarły około r. 565 (de bello L. I. c. 19—20).

Około r. 1000 ery chrześcijańskiej król abissyński, którego imię, według spomnionego wyżej *Puffendorfa*, jest *Lalibala*, wykuł w skałach swego państwa i zbudował 24 kościołów. *Franciszek Alvarez*, ka-

pelan poselstwa portugalskiego do króla abissyńskiego z r. 1533, umieścił rysunek tych kościołów w skreślonej przez siebie wiadomości o tym kraju. Ich założyciel, król Lalibala, pochodził z téj rodziny królów panujących od roku 900 do 1300, która salomońską zepchnęła z tronu. I znowu plemiennicy salomońskiej odzyskali tron abissyński r. 1300, a z nich pierwszy nazywał się *Ikon-Amlach*. Za tego króla nastął zwyczaj zamykania mężczyzn z panującej rodziny, w grocie krainy *Amhara*, aby ci o tron lub o rozbieranie między siebie królestwa nigdy się nie pokuszali. Jego synowie i rodzony brat, za taką właśnie pokusę, rozpoczęli poczet więzionych abissyńskich królewiców.

Był to czas w którym Europa pierwszą pewną o Abissynii wiadomość powzięła, od sławnego po krajach wschodnich wędrowca, *Marka-Polo* weneceyanina. Ten Marko-Polo powiada, w zdaniu sprawy ze swych wędrówek, że r. 1288 król abissyński, *Ajubasion*, chciał odprawić pielgrzymkę do świętego w Jeruzalim grobu Chrystusa. Gdy téj pielgrzymce byli przeciwni możni państwa, tedy był zastąpiony przez biskupa który się udał na święte miejsce, ale którego w powrocie złapała i obrzezała sroga kraju *Adeludziez*, nie bez wystawienia się na zasłużony tem złoczynstwem odwet.

Nie bezzasadnie utrzymują badacze dziejów, że *Marko-Polo* († 1323) dał popęd do wynalazków takich jak proch do strzelania, igła magnesowa, wtyłok pisma, astrolab i tym podobne: on bowiem te wynalazki, lubo nie tak jak dziś pod niebem Europy wydoskonalone, widział w krajach wschodnich, mianowicie azyatyckich, a za powrotem do swéj ojczyzny, udzielił o nich wiadomość. Jego opowiedzi nie wierzyli wówczas Europejczycy i aż w kilka wieków przekonali się o jéj prawdziwości. Nowy dowód, że Wschód, dziś jęczący pod jarzmem niewoli i ciemnoty, był kiedyś kolebką oświaty, podobnie jak zbawczéj Ewangelii.

Od Marka-Polo, aż do połowy XV, wieku abissyńscy królowie wchodzili w stosunki z europejskimi. Był to okres w którym rosnąca potęga turecka, przerażała trwogą wschodnie i zachodnie kraje, a cesarstwu greckiemu groziła śmiertelnym ciosem. Zwołany roku 1439 — 1442 przez *Eugeniusza IV* do Florencyi Sobor, miał podać zbawczą rękę zagrożonemu cesarstwu. Cesarz *Jan Paleolog II*, patriarcha *Józef* i wielu biskupów greckich, przybyli z Konstantynopola na ten Sobor i na nim przewiedli pokój wiary. O tym nadzwyczajnym wypadku pa-

pież *Eugeniusz* obwieścił powszechność chrześcijańską i wezwał ją do brania uczestnictwa w odpornéj walce, przeciw mającemu pochłonać chrześcijaństwo turko-mahometanizmowi. To obwieszczenie ściągnęło do Florencyi ormiańskich i abissyńskich posłów, tamtych za Azyą, tych za Afryką poręczycieli, że i te dwie części ziemi, mogą i chcą połączyć się z Europą węzłem chrześcijaństwa.

W Abissynii panował wówczas król *Zara-Jakób*, który oprócz swojego przez poselstwo udziału w Soborze florenckim, pisywał tchnące duchem chrześcijańskim listy do swoich w Jeruzalem księży. Polska i Węgry miały wówczas zdziałać za Europę to, co Abissyńczycy i Ormianie za Afrykę i Azyą: lecz roku 1444 pod *Warną*, a następnie, z winy niezgody Greków, w Konstantynopolu, rozbiła się roku 1453 o potęgę dzicy tureckiej, sprawa okupu ludzkości ogólnie, wyznawców Chrystusa szczególnie, z niewoli mahometańskiej.

W tym żalostnej pamięci okresie, mianowicie od r. 1433 do 1453, Portugalczycy ożeglowali po rzece Senegal zachodnie pobraża Afryki i tym pobliskie wyspy. Następnie r. 1489 w Lisbonie ochrztili murzyńskiego *Jolofów* ze Senegambii króla, który badany o szczegóły Afryki, powiedział im że słyssał o kraju afrykańskim, podobniejszym do chrześcijańskiego niż do mahometańskiego. Portugalczycy wzięli ten kraj za ów wtenczas zagadkowy, którym miał władać tak nazwany *ksiądz Jan*. Widzieliśmy wyżej kogo przez tego monarszego księdza *Jana* trzeba rozumieć, ale Portugalczycy powziawszy wiedzę o Abissynii od swego ziomka *Pedro Covilham*, który z nich pierwszy r. 1490 dostał się morzem do tego kraju, wzięli władcę abissyńskiego za owego księdza *Jana* a jego królestwo nazwali *Indyami*. Podejmowany uprzejmie na dworze królewskim *Covilham*, skłonił tamtejszą królowę *Helene*, że w imieniu swego wnuka, *Dawida III*, do króla portugalskiego *Emanuela I*, posłała Ormianina *Mateusza*, w celu zawiązania przyjacielskich i handlowych stosunków. Odpowiednie do Abissynii portugalskie poselstwo wysiadło w mieście *Masua*, na pobrażu morza Czerwonego, r. 1520. Na dworze abissyńskim zastało ono *Covilhama*, który tam przez lat 33 do roku 1523 swojej śmierci przebywał. Po sześćcio-letnim w *Szoa* (*Shoah*) ówczesnej abissyńskiej stolicy pobycie, kapelan portugalskiego poselstwa, *Franciszek Alvarez*, powrócił ze swymi towarzyszami, zostawiwszy w stolicy księdza *Jana Bermudeza*, do Lisbony, gdzie oddał listy spomnionéj królowy *Heleny*, *Janowi III*, na-

stępcy Emanuela I, królowi portugalskiemu. Ten sam *Alvarez* odprowadził potem do Rzymu abissyńskiego posła i tam roku 1533 zdał papieżowi Klemensowi VII, w obec Karola V cesarza, sprawę ze swego w Abissynii pobytu, a potem ją ogłosił p. t. „Prawdziwa wiadomość o kraju księdza *Jana Indyjskim* (Fr. *Alvarez* verdadeira informacam das terras do preste *Joam das Indias*. Lisboa 1540 fol.) której łacińskie z portugalskiego języka tłumaczenie p. t. „Legatio magni Indorum presbyteris ad Emmanuelem, Lusitaniae,” znajduje się [w zbiorze podróży wydany przez *Jana Ramusio*, uczonego weneccyanina z XVI wieku.

Wyteżone na Abissynją napady przez Adelów od południa i wschodu, przez Gallasów od południa i zachodu i przez Turków od północy, głównie spowodowały władców Abissynii, do zabiegania o przymierze z Portugalją i z Rzymem. Doszło ono, to przymierze, i pociągnęło za sobą stoletnią, lubo imienną tylko jedność abissyńskiego kościoła rzymskim, a téj jedności zakładnikiem był patriarchy abissyński, mianowany przez Rzym. Pierwszy z tych patriarchów, *Jan Bermudez* portugalczyk dopiero spomniony, przepędził na tem dostojęństwie 30 lat w Abissynii, a dzieje tego państwa tak polityczne jak religijne, z okresu od r. 1538 do 1568 skreślił w swoim zdaniu sprawy, złożonem królowi portugalskiemu Sebestyanowi. To jego zdanie sprawy uczony Francuz *Maturin Lacroze*, mieszkaniec Berlina, wytłumaczył na język francuzki p. t. — „Courte relation de l'ambassade du patriarche Don Jean *Bermudez*, envoyé au très chretien et très zelé pour la foi Don Jean III roi de Portugal, de la part de l'empereur d'Ethiopie, vulgairement appelé le *Prêtre Jean*. Imprimé à Lisbonne l'an 1563—i umieścił w swojej: „Histoire du Christianisme d'Ethiopie, à la Haye 1739.”

Wyraz *Abuna*, od którego w abissyńskim języku pochodzi się zalecona nam przez samego Chrystusa i przez niego ułożona modlitwa, oznacza to samo co w naszym języku ojciec i zarazem tytuł naczelnika abissyńskich chrześcijan, przysełanego z grona egipskich mnichów przez aleksandryjskiego patriarchy. Po śmierci takiego *Abuny* król abissyński *Dawid* opróżnione miejsce osadził *Janem Bermudezem*, papież zaś *Paweł III* mianował go r. 1538 patriarchy abissyńskim i z tego powodu ustanowił w Rzymie collegium szkólne, pod wezwaniem Sgo Stefana, w którym mieli się sposobić na księży młodzi Abissyńczycy.

Kiedy *Jan Bermudez* obejmował patriarchy w Abissynii, wtedy między chrześcijanami tego państwa był

zakorzeniony monofizyzm (to jest uznawanie jednej tylko natury z dwóch, boskiej i ludzkiej, w Jezusie Chrystusie) wynikły ze zdań *Nestoryusza*, patriarchy konstantynopolskiego w V wieku, a rozszerzony w VI przez syryjskiego mnicha *Jakóba*, od którego monofizyczni chrześcijanie nazywają się *Jakobinami*. O ten monofizyzm, gdy go, jako sprzecznego z zasadami wiary katolickiej, odprzysiędz się nie chcieli Abissyńczycy, rozbiły się stoletnie wysilenia Rzymu i Lisbony, łożone w celu zespolenia kościoła abissyńskiego z powszechnym. Od Chalcedońskiego Soboru, zwołanego w roku 451 z okoliczności zdań *Nestoryusza*, bywało zawsze dwóch patriarchów w Egipcie, jeden grecki czyli prawowierny (orthodoxos), drugi egipski czyli monofizystów. Tego ostatniego utrzymali Arabowie opanowawszy Egipt r. 639 i temu podlegał abissyński *Abuna*.

Po spomnionym *Dawidzie* nastąpił na abissyński tron *Klaudyusz*, którego *Jan Bermudez* trzymał był do chrztu. Przeciw uporowi tego swojego chrzestnego syna i samych Abissyńczyków, jako zwolenników monofizyzmu, walczył patriarchy *Bermudez* (jak sam powiada) rzucanemi na nich klątwami.

Że on mógł być trafić do celu właściwszą oświaty i chrześcijańskiego ducha drogą, można wniesć z następujących jego wyrazów. „Nawrócenie Abissyńczyków przyszłoby do skutku tym snadniej, że między nimi nie masz uczonych, nadętych, zarozumiałych, upartych, lecz są ludzie dobrzy, pobożni, pokorni, pragnący chwalić Pana Boga w prostocie duszy, łatwo przyjmujący prawdę i do niej stosujący swe sprawy.” Zgodnie z tem świadectwem *Bermudeza*, uczestnik jego pierwszego do Abissynii poselstwa, spomniony wyżej *Franciszek Alvarez*, powiada w swojej o tym kraju wiadomości, że widział jak tam zakonnicy, powodowani pobożnością, zakazują sobie najpotrzebniejszych rzeczy, jak się zanurzają w zimnych stawach na całą bez przerwy dobę. Późniejszy od *Alvareza* po Abissynii wędrowiec, bo z lat 1698—1700, zmarły w Persyi r. 1706 *Karol Jakób Poncet*, lekarz francuzki, jakby wtorując tym dwom swoim poprzednikom, zawarł w swojej *Relation abrégée du voyage d'Ethiopie*, następujący szczegół: „w najświetniejszym abissyńskim klasztorze poznałem 71-letniego starca, który przez 7 lat żył samemi liśćmi drzewa oliwnego, dziko rosnącego. Od tego nadzwyczajnego morzenia się dostał plucia krwi, które dużo mu dokuczało. Dałem mu lekarstwo i zaleciłem łagodniejszy pożywiania się tryb. Był to

człowiek urodziwy i ugrzeczniomy, a brat rządcy Tigrei.”

Bolejąc nad niepowiedzeniem się swego w Abissynii apostołowania, daje poznać *Bermudez*, ile przy tem straciła pod względem bogactw Portugalia. „Co do rzeczy doczesnych, są jego słowa, możnaby więcej niż w Peru i w Indjach zarobić w Abissynii, przez handel z tem królestwem prowadzony. Wszakże w jego krainie zwanój *Damot* i w sąsiadujących z nią jest więcej złota niż w Peru, a tego złota możnaby nabywać bez wojny i bez takich kosztów jakie na ten cel trzeba łożyć w Indjach.”

Nie tylko apostołował ale i obroną wojenną w Abissynii kierował *Bermudez*, mając najwyższą władzę nad posiłkowym wojskiem portugalskim. Bez względu jednak na takie jego zasługi, król *Klaudius* odstąpił od téj, którą był przyjął, katolickiej rzymskiej religii, a jego samego zmusił wydalic się z Abissynii. „Przy schyłku 30-letniego w Abissynii pobytu mojego (w téj treści mówi *Bermudez*) przyjechawszy do *Debaroa*, miasta pobliskiego morzu Czerwonemu, zastałem tam kupca weneckiego, przysłanego od swych rodaków z Kairu, w celu okupienia 40 Portugalczyków, wziętych w niewolę przez Turków, którzy na okup żądali 30,000 skudów. Z okupionymi i z innymi Portugalczykami, tudzież z posłem abissyńskim, jadącym do gubernatora Indji Wschodnich, wsiadłem na okręt w *Masua* i dopłynąłem do *Goa*, stolicy posiadłości portugalskich w Indjach, gdzie przez dziewięć z górą miesięcy podejmowali mnie bardzo grzecznie Jezuiti. Z *Goa* wracałem do Portugalii przez wyspę *S-ěj Heleny*, gdzie zabawiłem cały rok, wycierpiawszy wiele od głodu i od innych przykrości, bo ta wyspa nie ma prawie żadnego związku ze światem, a jój ludność stanowią sami nieliczni niewolnicy, którzy na nią pozbiegali z płynących około niej okrętów. Chcąc sobie ująć tych ludzi, oświadczyłem się im na kapelana, lecz mi odpowiedzieli że mają swego, a później chcieli mi odmówić *moich niewolników*. Roku 1559 w miesiącu sierpniu ujrzałem się pod niebem Lisbony,” (tam r. 1575 umarł *Bermudez*).

Poprzednio kiedy dzieło apostolskiej w Abissynii missyi było zagrożone upadkiem, chciał na jego podźwignienie wybrać się osobiście do tego kraju, założyciel zakonu Jezuitów, wkrótce po roku 1540, w którym *Paweł III* zatwierdził był to zgromadzenie. A że mu nie pozwolono, więc wstęp zakonnych synów jego do Abissynii przyszedł do skutku aż roku 1559, w którym *Bermudez* powrócił stamtąd do Lisbony, a jego syn chrzestny, król *Klaudius* zginął w boju, po

zadanej wojskom jego klęsce, przez srogiego króla *Adelu*. Na rok przed tem Turcy opanowali miasta portowe *Suakim* i *Masua* na Abissyńczykach i tak odcięli ich od Czerwonego morza. Przystępniejszy po tym ciosie król *Klaudius*, dał nie długo przed swą śmiercią, posłuchanie księdzu *Andrzejowi Oviedo* przysłanemu z *Goa*, przez *Jana Nunez Barreto* naznaczonego patryarchą abissyńskim, missyonarzowi, Jezuitcie. Ten *Oviedo*, odprawivszy z królem dysputę, rzucił za okazany upór klątwę na niego i na jego poddanych. Następnie nosił on tytuł patryarchy abissyńskiego, od r. 1562, w którym umarł *Barreto*, do r. 1597, lecz nic niedokazawszy, umarł ze zmartwienia w mieście *Frumena*, w którym, jakkolwiek nieprzyjaźni religii rzymsko-katolickiej, następcy *Klaudiusa*, pozwolili Jezuitom pobytu.

Ożywiciel tych missyi *Sebastyan*, od roku 1557 król portugalski, przypłacił życiem i okropną klęską roku 1578, swoją do *Maroko* wojenną wyprawę. Opanowawszy jego królestwo *Filip II* król hiszpański, prowadził dalej dzieło swego poprzednika, nie bez mnogich ofiar, jakimi w swojej do Abissynii przeprawie padali Jezuiti. Miasto *Frumena* było dozwolonem dla nich w tem państwie schronieniem. Tam mogli tedy chrzcić, kazać, odprawiać nabożeństwo, lecz nie mieli wstępu do królewskiego dworu. Ich i ogólnie katolickiego duchowieństwa los w Abissynii polepszył się, odkąd król tamtejszy *Melek Segued*, panujący od r. 1563 do 1595, pobił Turków za pomocą posiłkowego wojska portugalskiego, a jeszcze bardziej od roku w którym *Piotr Paez* Jezuita Hiszpan, objął kierunek missyi, już za panowania króla *Za-Dangel*. Ten *Paez* w siedmioletniej niewoli, w której go trzymali Arabowie, pojmanego podczas jego do Abissynii przeprawy, nauczył się arabskiego, a potem w klasztorze miasta *Frumena*, abissyńskiego języka. Tam i w okolicy już to kaznodzieił tym ostatnim językiem, już młodzież krajową nauczał tak pomyślnie, że rozgłos sławy jego doszedł do króla *Za-Dangel*, który dla tego w roku 1603 wezwał go do siebie z kilką jego uczniami. Popis naukowy tych uczniów, złożony w przytomności króla i abissyńskich księży, następnie świetność odprawionego rzymskim obrządkiem nabożeństwa, oraz moc i wymowa powiedzianego w języku abissyńskim kazania przez księdza *Paez*, uczyniły tak silne na królu wrażenie: że postanowił przejść na łono rzymsko-katolickiego kościoła, i o tem uprzedzić *Klementa VIII* Papieża i *Filipa II*, hiszpańskiego króla. Ale to postanowienie dało powód do okro-

pnego w kraju zaburzenia. Za-Dangel przeciw zro-  
koszonym swoim poddanym, nie mogąc podołać  
środkami łagodności, użył w końcu siły zbrojnej lecz  
w boju opuszczony od własnego wojska i tylko przez  
same portugalskie posiłkowe do końca broniony, go-  
dzien lepszego losu, zginął d. 13 października 1604 r.

Jeszcze załośniejsze od tych wypadki zapełniają  
okres z lat 1604—1632, pamiętny w dziejach Abis-  
synii zaciętą wojną rozprawą między jej królem,  
którego *Lacroze*, spomniony wyżej, nazywa *Seltam*  
*Segued* lub *Susneus*, a Jan *Eichhorn* (w swojej *Ge-  
schichte der drei letzten Jahrhunderte*) *Sociniu-  
sem*, obstającym za religją katolicką z jednej strony,  
a zrokozszonymi dla téj przyczyny poddanymi jego,  
z drugiej. Gdy ten król za poradą księdza Piotra  
*Paez* i swego brata *Cella Christos* r. 1613 wyprawił  
do Hiszpanii i do Rzymu poselstwo; jego poddani  
zwrócili je z drogi a następnie podnieśli rokosz. Po  
uśmierzeniu tego rokoszu przez spomnionego *Celle*  
*Christos'a*, przybył r. 1625 z Rzymu do Abissynii,  
mianowany jej patryarchą Alfons *Mendez* Jezuita.  
Pod przewodem tego patryarchy dnia 11 lutego  
roku 1626, król z całym dworem przeszedł na łono  
katolickiego kościoła, uznał się synem ówczesnej je-  
go głowy papieża Urbana VIII i wydał postanowie-  
nia nakazujące całemu państwu pójść za jego przy-  
kładem. Te nakazy i postępowanie patryarchy *Men-  
deza*, stały się powodem do nowego przeciw królowi  
powstania, lecz to krwawą klęską powstańców było  
przytłumione. Następnie król, nie zważając na opór  
inaczej myślącego patryarchy, ogłosił: że zostawia  
swoim poddanym wolność sumienia i wyznania, ale  
nie długo kosztował owoców powróconej tym sposo-  
bem spokojności krajowi. Umarł r. 1632 mając lat  
61, a z jego życiem skończyła w Abissynii religja rzym-  
sko-katolicka.

Jego syn i następca *Facilides* czyli *Basilides*, pa-  
nujący od r. 1632 do 1665, patryarchę *Mendeza* i  
Jezuitów wydalili naprzód do Frumeny, stamtąd kazał  
im udać się do Masua, portowego miasta i odbić na  
zawsze od lądu Abissynii z tym warunkiem, że ukry-  
wający się w tym kraju będą karani śmiercią. Jakoż  
kilku Jezuitów, uznanych za winnych nieposłuszeń-  
stwa tym nakazom, padło roku 1640 swojej reli-  
gijnej gorliwości ofiarą. Hieronim *Lobo*, spółzakon-  
nik i pomocnik *Mendeza*, tudzież spółczesny mu brat  
zakonny Baltazar *Tellez*, opisali tę katastrofę, każdy  
w skreślonej przez siebie historii Abissynii. Z opu-  
szczającymi Abissynją Jezuitami i ich zwolennika-  
mi, srogo się obeszlili urzędnicy tureccy w portach

Masua i Suakim, które, jak powiedzieliśmy wyżej,  
owładnęli byli Turcy. Odtąd Abissynia zostaje pod  
zwierzchnictwem aleksandryjskiego monofizyckiego  
patryarchy. Z nowym Abuną, przez tego patryarchę  
do Abissynii przysłanym, przybył do tego kraju  
Piotr *Heiling* Lubekanin. W Suakim zjechał się on  
z Alfonsem *Mendezem*, któremu równie przykre jak  
niewczesne nad jego patryarszemi rządami poczy-  
nił uwagi. Dobrze widziany w Abissynii, przez ciąg  
12-letniego pobytu, byłby *Heiling* ważne objawił świa-  
tu o tym kraju wiadomości, gdyby powracającego do  
Europy nie zamordował w Suakim, naczelnik tam-  
tejszy władzy tureckiej. *Facilides* ustalił dzisiejszą  
stolicę Abissynii w mieście *Gondar* prowincyi *Dem-  
bea*.

Według spomnionego wyżej *Eichhorn'a*, taki sam  
jak *Heilinga* spotkał los r. 1704 w *Sennaar*, powra-  
cającego przez ten barbarzyński kraj z Abissynii  
Francuza *Duroul*, do której przez Kair i Nubiją do-  
stał się był jako poseł Ludwika XIV, za panowania  
w Abissynii króla *Adjama Segued*.

Za panowania króla *Jasona* II, od r. 1729 do 1753  
wyludniła Abissynią mordercza wojna, prowadzona  
z ludem kraju *Sennaar*. Ten król roku 1750 dobrze  
przyjął i na swoim dworze podejmował przybyłą do  
*Gondar* missyą, z trzech Franciszkanów złożoną.

*Joas* król Abissyński od roku 1753 do 1769 oto-  
czywszy się Gallasami, niecierpianemi przez jego  
poddanych, dał powód do krwawej wojny domowej,  
której okropne skutki oglądał *Jakób Bruce*, wędro-  
wiec szkocki.

Propaganda rzymska nie przestając sposobić Abis-  
synczyków w założonem dla nich w XVI wieku przez  
Pawła III kollegium, wyświęciła r. 1784 na biskupa  
*Orduli* (miasta Abissyń.) wychowawca swego, *Tobia-  
sza Ghbragzer*, Abissyńczyka, i posłał go do Etyopii.  
Ten *Ghbragzer* wytłomaczył na język etyopski i r.  
1786 ogłosił w Rzymie książkę o nauce chrześcijańskiej  
(*Adelung* w *Mitrydatesie*).

*Henryk Salt*, Anglik, który w latach 1805, 1809  
i 1810 zwiedził a potem opisał Abissynią, był upo-  
ważniony od swego rządu zawrzeć z władcą tego kra-  
ju traktat handlowy, lecz jego w tym razie, również  
jak spomnionego dopiero *Jakóba Bruce*, usiłowania  
nie wzięły skutku. A tak Abissynia, dotąd chrze-  
ścijańska, jest dziś mniej przystępna dla Europejczy-  
ków, niż była przed 363 laty, czyli w r. 1490, w któ-  
rym po raz pierwszy zawitali do tego państwa Por-  
tugalczycy, a jego władcę nazwali księdzem Janem.

Tu miejsce i czas, przypomniawszy sobie cośmy da-

wniej i wyżej powiedzieli o odwiecznym przez Arabów i Turków, czyli ogólnie przez Mahometanów na ciężką niewolę skazania mieszkańców wschodniej Afryki, gdzie jedynie religja Chrystusa, gdyby tam wskrzeszona i rozpowszechniona, byłaby zdolna położyć téj srogiéj pladze kres, bo przeciw niéj nie mogą dotąd, tak jak przeciw zachodnio-afrykańskiej pladze mogły wystąpić europejskie mocarstwa, — zabołec nad takim jakimś tu skreślili upadkiem w Abissynii sprawy chrześcijaństwa, i nad zabrnięciem nadal tego państwa w grubéj ciemnocie. Gdyby Portugalczycy a po nich Hiszpanie i misyonarze tych kró-

lestw, byli kierowali tą sprawą z właściwego stanowiska oświaty i Chrystusowej, łagodności i cierpliwości, spełniliby na Abissynii, a przez to państwo na Afrykanach wschodnich, wiekopomne dzieło okupienia tamtéj: z odwiecznych utrapień podkopujących jéj polityczny byt, a tych z odwiecznej niewoli: ciemnoty i dziczności. Złe prowadzone dzieło runęło tak okropnie, że w pierwszych latach XIX wieku, nie udało się europejskiemu zachodowi u zrażonych Abissyńczyków dopiąć tego w imie handlu, o co w XVI i XVII wieku pokuszał się w imie Chrystusa Odkupiciela.

## SZPADNK albo OSTR OPYSK.

(Z RYCINĄ KOLOROWANĄ).

Do cudów morza u starożytnych, to jest do przestraszających samym ogromem wielorybów i delfinów, okropnych ludojadów, hyen morskich i przerażającej postaci młotów morskich, liczono dwa rodzaje ryb, strasznych bronią jaką je natura obdarzyła. Pierwszą jest piła (*Pristis antiquorum*) opatrzona przedłużeniem górnej szczęki na 5 do 6 stóp długością, a 4 do 5 cali szerokością, spłaszczoną i opatrzoną po obu stronach szeregami 18 do 24 spiczastych zębów; drugi szpadnik (*Xiphias gladius*) którego górna szczęka przedłużoną jest w długi prawie okrągły i spiczasty dziur.

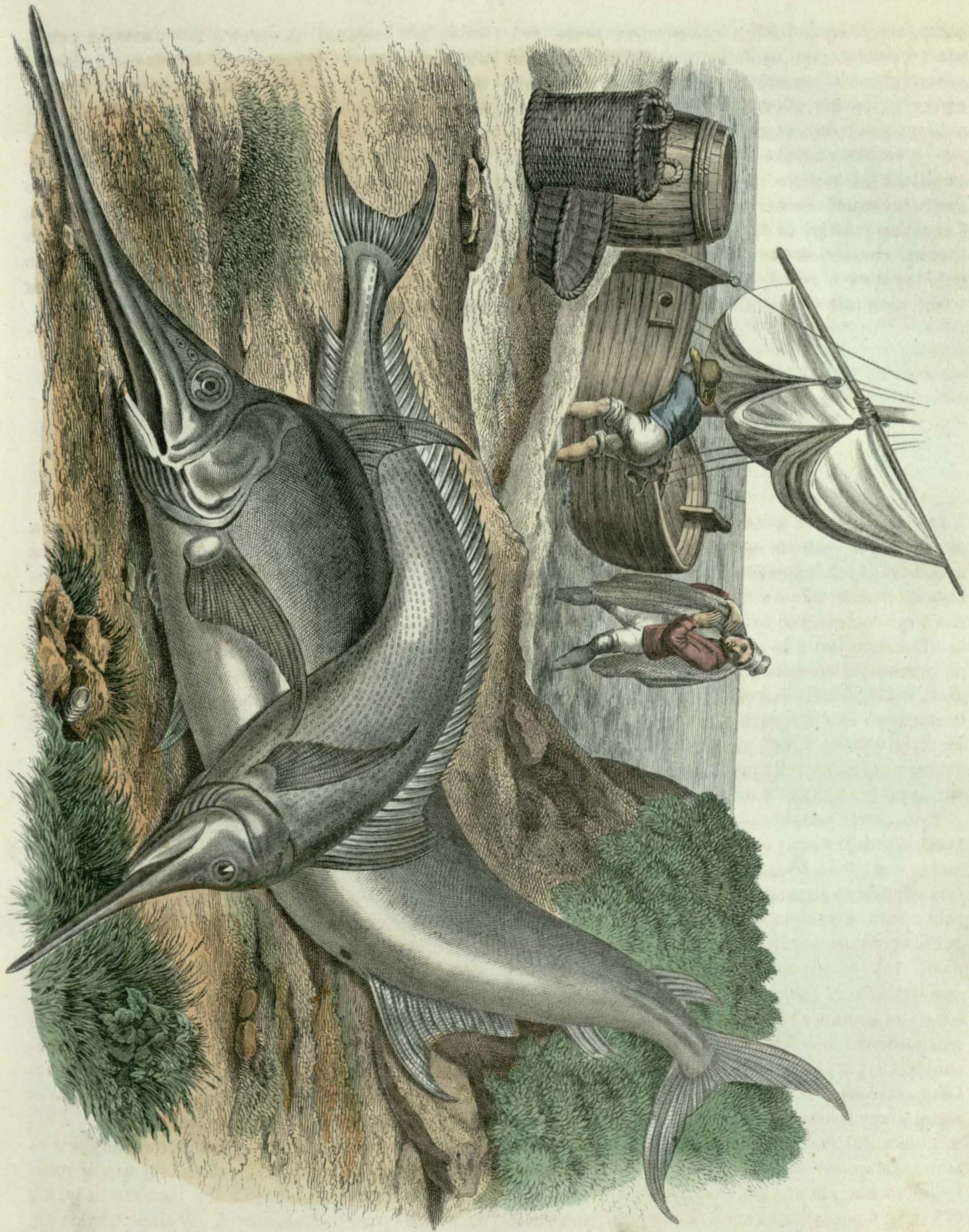
Ten potwór morski opisany przez Plinjusza starszego, którego wierny obraz podajemy tu obok czytelnikom, ma 15 do 18 stóp długości i waży 5 do 8 centnarów. Górna jego szczęka przedłużona jest w szeroki z razu a następnie zężający się i lekko ku górze zgięty na 4 stóp długi dziur, z licznymi brozdami, tak zwany miecz lub szpadę, której kanty są ostre i nieco ząbkowane. Dolna szczęka przeciwnie jest krótka, a bezzębna paszcza opatrzona tylko niezliczonymi kościstymi gruczołami. Wielkie oczy znajdują się w połowie wysokości nad górną szczęką. Długa stercząca pletwa grzbietowa, zaczyna się powyżej klapy dychawkowej. Pletwa ta grzebieniasta w środku jest znacznie niższa i tylko u młodych okazów znajduje się w całości, jak to widać na naszej rycinie, u starych zwykle jest pooblamywana i sterczy tylko u początku i końca. Pletwy piersiowe znajdują się przy dychawkach i mają kształt kosy, a ple-

twy ogonowe przedstawiają kształt pół księżyca. Skóra jest szorstka i jakby ospowata. Głowa i miecz czyli dziur są koloru stalowo-błękitnego; na niebieskawym grzbiecie i srebrno-białym brzuchu, pięknie odbijają czerwone pletwy, a cudzoziemcy podziwiają piękność tego znakomitego i dziwnego zwierzęcia na targach południowych Włoch, gdzie szpadnik obficie się znajduje i gdzie prócz niego przyjaciel przyrody wiele interesujących przedmiotów napotkać może.

Szpadnik znajduje się prawie we wszystkich morzach nie wyłączając nawet Północnego, ale najpospolitszym jest w morzu Śródziemnym. Przy brzegach Sycylii poławiano go już za czasów Homera, mianowicie przy dzisiejszym Faro. Przy Sardynji mniej jest pospolitym, ale w czasie połowu na tuńczyki zawsze ich kilkudziesięciu łapiają. Szpadnik i tuńczyk są jedynie wyjątkiem z pomiędzy olbrzymów morskich, zwykle nie przydatnych na jadło, bo mięso tych dwóch rodzajów bardzo jest smaczne i lubiane. Przedają je na funty, części brzuszne i ogon są najlepsze ale i skrzele solone używają się na pokarm. W Rzymie i Neapolu na spisie potraw u restauratora, zawsze bywa wpisany szpadnik, w Wenecyi przeciwnie jest on prawie nieznan.

Pomimo potężnej broni, szpadnik uważany jest za bardzo spokojne zwierzę. Żywi on się więcej roślinami morskimi niż rybami i dla tego nie liczy się do właściwych ryb drapieżnych. W zimie trzyma się bardziej w głębi i na szerokiém morzu, latem przy







brzegach gdzie odbywa tarcie. Ma on ikrę bardzo drobną, ale niesłychanie liczną. Najczęściej widać go parami pod samą powierzchnią wody, a marynarz z wielkiem zajęciem przypatruje się zręcznym ruchom téj pięknej i zwinnéj ryby.

Chociaż szpadnik nie trzyma się głębizny tak jak tańczyk, często jednak trafia się, że wpadnie w tak zwane tonnara to jest sieci szerokie i długie, obciążone u dołu ołowiem, a u góry opatrzone korkami, i zastawiane w długości kilku milowej przy brzegach sycylijskich, dla połowu tańczyków. Ale właściwy połów na szpadnika odbywa się w ten sposób, że jeden z rybaków stojąc na wysokości skały lub siedząc na maszcie, daje znak gdy ujrzy zbliżającą się gromadkę tych ryb, a wtenczas inni puszczają się ku nim z cicha na łodziach, uderzają harpunami i na łodzi wyciągają.

Broni swojej szpadnik używa tylko ku obronie.

Na poparcie powieści, że przy brzegach amerykańskich rozpruwa nieraz brzuch krokodylowi, nie mamy dość wiarogodnych świadectw, jak również co do okoliczności; że pewnego rodzaju pijawki czy pierścienie, wsysając się w mięso téj ryby, tak jój dokuczają, że wyskakuje z wody i nieraz spada na pokład statku. Podanie Plinjusza, że szpadnik przebija boki okrętów, u nowożytnych naturalistów nie wiele znajduje także wiary. Ale nietylko naoczni świadkowie zapewniali, że pewnego razu belka dolna okrętu żeglującego na morzu Indyjskiem została przebitą przez szpadnika na 20 stóp długiego z taką gwałtownością że dziuryt jego, prawie aż do osady w drzewie ugrząsł, ale nawet kawał téj belki z owym wbitym dziurytem, znajduje się w British Museum i może badaczowi przyrody posłużyć za miarę niesłychanej siły tych lewietanów oceanu.

## RZUTY OGÓLNE O PIŚMIENICTWIE UKRAIŃSKIM,

A W SZCZEGÓLNOŚCI

### GRZEGÓRZ KWITKA,

POWIEŚCIOPISARZ.

#### I.

Literatura ukraińska, od pieśni ludowej i klechdy istnieje swe poczyna. Pieśń dla ukraińca, wszystko stanowi: i poezję i grób ojców. Nazwaćby ją można historyczną, gdyż ani na chwilę od życia się nie odrywa, i zawsze czasom i wypadkom wierną pozostaje. Jest dlań dziennikiem, kroniką liryczną, do której od dawnych czasów składa wszystko, co tylko czuł, myślał i czynił. Klechda ukraińska jest epopeją ludową. Tu się odbija, jakby we zwierciadle wszelka miejscowość, wszystkie zwyczaje, ledwie przysłonione odcieniem fantastycznym. Klechda stepowa, te tylko obrazy i wypadki maluje, które przed oczami ludu prostego przechodzą, które obudzają twórcze jego poczucie, nie odrywając prawie od progów domowych, od ogrodu, sadu wiśniowego, stepu, pługu i wołów. Pieśń ukraińska i klechda stanowiły stepową wędrowną lirykę i epos, na długo przed ukazaniem się literatury piśmiennéj. Ostatnia poczy-

na się, jak i wszędzie, od kronik. Ogniskiem jój stał się najprzód Kijów, najsilniej występujący w czasach XVII wieku, następnie, z początkiem bieżącego stulecia, Charków, gdzie pierwszy uniwersytet południowy otwartym został. Obecnie Kijów i Charków postępują nierozłącznie na czele działalności Ukrainy literackiej.

Do najdawniejszych języka ukraińskiego pomników należą, poczynając od XII wieku, Słowo o pułku Igora, dyplomata książąt włodzimierskich i halickich, testament Włodzimierza Monomacha. W wiekach XV, XVI i XVII ukazuje się język ten pod przeważnym wpływem polskiego i białoruskiego, w pismach Piotra Mohyły, Łazarza Baranowicza, Antoniego Radziwiłłowskiego i w przekładach: Biblii przez doktora Franciszka Skorynę, oraz kazań Kalixta, patriarchy konstantynopolskiego. Więcej ukształcony język znajdujemy w Statucie Litewskim, w słowniku Pamby Beryndy, w uniwersałach hetmańskich i la-

topisach, jak np. *Latopis Wieliczki*. Tu należą dawne akta Rusi południowej, listy Mazepy do córki Koczubeja i dwa ciekawe pomniki: Kronika z kronikarzy starodawnych, przez Teodozego Sofonowicza, mnicha monasteru Michałowskiego w Kijowie, z roku 1672—1681, i *Izbornik Światosława*, przez djaka kijowskiego Jana ułożony. — Kotlarewskiego „Eneida trawestowana (*perelicowana*)” ukazała się w rękopiśmie częściowo w latach 1798, 1808 i 1809: był to ważny dla literatury nabytek, gdyż utwór ten napisany jest w czystym języku ukraińskim „puritatis legitimaie,” w jakim następnie pisał rzadki z autorów ukraińskich. W druku *Eneida* ukazała się po raz pierwszy roku 1842. Po niej nastąpiły dwie opery: *Natalka-Półtawka* i *Moskal-czarywnik*, które również spoczywały przez czas długi w rękopiśmie, dopiero r. 1838—1841 wydrukowane „w Zborniku ukraińskim,” J. Sreżniewskiego. Pomiedzy Kotlarewskim a zbieraczami zabytków piśmiennych ukraińskich, na czele których stanął roku 1819 książę M. Certelew, ukazują się na polu literackim: *Hulak-Artemowski*, wierszopis, autor poezyj: „Twardowski” (przekład ballady Mickiewicza: *Pani Twardowska*), *Tiuchtij ta Czwańko*; *Solopij ta Chiwirja, abo horoch pry dorozii*; *Pan ta Sobaka*; *Bańko ta syn*, i przekładów, z Göthego: *Rybak*, i z Horacego (którego *Haraśką* nazywa): *Eheu fugaces*, *Posthume* (oda XIV), *Cornus deorum vultor* (oda XXXIV) i wielu innych; listów poetyckich, jak np. *Dobryst* (Do Grz. Kwitki) i winnych. Poezyje Hulaka-Artemowskiego nie zebrane dotąd, drukowane były po różnych czasopismach (np. w *Dzienniku Warszawskim*, redakcyi J. K. Ordyńca); *Grzegorz Kwitka* (od roku 1817), o którym niżej powiemy; *Bazyli Gogol—Janowski*, autor wielu komedyj, w rękopiśmie dotąd pozostałych (ojciec słynnego w literaturze rosyjskiej Mikołaja Gogola-Janowskiego), i kilku innych. Książę Certelew wydał r. 1819: „Zbiór dawnych pieśni ukraińskich.” Pawłowski napisał r. 1818 pierwszą *Grammatykę języka ukraińskiego* i zamieścił w niej (str. 90—93) ustęp z opowiadania historycznego, przez niewiadomego autora po ukraińsku napisany. Wkrótce potem ukazały się *Pieśni ukraińskie* (Moskwa, 1826) przez *M. Maksymowicza* wydane. Są to właściwie pieśni ludowe, przez *Zoryana Dołęgę Chodakowskiego* (Adama Czarnockiego) w czasie wędrówek jego po Ukrainie zebrane, które wpadły, po zgonie Chodakowskiego, do rąk wydawcy, o czém jednak tenże w przedmowie zamilczał. *J. Sreżniewski*, poczynając od r. 1838 wydał w Charkowie: 1) „Zbor-

nik ukraiński,” 2) „Klechdy ukraińskie,” 3) „Starożytności ukraińskie i zaporozkie.”

W nowszych czasach imię *A. Metlińskiego*, pomiędzy gorliwemi zbieraczami zabytków literatury ludowej ukraińskiej, pierwsze zajmuje miejsce. Znany w piśmiennictwie pod pseudonimem *Ambrożego Mohyły*, wydał pełne wdzięku, poezye oryginalne p. n. *Dumki tapiēsni*. Jego „Zbiór pieśni ludowych ukraińskich (r. 1854)”, pod względem dokładności i obszerności, do najlepszych tego rodzaju wydań należy. Badaniami nad literaturą ludu ukraińskiego trudnią się obecnie: *Kulisz* (*Pamiętniki o Rusi południowej*), *Łukasiewicz*, *Afanasjew-Czużbiński* (autor *Słownika ukraińskiego* i wydawca *klechd ludowych*), *Marcinkowski*, synowiec sławnego *Jaxy*, pod pseudonimem *Ant. Nowosielskiego* (*Lud Ukraiński*, w języku polskim. Tomów 2. Wilno 1856.), *Leonard Sowiński*, autor dzieł w języku polskim: 1) *Studja nad literaturą ukraińską*. Kijów, 1860. 2) *Taras Szewczenko, z dołączeniem przekładu* (wierszem) *Hajdamaków*. Wilno, 1861. Obecnie na widnokręgu poezyi ukraińskiej jaśnieje samotnie, jak gwiazda pierwszej wielkości, imię zgasłego niedawno nieśmiertelnego wieszczu ludu, T. Szewczenki, o którym daliśmy już obszerniejszą wiadomość w piśmie naszym roku zeszłego, w Tomie 1 od str. 176. Na niwie powieściopisarstwa współczesnego ukazują się liczne imiona młodych literatury ukraińskiej uprawiaczy, między niemi *Marko Wowczek* (pseudonym Maryi Markowiczowej), niezaprzeczone trzyma pierwszeństwo. Zjawienie się od 1861 roku czasopisma nowego ukraińskiego, wiele błogich dla postępu literatury ojczystej rokuje nadziei. Tu w otwartych szeroko szrankach piśmiennictwa krajowego, nowe obok dawnych zajaśniały talenta, i literatura ukraińska, długo zapomniana, pogardzona, wyśmiana nieraz, nowém, pełném odrodziła się życiem, chociaż ze zwrotem tylko jednolicowém.

## II.

Grzegorz Kwitka, urodzony r. 1778 we wsi dziedzicznej *Osnowie*, należącej przedtém do rodziny Zacharzewskich, o pół mili od miasta Charkowa położonej, pochodził z dawniej szlachty ukraińskiej. W artykule: *Założenie Charkowa* (*Mołodyk*, noworocznik na r. 1845, przez *J. Bieckiego* w Charkowie wydany, str. 7 i dalej) wyprowadza rodowód swój romantycznie nieco, jak się zdaje, z Ukrainy naddnieprskiej; powiada, że przodek jego, mały bohater sierota, śliczny jak *kwiatek* (po ukraińsku

*Kwitka*) stanął, po wielu przygodach życia wędrownego, nad brzegiem trzech rzeczek, gdzie w owym czasie miasteczko Charków powstawało. W kronikach pułków słobodzkich imię Kwitki pojawia się po raz pierwszy w roku 1666. W r. 1703 pułkownik pułku charkowskiego, Grzegorz Kwitka, pradziad autora naszego, dokładał wszelkich starań ku obronie Charkowa od napadów tatarskich; wystawiał w nim nowe budowle, osadzał przybylców, którzy wówczas pod chorągwie pułków słobodzkich tłumnie ciągnęli. Syn tegoż Jan, również pułkownik (od r. 1743), umarł r. 1751. O synu jego, a ojcu naszego autora, J. Wernet powiada: „Nie widziałem żadnego z ludzi sędziwych, któryby mu był podobny uprzejmością charakteru, rzadką obyczajów prostotą i sztuką powiedzenia żartem prawd najwznioślejszych, jak również zdolnością wrodzoną zastosowania się do każdego wieku (Goniec Ukraiński 1817. Cz. VIII, str. 148. *Myśli o Charkowie*). Wyrazy te z naiwną wyrzeczone prostotą, malują dość wyraźnie postać ojca Kwitki. Człowiek podobny nie mógł nie wywierać wpływu zba wiennego na młodzieńcze lata życia swego syna. Matka jego, Marya z Szydłowskich, była kobietą światłą, ale dumną nieco i obyczajów surowych. Starszy brat Andrzej, był do końca życia (umarł po roku 1843) w liczbie pierwszych magnatów charkowskich: blisko lat 25-ciu wciąż piastował chlubnie urząd marszałka szlachty gubernii charkowskiej. Trzy siostry Kwitki, Marya, Elżbieta i Prakseda były w zamęstwie za obywatelami: Zarudnym, Smirnickim i Buławińskim. Ojciec autora umarł w roku 1806; matka żyła jeszcze po roku 1820. Kwitka od pierwszych chwil dzieciństwa, był słabym i chorowitym dzieckiem. Przez lat pięć, skrofuły pozbawiły go wzroku. Wzdrowienie swe winien był pielgrzymce pobożnej do jednego z monasterów, sąsiednich (Jeziorańskiego). Zdarzenie to, głębokie pozostawiło wrażenie na umyśle dziecka i z postępem czasu, wespół z innymi wypadkami (głównie skutkiem przykładów rodzinnych), spowodowało, iż we 23-cim roku życia wstąpił do zakonu. Ażeby objaśnić postanowienie to stanowcze w młodzieńcu, rzućmy wzrokiem na stan ówczesny społeczności charkowskiej. Była ona w owe czasy całkiem patryarchalną, i żywioną duchem starodawnych podań ukraińskich. O literaturze piśmienną nie było jeszcze wzmianki. Właściciele sąsiednich i odległych wsi przyjeżdżali do miasta głównego, jakim był Charków, na targi i jarmarki, dla zaopatrywania się w płody południa i północy; inni zdążali tu z urzędu lub, co najwięcej, dla popierania

processów, których, jak mówi jeden z dawnych pisarzy ukraińskich (Baz. Nareżny), *było bez końca*. Wyższym zakładem naukowym w Charkowie, było „Kollegjum Duchowne.” W mieście i jego okolicach, na krótko przed narodzeniem autora naszego, pojawiło się pewne indywiduum, którego nauka głębokie pozostawiła wrażenie na umysłach współczesnych. Był to oryginalny i dziwaczny, filozof wędrowny, *Diogenes ukraiński*, jak go wówczas nazywano, *Grzegorz Warsawa Skoworoda*.<sup>1)</sup> Wynikiem nauki przezeń opowiadanej, było, że wielu przywdziewało chętnie suknie zakonne. Skoworoda ukazywał się w wielu domach w Charkowie. Zwiedzał, pomiędzy innymi, dom Kwitków. Pamiętają go jeszcze ludzie sędziwi, którzy dziećmi wówczas byli. Mógł go zatem widywać i nasz autor, który miał wtedy wieku lat 14 albo 15, a wieści, jakie o Skoworodzie po Ukrainie obiegały, silnie na umysł młody działać poczęły. Mogły tu mieć wpływ znaczny i podania rodzinne, gdyż nie jeden z krewnych Kwitki był w zakonie. Oddany modlitwie i samotności, Kwitka już w 12-im roku życia oświadczył rodzicom gorące życzenie wstąpienia do monasteru, jednakże na usilną ich prośbę, do lat 14 pozostał w domu. Kilka lat następnych poświęcił, z przerwami dość długimi, służbie wojskowej (w charkowskim pułku kirysjerów), nie wydalając się prawie z domu rodzicielskiego. Mając wieku lat 23, wstąpił do monasteru kurażskiego, o milę od Charkowa, gdzie blisko lat 4 zostawał.

W celinowicyusza stał fortepijan, wisiał flet na ścianie, i przyszły powieściopisarz, tworzył muzyczne koncerty religijne. Po upływie terminu czteroletniego, wątły stan zdrowia, a do tego prośby ojca słabnącego już widocznie, nie dozwoliły mu, pomimo najszczerzych chęci, przyjąć święcenia, wrócił zatem do domu rodziców. Opowiadają, że pod koniec pobytu swego w monasterze, najcięższe brał na siebie posługi; tak np. przyjął na siebie, pomiędzy innymi, obowiązek doglądania koni monasterskich, gdy tym-

<sup>1)</sup> O życiu i pismach Skoworody, czytać można, pomiędzy wielą innymi: 1) „w Bulletin du Nord,” czasopiśmie przez T. Laveau w Moskwie wydawanym: *Gregoire Skoworoda, philosophe de l' Ukraine* (tom III, st. 149. 1828). 2) *Gregor Skoworoda's Lebenswandel und Wirkungskreis, oder historisch critische Würdigung seiner Schriften, als Beitrag zu einer Geschichte der Slavischen Volksweisheit, in Briefen an J. G. Görres* (1831). 3) w *Jahrbücher für Slavische Litteratur, von Jordan*, 1847 (z wizerunkiem Skoworody).

czasem lękał się koni nadzwyczaj. Razu pewnego wyruszył do Charkowa z wozem, parą wołów zaprzężonym, naładowanym beczkami w monasterze robiionemi. Była jesień na dworze. Błoto największe załęgło ulice charkowskie. Na placu targowym wóz się przechylił i zagrzazł po samą oś w błocie. Napróżno Kwitka wydobyć go usiłował. Chłopaki zbiegli się wkoło, a poznawszy młodzieńca, wołać poczęli: „Kwitka, Kwitka!” Kwitka machnął ręką, porzucił wóz na środku ulicy i uciekł do Osnowy. Odtąd nie myślał już o oddaleniu się od świata. Ale wrażenia długiego życia zakonnego, w pięknej, malowniczej miejscowości, na modlitwie i w samotności spędzonego, na długo w duszy jego zostały, odbijając się w najlepszych jego utworach, gdzie dobre, świeże, pełne miłości postacie ludowe odznaczają się prostotą niewysłowioną i duchem religijnym, jak np. *Marysia*, *Oksana*, *Dzieci Boże*, *Hannusia*.

Po opuszczeniu monasteru, Kwitka znowu do świata przyzwyczajając się począł, jednakże większą część dnia w samotności i na modlitwie przepędzał. Nie raz po całych nocach przesiadywał w cienistym Osnowy ogrodzie, przygrywając na flecie. W końcu młodość zrobiła swoje. Wrodzona ziomkom jego wesołość w nim się obudziła. Dwoisty ten kierunek utworzył w charakterze jego mieszaninę komizmu naiwnego i wesołego, z moralnością poważną, wzniosło-religijną. Nie pozostał beczynnym na długo. W latach 1804—1806 zajmował się muzyką i grywał na teatrze domowym, dramata i komedye ukraińskie wybierając dla siebie role najtrudniejsze.

Otwarty na początku roku 1805 uniwersytet, ożywił i oświecił całą Ukrainę. Pierwszym kuratorem był Seweryn hrabia Potocki, który kochał namiętnie młodzież akademicką; to też z zapalem wspominają dotąd o nim wszyscy, dla których drogą jest pamięć lat młodych i sprawa oświaty krajowej. Mianowani przezeń professorowie, godnie celowi odpowiedzieli dotąd żyją w pamięci krajowców imiona pierwszych professorów, jacy byli: *Stojkowiez*, *Schad* (z Marburga do r. 1817 professor filozofii, autor dzieła: *Selbstbiographie*, tomów 3); *Ballinde Ballue* (membre de l' Académie des Inscriptions de Paris), *Umlauf*, *Szumlański*, *Guisé*, *Osipowski* (prof. filozofii), *Delavigne*; *Honorski*, *Tymkowski*, *Paqui de Savignie*, *Du Gourre*, *Sreźniewski*. W późniejszym już czasie powołany był (przed rokiem 1812) *Hulak-Artemowski* do wykładu Literatury Polskiej i Historii powszechniej. Zaproszeni byli z zagranicy *La Place* i *Fichte*, oraz słynny bibliograf europejski *Brünne*,

ale szczupłe uniwersytetu fundusze, przesiedleniu ich do Charkowa stanęły na przeszkodzie. — Obudziło się tedy nowe życie i niezwykły ruch umysłowy. W wielkiej sprawie, jaką jest wyższa oświata, pomijano podrzędne pewnych form wymagania, które w czasie późniejszym tak wielką odgrywały rolę. Tak professorowie jak studenci wkładali uniform w wielkie tylko święta uroczyste. Na prelekcye każdy przychodził, w czém mu się spodobało. Żółte fraki, szafirowe spodnie, niebieskie czamarki, olbrzymie kamizelki, czapki niezwykłych kolorów i kształtów, laski i fajki, wszystko to się ukazywało w audytorjach. Chodziło o rzecz, nie zaś o formę <sup>1)</sup>. Zawiązało się Towarzystwo rolnicze, pod nazwą *Filotechnicznego*, Towarzystwo Dobroczynności; otwarty został Instytut dla wychowania panien; zaprowadzono wieczory literackie, na których Kwitka po raz pierwszy wystąpił z dykteryjkami ukraińskimi; wychodzić zaczęły czasopisma naukowe i literackie (*Goniec Ukraiński*, *Demokryta* i t. d.)

### III.

Do pierwszych utworów poetycznych Kwitki, należą (od r. 1817) powiastki ukraińskie i pieśni w rodzaju ludowym; pozostając przez czas długi w rękopiśmie, obiegały pomiędzy klasą piśmienną; niektóre z pieśni stały się ludowymi, jak np. następna, w której własne dzieje maluje:

Przyjszou Hryć, zażuryuś,  
Ta i w czeńcy postrygś;  
Hryciu, Hryciu, do Marusi;  
Zaraz, zaraz przyberusia!  
Hryciu, Hryciu, do roboty;  
W Hrycia porwany czoboty!  
Hryciu, Hryciu, robi chléb;  
Akchi, akchi — szczoś ochryp!

W druku wyszły następne z pism Kwitki:

1. *Powieści ukraińskie przez Hryćka Osnowjanen-*

<sup>1)</sup> Utrzymanie było tanie nadzwyczaj: za złp. 300 na rok można było mieć stół i stancję; termin dla ukończenia nauk nie był ograniczony, ztąd uczniowie po kilka, a nawet kilkanaście lat zostawać mogli na uniwersytecie; opowiadają dotąd jeszcze o niej jakim Cycurynie, który około lat 15 na studyach uniwersyteckich przepędził, i wtenczas dopiero opuścić go był zmuszony, gdy wyszło rozporządzenie, zabraniające więcej jak dwa lata na jednym kursie zostawać (po roku już, jak się zdaje, 1835, w którym nową dla uniwersytetów ustawę ogłoszono).

kę (pseudonym Kwitki). Moskwa, 1834—1837. Tomów 2. — Wydane powtórne w Charkowie roku 1841, z 5 stalorytami. Zawierają w sobie: a) *Portret żołnierski*. b) *Marusia*. c) *Wielkanoc umarłych*. d) *Rób dobrze, to się dobrego spodziewaj*. e) *Wiedźma konnotopska*. f) *Skarb*.

*Portret żołnierski*, jest to smutna historia ucisku i wpływu obcego. — *Marusia*, poemat czysto ludowy, pełny uczucia rzewnego, trącający najdelikatniejsze serca stróny. — *Wielkanoc umarłych* i *Skarb* zawierają w sobie myśl głęboką. Wytrzeźwienie po śnie pijanym — oto cała przyszłość ludu, a szczęście jego, w miłości ku bliźnim i rodzinie.

„W swojej chacie — swoja prawda,  
Isiła i wola.”

*Wiedźma konnotopska* przedstawia silne oburzenie autora na odrętwiałość i obojętność ludzi, którzy się do biedy już przyzwyczaili i zapomnieli zupełnie o życiu minioném. W tych ruszających się automatach, nie masz ani myśli, ani uczucia, jakby wszystko było przygnębione, zamorzone; jakby mrok jakiś oświadczył umysłami; zamiast życia tutaj, ciężka tylko i jednostajna wegetacja. „Drzyj, póki się drzeć daje; szarp, kiedy się szarpie; gniec, kogo gniec można, nim cię samego ktoś inny zgniecie,” oto jest stan, który autor w „Wiedźmie” przedstawił.

2. *Swatanie w Honczarówce*. Opera w 3 aktach. Charków, 1836. Wydanie 2-gie tamże, 1840.

3. *Kozyr-dywka*. Powieść. Petersburg, 1838.

4. *Hannusia*, opowiadanie. Charków, 1839.

Jest to wizerunek pewnego naczelnika gubernii którego rządu podobne były zupełnie do gry „w ślepą babkę:” kto mu się pierwszy pod rękę nawinął, ten był już winnym bez odwołania; nie pomogło tu nic ani sumienie, ani prawo, ani sprawiedliwość, bo tego nie widział zgoła za stosem papierów i rang świetnością.

5. *Listy do lubeznych zemlaków*. Charków, 1839.

Oprócz tego, w ukraińskich noworocznikach literackich, niektóre z prac Kwitki zamieszczone zostały. W noworoczniku „Mołodyk” na rok 1843 przez J. Bieckiego wydanym, znajdują się napisane przez Kwitkę artykuły: 1) *Założenie Charkowa* (podanie dawne); 2) *Pidbrechacz* (opowiadanie). — W noworoczniku ukraińskim na r. 1848 przez Ambrożego Metlińskiego: *Szczera lubow, abo miły dorohszy szczastia*. Dramat (z prawdziwego zdarzenia). Wiele z prac jego dotąd w rękopiśmie zostaje. — Sie-

mientowski wspomina o *krótkiej historii świętej* dla ludu ukraińskiego, przez Kwitkę napisanej. — Niektóre z pism jego przełożone były na obce języki (nie mówiąc już o rosyjskim). W Paryżu roku 1854 wydano: *Oksana ou l'orgueil villageois et ses Ravages, ou l'histoire grave et veridique de 35 kopecks, ancienne chronique de l'Ukraine, par Kwitka, traduit par M. Charlotte Moreau de la Meltiere*. 1854. Paris, in 12°.

Kwitka był jednym z gorliwych rozkrzewicieli oświaty na Ukrainie: założył dziennik „Goniec Ukraiński;” otworzył teatr, którego był dyrektorem; jego staraniom zawdzięcza byt swój Instytut dla wychowania panien. Bardzo długo w usiłowaniach swych literackich, na fałszywej zostawał drodze; powiastki jego, anegdoty, dramata z życia ukraińskiego, które mi czasopisma obu stolic napełniał, bawiły recenzentów, jako rzeczypełne komizmu, nie podnosząc bynajmniej autora do rzędu pisarzy istotnej zasługi. Próżno się Kwitka silił, próżno biedził: niwa obca nie przyniosła mu plonów spodziewanych. A było to obłąkanie pewne, któremu wielu z ziomek jego uległo od dawna. Po trudach daremnych, trafił nareszcie, instynktem wiedziony, na rolę ojczystą, i tu chlubne zyskał wawrzyny, które skronie jego przed zgonem ozdobiwszy, na zawsze, jakby wieńce nieśmiertelników, nad grobem jego jaśnieć będą. Pierwszy zatknął sztandar mowy rodzinnej i nadał jej mocną podstawę. Pisma Kwitki pełne są głębokiej filozofii praktycznej, przystrojonej w malownicze obrazy z życia rzeczywistego wzięte; rozczulają do łez, wieje z nich ciepło duchowe, płynie gorąca miłość dla ludu. One to natchnęły prawdziwego ludu śpiewaka, Szewczenkę, do przesłania autorowi następnych, pełnych uczucia, wyrazów:

Utnij bał'ku, orle sizni,  
Nechaj ja zapłaczu,  
Nechaj swoju Ukrainu  
Ja szcze raz pobaczu.  
Nechaj szcze raz posłuchaju,  
Jak te more hraje,  
Jak dywczyna pod werboju,  
Hrycia zaśpiewaje.  
Nechaj szcze raz uśmiechnietsia,  
Serce na czużyni,  
Poki laże w czużu zemlu,  
W czużyj domowini.”

Kwitka umarł d. 8 sierpnia (v. s.) 1843 r. Smutne na przyjaciółach zmarłego sprawił wrażenie nadesłany

z Kopenhagi, we dwa lata po zgonie autora, dyplom na członka Towarzystwa badaczy północnych! Słusznie o nim Kulisz powiedział: „Pamięć Kwitki zostanie na wieki błogosławioną między nami. On samorzutnie zrozumiał sercem, co to za dziwo święte — wieśniacy nasi. Dostrzegłszy i przyjąwszy poezję zwyczajnej mowy ludowej, Kwitka to samo zdziałał dla prozy, co dla wiersza ukraińskiego Szewczenko, uzbrojony pieśnią ludową. We dwóch podnieśli oni literaturę swój krainy do wiekuistej potęgi, i wykreślili jej drogę daleką i prostą. Szkoda, nieodżałowana szkoda, że Kwitka zbyt wcześnie dla piśmiennictwa świat pożegnał, a jeszcze wcześniej jedyne swe dzieło. Szewczenko został po nim jedynowła-

dnym ojcem wśród niewielkiego grona pisarzy rodzimych. <sup>1)</sup> Nie ma dla nas zakonu nad słowo jego...” (L. Sowiński w dziele: T. *Szewczenko, z dołączeniem przekładu Hajdamaków*. Wilno, 1861).

Obszerniejszą o życiu i pismach G. Kwitki wiadomość, podali: 1) *M. Siemientowski* (Illustracya, 1846. Petersb. Część III. Nr. 46. Z portretem Kwitki); 2) *A. Korsuń* (Gazeta Literacka z r. 1843. Petersb. Nr. 37); 3) *G. Danilewski* (Pamiętniki ojczyste 1855. tom VI.) i 4) *P. Kulisz* (w pismach rozmaitych). *J. S.*

<sup>1)</sup> Umarł już w tych czasach, w Petersburgu. Pochowany na Ukrainie, w miejscu urodzenia. O Szewczenko ob. artykuł „w Księdze Świata” 1860 r. Tom I od str. 176.

## PISMIENICTWO NORWEGSKIE.

Mało u nas jest znana literatura norwęgka; dla tego dajemy tu przekład „*Dobrej żony*,” jednego ustępu ze zbioru powieści napisanych przez panów Asbjørnsen i Moe. Sama już treść i sposób obrobienia, charakteryzują nam prostotę ludu północnego. — Ale przejdźmy do opowiadania.

„Był kiedyś człowiek, który się nazywał Gudbrand, mieszkał w folwarku odosobnionym, na odległym pagórku, i dla tego mianowano go: Gudbrand z pagórka.

Gudbrand miał wyborną żonę, co osobliwością, ale większą, że Gudbrand znał wartość swego skarbu który posiadał: więc małżeństwo żyło w najlepszej zgodzie, używając wspólnego szczęścia, obojętni na powiększenie majątku i lata przybywające. — Wszystko co zrobił Gudbrand, było według myśli i życzenia małżonki, tak: że pocziwiec, czego się dotknął, co zmienił, co tylko poruszył w domu, dziękowała mu żona — że on ją odgadł, że przewidział jej życzenie.

Życie upływało im bez trosków. — Folwark był ich własnością, mieli sto talarów w szufladzie kreditsowej i dwie dobre krowy w oborze — na niczem im nie zbywało — starość mieli miłą, nie obawiali się pracy ani niedostatku i nie potrzebowali obcego politowania nad sobą.

Pewnego wieczora, gdy rozmawiali o zatrudnieniach i rozmaitych projektach, żona Gudbranda rzekła do męża:

— Mój przyjacielu przyszła mi myśl, ażebyś jedną z naszych krówek poprowadził na sprzedaż do miasta. Ta która pozostanie, dosyć nam da mleka i masła. — Co

nam za potrzeba mieć zachód koło drugiej? Jesteśmy bezdzietni, mamy leżące pieniądze w szufladzie — nie lepiejże ochraniać ręce na starość? I tak zawsze będziesz miał co robić około domu — niezabraknie ci sprzętów i narzędzi do naprawiania — a ja częściej będę mogła być przy tobie z moją kądzielą i wrzecionem.”

Gudbrand osądził, że żona miała słusność, jak zwykle. — Nazajutrz, raniutko, poprowadził krowę na sprzedaż do miasta — ale to nie był dzień targowy, więc kupca nie znalazł.

Bardzo dobrze! bardzo dobrze! rzekł Gudbrand — mogę odprowadzić krowę skąd ją wzięłem — mam dla niej siano i podściół a droga również długa do domu jak z domu.

Po takowej uwadze, spokojny zaczął wracać do swego mieszkania. — Po kilku godzinach, cokolwiek utrudzony podróżą, spotkał człowieka, który prowadził do miasta konia silnego, dobrze osiodlanego, z uzdeczką.

Jeszcze mam kawał drogi a tu noc się zbliża, pomyślał Gudbrand, prowadząc krowę. — Ledwie jutro będę w domu. — Na koniu, byłoby lepiej. — Wróciłbym do siebie wspaniale jak jaki rządca prowincyi. Jak moja żona będzie uszczęśliwiona skoro mnie zobaczy wjeżdżającego w tryumfie, nakształt rzymskiego wodza. — Po tych uwagach, zatrzymał handlarza, i pomieniał się z nim, dając krowę za konia.

Skoro wsiadł, zaczął żałować swego postępku. Gudbrand był już w wieku, ciężki, a koń był młody, żywy i lękliwy — Za pół godziny jeździec szedł pieszo,



z wielką trudnością, prowadząc konia za lejce, który rzucał głową i wspinał się na widok każdego kamienia przy drodze.

Zła zamiana, pomyślał sobie — W tem spostrzegł wieśniaka — a ten pędzi przed sobą wieprza tak tłustego, że aż brzuch jego dotykał ziemi. Gwóźdź potrzebny więcej wart niż dyament błyszczący a na nic nieprzydatny, powtarza często moja żona. — Więc zamienił konia na wieprza.

Był to szczęśliwy pomysł. — Lecz poczciwy Gudbrand, nie rozpatrzył się dobrze w swój zamianie.

Wieprzak już zmordowany, nie chciał się dalej ruszyć z miejsca. — Gudbrand krzychał, prosił, zaklinał — wszystko było nadaremnie. — Ciągnął go za ryj, pchał naprzód, bił na wszystkie boki — daremna praca. — wieprz położył się na ziemi i tak obsiadł jak okręt zapędzony na skałę. — Gudbrand bardzo się tem trapił. — W tém przechodzi około niego człowiek z kozą, która z wymieniem pełnem mleka — skakała, biegała, wykręcała się zwa-wo i przyjemnie dla oczu.

Ot tego mi trzeba! — wygłosił Gudbrand. — Wolę kozę wesolą, zwawą — niżeli to moje zwierzę podle i głupie. Więc zamieniał wieprza za kozę.

Przez półdziny, wszystko szło dobrze. — Kozą z długimi rogami, budziła ku sobie przywiązanie w Gudbrandzie, który się śmiał z jój głupstw. — Ale kiedy już komu dawno minęło lat dwadzieścia, ten się prędko zmęczy, drapiąc się po skałach za kozą. — Gudbrand, skoro spotkał pasterza paszącego trzodę, uważał za stosowne, zamienić kozę na owcę. Będę także miał mleko, pomyślał, sobie — To zwierze przynajmniej spokojne, nie będzie mordować mnie i mojej żony.

Gudbrand dobrze sądził, owca jest bardzo łagodna. — Nie miała wybryków, nie biła głową, ale nie chciała ruszyć się z miejsca i tylko ciągle beczała. — Oddzielona od swoich towarzyszek, pragnęła wrócić do nich i imbardziej Gudbrand ją odciągał, tém bardziej beczała żałośnie.

A niech cię licho weźmie, głupie stworzenie! odezwał się Gudbrand — jesteś tak uparta i taka beksa jak żona mego sąsiada — Któż mnie uwolni od tego stworzenia beczącego, płaczącego, jęczącego? Za jaką bądź cenę pozbyłbym się go. —

— Jeżeli chcecie, rzekł przechodzący wieśniak, weźcie moją gęś piękną i tłustą — lepsza jest od upartej owcy, która za godzinę rozpeknie się z żalu.

— Zgoda! lepsza gęś żywa jak owca zdechła — i zabrał Gudbrand gęś z sobą.

I ta zamiana nie była dogodna. — Z gęsi miał złą towarzyszkę. — Wydierała się na ziemi — dzio- bała, biła skrzydłami i nogami.

— A cóż za nieszczęście, jak widzę, gęś jest bezecne stworzenie, żona moja nigdy nie chciałaby jój trzymać w domu.

Z tego powodu w pierwszej wsi zamienił gęś na pięknego koguta zokazałemi piórami i ostrogami.

Z tej zamiany był zadowolony — Wprawdzie kogut co chwila piał głosem chrapowatym, że aż uszy rozdzierał. — Lecz kiedy mu związał nogi, trzymał go głową na dół, piał przestał.

Wieczór się zbliżał, Gudbrand od świtu był w drodze bez posiłku i pieniędzy, co stanowiło nie małą przykrość. — Zdecydował Gudbrand bez odwołania w pierwszej karczmie sprzedać koguta, i wziął za niego talara — ponieważ był dobrze głodny, więc co do grosza wszystko przejadł.

Po najedzeniu się, rzekł sam do siebie: na co by mi się przydał kogut, gdybym umarł z głodu?

Będąc niedaleko od domu, zaczął zastanawiać się pan z pagórka nad wypadkami szczególnymi swój podróży. — Nim wszedł do siebie, wstąpił pierwój do Piotra swego sąsiada.

— A co kumie, odezwie się Piotr, jak wam się powiodło w mieście?

— Ni tak ni owak, rzecze Gudbrand — nie mogę się uskarżać. — I wszystko co mu się przytrafiło, opowiedział.

— Toś się tego spisał, ślicznie cię przywita twoja połowica. — Niech cię Bóg ma w swojej opiece — nie chciałbym być w twojej skórze.

— Tak, rzecze Gudbrand, interes poszedł mi jak najgorzej, jednak jestem spokojny. Czy ja co źle, czy dobrze zrobię — czy ja mam słusność, czy nie — moja żona jest tak dobra, — że mi ani słówka za to nie powie.

— Słyszę co mówicie sąsiedzie i uwielbiam to — ale z całym uszanowaniem jakie mam dla was, nic w to nie wierzę coście powiedzieli.

— Założ się ze mną, że to prawda coś słyszał. — Mam sto talarów w szufladzie kredensowej, stawiam dwadzieścia i wy postawcie tyleż z swój strony.

— Zgoda!

Zakład stanął. — Dwaj przyjaciele weszli do domu Gudbranda — Piotr został za drzwiami pokoju aby słyszeć co też mówić będzie z sobą małżeństwo.

— Dobry wieczór, moja duszko — rzekł Gudbrand.

— Dobry wieczór, odpowiedziała kobicina, to ty mój przyjacielu? Bogu dzięki żeś już wrócił. — Jakże ci się powiodło?

— Ani źle ani dobrze — przybywszy do miasta nie znalazłem kupca na krowę, więc ją pominałem na konia.

— Na konia? a to wybornie! dziękuję ci za to z całego serca. — Teraz będziemy mogli jeździć do kościoła. — Jak to ludzie nam równi będą na nas z góry patrzeć. — Ale możemy trzymać konia kiedy nam się tak podobało, mając go czem karmić mamy zupełne prawo do tego — wszak nic od nikogo nie potrzebujemy — A gdzież koń? potrzeba go zaprowadzić do stajni.

— Nie przyprowadziłem go tu, w drodze zamieniłem konia na wieprza.

— To dobrze — ja bym toż samo będąc na twoim miejscu zrobiła. — Stokrotnie ci za to dziękuję. — Jeżeli nas sąsiedzi odwiedzą, tak jak gdzieindziej, będę mogła ich poczęstować szynką. — Co nam po koniu. — Powiedzieliby na nas, że się wywyższami nad tych co pieszo chodzić muszą do kościoła. Ale potrzeba wieprza zapędzić do chlewa.

— Nie przyprowadziłem i wieprza — w drodze zamieniłem go na kozę.

— Brawo! jakiś ty mądry i przebiegły. — Zastanowiwszy się — cóż byśmy robili z wieprzem? Wytykanoby nas palcami — po trzeciej, mówionoby, oto ludzie, co tylko zarobią to i przejedzą. — Koza da mi mleko, koźlątko. — Zaprowadźże prędko kozę do obory.

— Nie przyprowadziłem i kozy także, — w drodze zamieniłem ją na owcę.

— Domyślam się, zrobiłeś to dla mnie. — Czy to mój wiek biegać za kozą, po górach i dołach? A z owcy będę miała wełnę i mleko. — Zaprowadźże owcę do obory.

— I owcy ci nie przyprowadziłem — zamieniłem ją na gęś.

— Ach mój kochaneczku, dziękuję ci, dziękuję ci, cobym ja zrobiła z owcą? Nie mam ani kołowrotka, ani krosien — tkactwo to dla mnie mozolne zatrudnienie — a potem utkawszy, potrzebaby było krajać, wykrawać, szyć — a to najprościej kupić gotową odzież, jak zwykle robimy. — Ale mieć gęś i do tego gęś tłustą, tego sobie dawno życzyłam — potrzeba mi puchu na pościel i oddawna marzyłam sobie: jakby to dobrze było mieć kiedy gęś pieczoną na obiad. — Potrzeba ją zamknąć w kurniku.

— I gęsi nie przyniosłem — zamieniłem ją na koguta.

— Moje serce, tyś daleko mędrszy jak ja — kogut to śliczny ptak — więcej wart jak nasz zegar, co go potrzeba co ośm dni nakręcać — kogut co rano pieje o czwartej godzinie i będzie nam przypominał, że już czas chwalić Boga i zabierać się do pracy. — Z gęsią co byśmy zrobili? Nie umiem ję dobrze upiec — a za ję edredon Bóg zapłać — alboż to nie mamy mchu miększego od puchu? Więc koguta zaniesmy do kurnika.

— Nie przyniosłem i koguta, bo przy końcu dnia tak mi się jeść zachciało, że wilkaby zjadł. Sprzedałem więc koguta za talara, bo inaczej umarłbym z głodu.

— Bogu dziękuję, że cię Bóg natchnął taką myślą, rzecz gospościa — Wszystko co tylko zrobisz, zawsze jest według mojej myśli według mego życzenia, czyż nam potrzebny kogut? Jak mi się zdaje, jesteśmy panami swego czasu, nikt nie ma prawa nam rozkazywać i możemy tak długo spać, jak nam się podoba. — Widzisz mój kochany że jestem szczęśliwa — pragnę tylko być obok ciebie.

Wtedy Gudbrand otworzył drzwi.

— A co sąsiedzie Piotrzel! czy tak jest jak wam powiedziałem? Idźcie po dwadzieścia talarów. — I ucałował swoją starą kobięcinę we dwa policzki z taką roskoszą i miłością, jakby miała dopiero lat dwadzieścia."

## MIESZKAŃCY WYSP BORNEO I TIMOR

(Z RYCINĄ KOLOROWANĄ).

Do najmniej znanych okolic Wschodu, należą dotąd niektóre części Indyjskiego archipelagu, a szczególnie wyspa Borneo, mająca 12,700 mil kwadratowych powierzchni, a zatem największa ze wszystkich wysp na naszej ziemi. Równik dzieli wyspę

Borneo na dwie prawie równe połowy. Holendrzy mają na tym archipelagu najrozciąglejsze posiadłości, których jednak nie można nazywać kolonjami, bo ani obecnie ani dawniej nie było osiedlania się Europejczyków, tak jak to ma miejsce w kolonjach francuz-





kich północnej Afryki, lub angielskich na przykładu Dobrej-Nadziei. Są to raczej wielkie dobra rządowe, zakłady handlowe, w których na próżno szukano kolonistów europejskich i w których nawet urzędnicy i żołnierze, skoro ich czas służby przeminie, nie pozostają dłużej.

Zachodnie, wschodnie i południowe brzegi Borneo, są w posiadaniu holendrów, ale wewnątrz wyspy pozostaje niezawisłym i tylko z niektórymi książętami Holandia zawarła traktaty przyjaźni i handlu. Koszta administracji posiadłości holenderskich, opłacają się handlem z krajowcami, chociaż oprócz soli, tytoniu, nieco żelaza i grubych tkanin bawełnianych mało się tam artykułów wprowadza, a wywóz stanowi tylko trzcina hiszpańska (Rottang) wosk, smoła ziemna, a od niewielu lat gutapercha.

Prawie wszędzie postępując w głąb wyspy, spotykamy niezmiernie płaszczyny pokryte nieprzejrzanymi dziewiczymi lasami olbrzymich palm i cesalpini, po których wiją się tysiące pnących się roślin z rodzaju lijanów. Dopiero w odległości 60 lub 80 mil od brzegów, zaczyna się kraj nieco wzgórzysty. Drzewa owocowe rzadko się tu spotykają, palmy kokosowe znajdują się tylko w wioskach malajskich, dajaki zaś nie hodują żadnych drzew owocowych prócz pisangu, bo po kilku latach zwykli swoje osiedlenia opuszczać, przenosząc się w inne okolice.

Ludność około 3 milionów dla tak bogato uposażonego kraju jest bardzo małą, a składa się z dajaków, malajczyków, papuasów (negritos) i chińczyków. Dajaki uważani są za pierwotnych mieszkańców wyspy. W środkowych częściach wyspy, dokąd jeszcze bardzo mało Europejczyków dostało się, lud ten znajduje się jeszcze nie pomieszany z innymi pokoleniami.

Dajaki są wysmukłego wzrostu, kształtnej budowy ciała i przyjemnie ciemno-brunatnej barwy, kiedy malaje jawańcy, mają jakiś odcień nieprzyjemny dla Europejczyka. U manketan całe ciało z wyjątkiem twarzy bywa tatuowane, u innych zaś pokoleń zwyczaj ten nie istnieje. Czaszka ma w ogóle charakter rasy malajskiej, tylko ciemie nie jest wklęsłe i kości policzkowe nie tak bardzo wystające.

Dajaki mają właściwy język zupełnie różny od malajów, ale pisma nie znają wcale, chociaż według utrzymującej się między nimi tradycji, przodkowie ich znali pismo i mieli wielkie księgi. Najucywilizowańsi uprawiają ryż, ale tyle tylko ile go do przyszłych zbiorów mogą potrzebować i dla tego gdy się nie obrodzi, nastaje głód, od którego strasznie umie-

rają, albo zaciągają długi i stają się niewolnikami malajów. Dzicy dajakowie ani ryżu nie uprawiają, ani mieszkań nie mają i żyją w gęstych lasach w środku wyspy. Ubrania nie potrzebują prawie wcale, a płachty jakimi niektóre części ciała okrywają, są wyrobem krajowym; po największej części używają oni miękkiej i trwałej tkaniny z włókna kory drzew którą przez mocenie i tłuczenie przygotowują. Kraj ten dość bogaty jest w żelazo, ale tylko bliżej brzegów mieszkające i rabunkiem trudniące się pokolenia, umieją topić je i obrabiać.

Jak prosty jest ubiór dajaków, który u mężczyzn składa się z płachty obwiniętej około bioder, a u kobiet stanowi ciasną workowatą do kolan sięgającą suknię, tak znowu dziwny i wymyślny jest przybór uzbrojenia wojowników; a szczególnie przywódców. Noszą oni pewien rodzaj kamizoli z czerwonym obszyciem i sznurami, przy której z tyłu przyczepiony jest czworograniasty kawał skóry pantery lub niedzwiedzia (*felis macrocelis* albo *Ursus malajanus*) przyozdobiony muszlami morskimi (*Turbo* i *Trochus*) i pękami ludzkich włosów. Na wojnie noszą jeszcze na plecach 4 do 5 stóp długi, a około 7 cali szerokości kawał tkaniny owej drzewnej, obszuty czerwonym płótnem i wysadzony kilku rzędami szlifowanych konch wielkości trzygroszniaka. Najglówniejszą ozdobą u wszystkich pokoleń dajaków jest nakrycie głowy, na którym błyszczą się różnobarwne duże pióra dzioboroźców, sów, kogutów i gatunku zwanego argus (*argus gyganteus*). Każde pióro jest pewnym rodzajem pamiątki zabitego nieprzyjaciela. Jeden z nowych podróżników widział olbrzymiego dajaka, który był dowódcą zbrojnej gromady, i miał tylko jedno oko; drugie wydrapał mu lampart, którego on bez żadnej broni, rękami zdławił. Zrobił on sobie czapkę z skóry odartej z głowy tego zwierzęcia; jako drogocenna ozdoba, przyczepione były do tego niby hełmu, białe, żółte i czerwono upstrzone w regularne pasy, pióra ogonowe dzioboroźców; (*Buceros rhinoceros*) a było ich dziewięć.

Broń dajaków stanowi pałasz, przewiercona trzcina służąca do strzelania, zapomocą dmuchania, drobnych strzał i na przemian używana jako dzi ryt, i nakoniec niezbędna do zasłonięcia się od strzał, tarczy. U rękojeści pałasza, który pasem plecionym przymocowany jest do boku, wiszą długie promienie włosów zabitych nieprzyjaciół, które przy użyciu tej broni obwijają się około ręki a i tarcza drewniana na 4 do 6 stóp wysoka, w różne wzory pomalowana, także tak gęsto obwieszona bywa włosami, że zdaleka zdaje się,

jakby była pokryta skórą jakiegoś zwierzęcia z nadzwyczaj długą siercią. U trzciny stanowiącej świstulę, osadzony jest żelazny bagnet lub rodzaj żelaza jak u lancy, a u pasa obok pałusza, przyczepiony jest sajdak pełen strzał, które się z owój trzciny rury za pomocą silnego tchu rzucają. Na rycinie wojownik nasz nie ma jednej jeszcze bardzo używanej i charakteryzującej dzikie pokolenia broni, to jest: pałki albo maczugi zrobionej zwykle z twardego drzewa, a niekiedy z żelaza, i służącej według potrzeby do uderzenia albo do rzutu.

Widok takiego bohatera i jego broni, łatwo daje odgadnąć, czego się jego nieprzyjaciele obawiać od niego mają, ale wewnątrz ich mieszkań jeszcze wyraźniej tę kwestję objaśnia. Wsie ich są zwykle otoczone polami ryżowemi, a składają się z niewielu długich budynków stojących na słupach, 15 do 20 stóp wysokich. Po pniu drzewa, zastępującym wschody, wchodzi się do pierwszej części budynku, stanowiącej niby wspólną salę. Pierwsze spojrzenie wchodzącego, pada tu na jedyną ale obrzydłą i straszną ozdobę, to jest mnóstwo tatuowanych i pomalowanych czaszek ludzkich, stanowiących łupy rozbójniczych wycieczek, mieszkańców. Druga część budynku podzielona jest na kilkadziesiąt małych komórek, zamieszkałych przez pojedyncze rodziny. Ściany składają się z desek łupanych z pni palmy Areka, przywiązanych trzcina do słupów i osłoniętych allangiem, wysoką na kilka stóp trawą, zarastającą mokrzadła leśne. W dachu są klapy dla wypuszczania dymu. Prosty stół, kilka mat, kilka wypchanych słomą długich poduszek, służących do siedzenia i bronie po ścianach porozwieszane, stanowią cały sprzęt domowy.

Główniejszym celem wypraw wojennych, dzikich dajaków, są głowy nieprzyjaciół, które dla nich są najdroższą zdobyczą. Otwarty atak nie jest w zwyczaju, owszem podstęp stanowi jedyną i prawdziwą ich taktykę. Z zasadzki napadają oni nawet na kobiety i dzieci, żeby tylko dostać ich głowy. Jeśli ułożą sobie napad na jaką wieś lub pojedynczą chatę nieraz po tygodniu czyhają w zasadzce i wysyłają na zwiady pojedynczych młodych wojowników, którzy się w trzcinie lub w gąszczu gałęzi drzewa ukrywają. Jak tylko większa część mieszkańców wioski uda się na pole, owe czaty dają znak, na który ukryta w pobliżu banda przybiega co prędzej, napada na mieszkania i pozostałych w nich mężczyzn i kobiety zabija a dzieci 6 do 7 letnie z sobą uprowadza.

Zradosnym tryumfem wracają zwycięzcy do domu i witani są przez wszystkich mieszkańców swojej wioski. W upojeniu i zapale zwycięskiej uczyty, zjadają kawałki półupieczonogo ludzkiego mięsa, czego w innych razach nie czynią. Dla słusznego ocenienia tego barbarzyństwa dodać należy, iż podobne napaści i rzezie częścią spowodowane bywają religijnym zabobonem dajaków, częścią zaś zwykłą u nich zemstą za krew, pewnym rodzajem korsykańskiej *vendety*.

W równie miłym sposobie zawierane bywają u tych dzikich małżeństwa. Gdy jaki dajak chce którą dziewczynę za żonę, sadowi się w pobliżu sąsiedniego pokolenia w zasadzce, przebija dziurą pierwszego lepszego przechodzącego i odcina mu głowę. Skoro uzbiera trzy świeże głowy, idzie ofiarować je w darze tej, którą sobie wybrał. Jeśli dziewczyna, wiedząca co ten dar znaczy, przyjmuje go, to już małżeństwo co do najgłówniejszego punktu zawarte i odtąd młoda żona, uprawia mu ryż, gotuje i przyprawia wszelką żywność, krząta się około domu, podczas gdy jej mąż, a raczej pan, leżąc na macie słomianej żuje betel.

Ważnym artykułem handlu tych dzikich pokoleń, są porwane innym pokoleniom dzieci, które sprzedają stale osiadłym pokoleniom dajaków i za nie tytoń, sól i żelazo biorą. Dzieci te kupowane są na to, żeby je na grobach umarłych krewnych nabywcy zabijać, ale niekiedy bywają także przyjmowane do pokolenia, bo wzajemnie dajakom porywane bywają ich dzieci i innym pokoleniom przedawane.

Nie powinniśmy jednak pominąć niektórych chwalebnych rysów charakteru dajaków, którym nie zbywa na pewnym rodzaju dobroduszości. Przede wszystkim zasługuje na pochwałę troskliwość matki względem dzieci. Gdy idą w pole, starsze biegną około nich, a najmniejsze jedno lub nawet dwoje, przywiązuje ona do siebie pasem nad biodrami. Przyszedłszy na pole do roboty, składa dziecię na ziemię, a gdy zapłacze, spieszy do niego nakarmić lub uspić. Dalej między swojemi, dajaki zachowują najściślej uszanowanie cudzej własności i każdy woli wytrzymać głód jak najdłużej, aniżeli ukraść choć garstkę ryżu. Zamki u mieszkań wcale nie są znane. Najpowszechniej jednak chwalona jest ich gościnność. Cudzoziemiec lub człowiek z innego pokolenia, wchodząc do chaty dajaka, może być pewnym najuprzejmiejszego przyjęcia, zmuszają go prawie do jedzenia i dają mu najwygodniejsze w całym domu poślanie, nigdy nie uprzykrzając mu się żadnemi pytaniami. Znana podróżniczka Ida Pfeifer, która wprowadzie

podróżowała tu pod protekcją Radzaha Brooke, przepędziła nie mało czasu między temi dzikimi hordami, które same nie mogły się wydziwić śmiałości téj białej kobiety. Przeprowadzali ją oni pod eskortą jakby osobliwość godną widzenia, od pokolenia do pokolenia i nigdy nie dali jój powodu do uskarżania się, a jednak ta nieustraszona niewiasta przyznaje, że nieraz doznawała dziwnéj niespokojności. Kiedy wśród ciemné nocy spoczywając między chrapiącemi wojownikami przy słabym blasku gasnącego ogniska, patrzyła na suszące się nad niem i niezbyt miłą woń rozlewające ludzkie głowy.

Dwie inne postacie naszej ryciny, należą do położonej na wschód i także do posiadłości holenderskich należącej wyspy Timor, a właściwéj dziwnie ubrany i muszkietem uzbrojony wojownik, jest z Amfoang prowincyi na wyspie Timor, a kobieta z sąsiedniej wysepki Rotti. Timor jest najważniejszą z małych wysp Sunda, które przy brzegach są nader gorące i niezdrowe, ale w wyżej położonych miejscach, jak to uważamy powszechnie pod zwrotnikami, mają daleko zdrowszy klimat; południowo-zachodnia część wyspy Timor, należy do holendrów; północno-wschodnia zaś do portugalczyków.

W ogóle mieszkańcy Timoru podobni są innym pokoleniom malajskim, jakimi są Dajaki, Alferani i t. d. Kolor ich skóry jest jaśniejszy lub ciemniejszy brunatnym. Tatuowanie nie jest u nich w użyciu, ale niektórzy malują ciało różnemi kolorami. Bogatsi noszą naramienniki srebrne lub z kości słoniowej, ubożsi zaś z miedzi, które przystrajają sznurami pereł i na czerwono farbowaną kozią siercią. Ubranie mężczyzn stanowią chusty wełniane z rysunkami kwiatów i innych ozdób, które zarzucają na plecach kamizeli bez rękawów i około bioder obwijają. Bo-

gatsze kobiety noszą bawełniane kaftaniki z kolorowemi sznurami i obcisłą czerwoną suknią obszytą pstrami różnej szerokości taśmami. Najprostszy strój na głowę stanowi czerwona albo żółta chustka, u której zwiesza się na czoło srebrny półksiężyc lub kilka pereł.

Wojny u wszystkich pokoleń na wyspie Timor prowadzone są przez tak zwanych Meosów, którzy wywierają wielki wpływ na stosunki polityczne, ale też w każdej bitwie, stoją na czele walczących i zachęcają swoich podwładnych do równego męstwa. Strój tych bohaterów jest bardzo dziwny. Krótki pałasz u którego rękojeści wisi pęk czerwonych kozich włosów, noszą tuż pod lewem ramieniem. Z tyłu za pasem zatknięta jest giętka, kilku srebrnymi ostrzami zakończona trzcina, z wiszącymi kilku pękami czerwono farbowanych za pomocą gummy nazywanéj krwią smoczą, włosów i z piórami papug zielonemi lub czerwonymi, co wszystko przez ruchliwość giętkiej trzciny w chodzie i przy powiewie wiatru wprawione w ruch, istotnie uderzającym jest widokiem. Głowa zwykle obwinięta jest różnobarwną chustką, ale czasem dodają do tego rozmaite fantastyczne ozdoby. Większa część wojowników nosi długie zlepione i poziomo skrecone wasy. Często noszą oni małe na taśmie obwieszane dzwonki używane przy tańcach i śpiewach meosów. Ale największą cenę przywiązują do posiadania broni ognistej, która jako najważniejsze dziedzictwo z ojca na syna przechodzi, ale broń ta jakkolwiek pochodząca z europejskich albo amerykańskich fabryk, skutkiem nieumiejętnego ich obchodzenia się z nią, w tak złym bywa stanie, że żaden europejczyk nie odważyłby się jój użyć.

## PIEŚNI LUDU.

### I.

„Płomień rozgryzie malowane dzieje,  
Skarby mieczowi spustoszą złodzieje:  
Pieśń ujdzie cało, tłum ludzi obiega;  
A jeśli podłe dusze nie umieją  
Karmić ją żalem i poić nadzieją,  
Ucieka w góry, do gruzów przylega,  
I ztamtąd dawne opowiada czasy.”

*Pieśń wajdeloty.*

Na całej kuli ziemskiej, przez ludzi zamieszkałej, okrzyk radości albo jęk boleści, po wszystkie czasy,

we wszystkich językach, przez śpiew się objawia. Najdziksze plemiona jak również ludy najoświecześniejsze kochają i nienawidzą, modlą się i bronią przeciw siłom złowrogim, cierpią i w szaleństwo wpadają, a wszystkie te uczucia przez śpiew tłumaczą. Śpiew ludowy współczesny jest światu i z nim pospołu istnieć będzie wiecznie. Myśliwy w lasów gęstwinie, rybak w swém czółenku, wojak wśród bitwy, matka przy kolebce niemowlęcia; syn na grobie ojca, młó-

da dziewica, z przyjacielem serca rozłączona; goście na uczcie weselnéj; marzyciel w samotności lub pod gwiazdzistém nocy sklepieniem, wszyscy poruszenia swéj duszy w dźwiękach wylewają. Śpiew jest to życie. Naród śpiewa, walcząc z jednostajnością i prozą życia codziennego, a śpiewa tak, jak wieje wiatr, jak szemrze strumyk, pod wpływem potężnéj siły tajemniczéj. I poeta z czasów oświeconych, głosząc, w chwilach zapału, prawdę, podaje nam tylko pieśni pierwotnych odgłosy; słucha pilnie dźwięków natury, i sztuczne im tylko formy nadaje.

Pieśń ludu wszędzie się rozlega. Misyonarze chrześcijańscy słyszeli rzewny śpiew Grenlandczyka, w lodowatéj chatce zgon rodziców oplakującego; marynarze zbliżając się do wysp na oceanie południowym rozsianych, słyszeli wśród woni kwiatów zwrotnikowych, smutne melodye, krwawe dzikich uczty poprzedzające; na morzu i na lądzie, z wyżyn skał posepnych, na nieprzejrzanym stepów obszarze, po wsiach i miastach rozlegają się głosy ludu już to łagodne i żałosne, już to okrutne i dzikie: jest to koncert niezmierny, który się wszędzie odgrywa, jest to temat, tysiączne mający odcienia. Oto jak na wpół dziki Buryata, rozpacz miłości wyraża: „Na stepach daurskich kwiatek rośnie cudowny; nie piękny dla oczu, ani też wonny; blady, zwiędły listek; pozór ma chwastu dzikiego, ale drogim jest kwiatem! I wielbłąd i koza mijają go trwożnie; pszczoła ani osa nie piją zeń miodu. Nie pozorny, mały, samotny zawsze; ale kwiatek cudowny, bo sok ma jadowity! O! nie chroń się w trawie! Nie zerwę cię teraz: lecz gdy smutek obwije i ściśnie pierś białą, gdy mi świętość odbiorą, którą w méj duszy ukrywam: wtenczas, w nieméj goryczy, bez łez w oczach, przyjdę po ciebie ścieżką potajemną. O! rozpal wtedy płomień w biedném ciele mojem i spal je na prochy, kwiatku mój drogi!”

Herder w zajmującym dziele: *Głosy ludów* (die Stimmen der Völker), podzielił pieśni ludowe według granic geograficznych krajów Europy. Podał nam rozlegającą się wśród śniegów pieśń miłosną Lapończyka, głośnie okrzyki, któremi zmusza do biegu rączego jelenia; pieśni godowe wieśniaków Estonii; ballady litewskie, w których się opiewa rycerz, pędzący po czarnych bagniskach i krzakach zielonych; w których dziewica młoda objawia swą bojaźń, wstępując w związek małżeński; przedstawił wreszcie zadziwiająca pieśń morlacką o żonie Aslan-Agi („Co tam bieleje na zieloném wzgórzu? Czy to kawał śniegu, czy stado łabędzi?” i t. d.). Tym więc

sposobem przedstawił pieśni greckie, rzymskie, sycylijskie, włoskie, hiszpańskie, francuzkie, angielskie, szkockie, niemieckie i słowiańskie. Göthe korzystał z poezyi i podań ludowych w pięknych swych balladach. W nowszych czasach Brodziński, Mickiewicz, Odyniec, Zaleski Bohdan i inni szkoły romantycznój poeci, uwili z podań ludowych wieńce nieśmiertelne, zdobiąc niemi ołtarz Muzy Polskiéj.

Ogólny pieśni ludowych charakter zawiera się w prostoduszném uczuciu serca wylaniu, pełném zapału, w wyrażeniach urywkowych, jakby w przeskokach. Przejścia od jednéj myśli do drugiejj zazwyczaj są raptowne, bezwiedne; śpiewak rachuje na zwykły domysł słuchaczy. Niekiedy sens mowy pochłania całkiem melodyą; to się słyszeć daje szczególnie w pieśniach krajów południowych, gdzie słuch ważniejszym jest od myśli. Widzimy to w hiszpańskim bolero, w pieśniach Sycylii i Kalabryi, w tarantelli neapolitańskiéj. Na północy rzecz inaczej się przedstawia; tam w pieśniach przechowują się wspomnienia i podania ludowe. Takiemi są sagi Islandyi i Norwegii; takiemi ballady Brytanii, żywe podania, dzieje uosobione; z tego źródła Walter Scott czerpał materiały do swych pięknych utworów. Rzecz godna zastanowienia, iż we Francyi bardzo jest mało pieśni starodawnych, bezimiennych, nie wiadomo z kąd powstałych. Spotykają się one w krajach tylko górzystych, pomiędzy myśliwemi, po największej zaś części między Baskami, w wąwozach pirenejskich. W górach w ogóle, przechowują się i przechodzą do potomności liczne pieśni ludowe. W Szwajcyci rozlegają się oryginalne, melodyjne śpiewy, w których żyją podania czasów oddalonych. Tyrolczycy zachowali w ciągu wieków swe prawdziwie ludowe pieśni. Niemcy bogaci są w pieśni ludowe: każdy stan, każde rzemiosło ma właściwe sobie pieśni; w niektórych dochowały się zabytki starożytnego dyalektu niemieckiego. W naszych czasach, jeden z poetów, Hebel, z zadziwiającym talentem to żyzne uprawiał pole; jego też pieśni stały się, swą koleją, ludowemi.

Pieśni cygańskie są mało znane. Cyganie są plemieniem, obdarzoném zdolnością muzykalno-harmornijną; powołaniem ich, w stosunku do plemion słowiańskich, jest instrumentowanie melodyj słowiańskich. Rzecz ta wyłożona obszernie w dziele słynnego Liszta, zasługuje na bliższe poznanie. Dla rzadkości, podajemy tu parę pieśni cygańskich, z przekładem dosłownym.



I.

„Te zelen duba, te zeleneńka,  
Te zeleneńka, te dubroweńka,  
Te ja listija lja, te bumażneńke,  
Tejo murici, tejo mutengire,  
Tėj korypizo, tėj ruteweńko” i t. d.

*Przekład:* Ty zielony dębie, ty zieloniutki; ty zielona, ty dąbrówko! Czyliż nie jedwabne liście twoje? czyliż nie perłowe twe żołądźcie? A samoś ty drzewo, czyż nie całe złote? — Jest to, jak widać, zwrotka cygana do starego dębu, który jemu i jego rodzinie, dał w czasie burzy schronienie.

II.

„Skedente me romale, skedente me czawale,  
Ke malu skery szatra, tenentu merada,  
En jow dżala, urniała, presi wone grestie,  
Presi wone grestie, adrelole czarestie” i t. d.

*Przekład:* Gromadźcie się starzy, gromadźcie się młodzi, do szałasu starosty, na radę. Jedzie on, pędzi na swym koniu białym; na białym koniu, w czerwonym kontuszu.

III.

„Aj kerdia że o czaworo,  
Trin bidy gloszczyny:  
Perwa bida tele czydia  
Peskire skarbasia;  
A o wawir tele czydia,  
Peskire gadiasa ;  
A e trito tele czydia  
Peskire romniasa.”

*Przekład:* Ach, uczyniłże chłopiec trzy biedy główne! Pierwszą biędę precz odrzucił przez swe skarby; drugą biędę precz odrzucił przez swój rozum; trzecią biędę precz odrzucił przez swą żonę młodą.

II.

Pieśni słowiańskie, jednej matki córy,  
Odmienne licem, barwą rozmaite,  
Lecz w jednej wielkiej przeszłości powite,  
Na śnieżnym grzbiecie starowiecznej góry,  
Gdzie orłów gniazda, gdzie gromy chmury;  
Tysiąc was ludu zrodziło czynami,  
Oblicze wasze wypieściła sława;  
Pieśni słowiańskie, z waszemi falami  
Grzmiała i cichła mężów czynna wrzawa;  
I wyście w życiu stały, jak poranek,  
W śmierci, jak jasny mogilny kaganek.

*Józef hr. Dunin-Borkowski.*

Pieśń była nieodstępną Słowian towarzyszką. Słowianin — poganin, podług słów Kollara i Waceroda,

wysoko cenił swe pieśni, utrzymując, że bóstwo dla tego natchnęło niemi serca dziewic i młodzieńców, ażeby język narodowy świeżości swój nie stracił; ażeby naród w nieszczęściu nie upadał na duchu, młodzieńcy zaś i starzy ażeby żywość uczuć zachowali; dbając o swe pieśni jak również o melodyę, nieodstępną ich towarzyszkę. Chociaż upadała nieraz ludów słowiańskich literatura, poezya jednak znów ją do życia budziła, nowych sił dodając i z piersi prostaczka poety już to wzniosłe, już proste wydobywając pieśni. Cypryan Robert, wykładający po Mickiewiczu w Instytucie paryzkim: *Kurs literatury ludów słowiańskich*, w artykule: *Le gouslo et la poésie populaire des Slaves* (Revue des Deux Mondes, z d. 15 lipca 1853 r.) powiada: „Słowianin jest synem swój ziemi. Obcy wszelkiemu mistycyzmowi, nie skłonny wcale do ideałów, które wyobraźnia tworzy, ale zewnętrznej uległy naturze, z zapalem kocha ową naturę, córkę Stwórcy wszechświata i całkiem jój oddany. Oto są jego zalety! Daleki od subtelności ascetyzmu, od abstrakcyi metafizyków, widzi w tém samą mgłę tylko. Dla tego Słowianin nie zna miłości cziczibejów zachodnich, owych kawalerów na usługi pani domu, z całą ich udaną skromnością, z uludnym pozorem, dla rozdrażnienia zmysłów przytępionych wynalezionym. Schiller, Göthe, Byron, którzy w takich czarownych kolorach zachwyty namiętności ukształconego świata malują, nie pojętemi dotąd pozostali dla większości prostodusznych i szczerych synów ziemi słowiańskiej. Dla nich życie na ziemi nie jest czystości pierwotnej pozbawione. To też obyczaje słowiańskie mają coś w sobie takiego, co się dziwnem i niestosownem w towarzystwach Zachodu wydaje. Zachód jednakże nowych sił żywotnych zaczerpnąć mógłby w krytycznych badaniach nad poezją, obyczajami i zwyczajami ludów słowiańskich. Poezya ich i obyczaje obudzić w nas (t. j. w narodach Zachodu) mogą gust do pięknych ideałów, wzmocnić nasz węzeł rodzinny, ożywić obojętność do społeczeństwa i narodowości. Świeżość obrazów, niewinność i że tak powiem, przezroczystość namiętności plemion słowiańskich, zamienić u nas mogą uczucia udane, poezję sztuczną; wyszukane, gorączkowe duszy poruszenia, przesyte i niemoc wyrażające. Genjusz słowiański, daleki od zarozumiałości Zachodu, nie ulega też obłudom jego i cierpieniom; zachował w utworach swych spokój piękności idealnej, jasną czystość form, które charakter starożytności greckiej znamionują. Wszystkie pierwotnych czasów skarby poezyi, znikły nam bez-

powrotnie, zostały tylko w zasadach natury słowiańskiej. Otóż jest tajemnica owego przywiązania umysłów wybranych ku wszystkim kwestyom, bytu słowiańskiego dotyczącym, i otóż dla czego plemię słowiańskie doskonali się stopniowo, gdyż istnienie jego dla ukształcenia i oświaty powszechniej jest koniecznym.”

Z pomiędzy pieśni historycznych Europy, serbskie, pierwsze bez wątpienia miejsce zajmują: są to odgłosy uczuć ludu chrześcijańskiego, który przez całe wieki pod jarzmem jęczał niewiernych. W pieśniach Serbów, opiewających czasy bohaterskie dawnej swobody, oraz klęski okropne, które lud pod panowanie tureckie poddały, ukazują się początki epepei. Z połączenia podobnych urywków, powstały niegdyś Iliada i Niebelungi. Serbowie śpiewają przy dźwięku gitary, gęśłami przez nich zwanej. Pieśni ich rozlegają się ze szczytów gór, z kąd pasterz trzody swe prowadzi; ożywiają one i żyzną równinę, i bujne pastwiska, i lasy cieniste. W Serbii śpiewa i starzec srebrnowłosa i rozkwitająca dziewczica i młoda mężatka i dzielny junak, z po za skały mierzący do wroga swego, Turka. Życie to dzielnych ojczyzny i niezależności obrońców, maluje się też dobitnie i w pieśniach kleftów greckich, wybornie na język polski przez A. Chodźkę przełożonych. Pieśni serbskie posiadamy w mistrzowskich przekładach Józefa Bohdana Zaleskiego i Romana Zmorskiego.

Bogata jest skarbnica pieśni polskich; część ich szczupła za ledwo światu się ukazała, krążą one po kraju Lechitów, na dawnych ziem obszarach do Polski należących. W zbiorze rękopiśmiennym pieśni ukraińskich przez Zoryana Dołęgę Chodakowskiego zebranych, znajduje się znaczna dosyć liczba polskich, nigdzie dotąd, jak się zdaje, nie drukowanych. Podajemy tu z nich jedną:

Przyleciały <sup>1)</sup> dwa gołąbki,

Héj Lelo, Lelo, dwa gołąbki.

Siadły <sup>2)</sup> sobie na dębie,

Héj Lelo, Lelo, na dębie.

Wyszedł pan, chciał ich strzelać,

Héj Lelo, Lelo, chciał ich strzelać.

Nie strzelaj nas pyszny panie!

Héj Lelo, Lelo, pyszny panie.

<sup>1)</sup> W rękopiśmie: *przyleciało*.

<sup>2)</sup> W rękopiśmie: *siedli*.

Polecimy w świat daleki,

Héj Lelo, Lelo, w świat daleki.

Przyniesiemy rajske jabłko,

Héj Lelo, Lelo rajske jabłko.

Do tego jabłka pierścioneczek,

Héj Lelo, Lelo, pierścioneczek,

Będiesz miał dla kochanki,

Héj Lelo, Lelo, dla kochanki.

Polskie pieśni ludu ukazały się w druku po raz pierwszy za czasów Zygmunta Augusta. Broszura Jana z Wychylówki, drukiem gockim, pod napisem: „Kiermasz wieśniacki, albo Rozgwara Kmosia z Bartoszem na za-Wiślu,” mieści w sobie kilkanaście pieśni ludu na kołędę, mięsopust i pieśni miłosne ludu. Tego rodzaju pieśni są też rozrzucone, lubo rzadko, po dawnych broszurach z XVI i XVII wieku (*Wójcicki, Hist. Lit. Pol. I, 76*). Długo potem pieśń ludu, przez dudarzy i lirników zachowana, nie pojawiała się na widok publiczny. W r. 1818 Zoryan Dołęga Chodakowski (Adam Czarnocki), pierwszy zwrócił uwagę na pieśni ludu w rozprawie ważnej nadzwyczaj: „O słowiańszczyźnie przed chrześcijaństwem.” (*Cwiczenia naukowe. Krzemieniec, 1818. Tom II*). Wcześniej jeszcze, bo w r. 1802, X. Hugo Kołłątaj widział potrzebę napisania dzieła, któreby obejmowało pieśni, podania i obrzędy ludu polskiego (List do J. Maja, księgarza w Krakowie, pisany z więzienia w Ołomuńcu, d. 15 Lipca 1802 r.); ale myśl ta zacnego męża, w rękopiśmie ukryta, za ledwie w lat kilkadziesiąt stała się wiadomą narodowi (Hugona Kołłątaja: *Listy w przedmiotach naukowych. Kraków, 1844. Tom 1, str. 23*). F. L. Czelakowski wydał w Pradze Czeskiej r. 1822—27 *Zbiór słowiańskich pieśni ludowych* (Słowanské národnj pjsnie), w 3 tomach; pieśni polskie zawierają się w tomie II, na str. 73—79 i w tomie III, str. 86—95.— W dziełach Ł. Gołębiowskiego: a) *Ubiory w Polsce* (Warsz. 1830), b) *Lud Polski, jego zwyczaje, zabobony*; c) *Gry i Zabawy* (1831), d) *Domy i Dwory*, znajduje się dosyć znaczna liczba pieśni polskich i wyjątków z nich, a mianowicie w II i III części. W r. 1833 Wacław z Oleska (Zaleski) wydał we Lwowie „Pieśni polskie i ruskie ludu Galicyjskiego, z muzyką instrumentowaną przez Karola Lipińskiego” (w 8-ce, str. LIV i 516. Muzyki str. 183). W zbiorze tym oprócz właściwych pieśni ludowych, mieszczą się wszystkie prawie pieśni polskie i ruskie, które roz-

głos w narodzie znalazły. Najgłówniej zachowaniem melodyj już wielu zapomnianych pieśni, Wacław z Oleska wielką wyświadczył przysługę literaturze krajowej. Ze zbioru tego Wacław Hanka wydał *Krakowiaki* z przekładem czeskim (Kakowiakiy aneb pjsnie národní polské s českým přeložením, od W. Hanky. W Praze, 1834, 16-ka; str. 114). W r. 1836 ukazały się w Warszawie, zebrane przez K. Władysława Wójcickiego „Pieśni ludu Biało-Chrobatów, Mazurów i Rusi z nad Bugu” (z rycinami i muzyką) w 2ch tomach. Z następnych zbiorów pieśni polskich, na szczególną zasługują wzmiankę: 1) *Pieśni ludu polskiego w Galicyi. Zebrał Żegota Pauli*. Lwów, 1838 (8-ka, str. 234). 2) *Pieśni ludu krakowskiego. Zebrał J. K. (Konopka)*. Z rycinami i muzyką. W Krakowie, 1840 (12-ka, V, 165). Zawierają krakowiaki, pieśni weselne, pieśni obrzędowe

i pieśni różnej treści. 3) *Pieśni ludu Wielkopolskiego. Zebrał i wydał J. J. Lipiński*. Część I. Poznań, 1842 (12-ka, str. 216. Z muzyką). 4) *Pieśni ludu Podhalan czyli górali tatrowych polskich. Zebrał i wiadomość o Podhalanach skreślił L. Zejszner*. Warsz. 1845 (8-ka, str. 173). 5) *Dodatek do zbiorów pieśni ludu polskiego i ruskiego przez K. J. Turowskiego*. We Lwowie, 1846 (12-ka, str. 32). Jest to uzupełnienie zbiorów Wacława z Oleska i Żegoty Pauli. — Najważniejszym zaś z pomiędzy wszystkich, jakie mamy dotąd, zbiorów pieśni ludu polskiego, jest dzieło wydane w Warszawie r. 1857 pod napisem: „Pieśni ludu polskiego zebrał i wydał Oskar Kolberg” (8-ka, str. 448). Oprócz melodyj do pieśni z wielkim trudem zgromadzonych, dzieło to przedstawia najwierniej postacie i ubiory kmieci polskich. J. S.

## O ŻYCIU ANTONILLI I ELEONORY CYRYNIANEK.

Antonilla i Eleonora Cyrynianki, urodziły się, pierwsza r. 1753, a druga we dwa lata później, na Ukrainie, we wsi Lemieszach dziedzicznej ich ojca Kazimierza Cyryny starosty Taborowskiego — matką ich była Anna z hr. Krasickich Cyrynina. Obie pod okiem matki wychowywały się w domu rodziców. Opuściły wraz z rodzicami Ukrainę w r. 1768 i mieszkały stale w Powiecie Krzemienieckim we wsi Podzamczu. — Wowym czasie odżywiająca się coraz więcej literatura narodowa kształciła ich umysł. Literatura ta była ulubionym zajęciem się. Ulotne, małe ich pisemka warte zachowania, po różnych ginęły ręką — a autorki nie przywiązując do nich cenny, nic u siebie nie zatrzymywały.

W czasie przejazdu króla Stanisława Augusta przez Wołyń do Kaniowa, obie siostry powitały go wierszem mile przyjętym od uczonego monarchy — ten wówczas drukiem ogłoszony, dziś trudnym już jest do odszukania — Antonilla zaślubioną została w r. 1784 Stanisławowi Modzelewskiemu szambelanowi Dworn Polskiego, a Eleonora w r. 1792 Xaweremu Malczewskiemu. Ostatnia przelewając czasem na papier swe myśli, malowała piękność natury, uczucia dla dzieci, wdzięczność dla przyjaciół. Żałować potrzeba, że pisma jej między osoby, które po największej części już nie żyją, rozrzucone, przypadkiem chyba znalezione być mogą. Mieszkała najwięcej w majątności męża swojego, na Podolu, w mia-

steczku Tarnorudzie i tam życie w roku 1822 zakończyła.

Antonillę Modzelewską, czy żal czy smutek udęczył, czy ożywiła wesołość, wszystkie wypadki życia, wszystkie uczucia, lubiła przelewać na papier. Żadnego swych pism nie robiła zbioru — zachowane w różnych ręką, mogą zaginać. Kilka z małej liczby znalezionych po śmierci, umieszczamy.

### *Przyjemność prawdziwa.*

Bogdaj z cnotliwym człowiekiem mieć sprawę;  
 Życie z łagodnym, z rozumnym zabawę.  
 Nie żądać wsparcia od siostry, od brata,  
 Chętnie użyczyć proszącym dukata.  
 Szczęśliwy daje, nieszczęśliwy prosi  
 Walczy z uciskiem nim nędzę ogłosi.  
 Bogdaj uprzedzić potrzebnego prośby  
 Które są tkliwsze jak bicze, jak groźby.  
 Bogdaj w mierności użyć darów nieba,  
 Wszak pocziwemu nie wiele potrzeba  
 By był wspaniały, by był dobroczynny.  
 Niech tylko to zna, co ludzkości winny.  
 Bogdajby cnota umysłem władała,  
 Prawa spokojność serce zajmowała.  
 Dusza, co pełna szlachetnej czułości  
 Między przyjaźnią i czułością gości.  
 A znając Boga i natury związki  
 Nie zna, czy trudzą życia obowiązki.

Miłym uśmiechem pociąga do siebie  
Żartem tych cieszyć którzy są w potrzebie.  
Być cieszącymi, wszak to nakaz z nieba  
Śmiać się, lub płakać gdy tego potrzeba.  
Bodaj żyć z temi co żyją spokojni,  
Skąpi dla siebie, dla nieszczęsnych hojni,  
Pogardy okiem nie patrzą na brata,  
Wszyscy jesteśmy, mówią, dziećmi świata.  
Ten z nami igra, na dół, w górę rzuca,  
Cackami bawi, cackami zasmuca.  
Jednemu wydrze, drugiemu da skrycie,  
Od pieluch zacznie, dręczy całe życie;  
I z stojącego nad grobem żartuje,  
Jeszcze mamidła jakieś pokazuje.  
Bogdaj wielkości nie zajrzeć nikomu,  
Siedzieć w małym ale własnym domu.  
Bogdaj z cnotliwym człowiekiem mieć sprawę,  
Życie z łagodnym, z rozumnym zabawę.

*Do młodego przyjaciela S. S.*

Nie miłe knieje Stasiowi, ale on niewie dla czego,  
Coś go zachwyca i łowi, obok z nim jest coś miłego  
I te coś sen mu utracą, marzenie tylko zostawia,  
W niwecz się Stasio obraca, tem *coś* się tylko zabawia  
A to dopiero od lata widziemy w nim te odmiany  
I cóż to jest u kata? czyliż do bractwa wezwany  
Tych co prawdziwie kochają, co sztuk nie znają chytrłości,  
Co jęczą; płaczą i tają okrutne bóstwo miłości.

*Rozmaite życia ludzkiego przeciwności.*

Jeden się topi, drugi się zabija,  
Trzeci truciznę z rozpaczy wypija.  
A wszystkiego rzecz jest jasna,  
Co przyczyną? miłość własna.  
Temu Fortuna nie sprzyja,  
Tego Wenus zdała mija,  
A nadzieja bałamuci,  
Więc niech wszystko śmierć ukruci.  
Wszyscy ludzie na tej ziemi,  
Są odemnie szczęśliwsiemi.  
U dworu żadnej zalety  
Nie zrobiły mi kobiety,  
Chociaż każda twarz mą chwali,  
Szpetni ordery pobrali.  
Bywam grzeczny, bywam modny  
Miły jak dzionek pogodny.  
Z skaczącymi razem skaczę,  
Gdzie potrzeba tam zapłaczę,  
Na nic mi się to nie przyda,  
Przy mnie bięda za mną bięda.

Te zaś gbury co pracują,  
Dobro na ziemi znajdują.  
Wiesniak wieźdza do stolicy,  
Z jakiejś leśnej okolicy.  
Dobrze płaci wszystko złotem,  
Bo wydobył z roli z potem.  
Cenią go drożej nademnie;  
Na cóż mam żyć nadaremnie?  
Dowcipne, miłe mi żarty.  
Mało waży los uparty.  
Tego co hreczki sieje,  
Wspiera szczęście i nadzieje.  
Próżnujący każdego tkliwy,  
Próżniakom świat obrzydliwy.  
Zazdrość szkło zwiększenia nosi,  
Próżność same fruszki głosi.  
Ten na urząd nie zasłużył,  
A choć go wziął to źle użył.  
Tego kochanka zawiodła,  
U tego jest dusza podła.  
U tej matki córka zradna,  
U drugiej nie bardzo ładna.  
Lub ojciec syna zamyka,  
Jak złoczyńcę, niewolnika.  
Stryj synowca wygnoł z domu,  
Że coś zrobił pokryjomu.  
Zbiory takich wiadomości,  
Skutkiem są lekkiej próżności.  
Nasze myłki nadto drobne,  
Do dojrzenia niepodobne.  
Więc źle było, jest i będzie,  
Tak jak duma na urzędzie,  
Przy samolubach łakomstwo,  
Przy zbiernych bogaczach skąpstwo;  
Hojność niebaczna rozrzutnych,  
Miłość w sercach bałamutnych.  
Zatem, na co się zabijać?  
Na co truciznę wypijać?  
Przestań na tém, czém los darzy,  
Szczęście zwykłe w śnie się marzy.  
Lotnym pędem życie bieży.  
Spokojność od nas zależy.

Do późnego wieku Antonilla Modzelewska lubiła społeczeństwo i zachowała naturalną spokojnościę-wesołość. Najtroskliwszém było jęj staraniem zaszczepić dzieciom i wnukom wiarę i poddanie się woli Bogo. — Błogosławiąc je, zakończyła życie w roku 1832 10 wrześ. mając lat 77, pochowaną została na Podolu w Kunie na cmentarzu przy kościele OO. Kapucynów.





Fig. 4. - Thru. n. Alexander. Alti. or Engraving.

Harmony - 1846

## DOLINA CHAMOUNIX.

(Z RYCINĄ NA STALI.)

Trudnoby dziś spotkać przez pół nawet dobrze wychowane czternasto-letnie dziecko, któreby o górze Montblanc, albo dolinie Chamounix nie potrafiło tak dokładnie rozpowiedzieć, jakby samo kilkakrotnie widziało to miejsce. Przy tem, jak to łatwo i wygodnie można teraz pieszo lub powozem, (kolei żelaznej dotąd nie ma, ale pewno będzie niedługo) z Genewy, bitym gościńcem wzdłuż doliny Arwy, przebiecz ośmnasto-godzinną odległość do Chamounix! Na całej tej drodze nie brak miast i wsi, a w nich wszelkich potrzebnych wygod. Cała ta okolica tak jest osiedloną i uprawną, a tak licznie przez rozmaitych cudzoziemców zwiedzana, że prawie śmiesznem byłoby, gdyby ktoś w naszych szczęśliwych czasach uważał podróż do Chamounix za coś szczególnego.

Dziś rzeczywiście ta podróż jest igraszką; ale przed stu laty! Czy przed stu laty, wiedział kto choć cokolwiek o dolinie Chamounix i górze Montblanc, prócz samego nazwiska! Weźmy najobszerniejsze dzieła geograficzne i opisy podróży z tamtych czasów, cóż w nich znajdziemy, nic, albotyle co nie! Nawet sławny podróżo-pisarz Jan Scheuchzer, który w r. 1723 wydał opis podróży po Alpach szwajcarskich pod szumnym tytułem *Itinera per Helvetiae alpinas Regiones*, zna wprawdzie nazwę rzeki Arwy przepływającej około Chamounix, ale cały łańcuch góry Montblanc, tak mu jest znany, jakby się w Chinach znajdował. Tyle on o tych górach wiedział, ile my dziś o źródłach Nilu i tyle tylko o nich mówi, że góry te znane są w Genewie i okolicach pod nazwaniem gór przeklętych (*les montagnes maudites*) a jednak najdziwniejszém jest to, że ta cudowna dolina, której historia niedawno z pleśni starych pergaminów została odgrzebaną, mogła tak długie wieki jakby umarła spoczywać, chociaż już od ośmiuset lat należała do cywilizacyi, chrystjanizmu i historyi.

Dolina Arwy biorącój początek w wąwozie Balme, a pod Genuą wpadającój do Rodanu, zaczawszy od miasta Cluses, aż do St. Martin i Sallenches zowie się doliną Maglans od wioski Maglans, leżącój pra-

wie w połowie jój rozciągłości. Od Sallenches, zaś aż do wąwozu Balmo, nazywa się doliną Chamounix a to z tój prostój przyczyny, że przeorat Chamounix, położony w środku tój doliny, dawniej posiadał większą część jój gruntu i dziś jeszcze stanowi najznakomitszą parafję w tój okolicy. Ale skąd pochodzi nazwa Chamounix? Niedawno jeszcze żaden uczony nie wątpił, że nazwa ta pochodzi od francuzkiego wyrazu *Chamois*, dzika koza — że zatem dolina Chamounix, znaczy dolina dzikich kóz. Ale właśnie na tem nazwisku pokazało się, jak bardzo uczeni mylić się mogą. Przypadek zdarzył, że angielski kapitan Markham Shervill, który przed czterdziestu laty, kilkakrotnie bawił w Chamounix, a w r. 1825 z tój doliny wyprawił się na szczyt góry Montblanc, pewnego dnia w archiwum klasztoru miejscowego, robiąc poszukiwania za przyzwoleniem przeora i w obecności p. Paccard urzędnika z Chamounix, znalazł stary kuferek, a w nim odwieczne pergaminy, i między niemi dobrze zachowany, w języku łacińskim spisany, pieczęcią na białym wosku wyciśniętą opatrzony dokument, dostarczający najdokładniejszych wiadomości o początku i nazwie przeortu Chamounix, bo to był oryginalny akt darowizny i fundacyi klasztoru. Akt ten spisany był w imieniu hr. Aymo z Genewy, który Benedyktynom z Cluses i Sallenches darował *omnem campum munitum* to jest: całą od natury obwarowaną przestrzeń ciągnącą się *ex aqua Dionsa usqu ad Balmas*, to jest, od ujścia rzeczki Dioza do Arwy (pod Servoz), aż do wzgórza Balmas. Daty na tym dokomencie nie było prócz słów *Papa Urbano regente*, a Papież Urban (II) panował od r. 1088 do 1099, w tym czasie zatem fundacja ta dokonana być musiała. Równie jasnym był tu wywód nazwy Chamounix, bo *Campus munitus* w języku francuzkim, którym w tój okolicy od niepamiętnych już czasów mówiono, nazywa się *Champ muni* z czego nazwisko Chamounix powstać naturalnie musiało.

Tyle pokazywało się z tego aktu darowizny; ale oprócz niego znalazły się w tym samym kufrze in-

ne jeszcze pisma, zawierające dalszą historję tego miejsca. Benedyktyni z Sallenches uszczęśliwieni darem tak rozciąglých gruntów, zbudowawali kościół i klasztor i zaczęli wycinać i karczować las, który wówczas prawie całą tę dolinę pokrywał, ale ich ręce za słabe były do tego, wzięli więc do usług mnóstwo rozmaitych ludzi, którzy sobie około kościoła zaczęli domki budować. Tym sposobem powstała pierwsza osada w Chamounix. Cała dolina należała do przeoratu, ale przeor rozdawał części gruntu przybywającym z różnych stron osadnikom, za pewne przyjmowane przez nich obowiązki służbowe i z warunkiem że rządzić się mają według praw przeoratu i przeora uważać będą za swego zwierzchnika, pana lennego.

Kilka wieków przeszło bez żadnych wypadków i nic ważnego tu nie zaszło. Kolonizacja szła pomyślnie i wnet na gruntach klasztoru wniosła się dość znaczna wioska. Ale przeor w Chamounix nie był samowładnym panem i sędzią, owszem podlegał Opatowi w Sallenches, a z nim razem biskupowi w Genewie; a ponieważ przeorat w Chamounix, tak pomyślnie w majątku się rozwijał, jednemu z biskupów przyszła myśl odwiedzenia tego najodleglejszego kącika dyecezyi. Ten wypadek miał miejsce w r. 1443, a był to wypadek nie zwykle uderzający, tembardziej, że wówczas nie było jeszcze żadnej utorowanej drogi do Chamounix i cała podróż z Genewy musiała być pieszo odbywaną. Ale biskup bardzo szczęśliwie odbył tę drogę i w dniu 4 października przybył do klasztoru, w towarzystwie Opata z Sallenches i kilka służbowych kleryków, bez żadnego nie pomyślnego przypadku. Znalazłszy wszystko w najlepszym porządku i zabawiwszy cały tydzień w Chamounix, dostojny prałat wrócił do swojej rezydencyi drogą przez Annecy (w Sabaudji).

Przez sto lat następnych, nie mamy żadnej wiadomości o Chamounix, ale przez ten czas ludność musiała wzrosnąć, bo według aktu z d. 3 listopada 1530 r. książę Filip Sabaudzki, jako lenny zwierzchnik, pozwolił mieszkańcom Chamounix odbywać corocznie dwa jarmarki, 15 lipca i 30 września i oprócz tego naznaczył czwartek na targowy dzień w każdym tygodniu, co dotychczas pozostało w zwyczaju. Dla podniesienia handlu, naznaczono rozmaite przywileje kupcom i kramarzom obcym, przybywającym do Chamounix, i dla wygody ich, kosztem miejscowego klasztoru i Opactwa w Sallenches, zbudowany został most na Arwie w bliskości Servoz, dla pieszych, konnych i wozów z towarami.

W roku 1606 30 lipca, przybył znowu do Chamounix, dostojny biskup Franciszek z Sales i nie tylko zwiedził klasztor i w nowo zbudowanym kościele skończonym w 1602 r. służącym za kościół parafialny, nabożeństwo odprawił i miał kazanie, ale nadto zwiedził całą wieś, wstępując do każdej chatki, dając wsparcie biednym, niosąc pociechę cierpiącym lub chorym, a wszędzie roznosząc serdeczne błogosławieństwo. To postępowanie S-go męża tak mu ujęło całą ludność, że kilka set ludzi towarzyszyło mu, kiedy po kilku tygodniach wrócił do Genewy i dotąd imię jego utrzymuje się we wdzięcznej pamięci, a cudzoziemcom pokazują w bliskości teraźniejszej wioski Les Ouches skałę, na której stojąc miał ostatnie kazanie do mieszkańców Chamounix.

Znowu przeszło sto lat upłynęło; w dolinie powstało kilka nowych wsi i osad, z których dwie, Les Ouches i Argentiere były tak znaczne, że sobie własne kościoły zbudowały, ale pomimo to wszystko, cała reszta świata nic zupełnie nie wiedziała ani o tej dolinie i jej piękności, ani o kolosalnych gleczerach czyli lodnikach góry Montblanc. Przeciwnie całe to czarowne miejsce, będące teraz Mekką i Medyną wszystkich podróżników w Alpach, było wówczas jakby jaki zaczarowany ogród, zamknięte, i za ledwie ten i ów, spoglądając z jakiego wzgórza w bliskości Genewy, na te olbrzymie szczyty błyszczące jakby kryształową powłoką, zamarzył o gnomach i koboldach, broniących każdemu śmiertelnemu przystępu do tych „gór zaklętych” ale o zbliżeniu się do tego zaczarowanego ogrodu, a tém bardziej o wdarciu się w jego zaklęte tajniki, nikt się nie poważył pomyśleć.

Nareszcie los zdarzył, że w roku 1741 dwaj Angliacy: Windham i Pockocke spotkali się w Genewie; pierwszy był badaczem natury, któremu żądza poznania świata Alp niedawała chwili spokojności, drugi który tylko co powrócił z długiej podróży w Turcyi i Egipcie, równie okazał się chętnym do wycieczki w nieodkryte dotąd okolice. Postanowili przeto zwiedzić dokładnie lodniki Chamounix i pomimo odradzania wszystkich miejscowych mieszkańców, udało im się namówić czterech jeszcze Anglików i dwóch genewczyków, na to szalenie prawie zuchwałe przedsięwzięcie. Najęto konie juczne, na które naładowano zapasy żywności, namiot i t. p. i w dniu 18 lipca 1741 roku karawana złożona z ośmiu podróżnych i z pięciu służącymi, wyruszyła z Genewy. Wszyscy byli dobrze uzbrojeni i w ogóle nie zaniedbano niczego, co podróżującym w pustyni może być potrzebnem.



Za daleko zająć musielibyśmy chcąc opisać we wszystkich szczegółach tę podróż na odkrycie „nowego świata” musimy jednak dotknąć niektórych okoliczności, głównie dla wykazania różnicy między tem co było dawniej, a co jest obecnie. Bo teraz przebywa się ta droga pocztowym powozem w ośmiu lub dziewięciu godzinach, na co wówczas prawie tyle dni potrzeba było.

W d. 19 czerwca, bardzo wczesnie, wyruszyła wyprawa z Genewy i popołudniu przybyła do miasteczka Boneville. Ponieważ wszyscy utrudzeni byli ośmiodzinną drogą i o dalszej na ten dzień podróży myśleć już nie mogli, przeto zanocowali w jedyniej oberży, w której nie znaleźli innego posłania prócz słomy. Nazajutrz z rana podróżni puścili się dalej wąską drogą między górą i rzeką Arwą, ale zato co krok spotykali zachwycające różnaitością krajobrazy, a szczególnie piękne wodospady licznych rzeczulek, które się śnieżną pianą w Arwę rzucają.

Tego dnia dostali się do Servoz, wioski z kilku chatkami złożonej, nie znaleźli tu zatem wcale oberży, ale im pozwolono w stodole noc przepędzić, zostawiając konie pod gołym niebem na trawie. Na trzeci dzień droga była przykrzejszą niż dotąd i tak wąską, że tylko jeden za drugim mogli postępować. Po godzinie tego pochodu przeprawili się już to po raz trzeci przez Arwę, a za nią znaleźli tak stromą skalistą dróżynę, że ledwie konie drapać się po niej mogły i o mało obślizgnięcie się jednego z wierzchowców, nie zrzuciło ich wszystkich w Arwę; ale jakoś skończyło się bez przypadku i po trzech godzinach dalszego pochodu, przeszli po czwarty raz przez rzekę, ale tym razem po kamiennym porządnym moście. Tu zobaczyli przed sobą lodniki, a ten nad wszelki opis wspaniały widok, pozwolił im zapomnieć o wszystkich trudach dotychczasowych. W godzinę później stanęli we wsi Chamounix, która już wtedy bardzo była zaludniona i dla tego znaleźli już dość porządną oberżę. Ale to nie było jeszcze kresem podróży, bo nasi wędrowcy pragnęli koniecznie zwiedzić czarowne tajniki gór lodowych, dokąd jeszcze żadna śmiertelna stopa nie wdarła się dotychczas.

Przeor któremu się z swoim zamiarem zwierzyli i który okazał się dla nich bardzo uprzejmym, odradzał im z najwyższym zapalem, zapewniając, że to przedsięwzięcie do nieszczęścia tylko doprowadzić ich może. Dotąd nikt jeszcze nie odważył się zapuścić w lodniki, a najśmielsi nawet strzelcy kóz i poszukiwacze kryształów górnych i szlachetnych kruszców, zaledwie odważają się zbliżyć do tych cud-

wnych utworów kaprysu przyrody. Ale nasi wędrowcy nie dali się zatrwożyć, owszem posłali po ludzi znanych za najdzielniejszych myśliwców i górników, umówili się z niemi i ugodzili ich za przewodników, i do niesienia żywności i wina. Dla bezpieczeństwa wzięli także siekiery, pochodnie i krzesiwo, na wypadek gdyby im przypadło wśród śniegów i lodów nocować, każdy przytem miał mocny ostro żelazem okuty kij, jakiego używają wszyscy wędrowcy w Alpach. Po przejściu Arwy puścili się stromą dróżką wiodącą przez gęsty las, gdzie nie raz zatrzymywać się musieli, aby odetchnąć i posilić się łykiem wina. Za lasem znaleźli obszerną przestrzeń zarzuconą potężnymi skałami, spadlemi zapewne z niebotycznej góry, a droga tak była stroma i nierówna, że nieraz musieli całą siłą rąk czepiać się skał, żeby nie spaść na dół, tak że to drapanie się w górę, połączone było z wyraźnym niebezpieczeństwem życia. Po czterech godzinach niesłychanie utrudzającej drogi, dosięgli nareszcie wierzchołka góry i tu rozwinął się przed nimi krajobraz, który im wszystkie poniesione trudy hojnie wynagrodził. Świat lodników jak otwarte morze spoczywał przed niemi i tak im się zdawało, jakby to, co przed sobą widzieli, przed chwilą jeszcze było istotnie silnie wzburzonym morzem z wysokimi wałami, spiętrzonemi straszną burzą i jakby to wszystko w jednym mgnieniu oka w lód się zmieniło.

Upojeni podziwem spoglądali przed siebie, alnie myśleli poprzestać na patrzeniu i postanowili puścić się na lodniki. Najbliższy wydawał się jak dolina, chociaż niewiele niżej leżał od wierzchołka góry, na którym stali, a za niemi wznosiła się straszna skalista ściana sięgająca do obłoków prawie i wiecznym pokryta śniegiem. Ten lodnik postanowili zwiedzić i zaraz przystąpili do wykonania tego zamiaru. Ale choć odległość zdawała się nie daleka, droga okazała się niezmiernie uciążliwa i niebezpieczna a ponieważ ziemia pokryta była częścią śniegiem częścią krzemiennym zwirem, nieraz więc zdarzyło im się poślizgnąć i na czworakach posuwać się naprzód jednak po jakimś czasie stanęli u celu i już, mogli stać bezpiecznie, bo lód był ostry i chropowaty. Tu atoli przedstawił się nowy rodzaj niebezpieczeństwa, bo co chwila spotykali rozpadliny w lodzie, czasem na parę cali, czasem na kilka stóp szerokie a zawsze do bezdennej głębokości sięgające; kto nie dostrzeże takiej rozpadliny, często śniegiem pokrytej nie ominie jej lub nie przeskoczy, ten bez ratunku zginąć musi, i nieraz się już podobne nieszczęścia, zdarzały. Zaspokoiwszy ciekawość, pomyślano o od-

wrocie, Z niezmiernym trudem śmieli podróżnicy wdrapali się znowu na szczyt góry, z której przed godziną spuścili się na lodniki; tu wzmocniwszy się jałdem i napojem, puścili się z powrotem do Chamounix, dokąd po zachodzie słońca z wielkim podziwem wszystkich mieszkańców, bez żadnego przypadku zdrowi i cali przybyli.

To była pierwsza wycieczka na lodniki doliny Chamounix. Klucz do lodowego morza znaleziony został przez wstąpienie na Montavert, bo tak się zwała góra na którą dostali się nasi podróżni, a na pamiątkę tego śmiałego i szczęśliwie dokonanego przedsięwzięcia, późniejsi turyści wyryli nazwiska Windham i Pococke, na olbrzymiej bryle protogynu leżącej w tém miejscu, do którego ci dwaj Anglicy dotarli. Bryłę tę nazwano także skałą Anglików a chociaż później jacyś źli ludzie (w 1848 r.), skałę tę prochem rozsadzili, imiona odważnych Anglików zachowują się wiecznie w sercach wdzięcznych podróżnych, którym oni otworzyli drogę do tych wspaniałych widoków przyrody.

Długo jednak przykład Windhama i Pococka nie znajdował naśladowania i dopiero sławny geolog i fizyk Horacy, Benedykt Saussure zwiąwszy sam bez przewodnika górę Montavert i jej najbliższy lodnik, powziął niesłychanie zuchwałą myśl dostania się na szczyt góry, wspaniałego Montblanc. Kilkakrotne usiłowania w tym względzie pozostały bez rezultatu; pomimo że na połowie drogi urządzono z kamieni schronienie do przepędzenia nocy w wysokości wiecznych śniegów, droga okazywała się niepodobną do przebycia. Dopiero jeden z śmiałych alpejskich strzelców, nazwiskiem Jakób Balmat, sam jeden tajemnie wybrał się na szukanie innej drogi; w pierwszej tego rodzaju wycieczce będąc lekko ubrany i nie zaopatrzony ani w żywność i napój, doszedłszy do wysokości 13,000 stóp nad poziomem morza, zmuszony zakopać się na noc w śnieg żeby nie zmarznąć, opłacił kilka-tygodniową słabością zuchwałe przedsięwzięcie, ale przekonał się, że droga którą obrał, przy należytem opatrzeniu się w ciepłe ubranie i zapasy żywności, może doprowadzić do upragnionego szczytu olbrzymiej góry. Jednemu tylko doktorowi Paccard, który go w słabości pielęgnował, odkrył on wynalezioną przez siebie drogę, zobowiązawszy go do zachowania tajemnicy, aby po wyzdrowieniu z nim razem ponowić wyprawę i być pierwszymi ludźmi, którzy się na szczyt Montblanc dostali.

W dniu 8 sierpnia 1786 r. Doktor Paccard i Jakób

Balmat, puścili się w drogę, uprzedziwszy dniem pierwój przeora z Chamounix o swoim zamiarze i uprosiwszy go aby z dobranem towarzystwem usadowiwszy się na górze Brevent i zaopatrzony w dobre lunety, śledzili ich pochodę, dla zaświadczenia o rezultacie wyprawy. Nieustraszeni wędrowcy nocowali o 9,000 stóp nad poziomem morza, na brzegu lodnika La Coté; o świcie puścili się dalej po nieskończonych polach lodowych i do godziny 3 popołudniu idąc prawie bez wytchnienia, jeszcze nie doszli do celu. Doktor Paccard czuł się tak osłabionym, że prawie zwątpił o możliwości zwycięstwa, ale towarzysz dodawał mu otuchy i po nadludzkim prawie wysileniu, o zachodzie słońca stanęli na szczycie Montblanc i w uniesieniu radości rzucili się wzajemnie w objęcia. Nie słyszeli głośnych wiwatów, które im okrzykiwali patrzący na nich z góry Brevent mieszkańcy Chamounix, ale przez lunetę widzieli, że na nich patrzono i powiewano chustkami i kapelusami. Przez pół godziny wypoczywali patrząc na niezrównane panorama rozciągające się pod ich stopami. W powrocie przenocowali znowu tam gdzie poprzedniej nocy; a o godzinie 8 z rana dnia 9 sierpnia, stanęli uradowani w Chamounix, chociaż twarze ich były do niepoznania opuchnięte, a oczy olśnione białością śniegu, długo nie mogły rozróżnić koloru przedmiotów. Te wszystkie przykrości wynagrodziła im myśl, że oni pierwsi z śmiertelnych weszli na szczyt Montblanc.

Saussure dowiedziawszy się o tej tak pomyślniej wyprawie, chciał zaraz spróbować szczęścia na tej nowej drodze, ale pogoda zmieniła się, zaczęły się deszcze i dopiero 3 sierpnia następnego roku przyszła do skutku zamierzona wyprawa, którą dowodził naturalnie Jakób Balmat, a składało dziesięć osób, kilku bowiem ludzi użyto do niesienia zapasów żywności, wina, narzędzi fizycznych do obserwacji, które Saussure zamierzył czynić i namiotu który dla niego na każdym noclegu rozbijano. Nie bez wielkiego utrudzenia i przykrości, mianowicie z powodu zbyt rozrzedzonego powietrza w tak wysokich punktach, wyprawa dostała się na szczyt Montblanc i bez przypadku wróciła do Chamounix, a Saussure niezmiernie był zadowolony z postrzeżeń barometrycznych i termometrycznych, które w rozmaitych wysokościach góry poczynił. Sprawozdanie, które napisał, i które wszystkie dzienniki naukowe powtórzyły, obudziło ciekawość podróżnych i badaczy przyrody w najwyższym stopniu, a podróż do Chamounix szczególnie między Anglikami stała się modną. To też we

dwa lata później, już w Chamounix znajdowały się trzy porządne i obszerne hotele a i w tych nieraz zabrakło miejsca dla znacznej liczby cudzoziemców, którzy w to miejsce przybywali; dalej przysły kawiarnie, kasyna, sklepy, nawet magazyny mód i gdyby Sausure teraz powrócił do Chamounix i zobaczył czem się ta wioska stała, nie uwierzyłby własnym oczom. Ale stan Montblanc w niczem się nie zmienił i pomimo wygodniejszych niż wówczas stacyi do wypoczynku po drodze, wyprawa na szczyt Montblanc nie może

dziś nawet być uważaną za zabawkę i wymaga wielkiej wytrwałości i śmiałości, a liczba tych którzy ją szczęśliwie odbyli, nie bardzo jest wielka. Między innymi najwięcej zasługuje na wspomnienie Marja Porodis, jako pierwsza niewiasta, która udawszy się na tę wyprawę z swoim mężem i kilku innymi podróżnikami, stanęła na szczycie Monblanc, chociaż strudzoną i zupełnie z sił wycieńczoną, towarzysze podróży od ostatniej stacyi zwaną *Grand Plateau* na rękach nieść musieli. Z Polaków, był tu Malczewski.

## RYS DZIEJÓW SZKOŁY ALEKSANDRYJSKIEJ

Z RZUTEM OKA NA BIBLIOTEKĘ, MUZEUM I SAMO MIASTO.

(Dokończenie).

Dopiero Porfir, uczeń jego, najzaciętszą zaczął prowadzić walkę: wtenczas już siły obu stron zaczęły dorównywać sobie. Chrześcijaństwo założył był w Aleksandryi, u drzwi prawie dawniej uczelni pogańskiej, nową szkołę chrześcijańską zwaną *Didascalia*, w której uczono zasad wiary małych dzieci. W Aleksandryi także powstała jedna z trzech wielkich rezydencyi biskupich, a uczeni chrześcijanie jak Sty Marek, S-ty Pantenus, Origines i Klemens z Aleksandryi: mogli śmiało stawić czoło uczonym szkoły pogańskiej.

Liczba więc zwolenników wiary Chrystusa, mimo prześladowań wzrastała co chwila, — cesarze oburzeni, że chrześcijanie nie chcą ich uznać za bogów, coraz nowe wynajdywali dla nich katusze.

Prześladowania poczęły się jeszcze przed Nerone i trwały pod panowaniami Domcjana, Trajana, Adrijana, Sewera, Maksimiusza, Deciusza, Walerjana i innych, ale tak ofiary jak katy stali zawzięcie przy swoim i można już było przewidzieć, że religjańci w czasie r ozwolnionych pogańskich obyczajów, tak umiała ludzi zachartowywać i wykształcać, świat zwycięży. — Rzymska duma oburzała się na to: aby naród niewolników narzucał swoją religję, m, *panom świata*; aby śmiał uważać pokorę za cnotę; oni co inną zasady nad swoją dumę bez miary i granic nie znali. Tak tedy cesarze, panowie i mędracy ówczesnego świata, odrzucali i pogardzali nauką Chrystusa, która szła niezłomna i pewna siebie dopóty, póki cesarze i panowie nie ugięli przed nią

kolan, a mędracy szkoły znikli bez śladu, mniej jeszcze zgnębieni tryumfem chrześcijaństwa, niż własną swoją niemocą. Proklus dopełnił i ostatnie słowo szkoły wypowiedział; po nim już koniecznie upaść musiała.

Niepodobna jednakże mówić o Aleksandryjskiej szkole — nie wspomniawszy słów kilka o samej Aleksandryi, jej bibliotece, muzeum, i naukowym rozwoju.

\* \* \*

Aleksandrya, stołeczne miasto Egiptu, założona przez Aleksandra W-go nad brzegami Nilu, dostała się wraz z całym krajem, po śmierci zwycięzcy — wtenczas kiedy wodzowie jego dzielili się łupami, Ptolomeuszowi Soter, synowi Lagusa. Ptolomeusze z Grecyi rodem, kochający nadewszystko cywilizację grecką, silili się na to aby nauki i sztuki Hellady szczepić nad brzegami Nilu. Ptolomeusz Soter pierwszy założył sławną bibliotekę aleksandryjską i na nią przeznaczył pyszny budynek, który za Ptolomeusza Ewergeta już nie wystarczał; dodano więc na ten cel świątynię Serapis. Ptolomeusze tak gorąco chcieli powiększać swoje biblioteczne zbiory i tak królewsko płacili za dzieła, że to właśnie przyczyniało się, iż wiele pism fałszowano, aby tylko na żądanie zwojów dostarczyć. — Smutny los spotkał bibliotekę aleksandryjską wtenczas właśnie, kiedy doszła już była ogromnych rozmiarów; bo do 400,000

tomów książek spalono podczas pożaru floty Cezara, w 47 lat po Chrystusie — Seneka mówi dość obojętnie o tym wypadku, co by mogło wprowadzić na wnioski, że zbiór ten więcej się odznaczał ilością niżeli doborem książek. — Strata ta dla Aleksandryi była powetowaną, gdyż podczas tryumwiratu Marka Antoniusza, darowana była Aleksandryi biblioteka, którą Atala król Pergamu zapisał senatowi, ale i ta nie lepszymu od pierwszej uległa losowi, bo zburzoną została przez Omara, podczas zwycięstw Arabów.

Drugą instytucję sławną i jedyną w swoim rodzaju założoną przez Ptolomeuszów w Aleksandryi było Muzeum, w którego gmachu czterdziestu ludzi naj-sławniejszych nauką, miało pomieszczenie, życie i towarzystwo królewskie; wolni oni byli od wszelkich publicznych ciężarów, żadne prawie obowiązki nie były na nich włożone. Jeżeli zaś wykładali nauki młodzieży przychodzącej do nich, czynili to więcej z własnej woli i popędu, niż z obowiązku. Kursa jednakże podobne odbywały się pod nadzorem rządu, a ten nadzór był niekiedy bardzo surowy. Może też dla tego filozofja nie zakwitła w muzeum, tam gdzie wszystkie inne gałęzie nauki reprezentowane były przez naj-sławniejsze nazwiska — a wielkie dzieła były owocem tych prac niezmiernych. Żeby się dostać do muzeum, trzeba było jednego tylko tytułu, *uczoności*; wszystkie inne były zbyteczne. Narodowości bowiem tak jak religje, stopnie społeczne tak naj-wyższe jako też i naj-niższe, wszystko to było zmieszane, (wyjąwszy jednak żydów, a później chrześcijan). Chrześcijanom później Konstantyn W. otworzył wejście do muzeum, ale już wejść do niego nie chcieli. Zawsze pod prezydencją księdza egipskiego pracowali oni a naj-więcej nad cywilizacją grecką, którą szczepili w Egipcie. Trudne to wprawdzie i niepodobne było zadanie; bo owi uczeni z muzeum, wspierani i obdarzani łaskami i hojnością królów, składali się tylko z suchych badaczy pełnych nauki, — ale nie mających natchnienia: nie wzniesli się oni jak wieszcz Peryklesowego wieku, brakło im było na to wszystkiego: i nieba pięknej Grecyi i téj uroczej atmosfery Hellady, i entuzjazmu jój ludu, i serc, coby bijąc gorąco, odpowiadały swém tętnem biciu serca mistrzów; — o! tego wszystkiego nie było w ponurym i grobowym Egipcie! Ani wola, ani skarby Ptolomeuszów, tego stworzyć nie mogły — nie podobna było nawet mniejszej na pozór dokonać rzeczy: to jest zlać w jedną całość rząd grecki z masą ludności egipskiej.

Egiptu wiara niezachwiana, zasady stałe, chara-

akter tęgi i nieprzełomny, nie łatwo do zmian można było nakłonić. Płochosć Greków napełniała ich pogardą; Egipcjanie przykuci niewolniczo do dyscypliny kościelnej, brali za bezbożność śmiałość filozoficznych badaczy. To, co było szlachetnego i delikatnego w literaturze greckiej, a co subtelnego i głębokiego w ich dogmatach, dla nich stawało się bezcelnem, tego oni nie rozumieli wcale; a co do reszty mieli się za wyższych pod każdym względem, i oddawali wzgardę za wzgardę swoim zwycięzcom. Cóż znaczyło wreszcie w ich mniemaniu dwa lub trzy wieki sławy, jakimi szczycili się Grecy, w porównaniu z ich dwudziesto-wiekowymi tradycjami?

Wspólnie dwóm ludom podanie głosiło, że kolonia Egipska założyła Ateny; to jednakże nie mogło się wcale przyczynić do pobratania się dwóch ludów, gdyż Grecy powróciwszy do pierwotnej ojczyzny, pogardzali szorstkością obyczajów swych ojców, Egipcjanie zaś uważali je za dzieci wyrodne i zepsute, szczycili się z tego, że pozostali tém czém byli. Nareszcie Grecy ustąpili pierwsi, a prawdę mówiąc, oni jedni ustąpili. Charakter religji greckiej był taki, że mógł inne pochłonąć w swoim łonie nie odmieniając się wcale; gdy zaś przeciwnie religja egipska to miała do siebie, że była religją niewzruszoną, to jest: religją rzeczywistszą.

Tak tedy, jak już widzieliśmy y, filozofja nie zakwitła w muzeum; pod panowaniem Ptolomeuszów, dopiero przy końcu drugiego wieku ery naszej szkoła Aleksandryjska wystąpiła w całym blasku; a założenie jój przypisują niektórzy Potamonowi, a inni Amoniuszowi Sacca, a przewaga jój od razu była wielka, równała się rozległemu wpływowi, muzeum.

Szkoła ta miała trzy ważne fazy czyli okresy, za Plotina była ona szkołą mistyczną metafizyczną i racjonalistowską zarazem, Porfir, Amelius, i Teodor, do niej należą,

Od Jamblichusa zaczyna się drugi rozdział, wtenczas teurgja zastępuje zachwyt, a sztuka wywoływania duchów, demonologja, zabiera miejsce spekulacjom metafizycznym, szkoła przybiera coraz więcej charakter duchowny, tu należą Sopater, Edeziusz, Chryzant i Maksym Sozipatra.

Nareszcie następuje stan zupełnego osłabienia szkoły, religja chrześcijańska zdaje się ostatecznie ją zwycięża, kiedy niespodzianie jeden z uczniów aleksandryjskich, Julian apostata wstępuje na tron cesarów. Wtenczas szkoła wprowadzona w życie praktyczne, nabrała krótkotrwałego blasku. Cesarz filozof trzy lata tylko panował; z jego śmiercią wszel-

ka powaga szkoły ustała, Edeziusz już umarł. Maksym przyjaciel cesarza największemu ulegał przesładowaniu, a Chryzant pędził ciche życie w ubóstwie ukryciu.

O Potomanie i Ammoniuszu Saccas niepewne są wieści, dopiero Plotin (urodz. w roku 205, zm. 270) największy blask i sławę rzucił na szkołę, mamy biografję jego napisaną przez ucznia jego Porfira, z której dowiadujemy się o ile on był nie tylko wielkim filozofem, ale zarazem zacnym i cnotliwym człowiekiem; niezliczona liczba opiek nad opuszczonemi sierotami są tego dowodem, a zatrudnienia jakie na niego z tak licznych zajęć wypływać musiały, często go od ulubionych nauk odrywały, chęć jednak u niego wiedzy była tak wielka, że kiedy się dowiedział o wyprawie Gordjana na Persy; przyłączył się do armii w myśli dowiedzenia się bliższych szczegółów od Magów o religii indyjskiej — chęć tę wiedzy drogo przypłacił, Gordjan był zabity w Mezopotamii, a Plotinowi udało się zaledwie z największą w świecie trudnością i po wielu niebezpieczeństwach i trudach schronić do Antiochii.

W czasie kiedy Plotin mieszkał w Rzymie; cesarz Gordjan i żona jego Salomina, liczyli się do jego najzapaleńszych wielbicieli.

Wtenczas opowiadają niektórzy, że przyszła chęć Plotinowi ziścić marzenia swego uwielbianego mistrza Platona, co do jego republiki. — W tym celu radził cesarzowi, aby podnieść jedno z chylących się miast Kampagnii, zaludnić je filozofami i nazwać Platonopolis. — Ale nie chętni Plotinowi — odwiedli cesarza od téj myśli, do której się już był zaczął nakłaniać.

Plotin tworzył dzieła z taką łatwością, że kto go widział pisać, mógł go łatwo wziąć za przepisującego — ale pisał bez ułożonego wprzód planu i bez żadnej metody. Najsławniejsze są jego *Enneades*; zasady jego są wzniosłej moralności i cnoty; a życie swoje do nich zastosował. Zachęcał zawsze i wszędzie do *wiedzy* i *dobrych*; by trafić do pierwszej, wskazywał metodę dialektyczną; a do drugiego cnotę. — Mistycyzm Plotina jak i całej aleksandryjskiej szkoły, nie wyłącza nauki i rozumu, ale zachwyty mistyczny robi niejako téjże nauki dopełnieniem, całą świetność i całą szkoła Aleksandryjska jest więc, powiedzieć można, skoncentrowana w Plotinie, tam jest siła, tam jest cała doktryna, jego najsławniejsi uczniowie są: Amelius i Porfir. — Amelius, któremu w szkole dano piękny przydomek szlachetnego, zasługuje na uwagę choćby z tego względu, że wywarł wielki

wpływ na przyszłe koleje szkoły, wymagając od Plotina, z którym żył w ścisłych stosunkach przyjaźni, żeby wykład jego był zastosowany do pewnych reguł, żeby nie odpowiadał tak bez planu na wszystkie pytania: reputację miał w swoim czasie wielkiego myśliciela, ale złego autora; z tego więc łatwo można odgadnąć przyczynę: dla czego w historii szkoły on zwykle bywa pokryty milczeniem; mimo że był współzawodnikiem Porfira. Ponieważ ani on, ani Porfir nowiej nie ustanowili doktryny a rozwijali tylko zasady Plotina, Porfir zaś był autor, który pisał jasnie dobitnie i elegancko; a tych zalet autorskich, wcale nie posiadał Amelius, ztąd on wielki filozof, dla współczesnych, — dla potomności, niknie w zapomnieniu.

Co do Porfira, ten urodził się w r. 232 ery naszej pod panowaniem Aleksandra Sewera. Jego ojczyzna nie dobrze jest znana, najprawdopodobniej, że był Fenicjanem urodzonym w mieście Tyrze. Wreszcie w tym względzie jak najsprzeczniesze chodzą wieści inni jego urodzenie do Syrii przenoszą, a inni mianują go Żydem, — opierając się na błabiej przyczynie, że znał dobrze księgi żydowskie że chwalił ich prawodawstwo i że z wielkim uszanowaniem wspominał zawsze o sekcie Eteńczyków; że mógł; znać dobrze księgi żydowskie, jest rzeczą dość prawdopodobną — on, najzaciętszy przeciwnik chrześcijańskiej religii, musiał znać dobrze księgi, na których powadze opierała się taż religja.

Żywy, pełen erudycyi, z umysłem łatwym i porywającym, słowem z najwyższym entuzjazmem dla Plotina, którego znał i rozumiał geniusz: nie uchylający się i niepodległy jak człowiek pewny siebie, on, nie mógł usypiać snem mistycznym, czynności ogromnej, zebrał i ułożył księgi Plotina — ale pośród tych prac i zajęć wstręt niepojęty do życia go ogarnął, wierząc nieodzownie w słowa i nauki mistrza, zaczął on wysoce nienawidzić i ciało swe i kondycję człowieka i postanowił umrzeć, udał się do Sycylii i tam tak zaczął uciążać ciało i odmawiać sobie wszelkiego posiłku, że już niedalekim był końca, gdy Plotin, który się o tém dowiedział, udał się do niego i on co sprowadził chorobę, znalazł i lekarstwo ucząc go, że węzły cielesne nie mogą być rozerwane, jak tylko przez Tego, który je nałożył i że trzeba także mieć rezygnację w miłości. — Otrzymał się Porfir z tego omdlenia i za radą mistrza powrócił do życia i do obowiązków. Oddany nauce, zatopiony w mistycyzmie, Porfir nie znał i znać nie chciał miłości ziemskiej; żonę pojął, był dla tego tylko, żeby się mógł opiekować jej dziećmi, które

były dziećmi zmarłego mu przyjaciela i sam mówił: że żona jego o tyle była mu miła, o ile okazywała upodobania do filozofii.

Dzieła Porfira przeciw chrześcijanom wydane były w Sycylii, zdaje się, że po śmierci mistrza, S-ty Augustyn wspomina o nim — jako o najuczestniejszym z filozofów; nie można jednakże zaprzeczyć, że doktryna jego podobna jest do chrześcijańskiej, S-ty Augustyn poświęca artykuł jego wspomnieniu w mieście Bożem (de Civitate Dei).

A chociaż ta wzmianka pisana była po śmierci Porfira, jednakże autor zwraca tu do niego mowę w te słowa. „I tak Porfirze! ty widzisz zdaleka i niedokładnie krainę, do której wszyscy dążymy; ale nie wiesz drogi jaką masz zejść do niej.” Nazwisko Porfira pod panowaniem pierwszych cesarzy chrześcijańskich, było przedmiotem nienawiści publicznej, przeto z dzieł jego pisanych przeciw chrześcijanom nie zostało. Porfir był Pitagorejczykiem i tem się szycił; zawsze Aleksandryjska bowiem szkoła przyjęła doktrynę Platona w tem, w czém ona jest najbliższą doktryny Pitagoresa — to też Porfir wierzył w metempsychozys — ale już uszlachetnioną, tak jak wreszcie i sam Pitagores, który zapamiętał się jak powiada w jednym z bohaterów Troi. Porfir więc także utrzymuje, że dusza ludzka nie dość oczyszczona pierwszym pobytem na ziemi powraca do niej, jeszcze wszakże nie przemieszkiwa w ciele zwierzęcem, jak to w Indjach mniemają; ale w ciele człowieka, którego gusta, skłonności, więcej są ku materii, ku naturze, niż ku niebu zwrócone i w tém jest największa jej kara. — Porfir, który przeciwstawiał Politeizm chrześcijaństwu, bronił go zapamiętałe powstawał jednakże na wiele ohydnych obyczajów pogańskich, potępiał on szczególnież krwawe ofiary które się z przepisami moralności i filozofii nie zgadzały, mówiąc: rzeczą filozofa jest, aby nie tylko nie poddawać się zwyczajom zepsutym, ale jeszcze starać się ich wytępić. — Czystém tylko sercem i ofiarą samego siebie, można się podobać Bogu. Aleksandryjska szkoła dążyła do religii ogólnej, wpływającej z filozofii, a tu właśnie przeciwnie mitologia z całym orszakiem zabobonów zaważyła szkołę. Żądzą najwyższą szkoły było połączenie charakteru arcy-kapłana z mianem filozofa; póki jeszcze wielcy mistrze jak Plotin, Porfir zarządzili szkołą, zabobony politezmu mniej ją zalewały — ich myśl wzniosła i czysta górowała nad niemi, ale Jamblik (Jamblichus) nie umiał powstrzymać ogólnego popędu czasu ku teurgii zwróconego, a demonologiczne wywoływa-

nia wyżej niż metafizyczne spekulacje go zajmowały, może też dla tego, że Jamblik był tak zupełnie mężem swojego wieku, jak całkowicie wyrażeniem epoki w której żył; jest on bardzo przez współczesnych szanowany i nad zasługę często przed Porfirem, a niekiedy nawet przed Plotinem stawiany. — Jamblichus urodził się w Chalcis Syrijskim.

Pochodzi on z arystokratycznej i możnej rodziny. Cuda jego któremi często wspierał swój wykład, są cytowane zwykle przez jego uczni, pozwalają oni je sobie niekiedy tłómaczyć, ale ich nigdy nie zaprzeczają. Dzieła jego po największej części zostały zatraczone, a ztąd metoda nie dobrze znana, czego jest tém większa szkoda, gdyż filozofja jego zupełnie się odróżniała od Porfira. To tylko jest rzeczą niezawodną, że od czasów Jamblichusa szkoła opuszcza filozoficzne spekulacje: wraca do swojego źródła i nieknie jak najzupełniej w teologii. — Po śmierci Jamblika, aleksandryjska szkoła za ledwie, że już daje znaki życia, gdy jeszcze się znajdzie czasami jakiś wyższy polot, jakiś umysł samodzielniejszy; są to już ostatnie jaskrawe połyski gasnącego ogniska. Takim jest n. p. Teodor z Azinei, uczeń Jamblichusa, pism żadnych wprawdzie po sobie nie zostawił; ale Proklus wspomina o nim ciągle z wielkim entuzjazmem i kładzie go na linii z Porfirem, nazywając go powszechnie wielki Teodor, cudny Teodor, nareszcie Edeziusz, Maksym, Chryzant, odznaczający się głębokim mistycyzmem posuniętym do zabobonu i nienawiścią do chrześcijan, o nich wszystkich nie warto by było wspominać; gdyby nie to, że jest to właśnie chwila, w której razem ze swoim uczniem Julianem apostatą, wychodzą na widownię praktycznego świata. Właściwie po śmierci Jamblika, szkoła aleksandryjska nie była w Aleksandryi; pod panowaniem Konstantego bo do Pergamu się przeniosła jak powiada Eunape, dla nieszczęśliwych czasów, ale ci uczniowie wynieśli z sobą zwyczaje i tradycje szkoły i w Pergamie nie przestaje ona być równie Aleksandryjską. Otóż Edeziusz uczeń Jamblika, założył najprzód szkołę w Kapadocyi, ale ją opuścił, udał się do Azji do Pergamu, jako już jedyne ogniska cywilizacji i literatury, tam otoczyli go uczniowie, Chryzant, Maksym a nareszcie Julian, następca cesarów wtenczas był jeszcze chrześcijanin. Ale Edeziusza siły już zdradzały i musiał zostawić innym to sławne dla szkoły nawrócenie. Edeziusza, Eunape stawia wysoko, na równi prawie z Jamblikim: nareszcie Maksym magik, który miał umieć przez zaklęcie wlewać życie w statuy z marmuru, nauczył

na apostaty, a później jego faworyt na dworze cesarskim umieszczony, pędził tam życie zniewieściałego Sybaryty. — Dopiero kiedy po śmierci Juljana zaczęto go ścigać i przesładować, i wrzucono do więzienia pod panowaniem Valenta i Valentiniana, przypomniał sobie, że jest filozofem i jako taki umarł. Juljan chciał także mieć do swego dworu Ebryzanta, ale ten się stale od tego zaszczytu wymawiał, wziął był sobie za wzór Sokrateofe, którego przypomniał słodyczą charakteru i szlachetnością myśli; umarł w zaciśku, w późnej starości nieznanym i zapomnianym, otoczony tylko liczną rodziną znosząc do końca z godnością wielkie ubóstwo. Tacy byli przedstawiciele Aleksandryjskiej szkoły w chwili, kiedy uczeń ich Juljan Apostata, wstąpił na tron cesarów i objawił najdokładniej dążność szkoły, których wyrazem był: Hellenizm i religja uniwersalna oparta na filozofii eklektycznej.

Historja Juljana Apostaty znana jest wszystkim jego talenta, cnoty i zbrodnie uwieczniły nazwisko to w historii, — Juljan przy urodzeniu nie mógł mieć żadnej nadziei panowania nad światem; po śmierci stryja jego Konstantyna, trzej synowie tegoż podzielili się państwem, a Juljan o mało życiem nie przypłacił pokrewieństwa z cesarzami, gdyż chciano się o ile możności pozbyć wszystkich pretendentów tronu, Juljan winien ocalenie swoje biskupowi Markowi z Arethynu. Wtenczas on wraz z bratem swoim Gallusem udał się do Kapadocyi, gdzie żył w ukryciu, aż dopóki Konstancyusz nie zostawszy sam cesarzem i nie mając nadziei potomstwa, nie wezwał Gallusa do rządów jednej prowincyi z tytułem cezara: niedługo jednakże kazał go zamordować a Juljan otrzymał rozkaz aby na czele armii udał się do Galii, gdzie Rzymianie bój zacięty z barbarzyńcami prowadzili; powodzenia jego jako naczelnego wodza były ogromne; zwycięstwa szły za zwycięstwami, a entuzjazm i miłość wojska wzrastała codziennie ku szczęśliwemu dowódcy. — Jednakże powodzenia takie nie mogły nie rzucić zawiści i podejrzania do duszy. Konstancjusz zląkł się o tron swój, zadrżał może o życie, jednakże nie wypowiedziawszy wręcz myśli swojej, zaczął powoli odbierać Juljanowi zaufanych ludzi, którymi się otaczał; natomiast przysyłał nowych, których Juljan nie znał, a którzy po największej części byli szpiegami: zrzucając nakoniec wszelkie maski, dał rozkaz odwrotu armii, zostawiając Juljana odsłoniętego przed nieprzyjaciołom, którzy jakkolwiek zwyciężeni, nie byli jeszcze tak wycieńczeni, żeby się niepowrócić

i nie użyć prawa odwetu na bezsilnym nieprzyjacielu. Wtenczas wojsko zrozumiawszy zamiary Konstancjusza, a kochając nadewszystko C. Juljana, odmówiło posłuszeństwa powrotu i jednomyślnie wykrzyknęło Juljana cesarzem — Niedługo też potem umarł Konstancjusz, a tak, nie było już żadnej zapory wstrzymującej Juljana Apostatę od wstąpienia na tron cesarów. Ten ukoronowany filozof ukazał światu, jak to i filozofja gdy jest wprowadzona w życie praktyczne i zastosowana do władzy, umie być nieumiarkowaną i nie tolerancką. Juljan pokazał się niesprawiedliwym i okrutnym dla chrześcijan: przesładowania jakich za jego panowania doznano, mogą być porównane z przesładowaniami Nerona, okrutniejsze może jeszcze niż te ostatnie, gdyż jakaś szyderskość bez godności, jakiś dowcip cyniczny był do nich mieszany.

Można z pewnością powiedzieć, że Juljan, jakkolwiek w pierwszych latach życia był chrześcijaninem, nie znał dobrze tej religii, przedstawiającej mu się w cesarzu Konstancjuszu, który mu brata zamordował; w pogardzie cywilizacyi Greckiej, „którą on nadewszystko cenil; strach go ogarnął, żeby razem z nową religją nie zaginęły ślady mądrości i zdobytej nauki pracą wieków; widział, że ludzkość choruje ale nie wiedział na jaką słabość i podając jej przeciwne lekarstwo, o mało że jej nie zagubił. Historja też mimo jego wielkich zalet, potępiała go bezpowrotnie, a Panegirycy, których, jako wspomnienie, przyniósł nam wiek 17, nie mogli go wybawić od ciężkiej nań winy — niepoznania obydwóch spraw; tak tej którą bronił. jak tej którą potępiał: wreszcie niezrozmienia wieku czasu i okoliczności w jakich żył. Nie można żadnym sposobem, kiedy się trzyma w ręku rydwan historii — chcieć wstecz cofnąć ludzkość, chcieć jej zagrozić drogę przyszłego rozwoju bez ściągania na siebie przekleństwa wieków.

Po śmierci Juljana, szkoła ostatecznie zwyciężona. Chrześcijaństwo wszechwładnie zapanowało nad światem, a ostatnia gwiazda aleksandryjska, Proklus, nie w Aleksandryi, ale w Atenach nauki swoje wykłada. Po śmierci Syrianusa, on odziedziczył spuściznę naczelnictwa filozofii; nazwano go wtenczas następcą a to chlubne miano było przywiązane do jego nazwiska; może tym sposobem chciano wyrazić charakter szkoły której nie chodzi o oryginalność ani o nowe wnioski, a jako prawdziwej szkole eklektycznej idzie o rozwój poprzednich filozofii, dopełnienie i oparcie na silnej tradycyi. To przycho-

dzi w historii jako konsekwencja naturalna przeszłości.

Tak jak w Plotynie, i prawie we wszystkich uczniach Aleks: Szk: jest dwóch ludzi w Proklusie: filozof i natchniony, zwolennik Platona i mistyk.

Proklus był ambitny, ale tylko chwały; porywczy, ale przyzwyczajony się zwyciężać — umiarkowany, pełen odwagi, zawsze i ciągle panem siebie; złożony niemocą na łożu śmierci, kazał sobie śpiewać hymny; śpiewał je sam i poprawiał swoich przyjaciół kiedy się mylili; całe życie zachowywał wstrzemięźliwość Pitagoresa.

Kapłan wszystkich religij, jak się sam nazywał wszystkie przypuszczał, to jest: aby w szczególności nie uznać żadnej. Żył lat 70, a przepisy kilku religij skrupulatnie wypełniał.

Proklus nie wyszedł wcale z dróg, jakimi szła szkoła, on we wszystkich kierunkach dochodził zawsze do ostatecznych konkluzyj zasad i metod, zachowując tę samą szlachetność w uczuciach, tę samą czystość we wnioskach moralnych, które największy zaszczyt przynoszą szkole. Ta piękna postać jaśnieje, pełna blasku, w ostatnich czasach pogaństwa i osłania je swoją szlachetną i wzniosłą sławą. Kiedy on znika, można powiedzieć, że razem z nim giną na długo literatura i cywilizacja. Proklus dopełnił Plotina, on wypowiedział ostatnie słowo szkoły; w tym kierunku, w jakim oni nauczali, nic nie było do zrobienia. — To też na Proklusie można powiedzieć kończy się szkoła: kilka jej jeszcze lat istnienia, są to tylko smutne aberracje umysłowe i konwulsyjne konanie, bo przyszło i do tego, że filozofowie Aleksandryjscy zamieniają się tylko na kapłanów bożyszczy, kapłanów bez godności, bo nie wierzą w Boga którym służą. Nareszcie nadchodzą już jej ostatnie konania chwile, i prześladowana od władzy, znieawiedzona od ludu, zwyciężona w po-

rządku idei od śmierci Juljana, w porządku faktów od Proklusa — konwulsyjnie tylko jeszcze drgając, świadczy o swym życiu. — Któż nie wie o tej pięknej i nieszczęśliwej kobiecie, jednym z ostatnich jej uczniów, wykładającej zasady szkoły, w czasach najburzliwszych i najkrytyczniejszych, Hipatii? — Hipatia, córka Teona z Aleksandryi, której wszyscy historycy jednoznacznie przyznają wielką naukę, porywającą wymowę, wzniosłą piękność i cnotę — została przez roznamiętnioną ludność chrześcijańską zrzucana z wozu na którym jechała, przeniesiona do przysionku kościoła i tam ukamienowana, a ciało w kawałki pokrajane, roznoszone jako trofea po ulicach miasta. Tak tedy Helenizm wycieńczony długo-letnią walką i własną niemocą, nie umierał jednakże bez tragedii.

Nareszcie w roku 529 dekret Justyniana zamknął szkołę Ateńską; stało się to za konsulatu Deciusza. Damascius uczył wtenczas w Atenach, Izydor de Gaza w Aleksandryi; ta nieszczęśliwa uczona plejada opuszcza ojczyznę swą, wędruje przez połowę świata, gdzieś daleko na Wschód, do kolebki oświaty, — Tam gdzie niegdyś Plotin szedł za wojskiem Gordjana uczyć mądrości Magów; oni teraz prześladowani i opuszczeni, idą szukać schronienia na dworze Kozroesa, króla-filozofa. — Lecz tam zupełny i ostateczny czekał ich zawód. — Na tym dworze gdzie się miał dla nich otworzyć świat myśli i ducha, znaleźli — barbarzyństwo zupełne, wolność zaś wątpliwą. — Tyle tylko otrzymali za pośrednictwem Kozroesa, że pozwolono im powrócić i umrzeć na ziemi cesarstwa. — Tu się kończy Aleksandryjska szkoła ale nie Platonizm, bo idee nie umierają — a te które Aleksandryjczycy zdobyli usilną pracą więcej niż czterech wieków, mają zapewnione swój byt i trwanie w rozwoju dziejów ludzkości.

Gr.

## LOBELJA I MOTYLE BRAZYLIJSKIE.

(Z RYCINĄ KOLOROWANĄ).

Rodzina *Lobeliaceae* blisko spokrewnioną jest z tak zwanymi dzwonekami (*Campanullaceae*), różni się zaś od nich tem, że nitki pyłkowe, czyli pręciki są z sobą zrosnięte, i że liście kwiatowe ma przecię-

te i kształtu języczkowego. Charakterystycznym dla rodziny Lobelji, jest ostry, mleczny sok, który u wielu gatunków bywa niebezpieczny, u niektórych nawet stanowi zabójczą truciznę. Po największej





1.

2a.

3.

2b.

4.

5.



części są to piękne rośliny z kwiatami błękitnymi, czerwonymi, białymi lub żółtymi, stanowiące dość znaczne krzewy i krzaki. Wszystkie rosną w gorących strefach Ameryki.

Przedstawiona na naszej rycinie szkarłatna Lobelja (*Lobelia splendens Wild*), jest rośliną w ozdobnych ogrodach i cieplarniach bardzo ulubioną; nie wyrasta ona bujnie ani wysoko, ale zaleca się trwałością i bardzo obfitym kwiatem. Najlepiej udaje się w tłustej, gliniastej ziemi, i przy obfitem polewaniu. Jeżeli można ustawić doniczkę z tą rośliną w bliskości wody, tak żeby korzenie jej mogły ciągle wsiąkać wilgoć, to rosnąć będzie nader pięknie i silnie i okrywać mnóstwem wspaniałych ciemno-czerwonych kwiatów. Ta Lobelja pochodzi z Meksyku w początku naszego stulecia sprowadzoną została do Europy.

Motyle umieszczone na tej rycinie, należą także wszystkie do zwrotnikowych okolic Ameryki, a szcze-

gólnie Brazylii. Ich piękne barwy i dziwny kształt mianowicie oznaczonych N. 1 i 3, nawet dla nie znawcy na pierwszy rzut oka przedstawiają się jak coś szczególnego, nie naszego. O liskach, poczwarkach i sposobie życia tych motyli, nie wiemy nic dokładnego, bo jak wiadomo, owady tych okolic mało jeszcze są znane uczonym europejskim naturalistom i historia ich rozwoju, oraz systematyczne ich pomieszczenie w szeregach pokrewnych im europejskich rodzajów i gatunków, przedstawia próżnię, którą powoli tylko zapełniają troskliwe badania nie licznych uczonych podróżników, zwiedzających te kraje.

Musimy też poprzestać na przytoczeniu tu tylko systematycznych nazwań tych motyli.

Fig. 1. *Helicopsis gnuidus*.

Fig. 2 a i b. *Catagramma Chlymene*.

Fig. 3. *Agrautis Julia*.

Fig. 4. *Calligona obrina*.

Fig. 5. *Ageronia amphinome*.

## ODRODZONA LITERATURA CZESKA.

### I. WACŁAW HANKA.

Co zane w dziejach, nie przejdzie bez śladu;  
Lecz ziarnem Bożem strzeli w pokoleniu,  
I siędą kiedyś ludzie w tych drzew cieniu,  
I zerwą kiedyś, owoc tego sadu...

*Wincenty Pol.*

Odrodzenie narodu czeskiego jest wypadkiem, nie ukończonym wprawdzie, ciągle się dokonywającym jeszcze, jednakże wypadkiem, mającym prawo zająć miejsce w dziejach Europy i wzmianki godnym tém bardziej, że wślad za sobą podobne w innych ziemiach słowiańskich sprowadził wypadki. Istotnym jest bez zaprzeczenia, to odrodzenie narodu czeskiego, obudzenie w nim uczucia samodzielności, ożywienie się do zachowania i rozwoju swój narodowości, przebudzenie ludu ze snu moralnego do działalności moralnej, z martwości do życia. Spełniło się ono dla Czechów rzeczywiście, lubo nie całkiem jeszcze: nie patrzą już teraz na nich, jako na masę ludzi niewiedomego pochodzenia, zamieszkujących północno-zachodnią część cesarstwa austriackiego, lecz jako na osobny naród, jeden z narodów słowiańskich.

Nie tak było nie tylko przed laty pięćdziesięciu, ale później daleko, kiedy Czesi sami powiedziec dokładnie nie byli w stanie, co są za jedni? I wtenczas Czesi byli wprawdzie, temiz samemi Czechami, nie tylko po wsiach, ale po części w miastach; mówili między

sobą po czesku, uczyli się czytać i pisać po czesku i po czesku do Boga się modlili; lecz opinja publiczna, włościaninowi tylko czeskiemu pozostać Czechem dozwalała; od Czecha zaś bardziej ukształconego, a nawet majątniejszego nieco, przyzwoitość społeczna wymagała zrzeczenia się języka ojczystego, a przyswojenia natomiast niemieckiego, który przynosił z sobą pojęcia obce w czasie nauki i także na resztę życia prawidła. Czesi kształcąc się, wyrzekali się ludu, stając się cudzoziemcami, a nawet narodu swego wrogami. Powiedziec nie można, ażeby wynarodowienie to, jednakowym dla wszystkich było upadkiem moralnym; zgubnie jednak na moralność wielu działało, przerabiając ich na owych ludzi wędrownych, dla których nic świętego nie ma na ziemi, którzy wszystko dla nikczemnych samolubstwa korzyści i żądzy nabytku poświęcić gotowi. Naród zostawał jednocześnie bez podpory w ukształceniu, bez szkół (prócz elementarnych), bez literatury i coraz bardziej się cofał: oświata rozszerzała się w koło, on tymczasem w ciemnocie gnuśniał i ubóstwie. Na drodze postępu, naród wygląda zawsze, chociaż bez uznania, podpory od tych z pomiędzy siebie, którzy od reszty są duchem silniejsi, dla których zatem jest łączniej brać udział w postępach wiedzy myśli oraz w ich zastosowaniu do życia. Takich ludzi

Czesi nie mieli prawie, gdyż wszyscy niemal pobierający nauki, nie rozwijali swych sił na korzyść swego narodu, wyrzekając się go całkiem, albo też odzielając się odeń w osobne kółko, życiem swém i mową obce dla ludu. Wielu z pomiędzy Czechów było uczonych, autorów, artystów, a jednak Czesi bez nauki, bez literatury, bez sztuk pięknych pozostawali. A działo się to tak zwyczajnie, tak naturalnie, iż się wielu zdawało, że tak być powinno. Stanowczy upadek narodowości ludu czeskiego, niegdyś w XIV—XVII wieku z wysokiej słynnego oświaty, oczekiwany był jak wypadek od losu przeznaczony. I nastąpiłby prawdopodobnie, niedostrzeżony przez nikogo, gdyby się nie zjawili ludzie, umiejący połączyć uczciwie obowiązki obywateli cesarstwa austriackiego z obowiązkami synów kraju ojczystego, i poprowadzić spokojnie, cicho, drogą pewną naródek u ożywieniu moralnemu. Oto w jakim stanie znaleźli naród swój ci wybrańcy od losu, którzy obudzili w sobie samych poczucie narodowości, obudzić je mieli w koło siebie tak szczęśliwie, iż taż sama opinia publiczna, która się najgrawała przedtem z narodowości, coraz bardziej stawać zaczęła po jej stronie, walcząc za oświatę i cześć narodową. W liczbie tych niewielu, którzy w pierwszych chwilach, wzięli udział w moralnym narodu czeskiego ożywieniu, stanął Wacław Hanka. Wszystkie jego prace i czyny, całe jego życie, w świetnym z tej strony przedstawia się blasku. Każde umysłu jego i serca poruszenie do jednego i tegoż samego celu żywotnego było skierowane, objawiając się w czynie, który tym lub owym sposobem zawsze ku niemu zmierzał.

Umysł Hanka z wolna się rozwijał za młodu; ale Hanka już przyszedł do Pragi z zaczątkiem owęj dążności, która w nim na całe życie pozostając, dała mu do spełnienia wzniosłe na korzyść ludu czeskiego posłannictwo. Kochać wszystko czeskie, matka nauczyła go z niemowlęctwa; to też wspominał o niej w starości z tém samym uczuciem, jakim oddycha pieśń jego młodzieńcza, która się następnie ludową stała:

Porodila mne

Moje maticzka,

Porodila mne

V krásné vesny den,

V krásny jarni den,

V zeleném sadie,

V zeleném sadie,

Mezi różemi,

Mezi różemi,

Plnokvetnymi.

Zahovorčila

Moje maticzka:

Gdy bych vieděla,

Moje robátko,

Že s tebe bude

Vierny, zdarny Czech;

Ovinula bych

Tebe różemi,

Tebe różemi

Libovonnymi.

Gdy bych vieděla,

Malé robátko,

Že s tebe bude

Lichy, zradny Czech;

Opletla bych tie,

Krutou rohoži,

S krudou rohoži

V trni hodila.

W braku książek, Hanka uczyć się czytać i pisać zmuszony był na starym z wieku XVII albo XVI rękopiśmie, do rąk jego matki wpadłym przypadkowo; na szczęście, rękopism zawierał w sobie czeskie pieśni ludowe, które w chłopięciu miłość i poszanowanie dla pamiątek rodzinnych obudziły. Kółko, do którego wszedł Hanka, będąc w Pradze, wzmocniło w nim dawne uczucia i myśli. Tu bliższą zabrał znajomość z księdzem Dobrowskim, założycielem powszechnej filologii słowiańskiej; pracując dlań gorliwie, sam w tymże czasie, z wiedzy swego mistrza, z biblioteki jego i rękopismów korzystał. Dobrowski miłował naukę dla nauki, kochał ją, że tak powiemy, abstrakcyjnie, nie zaś jako siłę narodową; ztąd pisał po łacinie albo po niemiecku; mówił po czesku bardzo rzadko, o możności zaś literatury czeskiej, jako o marzeniu, urzeczywistnić się niemogącym, myśleć nawet nie chciał. Pomimo téj zdań różności, Hanka pozostał uczniem uległym i z pełnym dla mistrza szacunkiem. Uczęszczając na prelekcje uniwersyteckie, wzbogacał umysł różnostronnemi wiadomościami, chociaż większą część czasu na naukę prawa łożyć musiał, i choć z niektórych katedr nie tych rzeczy, którychby sobie życzył, słuchać był zmuszonym i nie tych myśli, które Puchmajera, braci Nejedlich, braci Jungmannów, Swobody, Purkinjego i wielu innych ożywiały. — Częścią pod wpływem innych, częścią zaś o własnych siłach, nabył przekonania o ważnym nadzwyczaj wpływie, jaki na odrodzenie życia w narodzie, pomniki dziejowe wywierac mogą. Spostrzegł wielką pod tym względem niemoc w Czechach ów-

czesnych; gdyż naród przeszłości nie uznający, nie uznaje zarazem i swój przyszłości. Czesi, codziennym tylko potrzeb fizycznych podlegając wymaganiom, zapomnieli już prawie byli o swém życiu ubiegłym; spoglądali nań albo ze wstrętem, albo jak na klechdę zabawną, ani pociechy w niém, ani nauki dla siebie nie szukając; wreszcie znać go już nawet nie chcieli, czy też nie mogli. Dzieł historycznych, w którychby Czechom o ich przeszłości mówiono, niewiele wychodziło, a i te mało były czytowane; obce czyny ciekawszemi dla nich i ważniejszymi się wydawały, a to tém bardziej, że wypadki z końca XVIII i początku XIX wieku, wszechwładnie działały na społecznych. Czeska nawet pieśń ludowa, przestała już kołysać marzenia Czechów o życiu ich minioném: już nie dźwięczały w niej podania ojczyste, gdyż w pieśniach żołnierskich, jakichś nieznanymi ludowi, obcych mu zupełnie opiewano bohaterów. Pomniki dawne, niczyjéj już ku sobie uwagi nie zwracały. Wskazać więc dla Czechów wszystko, co im o życiu ubiegłym na pamiątkę pozostało; zachęcić ich do uszanowania tych drogich, z dawnych czasów zabytków; obudzić w nich miłość ku swój przeszłości narodowej; badać starożytności ojczyste, wyszukiwać je, opisywać i wydawać tak, aby się coraz zrozumialszemi stawały; zachęcać młodzież i przygotowywać do téj pracy: oto zadanie, jakie Hanka wytknął był dla siebie przed ukończeniem jeszcze studjów uniwersyteckich, i w tém postanowieniu wytrwał niezłomnie do końca.

Nie wyliczając tu wszystkich Hanka odkryć i wydań pomników literackich (przeгляд podobny poniżej zamieścimy), powiemy tylko, że nic ani u antykwariusza, ani w kupie rupieci, ani w oprawie staréj księgi, przed bystrym jego wzrokiem ukryć się nie mogło, i że większa część, starożytnéj literatury czeskiéj, pomników, jego staraniom byt swój zawdzięcza. Znalazło ich się dosyć, ażeby dać wyobrażenie o różnostronném bogactwie i rozwoju literackiéj Czechów działalności tak w dawnym przed Hussem okresie, jak bardziej jeszcze w wiekach następnych. Wielu z utworów XV i XVI wieku wydać było nie podobna; nie zdały się z nich jedne do druku z powodu ostrych względem Niemców wyrażen, inne dla swój dążności antykatolickiéj. Dzieł moralnych nawet przez czas długi drukować było nie można dla tego jedynie, że były utworem protestantów, takich głównie, jak Huss, Komensky i im podobni. Wiele z dzieł Husa dotąd w rękopiśmie pozostaje. Wielkiéj trzeba było użyć ostrożności, żeby sprawy nie

popsuć; przestać zatém należało na zbieraniu tylko i zachowaniu takich rzeczy, które warunkom druku nie odpowiadały. Z téj więc i z innych przyczyn, czynność Hanka, odnośnie do starożytnych literatury czeskiéj pomników, w części się tylko przedstawia, liczne bowiem bardzo wskazówki, w obszernéj jego ukrywają się korespondencyi. Nie mniej skutecznie działał Hanka jako zawiadowca Czeskiego Muzeum Narodowego w Pradze. Należał do liczby tych, którzy pierwsi powzięli zamiar założenia Muzeum, i był obrany konserwatorem starożytności jego i ksiąg, przed otrzymaniem jeszcze od rządu pozwolenia. Wybrany był dla tego zapewne, że posada podobna nikogo nie nęciła, nie obiecując ani dobrej płacy, ani świetnych na drodze życia powodzeń.

Nie od rzeczy tu będzie dodać, że Muzeum narodowe w Pradze nie wydawało się w owym czasie dla nikogo, oprócz prawdziwych Czechów (pomiędzy tymi byli zresztą magnaci), zbiorem czysto-czeskim, ważnym dla czeskiéj narodowości. Przy założeniu Muzeum, miano na względzie, oprócz płodów natury miejscowéj, nie tyle pomniki starożytności i literatury czeskiéj, jak raczej pomniki „bohemskie,” t. j. prowincyi Bohemii, bez szczególnego odróżnienia narodowości. Czasopismo nawet, przez towarzystwo naukowe przy Muzeum wydawane, w niemieckim tylko języku aż do roku 1827 wychodziło. Gdyby posady konserwatorów Muzeum, nie tacy Czesi, jak Hanka i Presl (w wydziale przyrodniczym) otrzymali, kto wie, czy wszystko, co w niém jest dziś czeskiego, nie byłoby zarzucone i nieobcem dla wszystkich pozostało? Czeski jego charakter utrzymał w niém Hanka wspólnie z Preslem, i tu jak wszędzie działając cicho, niepostrzeżenie, zwolna, nikogo i niczego nie potrącając, a tém mniej samych siebie nie wykazując. Kto inny na miejscu Hanka nie pozostałby nawet na długo przy Muzeum; potrafiłby wynaleść do siebie inną bardziej uposażoną i korzystniejszą posadę. Hanka nie doznałby w tém trudności, mając rozległe stosunki, gdyby tylko kraj rodzinny opuścić zechciał; ale dla Hanka, Muzeum było świętością i Hanka pozostał w niém na zawsze, na lat czterdzieści przeszło. Uczynił je świętością i dla Czechów. I warto było spojrzeć na Hanke, jak oprowadzając swych ziomków po Muzeum, wskazywał im to wszystko, co mogło żywić w Czechu miłość dla kraju rodzinnego, uszanowanie i współczucie dla swój narodowości i życia minionego: nie zapalał się, nie uderzał pięknych słów dobozem, ani wybujałéj swobody frazami; pozostawał cichym i skromnym, jakby zaspakajając raczej ciekawość już obudzoną,

nie zaś ją wywołując, a tymczasem umiał z duszy przychodzić wydobyc uczucia, tak, iż ani jeden Czech nie wychodził z Muzeum, nie będąc nowym moralnych sił zasobem ożywiony. „Można sobie wystawić, — powiada świadek naoczny, J. Sreżniewski (Wiadomości Akad. Petersb. tom IX, str. 222), — z jaką miłością niósł chętną pomoc dla tych, którzy w Muzeum pracować życzyli. I miłość ta była czynną nadzwyczaj: zaprowadził nie tylko wzorowy pod każdym względem porządek w bibliotece i dziale starożytności Muzeum, nie tylko ułożył spisy systematyczne i wskazówki; lecz dla łatwiejszego z biblioteki korzystania, przygotował spis podręczny, w którym oznaczone są nawet artykuły gazet, dotyczące każdego zadania, ważnego dla historyka, archeologa, i literata czeskiego. Nie mówię już o tém, ile rzeczy i ksiąg, dla Hanka osobiście darowanych, zapisano było przezeń na własność Muzeum w imieniu tych osób, które mu ofiarowały; Hanka starał się jedynie o wzbogacenie Muzeum; czego mu zatém brakowało, a miał to u siebie, chętnie niósł w darze. Złał siebie całkiem z tym zakładem, tak, że dziś nie małą byłoby trudnością oddzielić to, co było Hanka, a nie Muzeum własnością, gdyby tego potrzeba wymagała.”

—  
Nie prędko kiełkuje i wyrasta nasienie drzewa długoletniego; nie prędko się przyjęło nasienie, przez Hankę zasadzone, ale zeszło już i rośnie. Czesi stali się silnymi miłością i poszanowaniem dla swój przeszłości i z coraz większą gorliwością zajmować się nią poczęli. Powodzenie takie zapewne nastąpiłoby nie mogło, gdyby Hanka sam działał, gdyby go nie wspierali w samych początkach zwłaszcza, mężowie tacy, jak Jungmann, Palacki, Czepakowski, Szafarzyk, a potem inni; ale wielu brakowałoby rzeczy, gdyby Hanka nie było. Żaden z tych szlachetnych współzawodników, nie miał takiej obyczajów prostoty, takiego spokojnego przystępu i prostodusznej uprzejmości, takiego braterskiego współczucia dla każdego z ziomek, jakie Hanka posiadał; dla tego wątpić należy, czyby kto mógł na miejscu jego działać tak dobroczynnie. Inni przewyższali go uczonością, smakiem, mocą charakteru; on zaś wyższym był od nich dobrocią, uczynnością, zamiłowaniem i znajomością starożytnych kraju pamiątek.

—  
Ciągłe zajęty myślą o duchowym Czechów odrodzeniu, Hanka musiał bez wątpienia przyjmować nader blisko do serca to wszystko, co ożywienia tego

było wyrazem lub oznaką. Każdy nowy literatury ojczystej utwór, każda czynna na korzyść języka czeskiego pomoc, każde usiłowanie dla ulepszenia teatru narodowego w Pradze, albo utworzenia scenicznych przedstawień w jakim miasteczku czeskim albo morawskim; każdy bal narodowy, każdy nowy postęp muzyki czeskiej, radował go jak dziecię. Nie wszystko jednakże chwalił, na wiele rzeczy się żalił, o wiele się troszczył; ale zawsze dobrą stronę wynajdywał i nie gardząc niczém ojczystém, słowem i czynem wszystkiego, co dobre, bronił. Nie będziem tu wymieniali wszystkich przedsięwzięć, w których czynny brał udział; nie wspomnieć jednak chociażby pobieżnie nie podobna, że pracując bezustannie, chętnie był gotów każdemu w pracy dopomódz, zebranymi przezeń, nieraz obszernymi bardzo materiałami. Tak dopomógł Jungmannowi, w układzie obszernego *Słownika Czeskiego*; Czepakowskiemu, w *Zbiorze pieśni ludów słowiańskich*; Machaczkowi, w *Kronice literackiej*; Maciejowskiemu, w *Historji prawodawstw słowiańskich*; Szumawskiemu, w ułożeniu powszechnego *Słownika słowiańskiego*; Razumowi, w *Bibliotece staroczeskiej* i t. d. Mnóstwo młodzieży na dobrą skierował drogę, jednych łagodną poradą, innych energiczném wstawieniem się. Hanka nie dokonywał swego dzieła jakimiś drogami potajemnymi, ale otwarcie, prostodusznie, zawsze jednak ostrożnie. Otwartość ta i ostrożność działań tém konieczniejszą była, im mniejszą miał nadzieję, że myśl przewodnicząca nie pojętą i źle wytłumaczoną zostanie. Naturalnie, iż usiłowania i prace Hanka wywierając w przeciągu przeszło lat czterdziestu wpływ ważny nadzwyczaj, do pomyślnych doprowadziły rezultatów.

Wszystko, co tylko mogło, podnosiło się, ożywiało, nabierało mocy, krzepło. Z każdym rokiem nowi występowali zapaśnicy, czynnością swą powiększający środki ku wzmocnieniu zaczątków oświaty narodowej; rozszerzali stopniowo sferę działalności, zwiększając wymagania i coraz surowszemi dla siebie się stając. Duch narodu coraz więcej zaufania w narodowości swój pokładał; opinja publiczna coraz względniejszą była w uznaniu jego przeznaczeń. Wiele wprawdzie w przyszłości zrobić pozostaje, ale już na wiele rzeczy Czech z radością i nadzieją spojrzeć może, i społeczne narodu swego ukształcenie porównać bez rozpaczania z oświatą innych ludów, w podobnych bytu warunkach zostających. Ażeby dać dowód jakikolwiek, przypomnimy, że zamiłowanie do czytania i żądza wiedzy tak się pomiędzy

Czechami rozszerzyły, iż żadne wydanie chociażby w części spólczesnym wymaganiom odpowiadające, już się dziś zależeć w księgarniach nie może (księgarnie, podobnie jak drukarnie wszędzie po małych nawet miasteczkach są obecnie pootwierane). Wydania wartość powszechną mające rozchodzą się w tysiącach exemplarzy: tak *Encyklopedia powszechna* (Slovník naučný) liczy już 8,000 przeszło prenumeratorów; pisma czasowe, w takiéjże, a niektóre w większej daleko liczbie exemplarzy wychodzą. Czyż tego Czesi spodziewać się wówczas mogli, gdy sprawę swą rozpoczynali, kiedy sto albo najwięcej dwieście wyprzedanych exemplarzy za cud prawie poczytywano, a dziś już nie jest dziwem spotkać u prostego włościanina biblioteczkę ze stu przeszło dzieł złożoną. Szlachta wprawdzie i wielu z urzędników i kupców majątniejszych nie czytują czeskich książek, ale tém większą ma wagę postęp literatury czeskiej, bo jest narodową.

Nie myślimy wystawiać Hankę, jako główną postępow ludu czeskiego sprężynę: miały w tém udział i moc ducha czasu, i wyniki zeń rządowe na korzyść oświecenia publicznego, rozporządzenia i zasługi wszystkich pisarzy czeskich; nie mniej przeto przekonani jesteśmy, że działalność Hanki, w początkach zwłaszcza, kiedy i pracować było trudniej, i pracowników szczuplejsza była garstka, dla postępu niezbędną się stała.

Z miłością dla ludu czeskiego, pałała w sercu Hanki takież sama czysta miłość dla wszystkich Słowian w ogólności, gdyż ci byli dlań dziećmi wspólnej ojczyzny; każdy Słowianin był mu bratem. Wiedzą o tém wszyscy, którzy się doń zbliżyli: każdy z nich przyjęty był przezeń, jak blizki jego sercu, tak samo jak blizko do serca przyjmował wszystkie wypadki, od których pomyślności lub klęski dla tego lub owego z ludów słowiańskich spodziewać się trzeba było. Dla każdego ze Słowian niósł pomoc bezinteresowną, a gdzie potrzeba było, stawał się obrońcą. Uważał zarazem za powinność, brać podług możności czynny udział w każdym przedsięwzięciu słowiańskim.

Z pomiędzy myśli jego powszechno-słowiańskich, które w obieg puścił, była myśl założenia katedr uniwersyteckich filologii słowiańskiej i historii. Była ona najulubieńszém jego lat młodzieńczych marzeniem. Wypowiadał ją jeszcze po r. 1820 i następnie w listach do różnych osób powtarzał nieraz. Myśl Hanki dziką się zrazu wydawała w Austrii nawet,

nie tylko już w innych Europy krajach, i dla tego urzeczywistnioną być prędko nie mogła. Nie miał w tém żadnych widoków osobistych: katedry słowiańskiej żądał dla Szafarzyka; dla siebie zaś zostawił usiłowania, ażeby niedostatkowi temu zaradzić mógł podług możności tymczasowo; posiadając gruntownie kilka dyalektów słowiańskich, wykładał je bezpłatnie dla młodzieży; miewał również bez wszelkiego wynagrodzenia prelekcye uniwersyteckie; drukował pomoce naukowe i rozdawał je uboższym; dokładał starania do nabycia książek w różnych narzeczach słowiańskich, ażeby je pomiędzy młodzieżą upowszechnić.

Książki pamiątkowe Hanki, w których dla każdego ze Słowian otwarte było pole do zapisania swych myśli, świadczą wymownie o uczuciu, jakie nim w zbliżeniu się do pobratymców kierowało. Jedni, osobiste swe dla Hanki uczucia wypowiadali; inni, a takich najwięcej było, objawiali swe myśli o moralném i umysłowém zbliżeniu się Słowian pomiędzy sobą. W roku 1822 (dnia 14 września) jeden z poetów polskich w Albumie Hanki napisał:

Dokonywaj coś zaczął. Z skutków twojéj pracy  
Lepsze kiedyś nadzieje powezmą Słowacy.  
My nie tracim, potomność pewnie na tém zyska,  
Jeśli jak blizka mowa, dusza będzie blizka.

Wcześniej jeszcze, bo w roku 1820 (dnia 14 października) czeski autor duchowny A. Marek następny dwuwiersz dla Hanki poświęcił:

Dostoj, byt' valny času proud Czecha k utonu  
chvátil,

Vszechda nepokosenou Slávie své oporou.

(Pozostań, chociażby ciężki prąd czasu do zguby Czecha porywał, pozostań na zawsze niezwalczoną Słowiaństwa swego oporą).

Uczucia słowiańskie Hanki nie przeszkadzały mu poważać wszystko, co było dobrém, nie w samych tylko Słowianach; niósł też chętną pomoc Niemcom w ich pracach naukowych; uprzejma jego uczynność i szacunek dla talentu, granic nie znały, które uprzedzenie zakreśla. Gotów był poważać każdego, kto nie przeszkadzając Czechowi pozostać Czechem, ani Słowianinowi Słowianinem, żył dla ludu swego, dla nauki lub sztuki.

Hanka umarł dnia 12 stycznia 1861 roku, mając wieku lat 69.

Przejdźmy porządkiem chronologicznym, ważniejsze z prac Hanki, dołączając nad ich treścią kilka

uwag pobieżnych. <sup>1)</sup> 1) *Starobyłá skládanie. Památka XIII a XIV wieku z negwzácnegssych rukopisów wydaná od Wáclawa Hanky.* Djl prwnj. W Praze 1817. We wstępie wykazane są własności starożytnego języka czeskiego. Treść: a) Prokop. b) Desatero kázanie božie. c) Zdráwas. d) O bohatci. e) O smrtedlnosti. f) Alan. g) Wyseshrad. h) O lisce i o czbanu.—2) *Starobyłá skládanie.* Djl druhy. 1818. We wstępie znajdują się podobnież uwagi nad starożytnym językiem czeskim. Treść: a) Maria Magdaléna (1—47). b) Jan Apostol (47—49). c) Sedmero radosti Panny Marie (49—91). d) Nanebewzetj Panny Marie (91—101). e) O ssewcjch (117—125). f) O konselech newiernych (125—129). g) O zlych kowarziech (129—132). h) O sladownjciech (132—135). i) O lazebnjciech (135—138). j) Rzezniak (138—140). k) Pekarz (144). l) Horze (144). m) O przebognjciech (144—145). n) O wraždlnjciech (145—149). o) O lacomcjh (149—151). p) Aleksander (151—264). g) Wzdechnutj k Pannie Marii (265—268).—3) *Starobyłá skládanie.* Djl trzetj. 1818. Dołączone są objaśnienia niezrozumiałych wyrazów. Treść: a) Dewatero radostj S. Marie. b) Passige. c) Placz S. Marie. d) Hrob božj. Misterya. e) Prawda neb neustawicznost. f) Smrt. g) Rzez ginocha mladeho. h) Rzez kmete stareho. i) O sedmmezietma blázniech. j) O szesti studniciech. k) Hwiezda morzska. l) Dorota panna. m) Anzelmus. n) Wzywanj Panny Marie. o) Kato. p) Pjseń ś. Wogtiecha. q) Kus legendy ś. Apostolou. r) Kus Wykladu. s) List z nebe. t) Veritas. u) Magowysen.—4) *Rukopis Kralodworsky. Sebranj lyricko-epickych národnjch zpiewou. Starobylych skládanj djl zvláštnej.* 1819. Text i objaśnienie wyrazów niezrozumiałych. Przekład niemiecki przez W. Swobodę wyszedł wtedy w osobnej książce p. n. Die Königinhofer Handschrift. 1819.—5) *Starobyłá skládanie.* Djl czwrty. 1820. Dołączono objaśnienie wyrazów niezrozumiałych. W książce jedna tylko rzecz się zawiera: Tristram weliky rek, baseń hrdinska (XIII w).—6) *Igor Swatoslawicz. Hrdinsky zpiew o taženj proti Polowcum.* 1821. Text pisownią Dobrowskiego. Przekłady czeski i niemiecki. Objasnienia.—7) *Starobyłá skládanie. Památka XII—XIV stoletj.* Djl opozdieny. 1823. W przedmowie przegląd ogólny pomników; osobno objaśnienie wyrazów niezrozumiałych. Treść: a) Tandariasz (1—77). Mágowysen Hynka z Podiebrad (78—122). c) O man-

<sup>1)</sup> W braku czeskich czcionek, używaliśmy zgłosek polskich, jak: *cz, sz, rz, ie, ou* i t. d.

zelstw (122—152). d) Rada otce k synu (153—178). e) Podkonj ałzak (178—198). f) Masticzkarz (198—219). g) Milostná piseń krále Wáclawa (220—227). h) Pražska przihoda (228—233). i) O prawde (233—237). j) Pjseń ś. Wogtiecha (238—240). k) król Jan Lucembursky.—8) *Žalmowe a neb zpiewowé ś. Dawida od G. Streyce Zábrzeského* (XV w). 1827.—9) *Stará powiest o Stogmjrowi a Brunswikowi knjzatech czeskych. Pro wybornou wytecznost gazyka dle starého rukopisu wydana. Przipogená gest tu také powest o Walterowi a Griseldie.* 1827.—10) *Mater verborum.* 1827. (Czasopis Czes. mus. IV. 69): pierwsza wiadomość o odkryciu czeskich glossów w tym ważnym rękopiśmie łacińsko-niemieckim.—11) *Kralodworsky rukopis. Zbjrka staro Czeskych spiewo-prawnych básnj s niekoľika ginymi staro Czeskymi zpiewy.* Königinhofer Handschrift. 1829. W wydaniu tém, oprócz pieśni rękopismu Królodworskiego, zamieszczone są jeszcze: a) Libuszín saud. b) Milostná piseń pod Wyseshradem. c) Milostná piseń krále Wáclawa. Toż samo w następnych pozostało wydaniach.—12) *Petrohradská legenda o ś. Wáclawu.* 1830. (Czas. Czes. mus. IV. 53).—3) *Dieginy české. Obgasnienj obrazou.* Geschichte Böhmens. Erklärung der Bilder. 4<sup>o</sup>. 1832.—14) *Zbjrka neydáwniegszjch slownikou Latinsko-Czeskych. Vetusstissima vocabularia Latino-bohemica.* 1833. Na początku dzieła znajduje się przegląd wydanych dotąd pomników; na końcu obszerny wykaz wyrazów niezrozumiałych. Treść: a) Mater verborum (1—24). b) Bohemarius (27—53). c) Clenii Rozkochany vocabularius (54—104). d) Lexicon parvum vulgo Welessin dictum (107—154). e) Nomenclator (157—174). f) Catholicon magnum latino-teutonico-bohemicus (174—179). g) Boemarius minor (179—181). h) Anonymus latino-bohemicus (181—182). i) Vocabularia latino-bohemica (183—184). j) Glossae evangeliorum s. Joannis (186—208). k) Glossae psalterii: I, II (209—258). l) Glossae passionalis (258—325). m) Ad glossarium juridicum (325—336). n) Dialogi Bohemarii (337—355). o) Sequentionarius Mag. Conradi (356<sup>2</sup>—366).—15) *Dobrowsky's Slawin, Bothschaft aus Böhmen an alle Slawischen Völker.* 2-e verbesserte, berichtigte und vermehrte Auflage von Wenceslaw Hanka. 1834. Zbiór artykułów filologicznych, archeologicznych i etnograficznych. Pierwsze wydanie wyszło w r. 1806, w drugim, przez Hankę przygotowaném, wiele rzeczy dodanych zostało. Na końcu dzieła (a także osobno) dołączony: *Der böhmische Cato* (Porówn. St. Skl. III. 15).—



- 16) *O zpodnich legendach mincj z desateho wieku.* 1836 (Czas. mus. 196).—17) *Czeské korunovací mince.* 1837 (Czas. 321).—18) *Rodinne mincé a medalie domu Rozenberského w Czechach.* 1837 (Czas. 453).—19) *Mince a medalie hrab. Szlikowského.* 1838 — 1839. (Czas. Mus. 1838: 499. 1839: 433.)—20). *Wyklad niekterych nazwou u P. Žydku.* 1839. (Czas. Mus. 112. 240).—21). *Zprawa o Slowanském Ewangeliu w Remeszi.* 1839. (Czas. 491).—22) *Prwotisk Czesky a prwotisk Polsky.* 1840 (Czas. Mus. 78).—23) *Viktorina Kornelia ze Wszehrd Knihy dewateru o prawiech a súdiech i o dskách země české.* 1841. W przedmowie podane są wiadomości o dziele i rękopismach, nadto przez F. Palackiego skreślona wiadomość o autorze, pisarzu prawnym (przy deskach ziemskich) królestwa Czeskiego od r. 1493 do 1497, oraz o ważności jego pracy. Na końcu dołączono spis objaśniający. — 24) *Životové Slowanskych ucitelow Kyrilla i Methodia ze starych legend.* 1841 (Czas. Mus. 464).—25) *Mince a medalie Alberta wévody Fridlandského.* 1842. (Czas. I:61).—26) *Przehled pramenou prawnih w Czechach.* 1842 (Rozbor staroczeské literatury. 1842. 151).—27) *Czesky cisiojanus.* 1842 (Rozbor. 186). — 27) *Vypisky Remeszského a Ostromirského ewangelium.* (Abhandlungen d. k. böhm. ges. 1843. 209).—28) *Smrti tane.* 1843 (Rozbor staroczeske literatury. 1843, 13). 29) *Komedy Czeska o bohatecy a Lazarowy.* 1843 (Rozbor. 15).—30) *Zrcadlo maudrosti sw. Czirhy.* 1843 (Rozbor. 18).—31) *Jacob Palaeologus i Památnik Matauszi Kolinu z Chotierziny.* 1844 (Rozbor. 28).—32) *Cztenie zimniego času.* 1843. (Rozbor. 33). — 33) *Tri nabožeńské traktaty z XV století.* 1844. (Rozbor. 43).— *Correspondenz zwischen Kaiser Rudolf II etc.* 1845. (Abhandlungen der k. Böhm. Gesellschaft V folge. 46).—35. *O s. Kirillu i Methodiu.* 1846 (Czas. Mus. 5).—36) *Sazawo-Emmauskoje blahowiestwowanje nynie ze Reimskoje.* 1846. Wstęp zawiera w sobie wiadomość historyczną o rękopiśmie ewangelii Rejmskiej. Dalej następuje text kirylicą, czytanie literami łacińskimi, u spodu zaś stronnie miejsca odpowiednie z ewangelii Ostromirowej. Na końcu dzieła porównanie wariantów. — 37) *Ospravedlnieni nejnowiejszych oprav Czeského prawopisu.* 1847. — 36) *Historia o cisarzi Karlovi toho jmena czwrtém od M. Prokopa Lupacze z Hladaczowa.* 1848. Wydano z powodu 500-letniej rocznicy uniwersytetu pragskiego.—39) *Lubuszino proroctwi.* 1849. (Czas. II. 138).—40) *Dalimilova chronica česká v nejdarniejszi czteni navracena.* 1850, 1853, 1856.—41) *Bibliografická správa o wydanich Ezo-powych bajek* (Czas. Czes. mus. 1848. IV. 337). Jest to przegląd najdawniejszych wydań, poczynając od wydania 1480 r. z wyjątkami.—42) *Zrniecška k paleografii staroslovasnké.* 1851. (Czas. mus. 155).—43) *Polyglotta kralodvorskiho rukopisu.* 1852. Wydanie to, 10te z kolei, tém się od wielu innych odznacza, że w niém oprócz textu i czytania, dołączone są przekłady pieśni na wszystkie narzecza słowiańskie, oraz na język włoski, francuzki, angielski i niemiecki. Pierwsza próba takiej edycyi, nie tyle jednak kompletniej, zrobiona była w r. 1835, druga zaś w roku 1843.—44) *Czeské prwotisky.* 1852 (Czas. mus. III:109. IV:62).—45). *Šwiatoje Ewangelije po Ostromirowou spiskou.* 1853.—46). *Nejstarszi dosud známé hexametry Czeské v Cisiojanu XIII wieku.* 1853. (Czas. mus. 415). — 47) *Bibliografie prwotiskow Czeskych od 1468 až do 1526.* I. 1853. — 48) *Hradecký zlomek Staroslowanskych nedielnich ewangelii.* 1854. (Czas. mus. 65). — 49) *Nove objaśneni niekolik zastaralých slov.* 1854. (Czas. mus. 267).—50) *Hadka dusze s tielem.* 1855. (Czas. 57 i 304). — 51) *Molitebni knižka krále Ladislava Pohrobka.* 1855. (Památky archeologicke I. 310).—52) *Popsani i vyobrazení Czeskych minci.* 1855—1860. (Památky arch. I. II, III i IV).—53) *Tropar na czest s. Methodia a s. Vaclava.* 1856. (Czas. Mus. II. 129). —54) *Bydžowští szejci.* 1858. (Czas. 392). — 55) *Hadka dusze s tielem.* 1859. (Czas. 480).—56) *Hrob s. Vaclava na hradie Pražskem.* 1859. (Památky arch. III. 82).—57) *Dalimils chronik von Böhmen: Di tutsch chronik von Behemlant.* Stuttgart 1859. — 58) *Ostateci Slowiańskaho bohosluženija ou Czechow.* 1859. We wstępie podany przegląd pomników, z niektórymi objaśnieniami. Zbiór ten zawiera w sobie wszystkie znalezione dotąd w Czechach pomniki głągolicke, w porównaniu, gdzie można było, z textem cyrylskim. 59) *Prava Rychnovskych soukennikow.* 1857—1861. (Czas. mus. XXXIV. 22).—60) *Cztenie Nikodemovo: co sie dálo při umuczeni Panie.* 1861. Wydane podług rękopismu Strachowskiego klasztoru, z r. 1442. Hanka miał jeszcze prócz tego kopije, Mikułowską z roku 1453 i Uniwersytecką z r. 1465.—61) *Rukopis Kralodvorsky a Zelenohorsky.* Wydanie dvanácté. 1861. Jest to ostatnia z prac Hanka, na krótko przed zgonem jego wydana.

Oprócz prac tych, ważnych pod względem filologicznym, Hanka wydał kilka przewodników do nauki dyalektów słowiańskich. Takimi są 1) *Pravo-*

*pis Czesky podlé zakladu grammatiky Dobrowskeho.* 1817. Książka ta miała kilkanaście wydań. — 2) *Mluwnice czili saustawa Czeského gazyka podle Dobrowského.* 1822. Grammatyka czeska przez Dobrowskiego pisaną była po niemiecku; Hanka wydał ją po czesku, z wielą dopełnieniami. Trzecie jej wydanie wyszło r. 1849. — 3) *Mluwnice Polského gazyka podle Dobrowského.* 1839. Drugie wydanie Grammatyki języka Polskiego dla Czechów, wyszło w roku 1850. — 4) *Naczało swiaszczennaho jazyka Slowian.* 1846. Jest to Grammatyka starożytnego języka słowiańskiego. Drugie wydanie ukazało się w roku 1859. — 5) *Pravopis Rusko-Czesky.* 1852. Praca właściwie Puchmajera, wydana przez Hanke, z odmianami.

Brał czynny udział w wydaniu dzieł następujących: 1) *Deutsch böhmisches Wörterbuch. Herausgegeben von J. Dobrowsky.* Prag. 1821. Tomów 2, in-4°. Pierwszy tom Słownika tego wydał Dobrowski w roku 1802; nad drugim tomem pracował Puchmajer; Hanka zaś wydał je z dopełnieniami, szczególnie wyrazów co do rzemiosł. — 2) *Slowanské národní písnie, sebrane Fr. L. Czelakowskym.* I: 1822. II: 1825. III: 1827. Hanka przyłożył się znacznie do powiększenia tego, jednego z najlepszych zbiorów pieśni słowiańskich. Pierwszy też tom Hance wydawca przypisał. — 3) *Słownik Czesko-niemiecky Jos. Jungmanna.* r. 1835 i lat następnych. Tomów 5, in-4to. Dopełnił mnóstwem wyrazów, z licznymi wyjątkami

i objaśnieniami, oraz sprostowaniem wielu niedokładności, w czasie korekty. — 4) *Najdawniejsze pomniki prawodawstwa słowiańskiego, wydane przez A. Kucharskiego.* Warszawa, 1838. Znaczna część dzieła tego przez Hanke przygotowana była, a mianowicie: a) Prawa ziemie Czeské (227—278). Jus terrae Boemiae (279—335). b) Ondrzeje z Dubé Wykład na prawo zemské (336—385). c) Rząd zemského prawa (388—425). Ordo iudicii terrae (426 i 476). — Wydał prócz tego: *Jana Husa, Dcerka aneb poznání cesty prave k spasenju.* 1825.

Nie wymienione tu jeszcze pozostały ani przekłady Hanka, których liczba, w czasie jego czterdziestoletniego zawodu pisarskiego, była dość znaczna; ani też poezye, które od lat młodzieńczych aż do późnej pisał starości; niektóre z pieśni jego stały się ludowymi.

Obszerniejsze o życiu i pismach W. Hanka wiadomości czytać można w „Kapesnim Slovniczku novinarském a konwersacznim, przez Rittersberga”, wyd. w Pradze 1850—51 roku; oraz w „Zborniku Libusza, jahrgang für 1852, herausg. von P. A. Klar.” Osobno wyszło, *als manuskript gedruckt*: „Váceslav Hanka, nach seinem slawistischen Wirken, seinen Schriften und seinem Privatleben geschildert, durch Dr. Legis Glückselig.” Prag. 1852.— Obecnie ukazało się: *Wspomnienie o Waclawie Hance*, przez J. Sreżniewskiego (Wiadomości Akademii Petersb. Tom IX. str. 215—229). J. S.

## WALKI BAWOŁÓW Z TYGRYSAMI.

(Z RYCINĄ KOLOROWANĄ).

Hiszpanie mają walki byków, normandczycy szczywanie niedzwiedzi, anglicy walki kogutów, polowanie na lisy i wyścigi konne, indjanie zaś, tak krajowcy jak i osiedli tam różnego stopnia urzędnicy, ajenci i słudzy kompanji wschodno-indyjskiej, mogą bardzo słusznie lekceważyć te wszystkie rozrywki europejczyków, mając wspaniałe polowania i równie zadziwiające walki drapieżnych zwierząt, których wielkie mnóstwo w gęstych zaroślach obszernych równin i nad brzegami rzek straszne spustoszenia sprawia i przez napady na trzody, bydła a nawet na ludzi, wielkie szkody przynosi rolnictwu i w ogóle osiedleniu się tych okolic. Między wszystkimi

dzikimi zwierzętami, które są plagą Indostanu, Sumatry, Jawy i innych wielkich wysp morza indyjskiego, i które niebezpiecznemi czynią lasy Awy i Birmańskiego państwa, a nawet dość jeszcze licznie utrzymują się w południowych Chinach, a według badań Humboldta, Ehrenberga i raportów władz miejscowych, niekiedy aż do południowej Syberji zachodzą, ale w ogóle tylko do Azji należą, najstraszniejszym jest tygrys królewski, którego tylko drobni pokrewni znajdują się w innych częściach świata, pod nazwą juguarów i tygryso-kotów. Tygrys królewski albo bengalski, wielkością prawie lwu równy, ma postać więcej przedłużoną i smukłą, krótką





i bardziej splaszczoną głowę, grzbiet jasno pomarańczowy, boki czarnymi poprzecznymi pasami na żółto szarem tle upstrzone, na półczwartej stopy długi ogoń, długą brodę i białe wargi i podbródek. Jest to między całą kocią rodziną najprawdziwszy ideał drapieżnego zwierzęcia. Bardziej przedsiębiorczy, ruchliwszy, okrutniejszy i więcej nienasycony niż lew, daleko też groźniejszym i niebezpieczniejszym jest od niego, ponieważ przy równej sile, więcej ma chytrności, więcej rozbójniczego instynktu. Właściwa odwaga nie jest jego przymiotem, owszem do słabszych nawet zwierząt, które na pastwę sobie wybiera, nie zbliża się on nigdy inaczéj jak pełzając na brzuchu; przezornie chroni się każdego grożącego mu niebezpieczeństwa; gdzie tylko może, unika walki i wtedy tylko staje się prawdziwie strasznym przeciwnikiem, kiedy mu głód dokucza, lub gdy dotkliwa rana, ostrożność jego w szaloną wściekłość zamienia. To co dawniej mówiono o jego pragnieniu krwi, wyrachowaniem okrucieństwie, obojętności na dobre obejście ze strony człowieka i niepodobieństwie oswojenia, należy do przesadnych powieści, od których dotąd dzieła traktujące o historii zwierząt, nie są jeszcze zupełnie wolnemi. Owszem, tygrys w niewoli, mianowicie jeżeli bardzo młody był schwyty, łatwiej się obłaskawia niż lew, przywiązuje się do swego dozorca, zachowuje się bardzo spokojnie jeżeli nie jest głodny, lub gdy go nie drażnią umyślnie, lubi spać jak najwięcej, podobnie jak koty domowe i wdzięcznie łasi się znajomym. W starożytnéj historii są wzmianki, że Gordjan III posiadał dziesięciu obłaskawionych tygrysów, a Heljogobal ukazywał się, rzymianom na wozie ciągnionym przez dwa tygrysy, ubrany jak Bachus i z odpowiednim orszakiem.

W Indostanie tygrys tem straszniejszym jest sąsiadem pojedynczo położonych wiosek, że nietylko nie oszczędza ludzi, ale owszem szczególnie z pomiędzy nich ofiary swoje wybiera, a nie da się pierwéj postrzedz, jak w chwili, w której już prawie niepodobna ujść jego napaści. Bujna wegetacja Indji, gęste zarośla trzcinowe, dopomagają mnożeniu się a przynajmniej utrzymywaniu się licznych tygrysów, bo pomimo nieustannego polowu na nich, liczba tych strasznych zwierząt nie zmniejsza się wcale. Według urzędowych raportów, w saméj prowincyi Kuidies w ciągu pięciu lat zabito 1,132 tygrysy; według Mardena na wyspie Sumatra całe wsie wyludniane są przez tygrysy, bo ciemny Ind z powodów religijnych nie śmie ich zabijać.

Tak silne są te straszne zwierzęta; że bez trudności porywają jezdca z konia szybko biegnącego i trzymając go w paszczy umykają przez najgęstrze zarośla. Polowanie na tygrysy jest ulubioną zabawką w Indjach, ale połączoną z niemałemi niebezpieczeństwami.

Rzadki koń da się do tego stopnia nauczyć, żeby czując w bliskości tygrysa, nie uciekał spłoszony, dla tego najczęściej używa się do tego polowania słoni i na ich grzbiecie strzelcy starają się wyprowadzić nieprzyjaciela z jego legowiska a strzelają do spłoszonego. Ale i przytem, często strzelcy popadają w wielkie niebezpieczeństwo, ponieważ rozdrażnione zwierzę, doprowadzone do ostateczności, aby osiągnąć człowieka, często rzuca się na grzbiet słonia, który wtedy w przestachu zapomina o posłuszeństwie i pogorsza położenie myśliwca. Przypadki takich nieszczęść dość są częste, a nawet zdarza się, że pojedynczy podróżny, z pośrodku liczego towarzystwa bywa przez tygrysa porwany i uniesiony w zarośla. Wszystkie zwierzęta obawiają się tygrysa, tylko indyjski bawół, będący prototypem rassy domowej, znajdujący się we wschodniej i południowej Europie, nie boi się tygrysa i często zwycięża go w śmiertelnéj walce; rozdrażniony, wściekle rzuca się na swego przeciwnika, chociaż ten silniejszym jest od niego i najczęściej bawół szybkością i gwałtownym atakiem, nie zaś siłą odnosi zwycięstwo.

Dziki bawół niezmiernie jest niebezpiecznym, zdaje się on z pogardą poglądać na wszystko co żyje, a spuszczać się na swoją siłę, niszczy wszystko co mu na drodze stanie. Jest on tak szalenie śmiałym, że często napada na całą trzodę pasących się słoni. Trudno wyobrazić sobie coś straszniejszego jak dziki bawół, który przez tarzanie się w szlamie bagien, prawie niepodobnym jest do samego siebie. Jego oczy przerażenie wzbudzają, a w chwili rozdrażnienia nie podobna uwierzyć, że to jest zwierzę ciężale i powolne z natury. Cała rasa bawołów indyjskich, w dzikim czy oswojonym stanie, ma fałszywe, nieufność wzbudzające spojrzenie, któremu należy rzeczywiście niedowierzać, bo nawet między domowemi trzodami bawołów w Indostanie, panuje jakaś nienawastna złość dla obcych ludzi, którzy często bez żadnego powodu bywają przez te zwierzęta napadani i zabijani. Wszystkie zresztą hodowane w Indjach domowe zwierzęta, mają jakąś nienawiść dla cudzoziemców, co może pochodzić albo z nierozumnego wychowania ich w młodości, albo z tego, z tego w pośród nagich prawic Indjan, nie na-

wykły widzieć pstrych ubrań obcych ludzi i obojętne na ciemną skórę swoich panów, dochodzą do wściekłości na widok mianowicie czerwonych mundurów angielskich.

Bawoły nie lubią gorąca i dla ochłody zwykle w dniu tarzają się w bagnistych stawach, na których w bliskości miast w Bengalu nigdzie nie zbywa. W gorących miejscach trzody bawołów paszą się tylko w nocy i wtedy tak zwani *Gwanlahs* i *Aheer*, osobna kasta jedynie do hodowania trzód używana, prowadzą je po pastwiskach leśnych; najczęściej w takim razie jeden lub więcej z pastuchów siada na grzbiet bawołu i prowadzi trzodę. W ten sposób przepędzają całe noce w ciemnych, wilgotnych gąszczach służących, im na mieszkanie, ani myśląc o grożącym im niebezpieczeństwie. Bawoły służące za wierzchowców tym strażnikom trzody, mają u szyi drewniany dzwonek, którego odgłos służy innym za wskazówkę, jakiej strony trzymać się mają, tak że za nadejściem dnia, łatwo zgromadzić tę trzodę i zagnać do stawów, gdzie aż do nadejścia chłodu wieczornego pozostają, spoczywając w kąpielii szlamistej.

Bawoły równie jak słonie wietrzą zbliżanie się tygrysa i cała trzoda spieszy natychmiast atakować nieprzyjaciela. Nawet pojedynczy bawół w takich okolicznościach nie waha się uderzyć na tygrysa. Pasterze bawołów są w tym względzie tak spokojni, że nawet o swoje własne niebezpieczeństwo nie obawiają się i dopóki zostają przy trzodzie, całe noce zwykle przepędzają na grzbiecie swoich wierzchowców, napędzają trzody w najbujniejsze trawy, a zwykle przyjętem nawoływaniem trzymają całą trzodę blisko siebie.

Bogaci mieszkańcy, to jest Nabobowie i Subahowie, w pewnych oznaczonych czasach, szczególnie w dniu urodzin członków rodziny, wyprawiają świetne uroczystości. Przy takich uroczystościach używają wszystkiego co może zajmującym, pociągającym uczynić to święto i bez walk zwierząt obejść się wtedy nie można. W okolicach gdzie nie trudno o tygrysy, stawiają je zwykle do walki z bawołami, a niekiedy z słoniami i innymi zwierzętami. Szranki w których się podobne walki odbywają, mają bardzo silne oparkanie i nie zaniedbują tam żadnego środka ostrożności, żeby zapewnić bezpieczeństwo tej zabawy i usunąć wszelką słuszną obawę, a jednak nie utrudnić obecnym widoku miejsca walki. Gdzie sprawa jest z tygrysem, nie podobna być dość przezornym, bo są chwile w których on skłonniej-

szym okazuje się do ucieczki niż do walki i przez usiłowania wymknienia się, wzbudza trwogę widzów. Zwykle miejsce takiej walki bywa tak wysokiem oparkaniem otoczone i w sposób tak odpowiedni celowi, że rzeczywistego niebezpieczeństwa nie ma zupełnie. Tygrys wprawdzie często rozpaczliwe czyni wysilenia, żeby przeskoczyć przez wierzch oparkania i niekiedy zdaje się, że mu nie wiele brak do tego, ale ponieważ drapanie się po sliskiej ścianie jest dla niego bardzo utrudzającym, nie wielkiej zatem potrzeba siły, aby go zepchnąć, i dla tego w miejscach najniższych ustawiani są ludzie uzbrojeni długimi drągami, którzy nie dopuszczają tygrysowi umknąć.

Urządzenie miejsca gdzie się takie walki odbywają, jest prawie zawsze jednakowe. Szranki te mają zwykłą 40 łokci średnicy, w okrąg otoczone grubymi palami drewnianymi, albo silnym płotem z trzciny bambusowej, stosownie do tego, który z tych dwóch materiałów obfitszy jest w danem miejscu. Opasanie to musi być tak wysokie, żeby tygrys nie mógł przez nie przeskoczyć. Jeżeli płot jest z bambusu, wysokość 15 do 20 stóp jest dostateczna, bo kora tej trzciny jest twarda i sliska i tygrys nie tak łatwo może w nią wpuścić pazury jak w miękkie drzewo, i przez to nie jest w stanie dostać się do wierzchu. Na galerii tak wysoko wzniesionej, żeby można widzieć całe pole walki, siedzą widzowie pod osłoną płóciennych namiotów.

Zestawienie z sobą dwóch przeciwników nie mało przedstawia trudności. Tygrys musi być najpierwej wpuszczony w szranki, bo nieraz już zdarzało się, że gdy pierwój bawół został wpuszczony, tygrys zwietrywszy go żadnym sposobem nie dał się wywabić z klatki. Żelazna z mocnych sztab zrobiona klatka, przysuwa się do otworu w parkanie urządzonego i silnie do tej ściany drewnianej przywiązuje, żeby tygrys nie mógł odsunąć jej i zewnątrz uciec poczem otwierają się drzwi klatki, żeby zwierzę wyjść mogło. Niekiedy tygrys bez namysłu korzysta z sposobności opuszczenia ciasnej klatki i dopiero w szrankach czuje trwogę i nieraz zawraca się, ale już znajduje drzwi klatki zamknięte. Częściej zwykła kociemu rodzajowi ostrożność i podejrzliwość, wstrzymuje jego kroki przy wyjściu z klatki, jakby przeczuwał bliskie niebezpieczeństwo i wtedy dozorca muszą go prawie gwałtem wypędzić.

Skoro wyszedł i drzwi klatki zamknięto, zostawiają mu chwilę czasu, aby się w nowem miejscu nieco rozpatrzył. Ostrożne, niedowierzające zwierzę,

zwykle nie oddała się od ściany parkanu i sunąc się tuż przy niej, często wzrokiem mierzy jej wysokość jakby zamierzało uciekać. Aby bezsilną wściekłość okazać, wyszczerza strasznie kły na tłumy ludu otaczającego palisady. Gdy się nieco uspokoi i oddali od drzwi, wpuszczają niemi groźnego przeciwnika. Bawół do takiej walki przeznaczony, bywa niejaki czas przed walką obficie karmiony i zwykle zaufany w swęj sile, śmiało wchodzi w szranki, a jego pojawienie się rzeczywiście przejmuje tygrysa niezmierną trwogą.

Trudno opisać wrażenie téj pierwszój chwili. Bawół zaledwie wszedłszy w szranki, wietrzy nieprzyjaciela i okazuje niespokojność i rozdrażnienie. Oczy jego błyszczą się gniewem, kiedy szukając przeciwnika, ogląda się w około, potem wstrząsa głową, uderza gniewnie przednimi nogami w ziemię a spuszczać czoło ku ziemi, gotuje się do ataku, który w stanowczój chwili wykonywa; uderzając przed siebie potężnymi rogami; cała postawa okazuje odwagę, siłę i gotowość do śmiertelnój walki. Tygrys przeciwnie objawia trwogę, cofa się, usiłuje uniknąć zaczepki i całem jego zajęciem zdaje się być wyszukanie drogi do ucieczki. Najniebezpieczniejszym jest ten wypadek, jeżeli w chwili ataku, tygrys zręcznym skokiem w bok unika uderzenia, a bawół nie mogąc wstrzymać się w rozpędzie, z całą gwałtownością uderza o ścianę parkanu, przez co niekiedy kilka najbliższych widzów spada w szranki lub przynajmniej ponieść może ciężkie stłuczenie.

Niekiedy też wygłodzony tygrys występuje zaczepnie i nawet zwycięzko z walki wychodzi. To atoli jest bardzo rzadkiem wypadkiem, bo dobrze utrzymany bawół nie da się pobić tygrysowi.

Za pierwszem spojrzeniem na przeciwnika tygrys wyszczerza zęby, sierć mu się jeży a długi ogon potężnie biczuje boki. Skoro przejdzie prerwsza chwila trwogi, instynkt zachowawczy, rozwija w nim wszystkie zasoby siły i zręczności. Wysuwa straszne pazury, a gdzie niemi dotknie, strumienie krwi obficie płyną, co przeciwnika bardziej drażni. Największą siłę tygrysa stanowią jego przednie łapy, co dla bawołu mogłoby być bardzo niebezpiecznem, gdyby nie miał się ciągle na baczności, aby być gotowym na atak przeciwnika. Jeżeli tygrys w rozpaczy zbierze się na gwałtowny skok, aby rzucić się na grzbiet bawołu, ten albo na bok uskakuje, albo rzuca się na przód i w połowie skoku dostaje tygrysa na rogi, a zdarza się także, że tygrys przesadziwszy przez nieprzyjaciela, nim się na drugi skok zbierze zostaje jego strasznymi rogami przebity.

Widzowie z wielkiem zajęciem przypatrują się walce, głośnemi okrzykami dodając ochoty walczącym.

Chociaż ze wszystkich drapieżnych zwierząt najsilniejszy, najokropniejszy i nie słychanie krwi chciwy, tygrys wśród walki nie okazuje dość roztropności i namysłu i każde chwilowe powodzenie jest dla niego miłym wytchnieniem, którego by chętnie użył do ukrycia się lub ucieczki; bawół przeciwnie prowadzi bój na śmierć i dopóty nie spocznie, póki jego przeciwnik martwy u jego stóp nie legnie. Wtedy głośnym rykiem ogłasza swoje zwycięstwo.

Do walk tych używają zawsze domowych bawołów bo wystąpienie dzikiego bawołu nie przedstawiałoby widzom dość długiej zabawy. Straszny siłą ten zwierz, zbyt wyższym jest nad tygrysa i zbyt prędko z nim się załatwić umie.

## JAN CHRZYCIEL POQUELIN MOLIER.

„Horacy, Gete, Cerwantes i Molier górują niby jasne świece na wielkim ołtarzu piękności, a pokolenia późne, stroją je w kwiaty swęj czci i uwielbienia, a przy ich płomieniach nie jeden zapalił się genjusz, tysiące rozwidniło serc.”

J. KREMER, „w listach z Krakowa.”

Komedja, nie jest to sama tylko zabawka. Tu chodzi nie o chwilową jeno smieszność, żart i rozrywkę, ale o poznanie charakterów ludzi, ich błędów, położeń towarzyskich, wreszcie o wielką dozę komi-

czności, zależącej na sprzeciwieństwie wynikłém z indywidualności osób, stawionój w obec rzeczywistości lub prawdy powszechnie znanój. A ileż do tego trzeba dowcipu! I to dowcipu nie szczypiącego, nie płaskiego, nie tchnącego osobistością, ale dowcipu karcącego nasze zdrożności, tak abyśmy w żartach, wady nasze poznawali. Sprawdza się w tym względzie odwieczne Rzymian prawidło: *śmiejąc się, poprawiać obyczaje*. A bez poznania ludzi, bez umiejętności badania serca i jego tajników, bez wielkiej

i bogdaj nie największej *nauki życia*, — nie można, ani kroku na tej postawić drodze, a przynajmniej nie podobna być wielkim pisarzem. Dla tego w ogóle rzadkie są genjusze dramatyczne, a jeszcze bardziej rzadkie wypadki, aby twórca i wykonawca w jednej znajdowali się osobie. Podobnie jak w muzyce bardzo często wielcy kompozytorowie, wcale nie są exekutorami, i wzajemnie.

Takim genjuszem był Molier, zarazem aktor i autor; twórca komedyi we Francji. Rodzina jego pochodziła początkowo ze Szkocji; dziad zaś jego i ojciec byli służącymi królewskimi, trudniącymi się tapicerstwem. Urodzony 16 stycz. 1622 roku w Paryżu, Poquelin musiał do lat czternastu przesiadywać w sklepie, nic więcej nie umiając, prócz czytania i pisania. Troskliwi o przyszłość dziecięcia swego rodzice, wyjednali mu wczesnie u króla spadkowy po sobie tytuł i obowiązek pokojowca, sądząc że dali mu odpowiednie do stanu swego wychowanie. Ale młody Poquelin chodząc często do teatru z dziadem swoim, lubownikiem sceny w hotelu burgońskim, zamiłował powołanie artysty, tak dalece, iż postanowił na aktora ukształcić się. Nalegał więc usilnie, aby go oddano do szkół gdyż on zbrzydził dotychczasowy próżniacki swój zawód; ojciec zmartwiony, sądząc, że już nic zeń dobrego nie będzie oddał syna do jezuitów dla słuchania tam przez pięć lat wykładu nauk.

Wkrótce Gassendi wezwany od jednego z bogaczy na przewodnika jego syna, otrzymał pozwolenie przybrania kilku ubogich rówieśników, dla utrzymania współubiegania się w wychowaniu młodego pana Chapelle. — Molier, Cyran i Bernier, wybrani zostali na towarzyszy współzawodniczących naukom możnego Panicza. Wypadło to właśnie wtedy, gdy po pięcioletniem kształceniu się Poquelina pod dozorem księcia de Conti, genjusz tego młodzieńca wyraźnie rozwijać się począł. Gassendi wpoił weń zasady filozofii praktycznej, której znajomość, wybitnie okazała się później we wszystkich dziełach komika francuskiego.

Gdy stary Poquelin dla osłabionego zdrowia z powodu wieku podeszłego, nie mógł służyć u dworu, wtedy syn zmuszony był zastępować ojca w powinnościach pokojowca królewskiego. Z tej przyczyny podróżując często i obozując przy boku Ludwika XIII, młody Poquelin przypatrywał się dworowi i dworzanom na rozliczne puszczającym się przebiegi, a rzadki jego pogląd na ludzi i rzeczy, pod każdą maską umiał poznać prawdziwe oblicze duszy, serca

i charakterów. Tam najwięcej wy dobył zasobów do utworzonych później sztuk swoich. Z dworem bywał często w Paryżu; (bo król zwykle przebywał w Wersalu) i zwiedził Narbonne 1641 roku. Zapał jego do sceny powiększał się coraz bardziej. Jakoż wkrótce złączył się z kilką młodymi ludźmi słynącymi podówczas z pięknej deklamacji, i założył teatrzyk, który w prędkim czasie zyskał miano świetnego (*l'illustre théâtre*). Ale rzućmy wprzód okiem na ówczesny stan sceny francuskiej.

W samym zaledwie początku swego rozwoju był wtedy teatr we Francji. Do roku 1625, sam nawet Paryż nie miał stałych artystów. Aktorowie prowincjonalni, tu-ówdzie koczowali, w części kuglarząc, w części zaś zabawiając powszechność farsami *Manchretienna*, *Hardego* i tym podobnych naśladowników Włoch sąsiednich. Trudno nawet wystawić sobie ową rozmaitość przepełnioną najdziwniejszymi mieszaninami, jakimi zarzucano scenę. Brudny romans, obok rzeczy świętych; — improwizacje Italii, przy dziwadłach Hiszpanów; — smutne awantury nocne z krotofilami pajacowskiemi, słowem wszystko razem wprowadzane było na deski teatralne, bez względu na usposobienie widzów, ich wiek, płeć, stan, przyzwoitość i t. d. Dopiero Kornel nie mogąc znieść tak haniebnego poniżenia sceny narodowej począł pracować nad wydzwignieniem jej z kału, w jakim pogrążoną była.

Pierwszy Molier w komedyi pod tytułem *Klamca*; dał poznać prawdziwy obyczajów obraz. Sztuka ta graną była po raz pierwszy 1642 roku. Trudy wszelkie Piotra Kornela około przeobrażenia teatru narodowego, sięgają jeszcze roku 1635. — Dla grywania jego komedyi, truppa artystów z prowincji, pierwszy raz stale zamieszkała Paryż. Król wydał edykt w 1641 roku, że odtąd powołanie aktorskie nie ma uważać się za stan poniżenia i hańby, za stan dobrej uwłaczający sławie. Około tegoż czasu słynny w dziejach kardynał *Richelieu* zamiłowany w scenicznych widowiskach, a szczególnie w komedjach, dał pochop wielu prywatnym towarzystwom do grywania podobnych sztuczek w domach różnych obywateli miasta stołecznego. Odtąd scena francuzka szybko i znakomicie wznosić się zaczęła; zjawiali się coraz lepsi artyści, w miarę lepszych pisarzy. Chwała wszakże z zupełnego udoskonalenia tego trudnego zawodu słusznie dopiero Molierowi, za czasów znanego z protegowania sztuk pięknych Ludwika XIV. przyznana być wienna.



W czasie domowych Francyi niepokojów, młody Poquelin doskonalił coraz bardziej swój dar natury, i poczuwszy niezwalczony do aktorstwa pociąg, zmienił, na wzór panującego wtedy zwyczaju między artystami z Włoch przybywającymi, u przyjętego od aktorów teatru burgońskiego, miano swe rodowe, na *Moliera* nazwę. Jeszcze wtedy w Hiszpanii nie chowano aktorów na cmentarzu publicznym, jeszcze i we Francyi to piękne powołanie w poniewierce miano, tak dalece, iż trzeba było aż mocy prawa, żeby lud z przesądów wywieść. Przeto i rodzina Pokelinów, skoro tylko dowiedziała się, że Molier wszedł na deski teatralne, natychmiast wykresliła go z członków swój rodziny. Tak więc według ich przekonania uwiędnąć musiała jedna gałązka ze szlachetnego drzewa genealogicznego!

Zebrawszy towarzystwo artystów dramatycznych Molier zwiedzał rozmaite miasta prowincjonalne, gdzie grywał komedje, które potem za niegodne siebie uznał. Do tego pocztu należą: *Filozof zakochany*; — *Trzój filozofowie*, *Bakalarz* i t. p. W Lyonie pierwszy raz wystąpił z lepszą, ze swych sztuk pod tytułem *Trzpiot*.

W Langwedocyi, książe Armand Bourbon (de Conti) jak najuprzejmiej Moliera przyjął i mianował, go dyrektorem obchodów publicznych dawanych w stołecznym mieście prowincyi swojej. Tam wystawiał komedje znane nam dziś z tytułów: *Doktor latający*; — *Zazdrość Barbuliego* i tym podobne. Tu także po raz pierwszy grano sławną komedję *le dépit amoureux* (Miłość z przekory). Wtedy książe de Conti dawał mu przy sobie posadę sekretarza, ale Molier nad zyski i zaszczyty tego świetnego urzędu przeniósł sławę artysty i swemu powołaniu wiernym pozostał.

Od roku 1655 do 1658 w średnim za ledwie życia wieku, nasz artysta z gronem swych aktorów, odbywał wędrowkę po większych miastach. Zwiedził Grenoble; Lugdun, Rouen i t. d., gdzie badał zwyczaje narodowe i przyglądał się życiu swego ludu.

Kiedy dostał się do stolicy, przez wpływy Armanda Bourbona i Delphina, zyskał sobie łaski dworu, dla którego wystawiał tragedję *Nikomede* w sali starego Luwru. Król pozwolił mu ze swą truppą pozostać w Paryżu i grywać w małym teatrze burbońskim, po połowie dzieląc się dochodami z towarzystwem aktorów włoskich, tamże swe widowiska dających. Po upływie dwuletniego czasu już zadziwiał Molier arcydziełami swemi publiczność w *Palais Royal*. Odtąd Molier, prócz mnóstwa dla dworu wersalskiego wi-

dowisk, baletów, operetek, kantat i t. p. zabaw scenicznych, napisał przeszło trzydzieści komedj, które i dziś jeszcze mają wartość swoją. Albowiem serce ludzkie, źródło jego komedyi stanowiące, zawsze mieć będzie podobneź ujemności i przymioty. Ludzie chociaż zmieniają powierzchowne cechy, zwyczaje lub obyczaje, stosując je do czasu, wieku i kraju, wszakże wewnątrz zachowują mniej więcej jednakie *cnoty* lub wady. Tak Grecy i Rzymianie, jak Francuzi albo wielkie słowian plemię, wszyscy są jednakiemiż, lubo z pewnymi odmianami, ludźmi; dla tego-też płody Terencjusza, Plauta, Moliera, Fredry, Korzeniowskiego, we wszystkich niemal językach czytane i rozumiane być mogą: bo tłem tych wszystkich malowideł, jest — serce.

Nie każde jednak oko ma tyle przenikliwości i wprawy, aby mogło od razu zbadać wszelką stronę dodatną lub ujemną serc ludzkich. Niekiedy i samemu Molierowi wymykały się z pod śledczych uwag takie odcienia postępowań, których rzutem swych bystrych spojrzeń nie objął. Przeto Ludwik XIV niekiedy narzucał mu wzory z otaczających dwór charakterów, aby je przedstawił znamienity artysta. Molier taką opiekuńczą mając ostoję; śmiało wydrwiwał szarlatanów — lekarzy, świętoszków — obłudników, sentymentalność ówczesnych salonów, przywary towarzystw, jednym słowem wszelkie oszustwa i nadużycia, jakie gnieździły się bądź w świecie tak zwanym wyższym, bądź u dworu, bądź wreszcie gdziekolwiek w stolicy. Dla tej przyczyny znalazł wielu nieprzyjaciół, ale nierównie więcej stworzył sobie zwolenników i prawdziwych wielbicieli wielkiego talentu umiającego odkrywać wszelką nagość rzeczywistości. Visé, Derise, Desmarets; Boursault i wielu im podobnych pisarków, mimo wzrastającą wziętość Moliera i przybywającą codziennie większość stronników, usiłowała pognać go w oczach świata, dworu, arystokracji i duchowieństwa. Wymyślali więc rozliczne pisma szydercze, które mu przypisywano jedynie w tym celu, aby wszystkich nań oburzyć. Wszakże mimo niesłusznie obrażonych możnowładców i przesadzonych dewotek, sam król widzący, że na scenie wyśmiewane są ogólne tylko wady, stanął w obronie prześladowanego tak niesprawiedliwie Moliera. Wielki ten artysta nie tylko czerpał korzyści z poznania pisarzy komicznych włoskich, hiszpańskich i starożytnego Rzymu, ale także obfite do sztuk swych znajdował zasoby we własnych położeniach, które nie raz nader były dramatyczne zwłaszcza wpośród owych sporów ze spółubiegają-

cymi się aktorami; krytykami, obrażoną arystokracją i rozlicznego rodzaju nieprzyjaciółmi. Nawet Rasyń, którego on pierwszy zachęcił i wprowadził w szranki piśmienności dramatycznej, nie dotrwał w stałych z nim stosunkach zażyłości. Gdy wszakże król zapytał tego współtowarzysza Molierowskiego kogoby on uznawał za najznakomitszego z pisarzy społecznych — szczerą mimo nieżyczliwości wyrzekł prawdę, że Molierowi należy przyznać palmę pierwszeństwa.

Sztuka dramatyczna, nie posiada zaiste pisarza tak pełnego różnaitości w odcieniach charakteryzujących jedne i teź same osoby, jakim był Molier. U niego każda niemal pokojówka jest coraz inną; — kochanek nie podobny do kochanka w drugiej sztuce; — mąż do męża; — zazdrośnik do zazdrośnika; żona do żony. Umiał nawet rozróżnić położenia bardzo blisko-znaczne, zawsze jednak zachowując naturalność.

Jako aktor umiał Molier podobnie do naszego Żółkowskiego, naśladować postawę, ruch, język, słowem całą fizjonomiją osoby którą wystawiał. Biorąc na się rolę różnych stanów i rozmaitego wieku, potrafił każdą doskonale wykonać. W farsach nawet na *rozkaz* jak to mówią, robionych, rozsiewał dowcip i żywość.

Niemcy utrzymują, że Molier na dzisiejsze czasy jest już za stary. My byśmy przeciwnego byli zdania, że wady i cnoty ludzkie nie starzeją się wcale, tylko w co raz odmienniejszych okazują się obłonkach zewnętrznych. W prawdzie niektóre zwyczaje ówczesne są dziś tylko pamiątką, ale zawsze to obraz przeszłości, który warto poznać, zawsze to zwierciadło w którym i terażniejszość odbić się może.

Pobierając znaczną płacę ze skarbu królewskiego, oraz mając dochód z dzieł swoich, Molier nie tylko uzbierał sobie nieco pieniędzy na kupno wioski Auteuil gdzie go często odwiedzali najznakomitsi tamtych czasów mężowie; — ale nadto dosyć posiadał dostatków na udzielanie potrzebującym. I nie czynił tego z taką chępliwością jak Nestor niedawno zgasył sceny naszój, lecz wyszukiwał prawdziwe talenta i pokryjomu wspierał. Smutno, iż musimy tu oddać pierwszeństwo cudzoziemcowi, ale przedewszystkiēm prawda. Z resztą autor *Gadulynad gadulami* był zaledwie talentem, a Molier w swoim rodzaju był genjuszem. A genjusze zawsze dalej i lepiej widzą.

Znaną jest powszechnie opowiadanka o sławnej przytomności umysłu Moliera, którą Wolter za baj-

kę podawał, a Boalo jako jeden ze spółdziałających potwierdza. Wypadek ten przytaczamy tutaj podług świadectwa syna Rasyńa, który od ojca jako blisko znającego Moliera i od Boala dowiedział się o pewności tego tragikomicznego wydarzenia.

Aktor Baron, ukochany od Moliera i przybrany za syna, Boalo, Chapelle, Nantoulier i kilku t. p. zaproszeni byli na ucztę do jednego wielkiego domu w okolicach Paryża nad Sekwaną, których tam nie brakuje, jak ogródków nad naszą Wisłą. Chociaż fundatorem tēj biesiady był Molier, jednak zdrowie nie pozwalało mu długo oddawać się zabawie. Wychodząc zostawił na swoim miejscu Chapelle'a, aby przewodniczył bachanteryi w miejscu skazanego na mleczną dyetę Moliera. Podochoceni towarzysze, poczęli wygłaszać jeremijady na nędzę żywota człowieczego a w trunkowym zapale, wyrzekł z uniesieniem zastępcę fundatora: „Jesteśmy wszyscy podli! Lepiej skrócić narzekania i życie! Jesteśmy nad Sekwaną; wspólnie rzućmy się w nią i zgińmy!” Zaledwo skończył swoje wykrzykniki, które się jednogłośnie rozmarzonym podobały, natychmiast wszyscy pijani poci i literaci, usciskali się serdecznie jak by żegnając się z sobą i z życiem podłem na zawsze; — i wybierali się ku brzegom rzeki, co ich na zawsze pochłonać miała. Najtrzeźwiejszy z nich, Baron przybiegłszy do spoczywającego w łóżku Moliera, opowiedział całe szaleństwo: — artysta pobiegł natychmiast do swych przyjaciół, i tak się do nich odezwał: „O jakże śmiałym i razem rozważnym jest wasz zamiar, o którym w tēj chwili dowiedziałem się od Barona. Pozwólcie abym miał zaszczyt dzielić z wami to prstanowienie. Jaż tylko jeden mam się przywiązywać do życia? Jaż tylko nie miał bym wzgardy dlań obudzić w sobie.”

— „Slicznie mówi! —krzyknął Chapelle; — „nam tylko jego nie dostawało jeszcze! niech więc rusza z nami.

Lecz przytomny i zręczny Molier zawołał: „Dobrze! ale proszę jeszcze o chwilkę. Tak wzniosłe nasze zamysły mogą potem ludzie źle wytłomaczyć, gdy się dowiedzą żeśmy na tę wzgardę życia zdobyli się dopiero na końcu uczy. Złe języki i potwarz rozsławiają, że po pijanemu przyszły nam myśli filozoficzne! Drodzy przyjaciele! zachowajmy niepokalaną mądrość naszą! Jak tylko jutrzejszy dzień zaświta, w obec widzów całego Paryża rzucimy się do Sekwany i wszystek świat nauczymy jak to się życiem pogardza!”

Po tak przekonywującej dla pijących przemowie

wszyscy usłuchali swego gospodarza i udali się na chwilowy spoczynek. Dzień nadchodzący ujrzał trzewymi a tem samem miłującymi życie! — Zamiast ująć łono zimnej rzeki, gorąco i serdecznie uściskali swego mądrego przyjaciela, z którego dowcipu i swoich nocnych zapalów nie mało się naśmieli.

Podobnych szczęśliwych zwrotów, zręcznych dowcipów (bon mot) i przytomnych na razie znalezień się znamienitego komika francuzkiego, bardzo wiele żywotopisarze jego przywodzą.

Molier nie będąc już młodym, poślubił siostrę artystki dramatycznej Bejart (niektórzy błędnie utrzymują, że się ożenił z jej córką). Młoda aktorka narażona na zakulisowe nadskakiwanie i zaloty, stała się powodem zazdrości męża, a tak, wielki pisarz i sam nie uchronił się od śmieszności, przez niego tylekroć wydrwiwanych.

Ostatnie życia swego siły poświęcał scenie i umarł też na deskach teatralnych, występując w ostatniej z porządku przez się napisanej sztuce pod tytułem: *Le malade imaginaire*. Dostawszy konwulsyi i wymiotów krwawych, wyniesiony do domu, skonał na rękę niewiast szpitalnych 17 lutego 1674 roku mając lat 54. Została tylko jedna córka która jak mówią w części dowcip ojca odziedziczyła.

Arcy-biskup paryski Harlay de Champvallor, przez źle pojętą gorliwość, zabronił obrzędu pogrzebowego *komedjanta* który nagle prawie z życiem rozstał się, niedopełniwszy przeto żadnych powinności religijnych. Król, przyzwawszy tego najwyższego w krajowej hierarhji duchownej rządcę, usilnie go prosił, i w końcu nakłonił do odstąpienia od tak niezgodnego z przepisami boskiej wiary przedsięwzięcia. Jakoż massy ludu odprowadziły z uszanowaniem, na miejsce spoczynku, ciało wielkiego pisarza i filozofa. Nad domem zaś gdzie po raz pierwszy ujrzał światło dzienne, położono nadpis: „*Jan Chrzcziciel Poque- lin Molier, urodził się w tym domu 1620 r.*” W tych kilku wyrazach więcej powiedziano i większą cześć oddano, aniżeli we wszystkich nagrobkach, na które się po śmierci jego silono. Najpierwsi bowiem pisarze jak Lafontaine i Chapelle, a nawet jeden kapłan i drugi biskup, uczcili go stosownemi na kamień pogrobowy panegirykami. I wart tego był Molier, słusznie bowiem zasługiwał na imie prawego człowieka. Chociaż mimo próśb akademii francuzkiej, jej członkiem nie chciał zostać, jednakże uczone to zgromadzenie naznaczyło publiczną nagrodę za napisanie najlepszej pochwały dla Moliera, a na popiersiu jego w Muzeum położyło napis: *Niczego nie brakowało*

*do jego sławy; jego nie dostawało do naszej!* (Rien na manque à sa gloire; it manquait à la nôtre).

Przebieżmy w krótkości prace jego dramatyczne Najpierwsza pięcio aktowa komedja p. t. *Roztrzepany* (L'étourdi) grana w Lijonie, Beziers i Paryżu 1768 roku ma pożyczony charakter Akasta ze sztuczki Barbiego *l'Inavertito*: z resztą jednak te dwa utwory zupełnie są różne. Komedja Moliera odznacza się dobrze prowadzoną intrygą, a co najwięcej doskonałym odszkicowaniem oszusta i roztrzepańca. Węzłem, około którego obwijają się wypadki w tej sztuce, jest niewolnica. Znany nasz pisarz z XVIII wieku ksiądz Bochomolec przerobił i wydał tę komedję w trzykrotnym zbiorze swoim 1757 (w Lublinie) 1758 (w Lwowie) i 1772—1775 w Warszawie pod napisem: *Nieroztropność swym zamysłem szkodząca*. Kowalski w przekładzie wybornym *Dziel J. C. P. Moliera* umieścił tę sztukę w tomie I od s. 1 do 107 pod tytułem *Trzpiot*.

*Le depot amoureux* komedja trzy-aktowa — pierwszy raz grana w Beziers 1654 r. potem w Paryżu 1658 r. także dwakroć przyswojoną została piśmienictwu naszemu, ale żaden z tych przekładów nie jest prostem tylko tłumaczeniem. Nawet i w oryginale dziś się już nie grywa dla swój nienaturalności. Molier naśladował w niej farsę włoską niezmiernie zagnatwaną, p. t. la creduta Maschio (mniemany mężczyzna). Franciszek Salezy Dmochowski wspólnie ze zmarłym 1846 r. Dominikiem Lisieckim skrócił i wydał dla sceny warszawskiej pod zmienionym tytułem: *Kto się kocha ten się klóci, komedja we dwóch aktach* 1820. Franciszek Kowalski uznał, że wiele scen prześlicznych w tem przetworzeniu zginęło i dla tego zmieniwszy tok intrygi, jeszcze raz ją przerobił i wytłoczył w *Dzielach* Moliera tom 1 str. 160 — do 181. Toż samo i pod tymże samym tytułem: *Przekory miłosne* przekład 1783 r. Wojciech Bogusławski w Warszawie.

*Les précieuses ridicules*, jedna z komedijek największą] szczycącą się wziętością, wyśmiewa przesady zbyt sentymentalnych niewiast, jakie panowały w całej Francji od czasów zjawienia się Katarzyny i Maryi de Medicis. Niechęć wyraźnie dworów i salonów w prowadzać na scenę, Molier wyśmiewa tu dwie parafijanki świeżo z prowincyi do stolicy przybywające. Jak najgorzej dokonany przekład tej jedno-aktowej komedjki wydrukowanym był około 1,800 r. p. t. *Eleganty, fraszka w jednym akcie. Kalisz. w 8-ce u Mewalda*. Doskonale zastosowanie do nas i przeniesienie miejsca działania do Warszawy

do domu Sieciecha, dopełnił dopiero Franciszek Kowalski i wydał pod tytułem: *Wykwintne panienki*. 1822. *Warszawa* Powtórnie też umieścił w wydaniu Wileńskim *Dzieł Moliere* w tomie I od str. 183 do 233 pod nazwą: *Wykwintnisie*.

Le cocu imaginaire, sztuczka napisana dla ludu czterdzieści kroć raz po raz grana 1660 r., w którym po raz pierwszy ukazała się na scenie. Wzięta co do treści, z włoskiego. *Il ritratto, o Arlechino cornato per opinione*, ma dwóch tłumaczy polskich. — Fr. Sal. Dmochowski wytłumaczył ją w Warszawie 1821 p. t. *Urojona niewierność*, komedia wierszem w 3-ach aktach; — Fr. Kowalski, pod tymże tytułem przełożony trzymał się wydawców francuzkich i w jednym tylko akcie wydrukował 1847 w wydaniu Wileńskim. *Dzieł Moliere* (T. 8. str. 238—278) — Ponieważ po scenie 6 i 17, Teatr jest próżny, przeto stąd urosł podział tej niewielkiej komedyjki, aż na trzy akty. Akt drugi według działu Dmochowskiego, kończy się owym sławnym monologiem, zwanym powszechnie we Francyi unè belle scene. — Szkoła mężów, pierwszy raz napisana, a wystawiona 1661, jest jedną z najlepszych komedyj Moliere. Zarzucali mu zazdrośni krytycy, iż żywcem przetłumaczył tę sztukę z Terencjusza. Jednak on z *blizniąt* komika rzymskiego pożyczył za ledwie wzory (dwóch charakterów Demei i Miciana; intrygę zaś wziął z powieści 23-ciej Bokacjusza. Przekład tej sztuki z r. 1782 Bentkowski przytacza bezimienne. Zdaje się jednak, że to jest tłumaczenie Wojciecha Bogusławskiego. Kowalski pięknie ją przełożył w tomie II dzieł Moliere. Wilno. 1847 (od str. 73—148). Zalewski H. L. tłumaczył także tę komedję i umieścił w pismach Protasza w Kijowie drukowanych od str. 1—72. Powiada w przypisku, że ten przekład odrzuconym był dla tego z repertoaru warszawskiego, iż ta sztuka pro-

zą tłumaczona, jeszcze w XVIII wieku znajdowała się w rękopismach Biblioteki teatralnej. Dla teje samej podobno przyczyny nie była przyjęta i Szkoła żon tłumaczenia Witowskiego.

Szkoła żon, komedja w 5 aktach, pierwszy raz grana w Paryżu 26 grudnia 1662 roku, obudziła przeciw niemu niechęć wielu pisarzy dramatycznych mniejszego rzędu, truppę teatru burgońskiego, i wiele bardzo *dam* tak zwanych *wielkich*. Chcąc tę sztukę zkrytykować, a raczej dokuczyć samemu autorowi, powstało wiele oburzonych głosów, odezwały się nawet pióra kilku pisarków i mniejszych dowcipków. Stąd Delacroix napisał: *Wojnę komiczną czyli obronę Szkoły żon*, długo w wielu domach grywaną. Lecz gdy niezmiernie podzielone były zdania w tym względzie, Molier napisał jedno-aktową komedyjkę p. t. *Krytyka Szkoły żon* (la critique de l'ecole des Femmes) pierwszy raz grana w Palais-Royal 1 czerwca 1663 roku. Niektórzy i za tę potępiali Moliere, usiłując dowodzić, że to tylko *dyalog*. Nawet obrażony Devisé śmiał utrzymywać, że tę sztukę napisał l'abbé Dubuisson, który właśnie jako przewodca modnych w Paryżu salonów, wysmiany był w les precieuses ridicules. Nie przestając na tej potwarzy Dewisé wydrukował nadto *Zelinę* czyli prawdziwą krytykę Szkoły żon. Wreszcie Boursault, w *Lizydzie* (z krytyki Szkoły żon) chciał widzieć siebie i mszcząc się dał do Teatru burgońskiego na wystawę *Le portrait du peintre* (obraz malarza). Dramacik ten był płaskimi drwinkami i grubemi żarty. Molier na wezwanie królewskie, pisząc l'imromptu de Versailles (Improwizacja w Wersalu) i krytykujących pisarków drugiego rzędu i aktorów Teatru burgońskiego na scenę wywiódł i dowcipną dał im naukę.

(Dokończenie nastąpi).

## BOLONIA NADMORSKA.

(BOULOGNE-SUR-MER).

Niedaleko cieszyny Kaletańskiej na południe miasta Calais, piętrzy się wspaniałe portowe miasto, sławne cudownym Boga-Rodzicy posągiem, sławne starożytnością, bogate we wspomnienia, piękne wytworem ulic i marmurowych chodników, malowniczo położone, między morską przystanią a uprawnemi na wzgórzach łąkami; pełne ogrodów, przechadzek, rybaczek w czerwonych spódnicach i rybaków w czerwonych czapkach. Miasto francuzkie, z ludnością

angielską lub wpółzangielszoną. Nad brzegiem morza wśród kąpiących się słyszysz tylko złą francuzszczyznę albo mowę anglo-saksonów — nad morzem w wyższej części miasta widzisz kolumnę wzniesioną ku czci Napoleona I-go, a później poświęconą błogim restauracyi wspomnieniom <sup>1)</sup> zaś opodal kate-

<sup>1)</sup> Roku 1856 umieszczono posąg Napoleona I-go na miejscu gdzie stał jego namiot. Działo się 14 Czerwca

dry spostrzegasz objętą starym wałowym murem — wieżę, gdzie nie zbyt dawno przesiadywał Napoleon III, jako więzień stanu — O Vanitas Vanitatis! Kraj ten nad którym Boulogne panuje nie może się zwać ziemią Galla! choć niby do starożytnej miał należeć Gallii. Morinowie lud Galli Belgijskiéjszeroko rozsiedli się tu kiedyś na ziemi okrytej lasami. A gdy zwycięzca zachodu Juljusz cesarz, pokonał Helwetów i Belgów, nad brzegami mleszkańcy kanału la Manche Morinowie Atrebatowie i Menapianie powstrzymali na czas jakiś zwycięzki pochód wielkiego wodza, broniąc się do upadłego.

Jednak lud ten waleczny, uległ rzymskiemu jarzmu. Wiecie dla czego.

Lud ten po celtycku mówiący, a wierzący w Esusa, i przez Druidów, uczony zasad wiary, zasad pięknych bo pełnych szlachetności. (Podanie mówi, że zabijali Bogom swym, ludzi na ofiarę i że Tyberyusz a potem Neron zakazali Druidom tych bałwochwalczych ofiar (nam jednak wolno niewierzyć w to co wróg mówi na szkodę podbitego narodu,) lud ten, powtarzamy upadł — niejednomyślnością.

Celtyccy, téj części Gallii mieszkańcy, prowadzili życie koczownicze po lasach, dolinach lub morskiem nadbrzeżu. Forma rządu nie była u nich ustalona; polityczne zaś namiętności wielką znać wzięły górę, kiedy mimo meztwo Morinian — dostali się w Rzymską niewolę. Cezar zarzuca im, że nie tylko miasta i prowincje, lecz nawet rodziny, żyły ze sobą w niezgodzie.

Gdzie taki brak siły moralnej na nic się nie zda osobista odwaga, upadły wolne plemiona, a nad niezbyt obszerną zatoką między przylądkiem Alpreck i wzgórzem zwanem wieżą Ognia (dzisiaj Tour d'Ordre) wzniosła się nowa Bononija na 50 lat, przed narodzeniem Zbawcy rodu ludzkiego.

Towarzysz Jul. Cezara, Pedius Bonończyk nadał nowej osadzie imię i kształty swego rodzinnego miasta — i odtąd w Galli podbitej przez Rzymian nie było lepszego portu nad wschodnimi Manszy brzegami. Tu się zbierała flotta rzymska, niedaleko ztąd w Wissant (Portus Itus) popłynął Cezar na podbicie Bretanów — wkrótce w samej Bononii, stanęły dobyte z bogatych kopalni marmurowych (leżących na zachód miasta, blisko Hardingen), świątynie, pałace teatru, i oto gród Cezara przegląda się w szmaragdo-

w dzień chrztu księcia następcy tronu syna Eugenii i Ludwika Napoleona III-go, nakładem Alfreda Kent. obywatela bulońskiego wedle jego rysunku.

wem Oceanu zwierciadle. Na jego najwyższym punkcie widać latarnię morską (Turris Ardensis) która przyswieca wielkiemu dziełu niewoli i podboju, rozjaśniając drogę pogańskich bohaterów — żeglarzy.

Przejdźcie teraz nieśmiertelne cienie Kaliguli, Klaudjusza, Adrijana, Konstantyna W. przyjdźcie monarchowie pogańscy stanąć, przed potomności wspomnieniem i sądem.

Po cóś tu przybył prawnuku Cezara, niedołęzny synu W. Germanika? Na to, odpowie nam Swetonjusz.

„Kaligula stanąwszy na brzegu morskim na przeciw wyspy Bretonów, ustawił swe legje w szyku bojowym, choć z nikąd nieprzyjaciela nie było widać. Nagle cesarz wydaje rozkaz wojsku, by na piaskach nadbrzeżnych zbierało muszle, a gdy każdego żołnierza hełm został napełniony — wojsko cofnęło się z nadmorza. Ten łup na Oceanie zdobyty, złożony w Kapitolu, jako zabytek zwyciężkich monarchy pochodów i przewagi jego nad żywiołami.”

Dodajmy do tego iż latarnię morską, na miejscu gdzie legijony zbierały, muszle — Kaligula w pamięć tego wypadku założyć kazał. Klaudjusz pojawił się w Bononii, chcąc Bretonów zmusić do hołdu od którego się wzbraniali, miejsce jego wylądowania upamiętnił łuk tryumfalny.

Adrijan w 117 r. wracając z Wielkiej Bretanii mieszkał czas jakiś w Bononii i ślady wspaniałości monarcharszej zostawił miastu, zakładając świątynie wspaniałe i silne warownie.

Konstantyn zaś Wielki stanąwszy na krańcu Zachodniej Europy w 311 r. uszczęśliwił mieszkańców dobrymi prawami. Już w 3-cim wieku mieszkańcy Morini poznali Chrystusa. Święty Firmin głosił tu ewangelję a w 275 wzniosła się nad brzegami rzeki Liany, kapliczka chrześcijańska. Może syn S-tój Heleny, cesarką swą opieką osłonił wtedy gnębionych przez pogan wyznawców, Chrystusa — może ten który się przenosił na wschodnie Europy krańce chcąc temi przenosiny wyrugować poganizm z cesarstwa rzymskiego, przybył tu [zatknąć sztandar bezpieczeństwa dla nowo nawróconych.

To pewna, że chrystjanizm szybko się tu rozpostarł, lud bowiem tutejszy ma wszelkie przymioty chrześcijańskie; uczynny, bogobojny, pracowity, pokorny — w obec rozhukanych żywiołów, wiara łatwą bywa. Bóg wtedy głośno o swój, przemawia potędze i dla tego pewnie, przysłowie twierdzi. *Nauczy się modlić kto był na morzu*

Na ojcu Teodozjusza W-go, Teodozym rządcy Bo-

nonii, kończą się świetne z Rzymskich czasów postaci, w IV wieku po Chr. napadli na dawne Morinian ziemie Duńczycy — w 420 r. Frankowie; dotarł do bagien tutejszych pamiętny z dziejów Attyła, i tak płynęły fale najezdzców jedno po drugim, zostawiając na widowni przeszłości kronikami objętej, zawsze ucisk i spustoszenie — aż po Danach Hunach, Wandalach, Normandowie osiedlili się na dobre, biorąc tę część nadbrzeża w lenność za czasów Rollona wodza Normandów i Karola prostaka króla Franków 912 roku.

Pominęliśmy największego z Wielkich — Karola W-go, który tu urządzał flotę, mającą stawić czoło najazdom Normanów — powtarzamy; Boulogne-sur-mer jest cesarów grodem i każda wielkość przychodzi tu ze swemi zamiarami podboju lub obrony. Nie tylko jednak ziemskie potęgi, zaszczycają to miasto odwiedzinami — chlubi się gród Pediusa, innemi opiekunami. W licznym świętych tutejszych gronie znakomite miejsce zajmuje S-ta Ida żona hrabiego z Boulogne. — Jój to syn, Godfred przezwany de Boullon zamiast de Boulogne, wiódł garstkę dobranych krzyżowców na pierwszą wyprawę krzyżową. A gdy po pięcioletnim oblężeniu Jerozolima dostała się w jego ręce — pokorny zwycięzca, koronę Jerozolimy, ofiarował patronce swego ojczystego miasta Matce Boskiej bulońskiej a sam poprzestał na tytule barona Jeruzalem. Po zgonie Godfreda, Baldwin brat jego rządził Jerozolimą do 1,118 roku trzeci zaś ich brat Eustacjusz powrócił nad brzegi Atlantyku i objął rządy Bolonii nad morską. Towarzystwem śmiałej Godfreda wyprawy, był prosty rybak Gilmer, ten z małą flotyllą wypłynawszy z Bolonii, oparł się aż nad brzegami Syryi, powiadając, że pierwszy zwycięzki sztandar na murach Jerozolimy zatknęty był ręką bulońskiego rybaka.

Dziwne to zjawisko w dziejach te wojny krzyżowe Ta gorąca miłość chrystjanizmu a nienawiść innych wyznań obok czynów godnych pogańskiej, ery — ten zapal, obok takiej niesforności... Te nadludzkie cnoty, przy takich okropnych przykładach przestępstwa. — Dziś, wiek XIX inaczej zaczyna sądzić owe czasy. Wielkie umysły tegoczesne, jak np. Abbe Gratry — dowodzą, że wojny krzyżowe były czynem złe obmyślonym i złe wykonanym, iż Opatrzność dała im dla tego tak smutne rozwiązanie gdyż właśnie działały się przeciw woli opatrznosci. Nie z mieczem w rękę, nie z chorągwią zemsty i mordy iść ma ludzkość w imię Chrystusa. Naprzód, naprzód bracia

chrześcijanie garstko wybrana a nieliczna — naprzód z wiarą w nadziei i miłości.

A miłość jest cierpliwa, spokojna, potężna, mocna jak płomień, a potężna jak Bóg. Tak, idźmy walczyć i zwyciężać, dzwigać upadłe i cieszyć zasmucone, wyswobadzać więźnię a nawracać zbłąkane — w pokoju i miłości, jako dzieci tego Boga, który nie jest Bogiem umarłych ale żywych — precz zatem ze zgnilizną złości, tortur, prześladowania — w imię Chrystusa naprzód z Błogosławieństwem i pociechą, prawdą i nauką; wszędzie gdzie stąpią chrystjanizmu wyznawcy.

Tak dowodzą dzisiejsze mądre głowy, my kornie pisząc się na ich zdanie, wracamy — do Bolonii.

Było to w 1339 roku na tronie skalanym zbrodniami synów Filipa Pięknego, zasiadł nową dynastii założyciel Filip Walezyusz. W porcie bulońskim pewnego dnia, stało 66 okrętów wojennych i kupieckich, morze było spokojne, powietrze ciche, mgła tylko bardzo gęsta zaległa oblicze wód i ziemi. — Nagle tę ciszę przerywają straszne okrzyki trwogi, później czerwony całun płomieni rozciąga się nad portem i te 60 kilka statków pochłania od razu. Kto zginął z ludzi kto ocalał? dzieje nietroszczą się oto; co znaczy w obec dziejów i ogołu człowiek? Jest to kostka którą pogańskie bóstwo, *fatalizm* podług upodobania, miota. Kroniki płaczą tylko nad stratą floty francuskiej z takim wystawionym kosztem, którą Edward III spalił, i dolne miasto, w moc swą zagarnął.

Słusznie się ten fajerwerk należał Francji za piękną gody jakie wyprawiała w téjże samej Bolonii, trzydzieści lat temu. — Edward II Anglik poślubił tu wowe czasy, Izabellę córkę Filipa Pięknego. Sliczna to była rodzina i miała dziedziczne cnoty równie jak dziedziczną piękność. Morderca Templaryszów, dochował się dzieci lepszych jeszcze jak sam. Piękna Izabella niewiem jakie sny miała podczas swych weselnych godów — ale czy Edwardowi nie przysnił się ów drót rozpalony, którym milutka małżonka ze świata zgładzić go kazała — w kilka lat po weselu? niewiemy — jednak przypuszczać nam się godzi, że musiał mieć sny okropne po odbytej przysiędze na miłość i wierność, takiemu potworowi w pięknym jednak ciele.

W sto lat później, za grzechy ojców pokutowała tu druga Izabella, wdowa Ryszarda II, który był wnukiem Edwarda III, zamordowali Ryszarda stryjeczni bracia, gdyż ród Plantagenetów, to także gniazdo tygrysięgo plemienia; młoda i strapiona wdowa, powró-

ła do Francji swęj ojczyzny, rozmyślać nad zmiennością potęgi monarszej.

Filip ojciec Karola Smiałego burgundzkiego, został dziedzicem hrabstwa i miasta Boulogne — tak od czasu Ludwika XI, hrabstwo to wcielone zostało do Francji.

W okolicach tutejszego miasta odbyło się spotkanie Franciszka I, z Henrykiem VIII m. ang. 1515 r. między miastami Ardres i Guines — wtedy obaj monarchowie z takim wystąpili przepychem, że pole na którém stał ich orszak, dotąd nosi nazwę *Camp du drap d'or* a miejsce gdzie się przywitali nazywają: *złotą doliną* Val doré. Po gorących a nieszczerych uściskach, po umowach Bonniveta z Wolseyem, Franciszek I wrócił do Boulogne a Henryk VIII do Calais. Wyobrażamy sobie jak musiał być ucieszony pocziwy ludek, nawidok tych pieszczot monarszych. Franciszek z Henrykiem w przyjaźni! to pokój dla kupców Anglii i mieszczaństwa Franków, Atlantyk objęty pocałunkiem zgody, oba brzegi spojone miłością! Żarty, biedni ludziska; za lat parę przyjdzie sroga wojna choć i Karol V, cesarz Niemiec Franciszkowi padał w objęcia. — I przyszła wojna Kambręjskim pokojem zakończona; znowóż odwiedziły Franciszka i Henryka w 1532 r. i przybycie ich obu do Boulogne — a w 8 lat potem angielski garnizon z Calais rozgościł się w Boulogne jak w swym domu.

Przy końcu miesiąca lipca 1544 r. Henryk VIII obległ Boulogne, na dobre. Pełen ducha i odwagi, Antoni Eurwin dwa miesiące bronił swego miasta ze stałością prawdziwego obywatela. Już się przebrały obrońców siły, już niektórzy mówić zaczęli o kapitulacyi Eurwin nie tracił ducha gdy Henryk VIII zaczął spuszczać z tonu bardzo, a wielka burza przyszła w pomoc Bulończykom. Co jednak pomogą ludzkie i przyrody, moce, tam, gdzie szatan pod postacią *zdrady*, usadzi się na swoje? Dwaj zbiegi z włoskich najemników, tajemnie w prowadzili angielskie hufce do miasta — które na lat 6 dostało się w moc Anglikom. Natychmiast złupiono wspaniałą Maryacką katedrę ze wszystkich kosztownych darów; cudowny Maryi Panny posąg, wywieziono do Anglii zadawszy kilka cięć pałaszem. Tu mi się prawie przypomina, podanie o naszej Matki Boskiej Częstochowskiej, obrazie. I tam ręka chrześcijańska siecze wizerunek Maryi, kaleczy jęj oblicze — nic to niepomocze sieką kaleczą łamią, lat parę mija lud znów korzy się przed posągiem Gwiazdy Morza który z najwyższego szczytu strzeże brzegów tutejszych — a z wierzchołka naszej Jasnej Góry, czuwa nad wiarą i ludem.

Piekielny duch zdrady podał Boulogne w niewolę anioł boży wyzwolił jednak gród Godfreda. Straszny to anioł. Niedowiarkowie powiadają, że cudów już niema, że dziś jak za S-go Piotra czasów nieprzychodzi posłannik pański wybawiać z więzów, niewinnych — my wierzym, mocno że — przychodzi, zesłany pod jakąkolwiek postacią lecz najczęściej jako anioł śmierci. A nie zstępuje wtedy do ciemnych tylko do — ciemieców.

Na ten raz przybył nad brzegi Morinów, anioł Moru i zabrał 10,000 ludzi w przeciągu 5-ciu tygodni. Daremnie wojsko angielskie dobierało miejsc zdrowych na obóz, mór nieustawał — Henryk VIII wszedł w układy o powrócenie miasta, lecz w krótcie on i Franciszek I, położyli się na wiekuisty sen w grobie i dopiero ich następcy dokonali układów.

Młody następca Franciszka I, radośnie powitał odebrane Anglikom miasto i złożył w złupionej katedrze wizerunek Matki Boskiej ze szczerego srebra ulany, Edward VI, oddał zabrany przez ojca posąg cudowny; a miasto Boulogne zostało stolicą biskupią. Oparło się w pływowi protestantyzm, jakkolwiek [w wojnach. Ligi trzymało za Henrykiem IV. Chwilowo tylko protestanci wzięwszy górę nad katolikami wkradli się się 1567 r. do katedry odarli posąg z szat kosztownych i wyrzucili precz za wały. Pan z Honvault protestant miał żonę katoliczkę, ta ukryła wizerunek patronki miasta w zamku, dopiero w lat kilkadziesiąt oddali go, jęj potomkowie. Znowuz zasłynęła katedra cudami i rozpoczęły się pielgrzymki do Boulogne, które po dziś dzień trwają. Znajdalszych okolic północnej Francji dążą z początkim sierpnia tłumy pobożnych, już nie do cudownego posągu Matki Bożej ale do obrazu ten, posąg przedstawiającego, obraz ten umieszczony w wielkim ołtarzu nowo zbudowanej katedry, wyobraża postać Matki-Dziewicy z Dzieciątkiem Jezus na ręku, stojącym na czólnie, którém steruje dwóch aniołów. W ten bowiem sposób miał się zjawić posąg z drzewa rzeźbiony, a jak lud wierzy dłonią Sgo Łukasza wyciosan — w porcie bulońskim 636 roku, czasów Dagoberta I, syna Klotarjusza. Był to właśnie rok zdobycia Jerozolimy przez Omara. Kto wie czy jaka pobożna chrześcijańska ręka, chcąc od zniewagi mahometan uchronić wizerunek Maryi umieściła go w czólenku powierzając falom morza. Tak sterowany wiatrami statek zatrzymał się w Boulogne. Teraz ten posąg stoczony starością, przechowuje się w kościele S-go Józefa, u panien Annoncjadek.

Miasto pod opieką Maryi będące wychowywało, dzielnych obywateli. Bolończycy słyną z męstwa podczas ciągłych napadów Albionu na brzegi zachodnie Francji. Za Ludwika XIV, książę Aumont urządził wyborną straż z mieszkańców Bulonii, straż ta mężnie odpierała napady Hiszpanów, Anglików, Jana z Vert i Piccolominiego zastępy — i do podbicia Flandryi, znacznie się przyłożyła. — Kosztowne dary królewskie, w złocie i innych drogich upominkach składane u stóp Maryi obrazu dowodem są wdzięczności królów francuzkich.

Miasto pomnażało się we wzrost i zamożność — aż do czasów rewolucyi. <sup>1)</sup> Przeszła ona i przez Boulogne zostawiając krwawe swe ślady, w zubożeniu okolic, osieroceniu tysiąca rodzin i zburzeniu kościołów.

Stosy relikwii, obrazów, posągów spalono publicznie, miał być rzucony w płomień i stary posąg dłuta S-go Łukasza, znać ocalała go jakaś pobożna dusza.

W 1794 — 2go roku rzeczpospolitej całej i niepodzielnej, pojawił się wysłaniec narodu Lebon w okolicach cieśniny Kaletańskiej a z nim przyszła gilotyna i cały jej orszak nieuzasadnionych zaskarżeń, więzienia, prześladowan. Francuzi niechętnie opisują te ohydne wypadki. Te wysiłki okrucieństwa i rozkiełznanie w zbrodni, w którym kobiety nawet brały tak żarliwy udział.

Wstydzą się teraz synowie rewolucjonistów i sami przyznają, że ten głód ta nędza ludu o kórę tak krzyczano wówczas nie większa była jak dawniej jak dzisiaj nawet kiedy na pauperizm wielkich miast niema lekarstwa, chyba dobroczynność lub osiedlenie po pustkowiach lub osadach zamorskich. Przyjdzie zapewne czas, że Francuzi przestaną wskazywać na ohydne rewolucyi oblicze, jakoby na godło zbawienia ludzkości. Bo nie rzeź zbawiła Francją ale ład w wojsku. Męstwo jej synów — miłość, za tem a nie zbrodnia. — Lebon jak wszyscy ówczesni krwiożercy; jak St. Just jego przyjaciel — i Robespierre, zakończył pod gillotyną.

Kiedy terroryzm ustał a rozpoczęły się łagodniej-

<sup>1)</sup> Pilatre de Rozier areonatua chcąc 15 Czerwca 1785 roku przepłynąć kanał la Manche, spalił się w swym balonie wraz z Romain towarzyszem wyprawy. Pilatre miał lat 28, biegli obadwa w fizyce. Balon zatrzymał się w Wimereux, ciała spalonych pochowane w Wimille. W Bologne także umarł Lesage autor Gilblasa 1747 r. a urodził się Sauvage wynalazca okrętów śrubowych.

sze dyrektorjatu rządu, mieszkańcy Boulogne obchodząc rocznicę 28 lipca (9 Termidor) wymyślili, bardzo zabawne igrzysko. Na tak zwanej *esplanadzie* miejskiej postawiono pomnik dla ofiar terroryzmu. Władze miejskie i lud przybyły na esplanadę przy odgłosie muzyki — a za tłumem włókł się olbrzymi potwór z rozwartą paszczką, długim ogonem węzami najeżonym. Gdy potwór doszedł aż do pamiątkowego dla pomordowanych, pomnika — tłumy dzieci rzuciły się na jego papierowe ciało, i w drobne kawałki, poszarpały. Potwór wyobrażał terroryzm. Zaiste, niewinne tylko ręce młodego pokolenia mogły uwolnić Francją od téj ohydnej idei mordy która się wpiła w mózg, starych. I tylko zwycięzka dłoń następców, zmusiła Europę do szanowania narodu który się tyloma zbrodniami, shańbił względem samego siebie.

W 1803 r. 29 czerwca, Napoleon Bonaparte, po raz pierwszy zawitał do Boulogne w towarzystwie generałów Soult i Lauriston. Sokoli wzrok rzucił po brzegach i porcie, obejrzał szczegółowo miejsca ważniejsze — rzućmy tu 600 ludzi a tam czterysta, rzekł do jen. Soult a przejdziemy kanał. — Myśl podbicia Anglii nieopuszczała nigdy przyszłego Cezara, kilka razy wracał do Boulogne, wojska liczne postawił tu obozem; brzegi obwarował flotyllą, z 1400 okrętów.

Po odegranej 18 maja 1804 r. komedyi ofiarowania korony przez naród 1-mu konsulowi, gdy Bonaparte raczył się do woli narodu, <sup>3</sup> wyrażonej przez trybuna Curee, nakłonić; flotta i armja w Boulogne pod dowództwem jen Soult będąca — głosowała także, *według życzeń narodu*, za Napoleonem — a w lat 10 później w tymże samym porcie Ludwik-Stanisław Ksawery — witany był przez tychże samych ludzi okrzykami, niech żyje Ludwik XVIII niech żyją Burbonowie.

Sic transit gloria mundi!

\* \* \*

Dodać tu jeszcze należy, iż w 1801 admirał Latoche — Treville stoczył w porcie bulońskim morską z Nelsonem bitwę. Nelson dwakroć ponawiał swój napad, z bardzo jednak szczupłymi siłami i po dwakroć bezskutecznie gdyż przewaga była ze strony francuzów. W roku 1805 admirał Keith angielskiej floty przywódca, skradał się do brzegów Boulogne z wszelkimi przyborami do spalania Napoleńskiej floty. Statki palne, wybuchnęły bez uszkodzenia



francuzkich okrętów — Keith z niczem wrócił do Anglii.

Teraz Boulogne, jest miastem pielgrzymek — kąpieli — i handlu. Ztąd idą statki przewozowe do Folkstone, dla przyjemności podróżnych którzy za godzin dwie, mogą stanąć na brzegach Anglii i tegoż samego dnia powrócić na ląd stały.

Kilka pięknych kościołów, liczne a świetne sklepy, teatr dość piękny, muzeum, zakład kąpieli, szkoła dla ubogich, szpital, wielkie seminarium, szkoła hydrografii, biblioteka publiczna — są to głównejsze, miasta, zakłady. — Kilku znakomitych angi- ków, założyło w 1826 r. towarzystwo bezpieczeń-

stwa dla kąpiących się w morzu. *Human Society*, członkami tego towarzystwa, są odważni pływacy, którzy podczas kąpieli morskich czuwają nad brzegiem; lub w łódce gdy niepogoda grozi, burzą.

W kościele S-go Mikołaja na rynku, bywają kazania w angielskim języku dla katolików angielskich, tamże spotkaliśmy się z ogłoszeniem, iż co sobota z rana odprawia się Msza S-ta za nawrócenie Anglii. Smiały pocisk w serce protestantyzmu! Proboszcz tutejszy Haffringues, oddał cały swój majątek na dokończenie swej katedry lecz że i to nie wystarcza loterja i składki, przynoszą dalszy zasilek pieniężny by pomnożyć zasoby zacnego kapłana. *Jul. Janis.*

## Z NIEWYDANYCH DOTĄD RĘKOPISMÓW ALBERTRANDEGO.

*I. Zamek Drottingholm.* Zamek ten wystawiony przez królową Ulrykę Eleonorę na wyspie jeziora Meller zowiącej się Drottingholm (co dosłownie znaczy *wyspa-królowej*) odległy o milę od Sztokholmu, opatrzonej jest najwygodniejszemi doń wiodącemi drogami. Panujący podówczas król (1785) kazał je wyrównać w różnych miejscach, znosząc zbytek podniosłości z nader wielkim kosztem. Mnóstwo wtedy powstało mostów i wiele skał rozerwano minami. Główna droga przechodzi przez kilka wysep na jeziorze Meller rozrzuconych. Dawniej trzeba było kilkakrotnie przesiadać na łódzie, albo też ciągle płynąć. Dziś za pośrednictwem mostów łączących między sobą wyspy, dojeżdża się aż do Drottingholm. Pierwsza wyssepka zowie się Nongsholm, którą można uważać za przedmieście a raczej przedłużenie miasta Sztokholmu. Ztamąd idzie droga wpośród skał i lasów, wśród których rozrzucone gdzieniegdzie chatki lub domy wiejskie, wcale nieokazałe. Mosty drewniane, dobrej budowy, bardzo szerokie, a ku Drottingholm, nawet piękne.

Droga główna idąca ku zamkowi, nie prowadzi wprost do samego zamku, lecz tylko do jednego ze skrzydeł. Jezioro Meller tworzy zatokę tuż pod zamkiem, od którego dzieli je niewielki taras: z niego przechodzi się wygodnemi wschodami opatrzonemi na taras większy. Po obu stronach są także wschody wiodące do zamku, którego część główna dwupiętrowa, o 12 oknach, ma nadto dół i okna w poddaszach, przez co kurpus wygląda, jakby miał cztery piętra. Wejście dolne najgłówniejsze ma wystawkę w stylu gotyckim; po obu stronach drzwi, arkady za-

stępują miejsce okien. Zdawało mi się że podwoje wielkością swą nie odpowiadały wspaniałości gmachu. Okna bez ozdób, gzymsy bogate; ozdoby i płaskorzeźby obfite, okolone herbami, między którymi widną była i *Pogoń Litewska* (zachodzi tylko pytanie, czy *jeździec z tarczą* nie jest także godłem jakiej prowincji szwedzkiej).

Pawilony zamkowe są mniej wysokie, bo mają tylko dół z jednym piętrem. Widać jak najwyraźniej że je później przybudowano, bo nie są odpowiednie głównemu gmachowi w tym stylu i za niemi widać jeszcze jakby drugie pawilony z kopułami: pod jedną ni- by wieżyczką, widną z drogi wchodowej, mieści się kaplica, pod drugą kuchnia. Oprócz tych ważniejszych zabudowań, znajduje się tu kilka domów oddzielnych rozrzuconych w około dla mieszkania dworzan i różnych przeznaczeń. W jednym z nich, znacznie obszernym, umieszczono teatr i aktorów głównych; artyści podrzędni i figuranci (drabanty) mieszkają nad odwachem. Ogrody rozległe, kończą się wodami, stanowiącemi ich obmurowanie naturalne: część starożytna zachowała jeszcze symetrię dawną; niegdyś wybudowane tu miejsca na kaskady i wodotryski, są dziś suche i próżne; zostały tylko na nich wazony, urny i posągi z bronzów i marmurów, zdobyte niegdyś w czasie wypraw wojennych w Niemczech, jak to świadczą herby miast i mitry książąt którym były zabrane

Król szwedzki kazał także wznieść tutaj wiele posągów marmurowych zakupionych we Włoszech: większa ich część nie przechodzi mierności, a kilka wcale nie pięknych. W tej części jest proscenium,

czyli amfiteatr pod otwartem niebem, gdzie niekiedy grywają. Na krańcu zaś ogrodu są tak zwane *Chiny* to jest domek wzniesiony według planów wprost przywiezionych z państwa niebieskiego.

Domek chiński składa się z głównego korpusu i dwóch pawilonów wzniesionych w kształcie ekierki. W pewnej odległości stoi budynek oddzielny, z główną salą jadalną i salonikiem sekretnym, gdzie wysuwa się z pod podłogi cały stół z nakryciem ku jedzeniu. Także są tu 2 sale rodziny królewskiej. Wszystkie ozdoby i obicia są w guście chińskim: dach i dziedzińiec zdobne są w wazony z porcellany chińskiej, które tu liczne i znacznej wielkości. Odźwierny tej osady, nosi się po chińsku, i to nie tylko pod względem ubiorów, ale i włosów na głowie.

W niejakiemś od tego budynku oddaleniu stoi szyldwach, którego powierzchowność podobna do dużego namiotu. Żołnierza wtedy tu tylko widać, kiedy król szwedzki mieszka w pałacyku chińskim. Opodal widać rząd podwójny domków drewnianych, wśród mniej lub więcej obszernych ogródków: w nich rząd pozwala, ażeby mieszkały osoby prywatne. Odział tych domków zowie się okręgiem *Katona*.

Po prawej stronie dawnego ogrodu rozpościera się nowy sad angielski założony na szkaradnem bagnie wód zgniłych, które przez wprowadzenie wody bieżącej i kanałów zamieniło się na miejsce bardzo przyjemne. Widać tu mniejsze i większe wysepki, połączone mostkami, nacechowanemi prostotą wieśniaczą a obok tego niepospolitym smakiem. Weżykowate ścieżki, wysypano starannie piaskiem. Ogrodnik, rodowity Anglik, urzęduje wszystko tutaj według rozporządzeń samego króla. W pewnej odległości wygląda budynek zwany folwarkiem, który chociaż niegrzeszy zbytnią powierzchownością wiejską, ma jednak nieco w sobie sielskości. Mają tu jeszcze być dla ozdoby piramidy i obeliki, wzniesione na szczytach skał, któremi tę okolicę zasiało samo przyrodzenie. W stronie ogrodu stykającej się z dawnym, znajduje się obszerny labirynt, który aczkolwiek świeżo zasadzony, ale z czasem, równie jak cała ta część ogrodu upiększy się znakomicie.

## II. Biblioteka królewska w Zamku Sztokholmskim.

Jest to resztką pogorzałego w r. 1697 księgozbioru, dopełniana nowemi potem zakupami. Mieści się w jednem skrzydle zamkowym i wcale nie jest ułożoną. Ciemne wschody wiodą do tej sali bibliotecznej, dość obszerniej, w której szafy bardzo wysokie nie były jeszcze wówczas ukończone (1785 r.). U wierzchołka szaf przyczepiona galerja w około. Tu się

mieszczą resztki tylko ze zbioru marmurów Piranesi kilka sztuk urn grobowych z napisami; kawałki płaskorzeźb, z których zdaje się, że jedna należała do kolumny Trajana; nieco pięknych trójnogów starodawnych; oraz kilka pudełek okrągłych z wypukłościami i t. p. Król zamierzał kazać wybudować na *placu* północnym wielki dom, mający mieścić muzeum Swewo-gotyckie na wzór angielskiego *British-museum*, składające się z przedmiotów nauk przyrodzonych, archeologicznych, numizmatyki i biblioteki. Obrazy, rysunki i sztychy, również i książki, póty, dopóki ten zamysł do skutku przyprowadzonym nie został, były złożone na trzech idących po nad sobą galerjach podobnych do biblioteki królewskiej w Warszawie. Rozrzucone tomy każdego dzieła tu i owdzie, a książki leżą li tylko według formatów. Razem ze zmieszaniem tu rękopismami, ilość woluminów dochodzi zaledwie dwudziestu tysięcy. Bibliję, pisma ojców kościoła, komentatorów, słowem to, co w Bibliotekach klasztornych zeszłego wieku (17-go) zwykle się znajduje, zdobi i królewski księgozbiór: ale nie masz tam świeższych wydań z XVIII wieku; rozgłośniejszych tylko nieco i nowszych można tu trochę pism znaleźć. Widać jak najwyraźniej ze wszystkiego, że ów księgoskład powstał z dzieł zdobytych po klasztorach i uczelniach w Polsce i Niemczech. Wiele ksiąg opatrzonych widocznymi piętnami cudzej własności widzieć tutaj można, jak np. czytałem sam nadpisy: *Bibliotheca Collegii Brunnsbergiensis, Vilnensis, Luceoriensis, ac Soc. Jesu*. I polskie dzieła dają się spotykać. W małej bardzo ilości ujrzeć tu można druki początkowe sięgające pierwszej chwili wielkiego wynalazku; wśród nich są i najdawniejsze druki szwedzkie. Pomiedzy innemi widziałem bibliję niemiecką całą okrytą własnoręcznemi przypiskami Marcina Lutera. Katalog niedokładny, podobny tu raczej do nieporządnego inwentarza. (Po-co-to szukać Szwecyi, kiedy u nas to samo się znajdzie). Ów nieład bywa, zdaje się, przyczyną wielkiej niechęci, z jaką rzadko kiedy i komu pokazują bibliotekę, wstydząc się podobnego jej stanu. Bibliotekarz siedzi zaledwie od 11-jej do 1-jej godziny. Dotąd więc ten zakład nie może stać się ani pożytecznym, ani publicznym. Znajduje się 16 tek tutaj z rysunkami oryginalnemi, czekającemi o ceny od prawdziwego znawcy: mieszczą się w nich utwory wszelkich szkół znanych, zebranych przez hr. Tessin, który umierając zrobił zapis hr. de Piperowi, swemu siostrzeńcowi. Od tego ostatniego król zbiory artystyczne zakupił.





*Stich u. Druck v. Alexander Althoff in Leipzig.*

RAFAEL W WATYKANIE.

## RAFAEL W WATYKANIE.

(z CZARNĄ RYCINĄ SZTYCHOWANĄ)

Komuż nie, wpadły w ręce mniej-więcej dokładne opisy Watykanu? Owój stolicy nowego Rzymu, które nie pałacem, ale zbiorem licznych pałaców nazwaćby można. Tu są zgromadzone arcydzieła w każdym rodzaju, najpierwszych mistrzów sztuki dawniejszej i obecnej. Nie będziemy więc opisywali ani historycznego pochodzenia tego gmachu, ani ogrodów, dziedzińców, pokoi, których jak twierdzą niektórzy do 13,000 liczy. Wspomnimy tylko o tyle o tym olbrzymim w swoim rodzaju budynku, o ile wymaga tego piękny obraz Horacego Werneta <sup>1)</sup>, którego sztych mamy przed oczyma, a który byłby dla powszechności nie dość zrozumiałym bez stosownych objaśnień.

Gdy władcy kościoła przenieśli swą stolicę do Watykanu, każdy z nich starał się powiększać gmach niegdyś przez Karola Wielkiego zajmowany, łącząc go galerjami z sąsiednimi pałacami. Każdy gromadził arcydzieła sztuki ku jego ozdobie. Szczególniej w końcu XV-go i początku XVI-go wieku wielcy mistrze dotąd za protoplastów sztuki uważani, jednoczyli usiłowania swoje, aby z bogacić dziełami dłuta i pędzla te siedliska sztuki. Wtedy to Michał-Anioł zadziwił świat, sławnym na murze malowaniem, przedstawiającym *Sąd ostateczny*. Wtedy Rafael, oprócz licznych obrazów, wykonał sławne wielkie *Przemienienia Pańskiego* dzieło. Ówczesni pisarze, przytaczają nam wiele okoliczności, świadczących o wielkiej różnicy w charakterach i obyczajach tych dwóch nieporównanych mistrzów.

Malarz *Sądu ostatecznego* którego śmiały pędzel chciał, zda się uwidownić, powołać do życia w poezji Danta przedstawione grupy, był gwałtowny, surowy, dumny i ostry w sądzie o ludziach, co mu zjednało tylu nieprzyjaciół, iż pomimo czci jaką obudził, będąc nietylko wielkim artystą, ale i dzielnym wojownikiem razem; upowszechniła się rozpuszczona o nim bajka, iż chcąc oddać konającego na krzyżu Chrystusa, nie wahał się porwać

<sup>1)</sup> O życiu malarza, daliśmy już wiadomość w bieżącym tomie od str.

ubogiego, kazać go zbirom ukrzyżować i patrzeć na jego śmierć męczeńską. Ta bezzasadna potwarz, której może i Rafael wierzył i do niej odpowiedź umieszczoną poniżej zastosował, dowodzi jak charakter Michała Anioła musiał być śmiały, ostry, kiedy go o taki straszny brak ludzkości, brak serca posądzali nawet wielbiciel jego. Przeciwnego zupełnie był usposobienia Rafael, twórca nieśmiertelnej *Madonny* z boskiem dziecięciem na ręku. Cichy, łagodny, miękkość charakteru do słabości posuwał, tak dalece, że nie umiał panować nad sobą, że mimo wysokiego pojęcia o pięknie moralnym jako człowiek, gdy minęła chwila natchnienia, nie umiał się zachować w obrębach od Stworcy człowiekowi naznaczonych, i aż życiem słabość swoją przepłacił. Sprzeczność w charakterach tych dwóch mistrzów sztuki, doskonale oddał tegoczesny, znany i powszechnie chwalony artysta Horacy Vernet, w obrazie swoim zwanym *Raffael w Watykanie*.

Vernet za temat do obrazu swego, wziął zdarzenie, które miało mieć miejsce, w czasie gdy obaj wielcy mistrze zawezwani byli przez Juliusza II-go pracować w Watykanie. Michał-Anioł wracając ze swjej samotnej pracy, spotyka Rafaela, który otoczony wieńcami, zasiadł przed stalugą i maluje kobietę z dziecięciem śpiącym, a uczniowie z uwagą podają mu potrzebne do tego narzędzia. Spojrzawszy na orszak otaczający z uszanowaniem swego mistrza, rywal sławy jego nadto był porywczy, aby minąć nie powitawszy jakim ucinkiem uszczypliwym. Obraca się więc do Rafaela i mówi z ironią: „Paradujesz tu jak generał otoczony liczną świtą.” „A ty odpowie mu Rafael idziesz samotny jak *zbir*.” Ta ostra odpowiedź, jak błyskawica na pogodnym niebie, nie zostawiła żadnego śladu na spokojnym obliczu Rafaela, wnet zapomniał o niej i widzimy go ze zwykłą na czole pogodą, zajętego malowaniem ze wzoru stojącego, przed nim, piękny obraz znany pod nazwiskiem *la Madonna della Pedia*. Gdy témczasem Michał-Anioł ze swojemi narzędziami w ręku odchodzi, a obróciwszy się, pokazuje nam ostrą i pomar-

szczoną twarz, na której maluje się oburzenie, obrażonego rywala.

Mistrzowskie wykonanie tego obrazu tak co do kolorytu, jak co do rysunku, powszechnie uznane i obsypane pochwałami zostało! Znawcy unoszą się nad pięknością młodej matki, oświetlonej promieniami, przed którą siedzący pochylony starzec, tworzy

sprzeczną swoim oliwkowym kolorem skóry, podnosi białosć ożywionego młodociającej ciała. Równie chwałę śmiałość, z jaką artysta skreślił głowę Michała-Anioła tak pełną wyrazu. Zgoła cały ten obraz składający się z figur naturalnej wielkości, jest podług powszechnego zdania jednym z najpiękniejszych arcydzieł Horacego Vernet'a.

## JAN CHRZCICIEL POQUELIN MOLIER.

(Dokończenie).

Tak więc jedna *Szkola mężów*, w której wystawił nedorzecznosc zbyt ostrego wychowywania młodocia, stała się powodem naprzód skreślenia niestosowności prowadzenia młodzieży w zupełnej niewiadomości, inną wyrażał w *Szkole żon*, a potem i kilka sztuk innych, pod mianem Szkoły. I tak nasz Bogusławski przełożywszy Moliera *Szkolę kobiet* 1781 r., zaraz w drugim roku tłómaczył operę z włoskiego pod nazwą *Szkoły zadrośnych*, a w 1793 r. przerobił z angielskiego dla sceny polskiej *Szkolę obmowy* komedję w 5-ciu aktach z Ryszarda Szerydana. Jest po francuzku *Nowa szkoła żon* Moissega, dwie *Szkoły matek* (jedna przez Marivana, druga przez de la Chaussée), dwie *Szkoły ojców* (przez Direna i przez Peyra.) *Szkola starców* (przez de la Vigne), *Szkola młodych* (przez Anzoma), *Szkola królów* (jest to traedja znana i pod drugim tytulem, Karola IX); wreszcie Dosimon napisał *Szkolę rogatych*, *Szkolę kobiet* czyli *żon*, tłómaczyli na język polski oprócz Bogusławskiego, M. Witowski i Franciszek Kowalski, który ją razem z krytyką *Szkoły żon* i improwizacją w Wersalu prozą przełożonym, wytłómaczył w tomie drugim i trzecim dzieł Moliera swego przekładu, w Wilnie 1847 r. Na prośbę pana Funguet przyjmującego w 1661 r. króla francuzkiego i jego matkę w mieście Veaux, Molier napisał w ciągu 15 dni trzyaktową komedję p. t. *Natretny*, która u nas czterech liczy tłómaczy. Osnowę do téj sztuki wziął autor z włoskiego: Gli inter ropi menti di Pantalone. Lecz treść téj komedyjki krotofilnej włoskiej, jak zwykle wszystkie źródła, z których czerpał dramaty z francuzkiego, zupełnie jest różną i daleko niższą od utworu Moliera. Są tu śmieszności skrócone, zapaly spekulantów finansowych i namiętne myślistwa zamilowanie, wzór do ostatniego oryginału, podał

autorowi Ludwik XIV z niejakiego Imi Loycroure. Józef Bielowski adjutant skrzydłowy wielkiej buławy W. X. L. z rozkazu Stanisława-Augusta Króla Polskiego, przełożył i na widok wystawił *Natretów* 19 listopada 1765 r. w Warszawie. Tłómaczenie Bohomolca pod imieniem *Natretników*, trzykroć w jego zbiorze było drukowanem, t. j. 1757 r. w Lublinie, 1758 r. we Lwowie i wreszcie w Warszawie od 1772—1775 r. Franciszek Dmochowski przywłaszczył dla sceny warszawskiej i wydrukował 1822 r. *Natretów*, ale tylko dwa akta zrobił. Nareszcie wzorowy tłómacz Franciszek Kowalski dał nam przekład najnowszy w Wilnie, wyłączony w dziełach Moliera T. II. 1847 r. od s. 150—196. *Le Maryage forcè* (Małżeństwo przymuszone), komedja trzyaktowa, przełożona po polsku przez Franciszka Kowalskiego, wtedy jeszcze gdy był uczniem liceum krzemienieckiego i wydana w 1 akcie 1821 r. w Warszawie po raz pierwszy (potem w dziełach Moliera T. III 1847 r. Wilno 192—147), ozdobiona w między scenach muzyką i baletem, wystawioną była pierwszy raz 1661 r.; gdy Ludwik XIV wydał dla matki i żony siedmiodniową rozrywkę, znaną w dziejach uroczystości dworskich pod mianem: Roskosze wyspy zaczarowanej, dzieło to Moliera, daleko wyższe nie tylko od źródła swego Plauta, ale nawet od wszystkich najlepszych komików starożytnych. Jednakże literat francuzki, Ducier, napisał krytykę, usiłując dowieść, że Molier jest niższym od Plauta. Wkrótce jednakże straciła swe porównanie, skoro się tylko dowiedziano, że sławny ten komik pisze *Uczone kobiety* (Les femmes savantes). Książk Franciszek Zabłocki przekładając *Amfitryona*, odstąpił w kilku miejscach od oryginału, ale mimo to sławy Molierowi nie umniejszył, tłómaczenie to wyszło po raz

pierwszy w Warszawie 1783 r., drugi raz w Wilnie 1818 r. i trzeci raz w Warszawie w zebraniu dzieł Zabłockiego, w Bibliotece pisarzy War. Kowalski nie gorzej odeń spolszczył i wydał Amfitryona w dziełach J. C. P. Moliere, Wilno 1848 T. V. str. 128 — 223.

*Mizantrop*, komedia w 5 aktach wierszem, nieboga w intrygę, ale zato nie uboga w typowość, spolszczoną została z przeniesiem sceny do Warszawy przez F. Kowalskiego i umieszczoną w dziełach I. C. P. Moliere. Wilno T. IV 1858 r. od str. 61 — 161. Myśl komika francuzkiego przyswojoną została, z niejaką zmianą i narodowi angielskiemu.

*Don Garcia książe Nawarry* albo *Książę zazdrośny* komedia heroiczna w 5-ciu aktach. Korzystał w niej Molier ze sztuki włoskiej *Il principe geloso*. Później jednak przeniósł wiele scen do Amfitryona i Mizantropa. Sztuka ta więc, jakkolwiek w oryginale wierszem napisana, ale już dziś nie tak wysokiej ceny, przełożył Kowalski prozą, jedynie dla zupełności dzieł Moliere i wytłoczył w tomie II. od str. 170.

Gdy Mizantrop wyższe mający cele, nie od razu od mass zrozumianym został i mało ściągwał widzów, wtedy komik francuzki, aby zwabić ogół, napisał dla wystawy razem z nim *Doktora z musu* (*Le medecin malgré lui*). Trzyaktową tę sztuczkę bezimennie przełożono jeszcze w roku 1782 w Warszawie Bogusławskiemu, albo znanemu lubownikowi mesmeryzmu, Bodysnowi winniśmy to tłumaczenie. Przyswoił także piśmiennictwu polskiemu *Doktora z musu* Kowalski jeszcze 1822 roku i wydał w Warszawie, drugi raz drukował 1848 r. w Wilnie w dziełach J. C. P. Moliere, T. IV str. 162 — 236.

*Miłość doktorem* (*l'amour medecin*) komedia we 3 aktach i *Miłość malarzem* (*l'amour peintre*) jednoaktowa komedia z baletem, należą w piśmiennictwie naszym więcej do przełożeń poety Kowalskiego, niżeli do przekładów dosłownych. Pierwszej naznaczył scenę polski pisarz w Krzemieńcu, drugiej w Odessie. Kiedy jeszcze tłumacz uczęszczał do szkół, już powziął był zamiar spolszczenia wszystkich dzieł komika francuzkiego. Pięciu było pod ten czas lekarzy w Krzemieńcu i pięciu w przekładzie Kowalskiego: Kuracjusz, Sztorch, Rzeźnicki, Dusiewicz i Dobijalski. Stąd powstało mniemanie, że młody student umyślnie na scenę wprowadził znajome w miasteczku osoby. Zaledwie usprawiedlił się nasz poeta dowodząc, że to są doktorowie z dworu Ludwika XIV, którym Molier, według podszeptu

Boala, podawał im miana z greckiego: Desfonnandres (zabójca ludzi), Tomes (tnący), Bahis (szczekacz), Macroton (długomówca) i Fileryn (przyjaciół śmierci). Jedno-aktową *Miłość malarzem*, Kowalski podzielił na 3 kta i wprowadził kupca Włocha, traktującego o kupno polskiej pszenicy z naszym obywatelom. Zamiast niewolnicy, którą niewiemy dla czego tłumacz wyrzucił. wchodzi tu siostrzenica, wychowana przez letniego już Włocha. Jednakże lepiejby zdaje się można było pożyczyc jakiś Ulany albo Jaryny u Kraszewskiego lub gdzie indziej; wszak ich tyle jest na Podolu, Polesiu, Wołyniu, Ukrainie, a nawet i Litwie! Ale mimoto przerobienie Kowalskiego doskonałe. Obie te sztuczki mieszczą się w T. IV. dzieł J. C. P. Moliere, wydanych w Wilnie.

*Le Tartuffe* (Świętoszek), *comédie en cinq actes*, jest jednym z arcydzieł Moliere, które uważać raczej można za traktat moralności, niżeli za komedję. Wszakże długi czas hipokryci, nietylko intrygą podkopywali wziętość sztuki, ale nawet, mimo pozwolenia królewskiego i sławnej pochwały wielkiego Kondeusza, którą wyrzekł opuszczając teatr, trafili ubocznymi drogami do pierwszego prezydenta parlamentu, aby jęj nie pozwolił wystawiać — mądry król dał pozwolenie na piśmie i przez cztery miesiące ciągle grano raz po raz *Świętoszka* w Paryżu. Posłuchajmy własnych słów komika francuzkiego, którego geniusz wyższy nad wszelkie złych ludzi zabiegi, przetrwał tyle czasu wśród uwielbień nie jednego narodu, do którego należał, ale całej Europy. „Ta sztuka,” mówi Molier w przemowie do pierwszego wydania — „Wielką sprawiła wrzawę i długo prześladowanie znosiła; ci których wystawia, dowiedli że Francuzi znajdują się mocniejsi od tych których na scenie dotychczas przedstawiałem: — Markizy, Eleganty, Oszukani mężowie, Lekarze cierpliwie patrzyli na siebie i śmieli się razem z powszechnością widząc na scenie własne obrazy. Nie pojęli jednak mojego żartu hipokryci: natychmiast powstali przeciw mojej zuchwałości, żem się poważył grać na scenie wizerunek ich obłudy.... Nie powstają na mą zbrodnię z tym mieczem, którym na nich natarłem; są to bowiem ludzie doskonale skrywać umiejący tajemnicę swęj duszy... Każde spojrzenie nawet, poruszenie głowy, noga obrócona na lewo lub na prawo, podług nich ma w sobie coś tajemniczego, skazującego mnie na potępienie. Pracę moją napróżno pod światły sąd znajomych przyja-

ciół oddawałem. Nic u nich nie znaczyły ani poprawy, jakie poczyniłem, ani zdanie króla i królowej, ani pochwały ministrów publicznie na wystawę tej sztuki uczęszczających, ani wreszcie zdanie ludzi najgodniejszych, przyznających jej moralność. Mo-  
 żeby nie zważał na przewrotnych ocenienia, gdyby mi nie natworzyli pokątnie mnóstwo nieprzyjaciół i zniewolili ku sobie wielu czcigodnych mężów, których zdanie szanuję... To jedno zmusza mię do obrony. Pragnę tylko usprawiedliwić się przed pobożnymi, których błagam, by nie ciskali potępień bez przekonania się; by zniszczyli wszelkie uprzedzenia i nie byli narzędziem zawziętości ludzi namiętnych. Dzieło moje pod najściślejszą biorąc rozważę, można się przeświadczyć, że nigdzie złych nie mam zamiarów, że nigdzie na pośmiewisko nie wystawiam tego, co szanować winniśmy; że nic tu nie kreślił bez tej ostrożności, która podobnym należy się przedmiotom — i że wszelkich dołożyłem starań ażeby oddzielić istotę hipokryty, od prawdziwie nabożnego człowieka. W pierwszych dwóch aktach przygotowuję widzów do zjawienia się Świętoszka. Ani na chwilę słuchacz nie może tu pomyśleć się, bo z powierzchowności samej może poznać obłudnika, którego cechuje wszelkie działanie, każdy krok niemal; i przeciwnie, jak najwidoczniejszy tu jest charakter prawdziwie poczciwego człowieka, którego oddziela sprzeczność od hipokryta.”

Jeszcze 1777 roku, książę Marcin Lubomirski wydał w Warszawie nakładem swoim przekład: *Świętoszek zmyślony, komedja w pięciu aktach z Moliera przez Jana Boudouin przełożona i do obyczajów narodowych z niektórymi odmianami przestósowana*. Kowalski pięknym wierszem dokonany swój przekład umieścił w *Dzielach J. C. P. Moliera*. Wilno T. V. od str. 1—126. *George Dandin*, komedja w 3 aktach tłómaczona jeszcze w 1779 roku w Warszawie p. t. *Mąż zawstydzony*, a w rok potem przez kogo innego drugi tamże wyszedł przekład p. n. *Mąż oszukany*. Wyśmiewa autor w tej sztuce małżeństwo na rozkaz zawiązywane dla pieniędzy, lub dla rodu, a nie ze skłonności serca. Kowalski pierwszy raz przełożył wierszem tę komedję p. t. *Grzegorz Fasula* i wydał we Lwowie 1824 r. Drugi raz wytłoczył tenże przekład w Wilnie w *Dzielach J. C. P. Moliera* 1848 T. str. 225—319.

*Skąpiec*, komedja w pięciu aktach, jedna z arcydzieł Moliera, właściwiej Łakomcy tytuł nosić powinna, stosując się do nazwy oryginału. W głównej roli skupił autor tutaj wszelkie rodzaje skner-

stwa, któremi jednak nie tyle uposażył swego bohatera ile Plaut. U starożytnego komika za wiele jest przesady. Stosując się w niektórych słuszniejszych względach do krytyka niemieckiego estetyka Szlegla. Kowalski przełożył Molierowe arcydzieło jeszcze 1822 roku i wydał w Warszawie. Potem przejrzawszy raz jeszcze i poprawiwszy podług własnych i obcych uwag, wytłoczył powtórnie w Wilnie 1850 roku w *Dzielach Moliera* T. VI str. 26—212. Jak inne sztuki francuzkiego komika, tak i tę również zastosował do kraju własnego, usiłując dowieść, że i u nas podobne sknery znajdują się na Podolu i t. p. Leon Borowski zmarły niedawno, professor historii literatury polskiej, a raczej wymowy i poezji w b. Uniwersytecie Wileńskim zostawił w rękopiśmie (jednakże pono nie całą) komedję *l'avare*, przełożoną pod nazwą *Skępskiego*. Wspomniony zaś wyżej Boudouin, tłómaczył ją także na język polski i wydał w Warszawie 1778 r. w ósemce.

*Monsieur de Pourceaugnae*, komedja 1669 roku napisana we trzech aktach z baletem, miała bezimiennego tłómacza swego w Warszawie w. XVIII (1884 r.), który ją wydał pod napisem *Prostakiewicza*. Drugi raz w tymże wieku drukowana pod imieniem *Pursoniaka b. m. i r.* Kowalski dawszy tej sztuce miano *Pana Gapięły*: dwa kroć ją wytłoczył, to jest we Lwowie 1822 roku i w Wilnie 1850 roku w *Dzielach J. C. P. Moliera* T. VI. str. 213—307. Niewiemy dla czego jedni Żmudzini, zmuszeni są u niego dźwigać na sobie śmieszności Prostakiewicza.

*Kochanka wspaniała* komedja w pięciu aktach z baletem, napisana 1670 roku na polecenie Ludwika XIV, aby według myśli królewskiej, dwaj książęta dobijali się o rękę jedynę księżniczki i dla przesadzenia jeden drugiego, dawali najwspanialsze zabawy i najświetniejsze igrzyska. Nie mógł autor wymówić się od napisania tej sztuki, ale dla okrasy dodał jeszcze, własnego pomysłu, *astrologa i błazna dworskiego*, osoby, które jeszcze dotąd nie występowały na scenę w jego komedjach. W prawdzie Molier już był ukazał w księżniczce *Elidy* obraz *blazna*, ale *Klitydas Aristony* od niego zupełnie jest różny. — Kowalskiego przekład tej komedji mieści się w *Dzielach J. C. P. Moliera* T. VI. s. 309—390.

*Les Femmes, savantes comedie en cinq actes*, mamy w przekładzie polskim Leona Borowskiego p. t. *Kobiety filozofki*. Wilno 1826 r. str. 120 w 8. Tłómaczył tę komedję Franciszek Kowalski.

*Le Bourgeois gentil homme, comedie ballet en*







*Printed by J. S. Spiller & Co.*

NAHUN.

*cinq actes*, napisana 1670 r. tłumaczoną i wydaną była w Warszawie 1782 r. przez Boduena. Toż samo p. t. *Mieszczanin szlachcie*, przełożył we 4-ach aktach z baletem i wydał 1823 r. w Warszawie Kowalski, powtórnie zaś wytłoczył zapewne w Wilnie w dalszym ciągu dzieł J. C. P. Moliere, to jest w tomie 7 lub 8, które jeszcze dotąd nie wyszły.

*Le fourberies de Scapin*, komedia trzy-aktowa spolszczona podobno jeszcze 1780 r. w Warszawie bezimiennie p. t. *Frantostwa Panfila*.

*Le malade imaginaire comedie-ballet en trois actes*, ma tłumacza w Wichlińskim K., który wydał swój przekład jeszcze 1783 roku w Warszawie p. t. *Chory z przewidzenia* i w Kowalskim.

Z resztą prócz księdza Bohomolca, który przerobił a nie tłumaczył Moliere, jak to widzimy np. w *Figlackim polityku terazniejszej mody* (trzykroć drukowanym 1757, 1758 i 1772—1775), mamy jeszcze przerobienia Wojciecha Bogusławskiego z 1880 i 1783 r., p. t. *Mieszczki modne*, (które prawie au-

tor za oryginalne uważał) i *Ślub modny*, komedję we trzech aktach. *Sympatyczne lekarstwo*, bezimiennie wydanie w Kaliszu, na samym początku bieżącego stulecia, ledwie na wzmiankę bibliograficzną zasługuje.

*Melicerta Sielanka we trzech aktach* i *Sielanka komiczna* (la pastorele comique), operetka z baletem napisane 1666 r. dla tak zwanego *baletu Muzgranego* w St. Germain. Molier pisząc na wezwanie Ludwika XIV, dla krótkości czasu nie mógł więcej wyśpieszyć nad 2 akty. Kowalski dodał trzeci własnego pomysłu, aby sztuczka nie była bez końca i wydrukował w dziełach Moliere. Wilno T V. str. 321—369. Sielankę zaś komiczną swego przekładu umieścił w VI tomie polskiego Moliere od st. 1—26. Dzięki więc zacnemu ziomkowi, za którego sprawę mieć będziemy całkowity przekład pism znamienitego Gallów pisarza.

H. Skimborowicz.

## NAHUN W INDJACH WSCHODNICH.

(ZE STALORYTEM).

Najbardziej interesującą okolicą dla podróżnika w Indjach wschodnich, jest przestrzeń u stóp gór Himalaja, którą jak wiadomo, oddzielają równiny Indostanu od przystani Tybetu i Tartarji. Ta masa gór najkolosalniejsza podobno w całym świecie, przedstawia tak zachwycające widoki gór i tak wspaniałe doliny, że ani Włochy, ani Meksyk nie mogą dobić się w tym względzie o pierwszeństwo z niemi. Ale jak zadziwiająca jest piękność tych okolic, tak też nadzwyczajna ich urodzajność i dla tego należą one do najludniejszych na ziemi, tak, że nie można pół godziny jechać, żeby nie spotkać nowój wsi lub miasteczka. Mnóstwo tych ostatnich, sięga dalekiej starożytności, bo dawno przed Narodzeniem Jezusa Chrystusa, cywilizacja była tu już wysoko posunięta; ale większa część pochodzenie swoje a przynajmniej teraźniejszą postać, winna jest epoce, w której mahometanie wtargnęli do Indji wschodnich i to ogromne państwo pod swoje władzę podbili. Ale właśnie ta sprzeczność między głęboką starożytnością i średnimi wiekami, tudzież między temi i nowszymi czasami, stanowi rzeczywisty powab jaki widok takiego miasta zawsze przedstawia.

Dość jest spojrzeć na dołączoną tu rycinę, aby się przekonać o prawdzie tego cośmy powiedzieli, bo obraz ten przedstawia dokładnie charakter wschodnio-indyjskiego miasta i północno-wschodnio-indyjskiego krajobrazu.

Nahun, jest stolicą Sirmoru, małego księstwa w górnym Indostanie i odznacza się zarówno pięknem położeniem jak i doskonałą, silną budową. Domów tam wprawdzie nie zbyt wielka liczba, bo książę Sirmoru należy do drobnych radzasów, ale wysokie mury i silne wieże i bramy, według zwyczaju mahometańskiego przyozdobione kopułami, nadają temu miastu imponującą postać. Jeszcze więcej malowniczości dodaje mu położenie na skalistém wzgórzu, z którego na wszystkie strony przedstawiają się cudowne widoki. W dali wznoszą się wysokie góry, odnogi Himalaja, w których dwie wielkie rzeki Sutlęj i Deyra Dun z mnóstwem innych pomniejszych, źródła swe mają, w około, zaś cała okolica jest mieszana, złożoną z dolin obficie strumieniami skrapianych i gęsto ocienionych pagórków, współubiegających się między sobą o palmę piękności i żyzności. Droga wiodąca do Nahun niezmiernie jest stroma

i wazka, ale jeszcze bardziej stromemi i ciasnymi okazują się ulice w samym mieście, miejscami nawet nie można ich nazwać ulicami i raczej wypada je porównywać z kamiennymi wschodami, których nieregularne stopnie wykute są w skale. Mimo to, słonie, nawet ciężko obciążone, postępują po tych spadzi-  
stych drogach w górę i na dół, z równą pewnością i bezpieczeństwem jakby chodziły po gładkiej drodze, a nawet konie zdają się nie zważać na te przeszkody i widząc je sadzące śmiało ze swemi zuchwałemi jeźdźcami po tych niebezpiecznych skalistych stopniach; przyznać trzeba, że je widocznie natura do tego rodzaju trudności utworzyła.

Przed rokiem 1815, okolica ta nie była jeszcze znaną w Europie, bo oręż angielski, który już dawno podbił niższą część Indji wschodnich, tak daleko jeszcze nie dosięgnął. Ale około owego czasu wojownicze plemie Gurkasów, mieszkające w górach Nepalu, zwabione żyznością niższych okolic, zaczęło pod dowództwem dzikiego swego naczelnika Amer-Singateppy, wkraczać w urodzajne przestrzenie rozciągające się między Gangesem i Sutlajem. Ta cała ogromna przestrzeń była niegdyś składową częścią państwa wschodnio-indyjskiego, kiedy ono jeszcze całe należało do jednego potężnego władcy, wielkiego mogła Delhi, ale od czasu rozbicia tego wielkiego państwa przed stu laty, okrąg ten podzielił się na różne drobne księstwa, których władcy wzajemnie zazdrośnym na się spojierali okiem, każdy bowiem podejrzewał, że sąsiad pragnie wzbogacić się i rozszerzyć swoją własność jego kosztem.

Naturalnie przeto, kiedy plemie Gurka wtargnęło w tę okolicę, drobni książątka nie mogli się zgodzić na utworzenie ścisłego między sobą związku, aby połączonemi siłami przeciw nieprzyjacielowi walczyć. Ich wzajemna od wielu lat zakorzeniona nieufność i zawiść, nie mogła się na to zdobyć, a przytem każdemu zdawało się, że sama natura gruntu jego dziedzicznej włości, łatwo pozwoli mu napastników odeprzeć. Ale stało się to co w takich okolicznościach stać się musiało. Krajowi książęta, z których każdy z początku rad patrzył na klęski swoich sąsiadów, zostali pojedynczo jeden po drugim nie tylko z panowania ale i z rodzinnej ziemi wyzutemi i musieli jako zbiegi szukać schronienia na Południu, gdzie się już Anglicy trwale usadowili. Nakolanach błagali ich o pomoc, nie pomnąc na to, że opieka Anglików jest tem samem co panowanie Anglii. Nic dziwnego, że pojęcie włości ojczystej nie miało przystępu do serc tych

wycieńczonych wszelkiego rodzaju zbytkiem, nie prócz własnego dobra nie znających samolubów.

Anglicy przyrzekli im pomoc, i zaraz czynem stwierdzili obietnicę. Wystawiono dość silną armję, i już w roku 1815 sir David Ochterlony wypędził Gurkasów z zdobytych księstw i tem zwycięstwem zjednał sobie tytuł pogromcy Malamuc. Ale jakieś były tego skutki? Czy Anglicy postąpili jak sprzymierzeńcy i powrócili krajowym książętom, którzy ich o pomoc prosili, odebrane napastnikom księstwa. Bynajmniej! Ktokolwiek ma zdrowy rozsądek i nieco znajomości historyi, nie spodziałby się pewno takiej szlachetnej polityki ze strony Anglii. Anglicy przyszedli tam jako sprzymierzeńcy, ale postępowali według prawa zdobywców i krajowi wschodnio-indyjscy książęta, doświadczyli tego samego losu co niegdyś książęta starego świata, którzy przeciw nieprzyjaciółom swoim używali pomocy Rzymu, to jest że z niezawisłych władców, stali się odtąd z imienia tylko książętami, pozbawionemi zupełnie własnej woli.

Władca Sirmaru był jednym z tych, którzy wezwali pomocy Anglii i spotkało go to samo co wszystkich jego kolegów. Otrzymał wprawdzie dawny swój tytuł Radżasa, ale ani władzy ani dochodów dawnych nie odzyskał. Mimo to dotąd jeszcze jego potomkowie w swojej rezydencji Nahun, udają taką powagę jakby byli takimi jak ich przodkowie monarchami. Ich tron otacza blask wschodniego zbytku a względem swoich poddanych (jeżeli można jeszcze tak nazywać mieszkańców Nahunu) tak są nieprzystępnymi, jak niegdyś wielcy sułtanowie w Delhi. Mają nawet swoją gwardję przyboczną, jest to wprawdzie mała i źle uzbrojona gromadka, ale mają przynajmniej tę przyjemność, że od czasu do czasu mogą odbywać przegląd tej szczupłej garstki żołnierzy, a przytem czyż to im nie pochlebne, iż ta ich siła zbrojna w obwarowanych koszarach zwanych Kilber, tuż obok ich zamku stoi gotowa na rozkazy, tak jakby oni dziś jeszcze byli panami pokoju i wojny, śmierci i życia. Wprawdzie kiedy rezydent Angielski, mieszkający o czterdzieści mil angielskich w mieście Subathoo raz wrok przynajmniej odwiedzi Radżasa Nahunu, wtedy znika nieprzystępność nominalnego władcy Sirmoru, a rezydent, to jest wyznaczony przez rząd Angielski namiestnik prowincyi, przyjmowany bywa z taką uniżonością i uszanowaniem, jakie na Wschodzie panującym tylko bywa okazywane. Radża wie dobrze, że nietylko summa jego dochodów jedynie od dobrej woli namiestnika zależy, ale nadto, że

Anglicy mają zupełną moc, skoro im się tak podoba, odebrać mu rezydencję i tytuł książęcy!

Niedaleko miasta Nahun, po drugiej stronie wąskiej i głębokiej doliny, leży twierdza górską Tyrock, za której murami niegdyś książęta Sirmoru sądzili się być dość bezpiecznie umieszczonemi; ale dzielność i męstwo Garkasów przełamało wszelki opór i po kilku dniach oblężenia udało im się przebyć mury na 40 stóp wysokie, prawie bez straty jednego człowieka. Nie tak łatwym było Anglikom zdobycie téj twierdzy, kiedy pod nią w r. 1815 obóz roztoczyli, bo Garkasy, którzy się w niej silnie usadowili, bronili

się z taką wytrwałością i męstwem, iż nawet nieprzyjaciele nie mogli im szacunku swego odmówić. Czterech oficerów Angielskich i czterdziestu żołnierzy poległo pod murami téj twierdzy, a wysoki obelisk wzniesiony na pamiątkę krwawo okupionego zwycięstwa, wskazuje miejsce, gdzie ci waleczni zdala od swojej ojczyzny ostatni spoczynek znaleźli.

Tak to w Indjach wschodnich, obok gmachów starożytnych i średnich wieków, wznoszą się i tegoczesne budowle, a każda z nich jest pewnym pomnikiem historycznym.

## WSPOMNIENIE O DWÓCH MIASTACH UMARŁYCH.

Niezmordowani turyści angielscy dostarczają nam zawsze ciekawych wrażeń ze swoich awanturnicznych podróży. Nie wyczerpaném źródłem dla nich: jest bogaty Wschód lub też krainy drugie półkole ziemi naszej zajmujące; to też każde czasopismo zawiera pełno opisów o cudownych Ameryki lub przyległych jej wysp krajach. — Spotkawszy więc wspomnienia z podróży nie tak dalekiej, nie w innych częściach świata, nie na powierzchni niezmiernego Oceanu, ale na naszym Bałtyku — tak nieobiecującym podróżnikom wielkich wrażeń odbytej, a przecież bardzo ciekawej i zajmującej, umyśliśmy dać krótki wyjątek z tejże naszym czytelnikom, spodziewając się, że po licznych obrazach z bogatej przyrody Południa i Wschodu i ten mały z Północnego zakątka Europy obrazek, dobrze przyjętym będzie.

Jeden z tegoczesnych turystów, znalazłszy się w stolicy Szwecji i przechadzając się po pięknej zatoce Sztokholmskiej, oczekiwał na statek, którym miał go — jak się wyraża — do Europy zabrać. W tém zwraca jego uwagę ogromne czółno, w kształcie bryku kupieckiego, z żaglami podobnemi do tych, jakimi Norwegianie zwykli opatrywać swoje statki w czasie niebezpiecznych po swoich brzegach, wiodących do północnego przylądka podróży. — Statek był na odpłynięciu, ładowano skrzynie, zwinne *mussy* śpiewając, wskakiwały pomiędzy sznury, majtkowie naciągali żagle, łańcuch kotwicy okręcono około windy, a podróżni żegnając się z pozostałymi, już wsiadać byli gotowi. Nie widziałem nigdy odpływającego okrętu, — mówi nasz prawdziwy miłośnik podróży, — ażeby nie uczułem w sobie wrzającej chęci opuszczenia brzegu i udania się z nim w podróż:

statek, na którego patrzyłem tem więcej mnie ku sobie pociągał, gdy wyczytałem na nim napis: *Ostragoth*, a poniżej: *Gothland*. Wyspa Gothland zdawna była dla mnie przedmiotem ciekawości, lubo nie spodziewałem się jej widzieć, była ona bowiem daleką od wszystkich punktów i do żadnego nie po drodze, straciłem był nadzieję zwiedzenia jej, sposobność jaka mi się zdarzyła, była nadto dobrą, aby ją mógł pominąć turysta z professji. Wsiadam więc na *Ostragoth*. W parę godzin, przebiegłszy piękne wybrzeża Sztokholmu, wypłynęliśmy na głębokie morze kołyszące nas na swem łonie.

Usiadłem obok majtki kierującego statkiem (*qui tenait la barre*). Był to prawdziwy potomek owych starożytnych Skandynawów, którzy się królami morza mianowali: oko jego zmienne, szaro-zielonawe, jakie długie zapatrzanie się na morskie fale nadaje żeglarzom. Długie rude włosy — nieco już bielejące, spadały prostemi kosmy na barki i okolały pociągłą męzną twarz jego.

Wkrótceśmy się zaznajomili z sobą i wszczęli rozmowę.

— Pan się udajesz do Gotland? rzekł do mnie.

— Tak, mój przyjacielu.

— Cudzoziemcy nie lubią zwiedzać téj wyspy!

— Co do mnie lubię być wszędzie.

— Dla sprzedaży?

— Bynajmniej.

— A więc dla kupna? Żal mi pana, bo nie masz handlu w Gotlandzie! minęły już dawne czasy...

— Ja ani sprzedaję, ani też kupuję: jadę po prostu dla widzenia.

— O! kiedy tak, to dobrze, bo czasu pan nie zmarnujesz.

— Gotland jest więc godnym widzenia?

— A dla czego nie, odpowiedział żeglarz i puściwszy z ust kilka kłębow dymu, tak mówić począł: Kiedy już Pan Bóg stworzenia świata dokonał, pozostało mu jeszcze w ręku trochę gliny, której nie chciał zmarnować, tak do siebie przemówił „cóż z téj krużyny uczynić?” Spojrzawszy na dół na Oster Sjon (Bałtyk) i wrzucił w jego zielone fale gałeczkę pozostałej gliny. Natychmiast Gotland się ukazała, Gotland — ten zbiorek wszystkiego, co się na wszystkich innych częściach świata znajduje. Pycha z czarowana! prawdziwy raj Północy: sama jedna otrzymała naraz lasy, jeziora, rzeki, rozkoszne doliny i pyszne góry i... jednym słowem: wszystko! Widzisz więc pan, że sprawiedliwie do Gotland podążasz.

Powyższe opowiadanie nader było zdolnym rozpaścić wyobraźnię turysty i dla tego dwudziesto-godzinna podróż po kapryśnych falach, zbyt mi ją długą wydała.

Nie bez żywego uczucia radości ujrzałem przy niepewnym i bladym porannym świetle, ogromną jakąś masę — naprzód niewyraźną, na której wkrótce białe skały i czarny gród ukazały się mgławo pośród wyniosłych drzew zieleni.

Temi skałami była wyspa Gotland — cel mojej podróży; tym grodem, jej stolica — starożytne *Wizby* Gród ten niegdyś kwitnący, na teraz całe opustoszały, z którego handel i życie ustąpiły naraz; tak morze opuszcza niekiedy jedno ze swoich wybrzeżów, zamieniając w nieożywioną samotnię port, dziś przez okręty wszystkich narodów zwiedzany.

Położona niemal w pośrodku morza Bałtyckiego i rozprzestrzeniająca się wzdłuż około na mil ośmdziesiąt przy trzydziestu szerokości, wyspa Gotland znajduje się na drodze żeglarzy, udających się z Rosji do Szwecji lub z Szwecji do Niemiec; nadto, ona była dla statków miotanych wzburzonymi falami Bałtyku, zawsze bezpieczną przystanią. W ciągu zaś owych długich najazdów od Wschodu, które na podobę spienionych potoków spadały na Europę, Gotland stanowiła miejsce wytchnienia wędrowców, spieszących naprzód — nie wiedząc prawie dokąd pędziło ich przecucie przeznaczenie. Tu wypoczywali czas jakiś, z kądem dalsze swoje odbywali wędrówki, na nowo świat zaludniając. Zawsze wszelako zostawiali tu ślady swojego przejścia. Dziś jeszcze, rolnik przewracający glebę, wydobywa lemieszem płuźnym owe *magna otta*, o których mówi poeta, które mu przywodzą na

pamięć pokolenia minione i potężniejsze niżeli obecne. Znajduje tam oraz kosztowną monetę — nacechowaną różnym z całego świata pochodzeniem, jako to: od Anglo-Saksów, Gotów i Wissygotów, Persów, Arabów i Saracenów, o którą ubiegają się chciwie bogaci numizmatowie naszej Europy.

Na całej wyspie nie masz innego miasta prócz *Wizby*, w którego porcie stanęliśmy.

Niepodobieństwem byłoby prawie oznaczyć stanowczo epokę w której założonem zostało. To tylko wiemy, że już w dziesiątym wieku, t. j. więcej niż lat dwieście przed założeniem Hanzeatyckiego związku, było ono jednym z najważniejszych punktów handlu północnej Europy. Słynny związek, o którym wspomnieliśmy, miał tu swoje kantory, co dla całej wyspy stanowiło źródło nieprzeliczonych bogactw. Kodeks morski Gotlanda słynnym był w wiekach średnich: przełożony na siedm czy ośm języków, posiadał moc prawa obowiązującego wszystkie narody handel z Północą prowadzące. Pomyślność ta jednak, jak wszystkie rzeczy ludzkie, przemijającą była. Wojna z Danją dała początek upadkowi *Wizby*. *Walde- mar III* wzięwszy miasto szturmem, zadał mu cios, z którego już dzwignąć się nie mogło. Kopenhaga wzbogaciła się łupami, zdobytymi na tym potężnym Bałtyku składzie. Dziś, zniszczenie jest zupełne i przy dwóch czy też trzech tysiącach mieszkańców, niezdolnych zaludnić jego obszerną samotni, *Wizby* jest miastem *umarłym*.

Mimo to, niemniej wspaniałe i zajmujące przedstawia ono widok podróżnemu, zbliżającemu się doń od strony morza.

Wysokie, ząbkowate — prawie nienaruszone mury, osaczone litemi czworokątnymi wieżyczkami, jasno uwydatniają granice obwodu. Nie zdarzyło mi się widzieć miasta w Europie, któreby do tyła zachował na sobie średnio-wieczny charakter. By trafne uczynić porównanie, pamięć moja cofnąć się musi aż do Jerozolimy, tak samo wieńcem bastjonów, wieżyc i blankami murów opasanej. Ale do tego li-jedynie całe się ogranicza podobieństwo. Jerozolima przedstawia zawsze umysłowi ideę nieporównanego piękna, piękna poważnego i smętnego oraz, jakie przystało królowej w więzach — ale zawsze królowej!... Mury Jerozolimy, wycinające swoje o wydatnych kątach sylwetki narażającym (*tranché*) i mocnym tle i nieubłaganego błękitu (*implacable azur*) — rozdzieranego ostrą strzałą minaretów, ukazujące się pośród rozżarzonych odbić skalnych, sprawiają w nas olśnienie, zawrot. Dla tego też, jakkolwiek jest

wiara nasza — jakiegokolwiek trzymamy się wyznania, czujemy wszyscy w głębi serca pewność niezachwianą, że te mury widziały spełnienie się z rzeczy Boskich i ludzkich; że dzieje tego grodu, są dziejami nieba i ziemi i że nareszcie, z wysocza Golgoty górującej po nad Syonem, Chrystus obok reszty krwi i wody z serca jego wyszłej, posiał oraz nasiona miłości ku Bogu i ludziom, która dojrzała pod ogniem prześladowania, dziś jeszcze sama jedna świat utrzymuje i zbawia.

Wizby ani téj wielkości, ani tego nieprzedstawia nam blasku. Kupcy Hanzeatyccy walczyć nie mogą ze lwami Judy, ani też królowie Danii z wspomnieniami Dawida i Salomona. Niebieskawość blada i smętna północnej sfery nie bardzo też porównać się daje z pełną blasku i uroku światłością Wschodu. Lecz takie jakim jest, ze swemi przedłużonemi murami, tak cudownie zakonserwowanemi, — opisujące ogromny łuk, którego cięciwę stanowi samoż morskie wybrzeże, ze swemi trzydziesto-sześcioma wieżami i bastyonami, ze swemi bramami zaopatrzonemi w fossy, kurtyny, eskarysy i kontreskarpy, z wielkimi ruinami swych ośmnastu kościołów, różnych między sobą kształtem i postawą, górujących z dumą po nad gromadą domostw, kupiących się u jój podnóża: Wizby milczące, zimne i ponure, nie małe czyni wrażenie na podróżniku, zdala się one-muż przyglądającemu.

Nie mamy zamiaru oprowadzać czytelników po owych wszystkich kościołach, poświęconych świętym, więcej północnemu niżli naszemu kalendarzowi znany, jak to: Ś-go Larsa, Ś-go Drottona, Ś-go Olafa, Ś-go Gorana, nie więcej też zastanawiać się będziemy nad niemi poszczególne, lubo mogącemi przedstawić artyście liczną a piękną różnorodność architektury z 10, 11, 12 i 13 stulecia; i u siebie bowiem znaleźć możemy równie piękne wzory tych różnych stylów; jeden wszelako uwagę zwrócił: w języku krajowym zowią go: *Helige Andš Kirkan*, t. j. kościół Ś-go Ducha, uchodzi on za najdawniejszy z pomiędzy kościołów miasta i taki ma kształt, jakiegom nigdzie indziej nie widział; jest ośmiokątny, z dwoma sklepieniami; na sklepieniu głównego chóru znajduje się osobliwszy i dziwny otwór, którego użytku nikt w Wizby wytłómaczyć mi nie mógł. Radbym tu wyrazić szczególniejsze wrażenie, jakie sprawują te kościoły w tak dobrym stanie dotąd zachowane, których główna część zniszczeniu nie uległa, których pokrycia i dachy są po większej części nienaruszone, ale których podwoje powyrywane, potłuczone okna,

ołtarze dawnych ozdób pozbawione, przedstawiają wszędzie obraz owego obrzydłego spustoszenia, które nie jest dziełem czasu, — czas bowiem zwaliskom swoim postać majestatu i poezji daje, — lecz których sprawcą... jest człowiek.

W koło tych kościołów, piękne i szerokie ulice, ukazują nam domy z kończystemi rzeźbionemi szczytami, w tym rodzaju architektury, jaką dziś jeszcze niemiecką zowiemy, której tak piękne, ciekawe znachodzą się próbki w Hanowerze — na starem mieście a zwłaszcza w Norenberdze. Domy te, mieszczyły w sobie niegdyś bogatych kupców Hanzy, dziś zupełnie są opuszczone; tak, że nic do koła *nie przyrywa samotności i milczenia*. Zdaje się więc, jakoby ich właściciele w drodze gdzieś byli i mieli co chwila wrócić: ale niestety! zawsze oczekiwani, nie wracają nigdy.

Sliczne klasztory, niegdyś przez Franciszkanów zajmowane, obecnie są puste; przechadzając się sklepieniami nędznych korytarzy, nie spotykamy owych surowych a poważnych postaci, które zaludniały je niegdyś. Lecz gdyby zakonnicy dnia następującego do Wizby wrócili, znaleźliby swe kaplice i swoje cele w takimże stanie, w jakim zostawili je ich ojcowie, kiedy reforma ztąd ich wyгнаła.

Toż samo i o zamku, zwanym *Wizborg-Slott* powiedzieć można: silne mury stoją nienaruszone; baszty zdają się niedotknięte ohydą szturmów, a strzelnice wychodzące na morze, gotowe dziś przyjąć działa w swe paszcze. Klasztorowi brakuje tylko zakonników: tylko żołnierzy niedostaje w zamku.

Drobne mieszczanstwo dość ubogie, bo pozbawione przemysłu i handlu, zamieszkuje niektóre części miasta i zdaje się samo sobie wymierzać sprawiedliwość, uważając siebie wyłącznie za straż słynnego grodu, założonego i wzbogaconego przez swoich pra-ojców.

Dokoła Wizby: na Północ, Południe i Wschód, rozwijają się obszerne i piękne włości, ślicznymi poprzeżynane drogami; wioski dość są dobrze uprawne i wydają wszystkie roślinne płody klimatu umiarkowanego; winogrona dojrzewają tu nawet, co zaiste jedyny na wyspach Bałtyku stanowi wyjątek.

Nie mogłem zwiedzić całej Gotland, jakkolwiek mówili mi moi przewodnicy, że wielka jeszcze liczba kościołów i klasztorów zasługiwała na obejrzenie; kazałem się zaprowadzić na punkt najwznioślejszej wyspy, na wzgórze *Högklint*, by ztamtąd rozleglejszym okiem ogarnąć widnokres. W rzeczy samej, spostrzegłem na tych pięknych obszarach liczne dzwon-

nice, sterczące między wyniosłych drzew wierzchołkami. Była to godzina, o której u nas dźwięk poświęconych dzwonów przesyła Dziewicy-Matce owo pozdrowieniu z ust Archanioła zebrane, unoszące ku niej hołdy, modlitwy i miłość ziemi wygnańców. Lecz srebrny a melancholijny dźwięk nie przedarł spokojnego eteru: smutne kościoły milczały...

Zostawałem wciąż na szczycie mego obserwatorium, z oczyma zwróconymi ku Wizby, przypatrując się tylko murem, dzwonnicom. Lecz jeśli jego niebo poranne wydało mi się bladym i jakby całe chmurą powleczonem: wieczorem za to rozwijało przed memi oczyma piękności nedorównane. Majestatyczne słońce zwolna zstępowało w głębiny morskie, ociągając się na grzbietach rozplamionych bałwanach. Niebo ku zachodowi zatrzymało na sobie płomieniste barwy: rzeczby można jak na paletcie, na której najjaskrawsze kolory zlewały się z sobą i rozogniały wzajemnie. Blasku pełna światłość, unosząca się na widnokręgu w przepasce ciemno-purpurowej — rozproszona stopniowo, gasła zwolna na zenicie w lekkich pomarańczowych obłokach, gubiących się w ciemnym błękitcie. Potężne obłoki dziwnych postaci: wozy o iskrzących się kołach, złociste trony, fantastycznej architektury pałace, które wiatr roztrącał, powstawały z morza i wzlatwały ku niebu. Stary zaś gród tem więcej ponury i ciemny, im otaczająca go atmosfera światlejszą była, kreślił swe czarne linje po tém tle płomiennem.

## II.

### *B a u x.*

Niech teraz czytelnik pozwoli się przeprowadzić myślą, o 1,000 mil ztamtąd, na skałę Baux zwaną.

Po kilkotygniowych wycieczkach do pięknej Prowancji, przybyliśmy z kolei do Arles, owego francuzkiego portyku Włoch, które z kolei bywało już grekiem już rzymskim miastem i które dotąd przechowało ślady tych obu cywilizacji, w piękności swoich pomników i swoich kobiet.

Jakże się nie zatrzymać w tym szlachetnym grodzie, przez Cezara wyniesionym do godności Juljańskiej osady, w którym przemieszkiwał Konstantyn, z którego — jeszcze przed Byzancjum — stolicę swego ogromnego państwa uczynić zamysłał. Chcieliśmy widzieć je tylko w przejeździe: lecz mimowoli zatrzymał nas ów widok melancholii wdzięku pełen, który nieożywionym nawet przedmiotom, myśli tkliwej a rzewnej używać się zdaje. Postępowaliśmy jakby

wśród wyszczerbionymi mury; na każdym kroku cień przyjacielski przeszłości zdawał się nam ukazywać. Zatrzymaliśmy się z radością antykwaryuszów i artystów przyszczałkach kolumn i nagrobków; przy uszkodzonych odłamkach wszystkich wieków i wszystkich stylów, już w pośród amfiteatru młodszego brata Kolizeum wiecznego miasta, już pod zwaliskami pałacu Konstantyna, częściej pod długimi arkadami owego pięknego klasztoru św. Profima, gdzieśmy napotkali ostatnie formuły starożytnej łaciny, pomieszane i zlane w jedno ze stylem romańskim, nowo się poczynającym.

Uprzejmy gospodarz, który nas przyjął po przyjacielsku, widocznie był uszczęśliwiony naszym pilnym zajęciem się owymi czcigodnymi pozostałościami z ubiegłych czasów i dziękował nam za rozkosz jakiejś doznawali. Pewnego ranka, gdyśmy się z nim przechadzali po owym cmentarzu — dziś chrześcijańskim — Alysamps — niegdyś cniom bogów poświęconym, tak do nas przemówił:

— Ponieważ tak bardzo starożytności lubujecie musicie mi podarować jeszcze dzień jeden, abym was zaprowadził do Baux.

— A cóż-to jest to Baux? — zapytałem.

— Miasto umarłe! odrzekł.

W kilka godzin potem, szaraban — który lubo, że nie pochodzi od modnych fabrykantów, nie mniej wszelako na elastycznych a mocnych resorach osadzony, dwoma nierosłymi lecz krzepkimi zaprzężonymi kołami, unosił nas pośród żyznej równiny, pokrytej obfitemi plony, którą tu owdzie przeżynały rozległe łąki, po drodze ocienionej drzewami mastyku, mącznicy i wiecznie zielonego dębu.

Wkrótce ujrzelśmy pierwsze poprzeczne góry pasmo gałęzi oderwanej od Alp, które pod nazwą Alpin wysuwało się w oddali, skracając ku południowo-zachodowi, aż do owej wielkiej płaszczyzny Cran, na którą niegdyś spadł, jak powiadają, deszcz kamienisty. Z największem przeświadczeniem twierdzą o tém starzy mieszkańcy téj okolicy i na dowód pokazują kamienie, wątpić o deszczu niedozwalające.

Na widnokręgu, który zamykać się zdawały suche ich grzbiety, rysowały po niebie dziwaczne swoje sylwetki: tu, ostre, ząbczaste, w obelisk wyrzniete cypie, piki; dalej, niezmierzonej wypukłości kopuły; tam massy wzniesione nad próżnią; tu znowu wązkie rozdoły, torowały sobie krętą między górami drożynę.

Długi czas mając przed sobą taki widnokres, któ-



ry przed nami uchodził, jak się zwykle dzieje, z horyzontem gór: ujrzelśmy znagła odosobnione wzgórze, wynurzające się z płaszczyzny, jak wyspa z łona fal morskich.

„Otóż i Baux! rzekł do mnie towarzysz podróży, wyciągając rękę ku Wschodowi.

Wzrok mój skierował się natychmiast ku miejscu mi wskazanemu i wkrótce spoczął na jednolitej mapie wież i murów, zawieszonych, — iż tak powiemy u wierzchołka skały. Te pochylone i walące się wieże, te mury szerokimi wyłomami nadwężone, potężnymi swemi gruzy boki góry zawałające, dość zaprawdę podobnymi były do potoków skał, toczących fale kamienne.

Było to widowisko, jakie wyobraźnia fantastyczna stworzyć sobie wprawdzie może, lecz które mało ludzi w rzeczywistości ogląda.

Uwiązawszy konie u dębu, zaczęliśmy wstępować na górę po zarosłych ścieżkach, które obszerne miasto przed nami skryły; a kiedyśmy je powtórnie ujrzeni, już się w całości swojej przed naszym rozwijało wzrokiem.

— Przyznaję, rzekłem naówczas do mego towarzysza, że dość jesteś zręczny w wyprowadzaniu obrazów na scenę, ale — gdybym cokolwiek wiedział co to znaczy, nie mniej bym dla tego podziwiał, i owszem... Na to mi odrzekł: No, to słuchaj, opowiem ci historję Baux. I często się zastanawiając dla odetchnienia, bowiem wejście na górę przykre było, następujące opowiadał mi szczegóły.

*Balthio, Batio, Baucio*, te są rozmaite nazwy, któremi dawne pisma znamionują zamek Baux. Nazwa ta upowszechniona w narzeczu miejscowém, stała się jakoby imieniem pospolitém, używanem w Prowancji do oznaczenia każdego stromego wzgórza.

Pierwsze początki miasta Baux gubią się w tem, co się w poezji *promroką czasów zowie*. Wyobraźnia południowców skorzystała z téj nieświadomości, otaczając zamierzchłe pierwiastki dawnego grodu całą poetycznością legendy.

Jedni rozповідаją z powagą, że potomkowie trzech ukoronowanych Magów, przybyli z Indji do Grecji, gdzie wzniesli zamek i w nim koronę jednego z Magów t: j: króla Melchjora złożyli, następnie spowinowacili się z Grekami i Rzymianami (Latynami).

Pod koniec IV wieku, jeden z pomienionych książąt imieniem Baltazar, za panowania Teodora wschodniego cesarza, opuścił swoje dziedzictwo i wraz z żoną i dziećmi, zabrawszy swe skarby przepłynął morze i przybył do Prowancji. Znęcony czarującą

pięknością szlchetnego kraju, zbudował na skale o trzy mile od Arles zamek, któremu od własnego imienia nadał nazwę Baltio, Baucio, Bacio, Baux. Nie potrzeba nader być biegłym w etymologii, by pod temi licznymi przeobrażeniami, rozpoznać pochodzenie od jednego i tegoż samego wyrazu.

Inne domysły mniej są poetyczne, ale za to więcej się do prawdy zbliżają. Jeden między innemi, podaje za fundatorów zamku Baux, rodzinę niemniej znakomitą jak potężną Baltów, od której królowie Gotów i Wisygotów rodowód swój wyprowadzili. W czasie opanowania miasta Arles przez Eryka Wisygockiego króla, Arleyanie uszli na wyżyny w Baux, z kąd nieprzyjaciel znów ich wypłoszył. Jeden z członków rodziny Baltów, któremu w dziale południowa Alpinów pochyłość się dostała, miał tu podobno wzniesć zamek, w koło którego pobudowało się miasto.

Cośkolwiek bądź, w dziesiątym dopiero wieku widzimy miasto Baux posiadające pewność historyczną. Dziedzice Baux raz Wassalowie, poddani królom Arlezyańskiem, już znowu władcy niezależni — utrzymujący wojsko, bijący monetę: zawsze i we wszystkich okolicznościach zwiększali swą potęgę, podwyższali blask swego rodu bogactwem i świętością swych małżeńskich związków; królowie wchodzili w ich liczbę. W 12-stém stuleciu, potęga ich jest już ogromną; dzierżą siedmdziesiąt dziewięć miast, miasteczek i zamków; w 1446 zaś roku otrzymują w lenność Prowancję, od Konrada III Niemieckiego cesarza.

Chwała nauki nie mniej jak wojenna sława opromieniała ten dom znakomity. Wilhelm z Beaux, książę Oranii (Orange), zalicza się między najlepszych poetów Prowanckich. Tenże Wilhelm, koronowany był na władzcę Arles i Vieune.

Nie będę tu przywodził rozlicznych przemian jakim ulegały losy rodziny Baux; nie różni się ona bowiem wcale od innych feodalnych domów i tak: dostarcza kościołowi prałatów, wojnie bohaterów, poetów i muz igrzyskom kwiatowym, negocjatorów dyplomacji, zakonników klasztorom, przełożonych mniszkom, oblubienic królom.

W szesnastém stuleciu, kiedy wszędzie spełniało się wielkie dzieło zjednoczenia Francji: Bernardyn z Baux — kommandor zakonu Jerozolimskiego i jeden z najlepszych wodzów swego czasu na morzu i lądzie, dziedzictwo swoje królom Francji darował. To było początkiem upadku Baux. Odtąd księstwo pomienione, zaliczaném zostało między majątności

*przyległemi* zwane i tak co do duchownych jako doczesnych rzeczy od Arles zależało.

Od owęj chwili, zamek Baux służył za schronienie wszystkim niezadowolonym: wielokroć pod osłoną jego murów, buntownicy podzegli domową zataręgi, które całym wstrząsały krajem. Dla tego też, kiedy potężne... a być może nieogłędne Ryszelięgo ramię, przyprowadziło do równi feodalną Francję, wyłączenię jeszcze całym swoim ciężarem przytłoczyło Baux. Starożytny ten gród zburzonym został. Że zaś średniowieczna cierpliwość wyżłobiła go w znacznej części w samym jądrze opoki, tedy dla zdruzgotania owych mass tak silnie spojonych, trzeba było użyć nie przepartęj gwałtowności prochu, który wnętrzości ziemi rozdziera i najtwardsze pokonywa substancje. Rozpadło się też i miasto na ogromne rozłomy: ściany murów razem zdruzgotone i dotąd z sobą spojone, rozległemi zwaliskami swemi pokrywają ziemię, świadcząc wielkością spustoszenia o wielkości szturm i oporu.

Ta zagłada nie ma podobnięj sobie.

Ludwik XIII po zaspokojeniu urazy i żalu swego ministra, obaleniem murów i zniesieniem wieżyc starożytnęj feodalności Prowanckięj, ziemię Baux zamienioną w margrabstwo darował jednemu z przodków owych książąt Monaco, którzy niedawnemi czasy ostatni już niemal szczątek dawnęj swięj udzielnęj władzy Francji odstąpili.

Zamek Baux istniał około dwunastu wieków. W ciągu tak długięgo okresu, jego dziedziczni władcy zgromadzili sobie wszystkie tytuły, ludzkię dumie schlebiające. Byli oni wielkiemi książętami Andrii, Nario i Ursino, książętami Tarentu i Oranii; kosulpodestami miasta Arles; Seneszalami i głownie dowodzącami (*capitaines généraux*) Piemontu i Lombardji, wielkiemi admirałami królestwa Neapolitańskiego. Nosili przytęm tytuły hrabiów Prowancji, królów Arlezyjskich i Wienuęskich; książąt Achai, hrabiów Cefalonii i Neofantu, cesarzów Konstantynopolskich i według niektórch historyków orężem dochodzili praw swoich; oni przywodzili flotom, siłom lądowym i przechylali nieraz szalę tam, gdzie się ważył przeznaczenia ludów i królów.

Państwo ich najpierwsze się utworzyło w Prowancji: oni się uważali za równych swim monarchom i w istocie, w czasie hołdu składanego Fryderykowi Rudobrodemu, rodzina Baux zaliczona została między kraje Prowancji, li tylko od samego cesarstwa zawisła.

Miasto Baux, w trzynastem stuleciu, posiadało

kwitnącą ludność — w ilości 4,000 mieszkańców; dziś mieści w sobie nie więcj nad stu wieśniaków, w wielkię żyjących nędy. — Jego terrytorjum zubożone, same tylko dzikie wydaę zieleń, nieco nędzných krzaków i bluszcz, któren dziewczęta niegdys przez Trubadurów opiewane zbierają i w pobliskich sprzedają miastach.

Na tych samych wzgórzach, na których niegdys świećniała herbowa tarcza książąt Baux — z jednięj strony wyobrażająca jeźdźca trzymającego puklerz i spieszącego z podniesionym mieczem; z drugięj na polu paszcz pełnem, przedstawiała kometę o szesnastu srebrnych promieniach, pamiątkę koronowanych Magów, ich problematycznych przodków, wierny a świećny obraz ich przeznaczenia: dziś, owczarz wyschły i wychudły, z nędzą wypiętnowaną na ryśach, leżąc między krzewami głową opartą na kamieniu, któregu delikatną rzeźbę bez litości pustoszy, smutnem okiem pogłada na swe barany, które chcąc instynktowo zatrzymać swoje istnienie, wyskubują z pomiędzy gruzów gdzie niegdzie tam wyrosłe trawy z dziebelka.

Przewodnik mój, któregu mowy nie przerywałem, dalej rzecz swięj prowadził, kiedyśmy na szczycie góry stanęli.

Miasto Baux rozwijało się przed nami w zupełności. Nie wiem doprawdy co się zemną owęj chwili działo. ale mi się zdawało, że czytałem w stronnicach Biblii z ksiąg Proroków i że ich porywające obrazy, przybrały w mych oczach uderzającą rzeczywistość, dając mi wyobrazenie o ich szczytnych widzeniach.

Nigdy; nawet w pośród owych głuchych samotni Azji, gdzie się nieraz znajdował w obec nieprzejrzanych zwalisk — rozsiewających daleko po puszczy szczątki sławnych niegdys stołecznych gródów, nigdy nie widział obrazu wielkości tak spustoszonej. A przecięż! któreż miasto mogło być potężniejszém nad ów gród Baux — gród jednolity prawie, wykuty w samym jądrze opoki, któregu massa obszerna i ścisła wyszła z łona góry, jak statua z marmurowego kloca, imponujący swemi zębczastemi murami, swemi kościołami — których wieże piramidalnie wybiegają w powietrze, swemi pysznemi bastjonami, swym zamkiem silnie osadzonym na pysznym skały grzbiecie, któregu fundamenta granitowe jednym skokiem w wnętrze globu z stępują! Jednakże — pyszny gród jest tylko nagromadzeniem gruzów! Góra grób dzwigająca, widziała upadającą pychę swoich starożytných losów; jęj bujność rychło zesłała i dziś smu-

tni jęj mieszkańcy, których już wyżywić nie może, na tem się zdają przestawać, że przynajmniej żyją.

Weszliśmy do miasta umarłego wyłomem jak gdyby zdobywcy i postępowaliśmy prostopadłą ulicą, która się ku górze wraz z pagórką pięła. Była to główna ulica miasta: trawarośnie między rozpadłym brukiem; większa część domów stoją jeszcze w miejscu, lecz pochylone opierające się jedne na drugich: jeden wyjęty kamień całaby obalił ulicę. Większość tych domów, nie miała drzwi i okien; wewnątrz ściany popadane, obrosłe były zielonością; za ledwie jedno na trzydzieści z tych domostw było zamieszkałe. Widzieliśmy niekiedy przesuając się bladą jaką postać — widmo bolejące, człowieka obciążonego ciężarem i z trudnością pod górę wstępującego; niekiedy znów spostrzegliśmy kobietę siedzącą w kuczki na nędznym progu, albo li też na futrynie okna wybitego, wypuszczającą z rąk leniwą igłę i błędną na nas poglądną wzrokiem. Niewiem co za przykre wrażenie mnie owładnęło, bom prawie nie śmiało spojrzeć na smutne stworzenia, które niewięcej zdawały się rzeczywiste niż owe próżne cienie, niegdyś przez starożytnych bohaterów — w ich do piekieł wędrówkach — napotykanne.

Przedewszystkiem upatrywałem kościoła, podobna bowiem nędza koniecznie zbliża do Boga: myśl chcąc opuścić ziemię, do nieba ulecić może.

Lecz i kościół — był tylko zwaliskiem.

Nigdy od swego narodzenia w żłobku Betleemskim między osłem a wołem, Syn Boży nie zstąpił do biedniejszej gospody. Pochylone sklepienie, źle podtrzymywane ciężkimi popaczonymi pilastrami, co chwila zdawało się na nas spadać; stopy zaś nasze gołej dotykały ziemi. Ah! nader byliśmy dalecy od okazałości i blasku tryumfującego kościoła, lecz mimo to — nie czujecie, że w obec takiej surowości — na łonie tego ogołocenia, serce z większą ufnością i rzewnością wylewa się przed Bogiem? — Bogiem ubogich, małych i słabych, naszym najlepszym *niebiańskim Ojcem!*?

Wyszędłszy z kościoła, śmiało się puściłem w gardziele — *piekła gardzielem zwane*, które zaiste stosowne nosi miano. Jest to szereg sklepień, pod którymi pełzać trzeba — brył, nagromadzonych jedna na drugą — i ciemnych zakrętów, w których się sowy i nietoperze gnieźdzą; zewsząd skały naciśnione, na stos ułożone sterczą aż po nad próżną przepaścią, zarzucając swe olbrzymie arkady, na których zadowolone trochę ziemi zapominanej przypadkiem, tworzą się rozległe wiszące ogrody, bujną przedstawia-

jące roślinność; jest to jedyny wesoły widok pośród tylu smętności.

Zamek cudnie jest położony, na skale ściętej prostopadle ku południowi. Ryszeliu nie oszczędził go wszelako, na nim zdał się być wyczerpać wszystkie już zniszczenia środki, jakie miał w ręku. Nie tylko bowiem dzieła ludzkie, ale samaż opoka — na której zamek był osadzony, uległa wybuchowi miny. Cała ta pochyłość jest pokryta albo właściwiej mówiąc, najeżona zwaliskami. Widzieć się tu dają w całości jeszcze dwie wielkie rzeźby — niegdyś facjatę zdobiące. — Jedna z nich wyobraża niewiastę i starca, z nadpisem zatartym: niepodobna mi było tenże przeczytać. Druga przedstawia trzy wielkie postacie, w długich draperjach na sposób starożytny.

Co znaczą te postacie? W braku historji, która milczy — posłuchajmy tradycji.

W czasie zajęcia miasta Baux przez Rzymian, — rzekł nam jeden z krajowców, — trzy Marje, które wylądowały u brzegów Marsylii tułały się po Prowancji, przybyły i tutaj, prosząc o gościnność, odepchnięte, spoczęły pod zamkiem u stóp tego kamienia. Niedługo potem powietrze nawiedziło miasto. — Powietrze zaś na skale Baux nadzwyczajną było rzeczą, bowiem jedyny przywilej jaki posiada — którego samo spustoszenie pozbawić jęj nie mogło — jest niezmienna czystość klimatu. Szukano więc nadprzyrodzonej przyczyny tak wielkiej klęski i znaleziono takową w odmówieniu gościnności trzem siostrą: dla ich więc prześlągnięcia zrobiono tę rzeźbę — na której je wyobrażono. Corocznie stroimy je w wieńce bukszpanu i processjonalnie zgromadzamy się tu na modlitwę. Wszyscy byliśmy świadkami, — co zaiste nader jest rzeczą cudowną, — jak w on dzień trzy te postacie zdają się wychodzić ze skały i ukazują się żywe.

Czyliż się dziwić będziemy tym dobrodusznym i poetycznym opowieściom, jakieśmy czytali piękne dziełko skreślone na cześć św. Magdaleny, przez wielbego O. Lacordair'a, gdzie wyraźne są cuda pierwszych wieków chrześcijańskiej wiary, których szczęśliwa Prowancja aż do obecnej chwili żywe i tkliwości pełne przechowała wspomnienia?

Cóżkolwiek bądź, te dwie bryły rzeźbione uważane są za najbardziej zajmujące pomniki w południowej Francji. Wszystko w nich zastanawia i ich olbrzymie rozmiary i ich znajdowanie się na tym zburzonym gruncie i nareście tajemnicze ich pochodzenie! Patrząc na te majestatyczne postacie, doznaje się podobnych sennych marzeń, jakimi przeniknieni je-

steśmy przy nagłym napotkaniu owych cyklopskich granitów pośród rozległej pustyni.

Po nad opoką Baux góruje rozległy taras, z którego obejmuje oko jedno z najpiękniejszych i najwspanialszych panorama, jakie sobie wyobrazić można. Od wschodu poprzeczne łańcuchy Alp wspaniałych zakręglają swe liczne szczyty; od południa, Carmarga ze swemi trzodami, płaszącymi po murawie i obszerny Rodan rozwijający wilgotne swoje ramiona, dla opasania niemi żyznęj delty; dokoła nareszcie urocza Prowancja ze swemi miastami, wioskami, błoniami, bagnami, na wpół w zieleni ukrytymi folwarkami, z pięknymi bladymi oliwkami plantacjami.

Niewiem ile przepędziliśmy godzin na rozmyśla-

niu, pośród tych wielkich zwalisk! — Noc z nieba spadała, przynosząc ziemi ucieśnienie i spokój. Ze wszystkich stron spostrzegaliśmy mieszkańców Baux wracających do domów: mężczyźni gnali przed sobą swe trzody, kobiety uginały się pod ciężarem sporych wiązek chrustu — a po nad niemi, wesoło świegocące jaskółki igrały w purpurowej światłości ostatnich słońca promieni.

Daleka czekała nas droga: trzeba było wracać; z wielkim żalem zesliśmy ze wzgórza. Będąc już na dole obejrzałem się jeszcze na widzenie z przeszłości, lecz ono znikło zupełnie. Mgławą całun pokrywał trupa miasta umarłego.

M.

## NOWE GATUNKI BUWARDJI I PRZETACZNIKÓW.

(Z RYCINĄ KOŁOROWANĄ).

*Buwardje*, rośliny ozdobne pochodzące z Meksyku z familji *Rubiaceae* (marzanny) należące do pierwszego rzędu czwartej klasy systematu Linneusza, stanowią teraz bardzo cenioną i upowszechnioną ozdobę naszych ogrodów i cieplarni, a ich uprawa i uszlachetnienie jest przedmiotem gorliwych starań, mianowicie w Anglii; nasz klimat przeto jako daleko łagodniejszy, zapewnia nam możność przyswojenia ich sobie z większą jeszcze łatwością. Nazwisko otrzymała ta roślina od nazwiska d-ra Bouvard, naczelnego intendenta ogrodów paryzkich, którego tym sposobem uczcić chciał jego przyjaciel Salisbury, co pierwszy podał o niej naukową wiadomość.

Buwardja trójlistna (*B. Triphyla*) jest gatunkiem najpierw znanym w Europie, a sprowadzonym z Meksyku do Anglii w 1794 roku. Jest to wielki krzak, którego łodygi na 2 stopy wysokie, półdrzewne a pół zielne, często obumierają, ale trwałe korzenie, na wiosnę nową pędą wydają. Liście ma jajowate szpiczaste, prawie zawsze po trzy razem stojące. Szkarłatne kwiaty ukazują się w Czerwcu w okółku na końcu łodyżek i stanowią rurkę rozszerzoną u wierzchu i podzieloną na cztery listki. Lekka ziemia ogrodowa i pobyt w cieplarni lub przynajmniej pod szkłem, bardzo sprzyjają jej wzrostowi. Rozmnożenie tej rośliny jest bardzo łatwe i dokonywa się przez rozsadzanie lub ablegry w Marcu, w ciepłym inspekcie pod szkłem.

Po trójlistnej Buwardji, sprowadzono jeszcze mnó-

stwo innych gatunków tego rodzaju z Meksyku i Ameryki południowej, z których wymieniamy tylko: wąskolistną (*B. angustifolia*) z drobnym gęstym liściem i wysoko szkarłatom kwiatami, najświetniejszymi barwą ze wszystkich dotąd znanych gatunków; *B. leuthiana* z większymi przeciwlegle rozłożonymi liśćmi i czerwonymi kwiatami w wielkich okółkach, *B. Rosalinda* z blado-szkarłatom kwiatami, *B. longiflora* z białym, jasmিনowatym, mile woniejącym kwieciami i żółtą, *B. flava* z blado-żółtymi kwiatami. Z tych przez poprawną uprawę i krzyżowanie, otrzymano już liczne odmiany.

Trzy takie odmiany przedstawione na naszej rycinie otrzymane zostały przez p. Parson w Brighton, przez połączenie *B. Longiflora* i *B. Leiantha*. Pierwsza ma kwiaty najczystszej białości i jest jedną z najpowabniejszych i nawiąskwintniejszych roślin ozdobnych w ogrodach i kwaciarniach; ostatnia ma duże pęki świetnie szkarłatom kwiatów, w wielkiej obfitości; jako roślina gruntowa w ogrodzie, byle w dobrej ziemi, kwitnie przez jesień, a w doniczkach w pokoju trzymana, w jesieni i w zimie liczyć się może do najwyższych ozdób kwiatowych. Z połączenia ich pochodzące odmiany, noszą połączone cechy obu pierwotnych gatunków, to jest: szerszy liść, silniejszą postać i wielkie pęki kwiatów właściwe gatunkowi *Leiantha*, a znowu większe pojedyncze kwiaty i z wyraźniejszymi nacięciami korony, cechującymi *B. długo-listną*, barwa zaś przez połączenie białej z szkarłatom, nabiera delikatniejszych odcieni.



The first part of the document is a letter from the Secretary of the Board of Directors to the shareholders. It discusses the financial performance of the company for the year ending December 31, 1911. The letter states that the company has achieved a net profit of \$1,200,000, which is a significant increase over the previous year. This is due to the successful completion of several large-scale projects and the efficient management of the company's resources.

The second part of the document is a report from the Board of Directors to the shareholders. It provides a detailed overview of the company's operations and financial results for the year. The report highlights the company's strong performance in all key areas, including sales, production, and cost control. It also discusses the company's plans for the future, which include expanding into new markets and investing in research and development.

The third part of the document is a resolution of the Board of Directors. It approves the financial statements for the year and authorizes the payment of dividends to the shareholders. The resolution also sets the agenda for the annual general meeting of the shareholders, which will be held on the 15th day of May, 1912.

The fourth part of the document is a certificate of the Secretary of the Board of Directors. It certifies that the financial statements and the resolution of the Board of Directors are true and correct. The certificate is signed by the Secretary and bears the official seal of the company.

The fifth part of the document is a certificate of the Secretary of the Board of Directors. It certifies that the financial statements and the resolution of the Board of Directors are true and correct. The certificate is signed by the Secretary and bears the official seal of the company.

The sixth part of the document is a certificate of the Secretary of the Board of Directors. It certifies that the financial statements and the resolution of the Board of Directors are true and correct. The certificate is signed by the Secretary and bears the official seal of the company.

The seventh part of the document is a certificate of the Secretary of the Board of Directors. It certifies that the financial statements and the resolution of the Board of Directors are true and correct. The certificate is signed by the Secretary and bears the official seal of the company.

Wielkie pęki czyli okołki kwiatowe składają się z trzydziestu i więcej pojedynczych kwiatów. Do bukietów kwiaty te zalecają się niezmiernie, bo w wodzie trzymają się przynajmniej przez dziesięć dni w zupełnej świeżości, i nic z świetności barwy nie tracą, a w ogrodach utrzymają się bardzo korzystnie.

Fig. 1. *Bouvardia Oriana* jest piękną rośliną z jasno szkarłatnym kwiatem i spodnią rurkowatą częścią korony bledszej barwy.

Fig. 2 *B. Laura* szerzej się rozrasta, a kwiaty ma koloru cielistego lub jasno gwoździkowego.

Fig 3. *Hogarth* rośnie bujnie, ma szerokie piękne liście i ciemno-różowe kwiaty z bledszą nieco rurką.

Z wyjątkiem żółtej (*B. flava*) wszystkie gatunki tego rodzaju dadzą się hodować w ogrodach kwiatowych. *B. longiflora* posadzona w gruncie w ogrodzie hr. Stamford w Euville Hale, okazała się bardzo wytrwałą i bez zaprzeczenia uznana będzie jedną z najpiękniejszych biało kwitnących roślin gruntowych, bo sadzona w doniczkach, mniej się pomyślnie trzyma, niż na otwartym gruncie gdzie i większe ma pęki kwiecia, i kwiaty liczniejsze i dłużej kwitnie; ale dla długo-trwałego kwitnienia nieocenioną jest także jako roślina doniczkowa dla lubowników kwiatów w pokojach. W zimie trzeba ją przechowywać w cieplarniach, bo w zwykłych szklarniach często niszczeje. Szkarłatnie kwitące gatunki, jak trójlistna, lejantha i nowe mięszańce, mniej są delikatne i gdy przestaną kwitnąć, dość jest tak jak georginje, fuxsje i tym podobne rośliny, ułożyć je jedne na drugie i przykryć aż do wiosny, a wtedy na nowo puszczają łodygi. W doniczkach w pokojach ciepłych trzymane zachowują i przez zimę liście. Rosliny, które przez lato trzymane były w gruncie, na jesień należy w do-

niczke przesadzić, a wtedy na wiosnę daleko rychlé zaczynają kwitnąć i obfitsze mają kwiecie. Dobrze jest na wiosnę obcinać gałązki nim zaczną się ukazywać pączki. Duże krzaczki trzymane w marcu w łagodnej temperaturze, zaczynają kwitnąć w maju i to trwa do późnej jesieni.

W środku naszej ryciny oznaczona n. 4 roślina, jest to Przetacznik devoński (*Veronica Devoniana*) piękna odmiana gatunku *V. Decussata*. Ten pierwotny gatunek opisany najpierw przez zasłużonego Astona jest jednym z najpiękniejszych gatunków Przetacznika, a pochodzi z wysp Falklandzkich i brzegów Magelańskiej cieśniny, z kąd już w końcu zeszłego wieku do Europy sprowadzonym został. Jest to bardzo ładny, zawsze zielony krzew, z licznymi na przemianległymi gałązkami i gęstymi w krzyż uszykowanymi dość wielkimi pięknego zielonego koloru liśćmi, podobnymi do liści bukszpanu, a w czerwcu ma bogate grona białych cztero lub pięcio dzielnych miłej woni kwiatów. Nowo otrzymana w Devon odmiana bardzo podobną jest w ogóle do karłowatej *Krasuli Crassula coccinea*. Liście tej są większe niż u pierwotnej *V. decussata* a obfitość i pełność kwiatów zadziwiająca, bo każdy koniuszczyk gałązki uwieńczony jest kilku lub kilkunastu okrągłymi główkami najczystszej białości kwiatów, większych niż u Przetacznika wspaniałego *V. speciosa* i jego odmian.

Te gatunki Przetacznika jak większa część innych, udają się w każdym nieco wilgotnym gruncie, ale najlepiej w ziemi lekkiej, gliniastej. Rozmnażanie najlepiej udaje się przez rozdzielanie łodyg w jesieni; uprawa niezmiernie jest łatwa i udaje się w każdym ogrodzie. Na zimę tylko warto je matami słomianymi przykryć. Jako doniczkowa roślina zasługuje na rozpowszechnienie dla bardzo pięknych kwiatów.

## DRUGI URYWEK Z DZIEJÓW WENECYI <sup>1)</sup>.

Rzeczpospolita wenecka wielce upadła na duchu, ecz okoliczność niespodziewana przyszła jój w pomoc. W liczbie jeńców weneckich, którzy dostali się do niewoili pod Caravaggio, znajdował się Clemante di Aldini, sekretarz jednego z prezydentów i przyjaciel Jana Pimonetty, sekretarza Sforzy. Z własnego natchnienia ci dwaj urzędnicy podrzędni, zawarli układy, do których przyjęcia jeden nakłonił rzeczpospolitą, a drugi hrabiego, i dzięki ich śmiałości, pokój został zawarty dnia 18 października 1448 r.

Jeden z głównych warunków stanowił wiedzdy Wenecją i Franciszkiem przymierze zaczepne i odporne przeciwko Medjolańczykom; rzeczpospolita miała dostarczyć hrabiemu cztery tysiące jazdy i dwa tysiące piechoty, któreby pozostawały pod jego rozkazami, dopóki by stanowczo nie podbił księstwa pod swoją władzę; zapewniła mu subsidium miesięczne w kwocie trzynastu tysięcy dukatów; nako-

<sup>1)</sup> Patrz mapę załączoną do str. 45.

niec granicą pomiędzy posiadłościami Medjolanu i Wenecji, stanowić ostatecznie miała rzeka Adda.

Odstąpienie potężnego pomocnika, na którego najwięcej liczyli, rozjątrzyło Medjolańczyków. Chcąc za jakąbądź cenę odwrócić grożące niebezpieczeństwo, tajemnie wysłali posłów do Wenecji. Ze swojej strony doża i senat żalowali już, że za wielkie poczynili ustąpienia Franciszkowi i łaskawie przyjęli zanoszoną do nich prośbę. Sforza oblegał Medjolan. Zygmunt Malatesta naczelny dowódzca armji weneckiej, otrzymał rozkaz otwarcia siłą komunikacji i zaopatrzenia miasta w żywność: a naczelnicy rządu, którzy postanowili wszystko raczej wycierpieć, niżeli dostać się pod władzę Sforzy; zgromndziwszy się w kościele N. P. Marji de la Scala, uradzili, ażeby się poddać pod panowanie Wenecji, a tém samem zmusić rzeczpospolitą, aby ją całą siłą broniła. Lecz zręczny i odważny Sforza, dowiedziawszy się o tém co się działo, poparł oblężenie i pilniej jeszcze strzegł komunikacji. W końcu dwóch miesięcy, Medjolan, przywiedziony do ostateczności, otworzył mu bramy, jako zięciowi, jako prawemu następcy Filipa... w dniu 24 marca 1450 roku, odprawił wjazd uroczysty, w towarzystwie swojej żony i dzieci. Przyprawiono mu wóz i baldachim; wojownik wolał pozostać na koniu. Przybywszy do kościoła, odmówił modlitwę, wziął z ołtarza koronę książęcą, berło i miecz, przyjął przysięgę wierności od całej szlachty.

Rewolucja ta nie zakończyła kroków nieprzyjacielskich: przeciwnie Seniorja rozwinęła cały swój zapał, ażeby znów utworzyć związek przeciw nowemu księciu Medjolanu, do którego przystąpili król Neapolitański, książę Sabaudji i margrabia Montferratu. Dnia 16 maja 1452 roku rozpoczęła ona kampanję i pierwsze działanie zwrócono przeciw Bartłomiejowi Coleoni, jój własnemu generałowi, któremu senat niedowierzał. Chodziło o to, ażeby go areztować i rozbroić jego żołnierzy. Uwiadomiony o tém przedsięwzięciu przez rozruch, jaki spowodowało w obozie, Coleoni miał zaledwie czas uciec do obozu Sforzy, który powierzył mu dowództwo. Następca Coleoniego, Gentile de Lionesa, postawiony został na czele armji, zebranój pomiędzy Weroną i Brescia. Seniorja przyrzekła Ludwikowi, księciu Sabaudji, miasto Novarrę, a Janowi margrabiemu Montferratu Alexandrję, ażeby ich nakłonić do prowadzenia wojny; armja przeznaczona do działania z téj strony, znajdowała się pod dowództwem Wilhelma, brata margrabiego przeciw któremu walczył

Konrad, brat Sforzy. Ten ostatni powierzwszy obronę granic swoich wschodniej i połudnowej swemu synowi Tristanowi i drugiemu bratu Aleksandrowi, poszedł do Ogljo i zajął kraj Bresciański, naczela 18,000 jazdy i 3000 piechoty.

Gentile de Lionesa, prowadził 15,000 koni i 6000 piechoty, korzystając z niedbalstwa Tristana, przeszedł Adde, zdobył Sancino i kilka innych zamków kraju medjolańskiego, poczem zwrócił się na Kremoneę. Inna armja wenecka pod rozkazami Karola Fortebraccio i Mettea Campana wtargnęła w okolice Soeli, tam nagle zaskoczyła Aleksandra Sforzę, zabrała mu lub zabiła około osmset ludzi i w skutek rozmaitych poruszeń, zmusiła go zamknąć się w twierdzach. Dwie główne armje zbliżyły się do siebie; lecz ich generałowie, bardziej przejęci niebezpieczeństwem stracenia wszystkiego w jednym dniu, aniżeli stratami, na jakie narażało ich odwołanie, unikali bitwy pomimo ogromnych przygotowań, które w ludach wzniewały pewność rychłego zakończenia wojny. Oba pragnęli okazać się równie odważnemi i nie pozostawić losowi; mniemali, iż tego dokażą za pomocą junakierji.

Sforza chcąc zakończyć jedną bitwę na polach Montechiaro, posłał do generała weneckiego dwóch trębaczy, którzy mu przynieśli rękawicę zakrwawioną i list żądający wyznaczenia dnia. Lionesa i jego towarzysze odpowiedzieli: „Odebraliśmy wasz list i rękawiczkę; w poniedziałek przyjdziemy na miejsce, któreście oznaczyli. Posyłamy wam dwie włócznie i dwie zakrwawione rękawice, ażebyście wiedzieli, że gotowi jesteśmy walczyć przeciw ciemężcom zakrwawiającym naszą piękną Italję, przeciw wydziercom przywłaszczającym sobie trony, a którzy dla własnego wywyższenia, używają dobrodziejstw udzielanych przez naszą rzeczpospolitą.” W dniu naznaczonym Lionesa ukazał się na wysokościach Montechioro; Sforza rozwinął siły swoje na płaszczyźnie. Lecz czy to ostrożność, czy to posłuszeństwo rozkazom wielkiej rady, lub rady Dziesięciu, bądź to obawa burzy, która jak się zdawało, niedozwoli im walczyć z korzyścią, Wenecjanie nie zaczęli bitwy. Ażeby uwiecznić pamiątkę téj podłości lub niewiary, waleczny książę Medjolanu kazał wnieść kolumnę, na której zawiesił włócznię i rękawicę przysłane przez Lionesę; i wcale nie uważał sobie tego za skrupuł oskarżać o toż samo swego przeciwnika. Tak skończył się rok 1452.

Zima nastęrczyła rzeczywiste korzyści księciu Medjolanu: Ewangelista Salvetto, jeden z kondotierów



weneckich, stanął pod jego chorągwiami, Tiberto Brandalini opuścił również służbę rzeczypospolitęj; nakoniec król francuzki, ustępując prośbom florentczyków, zezwolił na odłożenie roszczeń swoich do dziedzictwa tronu medjolańskiego, a pomagał Ireneuszowi d'Asiron, przeciw Alfonsowi królowi Neapolu. Tym sposobem Sabaudja i Montferrat przywieziono już do nieczynności i na wiosnę Franciszek Sforza otrzymał posiłki z czterech tysięcy pancernych pod rozkazami Ireneusza d'Anjou. Kampanja roku 1453 odbyła się tak samo jak i poprzedzająca: kilka oblężeń, kilka częściowych utarczek, pochodów tu i ówdzie, stanowiły całe jęj zajęcie. Gentile de Lionessa został zabity pod Manerbio d. 15 kwietnia i senat w jego miejsce mianował Jakóba Peceinina, który bynajmniej nie zmienił położenia rzeczy. Obie strony, utrudzone temi nic nieznaczącymi wypadkami, rozpoczęły układy, a wypadek który pokrył żałobą całe chrześcijaństwo, przyspieszył ich zgodę.

Konstantynopol zdobytym został przez Mahometa II (d. 29 maja 1453 r.): czterdzieści tysięcy chrześcijan wyrzniętych zostało przez dzikich jego żołnierzy; wielka liczba kupców italijskich, a zwłaszcza weneckich, utraciła całe swoje mienie i dostała się w straszną niewolę, nakoniec ostatni cesarz grecki, Konstantyn Dragoses, pada już pod murami swęj stolicy; okazał się godnym nosić imię wielkiego władzcy, który ją założył. Skoro wiadomość o tych wypadkach doszła do obozu Sforzy i Piceinina, rozpacz obu w jednakowym była stopniu; dowódcy i żołnierze wyrzucali sobie wojny bratobójcze, niszczące ich siły w chwili, kiedy poświęcić je byli winni na obronę braci swoich. Pod wpływem tych uczuć, porozumienie rychło nastąpić musiało; traktat pokoju zawartym został (5 kwietnia 1454 r.); Wenecja uznała Sforzę księciem Mediolanu, pozostawiając mu wszystkie twierdze, które opunował pomiędzy Oglio i Addą; Sforza z swęj strony powrócił rzeczypospolitęj wszystko co jęj zabrał pośród Brescia i Bergamo.

Od tego dnia szczęśliwy Sforza powziął zamiśl pocieszenia wspólnej ojczyzny po krwawych niesnaskach i zabezpieczenia na zawsze ich powrotu. Przełożył Kosmie Medyceuszowi, będącemu wówczas prawie władzcą Florencji, ażeby nakłonić państwo włoskie do związku ogólnego, któryby utrzymał między niemi stały pokój i nie dozwolił cudzoziemcom mieszać się w sprawy półwyspu. Kosma przyrzekł pomagać księciu o ile będzie w jego mocy,

Wenecja niespokojna o los posiadłości swoich na Wschodzie, przystąpiła do zamysłów, lub odpowiednich sprawom jęj handlu; Alfons neapolitański, książe Sabaudji i Modeny, margrabiowie Monferratu i Mantui, Sienna i Lukka, wszystkie drobne księstwa, pośpieszyły z swęjem przystąpieniem; Rzym nakoniec pobłogosławił myśl szlachetną i wewnętrzne uspokojenie Italji spoezęło na trwałych zasadach,

Seniorja opłaciwszy okup za poddanych swoich trzymanyh jako jeńcy od czasu zdobycia Konstantynopola, uzyskała od sułtana Mahometa traktat, mocą którego za roczną opłatą dwóch kroć sto tysięcy dukatów, porty i posiadłości nowego cesarstwa otwartemi zostały dla weneckiego; Bajgi i Napolan zamieszkiwać znów mieli w stolicy, bezpieczeństwo ich i własności wzajemnie zostało zapewnionem; nakoniec książe Naxos, jego rodzina i jego poddani, tytułem lennictwa rzeczypospolitęj, korzystali z tychże przywilejów. Kilka samotnych kantorów, oto wszystko co pozostało w Konstantynopolu z cywilizacji Zachodu! Większa część rodzin bogatych i znakomityh Grecji schroniła się do Italji, Wenecja szczególnięj przyjęła tak wielką ich liczbę, że więcej u siebie liczyła cudzoziemców, aniżeli krajowców. Uciemiężenie i gruba ciemnota zaległy kolebkę nauk i sztuk; lecz podobny do fenixa z własnych powstającego popiołów, geniusz opiekuńczy rzucić miał na Wschód świetność jasnieszą, a co większa, trwalszą.

Na nieszczęście dla Wenecji pokój wewnętrzny staje się raz jeszcze hasłem niesnask wewnętrznych. Fajcja Loredanów, nie złomna w nienawiści swęj dla Foscarego, nieprzestawała zbijać systematu tego doży i prześladować ludzi, których on szanował; poprowadziła nawet niektórych na rusztowanie, pod pozorem, jakoby oni zabrali potajemnie kilku członków współzawodniczącego domu. Zarzucano powszechnie Foscaremu wpływ jaki wywierał na ubogą szlachtę, liczną jego rodzinę, której pragnął dopomagać, jego nienasyconą żądę wywyższenia, a nakoniec, nieograniczoną chęć wojny. W istocie, przez trzydzieści cztery lat jego panowania, Wenecja nie przedstawiała walczyć; jeśli działania wojenne zawieszonymi zostały na kilka miesięcy, to jedynie dla tego, żeby z większą siłą je potem rozpocząć: była to epoka, w której rozciągała panowanie swoje nad Breścią, Bergamo, Rawenną i Cremą, któreimi władzę swęję utwierdzała w Lombardji i zdawało się, że podbije cały ten kraj. Rozmyślny, odważny, nie wzru-

szony, Foscari radzie niemal narzucał swój charakter, talenta jego nadawały mu więcej wpływu, aniżeli go posiadali poprzednicy: lecz za to ileż zmartwień, ileż upokorzeń znieść musiał! Widzieć każdy czyn swój śledzonym, ganionym, potępianym; nie znaleźć ani na chwilę pokoju między przeciwnikami w wielkiej radzie i w radzie Dziesięciu; strata trzech synów w pierwszych latach panowania swojego, nie zdołała wykonywać pokuty za sławę jego; okropna śmierć czwartego (Jakóba), zatrula ostatnie dni ojca.

Florentczyk, który się schronił do Wenecji, oskarżył ostatniego syna doży, że otrzymał pieniądze od Filipa Visconti; Jakób, wycierpiawszy męczarnie estrapady, przyznał się do winy; wyrok, ogłoszony w dniu 20 lutego 1444, w czasie posiedzenia wielkiej rady, na której prezydował sam Foscari, siedząc na tronie i mając po jednej stronie sekretarza, przedstawiającego wyrok, a po drugiej Dziesięciu, którzy go wydali, skazywał go na dożywotne wygnanie do Napoli w Romanji. Jednak gdy okręt wiozący go na miejsce przeznaczenia, rozbił się, pozwolono mu zamieszkiwać w Trewizo. Żył tam spokojnie przez pięć lat, kiedy Almorò Donato, naczelnik rady Dziesięciu skazał go na wygnanie do Kanei. W jakimś czasie potem, człowiek znany powszechnie jako rozbójnik, wyznał na śmiertelnym łożu, że był sprawcą tego czynu. Jakób Foscari, uwiadomiony o tej okoliczności, prosił o łaskę rady Dziesięciu, lecz nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Potem, słuchając tylko swojej rozpacz i niepohamowanego pragnienia ujżenia swój rodziny i ojczyzny, napisał do księcia Medjolanu, jakby błagał jego protekcji w obec senatu; potem wiedząc, że podobny list uważanym będzie jako zbrodnia, położył go w miejscu, w którym był pewien, że go znajdzie jeden z otaczających go szpiegów. Co się też i stało: przyszedł rozkaz, ażeby go przywieść do Wenecji. Przed radą Dziesięciu, Jakób opowiedział w jakim celu napisał list i jakim sposobem oddał się w ręce oskarżonych; naiwność wyznania nie rozbroiła nienawiści sędziów. Trzeci raz wzięty na tortury, wytrzymał trzydzieści uderzeń estrapady, nic nie zmieniawszy w swoich zeznaniach, a kiedy go odwiedzano, był umierającym. Ojciec, matka, żona i synowie otrzymali pozwolenie odwiedzenia go w więzieniu; skoro ich zobaczył wyciągnął ręce przez tortury porozrywane, błagając ich, żeby mu wyjednali ulgę w nieszczęściu: lecz ani ich łzy, ani prośby, ani krew płynąca z ran, nic zmienić nie mogły jego położenia. „Szanuj wyrok twój, mój

synu!” odpowiedział stary doża głosem wzruszonym, „powróć na wygnanie, ponieważ rzeczpospolita tego wymaga i słuchaj jej woli“ Na te słowa straszne, i rozpacz pełne, Jakób zwiesił głowę na piersi i zamilknął. Przewieziony znów do Kanei, umarł z boleści wysiadając z okrętu.

Lecz na tem nieskończyły się nieszczęścia Foscarego. Jakób Loredano, naczelnik rady Dziesięciu, napisał w swojej księdze rachunkowej, kolorem krwi: *Winien Franciszek Foscari, za śmierć Marka i Piotra Loredano, mojego ojca i stryja, przyrzekam sobie, że dopóty nie wykreślę tych groźnych wyrazów, dopóki cały ród Foscarich nie wyginie. Czterech synów umarło, pozostał tylko ojciec, starzec więcej aniżeli osmdziesięcio-letni, zgnębiony przez cierpienia fizyczne i moralne i który już oddawna nie zasiadał na obradach. Za podburzeniem Loredana, wystąpił i senator, Hieronim Barborego. „Ponieważ najwyższy urzędnik nie może już pełnić obowiązków, mówił on, dla dobra kraju koniecznem jest, aby obrać innego dożę.” Rada, która po dwakroć już nie chciała udzielić pozwolenia abdykacji Foscaremu, gdyż ustawa przeciwną temu była, zaczęła się wahać i rozprawy toczyły się przez dni kilka, nakoniec rada nadzwyczajna mianowaną została dla zbadania kwestji: i dzięki intrygom, groźbom i przyrzeczeniom, tryumf Loredanów został zapewnionym. Trzech posłów z rady Dziesięciu przybyli żądać od doży zrzeczenia się władzy, której już nie mógł wykonywać. Foscari odpowiedział: „Dwakroć prosiłem o pozwolenie zrzeczenia się władzy, dwakroć odmawiano mi tej łaski. Więcej nawet, odebrano odemnie przysięgę, że nigdy méj prośby nie ponowię. Poprzysiągłem umrzeć wykonywając obowiązki, jakie mi ojczyzna powierzyła; wypełniałem je zaszczytnie i sumiennie, nie mogę złamać mojej przysięgi.” Posłowie się oddalili; lecz nowe postanowienie rady zwolniło Franciszka Foscari od wykonywanéj przez dożów przysięgi, wyznaczono mu dwa tysiące dukatów dożywotniej płacy i oddalić mu się kazano z pałacu w ciągu dni trzech. Szlachetny starzec nowy wyrok przyjął z pogardliwym uśmiechem. „Gdybym był mógł przewidzieć, rzekł do tych, którzy mu ogłosili, że starość moja ciężarem będzie krajowi, naczelnik rzeczypospolitej nie byłby się nigdy okazał dosyć niewdzięcznym, ażeby przekładać godność swoją nad ojczyznę; lecz pragnąłem to życie, tak długo użyteczne krajowi, do ostatniego tchnienia mu poświęcić. Ponieważ wyrok już wydano, więc jestem mu posłuszny.“ Jeden z dziesięciu ofiarował mu kilka dni*

z włoki do opuszczenia pałacu. „To niepotrzebne, z żywością odpowiedział Foscari; po takim wyroku, żadnej już łaski żądać nie mogę. Oto pierścień książęcy, oto korona; teraz morze Adrjatyckie jest wolnym, innego może sobie obrać małżonka.“ Iporywając kulę swoją, rozkazał służbie, aby się za nim udała. Lud, widząc nieszczęśliwego Franciszka Foscari, schodzącego z wielkich schodów bez orszaku; chwiejącego się z osłabienia, opadłego na ręce brata prawie tak starego jak on; lud zaledwie powstrzymał oburzenie swoje na tak straszne postępowanie z starcem, którego tyle kochał. Jednak, ponieważ rada Dziesięciu, wzbroniła pod karą śmierci głoszenia zdania o tém co się stało, poprzestano na głuchém szemraniu.

Wkrótce (dnia 20 października 1457 r.) czterdziestu jeden wyborców dało głosy swoje Pascalowi Malipieri, prokuratorowi ś. Marka; lecz Foscari nie dożył tego upokorzenia, żeby żyć jako poddany tam gdzie panował: skoro usłyszał dzwony ś. Marka oznajmujące o mianowaniu jego następcy, śmiertelne zimno przejęło jego żyły i umarł tego samego dnia. Rachunek został załatwionym; Jakób Loredano mógł napisać w księgach swoich, zwykłą formę: *na pagato* (*zapłacono*).

Doszliśmy epoki, w której zwykle mieszczą zaprowadzenie inkwizycji stanu, chociaż dzień téj zmiany w rządzie rzeczypospolitój nie jest dokładnie oznaczony: gdyż dziejopisowie weneccy unikali zawsze mowy o tym strasznym trybunale. Wiktor Sandi początek jego odnosi do roku 1539; inni mieszczą go w początku XIV wieku, zaraz po utworzeniu rady Dziesięciu; nakoniec są tacy, którzy w wyrokach wydanych w latach 1411, 1412 i 1432, widzą pierwsze zarody. W czasie panowania francuzkiego w Wenecji, wysokie położenie zajmowane przez p. Daru, dozwoliło mu przejrzeć główne krajowe papiery, a rękopism uchwały datowany w dniu 16 czerwca 1454, uważać mu kazał zdania poprzedzające jako błędne. Uchwała ta zawarta jest w następujących słowach... „Zważywszy użyteczność nieustającej instytucji rady Dziesięciu i trudność zebrania jój we wszystkich okolicznościach wymagających jój wdania się, upoważniamy ją do wybrania z pomiędzy siebie trzech członków, z których jeden wziętym być może z radców doży, celem wykonywania, pod nazwą inkwizytorów stanu, nadzorów i wymierzania sprawiedliwości karnój, które jój samój są powierzane.“ Po takim dowodzie, każde wcześniejsze poszukiwanie staje się bezużytecznem; gdyż mniej zależy na tem,

żeby wiedzieć czas, w którym instytucja ta zaprowadzoną została, aniżeli poznać jój urządzenie i postępowanie. Była to władza nieustająca, ponieważ zamiary ambitne, mogą być obmyślane, doprowadzane, zawieszane, znów przedsiębrane; była ona tajemniczą, ponieważ zbrodnie, które tam karać miano popelniają się w ukryciu; miała liczną służbę ogólną, ponieważ o wszystkim wiedzieć była powinna.

Inkwizycja stanu składała się z trzech członków, z których dwaj wybrani z pomiędzy rady Dziesięciu, a trzeci z doradców doży: pierwszych nazywano *czarnymi*, ponieważ Dziesięciu nosili suknie czarne, trzeciego *cz czerwonym*, gdyż radcy doży ubierali się czerwono. Władza ich trwała przez rok jeden. Posiadając atrybucje Dziesięciu, mogli występować przeciw wszystkim, bądź to prywatnym, bądź urzędnikom; żaden stan nie nadawał prawa uniknienia ich jurysdykcji; mogli wydawać wyrok śmierci, nawet przeciw członkom rady Dziesięciu; przeciw każdemu nakoniec, ktoby na nią zasłużył. Ofiara topioną była potajemnie w kanale Orfano: rozrządzali również *studniami* i *ołowiami*<sup>1)</sup>. Trybunał ten miał prawo wydawać rozkazy wszystkim rządcom prowincji i osad, wszystkim generałom, posłom rzeczypospolitej przy głowach koronowanych; i rozporządzenia, i wszelkie od niego wychodzące polecenia, pisanymi były przez jednego członka, potem zamykane w szkatułce, od której klucz noszono z kolei, ażeby zasięgać rady w razie potrzeby. Sposób postępowania inkwizycji był zawsze tajemnym; utrzymywała ona wielką liczbę *obserwatorów*, wybieranych między szlachtą, mieszczaństwem, ludem, duchowieństwem i rzemieślnikami zbrojnemi: czterech takich *obserwatorów* znajdowało się, niewiedząc jedni o drugich, przy dworach posłów zagranicznych, ażeby zdawać sprawę o wszystkim co się działo. Ci którzy należeli do szlachty, obowiązani byli donosić o tém co się działo w zgromadzeniach tego stanu. Szlachcic, który źle mówił o rządzie, ostrzegany był dwukrotnie, żeby był ostrożniejszym; za trzecim razem wzbraniano mu wniknięcia do wielkiej rady i miejsc publicznych: jeśli jeszcze nie był posłusznym, lub nowe popełniał przewinienia, topiono go jako niepoprawnego. Jeśli rzemieślnikjaki, przeniósł się za grnicę i nie powracał na wezwanie, rzucano krewnych jego do więzienia, którzy stamtąd wychodzili dopiero po jego powrocie, lub kiedy winny z po-

<sup>1)</sup> *Studnia*, więzienie podziemne do połowy zalane wodą. *Ołowie*, więzienia nad dachem stawianym znajdujące się.

lecenia trybunału zamordowanym został. Jeśli w skutek przewinienia, który patrycjusz szukał schronienia w pałacu ministra zagranicznego, zabijano go bez żadnej zwłoki; jeśli na wielkiej radzie członek który przemawiał przeciw władzy Dziesięciu, dozwolono mu mówić bez przerywania, ale wprędce zostawał aresztowanym, co prawie znaczyło wyrok śmierci. Jeśli który z posłów rzeczypospolitej otrzymał inne dary od dworu zagranicznego, aniżeli te które deklarował, inkwizytorowie stanu wytaczali mu proces. Jeśli skarga wniesiona została przeciw naczelnikowi rady Dziesięciu, zbadanie sprawy do tegoż należało trybunału, który przybierał jeszcze trzech członków z swój rady, a w razie jeśli kara śmierci wyrzeczona zostawała, trucizna zajmowała miejsce innych używanych środków. Tak samo działo się z dożą. Ludzie wykonywający ten straszny urząd również nie byli zasłonięci przeciw przerażeniu jakie sami wywoływali: jeśli jeden z nich

popęlnił ważną jakowąś zbrodnię, dwaj jego towarzysze, z przyzwaniem zastępcy, sędzili go i skazywali bez litości.

Widzimy, że od ostatniej głowy w kraju, aż do głowy zdobnej koroną doży, wszystko ulegało despotyzmowi, ciągłemu śledzeniu, strasznym groźbom tajemnych inkwizytorów. Postęp cywilizacji, spokojność w jakiej się Wenecja znajdowała, zaprowadziły wprawdzie złagodzenia w ustawach tego trybunału; lecz charakter jego tajemniczy nie zatarł się wcale; nie przestał on być najwyższym sędzią we wszystkich sprawach krajowych, wreszcie często spotyka badacz dziejów sposobność dojścia jego czynów i tem łatwiej przychodzi mu ocenić czyli zachował pierwszy system przerażenia i podstępności, lub czyli, porzestając na pozyskaną sławę, wyrzekł się, oprócz kilku rzadkich wyjątków, ucisku ludu, który w nadużyciach rozkosznych, zatopił wszelką chęć powstawania. (D. c. n.)

## JĘDRZÉJ ZAMOJSKI

(Z DRZEWORYTEM).

Najtrudnijszém pisarza zadaniem, kreślić żywot meża społecznego. Mimo-to jednak, że tysiące namiętności tak nieodłącznych od usposobień ludzkich, pozwala w jednych razach biało, w innych znów zdarzeniach, każe czarno widzieć jedną i tę samą częstokroć osobę; mimo licznych okoliczności chwilowych, już-to gorących, już więcej oględnych, a więc rozważniejszych, nakazujących dane indywidua wznosić na piedestał uwielbienia lub je stawiać równo z ziemią; mimo różnobarwnych zdań dziennikarskich i niekiedy równie efemerydalnej opinii wielu, wszystkich, lub niektórych tylko; — koniecznie wypada oddać cześć należną charakterowi prawemu, cnocie niesplamionej i zawsze na jednej podniosłości stojącemu imieniowi. Nie we wszelkich razach i nie wszyscy ludzie jednakowo mogą występować; — nie jednakowym trybem, nie w każdej epoce życia i nie jednymi drogami idą lub rozwijają się zasady albo wyobrażenia człowiecze. Ale kto zawsze jest jednaki, mimo otoczeń; kto w starszym wieku jest tychże przekonań, jakie wyszał z łona matki; kto posuwa się z duchem czasu i postępowych idei, choć o tyle przynajmniej, o ile mu wychowanie i nawyknięcia dozwalają; choć nie robi może tyle co inni, choć mógłby w danych razach działać inaczej; — ale zawsze

już dobrze kiedy czyni tyle, ile może; kiedy nie odsuwa ręki od niczego, cokolwiek pożytecznym dla społeczności sądzi. Prawdziwemi są słowa Jana chrzciciela poezji polskiej:

„Czyn każdy w swém kółku, co każe duch boży,  
A całość — sama się złoży.”

Rzuciliśmy tych kilka ogólników do *nikogo* osobicie ich niestosując, lecz tylko pragnąc wystawić trudność położenia żywotopisarskiego; usiłując wykazać w kilku aforyzmach jak różnostronne bywają zwroty umysłowości i sądzących i sądzonych.

Życiorys zaczynamy trybem zwyczajnym, pospolicym, zostawując samym czytelnikom tłumaczenie. Andrzej hr. Zamojski, syn ordynata Stanisława i Zofii z książąt Czartoryskich, urodzony w Wiedniu równo z początkiem wieku bieżącego, ma dziś lat przeszło sześćdziesiąt. Nauki pobierał w Paryżu, Genewie i Edynburgu. Szczególniej przykładał się do matematyki, inżynierii cywilnej i wojskowej. Skończywszy wychowanie naukowe około roku 1817, uważał za konieczny obowiązek, wróciwszy do ojczyzny, zwiedzić rozmaite strony kraju naszego, aby poznać tę ziemię, na której acz się nie wychował, ale do niej i duszą i ciałem należał. W 1822 roku wstąpił jako



Andrzej Zamojski.



urzędnik do byłego Ministerium Spraw Wewnętrznych i Policji, a dosłużywszy się stopnia referendarza Stanu, pełnił obowiązki Dyrektora Wydziału Przemysłu od r. 1828 do 1830 włącznie.

Osiadłszy na wsi w Lubelskim, w Klemensowie <sup>1)</sup> nowo-wynajdywane narzędzia rolnicze zaprowadzał; rasę ulepszoną koni, szczególnie angielskich, rassy bydła, oraz najrozmaitsze odkrycia rolnicze starał się przywozić w gospodarstwie do wykonania tytułem próby. To zachęcało sąsiadów. W dobrach swych Jadowie (w Stanisławowskim niedaleko Warszawy), osadził byłego profesora Uniwersytetu Warszawskiego ś. p. Garbińskiego, który, również ulepszając zagony rodzinnej ziemi, starał się z niej wszelkie możliwe pożytki wyciągać, czynszując włościan i do lepszego przez to doprowadzając ich bytu. Takie czynne zajęcie się uprawą tego, na czém w ogóle bogactwo narodowe zależy, stawało się powodem, iż chciano powszechnie zbliżyć się do osoby umiejaczej tak przeważne wyrobić sobie stanowisko w sztuce gospodarowania, do której wzory zewsząd były czerpane.

Otwarły się staropolskie gościnności progi, i poczęto odbywać rokrocznie w lipcu zjazdy Klemensowskie od 1843 roku, które, ogólnemi rozprawami i niejako praktycznym zastosowaniem popierać miały teorie głoszone w piśmie czasowem pod nazwą *Roczników gospodarstwa krajowego*. Pierwszy prospekt w r. 1842 na ten dziennik podpisał jako odpowiedzialny redaktor ś. p. Koncewicz, ale rzeczywistym kierownikiem literackim był ś. p. Garbiński niegdyś profesor Uniwersytetu Warszawskiego, a wydawcą i sternikiem rzeczy pod względem technicznym, gospodarskim i przemysłowym szczególnie od 1847 roku stał się A. hr. Zamojski. I nie był to czezy tytuł tylko. Spotykamy tu bowiem przeszło sześćdziesiąt artykułów pióra samego redaktora głównego, bo takimby nazwać można Jędrzeja Zamojskiego. Do oryginalnych prac wydawcy *Roczników*, o którym mówimy, należą:

Kilka prawd z ekonomii politycznej czyli gospodarstwa krajowego (1848).

O zakładach dobroczynnych w kraju naszym (1850).

Aforyzmy z nauki gospodarstwa krajowego (1840).

Zjazd kr. Rolniczego Towarzystwa w Anglii, dnia 20 lipca 1847 r. w Northampton (Rocz. z 1849 r.)

<sup>1)</sup> Klemensów z kilku folwarkami ordynacyi Zamojskiej, w dzierżawie przez długi czas przeciąg trzymał hr. Jędrzej Zamojski.

O postępie (w roku 1853 Rocz. gosp. kraj. wyd. p. Towarzystwo Roln.

O własności i dzierżawie ze względu na włościan naszych (1848).

O Magazynach gromadzkich, o kassach oszczędności, a zarazem i o kassach pożyczkowych (tamże).

Jak mieć dobrych i wypłatnych czynszowników?

O szkołach rolniczych wiejskich (1849).

Oczynszowanie włościan pańszczyźnianych (1846).

Kształcenie zdatnych robotników przed wyjściem z pańszczyzny.

Zasada dobrze pojętej spółki, na podziale pracy opartej, do chowu koni w Polsce zastosowana.

O chemii rolniczej (1844 i 1849).

Żegluga parowa na rzekach naszych (1848).

O torfie; — O chorobie kartofli; — O mleczości krów; — O potrzebie pomnożenia produkcji włókna (1855 r.)

Umowy dzierżawne (1856).

O kontraktach dzierżawnych.

O najmie w pakt czyli o dzierżawie na inwentarz (w T. XXVII Rocz.)

Rys gospodarstwa rolnego w Anglii, Szkocji i Irlandyi; kongres ekonomiczny w Brukselii i t. d. Mnóstwo artykułów tłumaczonych, po większej części z angielskiego, opuszczamy. Nadto hr. Zamojski przełożył także z angielskiego obszerne dzieło J. Sinclaira Baroneta pod tytułem: „Kodex rolnictwa i zarazem uwagi dotyczące ogrodów, sadów, lasów i plantacyj; z dodatkami wyjętymi z tłumaczenia Dombasla.” (Warszawa, T. I, str. 484. roku 1849. T. II. str. 568. r. 1856 z wielą tablicami).

Rząd zwracając uwagę, że istotnie redakcja *Roczników*, wpływa na postęp gospodarstwa krajowego, zezwolił na utworzenie Towarzystwa Rolniczego, którego prezesem od pierwszego posiedzenia w lutym 1858 aż do jego rozwiązania był hr. A. Zamojski. O zagajeniach jego nie mówić nie będziemy, odsyłając ciekawszych czytelników do drukowanych *Roczników*, które dotąd wychodzą bezprzestannie.

Zamojski, nabył w roku 1848 zaprowadzone przez Guiberta statki parowe, i za ich pośrednictwem uorganizował żeglugę na Wiśle frachtową i passażerską, oraz następnie założył własne warsztaty budowy statków i machin parowych. Przedsiębiorstwo podobne, tém jest zaszczytniejsze dla hrabiego, iż prowadzone było z całą energją dotąd nieustającą, mimo wielkich a niepowrotnych jeszcze nakładów jakich ciągle potrzebuje.

## CZÉM CZŁOWIEK ŻYJE?

Jeżeli zapytamy się uczonego, co go pobudza do rozmyślenia w swojej samotnej izdebce zdala od wszelkich przyjemności życia nad oderwanymi zagadnieniami? — żołnierza, dla czego on z upodobaniem w prochu i pocie odbywa gorzką szkołę nowozacieżnego, — zabiegliwego kupca, w jakim celu stara się on od rana do wieczora swoją czynnością zrównać na ziemi potrzebę i dostatek? — jeżeli nawet zbrodniarza będziemy badać o przyczynę skłaniającą go do narażania się zuchwale na śmierć haniebną, otrzymamy od wszystkich jedną odpowiedź, która w gruncie, po odjęciu ozdabiających sposobów mówienia, brzmi następnie: „Cóż robić, nie można inaczej; człowiek nie może żyć samem powietrzem.“ Taka odpowiedź każdego objaśnia, a srogi kryminalny sąd tak dalece o słuszności takiej mowy jest przekonany, że w pewnych przypadkach głód przyjmuje jako wzgląd łagodzący.

Tu wchodzi badacz przyrodzenia, człowiek niewygodny, niechęący uznać żadnej powagi, na niczem nie polegający czego się własnymi rękami dotknąć nie może i mówi: „O wy głupi ludzie, wszakże człowiek może żyć powietrzem, a nawet żyje on wcale niczem innym tylko powietrzem.“ Teologowi wyda się to bardzo zarozumiałą mową i z gniewem ostrzega on: „Człowiecze, myśl o swym końcu, jesteś prochem i musisz się kiedyś znowu w proch obrócić.“ — O co za głupstwo! śmieje się badacz przyrody „osobliwsza byłaby to przemiana pierwiastków! my pochodzimy z powietrza a przy ostatecznym naszym rozkładzie znowu wracamy do powietrza.“ To znowu gorszy moralistę i zdaje mu się że potrafiłby raz jeszcze ten zarzut „powietrznego naboju czyli torby wiatru“ podnieść do zaszczytnego tytułu wszystkich ludzi. Tu zastanawia się badacz natury. W gruncie nie chciałby się on wcale poróżnić z tym i pobożnymi panami. Lecz już raz wyrzeczonym został paradoks niechże patrzy żeby go usprawiedliwił.

Czém właściwie żyje człowiek? Odpowiedź na to brzmi bardzo rozmaicie. Guacho ujeżdżający z bojaźną zwinnością swego na pół dzikiego konia po szerokich pampasach Buenos-Ayres, wywijający swoim *lasso* lub *bolas* dla złowienia strusia, guanako lub dzikiego byka, zjada codziennie 10 do 12 funtów mięsa a za wielkie święto uważa gdy mu się kiedy

nadarzy hacienda na zmianę dostać kawałek dyni. Wyraz chleb nie wszędzie się znajduje w jego słowniku. Przeciwnie z wesołą lekkomyślnością po mizolnej pracy Irlandczyk używa swoich „potatocs und point” on, który nawet w tem nazwaniu skąpego swego jadła nie może się wstrzymać od żartu. Mięso jest dla niego obcą myślą a ten już jest szczęśliwym, któremu uda się cztery razy na rok użyć na zaprawę mączastego wyrostka, śledzia. Strzelec amerykańskich Prairies pewną swą kulą zwałił Bizona, a soczysty tłuszczem obłany garb jego upieczony na gorących kamieniach jest dla niego niczem nie wynagrodzonym przysmaczkiem; tymczasem przemyślny Chińczyk niesie na targ pięknie na białych kijach nawieszane, starannie utuczone szczury, będąc pewnym że pomiędzy chińskimi łakotniami znajdzie dobrze mu płacących kupców, zakopany zaś w swojej parnej, zadymionej pod śniegiem i lodem prawie zagrzebaniej chatce *Grenlandczyk* pożera swoją słoninę, którą on ciesząc się z kosztownego połowu wykroił z wyrzuconego na brzeg wieloryba. Tu czarny niewolnik smokcze trzcinę cukrową i zajada ją z swoim bananem. tam afrykański kupiec napełnia swą torbę słodkimi daktylami jako jedyny pokarm na kilkotygodniową podróż w pustyni, tam zaś *Siameczyk* napycha się mnóstwem ryżu od któregoby Europejczyk z przestachem cofnął się. I gdzie tylko na zamieszkałej ziemi wstąpimy i zażądamy gościnności, na każdym prawie miejscu inną nam zastawią potrawę a „chleb powszedni“ w innej podadzą postaci.

Lecz, ośmielmy się zapytać czy rzeczywiście człowiek jest tak ruchliwą istotą że podobnym sposobem z najrozmaitszych pierwiastków budować może widzialne mieszkanie swego ducha, lub też czy wszystkie te rozmaite środki życia zawierają jedną lub kilka podobnych materij udzielających właściwie człowiekowi jego pokarmu? Wszakże to ostatnie ma miejsce.

Wszystko co tylko nas otacza, składa się z niewiele bo zaledwo z 53 zasadniczych materij czyli pierwiastków, które chemja stopniami odkryła. Z pomiędzy nich szczególnie tylko *cztery*, biorą jedynie prawie istotny udział w złożeniu tego co się na ziemi nazywa organizmem żyjącym: *Saletroród* i *kwasoród* stanowią dwie najważniejsze składowe części



czystego atmosferycznego powietrza, *kwasicoród* i *wodoricód* są dwoma pierwiastkami, z których połączenia powstaje woda; *węgloricód* i *kwasicoród* w połączeniu swoim na kwas węglowy (tak nazwane stałe powietrze) w grocie psiej (Grotta del cane) przy Neapolu i w jaskini przy Pyrmoncie są męczarnią dla biednych psów; nakoniec *saletroricód* i *wodoricód* składają amoniak, tak nazwany spirytus amoniakowy, jestto rodzaj powietrza wydobywający się w wielkich ilościach z pastwy podziemnego ognia wulkanów. — Otóż mamy cztery pierwiastki kwasoricód, wodoricód, saletroricód i węgloricód, które połączeniami swoimi tworzą wszystkie te substancje z których się składają rośliny i zwierzęta: z nich wodoricód, kwasoricód i saletroricód, są rodzajami powietrza czyli gazami, węgloricód zaś jest ciałem stałym który w stanie skryształizowania nazywany *dyamentem*. Wspomnimy tu także razem o najważniejszym i najpowszechniej w przyrodzie rozszerzonym połączeniu tych pierwiastków, to jest o zwyczajnej płynnej wodzie, która także w wielkiej ilości jako para zawiera się w powietrzu, dalej o kwasie węglowym i amoniaku, oba znajdujące się w atmosferze jako gazy. Całe rozważanie życia zwierząt i roślin polega na rozważeniu tych trzech połączeń wspomnianych czterech pierwiastków. Atmosfera nasza zmieszana jest z  $\frac{1}{3}$  saletroricodu, i  $\frac{1}{3}$  kwasoricodu, do tego wchodzi kwas węglowy około  $\frac{1}{2000}$  i gaz amoniakowy w niedokładnie jeszcze oznaczonej ilości. Od czasu jak się nauczono poznawać przez *Priesteja* kwasoricód i pojmować jego znaczenie przy oddychaniu, sądzono że można wnioskować o dobroci powietrza według udziału w nim kwasoricodu. Powstała osobna nauka *Eudyometrya* skierowana głównie do zbadania w powietrzu stosunku kwasoricodu i saletroricodu, metody nabyły wielkiej zręczności i dokładności, i do tyła znaleziono że powietrze, wszędzie gdzie go badano do tysiącznych części, znaleziono zupełnie jednakowo złożonym. Lecz zbyt pośpiesznie z tego stałego składu atmosfery wyciągnięto wnioski względem procesu życia roślin i zwierząt. Atmosfera nasza albowiem według obliczenia Schmidta zawiera około 2,551,586 biljonów funtów kwasoricodu, roczne zużycie jego przez oddychanie wszystkich ludzi i zwierząt i przez ogólne processa palenia wynosi około  $2\frac{1}{4}$  biljonów funtów, a zatem w przeciągu sto lat 220 biljonów funtów czyli jeszcze nawet i dziesięciotysięcznej części. Zmniejszenia tak małej ilości nasze narzędzia i wtenczas nawet by jeszcze nie wykazały gdy już od kilkuset lat równie dokładnie

jak teraz były wypracowywane i używane. Lecz daleko większej dokładności w oznaczeniu proporcji węgloricodu w powietrzu dopuszczają nasze metody i dla tego daleko pewniejszą podają rachubę (użyteczniejszą jak się później pokaże do tychże samych wniosków) i tak: człowiek przy oddychaniu na każdy cal kubiczny kwasoricodu wyziewu, kubiczny cal węglowego kwasu i taż sama zamiana ma miejsce przy processach palenia. Według powyższego przypuszczenia musiałyby przeto w przeciągu 5000 lat być wyzioniętych w powietrze około 15,000 biljonów funtów kwasu węglowego jeżeli nadto nie uwzględnimy ogromnych ilości które corocznie wydają wulkany. Następnie musiałyby kwas węglowy w powietrzu mieć się do kwasoricodu jak 1: 200, gdy rzeczywiście stanowi on tylko tego połowę, a gdy porównamy wypływy z wulkanów w podobnejże ilości, tylko czwartą część tego. Ztąd się pokazuje że gdziekolwiek musi być process za pomocą którego kwas węglowy ujmuje się z atmosfery i przenosi się w inne połączenia.

Kwas węglowy ma własność łatwego łączenia się z innymi pierwiastkami a szczególnie z węgloricodem i wodorodem, sprawa którą chemik nazywa *paleniem się* chociaż przytem nie mają miejsca zjawiska światła; przy którym jednak dobywa się w stosunku do zużytego kwasoricodu zupełnie oznaczona ilość ciepła. Przeciwnie zaś Saletroricód ma bardzo małe powinowactwo do innych materyj, wcale prawie nie pali się i łączy z wodorodem dla utworzenia amoniaku.

Cztery wspomniane żywioły wzajemnymi połączeniami z sobą tworzą liczne materye, lecz dla świata organicznego dwa tylko ich rzędy mają głębsze znaczenie. Jeden szereg obejmuje materye złożone ze wszystkich czterech pierwiastków. Tu należą *Białko*, *Włóknik*, *pierwiastek serny* i *klej*. Z tych pierwiastków utworzone jest całe zwierzęce ciało, a będąc od niego oddzielone, gdy je życie opuści w krótkim czasie za pomocą gnicia przechodzą w wodę, amoniak i kwas węglowy rozszerzające się w powietrzu. Przeciwnie drugi szereg zawiera pierwiastki wolne od saletroricodu jakoto *gumme*, *cukier*, *krochmal*, i przygotowane z nich napoje, jak *spirytus*, *wino*, *piwo*, a nakoniec gatunki *tluszczów*. Te całkiem tylko przechodzą przez zwierzęce ciało, gdyż ich węgloricód i wodoricód są spalone przez przyjęty przy oddechaniu kwasoricód i jako kwas węglowy i woda powtórnie wyzionięte. Przez ten powolny lecz nieustannie odbywający się proces palenia się, utrzymuje się niezbędne dla życia ciepło.

Dowiadujemy się zaś ze świetnych odkryć nowszej

Chemii i Fizyologii, że ciało zwierzęce nie jest zdolne do składania lub też do tworzenia z innych pierwiastków wyjąwszy twarogu, koniecznie potrzebnych do swego wykształcenia i utrzymania pierwiastków jakoto białka, włóknika itd., że raczej zwierzę musi te pierwiastki już gotowo utworzone przyjmować dla użycia ich do karmienia, lub być w stanie przemienić je w pomoc przy utworzeniu kości na klój. Dla tego też słusznie białek, włóknik i twaróg nazywane są przez Liebiga wyłącznie *karmiąciami środkami* (Nahrungsmittel), nie mogą one być zastąpione żadnymi innymi materjami, a przy zupełnem ich wyłączeniu, ciało nieodzownie dąży do śmierci z głodu. Przytem muszą się też znajdować składowe cząstki wolne od saletrorodu, jakoby palny materiał na ognisku życia organicznego, a pierwiastki te które w zwyczajnem życiu nazywają się także środkami karmiąciami, Liebig bardzo stosownie mianuje nazwiskiem *środków oddechowych* (Respirationsmittel).

Jeżeli z temi wymaganiami jakie ciało zwierzęce robi pod względem swego utrzymania, porównamy proporcję roślin służących ludziom i zwierzętom jako środek pożywienia, znajdziemy we wszystkich roślinach, we wszystkich ich organach, rozpuszczoną w soku już to większą już mniejszą ilość białka. W nieocenionych darach Cerery, w ziarnach gatunków zbóż, pojawia się więcej lub mniej pewnej materji, którą wprzód oznaczano nazwiskiem *klajstru*. Liebig i Mulder dowiedli że ten ostatni całkiem prawie równa się mieszaninie klaju i zwierzęcego włókna. Nowsza Chemia w strączkowych jarzynach odkryła substancją którą według rodziny *Strączkowych*, w jakiej ją znaleziono nazwano *Leguminem*. Teraz z nowych poszukiwań wiemy że ten legumin w istocie niczem się nie różni od zwierzęcego *sérnego* pierwiastku. Prawdopodobnie że legumin i klajster lub też twaróg i włóknik w małych ilościach również znajdują się u większej części roślinnych komórek. Drugi szereg to jest substancje wolne od saletrorodu czyli środki oddechowe, niemniej powszechnie rozszerzone są w świecie roślinnym. Jeżeli przejrzymy wszystkie środki karmiące, które człowiek wybiera z pomiędzy roślinnego państwa, znajdziemy trzy grupy, z których pierwsza odznacza się wielką proporcją krochmalu. Tu należą *Cercalia* i *owoce strączkowe*, rośliny z wyrościami (knolle) kartofle, ziemniaki, maniok, yams i korzenie taroo, nakoniec rdzeniowe pnie cycadeów i palm wydające Sago. Druga gromada obejmuje owoce bogate w cukier i gumę, które nabywają z kwasów jabłkowego, cytry-

nowego i winnego właściwych im chłodzących własności, a z małej ilości aromatycznych pierwiastków swojej ostrości; z pomiędzy nich oprócz znanych u nas owoców mianowicie *daktyla*, *banan* i owoc chlebowy, dalej obfitujące w cukier łądygi mianowicie *trzcina cukrowa*, a nakoniec zawierające cukier i gumę mięsiste korzenie składające większą część naszych jarzyn; nakoniec trzecia klasa składa się z ziarn rozmaitych owoców zawierających olej, jak *orzech kokosowy*, *orzech chilijskiej sosny*, *orzech Para* i wiele innych orzechów i gatunków migdałów które w Europie po części służą jako dań głodowi, po części zaś jako bodziec dla podniebienia. Nakoniec przytém wyliczeniu nie powinniśmy zapomnieć o wszystkich biorących początek z roślinnego państwa napojach. Wszędzie prawie gdzie klimatyczne stosunki możebną uczyniły jej uprawę powędrowała za Europejczykiem *Winna latorośl*. Wina owocowe, piwo i winny spirytus są daleko rozszerzonymi napojami.

Rzeczywiście właściwe jeszcze psychologowi zachowane jest zadanie w tej ważnej okoliczności, że tak daleko jak rodzaj ludzki rozszerzonym jest na ziemi przy najwyższym szczycie jego wykształcenia, jakoteż w pierwszych początkach oświaty (z wyłączeniem może niektórych więcej do zwierząt niżeli do człowieka zbliżających się plemion) wszędzie także natrafia się użytek przechodzenia w stan podwyższonej umysłowej czynności który w wyższym i gorszym swoim objawie nazywa się opilstwem. Wino *Magney* czyli *Putque* Meksykanów, *wino palmowe* Chilijczyków, napój z *pożutego Maisu* u nadbrzeżnych mieszkańców Orynoko i rzeki Amazonki, nakoniec tatarski *Kumis* przygotowywany z końskiego mleka, o tyle równają się z naszymi napojami że w nich wszystkich wydobyty zapomocą fermentacji cukru lub krochmalu winny spirytus, jest pierwiastkiem upajającym. Całkiem nieznaną jest dla nas działanie *Cocca* liści pewnego amerykańskiego krzaku <sup>1)</sup>. Największy użytek peruwiańskiego *Muletero* (poganiacza mułów) zależy natem że on te liście żuje i tym sposobem przechodzi w stan rozmarzenia, w którym nie będąc pijanym przepędza dnie w słodkim, sztucznie wzbudzonem próżnowaniu i beczynności. Przeciwnie zaś pożeranie u mieszkańców północnej Syberyi *muchomorów*, palenie *opium* u południowych Azyatów, *Haszyszu* czyli wyciągu konopi u północnych i południowych Afrykanów, a nakoniec użycie

<sup>1)</sup> Erythronylon Coca. Lin.





napoju który sobie przygotowują południowi wyspiarze ze szczególnego rodzaju *pieprzu* <sup>2)</sup>, jest właśnie

<sup>2)</sup> Piper mithysticum Forst.

narkotycznym zatruciem które przy częstszym powtarzaniu bardzo prędko pociąga za sobą zniszczenie ciała.

(D. n.)

## ABISSYŃCZYCY.

(z ryciną kolorowaną.)

Od czasu dzielnego zdobywcy Kambyzesa, już kraj nilowych źródeł, Etyopia, przez swoje niewyczerpane skarby handlowe i swoich rozmaitych mieszkańców, był przedmiotem zajęcia tak sąsiednich jak i odległych krajów i pojedynczych badaczy. Już jako stolica starożytniej cywilizacji, Abissynia, która z Nubią i Kordofanem, stanowi to co starożytni nazywali Etyopią, jest od roku 330 po Narodzeniu Jezusa Chrystusa jedynym krajem Afrykańskim, w którym pośród bałwochwalców i fanatycznych Mahometan rozszerzyła się nauka chrystjanizmu. Abissynia albo Habesz jak ją nazywają Arabowie, obejmuje trzy kraje: Amhara, Szoa i Tygrys, wielkością wyrównywa całym Niemcom, ma bowiem 11000 mil kwadratowych i rozciąga się według powszechnie przyjętych podań od 16 do 17 stopnia szerokości północnej, a od 51 do 60 długości wschodniej. Ludność którą trudno ściśle obliczyć, podają na 4 do 5 milionów dusz.

Pierwszym, który o Abissynii podał gruntowne wiadomości, był Bruce, który po dwuletnim pobycie w Amhara, kraj ten obszernie opisał. W ostatnich czasach wielu Anglików i Niemców zwiedzało te kraje i dziś mamy dość dokładne ich opisy.

Abissyńczycy w ogóle stanowią rasę rosłą i piękną, z rysami twarzy prawie europejskimi, z cerą brunatną, orzechową albo jasno-miedzianą, ale najpospoliciej tyle tylko ciemną, że nie odbija zbyt ostro od wielkich pięknych oczu, chociaż i świetnie czarna płeć nie rzadko się trafia. Wyraz *habeszi* znaczy pierwotnie *lud zmieszany*. W żadnym pokoleniu albo okręgu nie ma zupełnie jednostajnej barwy skóry, i nieraz obok prawie białego brata, można tu spotkać hebanowo-czarną siostrę i odwrotnie wiele młodych kobiet Abissynii, pod względem kształtów ciała i rysów twarzy, policzyć można do najpiękniejszych w świecie. Chociaż rysy ich zbliżają się do typu arabskiego, spotykamy jednak nie rzadko twa-

rze, nadzwyczajnej piękności, z delikatnymi rysami które w niczem nie ustępują greckim wzorom. Włosy czarne, kędzierzawe, ale niepodobne do wełny jak u negrów, albo zapuszczają zupełnie i wtedy one sterczą w górę kędzierzawo, albo splatają z nich warkoczki w tył zwrócone i w około spadające na szyję, lub nawet niekiedy gołą głowę zupełnie. Włosy zapuszczone grubo smarują masłem, które po niejakiem czasie niezmiernie nieprzyjemną woń wydaje, tu bowiem nie znają innego użytku wody prócz do picia i o myciu nią ciała i głowy ani pojęcia nie mają.

Obie płcie chodzą z odkrytą głową i bez obuwia. Duży kawał tkaniny bawełnianej zwany szamma jest główną częścią ubrania wszystkich stanów, używaną zarówno przez książąt jak i najuboższych mieszkańców. Kobiety tylko bogatsze używają szammy, uboższych ubraniem jest gruba koszula. Noszą się przytém krótkie od pól lędźwi do kolan sięgające pantalony przytrzymywane pasem. Przy ostrój porze roku na szammę zarzuca się jeszcze skóra barania z wełną. To jest w ogóle ubranie każdego Abissyńczyka, nie wyłączając żołnierzy którzy odróżniają się tylko sposobem noszenia szammy. Jedynie duchowni nakrywają głowę, niekiedy bardzo dziwnym turbanem.

U ludów Abissyńskich używane są trzy języki: Galla podzielony na rozmaite narzecza, Tiger będący mieszaniną Arabskiego, Etyopskiego i Koptyjskiego, i Amhara język panujący, używany przez księcia i władze, najbardziej zbliżony do Etyopskiego i zawierający małą tylko liczbę wyrazów arabskich. Tym językiem pisane są wszystkie książki i kroniki. Piszę się nim tak jak w naszych zachodnich językach, od lewej ku prawej.

Co do religii, większość Abissyńczyków uważa się za chrześcian. Retter nazywa ten kraj wyschłą wyspą chrystyanizmu na Oceanie islamizmu i pogań-

stwa. Chrystyanizm został tu wprowadzony w czwartym wieku naszej ery, jak podanie utrzymuje, przez synów kupca europejskiego, Meropiusza, który rozbił się z swoim statkiem przy brzegach Abissynii i znalazł śmierć w morzu. Synowie jego Frumencyusz i Edezyusz dostali się jako niewolnicy na dwór królewski, ale z powodu zdolności i umiejętności które temu krajowi wielką korzyść przyniosły, otrzymali wolność, a później doszli do niezmiernego wpływu. Zaczęli oni głosić zasady chrystyanizmu, które wkrótce dwór przyjął, a za nim wielka część ludu. Frumencyusz pojechał następnie do Alexandryi, został tam przez patriarchę Atanazyusza na biskupa poświęcony i za powrotem założył mnóstwo kościołów w Abissynji.

Chrystyanizm Abissyńczyków jest dzisiaj dziwną mieszaniną zastarzałych obrzędów i dogmatów najrozmaitszych religii. Zamierzone w siedemnastym wieku wciągnięcie Abissynii pod władzę kościoła rzymskiego, nie przyszło do skutku. Nabożeństwo odbywa się przed wschodem słońca i zasada się na śpiewaniu psalmów, poczem kapłani przyjmują wieczrę pańską. Kazań nie bywa wcale. Na nieszczęście nie można powiedzieć, żeby chrześcianizm taki jak go widzimy u Abissyńczyków, wywierał zbawienyny wpływ na obyczaje i wyobrażenia moralne tego ludu. Abissyńczycy umysłowo i moralnie stoją daleko niżej od Arabów. W przemyśle także bardzo niskie zajmują stanowisko i nie umieją naprzykład ani porządnej łodzi zbudować ani nawet belki dobrze ociosać. Tylko tamtejsi żydzi zajmują się obrabianiem żelaza, tkactwem i budowaniem domów. Są oni pracowici, porządni, uczciwi i stanowią najużyteczniejszą część ludności. Mahometanie, stanowiący stan kupiecki w Abissynii, znajdują się we wszystkich jej okolicach. Są oni dla swojej religii tak obojętni, jak tamtejsi chrześcianie i tak nie znają koranu, jak ci nowego testamentu. Wielka część ludności zostaje w pogaństwie, szczególnie Gallasy, którzy jak wielka część negrów oddają cześć fe-tyszom.

Abissynia jest państwem oddawna upadłym. Namiestnicy, *Ras*, są niezawisłymi od Negusa, czyli wielkiego Króla Gondaru, potomka dawniej rodziny panującej ale bezsilnego jak padiszach Timuridów w obec zbuntowanego bengalskiego żołdactwa. Cesarskie miasto Gondar liczące zaledwie około 6,000 mieszkańców, jest w pół opustoszałym, a pałac królewski w połowie w gruzach leży. Domy po największej części kamienne pokryte są słomą albo trzcina-

a ulice ciasne i brudne. Cyrkuł chrześciański z zamkiem królewskim, kościołami i klasztorami, wieńczy górną część pagórka, u stóp którego rozwija się cyrkuł mahometański. Domy Adowy, stolicy Tygru rozsypane są nieregularnie około kościołów zbudowanych na pagórkach. Mają one podobnie jak kościoły kształt stożków, który jest charakterystyczną formą budynków w całej Afryce. Zwykle w takim domu jest tylko jedna stancya, służąca na wspólne mieszkanie ludziom i bydłu. Niekiedy we środku znajduje się jeszcze okrągły apartament, w którym tylko gospodarz z ulubionym długouchym wierzchowcem mieszka; kobiety nie żyją, ale wegietują, w przedsieniu wśród bydła i nieczystości. Ciemno jest w tych mieszkaniach, bo najmniejsza szpara starannie zatykaną jest iżby nie wpuszczała światła słonecznego, i tylko dym kuchennego ogniska ma szczupłe wyjście w dachu.

Jedynym zatrudnieniem mężczyzn jest rolnictwo. Gałęź opatrzona ostrym hakiem, ciągniona przez dwa woły, służy za pług; siew odbywa się w czasie peryodycznych deszczy, a po ich ustaniu kobiety odbywają żniwa. Gdzie nie brak wody, tam przez cały rok można siać i zbierać. Sierpów i kos nie znają; zboże wrywane jest z ziemi. Ziarna tłuką na mąkę między dwoma kamieniami, a bieliznę piorą depcząc ją nogami.

Najzwyczajniejszym jadem jest chleb który maczają w pieprznej polówce; mięso wołowe jedzą surowe, używają także za pokarm mleka i masła, ale sera nie znają wcale. Twierdzenie kilku podróżnych, że niekiedy żywym wołom odrzynają kawały mięsa i zjadają je, nie zdaje się być zmyślonem. Sądząc po tém co p. Harris widział w roku 1842, można wierzyć tym opowiadaniom. Sześciuset wieśniaków z okolicznych wsi, pracowało w Angelolla, stolicy kraju Szoa, dla króla i spędziło noc na otwartem polu, spoczywając na nagiej ziemi. Zgłodniiali zaczęli wołać z rana Abul! Abul! (panie! panie!) ale napróżno. Nakoniec ulitowało się nad nimi poselstwo angielskie i kupiwszy kilkanaście sztuk wołów oddało im do zarznięcia. Natychmiast liczne gromady obkoczyły pojedyncze woły, krzyząc przeraźliwie i chwytając za rogi, nogi i za ogon; silne zwierzęta waliły po kilkunastu w około na ziemię, ale głodni wieśniacy nie dali się ustraszyć i wierzgające i szarpiące się woły zostały na ziemię powalone. Dwadzieścia krzywych noży błysnęło z pochw, a głodni wieśniacy posiadali na leżących wołach, czekając dopóki im krew nie ujdzie, poczem zaczęto

krajać mięso i ciepłe jeszcze kawały surowo były pożywane; tak że po kwadransie z wszystkich wołów pozostały tylko rogi, kopyta i kości.

Małżeństwa zawierane bywają w Abissynii bez wielkich ceremonii i również łatwo następuje rozwiązanie małżeństwa. Narzeczeni oświadczają przed księdzem swój zamiar połączenia się, biorą przytém kommunją i dają suty obiad i na tém rzecz się kończy. Trzy razy tylko wolno się żenić, poczem potrzeba albo mnichem zostać albo wrócić do której z poprzednich żon. Kobiety są tam bardzo lekko-myślne, ale mimo to tak zazdrośnemi okazują się względem swoich mężów, że w razie niewierności zadają im powolną ale nieochybnie zabijającą truciznę, w której przyprawiania bardzo są biegłe. Dzieci z pierwszej żony w razie drugiego małżeństwa bywają zwykle wyrzucane na ulicę, lub przedawane handlarzom niewolników, przez co jednakże lepszy los nieraz znajdują niż gdyby pozostały w domu. Matki są bardzo przywiązane do swoich dzieci dopóki są małe, później atoli zostawiają je samym sobie. Skoro tylko dorosną, używane są do pilnowania trzody, a później chłopcy wchodzą w służbę u zamożniejszych.

Kto w Abissynji nie chce pracować, albo bardzo jest ubogi, zostaje żołnierzem i tym sposobem bogaci mogą łatwo przyjść do potęgi i władzy. Broń żołnierzy, którzy ubiorem nie różnią się wcale od innych mieszkańców, składa się z krzywój szabli wązkiej przy rękojeści, szerokiej w środku i zakończonój szpiczasto. Jest ona obosieczna i tak ostra, jak najlepsze brzytwy, doskonała to broń do ścinania głów, ale też do niczego więcej. Przytém używają lanc z szerokim i bardzo ostrym żelazem. Większa część żołnierzy ma tylko te dwa rodzaje broni i tarczę zrobioną ze skóry hipopotama. Szabla w skórzannój pochwie przywieszoną jest na prawym boku i dla tego abissyńczyk wsiada z prawej strony na konia. Mała tylko część wojska zaopatrzoną jest w strzelby sprowadzone z Arabji, z których strzela się za pomocą zapalonego lontu; proch przyrządzają sobie sami, pod gołym niebem, w naczyniach drewnianych w kształcie moździerzy, kule żelazne wykuwane okrągło na kamieniu, każdy żołnierz sam sobie przygotowuje.

Kiedy jaki namiestnik (Deczacz) zamierza wyprawę dla zdobyczy lub podboju, bo i w tych dzikich krajach, wojna dla zasady lub dobra ludu bardzo rzadko bywa prowadzoną, wtedy pewien rodzaj herolda przy odgłosie bębnów obwołuje po wszystkich

osadach: „Słuchajcie, oto królewskie słowa: Mamy nieprzyjaciół, którym na karki wsiąść musimy. Uzbrajajcie się wszyscy do wojny. Kto na dzień uroczystości Abba Kinos nie stawi się z bronią, koniem i zapasem żywności na 21 dni, utraci jako zdrajca wszystko co posiada na siedm lat.“ Niekiedy namiestnik okazuje się jeszcze surowszym i każe nogi obcinać tym, co nie pospieszą do obozu.

Na rycinie naszej widzimy oddział lenników, którzy na wezwanie swego lennego pana, spieszą połączyć się z jego wojskiem.

Wojsko postępuje wprawdzie w niejakim porządku, ale o pułkach, bataljonach, lub szwadronach, nie mają tu wyobrażenia i zaledwie rozróżniają przednią i tylną straż, tudzież prawe i lewe skrzydło. Bitwy zaczynają się od rzucania lanc, potem jedni na drugich rzucają się ślepo z szablami, starając się przełamać pierwsze szeregi. Skoro linija się złamie i kilku ludzi polegnie, dowódzca daje hasło do odwrotu, który zmienia się w nieporządną ucieczkę.

Za zbliżeniem się nieprzyjacielskiego wojska, bydło uprowadzane bywa w góry, a mieszkańcy opuszczają swoje domy, bo zwycięzcy pustoszą kraj szeroko i daleko, a wszelki ślad mieszkań ludzkich znika od pożaru, który i niwy zbożem pokryte pożera. Jeżeli jaka osada zostanie niespodzianie napadniętą, wtenczas wszyscy mężczyźni, starzy czy młodzi, zostają wymordowani, a kobiety i dziewczęta przedają się handlarzom niewolników. Napastnicy uprowadzają bydło z wesołemi krzykami, a dom je den za drugim rabują i palą. Za uciekającemi ścigają jak za dzikiem zwierzem. Małe dzieci którym rodzice każą uciekać na drzewa, w nadziei, że tam nie będą dostrzeżone, jeśli je kto dopatrzy, strzałami bywają zabijane. Sozela Selasi, naczelnik z Samhary chwali się, że już odbył ośmdziesiąt dwie takie wyprawy.

W Abissynji gdzie prawie wieczna wiosna panuje, znajdują się małpy, lisy, tygrysy, lamparty, ostrowidze, nosorożce, szakale i niezliczone hyeny. Te drapieżne zwierzęta same się wzajemnie niszczą, ale zniszczyły już także prawie zupełnie zwierzyinę leśną: gazele, łosie, zające i dzikie świnie. Jest tu także mnóstwo szczególnych, téj okolicy tylko właściwych ptaków; bagna pełne są krokodyli i hipopotamów. Szarańcza i mrówki termity należą do zwykłych plag Abissynji. Góry pokryte są lasami wierzb i wysokopiennych cedrów, dębów i drzew tamaryndowych. Wszędzie jest pełno cytryn, fig, pomarańcz

i granatów, ale owoce tych ostatnich rzadko dojrzewają, bo nikomu nie przyjdzie na myśl jakiegokolwiek około tych drzew staranie.

Handel prowadzą niewolnikami przede wszystkim; piżmo, kawa, skóry lisie i tygrysie stanowią także przedmiot zamiany, jeżeli nie porządnego handlu, bo wewnątrz kraju pieniądze nie kursują, tylko równo w kostkę obcinane kawałki czarnej soli, która jest najbardziej poszukiwanym artykułem.

Politycznym władcą Abisynji jest obecnie Ras Ali, ale jego namiestnicy umieli zjednać sobie pewien rodzaj niezawisłości. Kiedy Kaza zarządzający krajem na północo wschód od jeziora Tana położo-

nym, nie płacił regularnie haraczu, Ras Ali postanowił usunąć go i przysłał w jego miejsce innego namiestnika, ale Kaza wystąpił zbrojnie i w krwawej bitwie zabił tego wysłańca. Ali zaś obawiając się zbuntowanego namiestnika, opuścił swoją stolicę Gondar. W końcu przeszłego roku cała Abisynija połączyła się pod jednym władcą. Cesarz Teodor w bitwie pod Lasta pobił anty cesarza Negusie, wziął go w niewolę i kazał ściąć w więzieniu. Przez zwycięstwo Teodora wpływ angielski wziął górę w Abisynji nad wpływem Francji, która jego przeciwnika popierała.

W.

## KOŚCIOŁ S<sup>te</sup>j KATARZYNY W KRAKOWIE.

(Wyjątek z podróży po kraju.)

Wpółśród obleciałych domów zaniedbanego oddawna Kaźmierza, przedmieścia stolicy krakowskiej, na rogu ulicy Skałecznej i Augustyniańskiej, wznosi się majestatycznie kościół św. Katarzyny.

I nie dziw, że tak wspaniale dźwiga się ten przybytek Boży, boć go przecież zbudował Kazimierz W. (1342), a we dwadzieścia jeden lat później oddany był OO. Augustynianom, sprowadzonym tu z Pragi. Rychło wzmógł się w potęgę i chwałę, tak, że ołtarze jego doszły do liczby dwudziestu czterech, a wiele świetnych rodzin obrało sobie ciche podziemia tej świątyni na pośmiertny odpoczynek. Istniał w Krakowie przez długie wieki ten Boży dom, aż nakoniec zniszczony przez liczne pożary i trzęsienie ziemi (1556, 1604, 1638, 1786), stanął pustką, i dopiero od roku 1834, za staraniem zacnego zakonu, zaczął zmartwychwstawać powolnie z gruzów swoich.

Lecz prócz znaczenia historycznego, budowa ta szczyli się zarazem wysoką wartością artystyczną.

Ktoby zatém, gnany żądzą widzenia Św. Stanisława na Skałce, minął obojętnie mury gotyckie świątyni Augustyniańskiej, nie dobrze by uczynił, gdyż prawdziwie oczy jego mogłyby się wielu rzeczom pięknym przypatrzeć, rozbierając szczegóły wyniosłego domu Bożego, szczegóły często bardzo podzi-

wiane nie tylko przez swoich, lecz nawet i obcych znawców i miłośników sztuk pięknych!

I zaiste jest co do podziwienia! Spojrz tylko czytelniku na te wysokie ogromne okna, zostawiające między sobą ściany wąskie niby filary, tak dalece, iż w murach kościelnych tyle przestrzeni zajmuje szkło, ile wątek budowniczy; rzuć okiem na owe cieniuchne przezroczyste błonki fial, lub tkanki ode drzwi; na ową poważną postawę gotyckiej świątyni, na tę rozmaitość upiększeń! I tak, tu szczyt wysmukłej fiali otoczony zielonym powojem, tam dalej na ścianie mech starawy, a wyżej i jeszcze wyżej, aż na samym wierzchołku budowy, nad dachem pokrytym czerwoną dachówką, wznosi się miltetka, chociaż nie zupełnie dobrze do ogółu zastosowana, sygnaturka!

A ówże sławny przysionek, wychodzący na ulicę Skałeczną; wystawiony przez Zbigniewa Oleśnickiego, kardynała, biskupa krakowskiego? Przedstawia on całość malowniczą i pełną fantazyi, chociaż nadpsuta przez czas, wystawiającą wiele szczegółów architektonicznych wielce oryginalnych, zwiastujących atoli już przekwitający okres ostrołukiego stylu.

Inaczéj rzecz się ma gdy wstąpisz po za progi samego przybytku: tu widać istne czasy Kazimierza W. Styl gotycki w najcudniejszym swoim roz-



woju. Dziwną harmoniją i prawdziwie muzykalnym akordem stroją się nawzajem do siebie wymiary! Jakoż trzy nawy, których szerokość i wysokość mają się do siebie w szczęśliwych bardzo stosunkach, i znowu długość całego kościoła, wzniosłość, odległość od siebie filarów, po mistrzowsku są dobrane. Tak więc cały wewnętrzny organizm a rozkład tego przybytku, słusznie uchodzi za wzór budowy gotyckiej.

Wśród téj architektury średniowiecznej, świecił pozłotą ołtarz wielki, wzniosły, wspaniały i głośił przychodniom, że jest dziełem późniejszego odrodzenia. Prawda tedy, że w nim nie obaczysz więcej czystości stylu, ani szczegółów, wpływających wprost z konstrukcyi architektonicznej, ale za to uderza cię przepych i bogactwo form. Zwłaszcza, że ołtarz ten piętrzy się prawie aż pod sklepienia presbyteryum. Dziś pozłota znikła, a ołtarz czeka odrodzenia swojego; ale nie o nim mam mówić, gdyż główną osnową niniejszej wiadomości ma być grobowiec Wawrzyńca Spytka.

W nawie bocznej lewej (idąc od wstępu), to jest południowej, wznosi się dziwnie śmiały, wykuty z piaskowca przez niewiadomego rzeźbiarza <sup>1)</sup> w drugiej połowie XVI wieku, pomnik grobowy tego męża; należy on do grobowców prawie najważniejszych starego Krakowa. <sup>2)</sup>

Czytelnik ujrzy jak całość, idąc w kierunku pionowym, to jest z dołu do góry, składa się z trzech kondygnacyj, i że również w kierunku poziomym, to jest od ręki lewej do prawej, składa się także z trzech części, z których środkowa, jako najgłośniejsza, jest mniej więcej dwa razy tak szeroka jak każda z bocznych. Kondygnacja dolna jest bogatym

<sup>1)</sup> Podania miejscowe nazywają go z Wadowic Wadowickim. Rycinę podał Łepkowski w „Starożytnościach krak.”

<sup>2)</sup> Na grobowcu mającym 15 łokci wysokości, a 11 szerokości jest następujący napis: D. O. M. Laurentins Spytke Jordan de Zakliczyn in Melszyn Castellanus Cracoviensis, Capitaneus Praemislen. Camioncensis et Ciechoviensis, sibi, uxori suavissimae, parentibus, majoribus et liberis suis dulcis posuit. Vixit annos L. fere Obiit in Mogielany XI martii A. D. M. D. L. VIII.

Vir pius, benignus, et optimarum partium, Senator prudens, disertus et amans Patriae. Doctorum virorum et bonarum artium fautor Priscaae, et Catholicae Religionis propugnator eximius.

cokułem, który rozbierając się na trzy części, zapowiada tém podział kondygnacyj wyższych.

Kondygnacja druga zawiera w swojej głównej części u góry napis, u dołu zaś wewnątrz świątyni, a w niej szereg osób płci obojęd modlących się; jak się zdaje, wyobrażają one pozostałą rodzinę Spytka. W pobocznych zaś częściach, jak w tej tak i w najwyższej kondygnacji, w niżach siadły smętne wdowy. Rozgraniczają te części między sobą cztery dziwaczne kariatydy.

Następująca, to jest trzecia kondygnacja ma w środkowej części trzech, w pięknych pancerzach ubranych rycerzy, pogrążonych, jak widać, w tęsknej zadumie. Jeden z nich nawet leży na ziemi, wsparty się łokciem na księdze,

Ze środkowej części wyrasta dziwnie wijący się szczyt pomnika, na którego wierzchołku stoi postać rycerza w zbroi, okryta płaszczem, lecz niestety! mająca odbitą głowę.

Rozpatrzywszy się w całości tego grobowca, a mianowicie w tym cykule o liniach wygiętych, w dziwacznych kariatydach, w półkolumnach niby korynckich, które we dwóch trzecich częściach dolnych ubrane są w arabeski, a w wyższych żłobkowane; patrząc na gzymsy łamiące się dowolnie, a mianowicie na ten szczyt krygujący się w esy i linije rozmaicie wyginane; a zwłaszcza zwracając uwagę na szczegóły, z których każdy popisuje się jakąś indywidualnością, pragnąc niby na siebie wyłącznie ściągnąć bacność widza, a mniej stroić się do ogółu i całości, do której należy, rzekłbym, że cała ta kompozycja artystyczna jest jakby przepowiednią, jeszcze wtenczas zbliżającą się przyszłości kraju, w której każda indywidualność radaby stać się, czémś dla siebie, mniej ważąc interes kraju od prywatnego, mniej strojąc się do ogółu państwa, a która to butność wyrodziwszy się z czasem w zuchwalstwo jednostek (*liberum veto*), w końcu przyczyniła się znacznie do upadku narodu.

Tak tedy, potoczywszy okiem po samej świątyni, owym pełnym piękności pomniku gotyckiej sztuki, powiedziałbym, że w niej widać świetne czasy Kazimierza Wielkiego i Jagiellonów; styl zaś grobowca jest niejako złowrogim wróżbitą czasów zaczynających się od Zygmunta III, a kończących się na Stanisławie Augustcie.

Przy dzisiejszém rozmiłowaniu się w pamiątkach ojczyściej przeszłości, zasłużony wydział starożytnicy Towarzystwa Naukowego Krakowskiego, a któremu kraj zawdzięcza odnowienie tylu pomników

historycznych, zwrócił również troskliwość swoją na ten grobowiec wielce uszkodzony i udał się w tym względzie do rodziny Dąbskich i Jordanów, które oświadczywszy gotowość swoją do ofiar materyalnych, uprosiły oddział, aby zechciał zająć się kierownictwem odnowy pomnika.

Przypatrzwszy się więc pobieżnie grobowcowi Spytka, nie od rzeczy jest również zwiedzić zakrystę i kaplicę św. Moniki, gdyż obie te przestrzenie architektoniczne wielce są zajmujące; w obu albowiem filar potężny, wznoszący się we środku, dźwiga staroczesne gotyckie sklepienie.

A godne téj świątyni są także korytarze klasztorne, zawierające w sobie kilka ołtarzów, między którymi najbardziej zasługują na uwagę: 1) Ołtarz Pana Jezusa z obrazem cudownym, malowanym przez błogosławionego Izajasza Bonera, Polaka. 2) Św. Jana Jałmużnika, tryptyk szkoły staro-niemieckiej odmalowany allan tempera przez niewiadomego malarza; jest to obraz tak piękny, że nie jedna galerya pozazdrościć by nam go mogła. 3) Matki Bożkiej, również jak i pierwszy pędzla błogosławionego Izajasza: jest to kaplica, a w niej są dwa malowidła wotywno Andrzeja Szafrąńskiego (1621) i Jadwigi Boczkowskiej (1623). Dalej za tą kaplicą idzie nie wielka kapliczka św. Mikołaja, przechowująca w sobie relikwie ks. Marcina Baryczki Dra Pisma Świę-

tego, który został utopiony w Wiśle na rozkaz Kazimierza W., za ogłoszenie na króla klątwy, — i w małej trumience zawarte pozostałości błogosławionego Izajasza. Trudnoby rozstać się było z murami klasztornymi, nieobejrzawszy pierwój obrazów żywota Pana Jezusa, malowanych tamże w XIV wieku, a także ośmiu wielkich przedstawień z żywota św. Augustyna pędzla Zacharyasza Dzwunoskiego z r. 1636 i nakoniec stacyjnych obrazów, robionych przez Krakowianina Peszkę.

Nie mogę jeszcze zakończyć artykułu tego, bez wspomnienia o klasztornym księgozbiornie. Mieści się on w celi będącej przy korytarzu i zawiera w sobie wiele dzieł dawnych treści rozmaitej, a także następujące rękopisma: 1) Series omnium privilegiorum, actum et translationum Monasteri Eremitarum ordinis S. P. Augustini ad eundem Vielunii, A. D. 1758 die 22 Martii descripta. 2) Jura originalia conventus P. Augustinorum Xiążnensis. 3) Liber Lustrationum in quo describuntur omnes Ecclesiae et conventus Provinciae nostrae Poloniae A. D. 1711. 4) Rękopism bez tytułu r. 1685, i nakoniec 5) Wiele rozmaitych przywilejów pergaminowych, które odczytał i treść wynotował P. Żebrawski w r. 1852.

*Stanisław Krzyżanowski.*

## HYPERYDES.

Uczeni wieku naszego szczególniejszym sposobem z bogaceni zostali dwoma zabytkami starożytności ateńskich, które jakby cudownym sposobem we dwóch dalekich od siebie miejscach odkryte, okazały się do jednego należące źródła. Roku 1857 jeden z miłośników starożytności, nabył od knpca wyższego Egiptu kawałki papirusa, zawierające część sławnéj mowy Hyperydesa, oskarżającéj Demostenesa o sprawę tyczącą się skarbów Harpala, i część mowy w obronie Lycophran'a, przez tegoż mówcę mianéj. W tymże samym czasie, podróżny angielski pan Arden, nabywa od Arabów drugą część tegoż samego papirusa, którego około Tebów w grobowcu znalezionym został. Właśnie wtenczas, kiedy uczeni

tylko z tradycyi o tych dwóch dziełach Hyperydesa wiedząc, napróżno wyczerpywali środki, ażeby pod własne ocenie wziąć prace jego, wpadły im w ręce tak ważne, tak nieocenione przeszłości ateńskiej zabytki.

Gdy mówią o ateńskich mówcach, imiona Peryklesa, Demostenesa ciągle słyszeć się dają; Hyperydes więcej tylko od ludzi specjalnie oddających się starożytnościom greckim wiadomy, jako mniej znany, mniej też od potomności ocenionym został: gdy tymczasem nie tylko wymowa jego pełna zapału i kwiecistości, ale i uczucie które ją ożywiało, nie ustępują Demostenesowi, po którym też całą więtość odziedziczył Demostenes bowiem, lubo z razu

na czele patriotów stojący, więcej oględny, obrachowany, za zbyt umiarkowanego był uważanym, kiedy Hyperydes zawsze pełen zapału w czynie, lubo nie tyle gwałtownymi wybuchami jak tamten słuchaczy poruszał, umiał ich jednak zawsze zachęcić do stawienia nieprzyjaciółom oporu.

Nigdy on w żadnym czynie i działaniu nie poddał się ustępstwom, a zawsze z każdej sposobności chcąc korzystać, chwycił ją, aby Macedończykom szkodzić. Z tego to powodu wynikło owo sławne oskarżenie Demostenesa w sprawie Harpala, o którym wspomnieć pokrótce musimy.

Harpal, satrapa Babiloński, chcąc ująć kar, jakieby nań jego nadużycia ściągnąć musiały, schronił się do Grecyi. Ufny w bogactwa z jakimi przybywał i w sześćset silnych najemników towarzyszących mu, dobrego spodziewał się przyjęcia. Obrawszy sobie Ateny za miejsce pobytu, nim wszedł do miasta, zatrzymał się w przylądku Sumium i ztamtąd posłał do Ateńczyków, prosząc o opiekę i pozwolenie wejścia do miasta; wiadomo co nastąpiło po tej odezwie. Ateńczycy, przybyciem jego przerażeni, usiłowaniami partyi anti-macedońskiej już się skłonili byli przyjąć go uprzejmie, gdy radami Demostenesa i Phociona dali się znów odwieść, i odmówili mu przytułku. Wszelkiej nadziei pozbawiony, nadto reklamowany przez Antipatera i Olimpijasa, Harpal zostaje ogołoconym ze swych skarbów i sam wtrąconym do więzienia; umyka jednakże z niego, zostawiając po za sobą kłótnie, sprzeczki nierozwikłane, do których przybycie jego dało powód. Ostatnim wynikiem tych niezgód, był proces poprzedzony badaniami Areopagu, którego ofiarą padł nieszczęściem Demostenes. Pomiedzy dziesięcioma oskarżycielami wyznaczonymi przez rząd, był Hyperydes. Proces ten trwał pół roku, co dowodzi wahania się Ateńczyków, na którą stronę przysądzić słusność mieli. W tej całej sprawie nieszczęściem, na dwóch przeciwnych biegunach stanęli dwaj wielcy mówcy i pełni zasług ludzie; Demostenes i Hyperydes. Ostatni w swej niezmordowanej przeciw Macedończykom nienawiści, stał ze strony Harpala, snując na tym wątku powstanie całej Grecyi, do którego dopomóżby mogły bunty Satrapów.

W gorącej chęci wydobycia kraju z pod ciężającej nad nim ręki Macedońskiej, nie wybierał on środków, nie raziko go sprzymierzenie się z takimi w swoim rodzaju tyranami, jak Satrapy. Przeciwnie, Demostenes nie upatrywał ratunku w takim stosunku, a lękając się odpowiedzialności przed Antipat-

rem, obmyślał środki, jakimiby zgubić Harpala i stronników jego; na podobne żądanie tenże uwięzionym został, a skarby jego oddano nieprzyjaciółom, jako słuszną restytucyę. Nieoszczędzał Hyperydes dostojnego przeciwnika swego, którego usługi oddane krajowi i wysokiej wymowy talent, dawniej szanował i podziwiał; lecz odkąd mówca połączywszy się ze stronnictwem umiarkowanym, ściągnął na siebie podejrzenie rodaków, że się dał nieprzyjaciółom przekupić. Hyperydes stał się najzaciętszym jego przeciwnikiem. Niepodobna dzielić opinii zniechęconego narodu i człowieka tak miłującego kraj i tak w końcu ściganego od Macedończyków, o przekupstwo posądzać; Hyperydes jednakże dzielił tę opinię i można powiedzieć, że ją nawet utwierdził, gdy w sprawie wyżej przytoczonej, czyniąc różne Demostenesowi zarzuty, tak w końcu odezwał się o nim: „Demostenes nie lęka się oskarżać drugich i utrzymywać, że Rada Areopagu chce go stracić, ażeby się Aleksandrowi przypodobać, tak jakby wszyscy nie wiedzieli, że się nie traci tego, którego kupić można, lecz tylko takiego, którego się żadne zepsucie niechwyci.” W tej całej nieszczęśliwej sprawie, lubo nie było oczywistych przeciw Demostenesowi dowodów, ale ponieważ głos ogółu był mu przeciwny, skazanym został na ogromną opłatę, a że jęj zadosyć uczynić nie mógł, wtrącono go do więzienia, z którego jak wiadomo uciekł; a wkrótce w skutek nieprzewidzianych wypadków, dozwolono mu wrócić i znów zająć miejsce w ważnych dla kraju sprawach. Nadzieje jakie był powziął Hyperides za przybyciem Harpala, zdawały się, w skutek śmierci Aleksandra W. ziszczać. Ateńczycy stanęli na czele oswobodziceli Grecyi, i z licznymi sprzymierzeńcami wyruszyli naprzeciw Antypatrowi. Hyperides głównie swoją wymową zachęcał do tej wojny i dzielił jęj początkową chwałę z Leosthenesem a gdy pierwsze wielkie zwycięztwo okupione było śmiercią tego bohatera i tylu innemi; Hyperides wystąpił z mową, która oceniona przez dziejopisów, dotąd się przechowowała. Mowa ta miana na pogrzebie Leostenesa i jego współbraci, była ostatnim wymowy Hyperidesa owocem, jako też i ostatnią chwilą radości, jakiej kochające kraj serce jego doznało.

Wkrótce przechyliła się szala zwycięztwa na stronę Macedończyków, którzy zażądali wydania dwóch mówców. Obydwa musieli uciekać i twierdzą, że spotkawszy się w tém wspólném nieszczęściu, pogodzili się, co jest bardzo naturalnem, gdyż Hyperides będąc wyższym nad zazdrość do jakiejby wymowa

współzawodnika doprowadzić go mogła; jedynie jako człowieka o przekupstwo pomówionego i jako zbiega z placu bitwy Cheronieńskiej, nienawdził Demostenesa. Gdy więc potem we wspólnym działaniu i nieszczęściu zeszedli się, zgoda nastąpić musiała.

Wiadomy smutny koniec Demostenesa; zaś Hyperides pochwycony w przybytku Neptuna w Hermion przez żbirów Macedońskich, okropną zginął śmiercią. Antypater nieumiał ocenić takiego przeciwnika, i oddał go w ręce katów. Twierdzą, że gdy miał iść na tortury, sam sobie odgryzł język, ażeby w bólach nie uczynił wyznań, mogących być szkodliwymi współbraciom: w straszliwych mękach zakończył życie. Zwłoki jego porzucone, rodacy pochwycili i oddali krewnym jego, którzy je ze czcią w grobie rodzinnym złożyli.

Starożytni wyżej daleko stawiają Demostenesa; u którego wymowa była nauką i sztuką; lecz wiek dzisiejszy umiemy oceniać prostotę, uczucie, uniesienie z prawdy płynące, nie odmówi należnej czci Hyperidesowi, którego w tych zaletach przewyższał Demostenesa. Nadto cechował mówcę tego dowcip, tudzież jasność z jakimi sprawy bronione przedstawiał sędziom; tego właśnie dał dowód w sprawie Diophrana, której tu przytoczyć nie możemy, a która jakeśmy to na początku powiedzieli, nie dawno znalezioną w Papirusach została. Dowcip i otwartość Hyperidesa maluje się, gdy stawał we własnej obronie w następującym zdarzeniu:

Niebezpieczeństwo zagrażało Atenom, wtedy Hyperides nie pyta co mu prawa bronią lub pozwalają czynić, spieszy do Cytnos, jednej z Cyklad blizkich Atyki i tam wzywa pomocy. Poczem wydaje ogłoszenie znane pod tytułem dekretu, w którym każe przedsiębrać nadzwyczajne środki ku obronie kraju, będącego również w nadzwyczajnym niebezpieczeństwie: lud uznał je za dobre, a twierdzą, że Filip Macedoński bojąc się rozpaczliwego oporu, wywołanego tym sposobem — wolał zawrzec pokój. Lecz

ponieważ niektóre środki, jakie zalecał, były wprost przeciwne prawom, a wiadomo jak obstawano przy szanowaniu praw w Atenach; Hyperides więc przed sąd zapozwanym o ich nadużycie został: „To nie ja byłem sprawcą tego *dekretu*, mówi śmiało mówca, to bitwa Cheronieńska wydała go.” Chciał dać poznać sędziom okropną chwilę, w jakiej wydał to rozporządzenie, chciał wlać w nich przekonanie, że w gwałtownych i niebezpiecznych razach, potrzeba używać gwałtownych i nadzwyczajnych środków. Zakończył proces sławnymi następującymi odpowiedziami, w których wykazuje, że jedynie chcąc uniknąć strasznych skutków przegranej bitwy, takie wydał rozkazy: „Czy pisałeś w *dekrecie* aby wolność przywróconą była niewolnikom?” — Tak, ażeby nie brano do niewoli. — „Czy pisałeś aby powrócono wygnańców?” — Tak, bo nie chciałem aby szli na wygnanie. — „Nie wiedziałeś więc praw które zabraniają podobnych rządów?” — Nie, bo Macedońskie miecze zakryły je przed memi oczami!

Naturalnie, sędziowie równie z obwinionym kochający kraj, uznali dobre chęci człowieka, którego wszelkich środków szukał w chwili niebezpieczeństwa, aby powiększyć liczbę obrońców i zachować od nieszczęśliwej przegranej.

W owych świetnych wiekach Grecyi, przysposobiano się na wielkich wojowników, na sławnych wpływem na ogół mówców, przez naukę filozofii, podnoszącą umysł, dającą wyobrażenie godności człowieka. Hyperides, równie jak Demostenes, od którego o kilka lat był starszy, słuchał nauk Izokratesa i Platona; myśli już jego od młodości nawykły brnąć polot wyższy, zręczniejszy, giętszy, z całym pojęciem swobody należnej człowiekowi. Urodziwszy się nadto w miejscu, gdzie nadzwyczajnie wymowę ceniono (bo jak Tertuljan zapewnia: że dzieci w tym okręgu przychodzące na świat, ledwie miesiąc życia licząc, mówiły już) nie dziwnego, że Hyperides, owładnięty ogólnym popędem, oddał się temu zawodowi.





## PODRÓŻNY.

(Z MIEDZIORYTEM).

W kampanii Malavino, w cudnej okolicy po nad brzegami Adygi położonej, od południa ocienionej górą pokrytą winnicą, od zachodu rozkosznym gajem, stał domek odznaczający się od innych kształtem, czystością i zamożnością, która się objawiała w zabudowaniach opodal domu stojących. Obok w ogródku rosnące nie tylko drzewa owocowe, ale i piękne kwiaty z krzewami, gustownie w kłoby ułożone, uderzały mile oko. Dom ten z ogrodem, częścią plantacyi winnej i pewną ilością gruntu, należał do Alberta Curtino, Werończyka, którego przykrych doznawszy kolei, straciwszy wiele, w końcu sprzedał zadłużony dom w Weronie, a za pozostałą sumę nabył tę niewielką posiadłość w Malavino; a to aby się usunąć mógł od widowni świata i z ukochaną żoną i dziećmi odetchnąć po doznanych klęskach. O! bo biedny Alberto wiele przecierpiał, r. 1848 stracił jednego brata na polu bitwy, drugi w oczach jego do niewoli porwany został, a on nie mógł go obronić, gdyż sam ciężko raniony, zaledwie przez kolegów z placu bitwy został uniesionym. Nie dość na tém, w domu nowa czekała go boleść. Czcigodna matka, dowiedziawszy się, że nieprzyjaciół zwyciężył, że w walce straciła dwóch synów, gdy jej trzeciego okrytego ranami przyniesiono: „*Spelniło się!*” wielkim zawołała głosem, i odtąd te tylko wyrazy powtarzała, obłąkane do koła rzucając spojrzenie: czarna melancholja zamieniła tę istotę pełną jeszcze życia i najżywszych uczuć, w straszny, nieruchomy automat, jedne zawsze powtarzający wyrazy. W lat trzy, mimo starań lekarskich, utracił syn najdroższą matkę, pocieszając się tém, że ona już cierpieć przestała; przed śmiercią bowiem odzyskawszy przytomność, uczuła dopiero swoje i krajowe nieszczęścia, jakby one w tej chwili dopiero na nią spadły! Nie wiedziała o nich, a przecież te trzy lata nie przeszły jej bez boleści!—Wyschła, wybladła, z okropnymi wyrazami *speniło się!* na ustach, które zwykle zalamując ręce powtarzała, była obrazem boleści Nioby; a mimo to nie wiedziała, nie miała pojęcia o stanie swoim, o stratach jakie poniosła. O! dziwny,

nieodgadniony przez medyków jest stan podobny: obszerne to dla psychologii pole badań, ten ucisk, ta boleść duszy, bez świadomości o prawdziwej przyczynie: w takim stanie, zwykle obłąkani nie chcą! nie czują potrzeby używania pokarmów, do których tylko gwałtem lub wybiegiem nakłonić ich można, mimo to żyją, są silni, jakby to odrętwiałe ciało i zmysły o władnięte przez siłę wyższą, duchową, wyrzekło się potrzeb swoich, pomimo, że duch ten w chorobliwym jest stanie. O! jakaż to siła, jaka potęga jego! kiedy duch niepozabawiony świadomości i wszystkich władz umysłu, rozkazuje ciału! wtedy, byleby chciał, wszystkiego dokona. Ale wróćmy się do biednego Alberta.

Po stracie matki, którą kochał jak rodzicielkę, a czczył jak godną obywatelkę kraju, Alberto opuścił Weronę, chcąc zmianą zatrudnień i sposobu życia, zmienić kierunek myśli, które za marzeniami o przeszłości, o matce, o braciach, o przeszłych nadziejach, goniły. Czy środek ten był skuteczny? czy wpłynął na nieugięte włoskie usposobienie Alberta? nie wiemy; to tylko nam wiadomo, że mimo miłości jaką go otaczała Łucya, ukochana małżonka, mimo pieśczęt ślicznych trojga dzieci, Alberto nie odzyskał dawniej pogody, która jego piękne wejrzenie i szerokie czoło niewymownym napełniała wdziękiem. To czoło raz narysowane, nie wygładziło się więcej; a piękne oczy nasuniętymi brwiami jakby osłoną przyćmione; już takiego jak dawniej nie rzucały blasku. Co wtorek, jako dzień śmierci matki, czy deszcz, czy burza, chodził Alberto na grób matki, którego pięknym posągiem i kwiatami ozdobił, a ztamtąd wracając wstępował na okopy, gdzie razem z bratem nadzieje bytu narodowego w ostatniej bitwie utracił. Dnia tego, gdy po zachodzie słońca wracał do domu, czekały go dzieci i żona z jakąś zawsze niespodzianką, żeby czémkolwiek rozpedzić odnowioną wspomnieniem boleść; ale naturalnie mimo twórczości, na jakiej nigdy nie zbywa uczuciu tak silnemu i pięknemu, jakim jest miłość żony; często brakowało wątku, zkadby coś niespodziane-

go wysnuć można było. I gdy dnia pewnego w podobnym była kłopotcie, a starsza dziewczynka, która już sama niekiedy coś matce doradzić mogła, równie bez natchnienia patrzyła jęj w oczy, zapytując spojrzaniem; niespodziana okoliczność przyszła w pomoc matce i dzieciom.

Margarita wierna sługa domu, a razem wyborna kucharka, spiesząc z oliwą potrzebną do obiadu, spotkała o kilka kroków podróżnego, którego ją o dzbanuszek wody poprosił; chciał coś więcej mówić, ale Margarita rada, że dzieciom prócz zajęcia wypełnienia dobrego uczynku nastreczy, rzekła doń przybiegając:

— Siadźcie tu sobie staruszkę, u nas w domu studnia, wyślę wam wody. — Lina! Betty! Lucca! chodźcie prędko! podajcie wody biednemu spragnionemu staruszkowi, — zawołała sługa otwierając drzwi do pokoju pani. — On taki mizerny, a tak pocziwą ma postać, iż warto, żeby się Lina z nim rozmówiła, zapytała zkąd idzie i dokąd dąży? — dodała Margarita.

Dzieci na wezwanie pobiegły zaciekawione; najstarsza Lina niosła dzbanuszek ze świeżą wodą, a mały Lucco na pół przez figle, a na pół z nieśmiałości chował się za siostrzyczkę. Gdy jednak przybliżyli się do podróżnika, jego miła postać pociągnęła ich; bez obawy wszystko troje obsiedli go i różnemi zarzucali pytaniami. Staruszek patrzył na nich zwilżonemi oczyma; mało mówił, czy z utrudzenia czy ze wzruszenia: postrzegła to najstarsza Lina, prosiła i zachęcała aby wstąpił do nich:

— Ojciec rad będzie, gdy mu powiecie z jak dalekich idziecie krajów — rzekła dziewczynka.

— Ojciec? — odrzekł podróżny. — Czy jest w domu? czy zdrów?

— Wróci za chwilę, bo zawsze o zachodzie słońca wraca ze cmentarza i wałów... Oto idzie! — zawołały dzieci razem i pobiegły do ojca, którego twarz zdawała się posępniejszą jak zwykle.

— Dzisiaj mój ojczel! — ozwała się Lina — niezwykłą masz niespodziankę, zatrzymaliśmy podróżnika nadzwyczaj miłego, którego te niegodziwe Tedeski w długim trzymali więzieniu; będzie ci opowiadał różne przygody swoje, co cię pewno zajmie.

Ojciec przybliżał się do staruszka z dziwnym wyrazem ciekawości, boleści i współczucia.

— W której siedzieliście fortecy biedny człowieku? — zapytał.

Podróżny nie odpowiedział na zapytanie, zdawało się, że wyschła, blada twarz jego, śmiertelnego nabrała koloru, a oczy zapadłe jeszcze się głębiej wcisnęły. W końcu jakby czyniąc gwałt sobie, zawołał:

— A więc nie poznajesz mnie? czyś zapomniał rysów brata? Alberto!

— Wielki Boże! — zawołał Alberto — powiedzieli mi żeś umarł, czy to być może? czyż jesteś Romeo oplakany przez nas?

Na całą odpowiedź wyciągnął wyschłe ręce podróżny, konwulsyjnie uściskał Alberta i upadł bezsilny na miejscu gdzie siedział.

— Wody! — krzyknął przestraszony Alberto. Nadbiegła Margarita, która się znajdowała w przed-sionku, za nią żona Alberta; zaczęto nacierać skronie, dano łyżeczkę kropel weneckich i biedny Romeo przyszedł do siebie. Gdyby nie wzruszenie jakiego udać nie można, gdyby nie znamie na skroni, długoby wątpił Alberto, że widzi przed sobą starszego tylko o lat parę brata, odznaczającego się pięknnością i silną budową ciała. Siedm lat na Szpilbergu, a dwa w Tereziensztadt, młodzieńca w pełni życia, w starca zamieniły. Wzrok, jak wszystkich, długo pozbawionych światła i nie używających władz oczu, tak był nieruchomy przygasły, i że nawet kolor oczu zdawał się zmienionym — głos pełen dźwięku, gdy z szerokiej, zdrowej wychodził piersi, jak śpiewem czysto tenorowym zachwycił słuchaczy; tak dziś suchy, zaledwie dosłyszany, przerywany krótkim oddechem, zdradzał mocne płucowe cierpienia.

Któż opisze radość zmieszana z boleścią biednego Alberto, który najbardziej z całego rodzeństwa starszego miłował brata, i zaledwie odzyskawszy go, drżał o życie jego! Patrzył mu w oczy, a mimo naciskających się do ust pytań, nie śmiał ich otworzyć, żeby go odpowiedziami nie męczyć. Po chwili odpocząwszy, sam Romeo rzekł z uśmiechem:

— Myślałeś żeś umarł biedny Alberto! musiałeś widzieć jak padłem kulą przeszyty i ztąd tak wniosłeś, — ale ja ciebie nie widziałem.

— Domyśliłem się, żeś był ranny — odrzekł Alberto — bo inaczej nie byłbyś się dał wziąć w niewolę, a i o tém dowiedziałem się od kolegów i skoro sam z ciężkich wygoilem się ran, porzuciłem na chwilę naszą biedną matkę i pojechałem do Wiednia, aby się o losie twoim dowiedzieć, również i o losie Antonio Lassati, razem z tobą wziętego, o którym rodzice żadnej nie mieli wieści: tam mi powiedzieli



żeś umarł z rany zadanej kulą, która pod płucami uwięzła; i że Antonio do Szpilberga zawieszonym został. Rodzice później czynili starania, lecz dotąd nic o nim dowiedzieć się nie mogą, mają go także za umarłego.

— Myśleliście — odrzekł z gorzkim uśmiechem Romeo — że o więźniach w Szpilbergu coś pewnego dowiedzieć się można? skazany tam, zostaje *numerem* i tylko dozorca wie o stanie i istnieniu jego. Przeciwnie było, niż ci mówiono, bo właśnie biedny Antonio z ran umarł, a mnie, mimo że był bardzo niebezpiecznie ranny, bo istotnie miałem pod żebrzem kulę niedobyta, powieźli na Szpilberg. Jakim sposobem wytrzymałem to wszystko? jakim kula z pod żeber, sama sobie zrobiwszy drogę; tak do powierzchni ciała zbliżyła się, że ją sam wydobyć zdołałem? tego wam nie powiem, bo to wszystko jest cudowną zagadką. Doktor zaręczał, że jeżeli nie pozwolą przenieść mnie do widnej izby, ażeby mógł wydobyć kulę, to będę musiał umrzeć, i tak byłoby, gdyby los i życie człowieka nie zależało jeszcze od jakichś niezbędnych praw, które częstokroć wszystkie ludzkie pewniki w błąd wprowadzają. Wielu towarzyszy moich razem z placu wziętych, równych mi wiekiem i siłą, wśród starań lekarskich zmarło w lazarecie; a ja nie dbając o życie, pewny śmierci, której jak dobrodziejstwa wyglądałem, dowiedziawszy się o wyroku na mnie, cudownym sposobem ocalałem.

— Ocalałeś, ażebyś memu biednemu mężowi osłodził życie! Bóg cię zachował na pociechę dla nas! Jemu dzięki złożmy! — i to mówiąc, żona Alberta padła na kolana, za jej przykładem poszły dzieci i słudzy, a mężczyźni ulegając wpływowi czystego uczucia, z rozrzewnieniem także pochylił się ku ziemi.

W krótkim czasie nasz podróżny do sił przychodzić zaczął; przywołany lekarz oświadczył, że prócz wyniszczenia, prócz osłabienia płuc w skutek ran, żadna mu nie zagraża choroba. Istotnie, twarz jego z każdym tygodniem ulegała zmianie, głos nawet mniej suchym i martwym wydawał się; oczy tylko jeszcze nieruchome i osłabione nie przypominały dawnego blasku, a że czytać nie mógł, zabawiał się z rodziną wzajemnymi opowiadaniem wypadków zaszłych w latach rozdziału.

— Zawsze nam mówisz — rzekła doń dnia jednego żona Alberta — o tym strasznym Szpilbergu, o męczarniach jakie tam znosiłeś, o kolegach jakich tam utraciłeś; dla odmiany, powiedz nam co o Te-

rezienstadt: tam już stokroć było ci lepiej, bo słyszałam, że tam razem więźniowie mieszkają i na daleko lepszych jak w Szpilbergu warunkach. Zmiłuj się bracie, opowiadaj nam lepsze chwile życia twego! nie mów już o tym Szpilbergu!

— O moja sestro! — rzekł z uczuciem Romeo — nie mówiłem wam o ostatnich latach moich w Terezienstadt spędzonych, bo nie czułem w sobie siły aby odnawiać nadto świeże rany. To co cierpiałem w Terezienstadt przeszło Szpilberg; w niem bowiem oddalony od kolegów, zmartwiały, jakby zastygły na wszystko co mnie otaczało, cierpiałem głównie fizycznie; zdawało mi się, że moralnie już nic czuć nie byłbym w stanie. Podzielonych na kategorie, po kilka razy na dzień sprowadzano nas na jeden dziedziniec, niby dla przechadzki: w pierwszych latach zamknięcia, zszedłszy się, rozmawialiśmy przez te pół godziny, później rozmowa ograniczała się na zapytaniu o zdrowie tych, którzy chorzy byli, później na *dzień dobry* sucho wyrzeczone, a po pięciu latach już żaden nie przemówił słowa. Jakby automaty mijaliśmy się koło siebie, z czego zapewne dozorca wielce zadowolony był; patrzyliśmy się na siebie nie widząc się wzajemnie, tak dalece, że gdy w ostatnim roku z dziesięciu pozostało nas czterech, sami chorzy i za ledwie włączając nogami, nie bylibyśmy spostrzegli tak bardzo zmniejszonej liczby, gdyby nie dozorca, którego mimo że zawsze był milczący, wyrzekł sam do siebie: „teraz to szybko idzie, co parę miesięcy jeden ubywa.” Kto nie był w takim położeniu, pewno nie pojmie, jak może człowiek dojść do takiego stanu odrętwienia moralnego; a przecież stan ten poniżający go na pozór, jest dlań wielkim dobrodziejstwem; władze jego moralne i umysłowe jakby w zawieszeniu będące, nie zużywają się na próżne cierpienia, i jeżeli fizyczność wytrzyma, jeżeli nie pęknie, nie zginie, to wróciwszy na świat, jakby leżący w letargu, z wolna budzić się zaczyna i w końcu w całej sile i pełni wracają mu wszystkie uspięne władze czucia i pojmowania. Tak było ze mną, gdy mnie z dwoma kolegami do Terezienstadt jako ułaskawionych, dla słabości zdrowia przewieźli. Jak skostniałe członki, gdy się do cieplej dostaną atmosfery, rozkurczają się z wolna, do dawniej wracają giętkości, tak ja przeniesiony do widnej i cieplej izby, gdzie kilku zastałem miłych, pełnych życia towarzyszy; zacząłem używać moralnych władz moich, zacząłem uważać, słuchać, myśleć i czuć, a czuć na to, żeby cierpieć: ileż razy żałowałem przeszłej ciemnoty, żałowałem Szpilberga!

— Czyż kiedy mogłeś żałować takiego piekła jak Szpilberg? — zawołała Łucya?

— Żałowałem! — odparł z boleścią Romeo — kiedy patrzyłem na uchodzące życie przyjaciela, a nie mogłem przynieść mu ani ulgi, ani pociechy! żałowałem! gdy w szalonej rozpaczynie tłukłem bezsilną ręką o mur, chcąc rozwalić ścianę z po za której wychodził z piersi anioła głuchy jęk co mi serce rozdzierał!

— O mój Boże! na jakież tam okropności trafiłeś mój bracie! Któż był tym aniołem, któż tym przyjacielem? — ozwała się Łucya.

— Zapewne był to Fiorentino, młody Wenecjanin, którego po zdobyciu Wenecyi bił się razem z nami pod Weroną; słyszałem że umarł w więzieniu w Terezienstadt — dorzucił Alberto.

— Nie, Fiorentino żyje.

— To zapewne krewny nasz Nicolo, którego w parę lat po tobie porwano?

— Nie, niespotkałem go nigdzie. Ludzie, a raczej święci, o których wspominałem, nie rodzili się pod pięknym naszym niebem, nie słyszeliście więc o nich, ale wam zaraz opowiem wszystko.

Romeo umilkł na chwilę, jakby chciał odpocząć; poczem potarłszy czoło i ciężko westchnąwszy, tak dalej mówił:

— Wiadomo wam, że państwo austriackie składa się z rozmaitych narodowości; zdarzyło się więc, że w Terezienstadt, w izbie w której siedziałem, kilka zupełnie różnych języków obijało się o uszy moje; trzech tylko było nas rodaków, między temi Fiorentino o którym wspominałeś; reszta byli to Węgry i inni cudzoziemcy; z pomiędzy tych jeden szczególnie zwrócił moją uwagę: nie zdołam wam opisać tego człowieka, a raczej takich ludzi. My południowcy, gwałtowni, burzliwi, nie możemy pojąć tego głębokiego, silnego uczucia, połączonego z jakąś powagą i pokojem; ja z razu brałem ich za zimnych i zdało mi się, że prędzej z Węgrami sympatyzować mogę; ale jakże się myliłem! Wkrótce gdym ich bliżej poznał, przyłgnałem do nich całym sercem. Jeden z nich nazwiskiem Leslaw, wybornie umiał po włosku, co nam bardzo poznanie się wzajemne ułatwiło. Cóż to za piękna, czysta dusza! jak wysoko ukształcony umysł, a jaki wyraz łagodności, pokoju w jego szlachetnej twarzy! Po kilku miesiącach byliśmy przyjaciółmi, jakbyśmy się od lat wielu znali. Opowiadaliśmy sobie wzajemnie przygody nasze. On także był 9 lat w Szpilbergu, także doznał strat, zawodów, omylonych nadziei. Mimo to, on nie znał

zwątpienia, nienawiści, on nigdy nie szemrał, nie złorzeczył. Jego pełna wiary i miłości dusza, dla nieprzyjaciół na litość, dla złych, za ledwie na pogardę sobie pozwalała. O! nie widziałem człowieka, żeby z taką godnością cierpieć umiał; on bardzo bolał nie tylko nad ogółem, nad sobą, ale i nad aniołem opiekuńczym nieszczęśliwych, nad dziewczyną, którą za okazywane im współczucie, za niesioną pomoc, wyrwano z łona rodziny, od sędziwej babki i wtrącono do przyległego nam więzienia.

— Co? kobieta w fortecy? — zawołali razem Alberto i Łucya.

— Tak jest, kobieta wzięta, wychowana wśród staruń i wygod, kobieta wykształcona, wyższa nad inne; taka kobieta zacna, do więzienia wtrącona, sama jedna, pilnowana przez żołnierza! bez wygod, bez prostych potrzeb! A przecież trzeba ją było widzieć jak to znosiła! nikt ży w jej błękitnym oku nie widział; wysmukłej postaci nie pochyliło nieszczęście, szła z podniesioną głową, a ja dziwiłem się, że widząc ją, warty na kolana nie padały. Mnie zdawało się, że od jej jasnych splotów warkoczy, jakieś światło biło do koła! O! ta kobieta była przedmiotem czci nas wszystkich, a ja wielbiłem ją jak anioła, jak świętą.

— Więc poznałeś ją mój bracie? — zapytała wzruszona Łucya.

— Czy ją poznałem? — mówił dalej drżącym głosem Romeo. — O! tak, znałem ją, bom ją rozumiał, bom ją wielbić umiał, bom cierpiał z nią razem. Nigdy nie zapomnę jak porwany chęcią zobaczenia jej z bliska, narażając się na dozorcę nagane, raz przecie znalazłem się na korytarzu w chwili, gdy ją służalec więzienny do ogrodu prowadził: światło małym okienkiem padło właśnie na twarz jej, białości lilii; podniosła oczy i spojrzała na mnie, a odgadłszy wyraz czci i współczucia, zatrzymała wzrok swój, którego zdawał się mówić: „Dziękuję ci bracie! wyobraźnia twoja powiększa moje cierpienia, mnie jest dobrze; ja mam pokój, sumienie, czystość serca, wiarę w Boga i życie przyszłe.” O! tak, ona to powiedzieć chciała, bo najpierw spojrzała wdzięcznie, potem z powagą i pokojem rękę na sercu położyła, a potem spojrzała w niebo. Oh! nigdy nie zapomnę spojrzenia tego; tém spojrzeniem jam nieśmiertelność duszy i zbawienie jej zrozumiał. Padłem przed nią na kolana, chciałem kosztem życia przemówić do niej, lecz ona pomknęła się dalej jak nadziemskie zjawisko, a mnie dozorca pochwyciwszy za rękę, uprowadził. Opowiedziałem wszystko przyjacielowi,

a Lesław zapewnił mnie, że ją dobrze zrozumiał, że wyrazy, które duch mój poczuł, niewątpliwie byłyby wyszły z ust jej, gdyby jej mówić wolno było.

— Nigdy więc nie mówiłeś z nią, biedny bracie? — dorzuciła siostra.

— Nigdy! bo ona tylko o potrzeby swe dozorca powiedzieć mogła; mimo to zawsze wiedziałem o co by się zapytać chciała; zawsze przeczułem co ją zniepokoić mogło. Znakami dalekimi uwiadamiłem ją o stanie Lesława, którego był zapadł niebezpiecznie. Oh! wy nie wiecie jak się to w więzieniach zmysł rozumienia się rozwija! nie tylko oczami, spojrzeniem, z temi rzadko się spotkać można; ale postawą, lekkim skinieniem ręki, można pytać, odpowiadać, niepokój lub zadowolenie oznajmić. Raz tedy, o! nigdy nie zapomnę tej chwili! powracając wolnym krokiem z przechadzki, drobną ręką i lekkim poruszeniem głowy, zdawała mi się mówić: „Może już skończył?” A nie odebrawszy przeczącego znaku, domyśliła się prawdy. Wtedy raz pierwszy widziałem jak pod ciężarem żalu pochyliła głowę, przystanąła trochę i weszła do gmachu!

— A więc umarł tam twój Lesław? — zapytała Łucya.

— Powiedziałem wam, że patrzyłem na skon przyjaciela, przeklinając niemożność ratowania go; bo istotnie z braku starań umierał i podwójną cierpiałem boleść, za siebie i za Annę, która, wiedziałem, że stratę tak znakomitego i znanego rodaka swego głęboko uczuje. Tak było istotnie, nie wychodziła przez dni parę z celi swojej; widać cierpiącą była. Szczęściem, potem zaszła okoliczność, która bezwątpienia epokę w jej pięknym życiu stanowi. Z podziwieniem ujrzelismy pod bramą wysiadającą z karety podeszłą wiekiem kobietę; po służbie, po towarzyszącym jej z pewnym uszanowaniem Inspektorze więzień, domyśliliśmy się, że to nie nowa ofiara, ale odwiedziny. Istotnie była to babka naszej zamkniętej, przybyła z Wiednia z pozwoleniem cesarskim zobaczenia wnuczki swojej ukochanej. O! jakżeśmy się wszyscy cieszyli jej radością, jak każdy pragnął zobaczyć czcigodną staruszkę, która o tyle mił przybyła, tyle zwalczyła trudności, żeby przynajmniej raz jeszcze przycisnąć do serca dziecko jedynę córki, zawczasie zmarłej. Po radości nadeszła w końcu okropna pożegnania chwila; pozwolono wnuczce wyprowadzić na dziedziniec staruszkę, wszyscy skupiliśmy się w oknach, aby widzieć tę czcigodną parę. Nie daleko pod tym, w którym stałem oknie, zegnana babkę na zawsze... przyklękła, pochyliła głowę,

a staruszka tłumiąc wzruszenie, bo to także była pełna hartu dusza, położyła zgrzybiałe ręce na jej jasnych włosach, dając jej ostatnie błogosławieństwo swoje! Było coś tak wielkiego, tak uroczystego w tym pożegnaniu dwóch słabych ciałem, a silnych duchem niewiast, że nikt z patrzących łez wstrzymać nie mógł, i dozorca nawet poodwracał twarz; zapewne z obawy, żeby ten widok nie skruszył żelaznych na sercach ich pancerzy. Był między nimi silnej budowy Neapolitańczyk, chwalcący się, że nigdy łza nie zrosiła powieki jego: szlochał jak dziecko! i chwycił konwulsyjnie za kraty dzielące nas od tych świętych niewiast, jakby chciał biedę i wyprowadzić je razem! Siepacze nie śmieli rozdzielić, nie śmieli słowem przerywać tego uroczystego pożegnania, czas więc jakiś pozostały obie jakby nieruchome. Wnuczka pierwsza dała znak odejścia; uściskawszy kolana, ucałowawszy błogosławiące ją ręce, powstała! Babka zrozumiała, że trzeba unikać napomnienia ubliżającego godności; wolnym krokiem, zaledwie utrzymując się na nogach, poszła do bramy gdzie czekała na nią kareta. Wnuczka popatrzywszy za nią chwilę, weszła w drzwi więzienia i po raz drugi widziałem pochyloną jej głowę. Zdaje się, iż słabe jej siły czekały tylko na to widzenie; odtąd już mało kiedy wychodzić mogła, a lubo tę samą pogodę widzieliśmy w jej oczach, ten sam pokój w twarzy, ale krok coraz wolniejszy i coraz silniejszy rumieniec na policzkach zwiastował nam gasnięcie wolne, tej niebiańskiego światłem palącej się lampy. Przywołano przecie doktora, pozwolono kobiecie służyć jej, gdy wstawać z łóżka przestała. Ale nie szczęściem młoda Klara, krewna nadzorcy więzień, zbyt dobre miała serce, narażała się sama, żeby biednej chorąg ulgę jaką przynieść, żeby nam dać o niej jaką wiadomość; starała się jak mogła o wygodę lepsze dla niej.

— To szczególne — przerwała Łucya — żeby siostrzenica nadzorcy więzień, zapewne u niego wychowana, była z innym jak oni tam wszyscy sercem!

— O! bo to była także nieszczęśliwa istota, wychowana w Tryeście przy zacnej matce, która, jak to się nieszczęściem zdarza nieraz, choć sama z Dalmacyi rodem, poszła za Niemca, stryjecznego brata, nadzorcy naszego. Gdy straciła rodziców, lat parę była przy ciotce, lecz i ta ciotka umarła. Wtedy najbliższym krewnym sieroty był stryj: lubo nie rodzony, nie mógł odmówić przytułku tak blizkiej krewniej; nadto sądził, że dziewczyna da się nagiąć do

zaprowadzonego systematu, jak żona i córka jego, że mu pomoże zbierać pieniądze kosztem więźniów, i że płacę jakąby dać musiał obcemu, będzie mógł na nią obrócić, przeznaczając ją do posług więźniom. Wyobraźcie sobie piękną dziewczynę z pięknych gór Iliryi; po których swobodnie jak młoda łania biegła, przeniesioną na skalisty szczyt naszej fortecy i obróconą do służenia więźniom, których radaby była wszystkich wypuścić! Zrazu rozplakała się, gdy jęj to stryj objawił; ale wkrótce instykt kobiecy ostrzegł ją, że nie powinna wydawać przed stryjem dla czego jęj bolesnym będzie nowy obowiązek, że udając zupełną powolność jego rozkazom, będzie mogła być nieszczęśliwym użyteczną. Tak istotnie było przez tydzień, ale potem szpiegowana przez innych posługaczy, coraz mniej pokazywać się mogła i w końcu drugiego tygodnia odsunęli ją zupełnie od więźniów. Wtedy to nastąpiło rozwiązanie okropnego dramatu!

— Był przepis — mówił dalej odpocząwszy i odetchnąwszy boleśnie Romeo — ażeby wtedy uprzęta celkę Anny, kiedy ona na przechadzkę wychodziła; gdy więc tak zapadła, że wcale wychodzić i z łóżka wstawać nie mogła, i gdy Klarę zupełnie od jęj odsunięto usług, nikt nie sprzątał jęj mieszkania, nikt nie wchodził, żeby dogorywającej przynieść pomoc i ulgę jaką; tylko posługacz jak do zdrowych tak i do nięj przynosił chleb, wodę, obiad, nie troszcząc się czy ona coś z tego używać będzie mogła, nie zważając, że nietknięte zabiera jedzenie. Uprosiłem jednego Węgra, że mi pozwolił sypiać na swoim łóżku, które stało przy ścianie jęj więzienia. Noc całą podsłuchiwałem, czy jakiego nie wyda głosu, czy jaka skarga, żądanie, nie wyjdzie z ust jęj... lecz nie... cicho było jak w grobie, a przecie ja czułem, wiedziałem że ona żyje i cierpi. Dopiero jednę noc, tęg okropną noc! wyraźnie głuchy jęk posłyszałem i wtedy nieprzytomny, chciałbym był mur rozwalić, albo siebie zniszczyć, żeby już nie czuć, nie słyszeć nic więcej!... Po krótkiej chwili jęk się powtórzył... a potem nastąpiła cisza... Wtedy krzyknąłem głosem całym: skonała!... Niektórzy koledzy czuwali razem ze mną, niektórzy spali; zerwali się wszyscy i wszyscy uczyli, że się pomylić nie mógł! Było to już rano, wkrótce nadszedł posługacz i obojętnem wejściem nam to poświadczył; porwałem go za barki, chciałem na kimś pomścić się tęg straszną krzywdę, tego pogwałcenia praw ludzkości. Zdziwiony posługacz spojrział mi w oczy tak martwo, że mi

reęce opadły, jakbym przez pomyłkę drewniany słup pochwycił."

Romeo to powiedziawszy, zerwał się z miejsca.

Alberto widząc wzruszenie brata, dużemi krokami prędko chodzącego, chcąc go oderwać od przedmiotu tak dlań bolesnego, zawołał:

— Romeo, siadź trochę jeszcze przy nas i powiedz mi co się stało z Florentinim; wszak powiedziałeś że żyje, gdzie jest?

— Straszne to morderstwo! — mówił dalej, nie słysząc słów brata Romeo — w 19tym wieku dokonane! nie przez fanatyzm, którego Pogan do okrucieństwa prowadził za uchybienie czci ich bogom; nie, raczej przez zemstę zwycięzcy nad zwyciężonym, ale nie nad żołnierzem którego im szeregi przestrzelał. Nie!... nad słabą kobietą!

— Romeo! — rzekł brat niespokojny porywając go za rękę. — Nie myśl już o tęg strasznem, istotnie niesłychanem barbarzyństwie; ona już szczęśliwa, nie cierpi, bo nie żyje. Oto powiedz mi lepiej, bom ciekawy o losie młodego Werończyka, którego się tak mężnie bił razem z nami.

— Tak jest bracie — dodała Łucya wchodząc w myśl męża. — Powiedz nam gdzie się obraca Florentini? ciekawam także co się z tęg biedną Klarą zrobiło?

— Tak, on był także razem z nami — odparł jakby ze snu obudzony Romeo. Zaraz opowiem wam o nich, to jest będę się starał jak można to wam opowiedzieć; bo nie uwierzycie jak mnie to wspomnienie oburza; gdy mówię o niem staje mi wszystko przed oczyma!...

— To też nie mów już o tęg, przerwała, tłumiąc wzruszenie Łucya — wszak ona już zapomniała cierpień swoich, ona teraz wśród świętych, wśród czystych duchów, blisko Madonny; nie trzeba jęj żałować. Mów lepiej o żyjących mój bracie! o tęg młodej Klarze, czy już jęj zupełnie nie widywaliście? Co się z nią stało?

— O! to poczciwe, pełne prostoty dziewczę, wiele dla nas cierpiało! bo lubo ją zupełnie nadzorca od nas oddzielił, ona jednak nie opuszczała rąk: niezmordowana, prawdziwie twórczą była w wyszukiwaniu rozmaitych niedocieczonych sposobów niesienia ulgi; papier, ołówek, były to przedmioty najdrożej więźniom wzbронione, równie jak pieniądze, za które coś koniecznie potrzebnego do zdrowia można było czasem kupić, bo posługacze, nie czuli na lży i cierpienia więźnia, nieugięci kiedy szło o zrobienie mu najmniejszej przyjemności; byli wszakże

łaskawi za poczwórną cenę przynieść bułkę lepszą od zwyczajnego chleba, czekolady trochę, lub coś podobnego. Bez pieniędzy więc niepodobna tam było wyżywić się choremu na więziennym stole i gdyby nie ten brak wygód, zacny, biedny Lesław tak pożyteczny dla współbraci, byłby żył dotąd. Poczciwa Klara, jak duch niewidzialny, co pare dni robiła nam niespodzianki: to papier z ołówkiem, to pare cwancygerów, niewiadomo jakim sposobem pod kamieniem na dziedzińcu złożyła; tak żeśmy spostrzedz, ani domyśleć się nie mogli z kąd się tam wzięść mogły. O! bo oko więźnia niesłychanej nabiera wprawy; nie uwagi jego nie ujdzie; najmniejsza zmiana uderzy go, a zręczności, z jaką umie przekonać się o niej, nikt nie wyrówna. Gdy raz spostrzeżliśmy, że kamień był poruszony, gdyśmy znaleźli pod nim nieoceniony dar, to jest ćwiartkę papieru i ołówek; za każdym wyjściem pilnie uważaliśmy na każdą cegłę, na każdą szparę w murze; później to w tém, to w owém miejscu znajdowaliśmy dowody pamięci niewidzialnej opiekunki. Nie raz mówiliśmy między sobą o téj pocziwej dziewczynie, która sama mając nie wiele, zapewne kosztem swoich przyjemności lub wygód, czyniła nam te, lubo małe bardzo, ale wielkie dla nas podarki. Układaliśmy różne sposoby jakiemiby można w przyszłości odwdziżyć się jój, ale zawsze potrzeba byłoby pierwój ją zobaczyć i porozumić się o sposobie. Wtedy właśnie skończyły się lata więzienia dwom Wenecjanom; jednym z nich był Florentini. On, jak go znasz, żywy, gotów na wszystkie ciskać się przeciwności, powiedział nam, że znajdzie sposób gdy go wypuszczać będą, widzieć się z Klarą, że się z nią o sposobie przesłania jój pieniędzy dla nas umówi. Tego samego dnia po wyjściu jego, wyszedłszy na dziedziniec, w szparce koło bramy znaleźliśmy mały szary, podobny do koloru muru paperek, a na nim ołówkiem te kilka słów: „Widziałem Klarę, umówiłem się z nią, za dni 15 będziecie mieli zasiłek, a tymczasem jutro pod małym kamykiem przy furtce, znajdziecie 10 reńskich, reszta potrzebna mi na drogę.” Uradowani, że się tak wszystko dobrze powiodło naszemu koledze, niecierpliwie wyglądaliśmy jutra; 10 reńskich dla więźniów, mnóstwo mających potrzeb, a na nie ani grosza, było prawdziwą opatrnością.

— Przepraszam cię bracie że ci przerwę, ale nie rozumiem dla czego Florentino mając pieniądze, nie zostawił wam ich i dla czego jemu wolno było je mieć, a wam nie? — zapytała Łucya.

— Pieniądze jakie znajdą przy więźniu, odsyłane są do komendanta fortecy, do której go przeznaczają i w tém trzeba przyznać że jest tam porządek zachowany, tak, że nawet po 10 latach, których nierzadko kto doczeka, odbiera więzień od komendanta rzeczy i pieniądze, jakie przy nim znaleźli. Florentino więc zostawszy wolnym, odebrał co mu przed kilku laty było wzięte i z tego nam część przysłał. Ale niestety! jakże zawiedzioną została nadzieja nasza, gdy nazajutrz nic pod kamykiem nie było! nic w szparce muru, nic zgoła w żadném miejscu, gdzieśmy kiedykolwiek co znaleźć mogli! że nadto zamiast jednego pilnowacza, któren nas wyprowadzał, dostaliśmy dwóch! a dozorca który co wieczór sam zamykał nas na klucze i zasuwał rygle, gdy przyszedł spełnić swoją powinność, bazyliżkowe rzucił na nas spojrzenie i parę słów wymknęło mu się w których były pogrożki dla Klary i dla nas. Trzeba nieszczęścia, iż ten szkaradny rudy Niemiec, o krótkich nogach, a o długim nosie, rozmiłował się w biednej Klarze, a może też myślał sobie, że poślubieniem krewnój najstarszego nadzorcy, zrobi karierę, bo nie sądzę, żeby ten szkaradny człowiek mógł cokolwiek bez brudnego wyrachowania robić; resztą bądź co bądź okazywał dla niej tyle czułych względów, że na prośby jój pozwalał wpadać na podwórze, kiedy nas nie było, dla przechadzki. Dziewczyna tak dobrze umiała mu wytłumaczyć, że się nas boi, że mamy straszne, blade, zarosłe twarze, tak go prosiła żeby wtedy wpaść mogła, kiedy nas nie spotka, że gruba mózgowica Niemca ani się domyśleć mogła prawdy i po prostu był pewnym, że ona z nudów, nie mając gdzie wychodzić; rada i po dziedzińcach więziennych przebiegać się. Trzeba było nieszczęścia, że Beer, tak się nazywał krótki Niemiec, nazajutrz po odejściu Florentiniego, oświadczył swoje zapęły Klarze; dziewczyna naturalnie odmówiła, ale co gorsza nie mogła wstrzymać się od śmiechu, spojrzawszy na jego krótkie nogi do przykłonienia przed nią gotowe i na twarz szkaradną z rudą brodą, którą w dziwny grymas wykrzywił na znak żalu, jeśli odrzuconym zostanie. Na śmiech i stanowcze odmówienie, twarz Beera purpurą okryta została, a zawoławszy: „Niegodziwa! pożałujesz tego!” wyszukiwał sposobów pomszczenia się na niej. Któż jak Niemiec, któż jak dozorca więzień, obfitszy jest w sposoby wywierania owej powolnej, rozciągającej się do najmniejszych drobnostek, zemsty? Beer, codziennie z lepszym skutkiem dopełniał planu dogodzenia swojej ślimaczęj złości. Naj-

pierw wyparłszy się przed najstarszym nadzorcą, że sam pozwalał Klarze wpadać na dziedziniec, oskarżył ją że się wykradała; potem umiał przeciw niej oburzyć starą sługę, faworytkę państwa, a później za wpływem jej nasuwał podejrzenia zazdrości żonie nadzorcy, tak, że tę biedną dziewczynę, przez ostrożność, a niby żeby ją od próżniactwa oduczyć, zamykała na klucz, a nadawała tyle roboty, że jej w żaden sposób wykonać nie mogła, za co potem były skargi, a za pokutę odejmowany obiad.

— Jakżeście o tém wszystkiém wiedzieć mogli mój bracie? — zapytała Łucya.

— Ja się potem dowiedziałem, już wyszedłszy, a wtedy siedzieliśmy pozbawieni tych małych na pozór przysług, do jakich nas była pocziwa Klara przyzwyczaiła; a po ostrém obchodzeniu się słuźalców, widocznie przez Beera podburzonych, domyśliliśmy się, że coś zaszło nie zwykłego, że może odkryto sposób, jakim biedna Klara te małe drobiazgi nam podawała. Nareszcie gdy minęło dni 15 po wyjściu Florentiniego, dnia pewnego, niezapomnę go nigdy, wpadł do nas dozorca Beer i wszyscy posługacze, w izbach naszych najściślejszą zrobili rewizję; szczęściem, że domyślając się poprzednio wiszącej nad nami burzy, poniszczyliśmy wszystko. Ja tylko miałem wiersz Lesława, przepisany mi przez Wenecyanina, któren razem z Florentinim wyszedł, a którego już zastałem w Terezienstadt: był on także Lesława wielbicielem i przyjacielem; cho wałem tę podwójną dla mnie pamiątkę, lecz wspomniawszy na odpowiedzialność jakaby spadła na tę, co papieru i ołówka dostarczyć nam mogła; byłem w przerażeniu co zrobić z tym kawałkiem; w końcu zdołałem ponieść go do ust i nim kolój na mnie przyszła, pogryść i połknąć. Ale trudniej było zignąć dość dużą, cisnąłem ją na ziemię, lecz bystre oko Beera, dostrzegło to poruszenie; szukać zaczął i znalazł. Trzeba było widzieć radość jego, pokrytą uroczystém zadziwieniem i ważnością jaką chciał przywiązać do tak *wielkiego* odkrycia. Igła zabrana została, a mnie zarzucono mnóstwem protokularnych zapytań, z których, pomimo moich zaprzeczeń, wypadł *pewnik*, że tylko Klara mogła mi dostarczyć téj *broni*. Nareszcie w parę dni po tym wypadku, Beer zamykając i jak zwykle przepatrując w wieczór więzienie; rzekł do nas, uśmiechając się szyderczo: „No! cały spisek już odkryto. O! Panowie myśleliście o wydostaniu się ztąd, a spółniczka wasza, Klara, niewdzięczna siostrzenica nadzorcy, która miała wam do tego dopomódz, już jest uwięzioną

i pewnie świata więcej nie ujrzy.” Jak możesz myśleć, żebyśmy uwierzyli takim bredniom? chcesz nam dokuczyć, ale źle się do tego bierzesz; wiesz dobrze że nic wspólnego z Klarą nie mamy.— „Wiem dobrze, że przysłano, odrzekł z przyciskiem, patrząc nam w oczy, że przysłano jej 200 reńskich niby od jakiejś krewnój, jakby jej jakaś krewna mogła mieć 200 reńskich.”— Ha! ha! ha! rozśmiał się jeden z kolegów, pokrywając zmieszanie śmiechem, więc sądzisz, że za 200 reńskich moglibyśmy ztąd wyjść? to widać pan Beer za tyle gotówby nas wypuścić.

Obrażony niemiec za żart, a zły że mu się nie udało nas przestraszyć, odpowiedział wychodząc: „bądź co bądź, 200 reńskich, Klara odebrała dla więźniów, a więc stosunki miała: siedzi w więzieniu, a czas okaże, co z tego dla was wypadnie.“ Po odejściu Beera, naradziliśmy się co tu począć jeśli Klara zmuszona złém obchodzeniem się z nią, wyzna, że pieniądze dla nas były? możecie sobie wystawić smutne nasze przypuszczenia i obawy, aby pocziwa dziewczyna za nas nie cierpiała. Mnie za parę miesięcy dobiegał termin, w którym wyjść miałem, na 2 lata bowiem do Terezienstadt byłem wysłany i to było szczęściem mojem, albowiem człowiek mogący za parę miesięcy prawnie opuścić więzienie, mniej obudza podejrzenia, mniej jest posądzany o chęć gwałtownego wydobycia się; mimo to jednak wzywany byłem do tłumaczenia się razem z innymi, co do przysłania pieniędzy Klarze, tém więcej obudzających podejrzenie, że przy nich Florentini, chcąc jej zawdzięczyć przysługi nam czynione; przysłał także parę sztuczek na suknie, a wszystko niby od krewnój. Sprawa biednej dziewczyny oparła się o wyższą władzę, a gdy termin mego uwolnienia przyszedł, ujęty datkami jeden ze starszych posługaczy, opowiedział mi, że biedna dziewczyna zmieniona nie do poznania, głodem i zimnem dręczona, zamkniętą jest w dolném więzieniu; że wyznała w końcu, iż pieniądze mogą być od Florentiniego, lubo nie wie w jakim celu je przysłał, równie jak suknie. „Los jej, dodał posługacz, w rękach tego pana, jeśli się jakoś tak wytłumaczy z tego, że jej nie skompromituje, to może ocaloną zostanie!” — Ale cóż on powiedzieć może? zapytałem, w każdym razie przysłanie pieniędzy jest dowiedzioném; więc przeczyć nie może.” — „No! tak! rzekł starszy sługa, ale może jaką tu przysłać krewnę na świadectwo, lub coś podobnego uczynić; ja sam niewiem, niewiem nawet czyby co już tę dziewczynę wyratowało, bo

to tak wszyscy na nią zawzięci, że nawet wody jęj czasem cały dzień nie każą dawać; a ja i nie daję, bo cóż mi tam do nięj.\*

Dowiedziawszy się o tak okropném położeniu biędnej sieroty, naturalnie powinnością było moją zatrzymać się w Wenecyi, szukać Florentina i użyć wpływów ażeby coś dla nięj uczynić. Nie można było znaleźć w Tryeście żadnej krewnęj lub znajomęj Klary, która by wiekiem i położeniem mogła zasłużyć na wiarę, że od nięj dary przysłane zostały; zawziętość niemiecka łatwoby fałszu dośledziła i sprawa pogorszonaby została. W końcu Florentino znajduje sposób przecięcia tego węzła gordyjskiego jednym zamachem pióra: — nigdy nie zgadniecie jakim sposobem?

„Wszystko na siebie przyjmuje? — zawołała Łucja.

„Toby nie wyratowało Klary, a zaszkodziłoby jemu i innym pozostałym tam więźniom.

„Może zeznał, że mu się podobała, że jęj chciał odwdzięczyć miłe spojrzenie? — rzekł Albert!

„Zgadłeś bracie, ale taki środek nie zupełnie pewnego był skutku; on użył radykalniejszego. — Zeznał że uważając zdaleka Klarę, tak silne dla nięj powziął uczucie, iż postanowił zaślubić ją; przesłał jęj 200 Reńskich i list tajemny z prośbą, aby przyjechała i nie odmówiła mu ręki swojej. I że dziś nie zmienia zamiarów swoich, ale prosi Rządęcy fortecy, aby rozkazał uwolnić Klarę i do Wenecyi ją sprowadzić jako zupełnie niewinną. — Prawdziwe bowiem były jęj zeznania, że nie wie na co suknia i pieniądze przysłane jęj zostały, gdyż list tajemny tłómaczący rzecz całą, jak widać zaginął. — Kończył Florentini podanie swoje, że tylko w takim razie odstąpi od zamiaru swego, jeżeli Klara nie zechce się zgodzić na oddanie mu ręki. — W takim wypadku prosi aby komendant odebrał od Nadzorcy więzień pieniądze przesłane Klarze, wraz z sukniami.

Zdumiał się Nadzorca gdy mu komendant to podanie przysłał wraz z poleceniem wybadania Klary. Wróciwszy do domu opowiedział żonie ten nadzwyczajny wypadek. — Zmieniła się nagle cała postać rzeczy, Klara, ich bliska krewna, ma być żoną właściciela pięknego domu w Wenecyi, dostatniego, niezależnego człowieka! — Nikt jeszcze z ich rodu nie doszedł do takiego stanu! — „Czy tylko w tém łapki jakiej nie ma? — rzekła podejrzliwa niemka do ulubionego dozorca, któren to Klarze wody nie dawał, i na swój rachunek, chcąc także w śledztwie wyręczyć męża, kazała sobie przywołać Beera. Zapytany Beer czy nie uważał żeby Florentini chciał się zbliżyć do Klary, gdy się w kancelaryi w ich domu przed

wyjs ciem znajdował? „Jakże nie! — zawołał uderzając się w czoło — oh! wyrzucam sobie żem zapomnia tego szczegółu podać Panu Nadzorcy.“ I niegodziwy potwór, w nadziei że pogorszy stan Klary tém odkryciem, opowiedział, że widział i przysiądz na to był gotów, iż wychodząc z progu Klara, jakby naumyślnie stanęła, a Florentini coś jęj powiedział i za rękę ścisnął. — Istotnie, tak było, tym sposobem złożył w jęj ręce kartkę i 10 reńskich. — Nie potrzeba było lepszych dowodów. — Żona Nadzorcy już pewną była, że krewna ich zostanie żoną obywatela Wenecyi; suknie przysłane, u nięj złożone, zostawić sobie będzie mogła bez żadnego skrupułu.

Zeznania Klary utrzymującej do ostatka, że nie wie nacoby jęj suknie i pieniądze przysłano, zgodne były z podaniem Florentiniego. Wypuszczono ją więc; ale zawsze pod strażą do Wenecyi przewiezioną została.

„A cóż Florentini? — zapytali wszyscy.

Szlachetny Florentini miał serce wolne, Klara była biędna, niższa wychowaniem dziewczyna, ale cnotliwa i miłej postaci, poślubił więc ją na prawdę.

„Oh czyż może być? — córkę Tedeska poślubił! — zawołała Margareta słuchająca opowiadania.

„Ona tylko nazwisko miała niemieckie; podobna z twarzy i charakteru do matki z Dalmacyi rodem, nie lubiła Niemców, a chowana u ciotki w Illiryi, nie czysto nawet po niemiecku mówiła.

„Widziałeś ją jak do Wenecyi przybyła? — zapytała Łucja.

„A jakże, wyszliśmy wszyscy na spotkanie jęj, mnóstwo osób znajomych i obcych znajdowało się na Piacetto gdy wysiadła. Biędna! zaledwie na nogach utrzymać się mogła, a tak ją więzienie zmieniło, że nie byłbym jęj poznał. Nie zrażał się tą zmianą Florentini, umieścił narzeczoną u swoich krewnych: — w kilka tygodni był dobry, nadzieja szczęścia, wiek młody, wszystko to zatarło ślady przeszłych cierpień; tylko jakiś wyraz w oczach rzewny, tkliwy, pozostał jęj i dodawał wdzięku. — Byłem na ślubie ich, umyślnie się w tym celu zatrzymałem. Patrząc na nich niktby nie powiedział, że to zaimprovizowane małżeństwo. Młoda Klara nie kochała jeszcze, wkrótce więc cześć i wdzięczność jakie w jęj sercu postępek męża zrodził, przeszło w prawdziwą, czystą miłość.

„Ale biędny Florentini, czy mógł pokochać tak niższą wychowaniem kobietę, o której ani myślał nigdy? — zapytała Łucja.

„Wiadomo, że kobiety nadzwyczaj prędko kształcą się, szczególnie gdy miłość jest ich przewodnikiem.

Wiadomo także, że każdy człowiek przywiązuje się do istoty którą z nieszczęścia wydzwignie, co tem łatwiej nastąpić może, gdy tą istotą jest dobra, młoda, z dużemi, ciemnymi oczyma dziewczyna. Wiercie mi, że to jest bardzo dobre i szczęśliwe małżeństwo. Wyszedłszy na wolność, znów zapadłem na zapalenie płuc, które miałem razy parę w Szpilbergu, korzystałem więc z gościnności kolegi i zamieszkałem w domu Florentiniego, którego wraz z żoną staraniami mnie otoczył, miałem więc sposobność przekonać się, że gdyby był szukał i wybierał żonę, lepszego nie mógłby uczynić wyboru.”

„A więc znów tak nie dawno miałeś zapalenie płuc? biedny bracie mój! — zawołał Alberto — o jakże się tobie wystrzegać trzeba wszystkiego, coby cię zmęczyć lub wzruszyć mogło. Pierwszy to i ostatni raz pozwoliliśmy ci tak długie i bolesne opowiadać zdarzenia. Odtąd między nami, tylko na to co cię ota-

cza, wolno ci zwracać uwagę; odtąd nie wolno ci myśli w przeszłość zapuszczać.”

„Czy to w mocy człowieka? czy ty bracie zrobiłeś rozbrat z przeszłością i nie chodzisz we wtorek na grób matki?”

„To co innego, ja silny i zdrow jestem, da Bóg że i ty jak między nami odżyjesz, towarzyszyć mi będziesz.”

Zaledwie rok upłynął, zdrowie Romea tak się poprawiło, że czasem brat, brał go z sobą na tygodniowe wycieczki — zawsze jednak posiwiałe przed czasem włosy, sztywne oczy, obumarłe spojrzenie i pochylona postać zdradzały mieszkańca Szpilberga. Alberto tylko, pocieszony odzyskaniem ukochanego brata i nadziejami, że wkrótce opuszczą Tedeski piękną ziemię jego, odżył, odmłodził, powrócił do towarzysztw; tak że ustronie ciche i samotne w Malavino, stało się pełnym życia i wdzięku.

## CZÉM CZŁOWIEK ŻYJE?

(Dokończenie).

Przeciwno wszystkim tym środkom podwyższania za pomocą cielesnego wpływu z początku sposób przyjemny działalności umysłu, mianowicie zaś fantazyi, w ostatnich czasach z bardzo nierównym skutkiem, dwóch mężów wydało wojnę. Jeden walczył bronią materjalną i tym jest *cesarz chiński* który uległ, drugi najświetniejsze odniósł zwycięstwa siłą umysłu, rozumiem tu śmiałego apostoła wstrzeźliwości, pobożnego *Ojca Matheu*. Ostatni zalecał w zamian za wyrzeczenie się którego wymagał inny napój któryśmy wzięli od Chińczyków. Potrzebowałoby może to dokładniejszego zbadania czy ten napój to jest *Herbata*, jest rzeczywiście niewinnem następstwem, nad czem się tu jednak dłużej zastanawiać nie mogę, — przy tej jednak zręczności nie mogę nie zwrócić uwagi na ciekawą i także jeszcze nierozwiązaną zagadkę. W 1554 r. powstało w Konstantynopolu gwałtowne zaburzenie; wyższe duchowieństwo wpadło do Sułtana i groziło wszelkimi postrachami na jakie obowiązek jego dozwalał, przyczyną zaś tego było świetne powodzenie otworzonych w tymże roku pierwszych kawiarni. Były one oblegane po całych dniach, meczety zaś były opuszczone. Sułtan doradził sobie korzystnym dla siebie wybiegiem; nałożył na kawiarnie wysoki podatek, i tym

sposobem uspokoiwszy Muftych, przyczynił sobie znacznego dochodu, wszakże pomimo tego, użycie kawy rozszerzyło się z nadzwyczajną szybkością po całej Europie. W 1652 Grek *Pasyna* w *Georgo-Yard* przy ulicy *Lombard*, (według M'Culloch w St. Michaels-Alley na Cornhill w tem miejscu gdzie teraz znajduje się kawiarnia Virginia) założył pierwszą londyńską kawiarnię, a w 1671 odkrytą została pierwsza kawiarnia w Marsylii. W ogóle produkt ten wynosi teraz około 500 milionów funtów, gdy przed 150 laty zaledwo przechodził 10 milionów funtów. W roku 1820 A. Humboldt obliczył konsumpcją jej w Europie na 150 milionów funtów, wartości 30 milionów talarów, gdy terażniejsze spożebowanie 250 mil. funtów może jeszcze nie dosięga wartości 28 mil. talarów. Zkąd bierze początek użycie za napój kawy, kto odkrył ten drogi przedmiot? Nic o tem nie wiemy. Najpewniejsze o tem wiadomości znajdujemy w dziele Szejka *Abd-Alkader-Ebn-Mohammed* z roku 1566, którego nam udzielił Sylwester de Sacy w swojej *Chrestomathie arabe*, a które nosi tytuł: „Podpora niewinności pod względem prawności kawy.”

Potem na początku XV wieku bardzo uczony i pobożny Szejk *Dżemal - Eddin - Ebn - Abu - alfaggar* wprowadził picie kawy do *Aden*, który w nowszych



czasach tak politycznie stał się ważnym, zkaąd się ono wkrótce rozszerzyło do *Mekki* i *Medyny*. Sam on obeznał się z tym napojem w Abissynii, gdzie od niepamiętnych czasów był on w użyciu. Całkiem zatem fałszywem jest mniemanie, że kawa początkowie pochodzi z Arabii.

Równie często pijano tam odwar przypalonych łupin również według arabskiego wyrazu *Bounn* nazywanych bobów. W obudwu razach trunek nazywał się *Kahwa*. Już wówczas mądrzy ludzie jak np. *Tad-jeddin - Ebn - Jacoub* zalecali przy kawie picie zimnej wody dla zapobieżenia następującej po jej użyciu bezsenności. To właśnie sprzeciwiało się powodowi wprowadzenia kawy. Mianowicie zaś chciano się zapomocą niego utrzymać w bezsenności podczas świątecznych nocy dla modlitwy. I tak z początku zwłaszcza podczas nabożeństwa czerpano i rozdawano kawę małą czarką z wielkiej szarej konwi, łatwo więc się tłumaczy dla czego napój ten zaraz stał się przedmiotem napaści dla niektórych mahomekańskich prawowiernych i w ogólności mógł zostać przedmiotem uczonych teologicznych badań. Nawet przeciwnicy kawy tak daleko zaszli, że utrzymywali, iż w dzień zmartwychwstania twarze tych którzy używali kawy, okażą się jeszcze czarniejszemi od osadu kawy. Ponieważ zaś według koranu w ogóle kobiety nie wejdą do raju, mogą więc bez obawy oddawać się użyciu ulubionego swego napoju.

Zresztą według innych wiadomości udzielonych przez Abd-Alkader-Ebn-Mohammed okazuje się, że w Abissynii użycie za napój kawy daleko sięga po za czasy historycznych wspomnień, i że nawet w Arabii kawa jako napój co do działania swego podobny, wypędził *Kafę* przygotowywany z liści *Cat* <sup>3)</sup> którego użycie odziedziczonem było od ojców również bez wiadomości o jego początku.

Z początku wylądowania Hiszpanów do Meksyku, zapoznali się oni z miejscowym od niepamiętnych tam czasów używanym napojem, który Meksykanie nazywali *Chocollatt*, i przygotowywali go z nasion drzewa nazywanego się u nich *Cocahouquahuilt*, drzewo kahnowe. — Jak daleko później rozszerzyło się panowanie hiszpańskie, tak daleko też upowszechniło się używanie za napój czekolady, reszta zaś Europy obficie przyczyniła się do rozszerzenia się tego nowego napoju.

Na początku XVII wieku dano rosyjskiemu poselstwu do Chin w zamian jako podarunek za przepy-

szne sobolowe futra, starannie upakowane wysuszone zielone liście, a nawet narzucano je wbrew opierania się przeciwko tak nieużytecznemu towarowi. Lecz gdy takowe do Moskwy z sobą przywiozło i gdy je kazano bardzo ostrożnie przygotować, *herbata* gdyż ona to była, znalazła zaraz wielkie pochwały. W tymże prawie czasie, hollenderska wschodnio-indyjska kompania odważyła się puszczać w handel do Chin, szalwije którą wtenczas podobnie jak dziś herbatę używano, za którą otrzymano równą ilość chińskiej. W 1664 angielska wschodnio-indyjska kompania sądziła, że królowi angielskiemu wielki zrobi podarunek z dwóch funtów herbaty. Użycie w Chinach herbaty za napój gubi się w najdawniejszych czasach, a powieści mówią już o tem z pewnością jeszcze w trzecim wieku. Najdawniejsza chińska powieść wspomina wyraźnie o przyczynie wprowadzenia picia kawy w Arabii. Opowiada ona: że pewien nabożny pustelnik który w czasie czuwania i modlitwy często był napastowany od snu, tak, że mu się sklejały oczy, przejęty świętą gorliwością i rozgniewany na słabe ciało, obciął sobie powieki i rzucił je na ziemię. Lecz jakiś Bóg pozwolił z nich wyrość krzakowi herbaty, którego liście okazują jeszcze kształt powiek obsadzonych rzęsami i posiadają własność odpędzania snu. Gdy Europejczycy nauczyli się poznawać herbatę, powszechnie już była ona rozszerzona po całej południowo-wschodniej Azji, i niedługo Europa pozostała w tyle za swoimi nauczycielami. Dziś morzem corocznie przywozi się z Chin około 100 milionów funtów, przez Kiachtę blisko 10 milionów, do Tybetu, Indyi itd. wysyła się może blisko 30 milionów. W samych Chinach i Japonii spożywa się jej pewnie 400 mil. funtów, tak, że całą produkcją pewnie nie zbyt wysoko oszacować można na 500 milionów funtów. Z tą samą namietnością z jaką Chińczyk używa swojej herbaty, Brazylijczyk i cała prawie ludność południowej Ameryki cieszy się swoim *Maté* czyli *Paraguajską herbatą* to jest liśćmi brazylijskiej *kolczastej palmy* <sup>4)</sup>, które przy pewnych okolicznościach za jedno brane bywają z *Camini* <sup>5)</sup> lub *Guarana* rodzajem kawy przygotowanym z nasion *Paulinii* <sup>6)</sup>. I użycie też *Maté* znanem jest w Brazylii od niepamiętnych czasów.

Tak więc napoje te stały się wszędzie koniecznymi potrzebami życia, wszędzie początek ich użycia

<sup>4)</sup> *Ilex paraguagensis*, St. Hil.

<sup>5)</sup> Liści *Cassim Gongonha*, Mart.

<sup>6)</sup> *Paulinia sorbitis*, Mart.

<sup>3)</sup> *Catha edulis*, Forsh.

pokryty jest mitycznym cieniem, wszędzie człowiek przywiedzionym do nich został nie tylko rozumną rozważą, znajomością ich własności i działań, porównaniem ich ze znajomymi już pożywnymi materiami, lecz jakby instynktowie przyjął te napoje do liczby codziennych swoich potrzeb.

Dla wielkiej ważności tego środka samego przez się i dla interesu jaki wspomniane dopiero uwagi musiały wzbudzić, Chemia starała się pokazać o ile się ona może przyczynić do wyjaśnienia tych dziwnych zjawisk. Wypadek otrzymany został przeciwko wszelkiemu oczekiwaniu, i bardziej jeszcze zamącił tę zagadkę. *Oudry* znalazł w herbacie pierwiastek krystalizujący się w cienkie białe igły które nazwał *Teiną*, a który stanowi około  $\frac{1}{2}$  proc. samej herbaty. Dawniej jeszcze w 1820 r. *Runge* odkrył w kawie substancję, której delikatne jedwabisto połyskujące kryształy stanowią w kawie zaledwo  $\frac{1}{3}$  procentu. *Runge* nazwał ją *Koffeiną*. Kto inny znalazł w kakao *Teobrominę* w niewielkiej ilości, potem wykazano teinę w *Maté*, kofeinę w *Guaranu*, a na koniec dokładniejsze badania pokazały, że teina i kofeina są jednym i tymże samym pierwiastkiem, odznaczającym się od wszystkich znanych roślinnych pierwiastków nadzwyczajnie wielką proporcją saletrorodu i że Teobromina jeżeli może nie jest z nim jednakowym, to bardzo jednak do niego zbliżonym. Czyż nie powinno by to w wysokim stopniu zastanawiać, że chociaż bardzo mała ilość jednego i tegoż samego szczególnego pierwiastku znajdować się musi w tych wszystkich napojach, które tak dziwnie prędko stały się koniecznymi potrzebami całej zamieszkałej ziemi?

Godna to uwagi zagadka od której rozwiązania tem bardziej jesteśmy oddaleni, że robione doświadczenia przez lekarzy i chemików nie dały dotąd z pewnością poznać żadnego szczególnego działania, po użyciu małych ilości czystej teiny, przeto pierwiastek ten okazuje się być bez widocznego działania na zwierzęcą ekonomiją.

Po tem zboczeniu które z resztą nie jest tak dalekim od głównego pytania wracam znowu do mego zadania. Człowiek zatem potrzebuje dla swego pokarmu trzech obfitujących w saletroród substancji: *włóknika*, *twarogu* i *białka*, a te znajduje nie tylko w państwie zwierzęcem lecz także i w państwie roślinnem powszechnie rozszerzone. Dalej zużywa on dla utrzymania oddychania, a przez to i ciepła pewnej ilości substancji wolnych od saletrorodu, które mu w obfitej massie dostają się oprócz tłustości

u zwierząt od największej części i najbardziej rozszerzonych roślinnych materii.

Teraz bardzo łatwo wyjaśniają się nam niektóre z najwidoczniejszych zjawisk w sposobie karmienia ludzi i zwierząt. Narody myśliwskie i mięsożerne zwierzęta, potrzebują wielkiej ilości ubogiego w tłuszcz pokarmu. Wyteżoną cielesną czynnością, muszą one na-przód ten pokarm zawierający saletroród rozkładać na dwie składowe części, jedną całego saletrorodu, a drugą zawierającą część węglerodu i wodorodu, i dopiero tę ostatnią używają do oddechania, gdyż przy niepalności saletrorodu substancje zawierające go, są do tego niezdatne. W tem właśnie znajduje tłumaczenie niespokojny i nieustannie czynny sposób życia drapieżnego zwierzęcia jakoteż i myśliwego, gdyż tyle tylko oni gwałtownem wysileniem ciała rozłożyć mogą zawierającego saletroród pokarmu, aby dla procesu oddechowego dostarczyć potrzebnego materiału. Lecz tem także łatwo tłumaczy się wielka masa pokarmu jakiej wymaga taki sposób życia, gdyż powiększej części daleko więcej niszczy się zwierzęcego życia aniżeli to odpowiada bezpośrednio potrzebie pokarmu. Dla tych dwóch przyczyn rozdzierające zwierzę równie jak naród myśliwski, potrzebują rozleglejszego obszaru dla swego bytu, i uwarunkuje bardzo szczupłą ludność.

Przejsie stanowi tu chów bydła, gdyż człowiek używa zwierząt domowych dla zaopatrzenia się częstkami przy mięsnych potrawach wolnymi od saletrorodu, w składowych częściach mleka, w obfitym tłuszczu zwierząt domowych, całkiem prawie zbywającym u dzikich zwierząt.

Najodpowiedniejszy zaś sposób życia prowadzi rozsądny lud zajmujący się rolnictwem, który środki żywności swojej miesza zupełnie w tym stosunku w jakim je natura niemowlęcia w mleku zmieszała. Ta bowiem ostatnia zatrzymuje w pierwiastku sernym karmiące środki zawierające saletroród, a w maśle i mlecznym cukrze w najdokładniejszej proporcji środki oddechowe wolne od saletrorodu. Po za tą granicą znajdujemy u ludów ostateczności które jak np. plemiona wschodnio-indyjskie, ludy murzynów i mieszkańcy niektórych europejskich okolic żyją jedynie ryżem, bananami, kartoflami i podobnymi roślinnymi pierwiastkami, w których bardzo mało zawiera się cząstek wolnych od saletrorodu. Ztąd to ogromne ilości pokarmów które te narody zmuszone są wewnątrz przyjmować, ażeby z tej masy środków oddechowych wyszukać potrzebną ilość prawdziwych środków karmiących. Obok tych ludów na równi stoją

nasze roślinami tylko żyjące domowe zwierzęta i inne roślinożerne przepędzające całe swe życie na jedzeniu i śnie, a które muszą przyjmować w siebie wielkie masy, gdyż stosunkowie mała tylko ilość *prawdziwego* pokarmu w nich się zawiera. Nakoniec u wszystkich podbiegunowych ludów, znajdujemy nadto nieumiarkowane użycie tłuszczu, jako nierozłącznie związane ze sposobem życia w tym klimacie. I tu także bardzo łatwo z poprzedzających uwag daje się wytłómaczyć ten popęd natury. Człowiek dla przedłużenia życia musi tu wyrabiać większe ilości ciepła a do tego też potrzebuje większych ilości materiału palnego; do tego zaledwo jaka inna substancja może być równie dobrą, jak tłuszcz zwierząt składający się całkiem prawie z węglorodu i wodorodu.

Wszystkie zatem nasze uwagi przywiodłyby nas do przyznania: że cały świat zwierzęcy żyje tylko światem roślinnym, albo bezpośrednio za pomocą roślinnego pokarmu albo też pośrednio przez to że roślinożerne zbierają właściwe karmiące pierwiastki z roślin dla mięsożernych, odkładają zaś w kształcie tłuszczu środki oddechowe wolne od saletrorodu. Lecz tu nie znajdujemy jeszcze rozwiązania i samo przez się narzuca się nam pytanie, czem przeto żyje roślina?

Odpowiedź na to pytanie obejmuje przedmiot najwyższych roztrząsań jakie tylko w nowszych czasach w nauce prowadzone były, obejmuje ona teorią najważniejszego rzemiosła jakie człowiek wynalazł, to jest rolnictwa. Odpowiedź na to pytanie znajduje się już po części w połowie przeszłego wieku u Fizyologów roślin i Chemików, odtąd była dokładniej przez niektórych rozwijaną, lecz dopiero w ostatnich czasach przez Liebiga z całą żywością i jasnością wyłożona, tak, że natychmiast wzbudziła żywą i ogólną walkę, która tem się kończy że prawdziwa zasada ogólnie zostanie uznana i jako nowo wynaleziona litera, przydana będzie do abecadła nauki.

Musimy tu zaraz zapytać z czego powstaje roślina? Jeżeli poprzedniczo, jakeśmy to uczynili przy zwierzęciu, pominiemy składowe nieorganiczne części, ziemie i sole, to dana już jest odpowiedź w dwóch wyżej wzmiankowanych szeregach. Albowiem ciało rośliny zbudowane jest z cząstek wolnych od saletrorodu to jest z *tkanki komórkowatej* i *rośliny galarety*, które zupełnie podobnie są złożone jak inne pierwiastki, *cukier*, *gumma*, *krochmal* i tylko się różnią od rodzajów *tłuszczu* i *wosku* mniejszym stosunkiem kwasorodu w tych ostatnich. Przytem też roślina potrzebuje saletroród zawierających cząstek

nie tylko dla zbudowania swego ciała, lecz dla wzbudzenia chemicznego procesu, przez który powstaje przekształcanie przyjętych pożywnych pierwiastków. Pytanie zatem o karmieniu rośliny obejmuje pytanie o początku węglorodu i saletrorodu, gdyż wodorodu i kwasorodu dostatecznie dostarczają woda i powietrze atmosferyczne. Powszechnie dotąd utrzymujące się mniemanie sięgało o tyle, że roślina bierze swój węgloród i saletroród z pognoju czyli z próchnicy (chumus) gruntu.

Albowiem wszystkie ciała zwierzęce i roślinne zaraz po śmierci przechodzą w process rozkładu, za pomocą którego wcześniej lub później przemieniwszy się w kwas węglowy, ammoniak i wodę, rozpływają się w atmosferze. Dopóki jednak ten process rozkładowy nie zupełnie się skończył, pozostaje zmieniiona już brunatnego lub czarnego koloru reszta, który na początku rozkładu nazywają nawozem, ku końcowi zaś jego próchnicą lub drzewiastą ziemią. Jest to skomplikowana mieszanina wielu rozkładowych produktów. Rozumowano tym sposobem: Węgloród i saletroród obficie znajdują się w próchnicy; na jednym gruncie bogatym w próchnicę czyli dobrze ugnojonym, lepiej udają się rośliny jak na gruncie ubogim w chumus, a zatem próchnica jest źródłem węglorodu i saletrorodu roślin. Całemu jednak temu rozumowaniu zbywa na wniosku.

Był na naszej ziemi czas: w którym żadna roślinność nie pokrywała stałej powłoki, w którym nie żyło żadne zwierzę, w którym nie mogło być żadnej próchnicy. Na tym postawionym próchnicy gruncie, rozwinęła się stopniami w tak wielkiej massie roślinność, w tak olbrzymiej bujności, że ta będąc późniejszymi rewolucjami ziemi zagrzebaną i dla nas zachowaną, zajmuje dziś bardzo ważne miejsce w gospodarstwie dzisiejszej ludzkości, mówię tu o roślinności jednej z najstarszych geognostycznych formacji o peryodzie węgla kamiennego. Rocznie spożycie węgla wynosi przeszło 700,000,000 cetnarów, Geognozya zaś pokazuje, że przy wzrastającym nawet zużywaniu, zapas ten wystarczy jeszcze z pewnością na lat 500. Ten zaś zapas odpowiada około 250,000,000,000 cetnarom węglorodu, którego widocznie rośliny nie mogły wydobyć z pozbawionego próchnicy gruntu pierwotnych czasów. Fałszywe owe rozumowanie przypuszcza w cichości następującą hipotezę:

„Na ziemi znajduje się oznaczona ilość organicznej substancji, krążącej pomiędzy państwem roślinnym i zwierzęcem, umierające zwierzę służy roślinie

z a pokarm i wzajemnie rozwinięta roślina służy zwierzęciu.”

Mogłoby to bardzo dobrze mieć miejsce, gdyby w to nie wchodził process gnicia, przez który niewątpliwie stale przynajmniej część organicznej substancji ujmuje się od zwyczajnego krążenia i jako nieorganiczne połączenie jako kwas węglowy i amoniak ulatnia się w atmosferę. Lecz tym sposobem po upływie tysiąca lat musiałaby cała przypuszczalnie wraz z ziemią stworzona organiczna substancja, dawno już być spotrzebowana. A właśnie przeciwną temu rzecz znajdujemy. Równie w przebiegu wielkich geognostycznych peryodów jakoteż w przebiegu poczynającej się z człowiekiem historii ziemi, okazuje się nam z jednej strony od peryodu, z drugiej od jednego stulecia do drugiego coraz większa obfitość organicznego życia, ciągle pomnażanie się świata zwierzęcego i roślinnego. Skądżeby ona pochodziła gdyby nie było processu, przez któryby w krążenie tego w organiczne nie była wprowadzana substancja nieorganiczna. Z drugiej strony łatwo możemy wyrachować jak ogromna ilość amoniaku i kwasu węglowego musiałyby być nagromadzone przez processa oddechania i gorzenia, przez gnicie tak wielu miliardów ciał zwierzęcych i roślin i przez ciągle wyziewy wielkich wulkanów w powietrze od tysięcy lat, gdy w istocie amoniak znajduje w atmosferze w znikających małych ilościach, a kwas węglowy w oznaczonej lecz bardzo małym nadziale. Musi przeto mieć miejsce bardzo prawidłowy odpływ, za pomocą którego materje te równie atmosferze ujmowane są i znowu do organicznego świata wcielone. I tegoż samego możemy dowieść jak na wielkiem tak równie i na małym, na częściach świata i na coraz mniejszych działach.

*Pompasy południowej Ameryki* w czasie zawładania nimi przez Hiszpanów, posiadały równie jak teraz też samą szczupłą, sztywną vegetacyą, o ile ona w pobliżu tuż przy miastach i przez zdziczenie wielkich ostów stepowych i karczochów niezmienną zostaje; taż sama rzadka ludność, taż sama miejscowa ilość zwierząt jak i dziś przebiegały po tych pustych równinach. Hiszpanie wprowadzili konia i bydło rogate i te w niesłychanie krótkim czasie rozmnożyły się w takiej massie, że samo miasto *Montevideo* wynosi rocznie 300,000 skór wołowych, że wojny generała *Rosas* kosztowały wiele set tysięcy koni, a przecież najmniejszej części nie znać było w ich ubytku. A zatem miejscowe organiczne życie w massie swojej nie zmniejszyło od czasu odkrycia przez Hiszpa-

nów, owszem znacznie się powiększyło, a razem też miliony funtów węglorodu i saletrorodu zmieszane z organicznymi substancjami, wywiezione zostały za pomocą handlu wołowemi skórami, chociaż kraj ten nie otrzymał najmniejszego wynagrodzenia w organicznej substancji. Skądże inąd mogą pochodzić te massy jeżeli nie z atmosfery? — Nie zważając na wszystkie inne składowe części herbaty, Chiny wywożą corocznie z połową procentu teiny przeszło 300,000 funtów saletrorodu, nie otrzymując za to mogącego być wspomnianem jakiegobądź wynagrodzenia. — Z utrzymywanego w dobrym stanie lasu otrzymujemy rocznie na morg prawie półtrzecia tysiąca funta suchego drzewa, które zawierają około 1000 funtów węglorodu. Lecz nie ugnajamy leśnego gruntu a jednak proporcya jego co do próchnicy daleką będąc od wyczerpania, wzrasta owszem rok rocznie przez obłam wiatru i spadanie liści. Na niedostępnych dla każdego zwierza szwajcarskich i tyrolskich Alpach, dziki kosarz corocznie wykasza oznaczoną ilość trawy, nie zwracając gruntowi najmniejszej części organicznej substancji. Skądże pochodzi to siano jeżeli nie z atmosfery? Roślina potrzebuje węglorodu i saletrorodu, w Ameryce zaś południowej, w lesie, na dzikich Alpach, niema podobieństwa wziąć skąd inąd te pierwiastki, jak za pomocą amoniaku i kwasu węglowego atmosfery. Północne i południowe prowincye Hollandyi jakto: Fryzya, Groeninga i Drontha wywożą corocznie w swoich sérach około miliona funtów saletrorodu. Za pomocą swoich krów odejmują go swym łąkom które nie inaczéj tylko przez pasące się na nich bydło bywa ugnajany. Przez to jednak łąki żadnego nie otrzymują wynagrodzenia gdyż wszystko co krowy produkują pochodzi z łąk. Skądże więc biorą się te ogromne massy saletrorodu? Może Wezuwusz lub Etna albo też wielkie ogniste paszcze Kordylierów wyzionęły te massy węglane amoniaku, który będąc przyniesionym roślinom na hollenderskich łąkach za pomocą prądów powietrza, od tych zaś za pomocą krów, nakoniec jako pierwiastek sérny stał się przedmiotem handlu i zaostrenia smaku.

Te i inne razem wzięte niezliczone fakta dają już nam bardzo pewny wypadek, który nakoniec stał się zupełnie niewątpliwym przez próby *Boussingaulta* najznakomitsze i jedynie prawie prawdziwie naukowe jakie kiedykolwiek pod względem wiejskiego gospodarstwa przedsięwzięto. *Boussingault* w majątku swoim *Bechelbrunn* w Alzacyi przeznaczył na doświadczenia 4 hektary ziemi (równy 16 heskich





*Rome*

morgów) i te z tą samą dokładnością były przez wiele lat powtarzane. Długość czasu, wielkość użytego obszaru, obalają wszystkie zarzuty które mogą być zrobione próbom przedsiębranym na małą skalę. Boussingault kazał te 16 morgów przez wszystkie lata próby urządzić zupełnie na sposób używany w Alzacyi. Ważono jednak dokładnie wywożony nawóz, jak równie i to co w każdym jednym roku było zebranem, a z tego i drugiego ścisłemi chemicznemi poszukiwaniami ciągle oznaczano zawartą w nich ilość węgłorodu, wodorodu, kwasorodu, saletrorodu i składowych części popiołu. Wypadkiem tych doświadczeń było, że średnio w ciągu roku z gruntu przez żniwo odbiera się, saletrorodu we dwójnasób, węgłorodu i wodorodu we trójnasób, a kwasorodu we czworo tyle ile się tego doń wnosi z pognojem, przy czem też przypuszcza się że cała proporcya nawozu idzie na korzyść roślinom co rzeczywiście nie może mieć miejsca.

Jeżeli więc kwas węglowy, ammoniak i woda są pokarmem dla roślin, i jeżeli znajdziemy, że nigdy tych pierwiastków nie możemy tak połączyć, żeby one nie zawierały daleko więcej kwasorodu jak substancje znajdujące w roślinach, musi więc koniecznie przy żywotnym procesie roślinnego życia nieustannie oswobadzać się i być wydzielanym gaz kwasorodu.

Takim sposobem za ostateczny wypadek naszych uwag otrzymujemy wniosłe poglądy o zamianie pier-

wiastków w trzech państwach natury. Gnicie i process oddechania rozwiązują, przy zmniejszeniu kwasorodu atmosfery, wszystkie roślinne i zwierzęce pierwiastki na kwas węglowy, ammoniak i wodę, rozchodzące się w tejże atmosferze. Pierwiastki te zabiera roślina, tworząc z nich przy ciąglem powiększaniu się kwasorodu atmosfery, składowe części wolne od węgłorodu i saletrorodu jakoto: krochmale, gummy, cukier i gatunki tłustości; jakoteż części wolne od saletrorodu to jest: białko, włóknik i twarog. Częstki te służą zwierzęciu gdyż z tych ostatnich buduje ono swoje ciało, pierwsze zaś spala processem oddechem dla utrzymania potrzebnego ciepła. Teorya ta niewzruszenie dziś jest oparta na wyżej przywiedzionych faktach, i z tem wszystkim badacz natury ma słuszość, mówiąc: że człowiek za pośrednictwem roślin w ostatecznym wypadku żyje powietrzem. Albo raczej wyrażmy to następnym sposobem: roślina zbiera z powierzchni pierwiastki z których składa dla człowieka żywność. Życie zaś samo jest tylko processem palenia a gnicie jest ostatniem jego zakończeniem. Przez palenie się wszystkie składowe części znowu wracają w powietrze, mała tylko cząstka popiołu pozostaje dla ziemi, z której on powstaje. Lecz z tych powolnych, niewidzialnych płomieni wznosi się nowo zrodzony fenix, to jest nieśmiertelna dusza, w krainy, w których nasza przyrodzona nauka żadnego już nie ma znaczenia.

T. K. D.

## R Z Y M

(z RYCINĄ CZARNĄ).

Patrzając na Rzym, zwiedzając te gmachy na szczątkach innych wznoszące się gmachach, lub te rozwaliny na dawniejszych rozwalinach sterczące, nie wiadomo nad czém zastanowić się mamy; czy nad klęskami które przez tyle wieków gradem spadały na to miasto, czy nad siłą cudowną prawdziwie, z jaką to miasto podźwignąć się z nich umiało. — Wszystko to działo się w olbrzymich rozmiarach — klęska czy wzrost po niej, zawsze Rzym albo przywalony w gruzach, albo panuje światu!

Żadna na świecie stolica, nie wytrzymała tyle szturmów, tylu napadów, czy to od najazdów barbarzyńskiej dzicy, czy od własnych stronnictw tak politycznych, jak później religijnych; były chwile w których wszystkie klęski waliły się na nią. — Długo byłoby opisywać, choćby najtreściwiej zebrane wypadki,

które jak nawałnice morskie, pochwywszy wspaniały okręt, raz go zanurzają, to znów dozwolą mu, na powierzchnią wypłynąć.

Pominiemy więc klęski dawnych wojen i napadów, a wspomnimy tylko bliższe naszych czasów, które zdawały się grozić zupełnym zniszczeniem lub przynajmniej zupełnej zmianie położenia i stosunków tego miasta względem Europy.

Nadeszła najstraszniejsza epoka niezgód między rządzącymi kościołem, i zdawało się, że już w wieku XIVm wybiła ostatnia godzina istnienia Rzymu. Zniszczony, spustoszony wojnami, nadto dotkniętym jeszcze został najstraszniejszą plagą, bo trzęsieniem ziemi z powietrzem! a powietrzem długo i gwałtownie niszczącym! Nie raz to pierwszy ta straszna klęska pustoszyła miasto. — Za Grzego-

rza Igo Wielkim przezwanego, uległ Rzym téj zarazie, ależ nigdy nie doszła ona do takiego stopnia jak około roku 1348go. — Odwieczne w nim budowle i późniejsze już ręką chrześcijan stawiane, poprzednio przez szturmy i ogień zniszczone, dziś trzęsieniem ziemi w posadach swoich wzruszone; straszny zniszczenia przedstawiały obraz! — Lud, ślady choroby długo noszący na sobie, stracił to piętno Rzymskiej piękności i dzielności razem. Trydziestoletnie walki w samymże kościele z odszczepieństwem, wytrąciły siłę i powagę jakiej używali byli Papieże. Przeniosłszy stolicę Apostolską do Avignonu, nie mogli skutecznie opiekować się opustoszałym Rzymem; tém bardziej, że obalamucone narody tworząc stronnictwa, ogłaszając jedni tego, a drudzy owego Papieżami, jak np. Urbana VIgo przyjętego przez Włochy i Francję.

Czytając historję tych strasznych przejść kościoła naszego, takimi odszczepieńcami i niezgodami podkopanego, zawołać musimy z jednym Protestanckim pisarzem: „Istotnie musi być coś cudownego w instytucji kościoła katolickiego, któren zawsze znajduje w sobie równą siłę czy to w szczęściu czy w nieszczęściu, czy we wzroście czy w upadku! Kiedy tém czasem inne instytucje krótszego bytu i nie narażone na takie klęski, stały się bezwładne, karłowate, lub też zupełnie upadły.” Taż sama cudowność uderza nas przebiegając dzieje Rzymu, jakby od chwili urodzenia swego na stolicę świata namaszczonego. Bo któżby był powiedział patrząc na to ostatnie zniszczenie, na trzody chodzące między uszkodzonymi murami kościoła, zrywające trawę aż u stóp ołtarza Śgo Piotra, na miasto pozbawione zakładów naukowych, dobroczynnych instytucji przez poprzednich Naczelników kościoła pozakładanych; że znów w krótkim czasie, światu panować będzie? Opisy tego straszego stanu i potężniejszy niż kiedykolwiek pierwój zagłady miasta, znajdują się w archiwach Rzymskich, a mianowicie w odezwie mieszczan Rzymskich do Grzegorza XIgo uczynionych. — Zjechał Grzegorz na wezwanie Rzymian do dawnéj stolicy poprzedników swoich, lecz nie wiele mógł los jój poprawić w ówczesnych okolicznościach, przechodziło to możność jego; albowiem rozdwojenie w duchowieństwie trwało zawsze, — a gdy w rok potém umarł, a Klemens VIImy anty-papieżem zwany, Rzym zamieszkał, znów skutkiem wojen stronnicych miasto nowemu uległo zniszczeniu.

Nareszcie nadszedł rok 1417 któren jedną z najważniejszych epok Rzymu nazwać można. — W tru-

dnym okolicznościach, w jakich się w ów czas kościół znajdował, gdy Grzegorz XIIty uznawszy ważność woli kosylium która mu usunięcie od władzy radziła, a nadto uznawszy znikomość rzeczy ludzkich, złożył dobrowolnie tjarę, gdy także za radą wielkiego Konstantyńskiego konsylium, Benedykt XIIIty anty-papieżem zwany złożonym został. — Marcin Vty Colonna z dawnéj dotąd istniejącej rodziny Rzymskich magnatów, obrany Papieżem wjechał pontyfikalnie do Rzymu na białym rumaku, którego za cugle sam cesarz prowadził. — Odtąd rozpoczęła się zwolna postępując, śmietność, *nowego Rzymu*. Marcin Vty lubo nie odpowiedział oczekiwaniu w niektórych względach, a mianowicie co do reform jakich potrzebowało rozprężone duchowieństwo, z powodu wewnętrznych niezgód, wielkie wszakże oddał kościołowi i jego miastu przysługę, kładąc koniec rozdwojeniom. — Energja i zręczność jego odniosły zwycięstwo znaczne nad odszczepieństwem, bez siły oręża, prześladowania, przeciagnął stronników przeciwnych do jedności kościoła i odtąd Rzym nie był narażonym na domowe wojny — odtąd wznosić się począł, a w końcu panować światu w inny jak przed wiekami sposób: nie orężem ale siłą ducha i inteligencyi. Odtąd naczelnicy kościoła nie opuszczali go więcej, a koło nich jak w pierwszych po najazdach dziczy czasach, kupili się dobrowolnie mieszkańcy, już to rozbitki z dawnych rodzin, już to zupełnie inni, chcący się ustrzedz od klęsk na jakie wojny domowe w innych prowincjach lub prześladowania rządzących na nich sprowadzali; wzrastały więc pałace i gmachy, zakłady naukowe i dobroczynne. Jako stolica świata otwarte mając bramy dla wszystkich narodów, Rzym wkrótce stał się prawdziwie miastem powszechném. Stolica Apostolska pociągała całego świata pielgrzymów, Uniwersytet pociągał goniących za nauką, a szkoła nowa wyższa, na uznaniu moralnego piękna oparta, wabiła artystów. Dawna pogańska wspaniałość, jaką jaśniały wszystkie gmachy Rzymskie, zastąpiona została arcydziełami mistrzów sztuki najpierwszych w świecie. — Niezaniedbywano wszakże i dawnych odgrzebywać pamiątek. — Jednym słowem, Rzym stał się jakby wielkim Muzeum starożytności a razem i nowotnéj sztuki.

Napoleon Iszy jak wiadomo, targnął się na bogactwo Rzymu, jak twierdzą przeszło 3,000 obrazów a 30,000 medalów ze sławnego zbioru Watykańskiego, tyleż ze zbioru drogich kamieni, do Paryża przewiezione zostało — w rzeźbach również poczy-



niono szkody.—Mocarz ten, chcąc stolicę swego państwa uczynić najpierwszą, zapragnął aby Papież rezydencję swoją przeniósł z Rzymu do Paryża.— Znów tedy Rzym został zagrożonym: z przeniesieniem stolicy Apostolskiej, byłby naturalnie upadł, schodząc na stanowisko innych miast europejskich. Stałość ze strony Pjusa VIIgo nieustraszonego gwałtownymi środkami, zastanowienie się głębsze ze strony wielkiego wojownika i polityka razem, skłoniły zgodnie tę sprawę ukończyć.— Nareszcie sam Napoleon uznał, że tylko w Rzymie, w stolicy odwiecznej świata, Papież panować winien. „Cóżby było — (słowa Napoleona w historii Thiersa przytoczone), „żeby Władza tak potężna stała obok rządu jakiego „krajowego? W zgodzie — stanęłaby na równi z Azjatyckim despotyzmem; w niezgodzie — lub nieprzyjaźni—jako współzawodnica, stałaby się w kraju najokropniejszą przeszkodą. Najlepiej jest dla każdego „z nas że mieszka *nie u niego!* i że nie mieszkając *u niego*, nie mieszka u którego ze współzawodników: „On że mieszka w swym starym Rzymie, zdala od przewagi cesarzów niemieckich, królów francuzkich lub Hiszpańskich, że trzyma w równowadze katolickie trony to dobrze. Przechyla się on czasem na stronę „mocniejszego, lecz wnet powstaje, gdy mocniejszy „staje się ciemiejącą. Na tę instytucję składały się „wieki i dobrze nam z nią.”

Nie zakończymy téj krótkéj o Rzymie wzmianki, wyliczaniem i opisem nowych lub starych Pałaców, Wodociągów, Mostów i Kościołów; na dokładny opis jednéj Bazyliki Śgo Piotra, miejscaby w tym artykule nie starczyło; a nadto opisy te w każdym przewodniku podróży spotkać można mniej więcej dokładne i obszernie. Wspomnimy tylko jeszcze o niektórych instytucjach dobroczynnych i o życiu towarzyskiem.— Na największą uwagę zasługuje zakład dla więźniów a raczej miejsce kary; gdzie zbrodniarze są pilnowani przez Zakonnice, poświęcające się na to dobrowolnie. W Morawii, zakład kryminalistów na wzór Rzymskich zorganizowany, gdzie 1200 mężczyzn, za różnego rodzaju zbrodnie skazanych, pilnuje 20 Siostr miłosierdzia, znanym jest rodakom naszym pod panowaniem austrijackim mieszkającym: widać tam błogosławiony wpływ jaki siostry wywierają na tym szpitalu moralnymi chorobami zapelnionym. Staraniem pełnym miłości i poświęcenia, przykładami łagodności i pobożności, obudzają one

w grubych a nawet zepsutych naturach, taki urok, taką cześć, że je uważając za nadziemskie istoty, posłusznymi im są zupełnie.

Godny ten chrześcijańskich instytucyj wzór, zrodził się w Rzymie, gdzie nie jeden, tak żeński jak męzki podobny zakład, utrzymuje się z najlepszym skutkiem od lat wielu. Rzym posiada także dwadzieścia kilka domów na schronienie dla ubogich i sierot przeznaczonych, wktórych, stosownie do wieku, znajdują zajęcie i naukę. Podług urzędowych wyrachowań, codzień odbiera wsparcie 50,000 ludzi różnych stanów i narodów ze skarbu narodowego.— Papież rocznie z funduszków swoich rozdaje zwykle około 34,000 talarów. Z wszystkich szpitali, dom zdrowia i przytulku pod nazwą Ducha Śgo, nie daleko zamku Śgo Anioła położony, odznacza się z pomiędzy innych wielkością i zamożnością; każdy wiek, każda choroba, znajduje tam przytułek, od niemowlęcia podrzuconego do starca nad grobem stojącego.

Osoby długo Rzym zamieszkujące, a mimo to nie z upodobania zdala od rodzinnego kraju żyjące, twierdzą, iż w mieście tém, mniej niż gdziekolwiek indziej, czuć się daje tęsknota do kraju, odejmująca wdzięk najpiękniejszym okolicom i miastom. Twierdzą one, iż znajdując się w *Stolicy Świata*, już po części jakby u *siebie*, spotyka się tam swoje towarzystwo, swoje zwyczaje, swoje nabożeństwo—Klasztory bowiem, czy to Chińskie, czy Ormiańskie czy Francuzkie, zachowują tam piętno swéj narodowości tak wybitne, że podróżny, przebiegłszy wiele krajów, gdy się znajdzie w takim *narodowym* swoim klasztorze, uderzony zwyczajami, czystością języka swego, zapomina chwilowo że nie do swojej zajechał stolicy. Dawne rodziny rzymskie, których imiona znane jak Colonna, Chigi, Orsini, Doria, Borgheze, nie odznaczają się tam nadzwyczajnym przepychem, majątki ich nie dochodzą do zozmiaru Panów z innych narodów; książę Borgheze za najbogatszego uważany, nie ma całego miliona stałych dochodów, nie domierza więc majątkom nawet naszych niektórych Panów. W całych prawie Włoszech tak zwana Arystokracja jest bardzo popularną, tém więcej w Rzymie, gdzie najpierw, przez zaprowadzenie równości w obliczu prawa, przywileje kast znikły. Zdarzają się więc bardzo częste małżeństwa między stanem średnim a członkami najdawniejszych rodzin.

S.

## ESTETYKA ROŚLIN.

Istota piękności jest niewyjaśnioną. Okazuje się ona tylko w uczuciu wrażliwego umysłu, całkiem zaś obcą i ukrytą krainą jest dla logicznie porządkującego, teoretycznie wywodzącego rozumu. Lecz

„Czego rozum mędrców nie dostrzega zgoła,  
Temu myśl dziecięca w prostocie podola.”

Jeżeliśmy naszymi postrzeżeniami i doświadczeniami, naszymi rozbiorami, wnioskami i dowodami, naturę, da zrozumienia planu jej osnowy, z pierwiastków i sił na włókienka rozebrali, występuje przed nami jej piękność i wzniosłość, rozebrane części wiążą się znowu w jedną całość i sztydzą z naszych usiłowań chcących pojąć to, co wiecznie jest niepojętem. Chociaż tego nie pojmujemy, jednak ono tam istnieje. Jasny umysł bez wahania się to wymówi, czego najbystrzejszy rozum nie znajduje.

„Niebiosą opowiadają chwałę Boga, a firmament głosi dzieło rąk jego. Jeden dzień mówi o tym drugiemu, a noc oznajmia to drugiej.”

Zawsze jednak, to czego nie pojmujemy, czego objaśnić nie możemy, o tyle zdolnym będzie do rozbioru i wyłożenia, żebyśmy jasno pojęli gdzie, jak i dla czego to, co jest niepojętego, musi koniecznie wchodzić w zakres naszego duchowego życia. Jeżeli nie możemy rozwikłać samej w sobie istoty piękności, to może potrafimy wynaleźć co ona, dla nas ludzi, znaczy, jak się objawia i jakie są jej działające żywioły?

Badacz natury nie zna i nie rozumie wcale innego rozwoju, jak postęp od prostszego do więcej złożonego, od niedoskonałego do doskonalszego, a tak nie ma dla niego żadnego znaczenia ta nauka, która tu i ówdzie się pojawiała i broniona była, według której człowiek wyszedł doskonałym z rąk stworzenia i stopniowo przez zepsucie i zdziczenie stał się tem, czem się dziś pokazuje. Wspomniałem o postępie od niedoskonałego do doskonalszego, powinienem jednak zrobić uwagę; że jest to tylko porównanie ludzkie, nieudolne wyobrażenie; w istocie zaś nie znajduje zastosowania co do produktów natury a tem bardziej do stworzenia świętego Twórcy wszech rzeczy. „A chociaż nawet stworzenia różnemi się okazują, jednakże są one równiej dobroci” mówił Św. Chryzostom.

Musimy jednak ten postęp naszemu pojęciu innym sposobem przedstawić. Cały świat roślinny, jakby je-

dna indywidualna roślina, rozwija się z cewki. Cewka, czyli komórka, zawiera w sobie całe życie roślinne w najrozmaitszych jego objawach, w najzawikłańszych jego kombinacjach; w niej jednak wszystko łatwo i prosto daje się obejrzeć. Roślinna komórka postępuje dalej w swoim rozwoju, a stopniami pojedyncze jej części przybierają odmienne od reszty znaczenie. Cała cewka początkowo jest jednostajnym organem przyjmowania pokarmu, przyswajania, wydzielania i rozradzania. Naprzód występują tylko niektóre części później rozwiniętej cewki, przyjmujące wyłącznie funkcją rozkrzewiania, tworzenia nowych cewek. Stopniami w zarysie rośliny łączy się większa ilość komórek, a potem pojedyncze czynności dzielą się na szczególne cewki, w których przynajmniej wyłącznie one występują. Sam process karmienia z początku jest bardzo prosty; z przyjętego pierwiastku tworzy się bezpośrednio to, co najpotrzebniejsze dla życia cewki, a wydziela się to co zbywa. Później coraz więcej występują obce pierwiastki, a bezpośrednio prosty process przygotowania pokarmu rozkłada się na cały szereg pojedynczych processów, których ostatecznym wypadkiem jest dopiero pośrednie wydanie substancji roślinnej, gdy na środkowych szczeblach powstaje pewna liczba dla istoty rzeczy obojętnych, pobocznych produktów. Lecz na co dalej rozciągać to porównanie? co się nam okazuje jako postęp, jest to istotnie rozwój we właściwym znaczeniu tego wyrazu, jest to rozwinięcie i rozłożenie tego, co proste, na większą liczbę części składających całość. I tak liczba 100 jest liczbą prostą, przez rozwijanie się zaś może być  $99+1$ ,  $3,33+1$ ,  $3(32+1)+1$ ,  $3(4 \text{ razy } 8)+1+1$  itd. możemy rozkładać zawarte w niej stosunki i zamiast prostego oznaczenia 100 jedności, możemy odbywać bardzo zawikłane rachunki, których ostatecznym wypadkiem będzie tylko 100. Jest to kolój jaką w naturze przyjmuje każdy rozwój.

Cierpiący Grek udawał się do kapłana Herkulesa albo Eskulapa. Ziele, które kapłan uprawiał przy kościele, służyło za lekarstwo a ofiara którą kierował kapłan dawała człowiekowi śmiertelnemu ufność w pomoc nieśmiertelnych Bogów. I cóż się następnie przez ciąg czasów rozwinięło z tego prostego stanu natury? Cały zawikłany organizm naszego stanu duchownego i troskliwość o duszę z jednej strony,

z drugiej zaś Medycyna i Chirurgja rozpadająca się na liczne gałęzie, wszystkie nauki przyrodzone ze swemi osobnemi ćwiczeniami; Farmaceuci, Drogiści są następcami kapłanów Eskulapa; botaniczne ogrody (Jardins des plantes), zoologiczne i botaniczne zakłady, całe przestrzenie kraju w których przemyślowi ludzie hodują oficynalne rośliny, wszystko to są rozwoju owego ogrodu przy kościele. Wiele set ludzi pracuje teraz razem wszystkimi duchowymi i cielesnymi siłami dla dostąpienia lepij, prościój i z większym rozwojem tego, co po prostu ów kapłan Eskulapa, chociaż nie z takim skutkiem, w sobie łączył. Gdyż musimy to wyznać że jeżeli nie dzieło boskie to przynajmniej dzieło ludzkie zaczyna się od niedoskonałości, a dąży do doskonalszego; że w ludzkim działaniu i postępowaniu rzeczywiście prosty, nierozwinięty stan jest oraz mniej doskonałym. Równie też i w ludzkim rozwoju spotykamy podobne wystąpienie pojedynczych żywiołów, które będąc z początku związanymi i nierozdzielniemi leżą razem jakby w chaosie. Chcemy tu tylko jednemu bliżej przypatrzeć się stosunkowi i wyjaśnić mianowicie przed sobą to położenie, które człowiek przyjmuje względem natury. W początkach rozwoju zawsze znajdujemy ściśle i całkowite zlanie się Fizyki i religijnego zapatrywania się na świat, a wszelkim pierwiastkowym objawem pobożnych uczuć człowieka jest cześć natury. I tak, we czci Egipcyan *Izydy* i *Ozyrysa*, bezpośrednio pod formą uczczenia Boga, wyraża się uznanie najczynniejszych i najzbawieniejszych dla Egipcyanina sił natury: tak z bujnej przyrody Indyi, wyrabia się obrazowa historia natury *Braminizmu*, a na jasnych, świetnych wzgórzach *Iranu* i *Turanu*, człowiek oddaje cześć światłu niosącemu słońcu i jego symbolowi ogniowi; gdy w północnej Mitologii nie trudno rozpoznać walkę lodowatą zimy i jej burz z krótkim latem. Lecz najpiękniej, najwykwintniej i najbardziej wykształconą okazuje się nam ta religja natury u zbyt wysoko duchowie uposażonych Greków, w których ogólnie suchym wesołym kraju cała pomyślność organicznego świata przywiązana była do miejscowego rocznego rozdziału wilgoci, a tym sposobem w ubóstwionem uosobieniu wesołego *Zeuxa*, prowadzącej za sobą chmury *Hery*, ogrzewającego *Apolla*, połyskującego *Heptastosa* itd. utworzoną została dziwnie pięknie postać i zlanie się religii, fizyki i poezji; pewny myt którego bogactwo i plastyczna piękność stanie się dla wszystkich czasów nigdy nie wysychającym źródłem zadowolenia.

Ten jednak stosunek może tylko utrzymać się na pewnym stopniu wykształcenia ludzkości. Lecz badawcza ciekawość człowieka skłania go zaraz do ściągania z natury zasłony Izydy, a im więcej udaje mu się uchylić ją, tem bardziej znikają z ziemi bezpośrednio otaczający go bogowie, a nakoniec i z gwiazdowego nieba, a cała natura ze swym orszakiem sił i pierwiastków, upada przed „pospolitą jasnością rzeczy” pozbawiającej ducha Fizyki. Nie pozostaje żadna substancja, nic istotnego w naturze, co by potrzebowało jakiego bóstwa, co by je w sobie zawierało; idzie ten zegar przy niewidzialnych, niezmiennych prawach natury i nakręca się bez potrzeby, ale także bez piękności i radości.— Lecz dziwna rzecz! badaczowi przyrody nie zarzucić nie podobna: nie ma w naturze koloru, tylko fale eteru rozmaitej długości; nie ma wcale tonu, tylko wahania się powietrza powolniej lub prędzej po sobie następujące itd. — a jednak zachwyca go razem gra kolorów tęczy, jednak głębokie nucenie słowika wzdyma mu tęsknotą pierś, jednak z całego tłumu bezdusznych mass, leżących przed nim w kształcie krajobrazu, nie może on zatrzeć „tchnienia złotej jutrzeńki” którym do serca jego mile przemawia, albo też wzniosłością swą unosi jego duszę po za granicę widzialnego świata; dokąd? nie wie on wcale, tylko jego uczucie na to się obudza: musi być coś z tamtej strony; lecz gdzież ono się znajduje?

Co nie jest w czasie? Wprawdzie raj dla ludów tak jak dla pojedynczego człowieka jeżeli nie w przestrzeni to w czasie otrzymuje się. Eden człowieka jest właśnie tym pierwotnym stopniem, na którym on nie zdał jeszcze sobie sprawy o swym stanie, o swém stanowisku w naturze, na którym mu jeszcze Bóg i natura okazują się być tem samem, gdyż o obojgu ma on fałszywe wyobrażenia, które sobie tworzy według podobieństwa ze swą własną naturą. Wyobrażenia zbliżają do siebie bóstwo i naturę— gdyż tę za wysoko a tamto za nisko stawia. Lecz położenia tego co z *tamtęj strony*, do którego dąży wykształcony człowiek nie może oznaczyć żadne *gdzie*, ani żadne *kiedy*.

Dopóki i jak dalece dla człowieka przyroda jest niewyjaśnioną i niezrozumiałą, szuka on po za tłem przez niego niedojrzaniem, podobnej do niego duchowej istoty, ożywia on „nocne strony natury” stworzonymi przez niegoż samego duchami i straszidłami, prędko jednak znikającymi przed światłem nauki. Z drugiej strony potrzeba jego serca każe mu szukać potęgi, w której rozumnym kierowaniu mógłby on znaleźć zabezpieczenie przeciw grze przypadku i ty-

raniu losu, a tę potęgę kreśli on sobie według tego co się nauczył najwyższego poznawać, według najlepszego, najmędrszego z ludzi, dodając jeszcze do tego obrazu panowanie nad zjawiskami, w których najprzód nauczył się obawiać przypadku i losu, mianowicie zaś co do gry sił natury. Zawsze jednak człowiek ze swojemi wyobrażeniami o Bogu pozostaje w zakresie ludzkim, i dla tego zawsze jeszcze czuje się on dosyć spokrewnionym ze stworzonym samym przez się Bogiem, ażeby, jeżeli nie dla siebie, to dla szczęśliwych swoich przodków, wykazać proste pochodzenie od Bogów, albo też bezpośrednio z nimi obcowanie.

Teraz im człowiek postępuje w swoim wykształceniu i rozwoju, tem dla niego przyroda staje się przezroczytszą, jaśniejszą, zrozumialszą; lecz tem większem też będzie jego oddalenie się od Boga i tem się on dla niego stanie niepojętym. Dla najwyżej wykształconego człowieka Bóg jest najniezrozumialszym, gdyż się przekonywa, że wszelkie, jakiegokolwiek wyobrażenie, któreby sobie utworzył o najwyższej istocie, w żaden sposób nie będzie dla niego odpowiedniem: lecz nie wielu tylko dosięgają tego stopnia wykształcenia, nie wielu tylko tak dalece siebie rozumieją, że spokojnie wyznają iż *wiedza* ludzka nie sięga aż tam, gdzie mieszka Bóg i Nieśmiertelność. O! nierozsądna duma ludzka! która dla tego, żeby nie znaleźć się samęj za małą, wolisz raczej najwyższą istotę ściągać do siebie, w proch ludzkiej zarozumiałości.

Jakże tu znowu pogodzimy się z sobą samymi i z naszym zadaniem? Sądzę że to się stanie następną drogą. Cała natura okazuje się nam związana przestrzenią i czasem, i dla tego okazuje się też nam ona komicznie, jako nie znaczącą i niezgodną. W sercu nawet naszym żyje nieodzownie żądanie czegoś dokończonego, niezmiennego; czujemy że mamy prawo do następnego wyrzeczenia; „że tylko to co *doskonale* zostaje rzeczywistem.“ Lecz co jest w przestrzeni bywa równie jak przestrzeń bez granic, nigdzie nie ogarniętem, nigdzie gotowem, nieskończonem, to jest: *niewykonanem*; co jest w czasie ulega prawu *zmienności* lub też następstwu rozmaitych stanów. Nie powinniśmy przeto szukać w przestrzeni i w czasie tego, co może dać zaspokojenie naszemu sercu, prawdziwie bytującego, dokonanego; jedynie rzeczywistym, boskim światem nie jest otaczająca nas przyroda. — A zatem wszystko co tylko się nam przedstawia do oglądania, nie byłoby niczem innym tylko snem gorączkowym, pustym i czczym pozorem? Byli

wprawdzie ludzie, którzy doszli do tego szczególnego wniosku, który według tego, cośmy dotąd wyłożyli, zdaje się mieć wiele za sobą pozorów. Lecz pozor służy tylko człowiekowi niedostatecznie samego siebie rozumiejącemu. Jeżeli zaś będziemy dalej badali przyjdziemy wkrótce do odkrycia że przestrzeń i czas, są wszędzie niczem do rzeczy nie należącym, lecz tylko pomocą do ich rodzaju i sposobu, w jakim my z ludzkim ograniczeniem te rzeczy pojmujemy, jak długo właśnie zostajemy ludźmi, i zmuszeni jesteśmy pojmować. Przestrzeń i czas są jakby zafarbowanem szkłem, które wszyscy od kolebki do grobu nosimy, nie mogąc go zrzucić, co nawet nie jest w mocy najwykształceńszego. Lecz prawdziwie wykształcony może dojść do tego że dostrzeże, iż nosi szkielecko nie pokazujące mu i nie mogące tak rzeczy pokazać jak one same przez się są w istocie. Potem wnosimy dalej: a wszakże to królestwo boskie nas otacza i obejmuje? i tylko ludzkemu naszemu ograniczonemu punktowi widzenia, naszemu zaciemnionemu wzrokowi przypisać należy, że tym pozorem największej prawdy, to jest z matematyczną pewnością tak świat ten pojmujemy, jak gdyby on był obcy wiecznemu, świętemu Sprawcy rzeczy. Mglista zasłona, której nie możemy podnieść, niepodobnem dla nas czyni oglądanie tego co boskie w naturze. Nastąpi jednak oglądanie tego co boskie w naturze, nastąpi i powinien nastąpić stan, kiedy przestrzeń i czas, te szranki ludzkiego sposobu pojmowania, opadną i *ogłądać* będziemy to, co teraz tylko *przeczuwamy*.

„Widzimy teraz tylko przez zwierciadło w ciemnym słowie, lecz wtenczas ujrzymy oko w oko.”

Owe więc na pozor mocne, jasne, matematyczne pojmowanie natury a razem też i cała nauka w gruncie jest najniebezpieczniejszą, najniższą, najnieprawdziwszą, gdyż jest tylko po ludzku ograniczoną. Ale jak objawiającej się człowiekowi naturze służy za podstawę wyższy świat boski, tak też i w nas, pomimo naszego ludzkiego ograniczonego stanu, żyje niewygasła boska iskra, lecz na czas tylko pokryta prochem i popiołem. Ta iskra, ta tęsknota ku temu co wieczne, nieznikome, do zaspokojenia siebie potrzebuje czegoś podobnego i w zjawisku przeczuwa istotę w prawidłowo naturalnym *mechanizmie* martwych mass, wolną *boskość* a czego nigdy w wyraźnych pojęciach nie mógł wyrazić, żyje także jako najdroższe jego dziedzictwo w *uczuciach* jego serca. To właśnie przedstawia mu się w Naturze niewytłomaczonem, niepojętem, co się uchyla z pod wszelkiego naukowego postępowania, ogłaszając się za

coś wyższego, lepszego od jakiegokolwiek nauki; to właśnie co nas w naturze jako *piękność* napełnia zachwyceniem, lub też jako *wzniosłość* niewypowiedziane świętym przejmuje strachem.

Tu rozwój zamyka się w koło; na najwyższym stopniu wykształcenia z przeświadczeniem i oczyszczonym poglądem otrzymujemy to, od czego zaczął nieprzekonany dziecinny rozum. Rozważanie natury znowu, staje się czią Pana Boga lecz dopiero po oddaleniu z niej wszystkiego, co nie jest boskie, co ludzkie, wszystkiego co naukowo niewytłomaczone i niezwykajnie pojęte, i gdy już nic nie pozostało oprócz tajemnicy *piękności*. W niej to wschodzi dla nas przecucie wyższego znaczenia wszelkich zjawisk; uznanie ich stanowi cześć, jest najczystszy i najwyższy obrzęd do jakiego może się człowiek wnieść; w niej to najbezpośredniej następuje objawienie się świętości, do jakiej zdolnym jest człowiek. Dodajmy jeszcze, dla uniknięcia nieporozumień, że piękność zewnętrznej, cielesnej przyrody nie jest najwyższą jaka nas w życiu spotyka. Jest jeszcze coś szlachetniejszego nad świat cielesny, jest-to duch człowieka; piękność duszy i najszlachetniejszy jej kwiat, czysta miłość, jest jeszcze doskonalszym odbłaskiem boskości, a więc nie ze świata cielesnego lecz z wewnętrznego życia ludzkiego ducha bierzemy najwyższe nasze symbola. Jeżeli tym sposobem natura zachowała dla nas prawdziwe swoje znaczenie, to zdaje się, żeśmy naszą rzecz doprowadzili ku końcowi. Piękność nie jest zdolną do żadnego naukowego objaśnienia. Orzeczenia, w jakich ją przyznajemy, wyroki smaku, nie mogą być popierane rozumowaniami. Owszem każdy sam przez się stoi i bezpośrednio rości prawo do słuszności, wtenczas nawet gdy się on w duszy rozmaitych widzów rozmaicie postaciuje. Skądże weźmiemy treść do dalszego wykładu? Jeżeli nie możemy rozłożyć istoty piękności, nie możemy także poddać dokładniejszemu rozważaniu przedmiotu, który się nam pięknym wydaje, nie możemy pojąć pojedynczych jego części i oznak ich względem siebie, stosunku, i nie możemy w taką wdać się systematykę, żeby widzieć jakie pierwiastki i ich połączenia wzbudzają w nas uczucie piękności i wzniosłości. Podobnie jak w zastanowieniu się nad harmonją kolorów, prawideł kompozycji muzycznej itd. tak też i w świecie roślinnym możemy bliżej wyszukać właściwości, za pomocą których otrzymuje się estetyczne wrażenie, jakie na nas wywiera.

Przedewszystkiem musimy jednak uprzedzić że nigdzie jeszcze z mniejszym zajęciem, rozważaniem i sma-

kiem nie pracowano jak nad tem wysokim zadaniem Botaniki, i że dla tego tu daleko mniej znajdujemy od niezwiązanych nawet urywków; to więc służy za wymówkę następnym, podobnym do szkicowania tylko określeniom.

Cały materiał, którego tu użyć możemy, rozpada się na trzy grupy według rodzaju i sposobu w jakim rośliny mogą wykazać swoje znaczenie. Pierwszem, jest tu symbolizowanie pojedynczych roślin. Jak tylko człowiek wydarł się ze stanu najgrubszego życia pasterskiego, zaraz powołaniem złagodzonego pasterza pilnującego swych trzód, a bardziej obyczajem budującego mu własność, rolnictwa, — powołanym on zostaje do zastanawiania się nad ich życiem i rozkrzewieniem; nakoniec nad ich niezależnością od sprzyjających lub przeszkadzających wpływów zewnętrznej natury, słońca, rosy, deszczu, gruntu. Człowiekowi, którego naprzód obudziło uczucie własnej wolności, — który uczuł to, że jest sprawcą własnych czynów, nieuniknioną jest rzeczą, przypuszczać tam wszędzie działanie gdzie widzi zmiany; przypuszczać wolność tam, gdzie widzi czynność, a następnie i duchowe życie. Tak to początkowie każda roślina, każde drzewo, każdy kwiat, otrzymuje uosabiający pierwiastek jakby zamieszkującego Boga. Dryady ożywiają lasy; w szeleszczącej trawie toczą Elfy lekkie swe tańce. Później zawłada wyraźniej i opanowuje symbolizująca poezya życiem pojedynczych roślin, a w religii i w poezyi splatają się bogate wieńce ze spokojnego państwa flory. Tęsknota za przedłużeniem z tamtej strony niedoskonałego ziemskiego życia, chwyta się chciwie wszelkiego rysu w naturze, oznaczającego podobną nieśmiertelność. Poważny i trwały *Cypris* zdołał u Greków groby ukochanych osób, a łąki homerycznego podziemnego świata ożywiał błękitny *Asphodelos* którego jasne kwiaty, wyrastając co wiosny na nowo z ukrytej w ziemi cebuli, oznajmiały wieczne odżywianie, pewną nieśmiertelność. Na spokojnych wodach błogosławionego Nilu wszystko karmiącej rzeki *Izidy*, ożywiający wpływ Boga słońca *Ozyrysa* wyprowadza bujny kwiat *Lotusu*, którego wielkie, do migdałów podobne, ziarna, dostarczały najstarszemu ludzkiemu pokoleniu łatwego pokarmu, za co wdzięcznym uczuciem roślina ta poświęconą została tym łagodnym bóstwom; sama zaś stała się symbolem płodności, zawiętności siły rozwijania się natury; a gdy potrzeba została inną drogą zaspokojoną, użycie jej owocu jako świętego, zostało zrodzonemu w prochu człowiekowi wzbronionem; razem też z mądrością egip-

skich kapłanów Pytagoras ogłasza swoim uczniom zakaz jedzenia tych bobów.— *Atene* bogini czystego powietrza, obdarza Greków lubiących jaśniejące od słońca miejsca *oliwnem drzewem*, a pływający po brzegach *Posejdon* wieńczy swe skronie gałęziami poświęconej mu *nadbrzeżnej sosny* <sup>1)</sup>.

Na nieszczęście zanadto jeszcze wczesnym jest połączenie żywotnego poglądu na naturę z martwą filologiczną uczonością, ażeby można było przebież symbolizowanie roślinnego świata przez wszystkie formy czci boskiej u rozmaitych ludzkich plemion. Właśnie aż do najnowszych czasów, strony dawnych religijnych mytów najwięcej zostały zaniedbane, w których wyraża się połączenie ich z życiem natury, w których następnie znalazłoby najpewniejsze stanowiska do ich objaśnienia i wyjaśnienia, kiedy dotąd zanadto często tłumaczenie ich zależnym czyniono od najnierozsądniejszych fantazji.

Naturalnie więc że mnóstwo znajdujemy stosunków pomiędzy religijnym mytem i światem roślinnym których jeszcze i teraz nie jesteśmy w stanie całkiem wytłómaczyć. Na przykład, znaczenie róży i myrtu względem miłości i małżeństwa, jasne dla dawnych ludów, pewnie że nie polega na samem estetycznym upodobaniu, lecz na głębszym stosunku greckiej czci natury, którego odgadnięcie wytłómaczyłoby nam dla czego dwie Charyty czyli Gracje odznaczają się różą i myrtem, trzecia zaś kością do grania? Takoz i łuk indyjskiego bożka miłości *Kamadewa* wyrobiony z trzciny cukrowej, jest symbolem czegoś więcej jak prostej słodczy miłości, gdyż byłoby to dość zimnym porównaniem i głębokie zastanowienie się nad naturą pewnie nadało mu za strzałę różowe pączki kwiatu drzewa *Amra*. Trzeba zapewne wyznać, że to symboliczne pojęcie świata roślinnego nie ogranicza się pewnym wiekiem ludzkości, lecz że ten sam przez się niewyczerpany przedmiot ciągle brany jest z poetycznego ducha narodu, chociaż początek takiej paraboli może się gubić w mnogości ludu, lub też być przywiązany do jednego jeniusza, który tak trafnym uczuciem wyśpiewał to przed ludem, że ten ostatni natychmiast obcą myśl przyjął za ogólne dobro. Często więc trudnoby było oznaczyć jak daleko zasięga historii pierwsze utworzenie i wykształcenie później ogólnie używanego porównania, typowego znaczenia jakiej rośliny lub też jakiegoś procesu w jej życiu. Wszak pokorna *lilja*, skromny *fioletek*, dumna *Cesarzka korona* itd. są tak naturalnie wymownymi

<sup>1)</sup> *Pinus maritima* Mill „*Poscidoris Fühthenhain*.”

i zrozumiałymi obrazami, że je prawie u każdego wykształconego narodu w podobnym sposobie znajdujemy; a jednak, tak tych jako i podobnych niezliczonych, które właśnie były najodpowiedniejszymi co do języka formami, nie znamy pierwszych sprawców. Tam nawet nie jasno pojmujemy gdzie właściwość symbolu wskazuje na bardzo pewne czasy i miejsca w historii. *Moślemin* wracający z *Mekki* przynosi *Aloes* <sup>2)</sup> jako świadectwo swojej pielgrzymki i zawieszając go, obróciwszy ostrze tak, aby wskazywało Mekkę, nad swoim progiem, do którego potem nie może zbliżyć się żaden duch nieczysty. Zwyczaj ten, którego zabobonna cześć w Kairze przeszła nawet do Żydów i Chrześcijan, pewnie szczególnym sposobem ma związek z początkiem pielgrzymek do Mekki i z naturą tejże rośliny; lecz jakim sposobem? to niewiadomo.

Niektóre dawniej używane obrazy i Symbola z biegiem czasu także się przekształciły; nastąpiły na ich miejsca drugie, kiedy głębsze zastanowienie się nad naturą pokazały, że bystrzej i obficij wyrażają mającą się oznaczyć myśl. Można nawet często w takich zamianach domyślać się karzącego dowcipu ludu. Staro-niemiecki *Wietrznik* (*Männestrau*) <sup>3)</sup>, jest wprawdzie tęgą, chropawą i kolczastą, lecz trwałą co do kształtu i niezmienną co do koloru rośliną; a przeciwnie to co dziś nazywają wietrznikiem *Männestreu* <sup>4)</sup>, jest małym błękitnym kwiatkiem który zaledwo będąc zerwanym, więdnije, którego przytem wabiący piękny kolor po kilku godzinach przebywania na słońcu, blednije.

Lecz na co zda się pomnażać te cytacje, gdy każdy wykształcony, z duchem swój rodzinnej mowy obeznany człowiek, secinami przypomnieć sobie może podobnych obrazów roślinnego życia z własnych podań i bajek i poezji.

Ważniejszą i ciekawszą może byłoby rzeczą więcej w całości badać żywiołów roślinnego świata, będących pośrednikami estetycznego wrażenia. Tu znowu przedstawiają się nam dwa różne zadania. Co nas zbiorowo w naturze zachwyca, jako całość obejmująca zjawiska natury, słowem jednym krajobraz, jest to właśnie mozaika pojedynczych, samych przez się istniejących, i pełnych przez się znaczenia części. Las i łąka wzajemnie się przeciwieństwem w jakiejś okolicy podnoszące, i tym sposobem swą piękność

<sup>2)</sup> *Aloe perfoliata* L. <sup>3)</sup> *Eryngium alpinum* L. <sup>4)</sup> *Veronica chamaedrys* L.

uwarunkujące, są same przez się, bez względu na udział który przyjmują w ułożeniu wielkiej całości, charakterystycznymi utworami roślinnego świata, a każde z nich, szczególnym sposobem złożone z pojedynczych rodzajów roślin, przyczynia się do estetycznego wrażenia. Podobne ugrupowania roślin jak *las*, *łąka*, *step* itd. można nazwać *formacjami roślin* i z pewnością zasługują one na daleko głębsze badanie i troskliwszy wykład jakim dotąd one ulegały.— Jeżeli jednak bliżej do tego przystąpimy, dojdziemy wkrótce, że właściwy ich charakter spowodowany bywa, że tak powiem, rozmaitym sposobem, fizyonomijnym wyrazem rodzajów roślin, z których się on składa. Botanicy, według rozmaitych oznak, najlepiej zaś i najnaukowożej według szczególnych różnic i podobieństw w całej historii rozwoju, odróżniają mnóstwo większych i mniejszych grup, które zwyczajnie mianują *familijnymi*. Zaliczone do jednej rodziny rośliny wiąże naturalny, ścisły, wspólny węzeł, a kto rozumie subtelniejsze, fizyognomiczne badanie, temu nie tajne także będą subtelniejsze rysy rodzinne na które się wszystkie zgadzają. Ale tak jak w ogóle pomiędzy ludźmi, widocznie przed nami występują całkiem od rodzinnych powinowactw niezależne cechy *rass*, i sztuczne odznaczenia, jakoto: kałmuckie oczy, czaszka murzyńska, bocianinos, blondynki i brunetki; tak też podobnie i pomiędzy roślinami, niepodobieństwa i różnice są wywołane rzeczywistym, naturalnym pokrewieństwem, ale raczej ogólniejsze, po większej części u wielu rodzin razem zdarzające się, właściwości objawów i budowy roślin od których zależy fizygnomiczne ich znaczenie dla składu botanicznych formacji a następnie i krajobrazów. Ocenienie tych przymiotów roślin, każe nam ustanawiać pewne ogólne formy, według których bez względu na naturalne, wewnętrzne ich pokrewieństwo, rośliny tylko według tego są uporządkowane, jakie one na nas ogólne estetyczne sprawiają wrażenie, a razem jaka odznaczająca cecha w formacjach i w ogóle w fizyonomii krajobrazu występuje.

I tak zamiast 300 prawie rodzin, które dotąd wystawiają Botanicy i subtelniejszemi starannie zbadanymi cechami od siebie odróżnili, otrzymujemy stosunkowie małą liczbę *form roślinnych*.

*Forma porostów* szara i sucha, płasko chropowata lub kolczasta, pokręcona nakszałt olbrzymich kryształów śniegu, obudzająca zimny dreszcz, pokrywa puste przestrzenie wegetacji graniczące z nieorganiczną materią i jakby przechód do niej stanowiące,

gdy *forma mchów* tworzy gęsto ściśnięte, delikatnie żółto-zielone listki, po większej części pokryte jedwabistym połyskiem i miękką aksamitną powłoką jaką ziemię i kamienie przykrywa.— Podobnaż do dwóch wspomnianych, nie wznosząca się do wolnych postaci lecz pokrywająca tylko nagie powierzchnie nie ziemi lecz wody, rozwija się rodzina *morskich róż*<sup>5)</sup>, pełna znaczenia dla piękności wszystkich w wodę obfitujących krajobrazów. Wielkie, szerokie liście z zaokrąglonymi brzegami, płasko po wodzie pływające, lub w kształcie łopaty w nią pogrążone i mało z niej wystające, pysznie farbowane kwiaty pięknej budowy i wielkiego rozmiaru, zaledwo także występujące z mokrego żywiołu, są najbardziej odznaczającymi się rysami w fizyonomii tych roślin.— *Forma traw* odznacza się przedewszystkiem swą towarzyskością, nie wysokie łodygi noszą płaskie, wąskie, giętkie, żywe i przyjemnej zieloności liście, a na cienkich szypułkach za najlżejszym powiewem kołyszą się cienkie kwiatowe wiechy; i w nich także świat roślinny przywiązany jest do gruntu, nad którym się one mało wznoszą i który one jakoby miękkim, wełnistym kobiercem pokrywają.— Obok nich stoi smutniejsza *forma trzin*, obudzająca wrażenie weselszej trwałości; pociecha pasterska i obfity pokarm dla trzód: z bagnistej, czarnej ziemi, sterczą brudno szarej zieloności, proste, strzępiaste, okrągławe łodygi i liście, gdzieniegdzie noszące kupki brunatne lub czarne suchych kwiatków, albo biało-wełniste kosmki, czupryny owoców, rozsypujące się przy jesiennym burliwym wietrze; rolnik z westchnieniem nazywa je kwaśnymi trawami a bydło gardzi niemi.— Przeciwnie zaś, nad brzegami świeżych wód, oraz pod wpływem użyźniającym wilgotno-ciepłego klimatu zwrotnikowego, trawa wznosi się do szlachetniejszej, wysokiej i szerokolistej *formy trzin*<sup>6)</sup>, w Indostanie zaś, przewyższa nawet drzewa<sup>7)</sup>, tworząc po nad lasem łąkę.

Tu, w państwie korzennych liści, łodyga sączy sok, liść rozciąga się w długość i szerokość, lecz po bokach środkowego żeberka, tak cienki, że łatwo je wiatr rozrywa; roślina barwi się ciemną jak aksamit mieniającą się zielonością, albo też jaśniejszą żółto-

<sup>5)</sup> Najwspanialsza ze wszystkich *Victoria regia* z liśćmi na 15 stóp, białymi kwiatami i różowymi kwiatami na 4 stóp obwodu, obudza teraz zajęcie wszystkich hodujących rośliny.

<sup>6)</sup> Krzak bambusowy najlepiej tę formę przedstawia.

<sup>7)</sup> *Panicum arborescens* L.

zielenią a czystymi mocnymi kolorami promieniają się wielkie krzaki kwiatowe; tak powstaje *forma Pisangów* jedna z najcharakterystyczniejszych co do bujności zwrotnikowej vegetacji. — Przepychem kwiatów roślin pisangowych lub bananowych, ozdobą liści prawie do trzcin podobna, pośrodku niemal między obiedwoma stoi *forma roślin liljowych*, jedyna która w objętym tu zakresie znalazła artystycznego przedstawiciela we francuzkim malarzu kwiatów *Redauté*. — Nakoniec jeszcze się tu trzecia przedstawia forma *Aroideów*. Rośliny te tworzą trójgraniaste lub strzałowate, soczyste, zielone liście zawieszane na długich szypułkach i często dziwnie pięknie ubarwionych różkach, osłaniających w kształcie bani kwiatostany; rośliny te często osadzone na potężnych pniach zwrotnikowych leśnych drzew, oznaczają przechód do *Storczykowych*. Jeżeli zresztą we wszystkich tylko co wspomnianych formach, szczególnie odznaczał się kształt liścia, to teraz na przeciw nim postawimy niektóre formy, pokazujące raczej przełamujący *rozwój łodygi*. Tuż zaraz mógłbym zaliczyć *formę wrzosów*; niski, gałęzisty krzak, którego małe matowo-zielone albo brunatne liście, tak są gęsto ściśnione, że prawie wydają się być chropowatościami gałęzi i że prawie smutnym wrażeniem słomiatych kwiatów jakie obudzają, nie zacierają się piękny często ich kolor, który oznacza fizyonomją krajobrazu. Tuż obok możnaby postawić grupę *Kazuarinów* i nazwać ją drzewiastą formą *wrzosów*, która w Australii tworzy widoczne bezlistne i bez cieniu lasy. — Jeszcze wyraźniejszym jest tworzenie się pnia, okazujące się w kolczastych *Kaktusach* składające się tylko z mięsistych, dziwnie utworzonych pni i gałęzi, która to *forma Kaktusów* powtarza się także w niektórych innych familjach np. w rodzajach *wileczego mleka*, w *Stapeljach*; a chociaż przytem ze znacznym rozwinięciem liści jednak z równie fizyonomicznym wyrazem u większej części *mięsistych roślin* (*Crassulacea*), *Aloesach* i *Mesembryantemach*. Wprawdzie nie ze względu na ich prawdziwą organizację, lecz z uwagi na szczególny sposób, w jaki biorą udział co do składu roślinnego obrazu, musimy tu policzyć do bezlistnych albo raczej tylko swoją łodygą działających, takie rośliny, które z hiszpańskimi osadnikami w Ameryce obejmujemy, jako *Liany* albo formę *Lianów*. Tu i ówdzie nakształt mocnych lin okrętowych lub węzowato-pokręcone, podobne do sznurów, już to płaskie, już taśmowate, już to obsadzone w prawo lub lewo płaskimi grzebieniowatymi odrostkami, ciągną się w zwro-

tnikowych pierwotnych lasach od drzewa na 40, 50, do stu i kilkuset stóp, bezlistne i bez gałęzi *Bauchinje*, *Aritsolochje* (Kohornaki) *Bluszcze*, *Bignonie* i inne, często wspinając się po jednym drzewie i aż do uduszenia go obejmując, potem przeskakując z jednego do drugiego, nareszcie spadając w łukach i znowu pnąc się na najwyższy wierzchołek trzeciego drzewa, gdzie dopiero roślina wiązką najpyszniejszych kwiatów w lekkim chwieje powietrzu, gdy w cieniu lasu, jakby żartując z podróżnego, nic innego nie okazuje oprócz nagich łodyg, któremi często przepłata go do nieprzebytej gęstwiny. Dla tego-to w bardzo wielu przypadkach, przy całej usilności zbieraczy, wiemy które, z licznie w zielnikach zachowanych kwiatów, należą do obficie także zbieranych i dziwnie budową różniących się pniów.

Do całkiem sobie właściwych rysunków, natura, jakby łączyła oba w poprzedniczych familjach osobno występujące żywioły, to jest wiązkę pięknie rozwiniętych liści i samą przez się tylko wykształconą nagą łodygę w jedną, czczoną w obrzędach, wychwalaną w starożytności i opiewaną przez poetów *formę palm*. Rozpada się jednak ona na wiele poddziałów, w których szczególnie indywidualizuje się fizyonomiczny ich charakter substancją i kształtem liści. W ogólności, w tej roślinnej postaci, łodyga wznosi się od niskiej zupełnie i kulę kaktusową przypominającej masy, aż do najwysmuklejszej, więcej niż 100 stóp wynoszącej, kolumny, a naturalnie że całkiem różne jest wrażenie jakie obudzają bezłodygowe *karłowate* i *Nipa palmy* od majestatycznej na 180 stóp wysokości łodygi *palmy woskowej* zwaną; szczególnie jednak ogólne wrażenie modyfikuje urządzenie i kształt liścia. Pod tym względem pomiędzy formą *palm* odróżniamy jeszcze, jako poddziały, formę *drzewiastych Lilij* czyli formę *Agawów* z powykęcaneimi a czasem ku górze na kilka krótkich grnbych gałęzi podzielonemi pniami, których końce okazują jednostajnie rozpierzchnioną na wszystkie strony wiązkę liliowatych, zwyczajnie tęgich, mocnych i dla tego od lekkiego wiatru nieporuszonych, często matowo-zielone noszących liście, dających obraz nienaruszonego spokoju, — kwiatów.

Tu należą *tebańska Kokosowa palma*, olbrzymie *Fourkroje*, meksykańskie *Yucece*, Chilijskie *Vellocie* i *Barbacenje*, wielkie afrykańskie *Aloesy*, trawiaste drzewa Australii, a Polinezja daje nadto szczególną formę *Pandaneów* ze sterczącymi, obosiecznymi zielono-połyskującymi i wyraźnie odznaczonymi, spiralnie ustawionymi liśćmi *świderkowatych sosn* (serew-



pinc) Anglików.— Sprzeczność z tem stanowi *forma Paproci* których delikatne, wielorako porozcinane liście, tarczycowato rozpostarte, przedewszystkiem obudzają cechę miłej ozdobności a drżąc za najmniejszym powiewem wiatru, robią wrażenie ruchomój lekkości.— Środek pomiędzy temi dwiema ostatecznościami trzyma w ściślejszem znaczeniu *forma palm*, której wykończone kształty, wyrobione jakby grubą próbą natury w *Cykadeach* właściwie uwarunkowują imponującą piękność świata zwrotnikowego. Zasługują one ażebyśmy się nad nimi kilka chwil zatrzymali a za nikim lepszym iść tu nie możemy jak za A. Humboldtem.

Pnie palmowe są już to niekształtnie grube, już słabe jak trzcina, już to ku górze, już po środku brzuchowato wydęte, już to gładkie jakby wytoczone, już łuskowate, już gęstemi na stopę długimi, czarno połyskującymi kolcami obsadzone, już to oplecione delikatną siecią brunatnych włókien. Dziwnie wydają się one przy wyrastających z góry z pnia korzeniach, po nad ziemią wyniesionych, jak gdyby wielą opierały się nogami, lub ukrywając jakoby swój początek w nabrzmiałych obrastających je korzeniowych włóknach. Wielkie liście są skrzydlato lub wachlarzowato podzielone; mocne liściowe ogonki, które już w Genui z palmy daktylowej używają się na spacerowe laseczki, są albo gładkie albo ostro ząbkowane. Zieloność liści jest albo ciemno połyskująca, albo też na odwrotnej stronie biało srebrzystego koloru. Czasami środek wachlarzowego liścia ozdobiony współśrodkowemi żółtymi lub błękitnawymi, nakształt pawiego ogona, pręgami.

W ogólności w stroju i fizyonomii palm zawiera się wielki, trudny do wyrażenia słowami, charakter, wywołany szczególniejszym kierunkiem liści. Ich części, to jest przylistki, są czasem grzebieniowato w jedną płaszczyznę, gęsto obok siebie zapomocą tęgiej tkanki komorkowatej ułożone, jak w Kokosie i Daktylu; ztąd jasny odblask słońca od górnej powierzchni liścia, ze świeższą zielonością w lubiącym rość na brzegu kokosie; ciemniejszej zaś i popielatawój na pustyniach które otacza Daktyl; albo też liść okazuje się w kształcie sitowia utkany z cieńszych, giętkich pierwiastków, przy końcu zaś kędzierzawy. Wyrażenie wysokości majestatyczności, oprócz pnia, głównie nadaje palmom, kierunek liści. Im więcej w górę podniesiony, ostrzejszy jest kąt który robią z pniem, tem wspanialszą i wznioślejszą jest ich forma. Jakże odmienny widok przedstawiają zwieszające się liście *Palmy de lovija* na Orynoke, a na-

wet palma kokosowa i daktylowa i ku niebu wznoszące się gałęzie *Jagua* i *Pirijao!*

Natura zgromadziła wszystkie piękności formy w palmie *Jagua*, wieńczącej granitowe skały przy kataraktach *Atures* i *Maypures*. Wysmukłe i gładkie pnie ich wznoszą się do wysokości 60 do 70 stóp tak że po nad gęstwiną liściowych drzew występują one jakby galerya kolumn. Powietrzne wierzchołki dziwną stanowią sprzeczność z gęstolistemi rodzajami *Ceiba*, z lasem *Laarineów* i otaczających je drzew bananowych. Liścia ich co do liczby zaledwie 7 do 8, sterczą prawie prostopadle w górę na 14 do 16 stóp. Końce liści wiją się jakby pióropusz. Listki mają trawiastą ciekłą tkankę i wesoło, lekko trzepoczą się wokoło powolnie chwiejących się liściowych ogonków. W palmach z pierzastym liściem ogonki liściowe wyskakują albo z suchej, szorstkiej, drzewiastej części łodygi, albo też na nierównej części pnia znajduje się trawiasto zielona, gładka, cieńsza strzała jakby słup na słupie stojący, z którego wychodzą liście. W palmie wachlarzowej obfitująca w liście korona leży na warstwie suchego liścia; okoliczność ta nadaje roślinie poważny, melancholiczny charakter. W niektórych tarczowatych palmach korona składa się z kilku wachlarzy wznoszących się na długich, wysmukłych trzpieniach. Niżej początku liści u wszystkich palm wychodzą z pnia części kwiatowe. Sposób tego wychodzenia również modyfikuje ich postać. U niewielu, wielka, rozkwatana, skręcona pochwa stoi prostopadle, a z niej wznosi się gęsty bukiet owoców podobnych do ananasa. U większej zaś liczby wiszą długie na kilka stóp pochwy, już to gładkie, już to szkodliwie na przeciw chropowate, często oślepiającej białości i w wielkiej odległości błyszczące.

Daleko więcej także, niżby zwyczajnie sądzić można, jest różnaitości w kształcie i kolorze owoców. *Lepidocarye* i palmy *sagowe* ozdobione są jajowatymi owocami, których łuskowata, brunatna, gładka powierzchnia nadaje im postać młodych pięknych jodłowych szyszek. Jakaż odległość od ogromnego trójniastego kokosowego orzecha, do jagody daktyla i małych do wiśni podobnych kamienistych owoców *Corosce!* Żaden jednak palmowy owoc nie może się zrównać co do piękności z owocami *Pirijao* z St. Fernando de Atabapo; jajowate, złotego koloru a do połowy purpurowo-czerwone jabłka ściśnięte razem nakształt winogron, zwieszają się z wierzchołka majestatycznych pni. Dostatecznem to będzie dla charakterystyki palm.

(D. n.)

## ZEBRY

(Z RYCINĄ KOLOROWANĄ).

Jeden z najznakomitszych naturalistów francuzkich, następny podaje opis tych zwierząt: Zebr, ze wszystkich czworonożnych istot, jest może najkształtniejszy i najwytworniej od natury przyodziany: posiada zręczność ruchów i kształt postawy konia, lekkość jelenia, a skóra jego, niby obsłonka najsymetryczniej i najregularniej utkana z białych i czarnych wstążek, zdaje się jakby linją i cyrklem użytym przez naturę skutecznioną była. Te pasy na przemian białe i czarne, tém zdają się być szczególniejsze, że są wąskie, równe i bardzo symetrycznie oraz szczerlnie przedzielane; tak dalece że nie tylko na całym ciele jego, to jest na głowie, udach, nogach, uszach, ale nawet i na ogonie są jakby umyślnie malowane. Zdaleka sądzićby można, iż to zwierze dla zabawki pokrećcano z wielką sztuką w najregularniejsze paski, okalające całe ciało jego, nieprzeszkadzając bynajmniej wydatności muskułów i rozszerzając się coraz bardziej na częściach mięsnych i zaokrąglonych. — U samicy bywają pasy czarne i białe; u samców zaś

czarne i żółte, zawsze czysto i świetnie kolory odbijające, na sierści krótkiej, delikatnej, bardzo gęstej i połyskującej się, co podwyższa jeszcze bardziej piękność kolorów. — Zebr w ogólności jest mniejszy od konia, a trochę większy od osła, i chociaż go często porównywano do tych dwóch rodzajów, nazywając go *dzikim koniem*, lub *paskowatym osłem*, nie jest on kopją ani jednego ani drugiego; prędzej mógłby być nazwanym ich modelem, gdyby wszystko w naturze nie było tak oryginalnym, i gdyby każdy rodzaj nie miał równego prawa, do mianowania go z pewnych względów jakby coraz oddzielniejszą częścią wielkiego dzieła stworzenia!

Zebr nie będąc koniem, ani osłem, ma właściwy swój rodzaj; gdyż nigdy niesłyszano, aby się łączył z poprzednimi. Z natury swojej jest silny, żywy, wesoły i nadzwyczaj lekki.

Załączona tu rycina kolorowana, wystawia łowy na te zwierzęta.

B.

## ODRODZONA LITERATURA CZESKA.

### II.

#### PAWEŁ JÓZEF SZAFARZYK.

Komuż z czytelników nie jest znane imię Szafarzyka, tego olbrzyma uczoności słowiańskiej? któż obeznany z jego dziełami, nie złożył mu hołdu głębokiego poszanowania, za tę zadziwiającą pracowitość, z jaką cierpliwie pozbierał zewsząd potrzebne wiadomości; za tę szlachetną dokładność, z jaką usiłował udzielić je czytelnikom? Kto z tych, co mieli sposobność poznać go osobiście, nie pokochał go, widząc w nim człowieka, jakich nie wiele liczyć można pomiędzy najskromniejszymi uczonymi; nie przywiązał się duszą do tego, który całe życie walczył z losem, znosił niedostatek, cierpiał na duszy i na ciele, i w tej walce nie poległ, nie odstąpił swego powołania! Można nie podzielać zdań jego, można wynajdywać uchybienia w jego dziełach, ale trudno mu wyrównać, nie podobna odmówić szacunku, nie powziąć

nauki z życia jego i dzieł, jak trzeba postępować w zawodzie literackim i uczone, ażeby się pogodzić i z innymi i z samym sobą. Imię Szafarzyka pozostanie pamiętnym w dziejach literatury słowiańskiej, a dzieła jego długo będą pochodnią dla wielu i bardzo wielu.

Szafarzyk urodził się d. 13 maja 1795 roku w Kobelarzewie (Fetekepatak), małej wiosce w komitacie gömörskim (w Gemerskiej Stolicy), w Górnych Węgrzech, gdzie jego ojciec był pastorem ewangelickim. Wówczas Słowacy używali języka czeskiego w literaturze, wyłącznie prawie, i to nadało kierunek Szafarzykowi, że stał się czeskim uczonym. W dziesiątym roku Szafarzyk umieszczony został w gimnazjum rożnowskim (Rožnów, Rozenau); po trzech





leciech przeniósł się do gimnazjum dobszyńskiego (Dobszyna, Dobschau), a kiedy skończył 15 lat, przyjęty został w poczet uczniów liceum w Kezmarku (Köschmark) na Spiżu. Jeszcze 40 lat nie minęło było od czasu zajęcia spiskiej ziemi, i przyłączenia jej do Węgier, więc język polski jeszcze i w wyższych klassach był wszędzie używany. Do tego wiele młodzieży polskiej z Galicji chodziło tam do szkół. To dało Szafarzykowi sposobność obeznania się z językiem i literaturą polską. Czechów to uderza; z kąd młody Słowak uległ wpływom klassycyzmu, i wyprawdzają to od studjów literatury łacińskiej i greckiej; czytającemu zaś poezje ówczesne Szafarzyka, przypominają się ciągle poezje pseudoklassyczne szkoły polskiej z końca XVIII i XIX wieku. Niedaleko od Kezmarku, w Podoleńcu, Pijarzy polscy jeszcze pilnie pielęgowali piśmiennictwo polskie. Kto wie, czy wzory klassycyzmu polskiego nie wywarły wpływu i na Szafarzyka. Ale już w pierwszych poczynkach Szafarzyk okazał się więcej estetykiem niż poetą, więcej rozumującym filozofem, niż natchnionym wieszczem. Lud słowacki dopiero budził się z długiego snu; narodu słowackiego jeszcze nie było, jak i teraz jeszcze nie ma, w prawdziwym tego słowa pojęciu. Trzeba zaś wielkiego rozbudzenia narodowości, silnego życia w narodzie, aby powstać mogli wielcy poeci. Gdyby Szafarzyka uniósł był duch poetyczny, to byłby się zaraz na początku swego zawodu nie wdawał w długie i zacięte spory o prozodyi czeskiej, nie pisał rozpraw o hexametrze i metryczności. Zarzucał on wtedy Polakom, że co do rymu i assonancyi, idą ślepo za Niemcami, a sam wykazywał, że czeski język, równie jak niemiecki, zdolny jest do naśladowania wszystkich metrycznych i rytmicznych form języka greckiego i łacińskiego, a tém właśnie Niemcy się przechwalali. Szafarzyk podówczas jeszcze nie pojął pieśni ludowej, nie przypatrzył się jej lepiej, i nie dojrzał jeszcze, że właśnie rodzima pieśń ludowa jedynie śpiewnością, assonancyą i rymem stoi; łacina i greczyzna były dlań wzorem.

Dalsze studja po ukończeniu nauk w Kezmarku, odbywał Szafarzyk na uniwersytecie w Jena. Ztamtąd, we dwa lata (1817), otrzymawszy stopień doktora filozofii, powrócił do domu z takim ukształceniem, jakie i dotąd w Węgrzech nader rzadko postrzegać się daje. Oprócz znajomości rodowitego narzecza słowackiego, posiadał wybornie języki węgierski, polski, niemiecki, łaciński, grecki, francuski; zbadał zasady filozofii, historyi powszechniej, obeznał się też i z historią naturalną, i był doskona-

łym teologiem (protestanckim).— Ale życzenia jego ojca nie spełniły się, bo młody Szafarzyk nie został pastorem. Poświęciwszy czas niejaki (przez lat trzy) obowiązkom nauczyciela w domu jednego z magnatów węgierskich, Szafarzyk otrzymał posadę profesora w nowo-założoném (1820 roku) gimnazjum w *Nowym Sadzie* (Neusatz) do klass humanitarnych. Tu w towarzystwie Serbów i Kroatów, zbliżony do skarbów naukowych, jakie mieściły w sobie klasztory fruszkogórskie, przejęty zapałem do słowiaństwa, Szafarzyk cały oddał się pracy; która miała stać się celem i chlubą całkowitego jego żywota, a tą były naukowo-literackie badania nad historją, narodowością i piśmiennictwem Słowian. Miał dopiero dziewiętnaście lat, a już wstąpił w szranki literackie, jako współpracownik perjodycznego pisma pod tytułem: *Listy Wiedeńskie* (Widenske Listy, 1813—1817, in-4<sup>o</sup>), wydawanego przez p. Gromadkę, i później nieco, jako wydawca własnych poezyi („Tatraska Musa s lyrau Slowanskau.” W Lewoczi, 1814). Dalej, w r. 1818 wydrukował dziełko: „Zasady Czeskiego Rymotwórstwa.” (Początkowe czeskiego bassnictwja. W Preszporku, 1818), i następnie przełożył Arystofanesa „Obłoki” i Szyllera „Marją Stuart.” Zresztą, te prace poetyckie pozostały tylko próbą talentu młodzieńca, który doświadczał własnych sił, zgadywał przyszłe swe powołanie. Wkrótce Szafarzyk przeszedł do zatrudnień ważniejszych. W roku 1822 pokazała się rozprawa jego o hexametrze (Krok, I. Nr. 3), a w latach 1823—25 ukazał się „Zbiór gminnych pieśni Słowaków,” ułożony przez niego i Kollara („Pjsnie swietskie lidu Slowenského w Uhrzich”). Z tém wszystkiém nie wiele mogli się spodziewać po nim ci, którzy nie znali go osobiście, nie słyszeli o pracach jego domowych i o tém, jaki był ogrom dzieł przez niego przeczytanych, jak pilnie i starannie zebrał wyjątki z ksiąg starożytnych i nowych, jak zasilał swą pamięć przez układ podręcznych słowników i wyciągów, jak zgłębiał kroniki i pomniki dawnego czasu, jeografią i narodowe narzecza, w jak ogromnym rozmiarze zwiększały się jego zasoby. Długo-trwałą i stałą tylko pracą zgromadzić można ten ogrom wiadomości, jakiego Szafarzyk potem zaczął udzielać swym czytelnikom; a im mniej spodziewano się po nim czegoś niezwyčajnego, tém więcej zadziwił, wydawszy w r. 1826. „Historją Słowiańskiego Języka i Literatury” (Geschichte der Slawischen Sprache und Literatur. Pesth, 1826; 524 p. in-8). W istocie, nie podobna było nie zadziwić się, jakim sposobem młody i ubogi profes-

sor nowosadzki mógł przysposobić ogrom materia-  
łów? jak się nie uląkł samą pracę zbierania? jak mógł  
nagromadzić wszystkiego prawie tyle, ile mu było  
potrzeba, i użyć najstosowniej do rzeczy? Dzieło  
Szafarzyka było pierwszym w swym rodzaju; każda  
jego karta wykazywała w autorze znajomość przed-  
miotu i dla tego nie mogło się nie stać podręczną  
książką dla każdego trudniącego się słowiańską li-  
teraturą. Ukazała się też ta historia w sam czas,  
bo już wtedy obudzony został ruch słowiański, bo  
już zaczynał się tworzyć powszechny zwrot ku  
przedmiotom słowiańskim, właśnie też potrzebna  
była taka książka, w którejby historycznie wysta-  
wioną była działalność literacka Słowian. Nie dziw-  
więc, że dzieło Szafarzyka w prędkim czasie zostało  
rozkupionem. Szafarzyka poznano; rozpoczęły się  
niezabawem cytacje z jego dzieła i kompilacje  
w Niemczech, we Francji, Anglii i Ameryce. Ale  
pierwsze honory, które spotkały Szafarzyka, przy-  
szły od Polaków. W roku 1826 Towarzystwo przy-  
jaciół nauk warszawskie mianowało go swym człon-  
kiem, a w roku 1827, Towarzystwo naukowe krako-  
wskie.

Jednakże nie podobna z innej strony nie zauwa-  
żyć, że należąc do ludu, nie mającego bytu samo-  
istnego, Szafarzyk dziwne miał pojęcie o stosunku  
historji politycznej narodu, do historji literatury.  
Mówi w przedmowie, iż „polityczna historia jest  
cmentarzem, na którym spruchniałe pozostałości  
praocjów podają jako urodzajną ziemię podrastają-  
cemu pokoleniu; gdy tymczasem dzieje literatury są  
zwierciadłem, w którym się spostrzega labiryntowe  
drogi, jakimi duch ludzki postępował; w tém zwier-  
ciadle wśród labiryntu jednak widać i prawą, prostą  
drogę.” Tak gdy dla narodów samodzielnych histo-  
rja polityczna jest główną podstawą a historia lite-  
ratury tylko jej jedną częścią, objaśnieniem jednej  
strony życia narodowego; dla Szafarzyka i jemu po-  
dobnych slawistów historia polityczna jest jedynie  
cmentarzem, niepotrzebną zawali-drogą, próchnem,  
którą się mylnie za ziemię urodzajną podaje! Z tego  
to błędnego zapatrywania się na żywot narodowy,  
wypłynął cały kierunek czeskiej literatury z pierw-  
szej połowy XIX wieku, kierunek filologiczno-sta-  
rożytniczy. Czeska literatura obecnie wydobyła się  
już z tego zaczarowanego koła, porzuciwszy nieo-  
kreślony pańslawizm....

Tymczasem jeszcze nie ubiegło dwa lata, a już u  
niego przygotowanym było drugie dzieło ważne i zaj-  
mujące, wcale w innym rodzaju: były to historyczno-

krytyczne badania o początku Słowian (Ueber die  
Abkunft der Slaven. Pest, 1828). Szafarzyk wykla-  
dając w krótkim zarysie *Surowieckiego*: „Śledzenie  
początków narodów Słowiańskich,” rozbiera kryty-  
cznie jego mniemania, jedne z nich zasila nowemi,  
gruntowniejszemi dowodami, drugie zbija, nie szcze-  
dząc zarówno dowodów. Tu znów dały się postrzedz  
oczytanie i uczoność, znajomość przedmiotu, a oraz  
umysł badawczy, ożywiony własno-dzielnością my-  
ślenia. Sława Szafarzyka ustaliła się; jego imię  
zjawiało się obok imienia innych pierwszego rzędu  
słowianistów zachodnich; komu znajomi byli Dobro-  
wski, Kopitar, Linde, ten nie mógł nie zapoznać się  
z Szafarzykiem. On też późniejszymi pracami swemi  
udowodnił powszechne o sobie mniemanie. Zbadaw-  
szy starożytne pomniki serbskiego piśmiennictwa, o  
których dotąd po większej części ani słyszano, po-  
znawszy przytém starożytne słowiańskie narzecza;  
Szafarzyk uporządkował swe badania nad samodziel-  
nością serbskiego narzecza i wydał je w roku 1833  
(*Serbische Lesekörner*. Pesth). Jest to prawie naj-  
lepsze dzieło ze wszystkich, które dotąd napisano  
w tym rodzaju, bo kilka nietrafnych porównań z inne-  
mi słowiańskimi narzecza i domysłów niedowie-  
dzionych, są niczem w porównaniu z tą dokładnością,  
jaką autor okazał w rozbiorze serbskich pomników.  
Oprócz tych dzieł, na obszerniejszą napisanych ska-  
łę, Szafarzyk pisał bardzo wiele wówczas rozpraw i  
i monografij, które już w czasopismach (głównie  
w „Czasopiśmie czeskiego Muzeum”), już osobno  
wydawał. W ogóle, co tylko na słowiańskim świecie  
się pojawiło, a dotykało początkowych dziejów sło-  
wiańskich, to brał on pod swą krytykę. Pisał uwagi  
nad zbiorami *pieśni ludowych* Vuka Stefanowicza,  
Szymona Milutonowicza, Wacława z Oleska. Roz-  
bierał zdania filologa Raska, *co do ortografii cze-  
skiej*, o najdawniejszym *psalterzu polskim* podawał  
swe uwagi filologiczne. To znowu z pola mitologii  
słowiańskiej podał rozprawę „O Rusalkach.” Histo-  
ryczne rozprawy jego odnoszą się wyłącznie do dzie-  
jów pierwotnych, jak np. „Przegląd źródeł do daw-  
nej historyi słowiańskiej.” „O narodach plemienia  
scytyjskiego, litewskiego” itd. „Przegląd narodo-  
wych imion w języku słowiańskim” i t. p.

W r. 1833 usunął się Szafarzyk od professury, a  
przeniósł się do Pragi. Głównie do tego przeniesie-  
nia, spowodował go Palacki. Tymczasem jednak  
Szafarzyk był ubogi, miał dużo potrzeb, nie mógł  
nie życzyć sobie powiększenia liczby ksiąg, nie mógł  
nie troszczyć się o żonę i dziatki; pędził życie

nawpół z nędzą, a jeszcze większy uczył niedostatek od czasu przeniesienia się swego do Pragi, zamożnej wprawdzie w liczne biblioteki, ale nie przedstawiającej mu nic, oprócz nagród za prace uczone, jako prywatnemu literatowi. Szafarzyk cierpiał tyle, ile mógł tylko cierpieć uczony z wieku XV, XVI, ceniąc każdy grosz, codziennie martwiąc się o dzień następny. Tu dołączyła się jeszcze choroba — nieodstępna towarzyszka uczonego biédaka, i głęboki smutek ojca, tracącego swe dzieci, jedno po drugim. Nasuwały się wprawdzie środki do polepszenia i ustalenia na czas dalszy bytu, ale pod warunkiem poświęcenia czasu na prace innego rodzaju... Ciężko doświadczał los Szafarzyka, ale on nie upadł; z pokorą znosił wszystkie cierpienia, pokrzepiony samą przyjaźnią i jej szczupłą pomocą, cieszył się nadzieją przyszłości, pracą i przekonaniem o sumienności swych zatrudnień. W tym roku (1833) umieścił w „Czasopiśmie Czeskiego Muzeum” obszerniejszą rozprawę: *Przegląd najnowszej literatury illiryskich Słowian*, jako też i krytyki innych dzieł serbskich, poczem objął redakcję czeskiego czasopisma: *Swietozor*. Było to pismo encyklopedyczne, ludowe, z obrazkami, rodzaj magazynu. W tym czasie pracował nad największym swym dziełem, nad *Starożytnościami słowiańskimi*. Czeskie Muzeum przyjęło na siebie kosztą druku, i dzieło wydane było w r. 1837 (*Slowanske Starozitnosti. Oddjel diegepisny. W Praze; 1005 str., in-8*). Dzieło to posiadamy w przekładzie polskim. Główną jego myślą było wykazać, że Słowianie są prastarymi mieszkańcami Europy, i jakie kraje pierwotnie zajmowali, z których później zostali wyparci. Oprócz tego w pewien obraz, w system, ujął wszystkie podania i rysy o obyczajach, zwyczajach i dawnych urządzeniach Słowian. Jest to najznakomitsza praca, jaka dotąd w tym zakresie się zjawiała. Każdy fakt oparty na licznych dowodach, każdy wniosek wymagał przejrzania i porównania mnóstwa świadectw. I ten cały ogrom trzeba było zamknąć w szczupłej objętości, to wszystko trzeba było ścieśnić, aby jak najwięcej ułatwić środki do wydania. Ztąd niedziw, że dzieło wymaga nie małej pracy po czytelniku. Ale za to jak miło odczytywać, jak łatwo pracować, mając pod ręką tę książkę! Nikt nie powie, że w tém dziele nie ma uchybień, tam i owdzie przywiązania się do raz przyjętego mniemania, ale cóż znaczą te wszystkie usterki w porównaniu, do tej uczoności, która zdumiewa czytelnika na każdej karcie? do tej dokładności w rozbiorze najdrobniejszych szczegółów? do

tego mnóstwa nowych faktów, użytych tu po raz pierwszy; do tego wszechstronnego rzutu oka, w porównaniu do umiejętności korzystania ze wszystkiego, czém mógł zasilić autora spólczesny stan nauk; do sztuki pokonania tysiąca przeszkód, porównania i użycia mnóstwa wiadomości? Niech uczeni prostują tę lub ową kartę w tém dziele, ale go nie odłożą na stronę i zawsze będą mieli onego potrzebę. Nie jest to utwór jenuiszu, ale owoc zadziwiającej cierpliwości, którą, liczyć trzeba, że posiada ledwie dziesięciu na dziesiątki milionów ludzi. — Każdy chcący z pierwotną historją słowiańską się obeznać, od *Słowiańskich Starożytności* rozpoczynać musi studia; o nie musi każdy historyk opierać swe badania dziejowe i musi albo zdania Szafarzyka zbijać, lub je przyjąwszy, dalej budować.

Od r. 1838 do r. 1843, był Szafarzyk redaktorem „Czasopisma czeskiego Muzeum” (*Czasopis Czeského Museum*). Po wydaniu „Słowiańskich Starożytności,” najwięcej zajmował się starą literaturą czeską. W rozprawie: „Początki staro-czeskiej mownicy” skreślił w przykładach rozwój języka czeskiego aż do Hussa. Pisał również rozprawy o pojedynczych zabytkach literatury czeskiej, o najstarszych rękopismach czeskiego psalterza, o rękopismie króloworskim, i t. p. W r. 1840 wydał on, razem z Palackim „Starożytne pomniki czeskiego języka.” (*Die ältesten Denkmähler der Böhmischen Sprache. Prag, 1840, in-4*), mając zamiar dowieść niesłuszności powątpiewań tych pomników co do istotności, i okazać, jak są ważne dla filologii, literatury i historii. W roku 1842 wydał drugie, obszerniejsze dzieło, a co do swjej wartości, wyrównywające „Starożytnościom słowiańskim.” Jak one opisywały przedchrześcijańską przeszłość Słowian, tak nowe to dzieło: *Narodopis słowiański* (*Slowansky Narodopis*), z mapą ziem słowiańskich w Europie, kreślił teraźniejszość Słowian, i wytykał granice ich siedlisk. (Polski przekład: „P. J. Szarzyka, Słowiański Narodopis. Przełożył z czeskiego Piotr Dahlmann.” Wrocław; nakładem Zyg. Schlettera, 1843. in-16, str. 234). Ale Szafarzyk był przede wszystkim filologiem, i tylko względy filologiczne wziął za podstawę podziału Słowian na narody. Nie wspólny zwyczaj i obyczaj, nie wspólna tradycja; nie wspólna, długowiekową historją wyrobiona idea narodowa, stanowią u Szafarzyka podstawę narodową, ale drobne różnice narzeczowe. Nie jest to więc narodopis, lecz narzeczopis słowiański. Do tego Szafarzyk nie znał

ani północnych, ani południowych Słowian tureckich. Po Słowiańszczyźnie nie podróżował nigdy. On naukę czerpał z piśmiennych zabytków, a nie z życia; on znał tylko przeszłość martwą narodów, ale nie teraźniejszość żywą. A choć sam uznawał, że narzecza ulegają wpływowi i zmieniają się w ciągu wieków, toć przecie trzymał się bardzo niepewnych podstaw. Tak naprzykład co do nas, sam mówi, że pomiędzy Dnieprem a Wisłą tylko jeden był język, że dopiero po przyjęciu liturgii starobułgarskiej i po przyjęciu języka starobułgarskiego, za piśmienny, język Słowian nad-Dnieprskich przybierać zaczął charakter osobnego narzecza, przybierając kształty starobułgarskie. Pomiął jednak zupełnie, że od połączenia w wieku XIVtym Słowian nad-Wiślańskich z Słowianami nad-Dnieprskimi, powstał z wpływu obydwóch narzeczy język piśmienny polski. A pod wpływem tego nowego, piśmiennego języka, narzecze ruskie Słowian nad-Dnieprskich i nad-Dniestrzańskich zaczęło się znowu przybliżać do języka polskiego, tak co do składni swój, jako i co do granicy między szczepem ruskim a polskim; wzięwszy narzecze jako podstawę, pobłdził mocno, gdyż wszystkich obrządku słowiańskiego, wziął za mówiących narzeczem ruskiem. W ogóle nie dostrzegł tego, że język mało-ruski, będący aż do XIVgo wieku osobnym narzeczem słowiańskim, w ciągu ostatnich pięciu wieków, gdy wszystkie klasy średnie i wyższe po wsiach, a miasta bez wyjątku, przyjęły piśmienny język polski w mowie potocznej i w piśmie, a pod wpływem tego faktu i lud prosty rozumiejąc i mówiąc tym językiem, przemieniał dawne formy swój mowy, i żywcem słowa i składnię polską w narzecze ruskie wprowadził, że język ten stał się

przez to narzeczem języka polskiego, tém ci więcej, że wspólnością obyczajów, wspólnością tradycji w tych warstwach, które brały udział w życiu politycznym, obadwa te ludy oddawna jeden naród stanowią.

W roku 1843, został kustoszem biblioteki uniwersyteckiej, a w roku 1848 bibliotekarzem. Czém był zjazd słowiański w Pradze w roku 1848, z jakiego źródła wypłynął? wiedziało wielu ze Słowian wówczas bardzo dobrze, gdy się na zjazd udawało. Chodziło o to, aby przeciwko Niemcom, lgnącym do Frankfurtu, przeciwko Madziarom, na podstawie unii osobistej rozwijającym u siebie najliberalniejsze instytucje, postawić trzeci żywioł, wprost tamtych przeciwny i przez to tamte sparaliżować. Jaki był rezultat tego zjazdu? wiadomo. Wspominamy zaś o tym zjeździe słowiańskim z powodu, że Szafarzyk czynnie wtedy wystąpił. Zawsze cichy i milczący, odżył wtedy całą duszą, i miał ognistą przemowę do zgromadzonych Słowian. Nienawiść innoplemieńców była w ówczas główną treścią wszystkich przemówień. Szafarzyka zaś mowa, była właśnie łagodzącą i wyrozumiałą.

Po roku 1848, Szafarzyk już bardzo mało mieszał się do życia publicznego i prócz kilku rozprawek, bardzo mało nawet pisał. Zapadał on często na zdrowiu, stracił pamięć i dostał melancholii. Przed rokiem (1860) czytaliśmy, że rzucił się był do Welta wy; umarł d. 26 Czerwca 1861 roku na rozmiękczenie mózgu. Cześć jego pamięci! (Obszerniejszą o życiu i pismach Szafarzyka wiadomość znaleźć można, oprócz wielu innych, w pismach czasowych „Jutrzenka” z roku 1843, i „Dzie. Lite.” z r. 1861).

J. S.

## LAS CASAS, OSWOBODZICIEL INDYJ, W AMERYCE.

W dziejach Ameryki, niewątpliwie najczcigodniejsze wspomnienia imie jest sławnego, tylokrotnie zpotwarzonego przez ziomków Bartłomieja Las Casasa.— On pierwszy obruszył się na źle zrozumianą gorliwość Hiszpanów, chcących przemocą i okrucieństwem zaszcześcić naukę miłości; w dziewiętnastym roku życia swego towarzysząc ojcu któren z Krzysztofem Kolumbem w 1493 r. udał się do Ameryki. Szlachetny młodzieniec oburzony postępowaniem okrutnym pseudo-Misjonarzy pokoju, postanowił po-

święcić się, aby tych biednych dzikich braci pojednać z nauką Chrystusową, do której wstręt i obawę tylko mieli; postanowił, o ile można, własnym poświęceniem, czystą miłością, zmyć choć w miljonowej części, ciężkie winy rodaków, i dla tego wróciwszy do kraju, wszedł do Seminarium Zakonu Dominikanów, a wyświęciwszy się, pośpieszył do Ameryki. Dzieje tego świętobliwego i wielkiego męża tak są spojone z dziejami Ameryki, iż musimy po krótko i o nich wspomnieć, opierając się na opisach ówczes-



snych, dziś zagrzebanych kronikarzy, i na własnych manuskryptach samego Lascasasa.

Wiadomo że gdy Krzysztof Kolumb po 30to-dniowym żeglowaniu na Oceanie wysiadł na jedną z wysp Lukajskich Guarahami, krajowcy pierzchnęli w góry, a on pochwyciwszy jedną kobietę, uczęstowawszy ją winem i udarowawszy różnemi błyskotkami, zdołał ję wytlómaczyć że nie w złych widokach wysiedli na grunt ich. Za ję pośrednictwem, Indjanie najpierw ciekawością zbliżeni; potem zachęceni łagodnością podróźnych, przynosili im złoto w zamian za szkło i inne europejskie cacka i tak byli zaufani w dobrych chęciach *nowych ludzi*, że pozwolili im tam rozpocząć budowlę i pozostać na wyspie. — Wtedy Kolumb zostawiwszy trzydziestu kilku ludzi, wraca do Hiszpanii, a obdarzony łaskami i honorami królowej Izabelli, powtórną sławną czyni wyprawę w roku 1493cim. — Tym razem, również i za trzecią wyprawą, w której już nie tylko wyspę ale stały ląd odkrył; zawsze Kolumb jako pełen ludzkości i szlachetności człowiek, tylko środków łagodnych używał dla opanowania Indjan. Ale niestety! nikt go nie naśladował, i nieszczęśliwi krajowcy, łagodnego usposobienia, pojętni, cierpliwi, jakże byliby prędko przyjęli cywilizację z religją, gdyby im ją innym sposobem podawano! Następcy Kolumba dumnego Americ'a Vespuzjusza łączyli dzikość ówczesnych obyczajów wojennych z usposobieniem awanturniczém, i z taką chciwością nabywania nowych skarbów, że z zapalem biegli na tę nową ziemię, tyle cudowności, tyle skarbów posiadającą; a mając się za zwycięzców, nie pomnąc że gdzie nie ma walki tam nie ma zwycięstwa, jakby po zwalczeniu srogich i zaciętych nieprzyjaciół, wydali *okrzyk* stanąwszy wśród bezbronnych napadniętych — „śmierć zwyciężonym.” — Nie będziemy opisywali bezprawiów, okrucieństw jakich dopuszczali się ci *propagatorowie chrześcijańskiej nauki!* — Pierwszy Las Casas oburza się na tak przeciwne zasadom miłości Chrystusa postępowanie: w młodym pełnym zapału młodzieńcu budzi się odwaga do stawienia oporu strasznyemu nadużyciom. Najpierw udaje się do Haity jako do miejsca gdzie ojciec jego był znanym Gubernatorowi. — Zastał tam biednych krajowców tak prześladowanych, że nieszczęśliwi uciekali w lasy, lub topili się aby ująć ciemnotę. — Młody kapłan śpieszył do nich — rozdawał pożywienie — przyswajał darowiznami i na powrót do mieszkań ich sprowadzał. — Pocieszał, ożywiał dusze ich przestraszone, uzdrawiał choroby i tym sposobem rozpoczął dzieło cywilizacji.

Wkrótce ten, miłej powierzchowności młodzieniec, takim się otoczył urokiem, że stał się jakby bogiem dla tego nieszczęśliwego ludu. — Na jego słowo, mieszkańcy bez obawy wracali tłumami, sprowadzając nowych osadników, których był prawdziwym opiekunem. — Ale łagodność krajowców, zdawała się podstępna w oczach Hiszpanów — w niepewności, w obawie jakichsiś wypadków, które nie sumienne ich postępowanie z krajowcami nasuwało ich wyobraźni — zabijali Indjan! Las Casas miał do zwalczenia więcej niż barbarzyństwo, bo strach. — Zwycięzcy trwożyli się własnemi zwycięztwami. — Obie ludności nie rozumiały się. — Smutno wyznać, że nie stać było Hiszpanom na odgadnięcie tego cichego, łagodnego ludu, pragnącego pokoju. — Tylko przez młodego kapłana, *ojcem* przez lud nazwanego, Gubernator mógł rozkazywać, a to tym sposobem: że na wysokim bambusie przyczepiał papier z podpisem niby *Ojca*, co dostatecznym było dla krajowców. Lecz niestety! im więcej Indjanie się przyswajali, tém więcej ta garstka zwycięzców mierząc siły swoje istotne, do sił zwyciężonych, drżała o swoje życie i zabory i dopuszczała się okropnych nadużyć.

Żeby dać wyobrażenie cierpień, jakimi dotkniętą była Lascasasa dusza, i jakie na każdym kroku spotykały ją zawody, przytoczymy tu zdarzenie, o którym on sam w pamiętnikach swoich wspomina:

Pewnego dnia w prowincyi Camaguaj 200 wojowników pod dowództwem Narwaeza zatrzymało się nad brzegiem rzeki. — Więcej niż 2,000 Indjan wyszło z lasów, ofiarując im kwiaty i owoce. — Usiedli potem swoim zwyczajem i spokojnie poglądali na tych nieznanym nowemu światu ludzi i zwierzęta. — Rzeka płynęła po wielkich kamieniach. — Hiszpanie na widok biednych dzikich, powstają, biegną do rzeki i zaczynają o skały ostrzyć broń. — Nagle powstaje krzyk! broń hiszpańska się miga — a nieszczęśliwi Indjanie padają! — Las Casas biega tu i owdzie chcąc choć niektórych ocalić — a Narwacz zimno i spokojnie pogląda na scenę, którą zapewne sam przygotował. „Ah! — mówi Las Casas — wbiła się ona tak mocno w serce moje, że po pięćdziesięciu latach, jeszcze mi je rozkrwawia.” — Garstka pozostałych Indjan schroniła się do lasów. — Nie ma rąk do uprawy ziemi! wyludnienie, niedostatek na całej panuje wyspie a zwycięzcy sami zagrożeni są głodem! — Ale po czterech miesiącach, chęć oglądania miejsc rodzinnych tak się czuć daje biednym wygnańcom, że wysyłają do Ojca jednego z pomiędzy siebie, któryby wszedł w układy o ich powrót. —

Las Casas rozpoczął je, wymagając od Hiszpanów najuroczystszą obietnicę pokoju i ludzkości — poczem odesłał Indjanina do współbraci. — Przez dwa tygodnie nic nie słyszano o nim; zaczęto już nawet powątpiewać o jego powrocie. Wtém, wieczoru jednego, właśnie gdy Las Casas sam już niespodziewał się oglądać go, — Adrjan (było to imię chrześcijańskie młodego człowieka) przybył, a z nim 180 Indjan przynoszących narzędzia rolnicze. Złożyli Panom swym ryby, owoce na znak zgody i rozpoczęli na nowo bieg życia swego spokojnego. Oddani zatrudnieniom, uprawiali ziemię, pracowali dla swych panów, pożyczali im łódki do przepływania wzdłuż rzeki — a protegowani ciągle przez księdza, zwołali ziemków swych na przestrzeni więcej jak stu mil kwadratowych.

Przez nowo-przybyłych dowiedział się Las Casas o dwóch kobietach hiszpańskich będących w niewoli u jednego kacyka ze stałego lądu, i o żołnierzu jeńcu u drugiego. — Las Casas okazał chęć oglądania swych rodaków. — Nie zadługo jednego wieczora, łódka przybiwszy do brzegów, złożyła na ziemię dwie niewiasty — były to dwie niewolnice które *Ojcu* ofiarowano! — Nie ma zdaje się tryumfu wojennego któryby zrównać potrafił temu zwycięztwu miłości chrześcijańskiej nad dzikością.

Prostoduszni i pełni zaufania jak dzieci, Indjanie, ciągle powracali przynosząc kwiaty, owoce, konchy i inne dary. — „Ale okropna i nie do uwierzenia dzikość; — mówi Las Casas — ta łagodność, dobroć, zastraszyła znów zwycięzców — nie pojmowali oni tyle niewinności.” Nowa rzeź miała zakrwawić wyspę. Młody kapłan pierwszy raz ośmielił się stanowczo oprzeć staremu dowódcy. — „Jeśli uprzesz się w szalonych twych zamysłach — rzecze mu Las Casas — pojedę do Madrytu i będę domagał się sprawiedliwości na kata, który hańbi Hiszpanję.”

Velasquez, gubernator Kuby, gdzie podówczas znajdował się Las Casas, musiał wreszcie ocenić radę czcigodnego *Ojca* i tym razem poszedł za nią. W podziale gruntów najwięcej uposażył nawet Las Casasa. Tu zaczynają się nowe zapasy męża chrześcijańskiego, przeciwko dzikięj i okrutnej przemocy. Obroniwszy życie Indjan, bronić praw ich postanowił. Najpierwszym uczniem Las Casasa został niejaki Pedro de Reuteria który był Alkadym i zastępcą Gubernatora, a znany z przykładowej pobożności — tkliwa przyjaźń wkrótce, nierozzerwanym węzłem spoiła te dwie piękne dusze.

Pedro również jak Las Casas udarowany posia-

dłościami i Indjanami został, gdyż w końcu Gubernator o użyteczności tych ludzi przekonawszy się chciał ich do siebie przywiązać. — Lecz obydwa pytali się sumienia swego, czy mają prawo do posiadania ziem i ludzi zabranych? obydwa uznali obowiązek obdarzyć prawami i własnością tych istotnych posiadaczy ziemi przemocą wydartęj. — Velasquez napróżno odwodził ich od tak szalonego (podług niego) zamiaru. — Jednej niedzieli w dzień Zesłania Ducha Świętego, wchodzi Las Casas na ambonę, a otworzywszy Biblię, trafia na słowa Ekklezjastyka: „*Biedny ma tylko czas swój jako majątek, jest to chleb jego, kto mu go zabiera, zabija go.*” — Z tego tekstu wychodząc, powstaje na kolonistów bogacących się krwią i pracą biednych krajowców. — Zachęca ich aby za jego przykładem zrzekli się posiadłości, udarowali wolnością pracujących na nich Indjan i t. d. Lecz był to głos wołającego na puszczy. Las Casas wraz z przyjacielem swoim zrzekli się posiadłości i uwolnili niewolników podarowanych sobie — podziwiać musieli koloniści ich czyn, ale nikt nie chciał go naśladować. — Las Casas chciał przynajmniej, o ile w mocy jego było, zasłaniać od przeciążenia pracą biednych niewolników — nie opuszczał żadnej sposobności stawania w ich obronie; wszędzie go było pełno, czy to na placach targowych, czy przy pracy; a wszędzie spotykając nadużycia, z pociechą śpieszył dla przygnębionych — a z prośbą w imię miłości i kary Bożkiej przemawiał do ciemiężców. Łakomstwo nienasyconych Hiszpanów, zachęczone cichą łagodnością nie stawiającą oporu, chyba samobójstwem lub ucieczką biednych Indjan, nie dozwoliło iść za napomnieniem kapłana i krajowce ginęli z przeciążenia pracą.

Las Casas nie traci odwagi — jedzie do Hiszpanii w myśli przemówienia do króla na korzyść biednych Indjan. Lecz tylko co przybył do Seville, śmierć monarchy obala wszystkie jego nadzieje. Kardynał Cisneros, człowiek wyższego usposobienia i serca, przyjmuje go; obie te dusze rozumieją się od razu i napełniają się nadzieją uwolnienia części rodzaju ludzkiego i rządu jej po chrześcijańsku, cywilizując tym sposobem Amerykę. Prawnik Pelacio Rubio, dodany został do pomocy Las Casasowi, dla przygotowania planu rządu dla Indji.

Trzem Zakonnikom Hieronimitom: Ludwikowi de Figue, Bernardowi Mansanedo, i Alfonsowi de Santo Domingo, poruczonem zostało wykonanie planu.

Bezstronna historia przyznać musi, że nie ma zamysłu przezornego i dobroczynnego któryby przez

tych trzech nieznanym mnichów nie był podany. Umysły prawe, którym samotność i rozpamiętywanie dodały siły i wyższości, od razu pojęły, że wymagano od nich pogodzenia dwóch rzeczy z sobą niezgodnych: *Samolubstwa i poświęcenia—chciwości i miłosierdzia*. „Nie zdaje nam się — pisali w pierwszym „podanym raporcie— aby można zachować zarazem „życie Indjan i żądać wiele bogactw z Ameryki. — „Dziś każą im pracować jak tylko można najwięcej, a skarżą się że nie dość ztąd korzyści odoszczędzą. — Jeżeli mniej będą pracowali a lepiej utrzymywani będą, daleko jeszcze mniejsze zyski będą. Zamiary jakie nam poruczają, zdają nam się „niepodobne do wykonania. Po cóż więc pojedziemy?”

„To są — odpowiedział Kardynał— z ręczne wymówki — chcę aby pojechali.” Pojechali więc.— Zdolność wyższego umysłu, przezorność rządzących, wyrachowanie ekonomistów, wszystko to połączonem było w tych trzech biednych mnichach. Wzywali oni już wtenczas tego, co i dziś samo tylko zbawić może kolonję.— „Złe robią — mówi jeden z nich w manuskrypcie swoim — kopiąc tylko bogateminy „tego kraju. — Zboże, wino, bawełna uprawiane, „więcejby z czasem przyniosły korzyści, niż wszystkie te miny. Nam trzeba silnych robotników; oto „jest podstawa pomyślności naszej w Ameryce.— „Potrzeba zatem wezwać Hiszpanów z Europy i „Portugalczyków do przechodzenia i osiedlania się „w tym nowym świecie. Stosownem byłoby ogłoszenie, iż wszystkim wolno udawać się do Ameryki, „zabierając z sobą i przywożąc bez żadnej opłaty „wszelkiego rodzaju towary.— Niech Wasza Królewska Mość przesyła nam wszystek nadmiar ludności Europejskiej i t. d, i t. d.

Późniejsi a nawet dzisiejsi Ekonomiści, skuteczniejszych i mędrszych uwag poczynićby nie mogli— wiele łez i krwi strwoniwszy, doszli za pomocą doświadczenia, prawd, przed trzema wiekami przez trzech na pozór prostych mnichów objawionych. Nie pierwszy to przykład, gdzie znajomość praw chrześcijańskich dobrze pojętych, lepiej zrozumie potrzeby ludzkości, skuteczniejsze trwalsze środki polepszenia jej moralnego i materialnego bytu obmyśleć zdoła, niż nauka ekonomii politycznej na suchem wyrachowaniu oparta.

Za długo byłoby opisywać daremne usiłowania trzech zacnych mnichów i Las Casas'a którego czynności powinny być rozleglejsze, gdy otrzymał urzędową nominacją na *Urząd Protektora Indjan*.

Lecz w owym czasie, porozumienie się rychłe z najwyższą królewską władzą, trudniejszem było niż dzisiaj. Koloniści mając za sobą wojsko, nie lękali się Madrytu, w którym także mieli stronników gwałtu i nieprawości. Gniew ich na Las Casas'a do tak widocznych doszedł objawów, że w San-Domingo goniono go, i zapewne byliby go zamordowali, gdyby się był do klasztoru Dominikanów nie schronił. Okropne nadużycia, różnego rodzaju zdrady, jakich się dopuszczali koloniści względem Indjan łatwych do oszukania, zmusiły Las Casas'a niezmordowanego w swoich zamiarach, udać się powtórnie do Hiszpanii, aby tam wszelkich użyć sposobów, do przeprowadzenia korzystnych dla Indjan swoich zamiarów.— Pomimo że Las Casas miał wiele przeciwników u Dworu, a mianowicie Radców Państwa, obrażonych że mnich wtrąca się i śmie podawać sposoby ulepszenia o jakich oni nie pomyśleli; wszakże wyrobił sobie u króla pozwolenie przedstawienia planów swoich.

W podanych przez niego projektach wiele było nader użytecznych i dobrze obmyślonych.— Ale wiadomo że najlepsze prawo przez niesumienność ludzi i słabość rządu, może być tak wykrzywionem, że zamiast dobrych, złe skutki przyniesie.— I tak było prawie ze wszystkimi pomysłami Las Casas'a. Pomimo że w prawach jego nic nie było w gruncie naganego, gdy weszły w wykonanie, wykoszlawiono je tak bardzo, że w końcu biedny Las Casas żałował że je podał.— Tak np. chcąc ratować upadającą ludność, którą kopalnie i fabryki cukru do reszty wyniszczały, oświadczył zdanie, iż można na czas jakiś dozwolnić kolonistom, posiadać niewolników murzynów, którzy fizycznie silniejsi od krajowców, mogą ich wyręczać bez utraty życia.— Nie omieszkali koloniści korzystać z tego pozwolenia, ale nie tylko utrzymując tych, których już mieli, lecz sprowadzając innych— a biedny Las Casas potem w pamiętnikach swoich głęboki żal wyrażał, że mając cel dobry, że chcąc ratować jednych bliźnich ginących z pracy, niechcący na drugich jarzmo dozwolił włożyć. Toż samo prawie działo się czas jakiś z białymi osadnikami, gdy na wniosek Las Casas'a król dozwolił aby kto chce z pracującą rolniczą klasą przenośli się do Ameryki i tam ziemię uprawiał. Przybycie ludzi wolnych, umiejących pracować w roli i chętnie do tej pracy biorących się, istotnie mogło przynieść wielką korzyść Indjanom niedoświadczonym i kolonistom, którzyby puszczali im grunta.— Lecz znaleźli się Hiszpanie korzystający z pozwolenia królewskiego, którzy werbując na swoją rękę kastylijczy-

ków, różnemi obietnicami durząc ich, potem układy jak o niewolników z Rządcami Kuby i San-Domingo czynili! — Las Casas dowiedziawszy się o tym haniebnym handlu, o tysiącach ludzi wywiezionych z kraju, nieopatrzonych w dostateczną żywność, musiał znów za nimi jak za Indjanami ujmować się — i dopiero swojemi przedstawieniami, krzykiem, rzecz można, zaledwie im jakie takie wyrobił wsparcie. — W końcu ten zacny mąż wiedział tylko że wszystkie prace jego, wszystkie zabiegi, zawsze chciwość i złość ludzka przeinaczy lub zniszczy. Pojmował aż nadto, że nawet ta chciwość nasyconaby być mogła, nie mordując, nie wyludniając, i lubo wolniej, osiągnęłaby te same zyski — lecz te zyski były zapewnione na dal; gdy tym czasem gwałtownie ciągnąc korzyść, opłacaną życiem niewolników, wyludniali ziemię i w końcu spodziewać się mogli zupełnego braku rąk pracy. Niebaczni na przyszłość, nazywali utopją środki przez Las Casasa podawane; do tego stopnia zaślepiała ich chciwość. — Chciał więc Las Casas dotykalnie przekonać ich o możliwości urządzenia kolonii na swój sposób. Wypracował projekt takiego urządzenia; piękna dusza jego pamiętała tam o wszystkim; potrzeby moralne równie jak materialne cywilizującego się dobrowolnie ludu zapewnione były. Warunkiem najważniejszym było, aby w jego kolonjach, nie wolno było wcale znajdować się wojsku, wiedział że ukazanie się zbrojnych hiszpanów, zniszczyłoby tylko zaufanie krajowców. Szło więc o pozwolenie królewskie, o udzielenie mu wybrzeża na stałym lądzie, gdzieby sam był rządcą i właścicielem. — Żądania jego nie były nadzwyczajne, nie chciał darmo, i za tysiąc mil ziemi jeszcze nie kolonizowanej, dzikiej, nie zdobytej, ofiarował rocznie 15,000 dukatów w latach pierwszych a później więcej aż do podwojenia summy. — Wygotowawszy wszystko, pomimo wielkich przeciwności, uzyskał obietnice że sprawa Indjan i jego projekt na walnej tronowej radzie rozbierany będzie.

Nadszedł dzień ważny dla bohatera walczącego niezmordowanie w sprawie ludzkości. — Karol V zasiadł na tronie a wielka liczba dygnitarzy państwa otoczyła młodego króla. — Cóż się działo w duszy Las Casasa gdy usłyszał rozprawy tylko chwalcące odwagę bohaterską hiszpanów, w zajowaniu *dzikich!* którzy jak się jeden biskup wyraził (opierając się na słowach Aristotelesa) są zrodzeni do niewoli! — Wtedy prawdziwy chrześcijański kapłan, uzyskawszy pozwolenie mówienia, zaczął w krótkich jaśniejących prawdą wyrazach, dowodzić różnicy między pogań-

ską filozofią uznającą potrzebę niewolników, a chrześcijańską znoszącą niewolę, wskazującą brata w każdym człowieku. — »Jeżeli krew Abła wołała o pomstę — kończył mówiąc: — cóż dopiero krew tylu Ablów poświęcanych łakomstwu?« Kilka mnichów poparło zdanie Las Casasa. — Chciał biskup poprzednio mówiący i inni zaślepieni przeciwnicy Las Casasa mówić, ale król nie dozwolił. — Słowa prawdy trafiły do serca i bystrego umysłu Karola Vgo; — szczególny ten monarcha zawsze sprzeczny w zasadach a czynnościach swoich, zwolennik praw Chrystusa a razem nauki Machiawela, czy to w skutek chwilowego uniesienia dla cnot chrześcijańskich; czy też dla innych niezbadanych widoków; przyznał zwycięstwo prostemu, nie używającemu pochlebstw zakonnikowi nad dygnitarzami państwa, którzy go uwielbieniami obsypali. Las Casas otrzymał od króla 200 mil kwadratowych, które wolno mu było po swemu urządzać, 200 rolników kastylijskich, którzyby dobrowolnie udali się za nim i 3 obładowane żywnością i różnemi potrzebnymi narzędziami okręta.

Pełen nadziei popłynął kapłan na brzegi mu przeznaczone, zwane Perłowemi. — Dotąd tam krajowcy nie byli zrażeni. — Przybywszy, za pomocą wina kastylijskiego i różnych dla krajowców ponętnych, szklanych lub t. p. sprzętów i cacek, zawiązała się znajomość, a później ufność. — Klasztory Franciszkanów i Hieromitów rozwijały tę ufność i całe były oddane na potrzeby Las Casasa, któren uradowany tak dobrym początkiem, wielkie sobie na przyszłość czynił nadzieje. — Ale czegoż się spodziewać można było w owym czasie, gdzie zamiłowanie do awantur- niczych wypraw, zaborów, do najwyższości posunięte w monarsze, podzielanemi były przez poddanych? — Nie karna, nie urządzona podług dzisiejszych zasad siła marynarska, puszczała się bezkarnie na swoją rękę na różne wyprawy.

Tak jednego poranku podpływa okręt pod klasztor — kapitan nie odkrywając zamiarów, każe sobie sprowadzać Kacyka miejscowego; gdy ten nadszedł, pyta go: czy ludzi jedzą na tém wybrzeżu? — to był zwykły wybieg, zwykłą obelga ze strony hiszpanów, która im służyła za pretekst do mordowania Indjan; — Kacyk oburzony odszedł. — Wtedy kapitan o podał od klasztoru zarzuca kotwicę. — Indjanie miejscowi bez obawy zbliżają się — kapitan mówi że potrzebuje znaczną ilość kukurudzy którą zapłaci. — Kacyk tamtejszy, przyjaciel hiszpanów, noszący nawet ich nazwisko, dostawia mu żadaną kukurudzę. Lecz gdy 50 spokojnych Indjan składają wory z ple-

ców swoich, otaczają ich hiszpanie, wiążą i prowadzą na pokład, a ratujących się ucieczką, mordują. — Taki czyn naturalnie wywołuje zemstę. — Gdy kapitan po spełnieniu bezprawia, przechadzał się z towarzyszami swymi po wybrzeżu, otaczają go Indianie i mordując hiszpanów odpłacają im. — Kapitan schroniwszy się na okręt, każe wieszać tych którzy mu kukurydzę przynieśli i których pochwylił. — Władza hiszpańska uwiadomiona, oburza się na tę słuszną zemstę Indian, przybywa okręt ze 300 żołnierzami aby ich karać. Las Casas udaje się do kapitana nowo przybyłego, ale ten nie słucha jego przedstawień, tylko drwinami go zbywa, jako *założyciela moralnych osad*. — Las Casas będąc sam na okręcie nie czuł się dość silnym przekonać dzikiego kapitana — ale nie tracąc czasu czyli odwagi, śpieszy do San-Domingo i tam na ulicach publicznie głosi prawa swoje, i straszy że jeżeli mu wdzierać się będą w posiadłości jemu powierzone, on skargę zaniesie do tronu. — Pogrożki pomogły. — Wtedy udaje się na swoje wybrzeże Perłowe, gdzie miał okręta i kolonistów, — ale ci przestraszeni obchodzeniem się Indian z żołnierzami kapitana, niechcieli pozostać i dali się namówić kapitanowi, który głuchy na wszystkie przedstawienia Las Casasa, zabrał ich prawie wszystkich. — Zresztą kolonistów i z dwoma okrętami pozostawszy Las Casas wydał stanowcze rozkazy, a sam znów udaje się do San-Domingo aby prawa swoje popierać. — Lecz i tu spotyka go nowa klęska — kapitan okrętu zamiast go słuchać, za ledwie znikł mu z oczu Las Casas, udaje się na wybrzeża, za pomocą pereł złota, za chwytnościem niewolników.

Tak nieszczęśliwy Las Casas musiał do ostatniej kropli wypić kielich goryczy: kierujący jego statkiem zbłądził i przez dwa miesiące nic o Las Casasa nie słyszano; za przybyciem nareszcie do San-Domingo nie pozostało mu ani grosza na powrót do Hiszpanii — majątek jego, kredyt, był stracony — tyle poświęcił a wszystko na próżno! nieprzyjaciele jego tryumfowali; przyjaciele nawet go odstąpili, uważać go poczęli za szalonego, uganiającego się za niepodobnymi do spełnienia ideami, niezdolnego doprowadzić do skutku nic prawdziwie użytecznego i wielkiego. — Jednakże niebrakowało mu przewidywania, wytrwałości, czynności niezmordowanej, rozumu i najlepszych chęci; ależ żaden rozum ludzki odgadnąć ani zwalczyć nie mógł szeregu wypadków i nieszczęść, które chciwość ludzka postawiła przeciw usiłowaniom jego. — Palcem wytykano człowieka który był chlubą Hiszpanii i wieku swego! Jedni

tylko Dominikanie z San-Domingo pozostali wiernymi mu przyjaciółmi — oni jedni pocieszali go wśród tylu gorzkich cierpień, u nich tylko doznawał czci i poszanowania. W końcu 1522go wszedł do ich zgromadzenia i przez siedm lat następnych, wzmacniał wśród modlitwy i rozpamiętywania duszę swą wzniosłą i tkliwą.

Nikt nie wiedział wtenczas że Las Casas żyje jeszcze. — Umartwienia, modlitwa i prace literackie wszystkie mu zajmowały chwile. — Zawód jako reformatora zdawał się być już zniszczonym w samym zawiązku. — Rozpoczął więc zawód historyka, filozofa, moralnego mściciela prześladowanej ludzkości. — Zaczął pisać historję biednych Indian, Krzysztofa Kolumba, podług oryginalnych rękopisów, a nadewszystko sławną rozprawę: *O jedynym sposobie nawracania: De unico vocationis modo* — która sprawiła w umysłach ódmianę, jakiej czynne prace jego dokonać dotąd nie zdołały. Nigdy filozofowie XVIIIgo wieku nie obstawali tak silnie, energicznie i z taką gorliwością jak on za tolerancją — zaczęto wiele mówić o tém znamienitem dziele. Koloniści i rządzący Hiszpanją przeczyli możności ucywilizowania i nawrócenia Indian, wedle zasad które już raz doprowadzonymi do skutku nie zostały. — Las Casas i bracia jego prosili aby raz jeszcze oddano im jakąś prowincję dziką. — Podejmowali się ucywilizować i nawrócić ją, pod warunkiem atoli, aby żaden człowiek uprowadzony nie został z tamtąd w niewolę i aby przez 5 lat żaden Hiszpan nie postąpił nogą w tej okolicy.

Gubernator, któremu ta propozycja nie dorzeczną się zdawała — ale który jednak oglądał się na obiecane ztąd przez Las Casasa dla skarbu zyski, wydał mu na to dnia 2go Maja 1537 pozwolenie królewskie. — Las Casas wybrał sobie część kraju pomiędzy górami Acapulca w Guatimali, część dotąd nie zamieszkałą, nie uprawną i której wojsko wcale jeszcze nie splądrowało. Z pomiędzy zaś Indian ochrzczonych i blisko tej okolicy mieszkających, czterech ludzi roznoszących towary hiszpańskie, wysłał do dzikich ludzi; a znając namiętne upodobanie Indian do muzyki i poezji, sam ułożył w języku najpowszechniej używanym pieśni nabożne, zawierające główne zasady prawdy, moralności Ewangelicznej i przystosowawszy do nut śpiewanych, wyuczył tych pieśni owych czterech wzmiankowanych kupców. Ci zapuściwszy się w góry Acapulca i Ruicha, starali się najpierw ująć darami Kacyka aby im pozwolił rozbić namiot — a że mieli większą niż zwykle

ilość towarów, ludność zaczęła się zewsząd do nich gromadzić. Po wyprzedaniu wszystkiego, mieszkańcy zadowoleni z kupna, wyprawili kupcom ucztę, kupcy zaś w dowód wdzięczności biorąc w ręce instrumenta muzyczne i kastanjety śpiewać im zaczęli. — „Na tę nieznaną harmonję — mówi kronikarz — na te szczególne opisy, cuda, które opiewali, Indjanie pilnie słuchając osiedli ich do koła.” — Taka była ztąd radość i podziwienie Indjan miejscowych, że kupcy przez tydzień z gościnności ich korzystając, powtarzali im ciągle, częściowo lub w całości pieśni swoje. Wielką niemi wzbudzili ciekawość i zajęcie samego Kacyka, chciał nawet dowiedzieć się znaczenia tych wyrazów. — Kupcy odpowiedzieli mu, że ci którzy ich tych pieśni nauczyli, w niczem podobni nie byli do hiszpanów dotąd widzianych, że ubrani byli biało, nie żądali ani pereł, ani złota, ani kobiet; niejedli mięsa i żadnej nie mieli broni; ale że życie swoje spędzali na uwielbianiu Stwórcy; nakoniec że gotowi byli przybyć do Kacyka i jego narodu gdyby ich do tego wezwano.

Kacyk więc wysłał jednego z braci swoich do Ojców Guatimala z zaprosinami, chcąc zarazem zręcznie wywiedzieć się, o ile pochwały kupców z prawdą zgodne były. — Dominikan jeden nazwiskiem Lancer wyprawiony został do Kacyka, który go przyjął z oznakami największej radości. Droga do chaty Kacyka była zasłana kwiatami — a ojciec nią postępując przechodził pod sklepianiami z krzewin splatanemi, gdy młodzi drogę przed nim zmiatali. — Wkrótce posiadał ów Dominikan całe zaufanie Indjan, mianowicie gdy im dał przyrzeczenie iż żaden hiszpan w kraju ich się nie ukaże i że w niewolę brani nie będą.

Wytłumaczone dogmata wiary chrześcijańskiej — Msza Śta odprawiana, nawrócenie i ochrzczenie tej dziczy, zniszczenie bożyszcz ich i spokojne ucywilizowanie całej tej prowincyi, były skutkiem tej pierwszej próby, innego jak dotąd postępowania w nowo odkrytym świecie. Korzystając z tak szczęśliwego początku, Las Casas w towarzystwie brata Pedro de Angelo, sam udał się do Kacyka, i z równą uprzejmością był przyjętym, nadto dodał mu Kacyk wartę do eskortowania go w głąb kraju. Wszędzie w pochodzie znalazł też samą gościnność, ofiary z kwiatów i owoców złożone i uczyty wiejskie. — Chaty tej ludności (Bohios) wojennej, nie były skupione razem ale porozrzucane na grzbietach gór i w rozpadlinach skał. Dla łatwiejszego ich ucywilizowania, postanowił Las Casas mieszkania ich zbli-

żyć z sobą około kościoła. — Nie bez wielkiej trudności mógł to do skutku przywieść, całej mocy i wpływu swego użyć musiał aby skłonić tych ludzi do porzucenia każdej swój doliny i drzewa ocieniającego mieszkanie naddziadów. — Takim to sposobem chrześcijański ten cywilizator przywiódł wielkie swe zamiary do skutku, wśród ludu najbardziej znanego z barbarzyństwa. — Aby tém lepiej ustalić dzieło swoje, Las Casas skłonił Kacyka, którego imieniem Juana ochrzcił, aby z nim udał się do Guatimala, gdzie go miał przedstawić nowemu Gubernatorowi Alvaredo, i przekonać, że Kastylijczycy nie są ani tak okrutni, ani tak chciwi, jak ich sobie wystawiał Kacyk. W skutek prośb Las Casasa, Indjanin otoczony licznym orszakami, wszedł tryumfalnie do Guatimala; ale tryumf ten był raczej tryumfem Las Casasa.

Podziwiali hiszpanie powagę, grzeczność i znalezienie się dzikiego — mieszkał on w klasztorze Dominikanów, wraz z Las Casasem; tam przyjął Gubernatora i Biskupa z całą uprzejmością dworaka a razem poważną grzecznością panującego. — Gubernator trzymając w ręku kapelusz długim ocieniony piórem czapli, zamiast włożyć go na głowę odchodząc, poważnie ozdobił nim Indjanina — który z równą zdejmując go powagę, oddał go z dziękczynieniem.

Oprowadzony przez samego Biskupa po całym mieście, po sklepach, targach, placach — niczemu się nie dziwił, gdy mu nawet rzeczy wcale nieznane przedstawiano. — Pomimo nalegań Biskupa żadnych darów przyjąć nie chciał, mówiąc: „Piękne są te rzeczy, ale na cóżby się u mnie zdały.” — Gdy wpatrywał się w obraz N. Panny w jednym kościele, proszono go aby go przyjął; ze zwykłą sobie grzecznością, nie odmawiając tym razem, kazał go zdjąć z uszanowaniem i do siebie zanieść.

Nakoniec powrócił Las Casas z Kacykiem do Copanu. — Nie ustawał w rozpoczętym dziele, i już dżicy mieszkańcy pustyni, stali się hiszpanami. Gdy Gubernator, dwór, zdziwieni nadzwyczajnym tem powodzeniem, powzięli nareszcie myśl postępowania, tak dobrze utorowaną drogą.

Powołany do Madrytu Las Casas dla wybrania sobie Missjonarzy, ujrzał się z początkiem 1539 roku na dworze, nie już jako zwyciężony, ale jako zwycięzca. — Dworzanie nie śmiali się już z tego człowieka, który, gdyby był został usłuchanym dawniej, byłby oszczędził tyle krwi i pięknych krajów. — Co raz więc nowe uzyskiwał łaski i przywileje dla ludu

swego. Prowincje, które sam był uspokoił i ucywilizował, szczególniejszym były przedmiotem jego pieczołowitości; najbardziej obstawał przy sposobie przyswajania muzyką i wszelkimi przyjemnościami życia lud ten miły i czuły na sztuki piękne.

Już miał wyjeżdżać z Missjonarzami, Franciszkanami i Dominikanami, których sobie wybrał, gdy Prezes rady rozkazał mu w imieniu Karola Vgo pozostać w Madrycie, dla ułożenia Praw nowych, które Indianom nadać chciano. Tak więc w skutek wytrwałości i cnoty, Las Casas dopiął celu, i on to sam w końcu ustanawiać miał sprawiedliwość dla tego nieszczęśliwego nowego świata, dotąd dzikięj poświęconego przemocy.

Rok cały walczyć jeszcze musiał Las Casas, aby Nowe Prawa (las nuevos leges) przyjęte zostały; a widząc Panów hiszpańskich posiadaczy w Indjach, gotowych nowym oporem, obalić całą budowę zasad jego, tak pracowicie wzniesioną; postanowił stanowczy zadać im cios.— Ten, istotnie zwycięstwo mu zapewnił.— Wydał dzieło, które sławnem się stało a w którym wystawia całej Europie, położenie nowego świata i wyniszczenie jego ludności. *La destruction de las Indias*, taki jest tytuł jego. To jeden z najstraszniejszych obrazów które pióro ludzkie skreślić kiedy mogło, okropny szczegółami, wzniosły celem swoim.— Ani jedno okrucieństwo nie przeminione, ani jedna wymówka nie jest tym srogim zdobywcom oszczędzona, ani jedna prawda chrześcijańska, któraby im tu wytkniętą nie była.— A proste cnoty biednej, pognębionej ludności, publiczny tu hołd odebrały od rodowitego hiszpana.— W chwili gdy wahano się nad przyjęciem i wprowadzeniem nowych praw sprawiedliwości czyli dobroczynności— wydanie to nadzwyczajny sprawiło skutek— przyjęto je w głębokim, trwożnym milczeniu. A 20 Listopada 1542 roku emancypacja i *uznanie praw człowieka*, Indianom przyznane przez Karola Vgo zostało. Tak 27mioletnia praca tego wielkiego męża, niczém nie zwalczoną i uwiecznioną została. I tak gdy siłę działania czynnego odebrali mu przeciwnicy; on się zamknął na modlitwę, a wśród postów i łez tracąc nadzieję, natchnioném słowem zastępował czyny.— Chciał Karol Vty nagrodzić czci godnego męża, lecz on podziękował za wszystkie zaszczyty. W końcu jednak po śmierci Biskupa de Chiapa, gdy dwór i rada Indyjska powołała go na tę dostojność, lubo z żalem, odmówić jej nie mógł.

Za przybyciem swoim do Ameryki nową miał i sroższą niż kiedykolwiek walkę do stoczenia.— Ko-

loniści uważając prawo to za niszczące ich zyski i władzę, przyjąć go nie chcieli. Las Casasa jako ich sprawcę, wyklinali publicznie na ulicach jako nieprzyjaciela sprawy publicznej, nikt go nie odwiedził, nikt jałmużny nie dał klasztorowi w którym mieszkał.— Nieszczęśliwi zakonnicy pozbawieni dziesięcin, żywności, musieli aż do Indjan po wsparcie udawać się.

W końcu jednakże koloniści obawiając się władzy jaką miał sobie Las Casas nadaną, umyślili ująć go podarkami, ucztami i udaną uległością, sądząc że w końcu da się na ich stronę nakłonić.— Lecz omylili się — po całym miesiącu nadaremnych przedstawień, mąż ten niezwykły w dobrém, postanowił otwartą nieprzyjacielowi wypowiedzieć wojnę. Pewnego dnia, mówi Remasas, ujrzał wchodzącą do swego mieszkania młodą Indiankę, całą we łzach, która siadłszy u nóg jego rzekła: „Ojcze! i potężny Panie, ja wolna jestem; przypatrz się, nie mam wyciśniętego piętna kajdan, a mój Pan chce mnie sprzedać jako niewolnicę.... Obroń mnie, bo ty ojcem moim jesteś!..” i inne jeszcze pełne rzewności dodawała słowa, jak to umieją kobiety Indyjskie chcąc wyrazić bólesci.— Nie pierwszy to raz Indianie przychodzili do Las Casasa żalić się.— Ta okoliczność spowodowała że nie wahając się dłużej a uzbrajając się władzą duchowną, ogłosić kazał po całym mieście że wszyscy spowiednicy w czynnościach swoich są zawieszeni, prócz dziekana i kanonika jednego — i to jeszcze zastrzegł samemu sobie do rozgrzeszenia, *wszystkie czyny niesprawiedliwe względem bliźniego*.— Było to zabronienie wszystkich sakramentów na raz, jakby interdykt na całe rzucony miasto.

Miasto też całe wzruszonym zostało; wysłano do Las Casasa jako pośredników tegoż, Dziekana i braci Miłosierdzia.— Zagrożono mu że skargę zainoszą do Króla i Papieża nawet, jeżeli dłużej sakramentów wzbraniać będzie.— „Jakże wy ciemni jesteście!— rzekł przysłanym do siebie— grozicie, „a nie wiecie komu ja posłuszny jestem:— nie komu „innemu jak najprzód Bogu, potem Papieżowi a „w końcu królowi, którego oto macie rozporządzenie.” I przeczytał im nowe Prawa.— „Odwołaliśmy się od praw tych— rzekł jeden z przytomnych— więc nie są one nas obowiązujące.”— „Żadne Prawo nie upoważnia was do przedawania i pastwienia się nad ludźmi, jak to codzień robicie.— Bóg wam to zakazał po wszystkie czasy, król zaś zakazuje wam tego w tej chwili.”— Bezsilne były argumenta, a Biskup na wszystkie prześladowania narażony —

tak, że w końcu nie oddając mu dziesięciny, nie dając znów nic Dominikanom, zmusili tych ostatnich wyjść po kweście do Indjan, którzy długo nie mogli pojąć tych dwóch sprzecznych z sobą władz.

Postanowił Las Casas jeszcze przedstawić skargi przed trybunał na ten cel ustanowiony, którego Prezydentem był Gubernator Guatimali a niegdyś przyjaciel Las Casasa, przez jego nawet wpływy na ten urząd wyniesiony. Ale niegodny ten człowiek właśnie był poślubił córkę bogatego kolonisty, a razem z nią poślubił wszystkie ojca jój zasady. Obelgami więc przyjął starego Biskupa!— Zgoła nie było przeciwności, upokorzeń, jakichby znów nie doznał, w téj ostatniej walce chrześcijańskiej z przemocą chciwości.— Pobudzeni przez kolonistów mieszkańcy Ciudad Real postanowili nie uznać go Biskupem, uważać go jako nieprzyjaciela publicznego.— Ufortyfikowali miasto i opatrzyli się we wszelkiego rodzaju broń.— Na wszystkich drogach do miasta dochodzących, halabardniki Indyjscy do walki się sposobili i sygnałem uwiadamiać mieli o zbliżaniu się Biskupa; biedny starzec przybywał sam, pieszo, z kijem w rękę i brewjarzem za pasem.

Na próżno Dominikanie, wiedząc o tém gwałtowném wzburzeniu umysłów, starali się zatrzymać go, obawiając się gorszych jeszcze zniewag; „Nie mówiłem — pokładam ja nadzieję w Bogu i modlitwach waszych.— Mówicie mi iż warty porozstawiane są na drodze, a wiecież, czyli to nie w chęci oddania raczej cześci, niż zabicia? Za cóż ci ludzie, takby rozgniewani na mnie byli? Idę, bom powinien to uczynić i żadnego nie widzę w tém niebezpieczeństwie.” — Postawieni na pierwszej widcie Indjanie, ujrzawszy Biskupa, rzucili się do nóg jego, mówiąc: Iż Alkadowie zmusili ich do stania na warcie i że może ukarani zostaną, jeżeli znać nie dadzą o jego przybyciu.— „O! to pozwólcie mi— rzekł Las Casas, po dwóch wam ręce powiązać; będziecie memi jeńcami i zaprowadzę was do Ciudad Real.”— Całą noc tak idąc, nad ranem szczególna ta procesja weszła do miasta. — Las Casas na czele Indjan powiązanych powstępował w tryumfie i prosto udając się do kościoła — uwiadomić kazał władze iż tam na nie czeka.— Nastąpiła scena dziwna. — Wódz spisku powstawszy odczytał głośno protestację obywateli przeciw Biskupowi.— Odpowiedź Las Casasa, prosta a wymowna już ujmowała serca wszystkich— gdy nowy wystąpił mówca, a zrećcznie i podstępnie trafiając w dumę kastylijską, oskarżył Biskupa o pogardzenie hiszpanami, czego dowodem było

zwołanie ich do kościoła, zamiast samemu się do nich udać, tak jak to był winien uczynić; więc ubliżył zgromadzeniu szlachtetnemu! — Las Casas przybierając całą moc i wzniosłość powołania swego odpowiedział: „Gdybym miał wam mówić o sobie i sprawach moich, byłbym poszedł do was; ale mam wam mówić o Bogu i o was samych, dla tego was tu do domu Bożego powołuję.” — Wszyscy umilkli! — Poczém proszono go aby wyznaczył spowiedników, uczynił to, wybierając najogólniej od obywateli szanowanych księży.

Nie długo trwało to uciszenie; zaślepieni, łakomi koloniści postanowili ciągle stawiać opór, bronić *praw swoich* — grabienie bowiem cudzej własności, zabieranie w niewolę prawdziwych właścicieli ziemi którą naszli, nazywali prawami swojemi.— Korzystając z każdego pozoru, szukali sposobów jakimi by prześladowanie Las Casasa usprawiedliwić. Przypomnieli sobie że Biskup powiązał straż pilnującą dróg i miasta, i postanowili ukarać go za to.

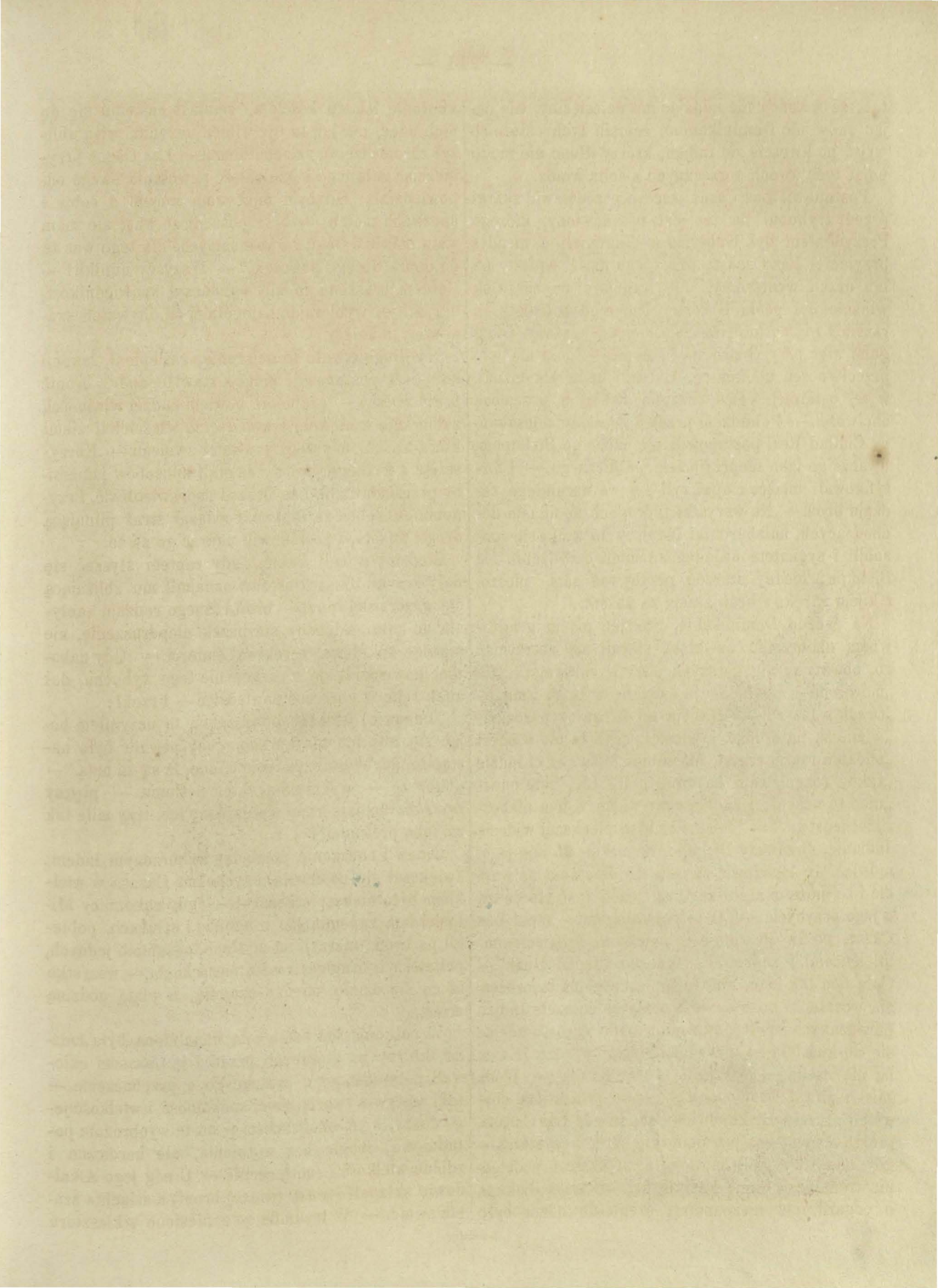
Siedział w celi swojej, gdy raptem słyszeć się dały krzyki. Szczęk orężów oznajmił mu zbliżającą się wczorajszą burzę— broń różnego rodzaju zabłyśła do koła; a biedny staruszek nieporuszenie, nie mówiąc ani słowa, oczekiwał śmierci.— Gdy nakoniec dowiedział się o przyczynie tego wybuchu, dał znak ręką iż chce coś powiedzieć — i rzekł:

„Panowie! jeżeli ich powiązałem to uczyniłem bojąc się aby ich nie karano, coby pewnie było nastąpiło, gdyby porozumienie miano, iż są za mną.” — „Otoż to — wykrzyknął ktoś z tłumu — piękny *protector* Indjan, który uwięziwszy ich, trzy mile tak za sobą prowadził!

Gniew i oburzenie pomiędzy wzburzonym ludem, zwiększał się co chwila, i życie Las Casasa w wielkiem było niebezpieczeństwie— gdy zakonnicy Miłosierdzia zapominając o habicie i szlubach, pobiegli po broń, uderzyli na motłoch, pozabijali jednych, pokaleczyli drugich, reszta pierzchnęła,— wszystko to co się działo między czwartą a piątą godziną zrana.

W południe taż sama cela napełniona była ludźmi, którzy na klęczkach przed Las Casasem całowali poły szat jego, prosząc go o przebaczenie — taki wpływ wywarła, moc, spokojność i wielkość jego duszy, w téj okoliczności— na te wyobraźnie południowe, srogie bez wątpienia, ale heroiczne i zdolne wielkość i cnotę ocenić.— U nóg jego Alkadowie składali *ravasy* (rodzaj broni) a szlachta szable swoje. — W tryumfie go zaniesiono z klasztoru







do jednego z najznacniejszych domów miasta — gdzie przez trzy dni uczty mu sprawiano, z najwyższymi zewsząd oznakami czci, poszanowania i miłości; „równie żywemi — mówi kronika — jak były dotąd okazywane mu uczucia nienawiści.

Ale wyższość genjuszu i uczuć podnosząc na chwilę wyobraźnię a nawet serca tych południowców, nie zdołała zniszczyć chciwości i egoizmu. — Co innego jest zapał wiodący w daną chwilę do poświęceń, a co innego wytrwała z głębokim uznaniem praca na drodze tychże poświęceń, — na taką koloniści zdobyć się nie mogli — i gdy tracili z oczu poważną namaszczonego postaci Biskupa, gdy o uszy ich nie obijał głos jego, prawdy Boże głoszący; oni znów z wielbicieli, zamieniali się w prześladowców. Oskarżali Biskupa o zdrady kraju, o chęć szkodenia rządowi; wystawiali go jako podżegacza, burzyciela porządku ogólnego — bo oni ucisk nazywali porządkiem. Władze miejscowe zdala od steru rządu, nieobawiając się nawet tak oddalonej stolicy, zamiast ogłaszać nowe przez Karola Vgo nadane prawa, na swoją rękę robili nadużycia, tolerowały gwałty, jak *np.* prawo *repartimientos* zwane. — Był to zwyczaj zamieniony w prawo a raczej w najokrutniejsze bezprawie; w każdej potrzebie wysyłano żołnierzy z bębniami do spokojnych wiosek Indjan przez Las Casasa ucywilizowanych i znających prawa religijne. — Żołnierze ci bębniąc ogłaszali: „że jest Bóg jeden, Papież — i król Kastyljski. W imię Boga Papież zabierał was, darował królowi jako niewolników, a więc „posłuszni mu być powinniście i składać mu hołdy i „daniny.” Po takim ogłoszeniu, zabierali co chcieli więząc Indjan, którzy napróżno bronili się temi lo-

gicznymi, pełnemi prostoty słowy: „Ten wasz Papież dający to, co nie jest jego, a wasz król przyjmujący od niego cudzą własność, są chyba ludźmi pozbawionymi rozumu.” Jeżeli miejscami stawiali opór podobnym gwałtom, wtedy żołnierze palili wioski, a zabijali mieszkańców jako buntowników z bronią występujących.

Las Casas skarży, błaga tronu o zniesienie tak szkaradnego bezprawia w Imię Boga spełnianego. Ale i na dworze Karola miał nieprzyjaciół, miał ludzi którzy jego czynności jako zgubne dla Hiszpanii uważając, oskarżali go że chce wyzuc Hiszpanję z posiadłości Ameryki. Cesarz Karol nadto miał rozum, aby czyste ewangeliczne Las Casasa pojęcia, za szkodliwe mógł uważać — ależ on miał tyle woleń, tyle zaborów na widoku, że kwestja nieszczęśliwych amerykańców, lubo sprawiedliwa, nie była na pierwszym planie działań jego — zresztą uczynił to co mu chwałę w potomności zapewnić zdawało się; udarował oswobodzeniem Indjan, podpisał ich prawa — ale czy te prawa w wykonanie prędkiej lub późniejszej wejść miały? to mu już było więcej obojętne, bo do Monarszych uszu nie dochodziły jęki uciśnionych. Karol Vty prawdziwie średniowieczny bohater, na wielką skalę złe i dobre czyniący, pomimo zdrad politycznych, pomimo zaborów; przez sprzeczność właściwą owego wieku ludziom, czczył prawa Chrystusowe i okazywał się wielkim wielbicielem religii katolickiej; Las Casas więc miał u niego zasłużoną cześć, ale wykonanie rad jego nie było Karolowi dość pilnym i dozwalał pełnomocnikom swoim pastwić się nad ludem, któremu sam prawa podpisał.

## ZIĘBY (FRINGILLAE).

(Z RYCINĄ KOLOROWANĄ).

Na powyższej tablicy <sup>1)</sup>, znajdują się dosyć wierne oddane ptaki od bardzo wielu ludzi często hodo-

<sup>1)</sup> *Opis tablicy.* Aby ryciny napisaniem liter lub liczb nie szpecił, po prostu podajemy same nazwiska ptaków wystawionych tutaj, według porządku:

1. Makolągwa, *Fringilla cannabina*. 2. Czyż, *Fringilla spinus*. 3. Dzwoniec, *Loxia chloris* L. 4. Gil, *Loxia pyrrhula*. 5. Szczygieł, *Fringilla carduelis*. 6. Grubodziób *Loxia Coccothraustes*. 7. Czeczotka, *Fringilla linaria*. 8. Zięba *Fringilla coelebs*. (samiec i samica). 9. Kulczyk, *Fringilla serinus*. Gmel.

wane w pokojach, gdyż swoją wesołością, ładną barwą i przyjemnym śpiewem, jednostajne domowe życie urozmaicają.

Najpospolitszą z tych jest: Zięba (*Fringilla coelebs*, *Linne*) wielkości wróbla, lecz nieco wysmuklejsza, (długości 6 cali, 4 linii, szerokość skrzydeł 11 cali). Opis barwy samca jest zbyt naturalnym obrazem, więc tylko samicę opiszemy. Ziębę z daleka poznać można; jest nieco mniejszą, ma głowę, szyję i grzbiet oliwkowo-brunatno-popielate,

szuję szarą, brzuch brudno-biały, pierze różowe z ciemnym pomieszane. Ojczyzną zięb, cała Europa, średnia Azja i niektóre części Afryki. U nas należy do pospolitych ptaków. Znajdują się w lasach. Gniazdo mają ładne, półkoliste. Gnieźdzą się od Kwietnia do Maja. Żywią się ziarnami. Śpiew ładny i przyjemny.

*Fringilla carduelis*, Szczygieł, mniejszy od zięby, długość  $5\frac{2}{8}$  cala, szerokość skrzydeł cali 10. Samica mało się różni od samca, w ogólności są one barwy nieco jaśniejszej, znajdują się od wybrzeży Afryki aż do Szwecyi. Żyją w lasach i ogrodach, jaja niosą w maju, wysiadują je w dni 15. Pisklęta młode nie są podobne do rodziców. Żywią się ziarnami i owadami. Śpiew ich przyjemny.

*Fringilla spinus*, Czyż, mniejszy od poprzedniego (długość  $4\frac{3}{4}$  cali, szerokość skrzydeł cali  $8\frac{3}{4}$ ) samica mało co się różni od samca. Znajduje się w całej Europie. Żyje w borach a zwłaszcza sosnowych, w bliskości gór. Jaja niesie w marcu, które w dni trzynaście wysiaduje. Żywi się nasieniem drzew kolczastych i owadami. Młode są bardzo podobne do samicy, choć zwykle tego nie bywa w tym rodzaju ptaków.

*Fringilla linaria*, Czeczotka większa od poprzedzającego; samice łatwo odróżnić można od samca. Żyje na północy Ameryki, Afryki, i Europy. Przylatuje zwykle z Rosyi i to gromadnie; u nas nie zawsze się gnieździ. Jada robactwo, pestki i ziarna. Nie śpiewa prawie wcale, tylko piszczy. Przylatuje zwykle we wrześniu, a odlatuje w lutym, marcu i kwietniu. Robi na drzewach wielkie szkody; mięso ma smaczne i dla tego mnóstwo ich zabijają. Jest nadzwyczaj zgrabną na drzewach po których skacze jak niemniej i w powietrzu. Żyje w przyjaźni z mniejszemi ptakami, bo z niemi nigdy się nie kłóci ani bije.

*Fringilla cannabina*, Makolągwa, większa od poprzedzającego, (długość  $5\frac{1}{8}$  cali szerokość skrzydeł cali  $10\frac{1}{4}$ ). Samica nie ma tej czerwoności co samiec, i tym właśnie się różni od niego. Znajduje się w ca-

łej Europie i niektórych częściach Afryki i Azji; żyją poczęści w lasach, poczęści na polach, najczęściej w gajach. Niosą jaja w marcu 5—6: młode karmią ziarnem którym i same się żywią. Śpiew ich bardzo przyjemny i lubiony powszechnie.

*Fringilla serinus*, Kulczyk. Mały ptak jak czyżyk (długość cali  $4\frac{3}{4}$  skrzydeł cali  $8\frac{3}{4}$ ). Samica nieco bardziej szara i brunatna; przytém nieco mniejsza i kolory ma nie tak wyraźne. Ojczyzną ich jest południowa Europa, t. j. Włochy, Szwajcarya, Hiszpania i część południowej Francyi i Niemiec; w Ojcowie u nas się znajduje. Żyje w ogrodach a zwłaszcza w sadach owocowych i niedaleko winnic. Gnieźdzą się w maju; mają 4—5 jaj bardzo delikatnych. Żywią się ziarnem i owocami.

*Loxia pyrrhula*, Gil, długości cali 7, szerokości skrzydeł cali  $11\frac{1}{9}$ . Samice łatwe do rozpoznania. Znajduje się w Azji i Europie aż do samej Irlandyi. Niesie jaja w kwietniu 2—4, które są prawie koliste. Żyje w lasach i na polach; żywi się ziarnem i owadami, śpiewa bardzo ładnie.

*Loxia chloris*, Dzwoniec długość cali 6, a skrzydeł 11 cali. Samica miewa wszystkie kolory bledsze i niewyraźne, dla tego łatwo ją można rozpoznać. Znajduje się od Archipelagu aż do Szwecyi. Przebywa nie tylko w lasach, gajach, ale i w ogrodach. W kwietniu znosi 5—6 jaj. Żywi się ziarnem i to powiększej części tłustem i młodych drzew pączkami.

*Loxia coccothraustes*, Grubodziób, długości  $7\frac{1}{4}$  cali, szerokość skrzydeł cali  $18\frac{1}{4}$ . Samica bardzo podobna do samca, lubo wszystkie kolory ma nieco bledsze i słabsze. Znajdują się w Europie, żyją w lasach. Gnieźdzą się w maju znosząc 4—5 jaj, które w dni 14 wysiadują. Żywią się ziarnem i owadami.

Wszystkie powyżej opisane ptaki można trzymać w klatkach. Chociaż szkodzą w gospodarstwie niszcząc nieco zboża, jednakże daleko więcej przynoszą prawdziwego pożytku wytepiając wiele owadów i robaków nader szkodliwych.

Wszystkich gatunków liczą naturalisci przeszło sto pięćdziesiąt.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.